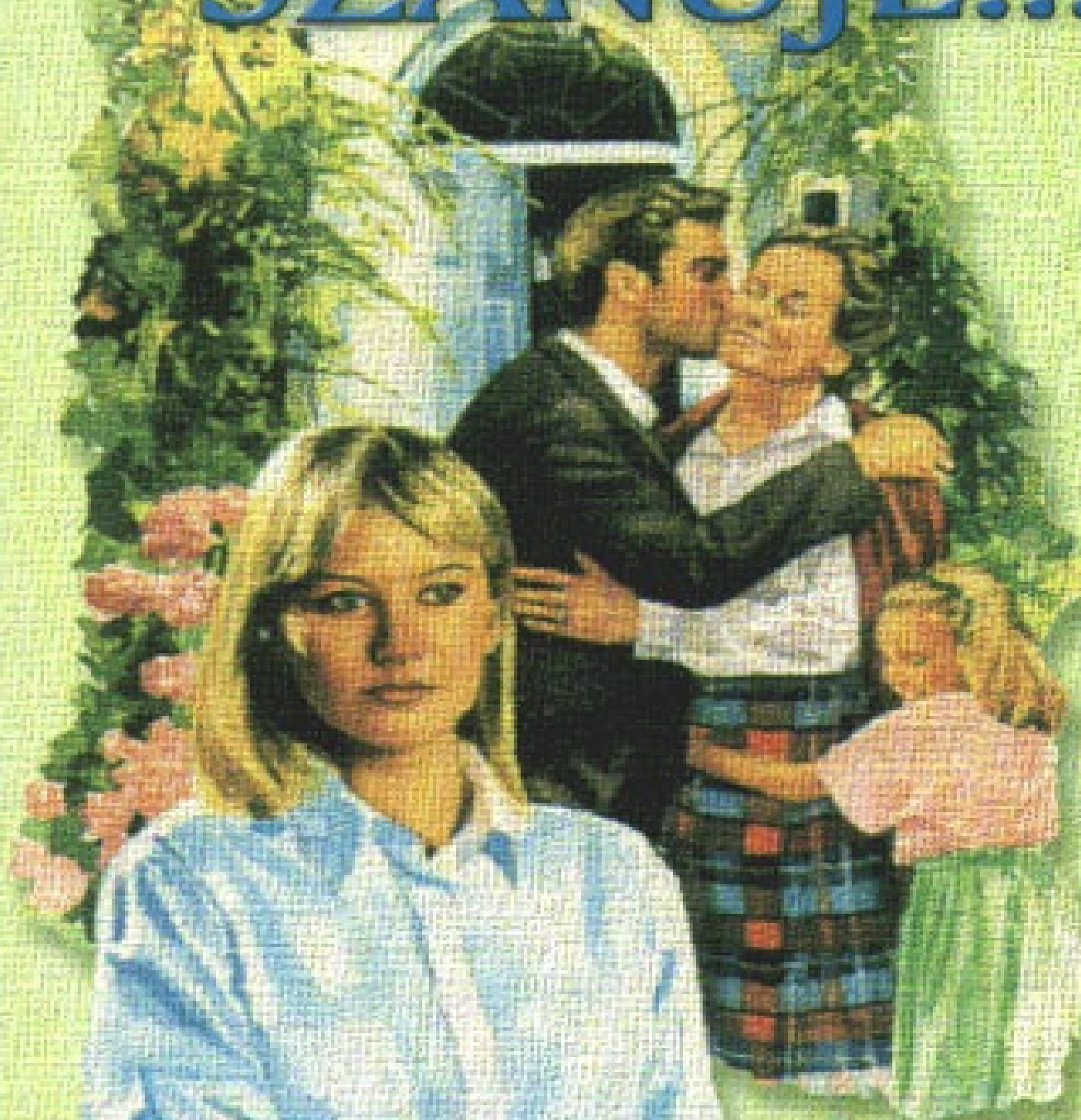


DEIRDRE PURCELL

KOCHA, LUBI,  
SZANUJE...



Prószyński i S-ka

## **Deirdre Purcell**

### **Kocha, lubi, szanuje...**

*Przełożyła Anna Maria Nowak*

*Pamięci Nellie*

### **Podziękowania**

*Jak zwykle winna jestem głęboką wdzięczność wielu osobom.*

*Mojej bratowej, Mary Purcell, która mi pomogła w szukaniu materiałów, a którą wspierał mój cudowny brat, Declan. I Aldiscon Information Ltd oraz Barry'emu White'owi, którzy hojnie poświęcali mi czas i dzielili się doświadczeniami. Mojej matce, Maureen, która odnalazła właściwy tekst „Kitty z Coleraine”. Oddanej osobie – wiesz, że Ciebie mam na myśli –*

*która pomogła mi w szczegółach dotyczących Mountjoy Park. I Joemu z Cheekys Kissing Telegram Company, cierpiącej Fionie z Reprocentre oraz trojgu Patom: genialnemu Patowi Brennanowi, lojalnej Patricii Byrne, zawsze kochającej Patricii Scanlan.*

*Dziękuję moim agentom, Charlesowi Pickowi, Martinowi Pickowi i Treasie Coady. A także Amandzie Kiely z Townhouse.*

*Mojej cudownej redaktorce, Suzanne Baboneau z Macmillan, Hazel Orme i Ianowi Chapmanowi, który zarażał mnie swoim entuzjazmem.*

*Gorące podziękowania należą się też Aoife Cronin, która poświęciła cały dzień Bożego Narodzenia, by przewieźć rękopis do Londynu. I Rogerowi oraz Carol, którzy jej towarzyszyli.*

*Wreszcie wyrazy miłości kieruję do dobrych, nie szczędzących mi wsparcia przyjaciół. Do rodziny, zwłaszcza Simona, Adriana i Kevina.*

### **Rozdział 1**

Każda chwila tego lata tkwi w mej pamięci niczym cień.

Dziwne, że aż tyle mogło się wydarzyć. Jest dopiero sierpień, a pierwsza zapowiedź nieszczęścia pojawiła się w sobotę na początku maja. Trzy miesiące. A ciągnęły się niczym wiek.

Pomyślałam, że opowiem wam wszystko, nim szczegóły pierzchną z pamięci jak pyłki dmuchawca.

A przy okazji, darujcie, jeśli czasem użyję, waszym zdaniem, nieodpowiednich określeń. Albo słów, które nie pasują do osoby o moim pochodzeniu! Wcale nie jestem wykształcona, moja gramatyka czy składnia czasem pozostawiają wiele do życzenia, choć staram się przestrzegać podstawowych reguł: na przykład przecinka przed „że” i tak dalej. Uwielbiam same słowa, tak było od zawsze, gromadzą mi się w głowie. Na co dzień, w tak zwanym zwyczajnym życiu, często muszę je hamować, choć

pchają mi się na język, by ludzie nie myśleli, że się popisuję.

Szybko się tego nauczyłam, już w dzieciństwie spędzonym w czynszówkach.

To nie była najprzyjemniejsza dzielnica Dublina. Tam człowiek nie odważył się być inny, bo nie daliby mu żyć. Przywykłam, że dzieciaki wykrzykują za mną: „Idzie Angela Devine, która połknęła słownik”. Chciałam się zapaść pod ziemię. Udawałam, że mnie to nie wzrusza, ale najchętniej bym wtedy umarła.

Zresztą po dziś dzień lubię słowniki. Są takie opasłe, kryje się w nich tyle możliwości. I powiem wam coś jeszcze: mam wrodzony talent do ortografii. Nie wiem, skąd to się wzięło, ale ortografia nigdy nie przysparzała mi najmniejszych trudności, od samego początku. To się wiąże z brzmieniem, kształtem wyrazów na kartce. Niektóre z nich widzę, przypominają gładkie bombki.

Człowieka aż świerzbiał palce, żeby je pogłodzić i przysunąć do światła, by zapłonęły kolorami.

Nie będę się nad tym rozwodzić. Po prostu wiedzcie, że od samego początku mój mózg niejako wsysał każde napotkane słowo i przechowywał je, jak przechowuje się dobre wino czy sery. (Może wam się to wydać dziwne, ale trochę się znam na winach i serach, a to za sprawą jednego z moich źródeł utrzymania

– o którym więcej za chwilę...)

Dość tego usprawiedliwiania się. Czas przejść do rzeczy.

Dzień pierwszy, sobota. Popołudnie.

Autobus był jak zwykle zapchany. Wracałam do domu z jednego z moich miejsc pracy: w sobotnie poranki uwijam się w delikatesach – w południowej części miasta – i padałam z nóg, bo roboty miałam wyjątkowo dużo.

Znacie ten typ klienteli, która wpada do delikatesów, jakby się paliło? Zwykle osoby te wyskakują z maleńkiego merca albo volvo – najwyraźniej BMW wyszły już z mody – zaparkowanego jednym kołem na chodniku przed sklepem. Wiek – jakieś trzydzieści cztery lata, mówią takim tonem, jakby potrzebowały nie tyle bagietek, ile posypanych makiem torów kolejowych.

Markowe dresy, gładkie twarze, szeroko otwarte oczy, nadające im wygląd Dolly Parton. Ten typ ludzi rozwodzi się nad ceną balsamicznego octu winnego, choć bije na głowę ten, na którym wielu z nich się wychowało. Kobiety nazywam Samantami, mężczyźni – Markami. Ponieważ jest sobota, Markowie paradują w nike'ach albo adidasach i woskowanych kurtkach.

Tu dla przyzwoitości muszę wspomnieć, że znam parę osób, które naprawdę noszą imiona Samanta lub Mark i są akurat świetnymi ludźmi. Ale rozumiecie, co mam na myśli. To takie moje prywatne słowa-hasła.

Tamtego ranka obsługiwałam niezliczone Samanty i Marków, a gdy po raz piąty musiałam biec do jubilera, żeby wymienić pięćdziesięciofuntowy banknot, chciało mi się wyć. Co gorsza, padało, a po

pracy musiałam jeszcze trzydzieści pięć minut czekać na autobus.

Mogłam wrócić pieszo i często tak robię – mieszkamy bardzo blisko miasta – ale, jak już wspomniałam, padałam na nos ze zmęczenia. Byłam przemoczona do suchej nitki, a stopy piekły mnie od stania w nowych pantoflach. W dodatku w autobusie jeszcze bardziej mi napuchły. Zauważyliście to? W autobusach stopy zawsze obrzmiewają.

Znacie różnicę między butami masowej produkcji a tymi z porządnych sklepów. Pewnie powinnam mieć wyrzuty sumienia.

Moje buty są z prawdziwej skóry, a po cenie sądząc, musiały wyjść spod ręki jakiegoś chłopczyka albo dziewczynki z Bangladeszu, wschodniego Timoru albo innego podobnego miejsca. I zagoniono te dzieciaki do roboty batogiem. Dosłownie.

Tak więc, jak się domyślacie, miałam już dość dopustów jak na jeden dzień.

Kiedy autobus wreszcie się pojawił, sytuacja niewiele się poprawiła. Natychmiast po wejściu człowieka atakował zapach wilgoci i mokrych stóp. Do tego jeszcze wózki, płaczące niemowlęta i tuziny nieznośnych maluchów – nie wspominając o zmordowanych kobietach, nogami przytrzymujących reklamówki Roches Stores, żeby przy byle zakręcie zawartość toreb nie wylądowała na podłodze. Człowiek nic nie widział przez okna zaparowane od wilgoci unoszącej się z płaszczy, parasoli i oddechów.

Swoją drogą, nie do wiary, że autobusy nie przewracają się przy takiej kawaleryjskiej fantazji, jaką kierowcy fundują nam na zakrętach. Co to jest: duże, zielone i leży w rowie? Zdechły autobus. To jedyny dowcip mamy, jaki zapamiętałam.

Oczywiście, pochodził on z czasów, gdy autobusy były zielone, tak odległych, że z trudem je sobie przypominam. Teraz wyglądają niby plakaty reklamowe na kółkach, od góry do dołu barwnie wymalowane. Najbardziej lubię reklamę Birds Eye, tę z rozsypanymi ziarnami zielonego groszku.

Kiedy autobus dotarł na mój przystanek, byłam szczęśliwa, że wreszcie mogę wysiąść, wierzcie mi.

Ostatnio Mountjoy Square stał się przybytkiem *yuppies*.

I to niemal z dnia na dzień. Ni z tego, ni z owego ścięto wszystkie drzewa, a zaraz potem zjawily się tablice zasłaniające place budowy. Niektóre z mieszkań kosztują tu więcej niż porządny jednorodzinny domek. Połowa powierzchni za sto razy wyższy czynsz.

Trzeba przyznać, że jeśli już musi się wynajmować mieszkanie, to okolica rzeczywiście jest dość przyjemna. Przynajmniej ma się ładny widok. Na środku placu znajduje się świetny park.

Mimo to nigdy nie zrozumieć, dlaczego ludzie wybierają mieszkania, nawet jeśli noszą one nazwę apartamentów. Może i jestem snobką, ale za nic bym nie zamieszkała w apartamencie, gdybym mogła kupić własny dom.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Reddy, nasz taki-owaki właściciel kamienicy, zjawił się pewnego

dnia, oznajmiając, że mamy się wynosić. Założę się, że gdyby tylko mógł, zmiotłby ten budynek z powierzchni ziemi. Pewnie otrzymałby jakąś premię za zburzenie go i postawienie kolejnego pudełka, jak te wszystkie w sąsiedztwie, gdyż mieszkamy na terenie uprzywilejowanym podatkowo. Nigdy nie rozumiałam, na czym to polega, ale z grubsza chodzi o to, że ludzie mający pieniądze i chcący je zainwestować w Irlandii mogą tu kupować mieszkania i wynajmować je, nie płacąc przy tym żadnych podatków. Jak w Tempie Bar. Tempie Bar to nowe centrum Dublina, ponoć nasza chluba i wizytówka; pełno tam pubów i modnych restauracji, a jeśli chodzi o mieszkania *yuppie!*... Ludzie całą noc stali w kolejce, żeby je kupić. I to za niewyobrażalne sumy.

Nie wiem tego z pierwszej ręki. Nigdy nie byłam w Tempie Bar, chociaż mieszkam kilometr dalej. Tempie Bar to nie miejsce dla takich jak ja. James, który ma dziewiętnaście lat, powiada, że to dzielnica dla młodych, roi się w niej od Anglików, rzygających na swoich sobotnich wieczorach kawalerskich, i dzieciaków –

nawet czternastolatków – leżących na chodnikach, spitych na umór po trzech piwach. Nieustannie czyta się o tym w prasie: Tempie Bar jest uważany za dubliński odpowiednik paryskiego lewego brzegu Sekwany.

Cóż, tamtego dnia życzyłabym Reddy'emu dużo szczęścia, gdyby próbował nas wyrzucić. Byłam wtedy, mówiąc oględnie, w bojowym nastroju. Choć umowę najmu odnawiał z nami z miesiąca na miesiąc, to gdyby tylko spróbował wykręcić nam numer, nie wahałabym się zawlec go aż do Sądu Najwyższego.

Nawet do Trybunału Europejskiego, gdyby było trzeba.

Wyprowadzimy się, kiedy do tego dojrzejemy i ani dzień wcześniej. Dzięki Bogu, w tym kraju we wszelkich sporach między lokatorami a właścicielami mieszkań sądy na ogół stają po stronie takich jak my.

A zresztą nawet gdyby czegoś próbował, latami trwa, nim rzecz doczołga się w pobliże sądu. Mielibyśmy z Jamesem mnóstwo czasu na znalezienie sobie jakiegoś przyzwoitego lokum.

Idąc z przystanku, zauważyłam, że w Discount Electrical jest przecena. Nic nadzwyczajnego, tam niemal zawsze jest przecena.

A kolejna parę budynków dalej, w D. I. D. Electrical. (W Dublinie toczy się nieustająca walka między sprzedawcami sprzętu elektrycznego. Człowiek naiwnie sobie myśli, że Irlandia jest już wystarczająco zaopatrzona w telewizory i kuchenki mikrofalowe.

Okazuje się, że nie. Niedługo będą je dawać za darmo, dorzucając szynkę gratis). Dobrze przynajmniej, że chociaż przestało padać.

Kiedy znalazłam się przy schodach prowadzących do wejścia do naszego budynku, nie zobaczyłam przypiętego do ogrodzenia motocykla Jamesa. Za chwilę wam powiem, kim jest, jeszcze dużo o nim usłyszycie. Bo historia, którą wam opowiem, dotyczy właśnie jego, nie mnie. Nigdy nie lubiłam tego motocykla. Nieraz już James z niego spadł – wiecznie mu powtarzałam, że te kawasaki są za potężne,

a on unika noszenia kasku. W godzinach pracy musi – pracuje jako kurier – ale uważa, że wkładanie kasku poza służbą mu nie przystoi, mimo że przepisy to nakazują. Parę razy kusiło mnie, żeby donieść na niego glinom i w ten sposób wyegzekwować od niego noszenie kasku, ale wtedy wyobraziłam go sobie na komisariacie i nie mogłam.

Wiem, że muszę przestać traktować go jak dziecko. Już zaczęłam nad tym pracować.

Nieco mnie zdziwił brak motocykla, bo zwykle w soboty Jamesa nie obudziłoby trzęsienie ziemi. Nawet mi przemknęło przez myśl, że ktoś go zwinął, ale po wejściu do mieszkania przekonałam się, że rzeczywiście Jamesa nie ma. Zdumiewające.

Już o trzeciej! Nie kpię z niego, naprawdę, kiedy James nie ma nic do roboty, najchętniej leży w łóżku. (I nie tylko wtedy. Nieraz musiałam mu stać nad głową, żeby nie przespał wizyty u dentysty.

James ma piękne zęby i moja była w tym głowa, żeby tak pozostało).

Pewnie gdybym miała więcej pieniędzy, posłałabym go do psychologa albo w ogóle kogoś, kto by powiedział, czy to normalne. Czy tak właśnie zachowuje się dziewiętnastolatek? Bo mnie brak kwalifikacji, żeby określić, czy jego okresy milczenia, nastroje, ciągłe leżenie w łóżku to już depresja czy też coś innego.

Wielu rzeczy u Jamesa nie potrafię zaszufadkować. Nie ulega wątpliwości, że to typ samotnika, ale samotnika, który chodzi do klubów, na zabawy itp. Który ma przyjaciół. A mimo to jego samotność wyczuwa się ze stuprocentową pewnością, jeśli choć chwilę posiedzi się z nim w jednym pokoju. I gdzie tu sens?

Psychologowie biorą ostatnio jak za zboże, w naszej sytuacji musielibyśmy iść do państwowego, co donikąd by nie prowadziło, bo na wizytę trzeba by czekać latami. Dlatego musieliśmy sobie radzić, jak mogliśmy.

W sprawie pieniędzy. Przyznam, że mam względem nich mieszanie uczucia. Przy tylu etatach, jakie zgromadziłam, pewnie powinniśmy żyć na wyższej stopie – ale ja ostro oszczędzałam.

Pewnie za ostro. (Choć, jak się przekonacie, nie mam się czym pochwalić. Dwadzieścia lat pracy i uciulanych tylko parę tysięcy!

Zawsze to jednak coś... ) Odkładałam je na mieszkanie dla nas obojga. I coś jeszcze, o czym trudno mi mówić. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię wydawać na siebie, nawet kiedy wpadnie mi parę funciaków ekstra. Wiecznie je odkładam na przyszłość. Analizowałam tę swoją postawę i uznałam, że to w ogromnym stopniu wiąże się z poczuciem bezpieczeństwa.

Pewnego dnia James pójdzie własną drogą i zawsze – już od pierwszego dnia – zdawałam sobie sprawę, że nie będę mogła liczyć na jego wsparcie, gdybym zachorowała albo gdyby coś mi się przytrafiło. Zresztą nawet bym go o to nie prosiła.

Wystarczająco dużo napatrzyłam się na mamę. Dość już.

Jak się przekonacie, James to człowiek o bardzo silnej osobowości. Mieszkanie z kimś takim może być trudne, zwłaszcza jeśli ludzie ciągle się o siebie potykają. Ale nie zrozumcie mnie źle: uwielbiam dzieciaka.

Muszę przyznać, że tamtej pierwszej soboty, gdy nie zastałam go po powrocie, nie było mi przykro. Dobrze czasem mieć odrobinę spokoju.

Och, chciałabym móc napisać, że wtedy, po wejściu do mieszkania, coś mnie tknęło. Tak zawsze czyta się w książkach.

Natychmiast po naciśnięciu klamki główny bohater czuje, że coś nie gra. Oczywiście zazwyczaj jest to krew na ścianach, podejrzany zapach albo woń gazu. Nie w moim wypadku.

Wszystko wyglądało normalnie. Jakby przez mieszkanie przeszło tornado. Typowe. Zawsze tak wyglądało, gdy James gdzieś wychodził, a mnie nie było i nie mogłam mu trzeszczeć za uszami.

Zawsze po powrocie do domu ogarnia mnie swoiste rozczarowanie. Tak jakbym podczas nieobecności wytworzyła sobie sielską wizję słodkiego kącika. Sami wiecie, niecierpliwe wyczekiwanie, żeby się umościć w gniazdku. Cóż, ilekroć wracałam i otwierałam drzwi... Pozostawiam to waszej wyobraźni.

Gdybym wam podrzuciła słowa takie jak: wilgoć, bura, obłaząca farba, czy to by wam pomogło?

Starałam się, jak mogłam. Zgromadziłam dużo książek i regał

postawiłam tak, by zasłaniał najgorszy fragment tapety. Resztki tapicerki zaś ukryłam pod białymi, grubo tkanymi narzutami, kupionymi (za bezcen – ucziwa wymiana!) na targu.

Podniosłam mokre ręczniki z podłogi w łazience – to szumne określenie Reddy'ego, nie moje. W rzeczywistości to klitka wydzielona z pokoju, ale ścianki są tak cienkie, że słycać dosłownie wszystko. (Zwykle kiedy James korzystał z „łazienki”, włączałam radio albo telewizor. Człowiek zasługuje na odrobinę prywatności).

Potem zrzuciłam słynne pantofle i trochę ogarnęłam mieszkanie, nim nastawiłam czajnik i rozłożyłam resztki przyniesione z delikatesów. W soboty niecierpliwie wyglądam tej chwili. Urządzam sobie snobistyczny piknik. Wolno mi zabierać resztki serów czy plasterki salami, które spadną przy krojeniu, tego typu rzeczy. W soboty zrywam z moimi obyczajami skąpca i kupuję sobie bułki. Za każdym razem inne. Z sezamem.

Pomidorem. Cebulą. Czosnkiem. I tak dalej. Kładę to na specjalnej tacy, chińskiej, z laki, z czarującym obrazkiem, przedstawiającym wierzbę płaczącą, zieloną na czarnym tle; właściwie ma ona bardziej kolor turkusowego, albo jeszcze lepiej –

przepadam za tym słowem – akwamaryny. Barwę morza tuż przed sztormem.

Czyż życie nie bywa zdumiewające? Raz po raz zastanawiam się, jak to się stało, że ktoś taki jak ja, Angela Devine z czynszówek, potrafi ze znajomością przedmiotu rozprawiać o kabanosach i

*prosciutto*. I, co więcej, nawet je jeść ze smakiem.

Boże, gdyby mnie mama widziała! Oczywiście, James za .

nic nie dałby się złapać na jedzeniu czegoś takiego. On woli hamburgery i temu podobne świństwa, jak zresztą wszyscy w jego wieku. Ja mam powyżej uszu hamburgerów, zwłaszcza od kiedy dowiedziałam się z telewizji, że w niektórych miejscach tak naprawdę robi się je z ohydnych ochłapów. Fuj.

Tamtego dnia powinnam była natychmiast przysiąc fałdów i brać się do nauki. Przygotowywałam się do matury – robię ją stopniowo, w szkole wieczorowej – a mając tak blisko egzaminy, nie powinnam odstawiać królowej Saby i sadowić się z tacą i skrawkami dobrego jedzenia. Ale byłam taka przemoczona i padnięta, że nie potrafiłam od razu stawić czoła książkom.

Zresztą całkiem nieźle nadażałam z programem. Omawialiśmy

„Hamleta”, choć równocześnie nasz wykładowca, pan Elliott, kazał nam dodatkowo przeczytać „Makbeta”. Oczywiście nie byliśmy tym zachwyceni, bo nie będą nas z tego pytać na egzaminie, ale on się uparł. Twierdził, że ogromnie nam się przyda znajomość jeszcze jednej sztuki, jeśli chcemy mieć pojęcie o kontekście, w jakim tworzył Szekspir. Jego zdaniem, czytanie wyłącznie obowiązkowej lektury, zwłaszcza jeśli chodzi o Szekspira, równa się brakom w wykształceniu, a ta szkoła –

ciągnął, dumnie wypinając pierś – szczyci się tym, że wypuszcza ludzi wykształconych. Gadka szmatka. Ja po prostu chcę zdać egzamin. Oczywiście, w miarę upływu czasu coraz bardziej się tych egzaminów bałam. W ubiegłym roku nieźle sobie poradziłam z matmą. Naturalnie nie sama, ale dostałam czwórkę z plusem.

Czyli powyżej średniej. Nieźle jak na kogoś, kto skończył

edukację na podstawówce, wierzcie mi na słowo.

Tamtej majowej soboty miałam jeszcze uczyć się irlandzkiego, choć kiedy teraz na to patrzę, zdaję sobie sprawę, że musiałam postradać zmysły, jeśli sobie wyobrażałam, że jednego roku zaliczę irlandzki i angielski. Z drugiej strony, gdybym zaliczała tylko jeden przedmiot rocznie, zdobycie tej przeklętej matury zajęłoby mi całe wieki. Nie pojmuję, jakim cudem dzieciaki potrafią się przygotować do sześciu, a nawet siedmiu egzaminów naraz.

I jeszcze coś: cieszę się, że dopiero w tym wieku (mam trzydzieści sześć lat) zetknęłam się z Szekspirem. Bo gdybym przerabiała te sztuki jako szesnasto, siedemnastolatka – czyli tak jak przeciętny uczeń – pewnie nawet połowy bym z nich nie zrozumiała. Irlandia to dziwny kraj. Ludzie nieustannie atakują filmy porno i pisma w rodzaju „Playboya”, a tymczasem jakie lektury zaleca się dzieciakom w szkole? Czy ludzie w ogóle zdają sobie sprawę, co się wyprawia w „Hamlecie” i „Makbecie”? Jakie bezceństwa?

Tak czy owak, powiedziałam książkom: mam was gdzieś – i włączyłam telewizję. Wzięłam tacę i



kubek kawy, po czym zasiadłam przed telewizorem. Zwykle w BBC 2 dają jakiś niezły film z Betty Davis albo Carym Grantem. Przepadam za Kirkiem Douglasem. W ubiegłym roku zafundowaliśmy sobie kablówkę.

Drogie to, ale warte swojej ceny. Człowiek ma prawo do przyjemności, a chodziło mi przede wszystkim o Jamesa. Za to kategorycznie nie zgodziłam się na Sky Sports. Po moim trupie.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę włoskiego bobsleja albo żuźla? Niech to sobie wybije z głowy.

Ale tamtej soboty okazało się, że równie dobrze mogliśmy sobie wykupić Sky Sports. Na wszystkich kanałach był tylko sport, sport, sport. Nawet BBC 2 nadawała krykieta. Niech Bóg nas ma w swojej opiece, pomyślałam, w lipcu, gdy zacznie się olimpiada.

Przynajmniej w Sky News dawali pokaz mody, tym razem z Mediolanu. Wszystko wydumane, za nic bym na siebie czegoś takiego nie włożyła. Musiałabym mieć dwa metry wzrostu jak Naomi Campbell czy Elle MacPherson. Wiecie, że często zjawiają się w Dublinie? A przynajmniej zjawiały, kiedy Naomi była zaręczona z Adamem Claytonem. W prasie ostatnio nieustannie się zachłystują, że Dublin stał się prawdziwym rajem dla spragnionych zabawy, muzyki, klubów. Na muzyce ludzie zarabiają tu miliony. Weźmy choćby małą Cranberry, ma dwadzieścia parę lat, a już jest milionerką.

Moim zdaniem, jednak oni wszyscy robią kasę na wywlekaniu bebechów. Na swoim dzieciństwie, wychowaniu, nieszczęściu i biedzie. I wszystkim, co najgorsze.

W takim czasie powinnam zostać multimilionerką. Mogłabym prowadzić seminaria.

Widocznie przysnęłam przed telewizorem, bo nagle zobaczyłam jakiś amerykański program informacyjny, a nawet nie pamiętałam, żeby się skończył pokaz mody. I Jamesa nadal ani widu, ani słyhu. Zabiję go, pomyślałam. Powinien być w domu.

Wydusiłam z niego obietnicę, że pomoże mi zanieść rzeczy ..

do pralni. Zimowe narzuty i pościelówka. Nie takie znowu ciężkie, ale nieporęczne, a do pralni jest kawałek drogi.

Pierwej mnie licho porwie, niż znowu pójdę odciągać go od bilardu. Moim zdaniem, za dużo kieszonkowego sobie zostawia.

Ale nic nie poradzę, jestem wobec niego za miękka. W końcu dorastał, nawet nie pamiętając mamy. Bo i jak miałby ją zapamiętać? Nie skończył trzech miesięcy, kiedy umarła. Mimo wszystkich swoich problemów była jego matką, a każdy potrzebuje matki. Przez te wszystkie lata, nawet gdy był malutki, nigdy nie pozwalałam, żeby nazywał mnie mamą. Miał swoją mamę, ale nie ja nią byłam.

Dopilnowałam, żeby wszystko o niej wiedział – wszystko, co dobre. Nie ukrywałam prawdy, zresztą nawet gdybym próbowała, to i tak na nic by się to nie zdało, od czego są pracownicy opieki społecznej! Ale zawsze podkreślałam, że w głębi serca była dobra.

Powinnam żądać, żeby oddawał mi całą wypłatę, i z tego wyliczać mu kieszonkowe. Przecież – choć

jest na tyle dorosły, by głosować i zaciągać pożyczkę – to jeszcze dziecko; ale byłam taka uradowana, że znalazł sobie pracę i codziennie wstawał z łóżka, że bałam się przeciągać strunę.

A skoro o dzieciach mowa, gdybym miała być szczerą, to i ja sama bardzo często się czuję dzieckiem. Nie pojmuję, jakim cudem dobiłam do tego wieku. Jeśli się zastanowić, to jestem tylko dwa lata młodsza od mamy, kiedy umarła. Boże, jak ona się czuła w wieku trzydziestu sześciu lat? Czy wiedziała, że zostały jej już tylko dwa lata? Pewnie była za bardzo pijana.

Ale na zawsze pozostanie mi w pamięci jeden dzień. Jechałam autobusem O'Connell Street, przypuszczam, że musiała być dziesiąta, jedenasta. Spotkałam się z Francescą, Justine i Nicolą i teraz razem ze swoją kuratorką wracałam do jej gabinetu.

Dziewczęta właśnie przeniesiono z jednej rodziny zastępczej do dwóch: Francescę do jednej, a pozostałe dwie do drugiej.

Szczególnie przygnębiona była Nicola, na mój widok się rozplakała. Tamte dwie też się rozszlochały. Prawdziwy potop.

Nieważne, więc wracam autobusem, jak się domyślacie, nie jestem w skowronkach. Wyglądam przez szybę i, wielkie nieba! –

widzę ją. Mama. Zupełnie trzeźwa. Idzie prościutko, żadnego zataczania się. I ma na sobie jakąś garsonkę, której nigdy przedtem nie widziałam. Pamiętam, że dzień był piękny, letni. Jej włosy lśnią, błyszczą niczym krucze skrzydła. Do oczu napływają mi łzy i myślę: moja mama jest piękna. Przypatruję się innym kobietom na O'Connell Street – właśnie przejeżdżaliśmy obok sklepu Clery'ego – i powtarzam w duchu: żadna z nich, żadna z tych kobiet nie dorasta jej do pięt. I czuję się cudownie.

Kuratorka zauważa, że coś się ze mną dzieje. „Wszystko w porządku, Angelo?” – pyta.

„Tak” – odpowiadam. Nie chcę jej mówić, że widziałam mamę.

Nawet teraz nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Chyba pragnęłam zachować dla siebie doskonałość tej chwili.

Po dziś dzień nie wiem, czy rzeczywiście mama tam była, czy tylko to sobie wyobraziłam. Choćby dlatego, że nigdy więcej nie widziałam tej garsonki. A gdy parę godzin później, posiedziawszy trochę u kuratorki, wróciłam do domu, zastałam mamę w jej dyżurnych spodniach i swetrze, chwiejącą się na nogach.

„Widziałam cię na O'Connell Street – mówię jej. – Śliczna była ta garsonka, mammo, gdzie ją kupiłaś?”

Ale ona tylko na mnie patrzy. Puste spojrzenie. Nie ma takiego numeru.

E tam – pomyślałam tamtej soboty, siedząc przed Sky News, nie ma co rozwodzić się nad przeszłością. Dobra, skończyłam trzydzieści sześć lat. Wielkie rzeczy. Jakoś sobie radzimy i nie

musimy się upokarzać, żyjąc z zasiłku. A przynajmniej nie oglądam świata przez dno od butelki albo strzykawki. A mogłabym, to nie ulega wątpliwości. Nie do wiary, że udało mi się też ustrzec przed tym Jamesa, pomyślałam. Miałam prawdziwe szczęście.

Znowu zaczęło padać i nie przestało już do końca dnia. Przez zaparowane szyby nie było widać świata, a wiadro pod przeciekami w łazience prawie się napełniło. Pojawiło się jeszcze coś nowego: wilgotna plama nad zlewem, powiększająca się z minuty na minutę, tak że w pół do ósmej przypominała już niewielki kontynent.

Kolejna zabawka dla Reddy'ego na następny piątkowy wieczór

– pomyślałam, dorzucając to do listy, na której już znajdował się nie tylko przeciek ale i rozwalony palnik na kuchence. A są na niej tylko dwa palniki. Spróbujcie ugotować posiłek .

tylko na jednym! Zawsze sprawiało mi prawdziwą przyjemność zatrzymywanie Reddy'emu części czynszu, dopóki nie naprawił

usterek. A prawie zawsze coś się znalazło. Te rzeczy ładnie ustawia najbliży tydzień.

Przepadam za tym zdaniem. Zastanawiam się, jakbym się czuła, posiadając kartę American Express. (Oczywiście James pewnie by mi ją zwinął i kupił sobie harleya davidsona. Jeszcze tego mi brakowało).

Moja druga praca polegała na przebieraniu się we frymuśne ciuszki i dzisiejszej nocy miałam robić za „króliczka”, więc nie powinnam dłużej się tak obijać.

Nim zdążycie wyciągnąć pochopne wnioski, śpieszę zapewnić, że to nie takie wyuzdane, jak można by przypuszczać. Wiele bardzo przyzwoitych osób (jak ja!) ima się tego zajęcia, bo po prostu potrzebują pieniędzy.

0 ósmej byłam już prawie gotowa, zarzuciłam na kostium płaszcz przeciwdeszczowy i właśnie wkładałam do torby uszy i inne akcesoria, gdy w zamku zachrząścił jego klucz.

– Gdzie byłeś? – mówię z wyrzutem, nie panując nad sobą, choć zdaję sobie sprawę, że to najgorsze powitanie, i żałuję, ledwo słowa padły z moich ust.

A równocześnie myślę, jak zabawnie to by wyglądało z boku: kobieta w tanim przebraniu króliczka pod płaszczem przeciwdeszczowym, objeżdżająca dryblasą całego w skórce.

– Nigdzie – odpowiada, mija mnie i idzie do siebie. Kiedy tu zamieszkaliśmy, dałam mu oddzielną sypialnię.

Uważałam, że należy mu się – biorąc pod uwagę te kipiące męskie hormony itepe. Ja spałam na rozkładanej kanapie w pokoju dziennym.

Kusiło mnie, żeby ruszyć za nim, ale uznałam, że szkoda oddechu. Poczułam od niego zapach piwa. Pocieszałam się, że to niezły znak, przynajmniej nie pił nic mocniejszego. Dlatego ograniczyłam się

do ciężkiego westchnienia, zmierzenia Jamesa wściekłym wzrokiem i trzaśnięcia drzwiami.

Za to przed wyjściem zabrałam kluczyki ze stolika, na który je cisnął. Jeśli jeszcze gdzieś wyjdzie, to przynajmniej nie zabije się na motorze.

Proszę, Boże, modliłam się, idąc do pracy, żeby zasnął i spał, gdy wrócę. Miałam zabukowane tylko trzy występy, więc powinnam szybko skończyć.

## **Rozdział 2**

Trzecia fucha na początku lata – wtedy jeszcze ją miałam –

sprawiła mi największą przyjemność. Razem z moją przyjaciółką, Patsy Jennings, od paru lat dorabiałymy, śpiewając na weselach – o ile nam się trafiło (wygląda na to, że wielkie weseliska wychodzą z mody) – ale przede wszystkim w pubach.

Sobotnie przedpołudnia, tego typu rzeczy.

Patsy jest genialna. Ma naprawdę silny głos i gra na trzech instrumentach: klawiszowych, gitarze i klarncie. Choć, szczerze powiedziawszy, klarnet nie na wiele nam się przydaje. Za delikatny jak na naszych słuchaczy. Czuję się wyróżniona, że mogę z nią śpiewać, bo mój głos nie umywa się do jej, moim zdaniem, jest tylko odrobinę lepszy od przeciętnego, choć jako dziewięciolatka zajęłam drugie miejsce na Feis Maitiu.

Chyba nie powinnam się tak chwalić, ale w tym konkursie uczestniczą dzieciaki z całej stolicy, więc uważam to za prawdziwe osiągnięcie. Odbywał się on w Sali Ojca Mateusza przy Church Street (pewnie dlatego nazwali to Feis Maitiu). Jako że mieści się ona w północnej części miasta, impreza nie jest tak snobistyczna jak Feis Ceoil, ani tak wyspecjalizowana, bo Feis Ceoil to wyłącznie festiwal muzyczny, podczas gdy u nas dołączono konkurencje takie jak taniec irlandzki, krasomówstwo i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Patsy wtedy nie wystąpiła. Szczęście mi dopisało, bo wówczas zajęłabym dopiero trzecie miejsce! Zaśpiewałam piosenkę „Kitty z Coleraine”. W tamtych czasach inscenizowało się śpiewany tekst, więc zakonnice dały mi stołek i wiadro. Poza tym musiały mi pokazać, jak się doi krowę. Nie wierzyłam, że naprawdę trzeba ścisnąć wymiona palcami. Fuj!

*Piękna Kitty w cudowny ranek*

*Na targ w Coleraine niosła mleka dzbanek.*

*Na mój widok dzban wypadł jej z rąk*

*A słodka maślanka rozlała się w krąg.*

*Bo w czas zniw nieszczęścia chodzą parami, A właśnie w Coleraine rozbiła się bania z czarami.*

Wyobraźcie sobie. Ja na stołeczku, dojąca wyimaginowaną krowę do wiaderka; potem wstaję i

przewracam skopek.

Najwyraźniej nikomu nie przeszkadzało, że wszystko nam się pokręciło. Tę piosenkę powinien śpiewać chłopiec. Wieśniak. Jury nawet słowem o tym nie wspomniało.

Na tę uroczystość siostry zakręciły mi włosy na papiloty, bo, oczywiście, mama była wtedy już w takim stanie, że nawet za dychę nie potrafiłaby założyć papilota. A w tamtych czasach bez loków nie miało się cienia szansy na zwycięstwo. I bez białych skarpeteczek.

A choć zajęłam dopiero drugie miejsce, siostra Marita tak mnie wychwalała, jakbym zdobyła co najmniej Nagrodę Nobla w śpiewie. To był cudowny dzień. Zabrała mnie i drugą dziewczynkę (dostała wyróżnienie) do miasta, gdzie w barze szybkiej obsługi Wimpy jadłyśmy frytki i piłyśmy colę. Do tej pory przechowuję medal. Zwycięzca otrzymywał wygrawerowaną tabliczkę. Osobiście wolę medale. Tabliczki wydają mi się nieco wulgarne.

Patsy i ja nazwałyśmy nasz duet PA System. Domyślacie się? P

jak Patsy, A jak Angela. W swoje dobre dni, przy oświetleniu zza głowy, Patsy, jak twierdzą chłopaki, można by wziąć za Goldie Hawn. Jest smukła, jasnowłosa. „Posągowo piękna”. Znamy się od przedszkola.

Po szkole na parę lat kontakt między nami się urwał, aż nieoczekiwanie zjawiała się na pogrzebie mamy. Powiedziała, że zadzwoniła do niej jedna z zakonnice. Wiem, że ludzie wyrzekają na zakonnice, uważają je za ograniczone i zaślepione, tymczasem ja mam zgoła odmienne doświadczenia. Z jednym znaczącym wyjątkiem, o którym wkrótce.

Tamtego niedzielnego przedpołudnia, drugiego dnia mojej opowieści, PA System nie miał żadnego występu, więc mogłam krzątać się po mieszkaniu. Jest takie małe, że można je błyskawicznie oprządzić, ale czasem lubiłam się bawić w dom.

Kiedy jest naprawdę spokojnie, za oknem może padać albo świecić słońce – jak tamtego ranka – wtedy wszystko się czyści, odkurza i sprząta na błysk, tak że gdy człowiek się cofnie i popatrzy, mieszkanie niejako z nim rozmawia. Zawsze wyobrażałam sobie, że pokój puszcza do mnie oko i mówi:

„Dzięki, Ange!” Używałam nowiutkiej, żółtej ściereczki, takiej, jaką dostaje się gratis z płynem do zmywania. Przepadam za nimi, są takie mięciutki, niczym rękawiczki, które można dostać tylko w Brown Thomas’s. I ten czysty kolor. Zawsze planowałam, że gdy dorobimy się z Jamesem własnego domu, pomaluję ściany właśnie na ten kolor, bo dzięki temu zawsze będę miała słońce w środku. Nigdy więcej tapet. Nienawidzę poszarpanych tapet.

Nienawidzę chodzić do Brown Thomas’s. Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią i zastanawiają, kto mnie tu wpuścił.

Owszem, może i jest u nas wilgotno, może i są zacieki, ale za to mamy cudowny wysoki sufit. Georgiański. Dublin na całym świecie słynie z georgiańskiej zabudowy. Raz byłam w Abbey Theatre

na sztuce Seana O'Caseya „Cień bohatera” – jednym z niezaprzeczalnym pozytywów mieszkania przy Mountjoy Square jest fakt, że tuż za progiem ma się dwa najlepsze irlandzkie teatry.

Omów nie spadłam z krzesła, gdy tamtego wieczoru poszłam do Abbey Theatre i zobaczyłam scenografię. Pokój, w którym mieszkał bohater? Kropka w kropkę nasze mieszkanie. Łącznie z odłóżką tapetą.

Uważam, że te niskie sufity w nowoczesnych mieszkaniach po prostu człowieka przygniatają.

Nieważne, otóż tamtego niedzielnego przedpołudnia, jak już wam wspomniałam, z prawdziwą przyjemnością krzątałam się po mieszkaniu. Zostawiony na oparciu kanapy „Hamlet” patrzył na mnie z wyrzutem. Nie zwracałam na niego uwagi. Ten facet jest o wiele za ponury na ten czarujący poranek. Dla dopełnienia efektu nalałam świeżej wody i wrzuciłam pastylkę aspiryny do wazonu z żonkilami, które James skosił z łąków rosnących przy autostradzie, a potem postawiłam je na parapecie za firankami.

Patsy zrobiła je dla mnie na elektrycznej maszynie. Mają wplecioną połyskliwą nitkę i nie wiem, czy stało się to za jej sprawą, czy też słońca świecącego za oknem, ale kiedy wstawiłam żonkile za firanki, te zapłonęły złotem. Wyglądało to wspaniale.

Nawet w piśmie ilustrowanym byście czegoś takiego nie zobaczyli.

Ludzie wiecznie wyrzekają na władze miejskie Dublina i wszelkie organy samorządowe, ale moim zdaniem, jeśli ktoś dobrze się spisał, trzeba mu to przyznać. A oni zrobili wspaniałą robotę z tymi autostradami. Pamiętam pierwszą wiosnę, gdy zasadzono żonkile. Właśnie jechałyśmy z Patsy samochodem i nie wierzyłam własnym oczom: cztery wstęgi kwiatów ciągnące się w nieskończoność, niczym złocisty bruk.

Wieki temu, w podstawówce, omawialiśmy wiersz Wordswortha o żonkilach. Szczerze powiedziawszy, uważałam to za bezsens.

Mam też inne wspomnienia związane z żonkilami, nie takie znowu cudowne. Mogłam sobie wtedy liczyć jakieś osiem lat i właśnie dochodzimy do owej wrednej zakonnicy, siostry Concepty, jedynej jędzy w habicie, jaką w swoim życiu spotkałam. Nienawidziła mnie. Zresztą może i nie, bądźmy w porządku. Ale wtedy, jako ośmiolatka, nie wątpiłam, że mnie nienawidzi. Zawsze podlizywała się dzieciakom z zamożnych rodzin. Tak przynajmniej mi się wydawało. Większość dziewcząt mieszkała w czynszówkach, ale część pochodziła z zamożnych dzielnic, jak Glasnevin czy Fairview. Kiedy teraz o tym myślę, przypuszczam, że ich rodzice mieli socjalistyczne zapędy. To były pieszczoszki. Żałujcie, żeście nie widzieli kwiatów, jakie przynosiły w maju do kaplicy. (Podejrzewam, że podlizywanie się działało w obie strony). Reszta musiała się ratować podbieraniem kwiatów z cudzych ogrodów: michałków, lwich paszczy czy tulipanów. To było grubo przed autostradami.

Dam wam przykład jędzowatego charakteru rzeczony siostry, dotyczy on żonkili, pewnie dlatego teraz mi się przypomniła. W

wypracowaniu użyłam słowa „narcyz”. Pamiętajcie, miałam wtedy osiem lat.

– Chciałaś napisać „żonkile” – powiada siostra Concepta. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie używała wydumanych określeń tylko dlatego, że ładnie brzmią? Przestań się popisywać.

Zalewam się rumieńcem po korzonki włosów i upieram, że chodziło mi o narcyzy. Że narcyzy to inny gatunek niż żonkile.

Czytałam w książce przyrodniczej, dodaję.

Błąd.

– Jakiej książce przyrodniczej? – piłuje.

– Wypożyczonej z biblioteki, siostrze.

Teraz naprawdę wpadłam. I jestem przerażona.

– Ach, z biblioteki, tak? – ciągnie. – W takim razie, panno mądralińska, proszę ją przynieść, żebyśmy mogli to zobaczyć na własne oczy.

Oczywiście nie było żadnej książki przyrodniczej i użyłam słowa „narcyz”, bo podobało mi się jego brzmienie. Nie mam pojęcia, gdzie je usłyszałam. Skąd miałam wiedzieć, że tak naprawdę racja była po mojej stronie, bo z botanicznego punktu widzenia nasze żonkile to właściwie narcyzy? Dla mnie narcyz różnił się od żonkila jak stokrotka od mlecza. Narcyz był

delikatny, wdzięczny, z zaokrąglonymi płatkami.

Nie darowała mi. Dociskała mnie jeszcze przez następne dni.

W końcu, oczywiście, dostałam po łapach za popisywanie się i kłamstwo.

Ale najgorszy był dzień, gdy ogłosiła, że szkoła organizuje kiermasz dobroczynny na rzecz Biafry czy innego równie nieszczęsnego miejsca, już nie pamiętam, i nasza klasa przygotowuje własne stoisko. Poprosiła – patrząc na pieszczoszki

– żebyśmy przyniosły zabawki, które już nam się znudziły, albo jakieś niepotrzebne drobiazgi.

We mnie budziło to tylko pusty śmiech. Zabawki, które nam się znudziły? Rozwalone koła, obciążące metalowe kulki albo kawałki przetartych lin okrętowych, które służyły nam za skakanki. A o niepotrzebnych drobiazgach już wolę nie wspominać.

Nie rozpędzajcie się, nie było z nami aż tak źle. Przy grze szklane kulki nie umywały się do naszych metalowych.

(Koleżanka przyjaźniła się z samym McHugh, tym od rowerów, który podarował jej prawie całe wiadro niepotrzebnych łożysk kulkowych. Trzeba jej przyznać: podzieliła się z nami). A nasze skakanki z lin okrętowych wytrzymały o niebo dłużej od sklepowych śliczniutkich skakaneczek dla panienek. Zwłaszcza kiedy się skakało wokół latarni. Ale faktycznie, ręce załatwiały elegancko.

Wracając do Concepty, rzeczywiście miałam jedną śliczną zabawkę, przedmiot dumy i radości. Któraś z naszych opiekunek z pomocy społecznej podarowała mi lalkę. Nawet się nią nie bawiłam, nie śmiałam; bałam się, żeby jej nie zniszczyć.

Miała błękitną, sztywną sukienkę z organdy, a rzęsy z prawdziwych włosów. Nazwałam ją Susie i ukrywałam przed rodzeństwem. Przykro mi się do tego przyznawać, bo wygląda to na brak lojalności, ale nawet mamie nie powiedziałam, gdzie ją trzymam. Inaczej wiecie, co by się stało. W jednej chwili Susie powędrowałaby do mojego wuja i tyle bym ją widziała. Biedna mama. Lombard był jej najwierniejszym przyjacielem.

Więc kiedy siostra Concepta poprosiła o zabawki, które nam się znudziły...

Wiem, wiem... Już znacie ciąg dalszy.

Nawet nie stoczyłam żadnej walki wewnętrznej. Nawet nie musiałam sobie wyobrazić ciężkiej doli dzieci z Biafry czy innego kraju.

Nie mam pojęcia, co mnie opętało. Przypuszczam, że w głębi ducha czułam się na tyle niepewnie, że pragnęłam zyskać jej sympatię. Nieważne.

W czasie dużej pauzy pobiegłam do domu, choć pod groźbą kary śmierci nie wolno nam było opuszczać terenu szkoły.

Mieszkaliśmy ponad kilometr stamtąd, więc gdy mówię, że pobiegłam, to znaczy, że naprawdę dobrze przebierałam nogami.

Przerwa trwała tylko dwadzieścia minut.

Domu dopadłam w jakieś sześć, siedem minut, bo gdy pędziłam po schodach, z trudem chwytalam powietrze. No i, jak się sami domyślicie, musiałam trafić na przyjaciela mamy.

Mama patrzy nieprzytomnym wzrokiem, gdy wpadam do mieszkania i widzę jej przyjaciela, z równie nieprzytomnym spojrzeniem, za nią na łóżku. Nie zwracam na nich uwagi i biegnę prosto do schowka, gdzie ukryłam lalkę.

Kiedy wracałam, nawet na mnie nie zerknęli. Za to niemowlak, pewnie to była Justine, siedział na środku podłogi z wykrzywioną buzią, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. Do tego śmierdział, ale nie zdążyłam go przewinąć, więc tylko włożyłam mu do buzi smoczek i uciekłam.

W połowie drogi złapałam mnie kolka, musiałam się zatrzymać. Jakaś miła pani pyta, czy nic mi nie jest, a mnie tak brakuje tchu, że nawet nie mogę wydusić odpowiedzi. Kolka trochę ustąpiła, więc pędzę do szkoły, jakby od tego zależało moje życie. I w pewnym sensie zależało. Zawsze nas karano za spóźnienia. Nawet o pół minuty.

Udaje mi się wrócić, tak że nikt nawet nie zauważył mojej nieobecności. W tamtych czasach panowała znacznie większa swoboda, nie obawiano się porwań ani handlarzy narkotyków na szkolnych boiskach, a brama zawsze była otwarta na oścież.



Właśnie dźwięczy dzwonek kończący przerwę i wszyscy wracają do budynku. Po wejściu do klasy natychmiast podbiegam do siostry Concepty i daję jej Susie.

– Dziękuję – mówi i odwraca się, żeby napisać coś na tablicy.

Dziękuję!

Do końca dnia nie mogłam oderwać wzroku od mojej lalki, wciśniętej między ściereczkę a dzwonek na katedrze. Tak, tej samej katedrze, w której Concepta trzymała nie tylko kredę, zeszyty i tego rodzaju rzeczy, ale także swoją najlepszą różgę, pasek i torebki z naszymi robótkami (z całego serca nienawidziłam dziergania na drutach), podobnie jak papier toaletowy, o który trzeba było prosić, jeśli się wychodziło do toalety, robiąc z siebie przedstawienie. Ta katedra uosabiała wszystko, czego nienawidziłam u tej zakonnicy. I teraz siedzi tam moja biedna Susie. Więzień. Co gorsza, cały czas na mnie patrzy.

Jak mogłaś? – pyta wzrokiem.

Dziękuję.

Trudno wyrazić, jak strasznie mnie to zdruzgotało. W sumie drobiazg, w dodatku wydarzył się tyle lat temu, powinnam zapomnieć o całej sprawie, czyż nie? Tymczasem to naprawdę mnie prześladowuje. Nadal żyją we mnie wszystkie tamte uczucia, jakby to się zdarzyło dziś. Furia, żal, rozpacz i wszechogarniające poczucie niesprawiedliwości. A do tego wściekłość, że zrobiłam z siebie taką idiotkę.

Wracając do niedzielnego poranka. Nastawiłam radio. 2FM.

Jak jeszcze się przekonacie, przepadam za radiem. Kiedyś jedna ze stacji, Classic Hits – a może FM 104? – nadawała w niedzielne poranki program „Złota godzina”. Słuchałam jej, kiedy tylko mogłam, gdyż składały się na nią piosenki z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, które śpiewaliśmy z Patsy na występach. Teraz jednak wszędzie nadają listy przebojów. Nie znoszę techno ani disco. Po prostu nie trawię.

Cały czas zerkałam na drzwi sypialni. W niedzielę przed obiadem James na ogół spotyka się z kumplami w Millrace na parę kufla piwa. Jeśli PA System nie ma występu, lubię szykować niedzielny obiad z prawdziwego zdarzenia, z Bisto i groszkiem.

To mi daje poczucie, jakbyśmy stanowili normalną rodzinę.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, dokładnie za piętnaście dwunasta drzwi się otwierają. Nie odzywam się. Chcę, żeby wrócił do domu na obiad. A ostatnio jest w takim nastroju, że nie sposób przewidzieć, jak zareaguje na najprostsze odezwanie się.

Żart uzna za kpinę. Nie można na niego koso spojrzeć. Tylko szuka wymówki, żeby z hukiem wypaść z domu. A że zawsze wskakuje na motocykl, nieustannie się o niego boję.

– Się masz – odzywam się. Wiem, że stąпам po lodzie, i staram się nadać głosowi właściwy ton. Nie

za bardzo wesolutki, ani też nie za bardzo pytający, żeby James nie uznał, że wściubiam nos w nie swoje sprawy.

Mruczy coś w odpowiedzi i mimo chlubnych postanowień, wybucham. Och, jak miło, mówię. Tak, Angelo, świetnie, dzięki, że spytałaś. I cóż za piękny dzionek mamy za oknami. A co u ciebie?

Szkoda słów, gadam go ściany. Już zniknął w łazience.

Kiedy znowu się wynurza, pytam, czy coś się stało.

– Nic – odpowiada.

Mam dość rozumu, żeby go nie ciągnąć za język. Nagabując Jamesa, tracę wszelką szansę nawiązania z nim kontaktu. Pewnie wszystko przez hormony. Zdaję sobie sprawę, że powinnam okazywać wyrozumiałość.

Cóż, naiwnie sądziłam, że w wieku dziewiętnastu lat James powinien najgorsze mieć już za sobą. Ale ciągle sobie powtarzałam, że niektórzy po prostu później dojrzewają, bywało jednak, że w tamtym okresie przyłapywałam się na marzeniach o zwyczajnej rozmowie dwojga normalnych ludzi. Wiecie, żartowaniu z mojego „króliczkowania”, występów czy sprzątań (mojego głównego źródła utrzymania), albo Samant i Marków, których widziałam. A on w zamian opowiadałby zabawne zdarzenia ze swojej pracy.

Przecież w tego rodzaju zawodzie muszą się przytrafiać jakieś przygody. Nieraz widziałam grupki kurierów w obowiązkowych skórach, jak rozmawiają przy papierosie nad kanałem w pobliżu miejsca, gdzie ponoć siadywał Patrick Kavanagh. (Wedle pana Elliotta, wszyscy powinniśmy pielgrzymować do tego miejsca.

Ponoć Kavanagh właśnie tam napisał swoje najlepsze wiersze o tej okolicy i mnóstwo czasu spędzał w księgarni na Baggot Street Bridge).

Teraz James łapie przylepkę i pożera ją na sucho.

Może zjadłby jajko albo bekon? Albo chociaż płatki?

Mam z niego zejść, bo mu duszno.

Przynajmniej obiecuje, że zjawi się na obiad. Cóż, jeśli poprzestanie na heinekenie, nic złego nie powinno się wydarzyć.

Każę mu się stawić punktualnie o wpół do trzeciej. Odpowiada, że się zastanowi.

Dziwne, ale w tamtym czasie dużo się modliłam (jeśli można to nazwać modlitwą, bo nie praktykuję i wcale nie jestem pobożna.

Szczerze powiedziawszy, nawet nie za bardzo wierzę w Boga).

Ale przyłapywałam się na tym, że ciągle powtarzam w duchu:

„Boże, jeżeli tam jesteś, proszę, zachowaj go od złego...” Bardzo się obawiałam narkotyków. Nie ze względu na siebie, bo od kiedy na tyle dojrzałam, by zauważać, co się wokół mnie dzieje, ostatnie, na co miałabym ochotę, to proszek albo strzykawka. Po dziś dzień staram się unikać tabletek, nawet przy bólu zęba. Taka jest moja żelazna zasada. Ale w tym mieście nie sposób uciec od takich rzeczy, a w naszym konkretnym wypadku trzeba jeszcze się liczyć z dziedzicznością. Geny. Nie tylko mamy, założyłabym się, że ojciec Jamesa był ćpunem. Czego innego się spodziewać? Od kiedy James skończył dwanaście lat, gdy wychodził, regularnie przeszukiwałam jego sypialnię i parę razy znalazłam połamane papierosy, ale tym się nie przejmowałam. To tylko trawka. Wszyscy ją palą.

Nucę pod nosem, krzątając się przy obiedzie, gdy za dziesięć trzecia zjawia się James. Za mało spóźniony, by się go czepiać, ale też i nie na czas: pokazuje, że nie da sobą rządzić.

Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy: Boże, miej w opiece jego żonę, a potem zaczęłam się zastanawiać, jak byśmy się dogadywały. Marzenia... Już wtedy odgadłam, że się z kimś spotyka, choć” nie odważyłam się puścić pary z ust. Wskazywały na to pewne symptomy.

Pewne? Waliło po oczach! Na przykład prezerwatywy w kieszeni dzinsów. Czy prośba o kupienie dezodorantu, skoro już idę do sklepu.

Tamtej niedzieli obiad był udany – James opowiadał mi o jednym ze swoich kumpli. Facet nazywał się Ferdia, miał

samochód. Pracował w firmie komputerowej ojca. Widziałam go raz, przelotnie, i wyglądał na przyzwoitego. James powiada, że wybierają się całą paczką na południe, do Wicklow, gdzie zamieszkają w przyczepie kempingowej, którą rodzice Ferdii trzymają w pobliżu zatoki Brittas.

To wywołało wspomnienia. Byłam tam kiedyś w sierpniu.

Jedna z kuratorek zorganizowała wyjazd mamy z całą trójką i pozwoliła mi się przyłączyć. Miała nową toyotę – nową, bo niedawno kupioną – i wszyscy dość wygodnie się zmieściliśmy.

Wzięła nawet duży koc, żebyśmy mogli razem na nim siedzieć.

Tamtego dnia nad zatoką Brittas roiło się od dzieci przeskakujących przez fale, grzebiących w poszukiwaniu muszli, wznoszących piaskowe konstrukcje, które miała zalać woda.

Fascynowało mnie obserwowanie, jak woda wypełnia kanały, pełźnie niczym palce w białych rękawiczkach. Chociaż wcześniej parę razy byłam już w Dollymount, nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, bo odpływ był tak daleki, że dopiero przez lornetkę dawało się wypatrzeć wodę.

Tak, to był cudowny wyjazd. Mama we wspaniałej formie: nawet się z nami kąpała. A w drodze powrotnej siedziała z przodu, tuląc Francescę, wszyscy zachowywaliśmy się wzorowo.

Bardzo bym chciała mieszkać w takim miejscu. Jedno z moich największych marzeń to wygrana w lotto. Nie żądam fortuny, połowa by wystarczyła! Raz Patsy trafiła trójkę i dostała wypłatę.

Rzeczywiście, osiem funciaków szalenie ją zachwyciło, gdy obliczyła, że przez te lata wydała na kupony parę ładnych setek.

Osobiście bardziej się koncentruję na zdrapkach. Uważam, że tu szanse są większe. Nie zliczę, ile razy wygrałam po dwa funty, dwa razy cztery, a raz nawet osiem. Chociaż ostrzegam was, że szkoda czasu na odbieranie tych przynależnych darmowych kart.

Szkoda czasu. Tylko przedłuża się mękę. Ale przed świętami James wygrał dwadzieścia pięć.

Niezależnie od tego, co mnie spotkało i spotyka, nigdy nie przestanę wierzyć, że pewnego dnia trafię na trzy gwiazdki. Że wystąpię w „Winning Streak” i dostanę ćwierć miliona funtów.

Zauważyliście, że większość uczestników pochodzi ze wsi?

Przypuszczam, że mają więcej pieniędzy i mogą je wydawać na zdrapki. Dzięki, Wspólnota Europejska i cała reszta paczki, za dotowane rolnictwo. Pusty śmiech. Oto ja, typowa mieszcza, mogę ze swadą rozprawiać o szlamie i najlepszych silosach oraz dotacjach rządowych na hodowlę bydła. Czyż telewizja nie jest rzeczywiście kształcąca?

A tak przy okazji, gdy już się zakwalifikuję do „Winning Streak”, wyraźnie zapowiem moim kibicom, jakie hasła mogą umieszczać na transparentach. Niektóre są naprawdę głupie.

„Walcz, Deccie” – albo Joe, albo Nessa. Kretyni. Jak myślą, po co zawodnicy tu się znaleźli? Żeby nie walczyć? To co w takim razie robiliby w tym programie?

– Może pewnego dnia i nas będzie stać na przyczepę nad zatoką Brittas – mówię do Jamesa, nalewając mu sosu. – Przecież wiesz, że wygram w lotto...

– Jasne – odpowiada. – Ty i kto jeszcze?

– Poczekaj, a zobaczysz – nie ustępuję. – Może wtedy będziesz już żonaty i dzieciaty, a ja będę mogła się zająć maluchami, gdy razem z żoną wyskoczycie na trochę do pubu.

Spojrzeniem, które powaliłoby z nóg słonia, daje mi do zrozumienia, co sądzi o tym scenariuszu, więc się zamykam. Cała ja. Dać mi palec, to chwytam całą rękę.

### **Rozdział 3**

Nie śmiejcie się, ale był czas, że mnie samej groziło niebezpieczeństwo ślubu. Dopiero co skończyłam siedemnaście lat. Dziś uznano by, że to o wiele za wcześnie – zresztą słusznie –

ale czyż to nie wspaniały sposób ucieczki? Do tego dopuszczony przez prawo. Nam, kobietom, wolno się pobierać po ukończeniu czternastu lat, chłopaki muszą poczekać do szesnastu, ale może to się zmieniło. Ostatnio słyszałam, że przymierzali się do podniesienia granicy wieku dla obu płci, choć jako mało gorliwa katoliczka mogę nie być na bieżąco.

Spotkałam go w zoo, dacie wiarę? Też była niedziela, James leżał w szpitalu. To było tuż przed

śmiercią mamy i dzień wcześniej zabrano go „na obserwację”. Wiedziałam, co to oznacza. Oddadzą go do rodziny zastępczej, jak tamtą trójkę. Miał

zaledwie dwa miesiące. Zostawili go z nami niejako na próbę, żeby sprawdzić, jak mama sobie poradzi.

Ale czego się spodziewali?

W piątek w nocy, dzień przed zoo, w domu rozpętało się piekło. Mama nie chciała oddać Jamesa kuratorce, musiano wezwać policję. Darłam się na nich, żeby się wynieśli, mama też się darła, kuratorka również, podobnie jak i ten zakichany facet mamy. Groził nożem kuratorce, policjanci go obezwładnili. Istny dom wariatów.

Do tego sąsiedzi, sterczący w drzwiach i gapiący się z zapartym tchem. Założę się, że któryś z nich doniósł. Pieprzone hieny.

Przepraszam za wyrażenie, ale takie wścibstwo budzi we mnie najgorsze instynkty.

Do tej pory niedobrze mi się robi na wspomnienie tamtej nocy.

Uciekłam z domu, byle dalej od tego wszystkiego. Od nich wszystkich. A potem, gdy sobie uświadomiłam, że ich zostawiłam, omal nie umarłam z poczucia winy. Przecież któreś mogło zginąć. Kiedy ja byłam na miejscu, przynajmniej się słuchali. Nie zawsze, ale na ogół.

Całą piątkową noc krążyłam po mieście, ale udało mi się przysnąć w Irish Life Mail, jest tam mnóstwo zaułków i zdziwilibyście się, na kogo można się natknąć. Pojawili się ludzie od Świętego Szymona, opiekujący się bezdomnymi, z jedzeniem, ale się schowałam. Bałam się, że mogą na mnie donieść. Zawsze wyglądałam młodziej, niż na to wskazywała metryka.

Ale gdy następnego ranka wróciłam do domu, żeby stawić czoło burzy, nikogo nie zastałam. Naprawdę wpadłam wtedy w panikę. Bałam się iść na komisariat, a za nic w świecie nie poszłabym na Killarney Street do opieki społecznej. Jeszcze nie. Z

niepojętych do dziś przyczyn wsiadłam do autobusu numer 10 i pojechałam do zoo.

Przypuszczam, że tam czułam się bezpieczna. Nie wpadliby na to, żeby mnie szukać w ogrodzie zoologicznym. Wiedzieli, że będę głodna, więc pewnie rozglądaliby się za mną w barach szybkiej obsługi. Pamiętałam, że w zoo jest barek, a miałam przy sobie dość pieniędzy, żeby wystarczyło na bilet i jedzenie –

pracowałam wtedy w magazynie w Dunne i właśnie dostałam wypłatę.

Jednak nawet teraz myślę, że coś więcej niż przypadek skierowało mnie tamtego dnia do Phoenix Park. Przeznaczenie?

Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy zaraz po wejściu, to Tom Bennett. Wyglądał cudownie, barczysty, z gładko przylizanymi włosami na prawnika, a choć brylantyna je przyciemniła, nadal pozostały rude.

Miedziane. Kolana się pode mną ugięły. Zawsze miałam słabość do typu urody wikinga; wiecie: piegi, rudawe albo jasne gęste włosy. I bary. Takie jak Brendana Glessona albo Liama Neesona. A jeśli dochodzą do tego okulary, zwłaszcza druciaki, już po mnie. Nie pytajcie dlaczego. On nosił okulary, w czarnych oprawkach. Jak James Dean, a może to był Buddy Holly?

Towarzyszyli mu chłopak i dziewczyna, spacerowali nad stawem po lewej stronie, nie tym z flamingami, tylko ze zwykłymi łabędziami i kaczkami. Pamiętam, że tamtego dnia kręciło się też przy stawie mnóstwo rybitw. Pewnie liczyły na darmowy posiłek.

Ruszyłam za tamtymi, obserwując ich. Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Przecież całe moje życie stało do góry nogami i zdawałam sobie sprawę, że wcześniej czy później będę musiała udać się na policję albo do wydziału zdrowia i opieki społecznej, a w ostateczności na Tempie Street – choć z całego serca nienawidzę szpitali – żeby dowiedzieć się, co z Jamesem, tymczasem proszę: spędzam dzień w zoo jak normalny człowiek.

Zapomniałam nawet o głodzie, próbując odgadnąć, czy dziewczyna towarzyszy „mojemu” chłopakowi, czy też temu drugiemu. Szczerze powiedziawszy, była trochę wyzywająca: drobna blondyneczka z bardzo grubą krechą wokół oczu; nosiła koturny, przez co jej chude nogi przypominały mrówcze odnóża.

Czułabym się bardzo rozczarowana, gdyby z nią chodził.

Nie musiałam się obawiać. Drugi chłopak, jak się później dowiedziałam, imieniem Jason, pocałował ją i objął, a jako że nie wywołało to burzy, uspokoiłam się, że mój wybranek jest wolny.

Zatrzymali się przed klatką z małpami, powiedział coś do swoich towarzyszy, a potem się roześmiał. Nie prychnął

pogardliwie, jak to robią przemądrzałe typki, ale wybuchnął

serdecznym, naturalnym śmiechem, jakby mówił o małpach coś pozytywnego.

Przemknęłam obok, trzymając się metalowej poręczy, i udawałam, że czytam informację o małpach w tej klatce.

Wtedy stał się cud. Zwrócił się do mnie, pytając, czy chciałabym się do nich przyłączyć. Po prostu.

– Bo jesteś sama, prawda? – ciągnął.

Nie pamiętam swojej odpowiedzi. Potem niezliczone razy odtwarzałam w pamięci tę scenę i, Bóg mi świadkiem, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że wyrecytowałam tabliczkę mnożenia. A co najśmieszniejsze, później, gdy razem próbowaliśmy odtworzyć naszą pierwszą rozmowę, on też nie mógł sobie przypomnieć, co powiedziałam. Uznaliśmy, że to musi być miłość!

Tak czy owak, przyłączyłam się do nich i we czwórkę posililiśmy się w barku frytkami z kawą. Okazało się, że dobrze oceniłam dziewczynę. Pospolita. Za grosz manier. Obściskiwali się z Jasonem – robiąc z siebie widowisko dla dzieciaków. A gdy się nie obściskiwali, obrzucali się orzeszkami

ziemnymi. W

tamtych czasach kupowało się je w papierowych zawiniątkach.

Byłam zażenowana, Tom chyba też. Okazało się, że nie przyjaźnił się jakoś szczególnie z żadnym z nich, po prostu należeli do tej samej, licznej paczki znajomych, którzy tamtego dnia mieli się spotkać w ogrodzie zoologicznym. Pojawili się tylko oni troje. Tak więc my dwoje staraliśmy się nie zwracać na tę parę uwagi i jak najlepiej poznać wzajemnie. Miał cudowne oczy. Ciemnoniebieskie.

Strasznie się o nim rozpisałam, prawda? Chyba powinnam wrócić do tego, co się wydarzyło drugiego dnia mojej letniej opowieści, owej niedzieli.

Mimo wpadki ze wzmianką o domniemanej żonie Jamesa, obiad upłynął wyjątkowo przyjemnie. James zjadł wszystko, jagnię z ziemniakami, a na deser duszone jabłko z kremem. Nawet groszek, choć zwykle nawet go nie tknie. Co więcej, po obiedzie pomógł przy zmywaniu – sam sięgnął po ścierkę do naczyń. Tak, chyba po raz pierwszy od tygodni był miękki. Ale miałam się na bacności, gawędziłam o tym i owym, zadając podchwytliwe pytania, ale niezobowiązująco, żeby nie uznał, że wściubiam nos w nie swoje sprawy.

Ni z tego, ni z owego oświadczył, że dzisiejszy wieczór spędzi w domu. Omal nie zemdlałam. Ostatni raz James Devine spędził

sobotni albo niedzielny wieczór w domu, kiedy po wyjściu z klubu obrobili go na Harcourt Street. Wypłatę dostaje w piątki, więc jeśli ma choć parę groszy, znika. Muszę jednak przyznać, że nieźle gospodaruje kasą. Niby nie oszczędza, ale zawsze znajdzie się u niego parę funtów, gdy mi zabraknie.

Przy okazji: nazywamy się Devine. To nazwisko mamy. Ale by była zabawa, gdybyśmy odszukali naszych pięciu ojców, żądając przyznania ich nazwisk. Obecnie wydział zdrowia i opieki społecznej ma upoważnienie do prowadzenia poszukiwań naturalnych rodziców. Choć nikłe są nasze szanse. Zbierałam się, żeby jednak to kiedyś zrobić.

– Co się stało? – pytam. – Przegrałeś wszystko na koniach?

– Nie – on na to. – Po prostu jestem zmęczony tym tłumem.

Zresztą w telewizji dają dziś mecz włoskiej ligi.

Uradowana, że będę go dziś miała w domu, nawet nie protestuję, że cały wieczór przesiedzę, oglądając bandę włoskich Piłkarzy.

I wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

Znacie to uczucie, kiedy człowiek się odpręża, ukołysany do snu „fałszywym poczuciem bezpieczeństwa”? Kiedy teraz sobie to przypomnę...

Było ich dwóch i natychmiast odgadłam, co to za jedni.

Policjanta czuć na sto metrów. Może to sprawka ich pasty do butów?

– James Devine?

Za sobą słyszę cichy odgłos, wydany przez Jamesa. Nie potrafię go nazwać, ale może zwróciliście uwagę na filmach: gdy pociąg wjeżdża na stację i zatrzymuje się, towarzyszy temu dodatkowy świst powietrza. Właśnie taki dźwięk wydał z siebie James, tylko cichszy.

– A kto go szuka? – pytam. Serce kołacze mi jak szalone.

Jakbym nie wiedziała, kto go szuka.

Wchodzą do środka i oświadczają, że chcą z nim porozmawiać na osobności.

Co miałam zrobić? Jeśli człowiek wie o glinach tyle, co ja – a w środowisku, z którego pochodzę, stanowi to podstawową wiedzę – pamięta, że nie wolno podskakiwać. Przynajmniej na początku. Bo w przeciwnym razie zrobią z tobą, co zechcą.

Dlatego najlepiej zachowywać się grzecznie, póki człowiek nie zorientuje się w sytuacji.

James jest teraz blady jak trup. Pochodzę i kładę mu dłoń na ramieniu. A gdy nawet się nie skrzywił, wiem, jak musi być przerażony. Zwykle gdy się go dotknie, nawet przypadkowo, reaguje jak na kopnięcie prądem. Nie przejmuj się, uspokajam, będę w sypialni. Mierzę wzrokiem funkcjonariuszy. Nagle pokój wydaje się strasznie mały. Zauważyliście, jak gliniarz potrafi wypełnić sobą pomieszczenie?

Widząc stan Jamesa, nie jestem taka spokojna, jaką usiłuję odegrać.

Ostentacyjnie zabieram „Hamleta”. Będę blisko, podkreślam znowu mocnym głosem, ale nie za dobitnie, żeby nie sprowokować policjantów. Nic więcej nie mówię, ale mam nadzieję, że ta parka zrozumiała, że znam się na rzeczy i nie pozwolę na żadne numery. Już od dawna podejrzewam, że wybierają chłopaków w wieku Jamesa ze zwykłej złośliwości.

Potem przechodzę do sypialni i zamykam drzwi.

Chciałabym móc teraz napisać, że zza zamkniętych drzwi dobiegał tylko niewyraźny szmer albo że musiałam natężyć słuch.

To pewnie brzmiałoby bardziej książkowo. Niestety. Nie tylko łazienka, wszystkie ściany u Reddy’ego są jak z tektury. Tylko przedzielają pomieszczenia. Raz James rzucił garnkiem – coś go rozniewało, już nie pamiętam co – i wybił dziurę w ścianie.

Tapeta się rozdarła, na kuchenkę posypały się wióry. Musiałam kupić lustro, żeby zasłonić dziurę. Kiedy się będziemy wyprowadzać, niby przez roztargnienie je zostawię. Reddy będzie taki zachwycony, że trafiło mu się coś za darmo, że nawet nie zajrzy, co się za nim kryje. Inaczej pewnie by wykorzystał co do grosza pieniądze zostawione a conto ewentualnych napraw.



A drzwi wstawił najtańsze.

Doskonale słyszałam, co się dzieje obok.

Nie napiszę, co usłyszałam. Po prostu nie mogę. Za bardzo boli.

Słowa niczym mosiężne kołatki wbijały się w mój mózg i nadal tam pozostały. Nie mogę przelać ich na papier, nadać im kształtu zdań, bo bym się rozpląnęła.

Molestowanie seksualne. Posterunek policji. Tylko tyle mogę napisać. A nawet to zajęło mi dziesięć minut.

Omam nie zemdlałam, gdy to do mnie dotarło. Z całej siły ściskam „Hamleta”, aż okładka parzy. Nie wytrzymuję. Wpadam do pokoju. Co tu się dzieje?

Policjanci patrzą na mnie, jakby mnie pierwszy raz widzieli.

Ale nigdy nie zapomnę twarzy Jamesa. Nigdy. Wpatruje się we mnie, w jego trupio bladej twarzy oczy przypominają dwa kratery i wygląda, jakby znowu miał trzy latka. Tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz zaprowadziłam go do przedszkola opieki społecznej i musiałam tam zostawić. Najchętniej zatłukłabym tych gliniarzy i wzięła go w ramiona i tuliła, tuliła, nie wypuściła aż po kres naszych dni. Jak oni śmiają? Co sobie wyobrażają?

– Czy ktoś będzie łaskaw mi powiedzieć, co się tu dzieje?

Wyższy gliniarz wstaje. Mówi, że muszą zabrać Jamesa na posterunek i zadać mu parę pytań. Złożono na niego doniesienie.

– Jakie doniesienie? – pytam.

Wyjaśniają. Jakaś dziewczyna wniosła oskarżenie. O gwałt.

Właśnie tego słowa wcześniej nie mogłam napisać. I nadal Przychodzi mi to z trudem.

– James – zwracam się do niego – powiedz im. No, powiedz, że...

Milczy. Nadal patrzy na mnie tym wzrokiem istoty nie z tej ziemi, z minuty na minutę staje się młodszy. A najdziwniejsze, że wtedy po raz pierwszy zauważam jego wyprasowane dzinsy.

Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegłam? Kiedy wstał albo przy zmywaniu naczyń?

– Kto ci wyprasował spodnie? – pytam.

Nadal nie potrafi się zdobyć na odpowiedź. I wtedy do mnie dociera. To ten sam chłopiec, który jeszcze parę tygodni temu sam nie uprałby sobie skarpetek.

Wyprasowane dzinsy.

Ostatnio parę razy nocował poza domem, twierdząc, że idzie na czyjeś dwudzieste pierwsze urodziny, albo na imprezę, albo do klubu. Powinnam była poważniej potraktować prezerwatywy i dezodorant.

– Musimy już iść – odzywa się niższy gliniarz. – Przykro mi, panienko – zwraca się do mnie.

Coś we mnie pęka, jakby mnie ktoś oblał zimną wodą. Nagle zamieniam się w stal.

– Dzwonię po prawnika – oświadczam. – Ma prawo do obrońcy.

Chwała Bogu na wysokości za telewizję.

– Trzymaj się – zwracam się do Jamesa i po raz pierwszy widzę, jak mruga. Oczy mu poczerwieniały. To omal mnie nie rozbroiło, ale udaje mi się wziąć w garść. Nie rozmażę się przy tych dwóch psach.

– To wasze prawo – odzywa się pierwszy policjant. – Ale na tym etapie chcemy pani synowi zadać tylko parę pytań.

– Nie jest moim synem.

Wyglądają na nieco zaskoczonych. Może nie wyglądam aż tak młodo, jak sądziłam.

Najbardziej zostają w pamięci głupie drobiazgi, prawda? Ja z chwili jego wyprowadzenia najlepiej zapamiętałam kark i kołnierz podniesiony z jednej strony.

Oczywiście, jak na złość, telefon w pierwszej budce okazuje się uszkodzony. Nie zniszczony przez wandalę, po prostu zepsuty.

Kiedyś to było przekleństwo, prawie żaden automat nie działał, ale od kiedy wprowadzono w Dublinie karty telefoniczne, solidniejsze przewody i wyjęto szyby z budek, wandy stracili serce do zabawy. Za to nadal tłuką szyby na tych ślicznych, nowych przystankach. Dlaczego, nie pojmuję. Bo przecież chyba tak samo jak każdy obywatel nie lubią moknąć, czekając na autobus. Może nie jeżdżą autobusami. Pewnie szybciej dostają się na miejsce kradzionym samochodem.

Następny automat działa. Mózg nadal pracuje pełną parą. Jest niedziela, więc dyżuruje tylko jedna kuratorka, szkoda na nią czasu. Zawsze mają huk roboty i najpierw się zajmują nagłymi wypadkami, więc problemy takie jak mój odsuwają się na koniec kolejki. Najlepiej od razu uderzyć do właściwej osoby. Na szczęście zachowałam numer Pata McCartana, od czasu gdy pomógł wyciągnąć Jamesa z tarapatów, w które wpadł jako szesnastolatek. Nie przeszkadza mi, że oprócz prawa zajmował się również polityką. Nie należę do hipokrytów, którzy twierdzą, że ludzie nie powinni zarabiać kokosów. Jeśli są dobrzy w swoim fachu, zasługują na duże pieniądze, a – przynajmniej moim zdaniem – Pat okazał się cudowny. Załatwił Jamesowi zawieszenie. A James od tamtej pory ani razu nie nabroił.

Niestety, nie zastałam go, na szczęście kobieta, która odebrała –

pewnie żona – podała mi numer innego prawnika. Ten nazywał się Patrice Murphy. Podejrzewam, że to nieprawdziwe imię. Pewnie nazywał się Patrick i zmienił je, żeby jakoś się odróżnić od setek innych Patów Murphych.

Nie chcę się rozwodzić nad dalszym ciągiem tamtego dnia.

Trzymałam się, bo musiałam zrobić, co w mojej mocy, żeby pomóc Jamesowi. Ściągnęłam adwokata i muszę przyznać, że chyba dobrze trafiłam. Po pierwsze, natychmiast zjawił się na komisariacie, a po drugie przyjechał dobrym samochodem, czyli musiał odnieść przynajmniej minimalny sukces. Problem jednak w tym, że wyglądał na rówieśnika Jamesa. Pat McCartan przy swej młodzieńczej twarzy miał przynajmniej szpakowate włosy.

Zauważyliście, że prawnicy prawie zawsze mają młodzieńcze, gładkie twarze?

Jamesa aresztowano.

I mimo wysiłków Patrice'a Murphy'ego, Jamesa nie zwolniono i nie zostawiono pod moją opieką, ale umieszczono w celi.

Musieliśmy czekać do rana, żeby się przekonać, czy sędzia wyznaczy kaucję. Nie pamiętam tej celi, choć w końcu mnie wpuszczono. Zdaje się, że była niewielka.

Policjanci też okazali się w porządku, pozwolili mi dostarczyć Jamesowi piżamę, szczoteczkę do zębów i ten cuchnący dezodorant. No i oczywiście musiałam przynieść mu wyjściowe ubranie na rozprawę. Na szczęście w ubiegłym roku zaoszczędziłam i kupiłam mu na święta nową marynarkę.

Kiedy wreszcie Jamesa wprowadzono do rozmównicy, początkowo żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu spytał, czy nie mogłabym jutro z rana zadzwonić do niego do pracy i powiadomić, że go nie będzie. Powiedz, że zachorowałam.

Oczywiście że zadzwonię, zapewniam. Choć to nie będzie łatwe. Strasznie nas pilnują, boją się, żebyśmy czegoś nie ukradli.

A dzwonienie ze służbowego telefonu uważa się tam za kradzież.

Zresztą, nie chcę, żeby ktoś się dowiedział o moich sprawach.

Lubię tamtych ludzi, ale wolę się trzymać na dystans.

Znowu cisza.

– Niczego nie podpisuj – ostrzegam. – To jest kwestia twojego słowa przeciwko jej. A w ogóle co to za jedna...

Wbija wzrok w podłogę. Mamrocze coś.

– Co?

Powtarza głośniej: że i tak nie ma sensu się zapierać, choćby oskarżenia były fałszywe. Że to wszystko babski spisek. Że jestem żalosna. Że nie wiem, jak wygląda współczesny świat. Że teraz wystarczy tylko popatrzeć na kobietkę, a natychmiast ona i jej koleżaneczki podniosą wrzawę, że się je gwałci.

Naturalnie, nie wiem, czemu wierzyć, ale nie pora teraz się wdawać w dyskusje nad kwestiami społecznymi.

– Powiedz mi, co się wydarzyło. Własnymi słowami.

– Nie uwierzysz mi – mówi. Jest taki bezradny. Wraca tamto uczucie, gorąca fala gniewu, najchętniej gołymi rękami rozwalilibym te ściany i wyrwała go stąd i oboje polecilibyśmy do Hiszpanii, albo na drugi koniec świata, tam gdzie bezpiecznie.

– Powiedz – proszę znowu – daj mi szansę. Wbija wzrok w podłogę.

– Nie mogę – mówi.

Że też niecały metr od nas, przy drzwiach, sterczy ten cholerny policjant. Nagle James spogląda na mnie, w jego oczach widzę łzy. Nie widziałam u niego łez, od kiedy skończył siedem lat.

Wszystko się we mnie przewraca, ale przecież nie rozkleję się przy nim ani przy strażniku. Wstaję i najspokojniej, jak potrafię, obiecuję, że spotkamy się jutro w sądzie.

– Czy mogę go uściskać na do widzenia? – zwracam się do policjanta.

Potakuje.

Obchodzę stolik i obejmuję Jamesa, ale on nie wstaje. Siedzi jak szmaciana lalka. Nie, nie jak szmaciana lalka, jego ramiona i tors są kanciaste i twarde. Czuję tylko, jak w środku cały się trzęsie.

– Powiedz mi tylko jedno – szepczę, ściskając go. – To dlatego od paru tygodni byłeś w takim złym humorze? Czy spodziewałeś się, że to może na ciebie spaść?

– Nie, nie spodziewałem się – odpowiada – ale martwiłem się, dlaczego ona tak się odmieniła.

– To już coś – mówię. – Czyli nie wyssałam sobie wszystkiego z palca.

Wtedy policjant oznajmia, że musi zabrać Jamesa, i tę chwilę zaliczam do najgorszych momentów w moim życiu.

## Rozdział 4

Jeszcze tego wieczoru składa mi wizytę Patrice Murphy. Pyta o moje zasoby finansowe i czy jeśli sędzia wyznaczy kaucję, zdołam ją zapłacić. Uprzedza, że będę musiała udowodnić, że to możliwe.

Guzik zdołam. Chyba żebym obrabowała bank.

A czy mam rachunek bankowy albo coś w tym rodzaju, żeby przekonać bank o swojej wiarygodności, w razie gdyby James opuścił kraj? I czy znam dwie osoby, które niezależnie udzielą poręczenia? Zwykle kaucja wynosi dziesięć tysięcy.

Dziesięć tysięcy? Nie wierzę własnym uszom. Taka suma przekracza moje możliwości pojmowania. Dla mnie to niewyobrażalne pieniądze.

– Zapewniam pana, James nie opuści kraju – mówię, ale głosik mam słabutki. – Zresztą nawet nie wyrobił sobie paszportu.

Patrice Murphy patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Nie zapominajmy o Anglii – mówi bardzo cicho.

– Nie ucieknie do Anglii. Może pan być spokojny.

– Ma pani jakiegokolwiek oszczędności, rachunek? Może kosztowności?

Mówię mu o obligacjach. Jak wspominałam, odkładałam pieniądze, zamieniając je na obligacje, bo uważam to za najbezpieczniejsze. Zebrało się tego parę tysięcy, dokładniej dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt. Ale gdzież temu do wysokości kaucji...

– Naprawdę, nie zna pani nikogo? Nie ma rachunku bankowego? A może zwróciłaby się pani do kierownika? Albo przyjaciół? Pracodawców?

Kręcę głową. Pracodawcy? Jedyne szansa to właścicielka delikatesów, jednak raczej bym na to nie liczyła.

Wtedy przypominam sobie o Patsy, ale natychmiast odrzucam tę myśl. Patsy to cudowna przyjaciółka, ale za nic nie zwróciłabym się do niej o pieniądze. Po pierwsze, nieustannie się rozwodzi, jak to firma Martina rozkwita, choć równocześnie wiecznie brakuje im grosza, wszystko idzie na dzieci.

A nawet gdyby nie narzekała, nigdy bym nie zaciągała wobec niej żadnych zobowiązań. Prawdziwa klęska.

– Ile mamy czasu? – pytam Patrice'a Murphy'ego. Zaciska usta, jakby chciał wyglądać na mędrca.

– Jeśli chcemy wyciągnąć Jamesa po przesłuchaniu, musi nam się udać przekonać sędziego już jutro. Niech pani przyniesie do sądu te obligacje. A jakieś cenne przedmioty? Bizuteria? –

Rozgląda się po mieszkaniu. Potem patrzy na mnie. Jego mina mówi sama za siebie.

Myślę. W pamięci przeliczam swoje skromne zasoby.

– A jeszcze tysiąc? – podsuwam. – Tysiąc dwieście?

– Cóż, to by w sumie dawało cztery – powiada. – Zobaczymy.

Spróbuję pogadać z drugą stroną. Niech pani jutro to wszystko ze sobą weźmie, dobrze?

Nadal przybiera miny mędrca, ale jego chłodne zdecydowanie robi na mnie wrażenie. Najwyraźniej facet zna się na rzeczy.

Odprowadzam go do drzwi. Siadam, żeby zaczerpnąć oddechu.

Zaczynam się nad sobą użalać, dlaczego to zawsze my, co teraz poczniemy, i tak dalej...

Przylapuję się na tym. Jestem na siebie wściekła. Roztkliwianie się nad sobą to chyba jedno z najbardziej destrukcyjnych uczuć.

Dobra, ucinam żale i wstaję. Zamknij się. Przestań skamleć.

James nie umarł. Nie ma raka. Nie ćpa, po prostu znalazł się w opałach. A na razie to tylko oskarżenie, nie wyrok. Spójrz na to z jaśniejszej strony. Może się okaże, że to pomyłka, która w ciągu dziesięciu minut się wyjaśni. Trafił nam się świetny prawnik, a –

kto wie – może jutro trafi nam się równie świetny sędzia, który uwierzy w moje zapewnienie, że James stawia się na rozprawę.

I czas pracuje na naszą korzyść, co też należy zapisać po stronie plusów. Lombard Carthy'ego przy Marlborough Street.

otwierają już o wpół do dziewiątej, sprawę Jamesa przewidziano zaś dopiero o wpół do dziesiątej. Na szczęście rano kończę pracę o dziewiątej. Wystarczy mi czasu. Na styk.

W myślach błyskawicznie przeglądam, co by się dało zastawić.

Motocykl Jamesa kupiliśmy na raty i spłaciliśmy dopiero sześć, zresztą to jego narzędzie pracy. Telewizor stanowi wyposażenie mieszkania, czyli te dwie rzeczy odpadają.

Dalej już nie jest tak źle. Magnetowid i mikrofalówka spłacone, tak samo elektryczny pseudokominek. Wszystko te rzeczy należą do nas i możemy się bez nich obejść. Kalkuluję na chłodno, sporządzam listę według wartości. Na pierwszym miejscu biżuteria i magnetowid – za nie najwięcej dostanę. Potem kominek

– na szczęście mamy lato.

Dzięki Bogu, że przez te wszystkie lata nie uległam pokusie i nie sprzedałam drobiazgów mamy. Pewnie przemawiał przeze mnie sentymentalizm, bo Bóg jeden wie, że nieraz mnie i Jamesowi te pieniądze bardzo by się przydały. Niektóre rzeczy wydają mi się całkiem wartościowe, zwłaszcza wiktoriańska broszka na okres żałoby, łańcuszek z białego złota i sygnet. Jest też i srebrna łyżeczka, pamiątka chrztu.

Z jedną rzeczą rozstałabym się tylko w ostateczności: malutką markazytową broszką w kształcie pawia. Zawsze ją noszę, przepinam z jednego zakietu na drugi. Mama kiedyś powiedziała, że ten

markazyt to łupinki brylantów i oczywiście uwierzyłam, póki pewnego dnia nie sprawdziłam w słowniku i nie odkryłam prawdy. Nigdy jednak jej się nie przyznałam, gdyż uważała broszkę za swój najcenniejszy skarb i zawsze powtarzała, że przeznaczona jest dla mnie i mam jej pilnować.

Nie obchodzi mnie, czy broszka przedstawia jakąś wartość. Dla niej to były brylanty.

Zresztą, muszę zachować coś, co do niej należało, prawda? W

razie gdyby nie udało mi się wykupić pozostałej biżuterii...

Czyż to nie dziwne, jak w naszym życiu nieustannie jakieś koła zataczają krąg? Po pierwsze, Carthy to lombard, z którego korzystała mama. Wydeptałam do niego ścieżkę. A po drugie, nigdy nie nosiłam jej biżuterii, tylko tę jedną broszkę, reszta po prostu jakoś do mnie nie pasowała. Teraz już rozumiem dlaczego.

To przeznaczenie. Miałam zachować te drobiazgi. W niepojęty sposób mama je dla mnie zachowała na chwilę, gdy będą potrzebne, żeby pomóc Jamesowi.

To potwierdza, że na swój sposób nadal się o nas troszczy.

Na pewno się zastanawiacie, skąd wzięła taką biżuterię.

Musicie wiedzieć, że mama pochodziła z zamożnej rodziny, mieszkającej w Birr, w hrabstwie Offaly. Wiercie, albo nie: była protestantką. Oczywiście, nigdy nie praktykowała. Bo i gdzie, jeśli się mieszka w czynszówkach? Nawet gdyby chciała – albo gdyby ją dopuścili, co oczywiście mało prawdopodobne. Podejrzewam, że ochrzciła nas w Kościele katolickim, bo tak po prostu było łatwiej. Dzięki temu mogła liczyć, że ktoś się nami zajmie, no i miała do wyboru więcej szkół.

Jedno jej muszę przyznać: mimo wszystkich swoich wad nigdy nie zastawiła biżuterii. Ani razu. (A wiedziałabym, bo to mnie zawsze wysyłała do lombardu).

Ukrywała ją nawet przed wszystkimi swoimi tak zwanymi przyjaciółmi. Podejrzewam, że w głębi ducha uważała, iż zatrzymując odrobinę dobrej biżuterii, zachowa też resztki godności. A pokusa musiała być olbrzymia, zwłaszcza w gorszych chwilach, gdy z jękiem błagała o wyzwolenie. I jak tu jej nie podziwiać?

A teraz ja zastawiam jej skarby.

W końcu, uspokajałam się tamtej niedzieli, nie zostaną tam na zawsze. A przy odrobinie szczęścia może nie będę musiała zastawiać sprzętu. Podobnie jak ona, pragnęłam zachować pewien poziom.

Pewnie dlatego, że wywodziła się z protestanckiego środowiska, znała wiele oryginalnych pieśni. Miała bardzo ładny głos – pewnie po niej go odziedziczyłam. Był taki okres, właśnie wróciła z odwyku i przez parę tygodni się trzymała – cudowne tygodnie, wtedy jeszcze nie zabrali Nicoli, naszej najmłodszej – że nauczyła mnie tych pieśni. „Boże, nie opuszczaj mnie”. Zdaje się, że to śpiewali, gdy tonął Titanic.

A może „Bliżej Ciebie, o Boże”? Oglądałam niedawno w telewizji „SOS Titanic”. Prawda, że cudowny film?

Nieważne, – uczyła mnie tych pieśni i pamiętam, że trzymała wtedy na kolanach Nicole, karmiąc ją jak prawdziwa matka. Och, to było fantastyczne. Do dziś pamiętam słowa, co do jednego.

Ale najbardziej lubiłam „O gwiazdko świetlista”. W dobre dni recytowała mi ją, kładąc mnie spać. „O gwiazdko świetlista, gwiazdko daleka, jutrzeńko, którą widzę na niebie. Powiedz mi, powiedz, co mnie czeka, spełnij to, co wymarzyłam dla siebie”.

Potem całowała mnie w czoło. Samo myślenie o tym za bardzo boli.

Dziwne, że człowiek pamięta rzeczy, których się nauczył w dzieciństwie. Pamiętam nawet pierwszy wiersz cholernych żonkili. I „Staruszkę przy drodze”. Choć wiersz opisywał biedną, bezdomną staruszkę, bez trudu wyobrażałam sobie siebie na jej miejscu. I wiecie, że gdy w chwilach rozmarzenia wyobrażam sobie nasz przyszły dom, zawsze widzę mały domek ze stołkiem i całą resztą, zupełnie jak ona.

*Ach, mieć domek swój mały,*

*a w nim ciepły piec i własny kąt.*

*Przy nim drwa i torf równiutko by leżały, i ciepło promieniowałyby stąd...*

I tak dalej. W mojej wyobraźni zawsze wokół tego domku hu lał wiatr, a w moje przytulne szybki w oknach siekł deszcz.

Oczywiście, nigdy nie zbieraliśmy drew ani torfu, ale siostra –

bynajmniej nie Concepta, śpieszę dodać – opisała nam, jak wygląda torf, i widziałam go oczami wyobraźni. Wyjaśniła, że ma cierpki zapach i napisała to słowo na tablicy. Przez następne dni szukałam każdej okazji, by wtrącić do zdania ten rzeczownik.

*Cały dzień bym w nim spędzała,*

*sprzątając, czyszcząc, aż miotła by śmigła...*

Przez ten wiersz nawet zaczęłam zamiatać nasze mieszkanie.

(To dopiero było, żałujcie, że go nie widzieliście!) Przed jakąś bramą znalazłam zużytą miotłę i udawałam, że ma włosie.

Wyobraźnia naprawdę czyni cuda, nie sądzicie?

Wróćmy jednak do biżuterii. Łańcuszek i żałobna broszka należały jeszcze do babki mamy. Czyli liczyły ponad sto lat.



Na nieszczęście gałąź rodziny z Birr w hrabstwie Offaly nie przyznaje się do gałęzi dublińskiej, więc nawet gdyby zatrzymali mnie na środku ulicy, nie wiedziałabym, z kim mam do czynienia.

W sumie nie winię ich, że się nas wyparli. Ale i tak to musiało być trudne. Wiem, że mama starała się, jak mogła.

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego nie oddano mnie do rodziny zastępczej, jak to się stało z resztą.

Bo nigdzie nie chciałam zostać, oto cały sekret. Za każdym razem urządzałam piekło i wracałam do mamy. Zresztą początkowo nie było tak źle i ciągle dawali jej szansę. Więc można powiedzieć, że niejako przemknęłam się przez sito.

A poza tym nikt nie mógł jej zarzucić, że kiedykolwiek zrobiła mi krzywdę. Zabiłabym takiego oszczercę. Nigdy, przenigdy żadnego z nas nie skrzywdziła. Zgodzę się na zaniedbanie, pod pewnymi względami nas zaniedbywała, ale robiła, co mogła. A już w swoich lepszych chwilach na pewno bardzo się starała.

Początkowo zresztą też i jej przyjaciele nie byli najgorsi.

Pamiętam jednego – Francesca prawie na pewno jest jego córką, bo on najdłużej z nami mieszkał. Jakies trzy lata. A Francesca właśnie wtedy się urodziła. Facet – nazywał się Joey – pochodził z Kerry czy okolic i nieźle się z nim mieszkało. Nawet kupował

nam ubrania. Problem jednak polegał na tym, że nieustannie znikał na całe tygodnie. A po powrocie zastawał innego i urządził

potworną awanturę, więc znowu pojawiali się ludzie z opieki społecznej i odstawiano mnie do mojej rodziny zastępczej, po czym następnego dnia uciekałam.

Tu muszę podkreślić, że nie należy winić moich przybranych rodziców. Nie podam ich nazwiska, bo nie wiem, czy życzą sobie, by jeszcze nas z nimi łączyć. Okazywali mi serdeczność, mieli ładny dom: słodki i ciepły. Uwielbiałam brać prawdziwą kąpiel.

Za to z całego serca nienawidziłam ich prawdziwych dzieci. I wiem, że one mnie nienawidziły. Ilekroć się zjawiałam, zawsze zadzierały nosa. Oczywiście za plecami mamusi i taty.

A poza tym nie mogłam przywyknąć, że po domu krąży ojciec i się szarogęsi.

Ciągle sobie obiecuję, że jeszcze raz spróbuję odnowić kontakty z Francesca, ale po prostu nie mogę się na to zdobyć.

Przez jakiś czas rzeczywiście się starałam, regularnie pisałam, ona jednak nieustannie mnie odtrącała, aż wreszcie straciłam serce.

Wiem, że mieszka gdzieś w Anglii, bo utrzymała więź ze swoją zastępczą rodziną i parę lat temu matka wspomniała, że nadal tam przebywa. Nie chciała mi podać ostatniego adresu, uznała, że to musi wyjść od samej Franceski.

W zasadzie ją rozumiem, zaczęła nowe życie i chciała całkowicie zerwać z dawnym światem. My wszyscy stanowilibyśmy bolesne przypomnienie tego, od czego uciekła.

Teraz już zbliża się do trzydziestki, może nawet wyszła za mąż, a ja zostałam ciocią.

Justine i Nicola zawsze trzymały się razem. Są w Australii, a choć mam ich adres i regularnie wysyłam kartki urodzinowe, dostaję tylko życzenia bożonarodzeniowe od Nicoli i raz na jakiś czas, nieoczekiwanie, pocztówki od Justine. Zawszeć to już coś.

Żadna nie wyszła za mąż, ale Nicola ostatnio wspominała coś o chłopaku. Czyż to nie okropne, że ludzie tej samej krwi – a przynajmniej w połowie tej samej – tak łatwo tracą ze sobą łączność?

Kiedyś wybiorę się do Australii. Dziewczeta jeszcze mnie nie zaprosiły, ale na pewno by się ucieszyły. Nieustannie snuję w duchu marzenie o moich pięćdziesiątych urodzinach: wtedy powinnam już zgromadzić trochę grosza i moglibyśmy zebrać się w piątkę, prawdziwe rodzinne spotkanie. Śnij dalej. Ange!

Tamtej niedzielnej nocy czułam się bardzo samotna bez Jamesa. Na zewnątrz panował wyjątkowy spokój, prawie żadnych samochodów, wiatr przynosił tylko kuranty zegara Easona na O'Connell Street. Ta noc zupełnie się różniła od tych, gdy James znikał na imprezy. Bo tym razem wiedziałam, gdzie jest, mogłam go sobie wyobrazić, bez przerwy widziałam tę bladą twarz i olbrzymie oczy, zastanawiałam się, czy śpi. Wątpiłam. W

gazetach wiecznie się rozpisują, jak okropne są cele aresztu i że dzieciaki wiecznie tam popełniają samobójstwa. Samo wyobrażanie sobie celi budziło ciarki. Graffiti. Beton. Materac twardy jak kamień. Kibel w kącie. Bez muszli i klapy. Smród.

Obrazy stawały się coraz gorsze. Nie mogłam się doczekać piątej, kiedy nadejdzie pora, by wstać.

Nie należę do introwertyków, ale myślenie o Jamesie wywołało wspomnienia także z mojego życia. I co najdziwniejsze, bardzo dużo myślałam wtedy o Tomie Bennecie. Teraz widzę, że właściwie od początku nie mieliśmy szans na małżeństwo. Ale, jak już chyba wcześniej pisałam, w pewnym momencie byłam tego bardzo bliska. Uważałam, że pani Angela Bennett brzmi wspaniale.

Tamtego dnia, gdy się poznaliśmy w zoo, po powrocie nikogo nie zastałam w domu. Musiałam chodzić po sąsiadach i pytać. To było straszne, widziałam ich uśmieški i wścibskie oczka. Nie posiadali się z szczęścia, że wreszcie udało im się pozbyć tych okropnych Devine'ów. Oczywiście, nikt mi tego nie powiedział, ale ich fałszywe współczucie i to świergotanie: Ach, gdzie się 5 podziewałaś, kochanie, wszyscy cię szukaliśmy” – wystarczyło.

Czytałam prawdę z ich spojrzeń. Nie mogli się doczekać, kiedy się nas pozbędą. Jakbyśmy byli jedyną dysfunkcyjną rodziną w okolicy.

Dłużej tego nie mogłam odwlekać. Musiałam pójść na Tempie Street i spytać o Jamesa. Dla dodania sobie otuchy, cały czas myślałam o czymś przyjemnym: na środe umówiłam się z Tomem Bennetem do kina. Na ogół brał nocne zmiany – pracował w fabryce Cadbury'ego – ale za to dostawał środy i

piątki wolne.

W szpitalu przyzwyczajono mnie potraktowano. Przypuszczam, że przywykli do takich sytuacji.

Jamesa jednak już nie było. Przeniesiono go do nowej rodziny, gdzieś na Navan Road. Pielęgniarki zabroniono podać adres, ale była sympatyczna. Pewnie widziała, jak mnie to zabolowało.

Oczywiście wtedy już znałam całą procedurę. Nowa rodzina zaopiekuje się nim czasowo, póki nie trafi do właściwego domu.

Coś we mnie pękło. Po moim trupie. Jestem na tyle dorosła, by sama się nim zaopiekować – fakt, nie ja go urodziłam, ale nabrałam sporo wprawy w opiekowaniu się dziećmi. Miałam siedemnaście lat. A wystarczyło skończyć szesnaście, żeby nie podlegać przepisom o adopcji. Prawo uważało mnie za odpowiedzialną, dorosłą osobę. Znałam punkty ustawy o dzieciach z 1908 roku. James to mój brat. Chciałam się nim zajmować i koniec dyskusji.

A poza tym dzięki temu znalazłam sposób, żeby nie myśleć, gdzie się podziewa mama i co się z nią dzieje. Dlatego walczyłam, póki nie udało mi się przekonać władz, że Jamesowi lepiej będzie zemną niż wśród obcych. Miałam wtedy cudowną opiekunkę.

(Potem przeniosła się do Irlandii Północnej. Bardzo mi jej brakowało. To ta sama, która zawiozła nas nad zatokę Brittas i pamiętała o kocu). Bez końca powtarzała, że muszę wieść własne życie i przestać się zamartwiać o pozostałych, ale gdy się przekonała, że nie ustąpię, stanęła po mojej stronie i namówiła szefostwo, żeby dano mi szansę.

Wyciągnęła Jamesa z tymczasowej rodziny zastępczej i pozwolono mi się nim zajmować. Na próbę. Tego samego wieczoru byłam umówiona z Tomem Bennettem, więc nawet posiedziała z Jamesem, żebym mogła pójść wyjaśnić Tomowi, dlaczego dziś z nim nie pójde do kina. Założę się, że było to niezgodne z przepisami wydziału zdrowia. Właśnie na tym polegała cudowność tej opiekunki. Potrafiła zapomnieć o regulaminach. Zdaję sobie sprawę, że muszą istnieć przepisy, bo inaczej dopiero by się ugotowali. Ale ja byłam w porządku i ona o tym wiedziała. Ufała mi.

Pędzę pod Eason na spotkanie z Tomem Bennettem. Mam strasznego pietra. Nie winiłabym go, gdyby dał nogę. W końcu kto by chciał się umawiać z dziewczyną z dwumiesięcznym niemowlakiem? Zwłaszcza tutaj: nie zapominajcie, że rzecz działa się dziewiętnaście lat temu.

Jest, już czeka – i wygląda cudownie: kurtka z pseudokrokodyla, czarna koszulka polo i niezwykle obcisłe dzinsy. Nie ma okularów. Używa szkieł kontaktowych, bo gra w piłkę. Nie wątpicie chyba, jak mi pochlebia, że na spotkanie ze mną zakłada szkła kontaktowe. (Choć, jak już wam wspomniałam, przepadam za facetami w okularach).

Doskonale przyjmuje wiadomość, naprawdę świetnie. (Nigdy, także i po rozstaniu, go nie winiłam. To niczyja wina, że mnie i Tomowi Bennettowi nie wyszło).

Wszystko mu wyjaśniam. No, może nie do końca wszystko.

Nie wspominam, że mama ze swoim przyjacielem znowu gdzieś zniknęli, ani o trójce rodzeństwa w rodzinach zastępczych. Po prostu mówię, że ze względu na nieprzewidziane okoliczności muszę przez jakiś czas zajmować się Jamesem. Tego wieczoru strasznie wieje, wiatr nieustannie zarzuca mi włosy na twarz, więc w czasie rozmowy z Tomem cały czas muszę je przytrzymywać.

Straszna chwila nadchodzi, gdy kończę, a on milczy. Wiatr przywiewa jakiś śmieć, który przyczepia mu się do nogawki.

Schyła się i go odrzuca.

Nawet czubek głowy ma śliczny.

– Nie przejmuj się – mówi. – Spotkamy się innym razem. –

Potem dodaje, że rozumie moją sytuację. Ze sam jest najmłodszy z dwunastki rodzeństwa, a choć jego matka jeszcze żyje, jest ich tyle, że i jego w dzieciństwie musiała pilnować któraś z sióstr.

(Już wcześniej się dowiedziałam, że mieszka w Finglas.

Rzeczywiście, jest tam mnóstwo licznych rodzin).

– Więc – zbieram się odwagę – kiedy się spotkamy?

Wóz albo przewóz. Nie mogę owijać w bawełnę, nie mam czasu.

Nie wycofuje się, jakby to zrobiła większość chłopaków; nie mówi: to na razie, albo: skontaktuję się z tobą. Nie, ustala konkretny termin na następny tydzień. A gdy pyta, czy znalazłabym chwilę na szybką kawę, już wiem, że jestem w domu.

Jasne, odpowiadam, choć obiecałam opiekunce, że wrócę za pół godziny.

Idziemy do najbliższego baru, nie pamiętam, czy to było u Cafolli, Forte'a czy Wimpy'ego. A jeśli chodzi o samą kawę...

Równie dobrze mogłam pić herbatę, bo nie pamiętam.

Kolejny plus. Jego maniery. Najpierw znajduje dla mnie miejsce, a potem podchodzi do kontuaru.

Wraca z dwoma kubkami, siada i uśmiecha się do mnie. Zalewa mnie żar, mam wrażenie, jakbym weszła do ciepłej wody.

Rozmawiamy. Zwykle to ja miałam ozorem, ale tym razem okazuje się, że właściwie nie muszę mówić (nawet gdybym mogła!) Nie zadaje pytań o moją rodzinę i, moim zdaniem, jest bardzo taktowny. Za to szeroko opowiada o swojej rodzinie i pracy w fabryce Cadbury'ego – tyle się napatrzył na czekoladę, że do końca życia nie zje ani kawałeczka.

– Ty też byś nie wzięła do ust – ciągnie – gdybyś wiedziała, jak to wygląda. Olbrzymie, brązowe

sadzawki. Domyślasz się, co to przypomina.

– Możesz mnie wypróbować – kuszę. – Zawsze lubiłam łąkocie.

To nieprawda, ale daję wam próbkę mojego zachowania z tamtego dnia.

Potem całuje mnie na do widzenia, otwarcie, na środku O'Connell Street. Żadnego obściskiwania, pełen szacunku pocałunek na pożegnanie.

Tego wieczoru, gdy już zostałam sama, a James zasnął, wróżę z liter. (Nie wiem, czy to tylko dublińska zabawa, wątpię). Znacze ją? Pisze się jego imię, a pod nim swoje. Potem skreśla się litery, które powtarzają się w obu imionach i liczy się to, co zostało.

„Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje, w myśli, w mowie, w sercu, na ślubnym kobiercu”

U niego wyszło „żartuje”, u mnie „kocha”. Przyznacie, że nienadzwyczajnie. Najwyżej szybki numer i nic poza tym. Więc powtórzyłam eksperyment, tym razem pisząc „Thomas Bennett” i

„Angela Devine”. Znacznie, znacznie lepiej. Strzał prawie w dziesiątkę (bo dziesiątką byłoby u nas obojga „na ślubnym kobiercu”).

Wyobrażacie sobie? U mnie wyszło „kocha”, a u niego „na ślubnym kobiercu”.

Trochę oszukiwałam, bo powinno się podać imię, którego dana osoba używa, ale w końcu Tom naprawdę nazywa się Tanecznym krokiem frunę do łóżka. Pół metra nad ziemią, jakbym dostała skrzydeł.

## **Rozdział 5**

Kiedy wróciłam do domu, James był rozkoszny, cały w uśmiechach. Opiekunka kupiła lody dla uczczenia naszego powrotu do domu, podarowała mi nawet torbę prawie nie używanych ciuszków. Wyjaśniła też, jakie mnie – a właściwie Jamesowi – przysługują prawa, choć nie musiała sobie tym zawracać głowy. Znałam je na wrywki, jak każdy w naszej okolicy.

Oczywiście słuchałam, żeby nie wyjść na gbura. Opłaciło się.

Bo o jednym przywileju nie wiedziałam: możemy wystąpić o zapomogę na zakup głębokiego wózka albo spacerówki. Teraz wszystkie matki paradują z wielofunkcyjnymi wózkami Lolitek.

Piętnasto, szesnastolatki (dlatego nazywamy je Lolitkami) dumne jak paw spacerują parami po Henry Street, popychając wózki, których nie powstydziliby się milioner. Ale w tamtych czasach takie wózki były jeszcze w powijakach. Cha, cha!

Biedna mama, akurat to uprawnienie by jej się przydało. Gdyby miała wózek, może przynajmniej dałoby jej to jakieś zajęcie.

Rozumiecie, wyjść z małym na spacer nad rzekę albo do miasta.

Podejrzewam jednak, że bali jej się dać wózek, bo natychmiast trafiłyby do lombardu.

Kiedyś spytałam ją, jak znalazła się w Dublinie i dlaczego nie została z rodziną w Birr. Odparła, że wyjaśni mi, gdy dorosnę.

Oczywiście, nie doszło do tego, zmarła, nim zdążyłam ponownie zapytać.

Ale nie warto zatrzymywać się nad przeszłością i dumać, co by było, gdyby. Uważam, że należy patrzeć w przyszłość.

I miałam pewną przewagę. Na przykład zawsze wiedziałam, że jeślibym naprawdę chciała odnaleźć ojca, jestem w o niebo lepszej pozycji niż reszta rodzeństwa. Ich ojcowie pojawiali się i znikali –

typki, których imion nawet nie znaliśmy i którzy zapewne skończyli w kostnicy.

Lecz nie mój. Mama kiedyś wyznała, że nie zostałam poczęta w Dublinie, tylko przyszłam w nim na świat.

A w okresach lepszego samopoczucia i nastroju wymykały jej się różne słodkie drobiazgi: na przykład przekomarzała się ze mną, że jestem po trosze wieśniaczką. Albo ostrzegła, żebym miała się na baczności przed chłopcami z sąsiedztwa. Wydają się tacy mili, powiadała, tymczasem są jak trucizna. I na jej twarzy pojawiał się smutek.

Takich wzmianek zebrało się na tyle dużo, że gdy je uporządkowałam, wyszło na to, że poszukiwania ojca powinna bym zacząć od Birr w hrabstwie Offaly.

Oczywiście, nie miałam całkowitej pewności, najwyżej dziewięćdziesięćdziesięcioprocentową.

Jedno nie ulega wątpliwości. Z całą pewnością szukałabym blondyna, gdyż jedyna z całej piątki mam jasne włosy. Mama była brunetką – wspominałam wam już o tym? Może ze względu na ojca ciągnie mnie do typu urody wikinga. Co nie zmienia faktu, że zawsze, gdy sobie wyobrażałam spotkanie z ojcem, na powitanie zamierzałam mu porządnie przywalić.

Potem uświadamiałam sobie, że to niekoniecznie musiała być jego wina. Może był bardzo młody. Może wcale o mnie nie wiedział. Kiedy się urodziłam, mama miała zaledwie dziewiętnaście lat, tyle samo co teraz James. Mój ojciec mógł

liczyć sobie wtedy tylko siedemnaście, może nawet szesnaście lat

– tak przynajmniej go usprawiedliwiałam w bardziej wyrozumiałym nastroju. Nie wiem czemu, ale zawsze wyobrażałam go sobie na łące. Wśród krów, stokrotek, jaskrów i radośnie świergoczących nad głową skowronków – jak Emmę Thompson w „Rozważnej i romantycznej”. Gdybym się kiedyś wybrała do Birr w hrabstwie Offaly, to naprawdę będzie się musiało starać, żeby dorównać moim malowniczym wyobrażeniom o nim.

Tu dodajmy jednak, że nie znoszę „Ody do skowronka” Percy’ego Bysshe Shelleya.

Tamtej sobotniej nocy, gdy leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie Jamesa w tej okropnej, ciasnej celi, uświadomiłam sobie, ile mi się zwała na głowę przez tę sprawę w sądzie. Postanowiłam więc odpuścić egzamin z irlandzkiego. Zawsze przecież mam przed sobą kolejny rok.

Przyniosło mi to prawdziwą ulgę. Irlandzki jest za trudny. Na egzaminie napisałam tylko swoje nazwisko. Tylko nazwisko po irlandzku i nic poza tym.

Z innymi przedmiotami przynajmniej próbowałam. Ale wtedy nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wyrwę się ze szkoły –

wedle prawa obowiązek szkolny trwa do ukończenia piętnastego roku życia, tak że po prostu przeczekiwałam. Mama była wtedy w fatalnym stanie, więc miałam znacznie poważniejsze sprawy na głowie niż historia czy geografia. A już na pewno niż irlandzki.

Za dużo tych akcentów, na przykład Devine po irlandzku to Ni Dhaibhin. Sądzę, że poprzez akcenty starają się nadać irlandzkiemu niepowtarzalny charakter. Podejrzewam, że ci Gaeilgeori to jakieś tajny związek w rodzaju masonów, a ich charakterystycznym znakiem jest to, że wszyscy noszą swetry.

Może jestem przeczulona, ale czy zauważyliście, że oni w dodatku mają się za komików? Eibhear Ó Suilleabhain, nasz profesor, zawsze żartował sobie z mojego imienia. Angela Devine.

Wymawia się jak Divine. A od Angeli do Angel też niedaleko.

Łapiecie? Anioł Boży.\* [ *Angel* to po angielsku „anioł”, *divine* –

boski, boży.]Może w moim imieniu przejawiało się poczucie humoru mamy?

Ale byłam wściekła, że dopiero jakiś facet w swetrze mi to uświadomił. Przecież nie jestem aż tak głupia.

Bimbam, bimbam, bimbam... Znowu zegar Easona na O'Connell. Tamtego poniedziałkowego ranka sądziłam, że świt nigdy nie nadejdzie, a gdy już zadzwonił budzik, bałam się tego, co mnie czeka.

James zachorował i nie przyjdzie dziś do pracy. Oglądam się przez ramię, trzymam słuchawkę tuż przy ustach. Dzięki Bogu, że firma Jamesa to ranne ptaszki. Jest siódma. Stoję Przy huczącej froterce, zataczając nią kręgi po linoleum. Nie zdziwiłabym się, gdyby po skończeniu rozmowy okazało się, że Wytarłam nią dziury w wykładzinie. Ta wredna kierowniczką najchętniej nie spuszczałyby nas z oka. Nie uwierzycie, ale nosi papucie, dlatego tak ją nazywam – Papucie. Daję słowo. Przychodzi w normalnych pantoflach, ale potem przebiera się w kaptcie. Takie typowo łazienkowe, z niebieskim futerkiem. Ale dzięki temu słyszysz ją dopiero, gdy stanie ci za plecami.

Łączą mnie z szefem Jamesa. Jestem pewna, że słyszę babę, więc błyskawicznie odkładam słuchawkę.

Froteruję jak szalona, tymczasem okazuje się, że to fałszywy alarm. Pochodzę do drugiego biurka i znowu wykręcę numer.

– Halo, to znowu ja, coś mnie rozłączyło. Milion lat czekam na połączenie.

– Słucham, kto mówi?

– Siostra Jamesa Devine’a. Zachorował i dzisiaj nie przyjdzie.

Przepraszam, że tak późno zawiadamiam.

Ciężkie westchnienie po drugiej stronie. Jestem tylko siostrą.

Posłańca się nie zabija. Odkładam słuchawkę.

Znajdujemy się sześć pięter nad ziemią i niebo jest cudowne, więc nabieram otuchy i pogodniej myślę o nadchodzącym dniu.

Różowo-złociste. Późny świt, bo niebo zaciągnęły chmury, ale i tak piękny.

Pewnie już zauważyliście, że żółty, a zwłaszcza złocisty, to mój ulubiony kolor. Przepadam za letnim niebem. Niezależnie od tego, jaka pogoda się wykluje – a gdy wsiądziemy do mikrobusu, może szaleć wiatr – rzadko kiedy pada po wschodzie słońca. Zwykle pracujemy w miejscach, gdzie jest pełno okien. Na ogół – a od lutego do października zawsze – oglądam wschód słońca albo przynajmniej pierwsze chwile dnia. Uważam to za jeden z plusów mojej pracy. (O ile Papucie złośliwie nie zagonią mnie do zachodniego skrzydła – nieraz mnie już przyłapała na takim rozmarzeniu. Nazywa mnie Śpiącą Królową. Przyganiał kocioł

garnkowi. W papuciach).

Człowiek uczy się pokory. Nieważne, co się stanie, następnego ranka wszędzie słońce, a niebo będzie złociste, nawet pod powłoką chmur. W obliczu tego nasze problemy nabierają właściwych proporcji.

Dziś rano jest tak śliczny, że uznaję to za dobry znak.

Odkurzam, ale cały czas się zastanawiam, jak się czuje James.

Wyjdzie za kaucją, adwokat zdawał się nie mieć co do tego wątpliwości.

Smarkaty taki owaki, zabiję go, gdy już wróci. Wyciągnę z niego wszystko w najdrobniejszych szczegółach, już moja w tym głowa. Nie pierwszy raz znajdę się w sądzie, więc znacz nie lepiej sobie poradzę niż jakaś biedna idiotka, która nigdy tam nie była.

To sąd dla nieletnich, czyli znacznie łagodniejszy niż prawdziwy.

Mimo to przebieram uszami. Mam nadzieję, że jej tam nie będzie. Raczej nie, przecież jest świadkiem albo czymś takim, więc będą ją oszczędzać aż do ostatniej chwili.

Zastanawiam się, jak ta dziewczyna może wyglądać. Jaka jest jej rodzina.



Nigdy nie poznałam rodziny Toma Bennetta. Czekajcie, aż się dowiedzie dlaczego!

Ciągle obiecywał, że mnie im przedstawi, ale tego nie robił. Po pół roku spotkań zapytałam, skąd ta tajemniczość. Czy się mnie wstydzi? Tego, że mieszkam w czynszówce? Bardzo go dotknęło, że mogłam w ogóle tak przypuszczać.

– W takim razie, dlaczego? – drążyłam. – Może masz coś do ukrycia? Jakies podejrzane sprawy albo kogoś kryjesz?

Naturalnie żartowałam. Ktoś tak porządny i uczciwy jak on nie mógł mieć kryminogennej rodziny.

Tylko ten jeden jedyny raz w czasie trwania naszej znajomości przestraszyłam się, że mnie uderzy. Oczywiście, nie uderzył, ale wyglądał, jakby był tego bliski. Gdybym wtedy znała prawdę, nie robiłabym z siebie takiej idiotki.

Poszedł bez słowa, ale wrócił – pamiętam, że byliśmy na Talbott Street. Stał przede mną i gwałtownie zaprzeczał, jakoby się mnie wstydził czy coś w tym rodzaju. Darł się na całe gardło.

Wszyscy się na nas gapili, najchętniej bym się zapadła pod ziemię.

Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że aż za bardzo go to dotknęło.

Co znaczy, że trafiłam w samo sedno. Powinny się rozdzwonić wszystkie sygnały alarmowe.

Ale odpuściłam, bo nie chciałam bardziej go prowokować.

Oczywiście, to nie była jedyna nasza sprzeczka. Nigdy się nie zaczynały od tego, zawsze od czegoś innego. Zwykle od drobiazgów. Pamiętam, że kiedyś siedzieliśmy u Bewleya. James w wysokim krzeselku, z buzią wysmarowaną dżemem. (Pod tym względem nie mogę powiedzieć o Tomie Bennecie złego słowa.

Na połowę randek musiałam przychodzić z Jamesem). Dzień był

śliczny. Niedziela. Pojechaliśmy autobusem, do Dalkey i z powrotem. James zachowywał się jak aniołek.

Sprzeczka zaczęła się od tego, czy cukier w barze jest irlandzki, czy angielski. Żałosne. Drobiazg, który urósł do prawdziwej awantury. Od saszetek z cukrem przeszliśmy do Anglików okupujących Irlandię Północną i dyskusji, czy Patrick Pearse powinien był dopuścić do powstania w 1916 roku, czy też nie.

Między innymi dlatego tak nienawidzę polityki. Każda rozmowa musi na nią zejść.

Aż do tamtej chwili nie przypisałam Tomu Bennetta do obozu republikańskiego. I, szczerze powiedziawszy, chyba w ogóle nie powinnam była się z nim kłócić, bo przecież powiedział

tylko to, co słyszałam już miliony razy w pubach czy na występach. „Roddy McCorley umrze dziś na

moście Toome...” Ile razy to słyszeliście? Śpiewane z prawdziwym żarem? Zwłaszcza gdy ktoś sobie podpisał...

Myślę, że kwestia Irlandii Północnej to wyjątkowo drażliwa sprawa dla nas, Irlandczyków.

Później okazało się, że Toma nic nie obchodził Patrick Pearse ani powstanie. Kłócił się sztuka dla sztuki. Ja zaś pewnie akurat miałam napięcie przedmiesiączkowe, bo z perspektywy czasu moja reakcja wydaje się całkowicie nieuzasadniona, Chwyciłam Jamesa i wypadłam z baru, mając w nosie, co inni sobie pomyślą.

Tom mnie nie zatrzymywał.

Oczywiście, wyrzuty sumienia opadły mnie, zanim jeszcze |

dotarłam na O’Connell Bridge. Pędem wróciłam. Toma już nie było. Do dziś pamiętam to puste krzesło w miejscu, gdzie!

przedtem siedział.

Ganiałam jak oszalała po Westmoreland Street i D’Olier Street, przemaszerowałam przez całą O’Connell, do przystanku autobusu numer 40 w kierunku Finglas. Biedny James, strasznie go wtedy wytrzęsłam.

Na nic. Tom Bennett rozplynał się jak we mgle.

Następnego dnia zadzwoniłam do fabryki, ale powiedzieli, że ma wolne.

Dwa dni później wieczorem zjawił się u mnie i choć miałam na głowie papiloty, rzuciłam mu się na szyję z płaczem, raz po raz przepraszając go.

Wtedy pierwszy raz uprawialiśmy seks. I następnego ranka się zaręczaliśmy.

W tamtym okresie mieszkanie nie wyglądało najgorzej – a to za sprawą genialnej opiekunki, o której wam wspominałam, i

„Wincentych”, zajmujących się najbiedniejszymi.

Biedna mama nienawidziła „Wincentych”.

Kiedy się zastanowić, może brało się to stąd, że była protestantką. Może się bała, że rzucą na nią urok albo każą odmawiać różaniec (oczywiście, nigdy tego nie robili), ale chyba przede wszystkim nienawidziła jałmużny. Pod koniec nic jej już nie obchodziło i, jak na ironię, mieszkanie nigdy nie wyglądało lepiej – choć ona nie była w stanie tego docenić.

Nie powinna się unosić honorem. W kolejce nawet by jej nie zauważyli. Połowa rodzin z sąsiedztwa otrzymywała pomoc ze stowarzyszenia świętego Wincentego a Paulo.

Tamtego ranka, gdy się zaręczyliśmy, nakarmiłam i przewinięłam Jamesa, posadziłam go w kojcu, a potem Tom Bennett z powrotem zagonił mnie do łóżka. To było cudowne uczucie. Miły dreszczyk i podniecenie. Wręcz seksualne. A przy tym coś dziwnego. Sama nie wiedziałam, czy zgodzę się, by ktokolwiek, nawet Tom Bennett dyrygował mną i Jamesem, choćby w miły sposób.

Wziął sobie dzień wolny, chociaż mu nie przysługiwał. I nie zadzwonił.

– Mam to gdzieś – oznajmił. – Nie co dzień człowiek się zaręcza.

– A jeśli cię wyleją? – mitygowałam. – Musimy natychmiast zacząć oszczędzać, nie stać cię, żeby pójść na bezrobocie.

– Skąd – uspokajał. – Przestańże się zamartwiać. Troskę o przyszłość zostaw mnie, ja jestem twoim mężczyzną i musisz mi zaufać. Zajmę się nami.

Spałam w pojedynczym łóżku i zanim do niego wróciłam, uparłam się, żeby zmienić pościel. Prześcieradła były poplamione.

Inaczej sobie wyobrażałam seks. Przede wszystkim te zapachy.

Ale za to nie bolało tak, jak mi opowiadano. Właściwie sprawiło mi dużą przyjemność, choć ponoć za pierwszym razem to się nie zdarza. Nie pytałam Toma, czy i dla niego to był pierwszy raz.

Nie obchodziło mnie – tamto należało do przeszłości, a my skupialiśmy się na przyszłości. Nie ulegało wątpliwości, że dla mnie to był pierwszy raz, więc nie musiał Pytać.

Za drugim razem byłam jeszcze obolała po ubiegłej nocy, ale jakoś poszło. A potem już wiedziałam, że wszystko się ułoży.

Tom był nienasycony. Tamtego ranka wiedziałam, że muszę uczynić cud i naciągnąć „Wincentych” na pralkę. A jeśli tam się nie uda, zwrócić się do fundacji Gay Byrne Radio Show. Załatwia się to przez swojego opiekuna, specjalizują się w pralkach, przynajmniej w tamtych latach. Oczywiście nie przyznałabym się, skąd ta nagła potrzeba. Gdyby się dowiedzieli, mogliby nie uznać moich intencji za tak znowu szlachetne.

– Czy teraz przedstawiś mnie rodzinie? – pytam, gdy po wszystkim stoimy w oknie z kubkami herbaty.

– Oczywiście – zapewnia.

– Kiedy?

– W mój najbliższy wolny dzień.

Nigdy nie zapomnę tamtej chwili. Okno mieszkania wychodziło na dziedziniec, który wyglądał wyjątkowo czysto i godnie. Władze miasta akurat usunęły graffiti, a do tego uprzątnęły śmiecie, psie łajna, potłuczone szkło, ba, nawet spalonego volkswagena, który stał tam od lat. Ustawiono betonowe

donice, posadzono pnącza, których – odpukać! – na razie nikt nie ruszył. I ten zapach! Można było się nim upić. Po krótkim deszczu pokazało się słońce, kwiaty pięły się aż do naszego balkonu. Na huśtawkach bawiły się dzieci.

Był okres pierwszych komunii i na końcu drewnianej huśtawki przycupnęły dwie dziewczynki w strojach komunijnych, zaglądając do sakiewek i przeliczając drobniaki. Tamtego ranka nie liczyło się, jak długo podwórze utrzyma się w tym stanie, gdyż ta scena na zawsze wyryła mi się w pamięci. Poznam rodzinę Toma Bennetta i wreszcie stanę się członkiem prawdziwej rodziny.

Tylko jedno studziło mój zachwyty: jak przyjmą Jamesa. Tom zapewnił, że bez problemu. Czyż nie przywykli do dzieci? Zresztą każdy by go pokochał. Był w czarującym wieku.

Oczywiście że był. Wtedy.

Wiem, że od początku świata każda matka powtarzała: „Gdyby to mogło trwać... „ A skoro ja, w końcu tylko siostra, to przeżywam, to co musi czuć prawdziwa matka, gdy z jej czarującego bobaska nagle wyrasta nadęty, kościsty nastolatek?

Tamtego poniedziałku w lombardzie potraktowali mnie bardzo uczciwie. Za biżuterię dostałam całe pięćset funtów, a za magnetowid pięćdziesiąt – choć sprzedawca przyznał, że powinien mi zapłacić dwadzieścia pięć. Pamiętali mnie sprzed lat i spytali, co u Jamesa.

– Świetnie – odparłam. – Doskonale. Oczywiście, jest trochę kłótlivy, ale to normalne w tym wieku.

Choć przerażona tym, co za godzinę czeka mnie w sądzie, odczuwam ukłucie bólu, gdy rozstaję się z biżuterią mamy.

Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy, by ją wykupić. Mam na to pół roku, lecz nie łudzę się, że wtedy będzie po wszystkim. Wedle tego, co powiada Patrice Murphy, sądy są zawałone robotą i brakuje sędziów.

Będę musiała się rozejrzeć za dodatkowym źródłem dochodów.

Może jakieś sprzątanie w domu? Płacą grosze, ale za to wszystko zostaje w kieszeni.

Niektóre koleżanki w pracy nieustannie wyrzekają, że potraça się nam z pensji, mnie to jednak nie przeszkadza. Bo skąd rząd wzięłby pieniądze na pomoc społeczną, jeśli nie z tego, co idzie z naszych płac? Od rolników? Darujcie sobie.

Wszyscy jesteśmy socjalistami, póki nie liźnie się grosza.

(Pogadajmy znowu, gdy wygram w lotto!) Ale w tym momencie gorąco wierzę w konieczność wspierania tych, którym powiodło się gorzej niż nam. W końcu ja też to przeszałam, zaliczyłam, a na dowód mogę pokazać koszulkę z nadrukiem. A moje prywatne opodatkowanie się stanowi inwestycję na przyszłość. Emeryturę albo rentę, gdyby coś mi się przytrafiło.

Zasiłek to inna sprawa. Wolałabym umrzeć, niż stać w kolejce po zasiłek. Póki tchu w piersiach...

itede. Wezmę każdą robotę, zgodzę się nawet zasuwać w McDonalddie. Od kiedy mogłam pracować, sama się utrzymywałam, i zamierzam tak robić dalej.

Ale, jak każdy inny, bardzo potrzebuję gotówki w kieszeni.

Dochodziła za kwadrans dziesiąta, gdy wyszłam z lombardu i popędziłam dokupić bonów i obligacji. Nigdy przedtem nie trzymałam w ręku takiej gotówki. Nawet nie widziałam. Wierzcie mi, ścisnęłam torebkę, jakby od tego zależało moje życie. Z moich drobniaków i paru banknotów, które znalazłam u Jamesa, uzbierało się sześćdziesiąt funtów. Zatrzymałam je, żebyśmy mieli z czego dożyć do piątku. Tak czy owak, niosłam dowód, że mogę wyłożyć trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt funtów. Modliłam się, żeby to wystarczyło.

Do sądu dotarłam na ostatnich nogach, bo musiałam przebiec przez całe nadbrzeże.

Dzięki Bogu, dziewczyny nie było, ale za to stawiła się matka.

Z apaszeczką pod brodą.

Nie, muszę być uczciwa. Biedula wyglądała na zdruzgotaną. Po tym poznałam, że to właśnie ona. I po tym, że cały czas wpatrywała się w przestrzeń, torebkę postawiła prosto na kolanach, niczym tablicę nagrobną. Na głowie miała brązowy kapelusz z takich, co to się go kupuje na zimę, a potem nie nosi.

Była starsza ode mnie. Znacznie starsza. I drobniutka jak ptaszek. Jej skóra przywodziła na myśl pomietłą chusteczkę higieniczną. Właściwie wyglądała na babkę dziewczyny.

Oczywiście nie mogłam jej spojrzeć prosto w oczy, ale siedziałam na końcu rzędu galerii dla publiczności i wiedziałam, że wystarczy zerknąć w bok, a ją zobaczę. Obok niej siedziała druga kobieta i czuło się, że jej towarzyszy. Potem się okazało, że to działaczka z ośrodka pomocy ofiarom gwałtu Rape Crisis Centre. Zdaje się, że zawsze tak robią: posyłają kogoś, żeby towarzyszył ofierze w czasie rozprawy.

Straszna była świadomość, że ktoś mógł stać się ofiarą Jamesa.

Nie pozwoliłam sobie iść dalej w tym kierunku, z determinacją odrzucam te myśli. Dość mam na głowie, nie muszę jeszcze współczuć każdemu, kto się znalazł na sali rozpraw.

Galeria dla publiczności wcale nie jest galerią. Nie wiem, skąd taka nazwa, bo to po prostu rząd krzeseł na końcu sali. Samo pomieszczenie okazało się miłe. Zaskoczyło mnie to. Nie wiem, czego oczekiwałam. Może klatki i batów? Jak w zoo? Właściwie przypominało to biuro: przestronna sala, jasne meble. Wiele takich pomieszczeń biurowych sprzątamy. Wszystko w beżu.

Tyle dobrze, że nie było kwiatów. Zawsze uważałam, że biedne rośliny wchłaniają otaczającą je atmosferę. Kwiat na sali rozpraw miałby okropne życie.

Pojawiła się sędzina. Nigdzie nie wypatrzyłam Jamesa.

Devine'owie nigdy nie byli na początku żadnej kolejki.

Patrice Murphy bierze mnie na bok i pyta, czy załatwiłam pieniądze na kaucję. Kręci głową, gdy pokazuję, co mam, i mówi, że pewnie będę musiała sama przekonać sędziego. Informuje mnie też, że nazywa się Madden. Ta dziewczyna. Rosemary Madden.

Czuję się, jakbym dostała w głowę. Mama miała na imię Rose.

A ja mam tak na drugie imię.

– Jest też pani Madden – ciągnie Murphy – może ją pani zauważyła.

I wtedy przekazuje mi złe wieści. Wygląda na to, że Rosemary Madden zrzekła się prawa do anonimowości.

– To nietypowe – powiada – bardzo rzadko spotykane.

Nie wie, co nią kieruje, i boi się cokolwiek sugerować.

Ostrzega, że w konsekwencji wcześniej czy później nazwisko Jamesa trafi do prasy. Więc lepiej się na to przygotujmy.

Czy domyśla się, co nią kieruje?

Nie, nie wie. Możliwe, że gniew, to się zdarza, choć bardzo rzadko. Może ktoś wywiera na nią nacisk. Może odgrywa jakąś dziwną rolę w rodzinie. Ale skoro zapewne i tak nigdy się nie dowiemy, dlaczego się na to zdecydowała, szkoda czasu na dywagacje; to nie nasz kłopot, my musimy się skoncentrować na własnych problemach. Jej postanowienie wpłynie na decyzję sądu.

Tu, na sali, liczą się tylko fakty. I nie dajmy się rozproszyć mediom, one nie będą ferować wyroków, lecz sędzia i przysięgli.

Pewnie, jasne, myślę w duchu.

Potem Murphy musi pędzić do innych klientów, więc nie możemy dłużej rozmawiać. Wracam za nim na salę z bardzo, bardzo ciężkim sercem.

Obie musimy siedzieć, matka dziewczyny i ja, podczas rozpatrywania kolejnych spraw. Prawie wszystkie były formalnością – stawienie się zwolnionych za kaucją – więc szło szybko. Serce mi krwawiło, gdy patrzyłam na tych chłopaków w swoich „dobrych” dresach albo tanich garniturach. Próbowali odgrywać zadziornych i zupełnie im to nie wychodziło. Biedni mają pewną wspólną cechę, nie wiem, czy ją zauważyliście.

Zawsze są chudzi. (Nie chodzi o szczupłość, bo im bogatsi ludzie, tym stają się szczuplejsi). Nie, bieda ma wystające kości policzkowe, jak trzonki od noży. Rysują się ostro aż do oczodołów. U bogatych też widać kości policzkowe, ale one nie przypominają trzonków. Może to się jakoś wiąże z uzębieniem.

Przy okazji moich rzadkich wypraw na Grafton Street albo do Powerscourt Centre wykorzystywałam tę wiedzę do namierzania podejrzanych typków. To się przydaje, człowiek wie, kiedy pilnować torebki.

I tak podchodzili, jeden za drugim, chłopcy z kośćmi jak trzonki od noży i czyrakami na karku. Tego ranka nie stanęła przed sądem ani jedna kobieta, choć gdyby wierzyć „Evening Herald”, kobiety raz po raz lądują w więzieniu, nawet za zwęczenie pary rajstop.

Z tego, co zauważyłam, pani Madden siedziała jak głaz.

Gdy wreszcie się pojawił, wyglądał okropnie. Widziałam, że usiłuje sprawiać wrażenie opanowanego, ale cały się trząsał.

Kołnierz odstawał mu od szyi, jakby nowa marynarka by a na niego za duża. Rozglądał się za mną, a gdy mnie dostrzegł minę miał żalostną. Nie mogłam się powstrzymać, pomachałam mu.

Potem zatrzymałam się w pół ruchu. Nie chciałam żeby pani Madden uznała mnie za osobę, która lekko traktuje gwałt.

## **Rozdział 6**

Patrice Murphy przewidział wysokość kaucji co do grosza.

Dziesięć tysięcy. Namawia sędzinę, żeby mnie wysłuchała.

Wolę pominąć milczeniem swoje wystąpienie w sądzie, to jedno z najbardziej upokarzających doświadczeń mojego życia i nigdy więcej nie chcę przez coś takiego przechodzić. Sędzina była kochana, ale to niewiele pomogło. Potraktowała mnie łagodnie.

– Widzę, że jest pani uczciwą, ciężko pracującą kobietą. Więc jeśli zagwarantuje pani, że James wypełni wszystkie warunki, co do jednego, obniżę kaucję do trzech tysięcy funtów i uznam panią za

jedyne gwaranta.

Czułam się jak prawdziwa żebraczka, kiedy tak siedziałam w milczeniu, podczas gdy ona sprawdzała moje żalosne obligacje i jeszcze świeże rachunki. Oczy wszystkich skierowane na mnie.

Przyznać się publicznie, jak strasznie jesteśmy biedni. To gorsze niż znaleźć się nago na środku O'Connell Street.

Czerwona jak burak podpisywałam poręczenie za Jamesa.

Nigdy, w najgorszych snach, nie wyobrażałam sobie, że znajdę się kiedyś na sali rozpraw, poręczając za człowieka oskarżonego o gwałt. Koszmarne. Urzędnicy traktowali to jak zwykłą formalność, co z jednej strony pomagało, a z drugiej pogarszało sytuację. Czyżby uważali nas za zwykłych przestępców, z tej samej paczki co reszta, która tam się kręciła?

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, James się uśmiechnął. Pierwszy prawdziwy uśmiech od tygodni. Znowu ściska mi się serce, bo widzę, jak bardzo jest podobny do mamy. Widzę – nie mylić z zerknięciem kątem oka. Mama cudownie się uśmiechała, i proszę, właśnie teraz uśmiecha się do mnie przez Jamesa.

Nie mogę się rozkleić.

– Nie szczerz zębów – mówię. – Nie upadłam tak nisko, żeby cię przesłuchiwać na ulicy, ale teraz idziemy prosto do domu i opowiesz dokładnie, co się stało.

Natychmiast się nadyma. Każe z siebie zejść. Gotuje się we mnie.

– Jak ty się do mnie odzywasz!

I ku memu zdumieniu, wyjątkowo bierze to na poważnie. Może coś mu podszeptało, że tym razem nie żartuję.

– Przepraszam – mówi.

Warto zapamiętać tę chwilę. Tylko raz mnie przeprosił: miał

wtedy czternaście lat. Oszczędzałam, żeby mógł wyjechać z klasą do Gaeltacht, i zwędził mi pieniądze z szuflady, żeby sobie kupić przenośny radiomagnetofon. Wtedy wszyscy je mieli i pewnie nie chciał się wyróżniać. Jego kradzież tak mną wstrząsnęła, że nawet się nie rozgniewałam.

Zresztą nie musiałam, przyszedł dla niego czas kary. Jego koledzy pojechali do Gaeltacht, a on siedział sam przez trzy tygodnie. Wielu z nich dostało stypendia z Gael Linn. Oczywiście pracowałam, więc nawet nie występowałam o stypendium dla Jamesa. Wtedy jeszcze sobie wyobrażałam, że jeśli się pracuje, nie przysługują człowiekowi żadne ulgi.

Wróciliśmy do domu, a gdy przedstawił mi swoją wersję wydarzeń, sama nie wiedziałam, w co wierzyć.



Dziewczyna, Rosemary, jest trochę od niego starsza, ma dwadzieścia lat i kończy kurs księgowości sponsorowany przez FAS albo jakąś inną fundację zwalczania bezrobocia wśród młodzieży, nie pamiętał. Dla mnie to jeden wielki kant, chodzi o poprawienie statystyk, a potem człowiek i tak wraca do punktu wyjścia. Rodzinie całkiem nieźle się powodzi. Ojciec pracuje gdzieś w branży wydawniczej, ona jest jedynaczką.

Poznał ją w klubie, gdzież by indziej. Zdaniem Jamesa, była imprezowa dziewczyną. Już pierwszego wieczoru prawie mieli stosunek. Muszę tego słuchać bez słowa krytyki, bo czyż ja pierwsza mogę rzucić w niego kamieniem?

Czekam, aż zrobi przerwę na oddech. Co to znaczy „prawie”?

– To znaczy prawie – odpowiada. – Gdzie twoja wyobraźnia?

– Gdzie to zrobiliście? – naciskam.

Staram się zachować równowagę między jasnym postawieniem sprawy – jakbyśmy na co dzień wiedli sobie takie pogawędki – a uświadomieniem, że przypadkowe związki seksualne nie wchodzą w grę. Już ma mi powiedzieć, żebym się odczepiła – widzę to –

ale się powstrzymuje. I z pewną skruchą wyznaje, że ich „prawie” stosunek odbył się w samochodzie jego kumpla, Ferdii. Wygląda na to, że tamtej nocy w klubie zebrała się cała ich paczka i Jamesowi z drugim kolesiem udało się namówić Ferdię do wypożyczenia samochodu.

– Razem? – pytam, nie mogąc zapanować nad zgorzeniem. Bo jestem zgorzona. Ten sam Ferdia, który chciał ich zabrać nad zatokę Brittas. Po moim trupie.

James patrzy na mnie jak na wariatkę, ale potem zdaje sobie sprawę, że właściwie lepiej teraz ze mną nie zadzierać, i wyjaśnia, że na zmianę.

To już jakaś ulga.

– Dobra, mów dalej.

Z jego relacji wynika, że on i Rosemary Madden jeszcze dwa razy „prawie” to zrobili. Raz na imprezie u kolegi, którego rodzice wyjechali na Majorkę, potem po następnej imprezie. W kolejnej

„wolnej chacie”. (Wygląda na to, że w tej ich paczce zawsze trafiali się jacyś rodzice, którzy gdzieś wyjeżdżali). We dwoje pojechali do Furry Glen w Phoenix Park. W środku dnia. James zerwał się z pracy, a ona zwagarowała z zajęć i zabrał ją tam na motocyklu. Właśnie ten raz stał się podstawą do oskarżenia o gwałt.

Nie jestem taka głupia. Wiem o gwałtach na randkach i całej reszcie. W gazetach nieustannie się o tym rozpisyją i Marian Finucane niejednym razem poruszała ten temat w audycjach.

Oczywiście, zawsze i wszędzie powtórzę, że kobieta ma prawo odmówić. Święte prawo.

– Dlaczego uważa, że właśnie wtedy ją zgwałcił? Czym tamten raz różnił się od innych?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Zupełnie. Nawet się nie spuściłem. Omal nie mdleję.

– Nie bądź wulgarny. Nie wystarczy, jeśli powiesz, że nie wiesz. Jak to nie wiesz? Nie wyssała sobie tego z palca. A może tak?

Z jego punktu widzenia tak.

– A co z jej zeznaniem? Wedle Patrice’a Murphy’ego, jest bardzo szczegółowe.

– Mam je gdzieś. Wiem, co się wydarzyło naprawdę. Kiedy kazali mi podpisać papier, że się przyznaję...

– Niczego nie podpisuj! – drę się na cały głos. – Wiesz, jak to się skończyło dla szóstki z Birmingham!

Potem się uspokajam i zaczynam od nowa.

– W tym musi coś być – upieram się. – Musiałeś jej coś zrobić.

Inaczej dlaczego by cię oskarżała?

Nadal twierdzi, że nie zrobił z nią niczego, czego wcześniej by nie robili. Może tylko posunęli się nieco dalej.

– A czy w którymś momencie powiedziała, że nie chce? Nie pamięta. Ale z tego, co pamięta, była równie chętna jak on. Czuję, że traci panowanie nad sobą.

– Słuchaj – mówi – nie poszliśmy na całość. Ani wtedy, ani wcześniej.

Zachowuję spokój.

– Czy się opierała? Znowu wzrusza ramionami.

– Nie bardziej niż zwykle.

– Jak to nie bardziej?

– No, wiesz, jak zwykle. Drobne zwarcia, jakieś ścięcia, ale nic poważnego.

Mógłby się wyrażać konkretniej?

– To nie było nic, nic poważnego – zaczyna się gotować. –

Zupełnie nic!

Ale w żaden sposób nie daje z siebie więcej wyciągnąć. Z jego punktu widzenia tamtego dnia między nimi wszystko było super.

Sądził, że się kochają, i wydawało mu się, że ona też tak uważa.

Po domniemanym gwałcie wyjechali z Furry Glen, podrzucił ją niedaleko domu w Drumcondra, po czym wrócił do pracy. Koniec historii. Dziewczyna może być jeszcze dziewicą. On z pewnością jej nie rozdziewiczył.

Tu stąпам po delikatnym gruncie, nie wiem, jak daleko mogę się jeszcze posunąć. No bo o co mam teraz spytać? Skąd wie, że jest dziewicą, skoro nigdy tego nie robili? Może zajrzał przez lupę?

Ale wtedy dostrzegam kolejne drogi śledztwa. Skoro wszystko tak cudownie się układało, to dlaczego od paru tygodni chodził z nosem na kwintę?

Ma na to odpowiedź. Od tamtego razu nie chciała się z nim spotykać, a on nie rozumiał dlaczego. Gdy w następny weekend udał się w ich stałe miejsce spotkań, dopiero po trzech kwadransach czekania zrozumiał, że go wystawiła do wiatru.

Ostatnią próbę – choć wściekłby się, gdyby zauważył go któryś z kumpli – podjął, kupując olbrzymie opakowanie czekoladek Cadbury’ego i udając się do niej do domu. Ale gdy zapukał, otworzyła matka, oświadczając mu, że nie chcą go tu więcej widzieć. Po czym zamknęła mu drzwi przed nosem.

– Zatrzasnęła?

– Nie. – Wygląda na zaskoczonego. – Po prostu zamknęła.

Więc myślę sobie, że może by do niej pójść. Może byśmy się dogadały, jak kobieta z kobietą.

Ale gdy dzwonię z tym pomysłem do Patrice’a Murphy’ego, oświadcza, że to najgorszy z możliwych pomysłów. Radzi mi trzymać się od niej z daleka.

Nie przekonał mnie. Czasem bezpośredni kontakt wiele rozwiązuje.

Po naszej tak zwanej pogawędce James wychodzi, a ja rozkładam sofę, żeby się zdrzemnąć. Jak mówiłam, poprzedniej nocy nie zmrużyłam oka, potem przeżycia poranka. Biorę do poduszki „Makbeta”, bo dziś wieczorem mam zajęcia – ostatnie z

„Makbeta”. Potem już skoncentrujemy się na lekturach obowiązkowych. Ale pan Elliot chce, żebyśmy zapoznali się z tą tragedią, bo dzięki temu, bez względu na to, co wyjdzie z

„Hamletem”, będziemy mogli błysnąć erudycją, porównać obie postaci.

Nie mogę się skupić. Powinnam przygotować ten słynny fragment, gdy Lady Makbet trze ręce, bo wydaje jej się, że nie może z nich usunąć śladów krwi. Ale gdy na chybił trafił

otwieram książkę, natrafiam na fragment tuż za morderstwem Duncana, kiedy Makbet mówi, że nigdy

już nie zazna snu.

To nie pierwszy raz. Myślę o czymś, a wtedy to się staje. Patsy twierdzi, że każdy jest trochę szurnięty, choć o tym nie wie.

Dopiero gdy człowiek się na to otworzy, zaczyna dostrzegać różne dziwne rzeczy, które go otaczają. Od dawna jestem zakochana w animizacjach, to mój ulubiony środek wyrazu. Ale one nie stanowią wyłącznie środka stylistycznego, w tym cały ich urok.

Wystarczy się rozejrzeć za animizacjami w codziennym życiu, a z pewnością się je dostrzeże. Na przykład zawsze gdy mam miesięczkę, pada. Przynajmniej przez jeden dzień. (I proszę bez złośliwych komentarzy, że w Irlandii codziennie byłoby ślicznie, gdyby nie ten deszcz). W „Makbecie” jest pełno animizacji. Może dlatego tak mnie zachwyił.

Poza tym „Makbet” to genialna fabuła, jak w „Pulp Fiction”.

Raz wypożyczyłam kasetę, choć po powrocie do domu okazało się, że to nie sztuka, tylko opera. Opera! Ale zapłaciłam, więc obejrzałam. Były napisy po angielsku, więc rozumiałam tekst, i wiecie co? Historia okazała się dokładnie taka sama jak w sztuce i, wiercie, albo nie, ale wersja operowa ogromnie mi pomogła przy pisaniu wypracowania, które zadał nam pan Elliott. Wprowadziła mnie w atmosferę tamtych czasów i dostałam dobry. Po raz pierwszy dostałam z angielskiego dobry i chodziłam dumna jak paw. Szczerze powiedziawszy, to była w ogóle pierwsza moja tak wysoka ocena.

Szekspir był genialny, bez dwóch zdań. „Sen, co potrafi rozwikłać splątana nić każdej troski, sen, tę cowieczorną śmierć dziennych trudów, kąpiel dla znużonych mięśni i balsam dla zbolałych myśli, to drugie danie na stole Natury, najposilniejszy składnik uczyt życia...”\* [ „Makbet”, akt II, scena 2. Przełożył

Stanisław Barańczak.] Któż inny wymyśliłby coś takiego? Z

pewnością identyfikuję się z „kąpielą dla znużonych mięśni”. Jak zresztą każda kobieta.

Właśnie zasypiam, gdy mnie olśniewa. Może mógłby nam pomóc Rape Crisis Centre. W końcu ten gwałt to i dla nas nieszczęście. Kiedyś Patsy na ich zamówienie skakała ze spadochronem, na pewno kogoś zna.

A może lepiej nie? Ponoć w stosunku do gwałcicieli są nieugięci.

Zresztą nie zdecydowałam się jeszcze, czy powiedzieć o wszystkim Patsy. Z wielu spraw się sobie zwieramy, ale nie ze wszystkich. Ja chociażby odnoszę wrażenie, że choć Patsy tak się zachwyca swoim szczęściem, w jej ogródku nie kwitną same róże.

A James wspominał, że kiedyś widział jej męża w jednym ze swoich klubów.

Bałam się dzisiejszego wydania „Heralda”. Zwykle nie kupuję go w poniedziałki, ale tym razem musiałam. Modliłam się, żeby nie podali naszego nazwiska.

Wiecie, jak to bywa, gdy czasem się śpi w ciągu dnia: przytrafiają się wtedy dziwaczne, kolorowe sny. Tamtego popołudnia śnił mi się Tom Bennett. Po tylu latach! Po przeżyciach tamtego dnia należałoby się raczej spodziewać snu o więzieniu czy sali rozpraw, tymczasem nie.

W tym śnie wcielił się w płowego lwa, ja też tam byłam, tyle że niewidzialna. Nic wielkiego się nie działo. Po prostu siedział na trawie, a ja mu się przyglądałam. Widziałam go, ale on mnie nie.

Mimo to wszystko było naładowane potężnym napięciem.

Podejrzewam, że ten lew wziął się stąd, że poznaliśmy się w zoo.

Tom okazał się sierotą.

Nie wierzyłam, gdy się przyznał. Zostawił to na ostatnią chwilę. Na sam koniec ostatniej chwili! Wszystko było uzgodnione, tak przynajmniej mi się wydawało, i wreszcie miałam pojechać na spotkanie z jego liczną rodziną w Finglas.

Szorowałam włosy, aż bolało, i ubrałam się w lnianą sukienkę mamy. Miała dwie takie sukienki, podejrzewam, że zabrane jeszcze z Birr w hrabstwie Offaly. Zawsze je trzymała na wieszaku, nawet jeśli nie mieliśmy szafy. Tylko raz widziałam ją w jednej z nich: na moim bierzmowaniu.

W wieku dziewiętnastu lat nosiłam dokładnie ten sam rozmiar co ona, więc obie pasowały. I obie były w doskonałym stanie – len jest niezniszczalny. Ponadczasowy fason, dopasowana, rozpinana góra. Wybrałam niebieską. Starannie ją wyprasowałam, choć zaraz znowu się pogniecie – na tym polega problem z lnem. Ale niezaprzeczalnie len ma klasę.

Pewnie sądzicie, że niebieski pasuje tylko do niebieskich oczu.

Tymczasem, choć to dziwne, mnie w niebieskim też jest niezwykle do twarzy. Należę do tej nielicznej grupki osób o ciemnych oczach i jasnych włosach – wtedy, dodajmy, jeszcze długich. Tamtego dnia zostawiłam je rozpuszczone. Uważam, że dobrze wyglądałam, choć musicie mi uwierzyć na słowo. A w każdym razie najlepiej, jak mogłam.

James też. Pucowałam go i szorowałam, aż lśnił, biedaczek.

Nie dopuszcza, żeby pani Bennett, która wychowała taką trzódkę, uznała, że nie potrafię się zajmować dziećmi.

Wyszykowanie się zajęło nam cały ranek. A wstałam o wpół do siódmej. Idiotka.

Na mój widok gwizdnął z podziwu. I wiedziałam, że rzeczywiście mu się podobam. Sukienka faktycznie dobrze na mnie leżała, bo byłam dość szczupła. Nadal zachowałam niezłą figurę, ale wtedy byłam naprawdę szczupła. A że przerosłam mamę, sukienka nie była za długa. Tuż nad kolano. Idealna. Do tego włożyłam moje najlepsze sandały.

– Proszę, proszę – mówi pogodnie. – Muszę przyznać, że wyglądasz wspaniale.

Chce mnie objąć, ale drę się, żeby mnie nie dotykał, bo pogniecie sukienkę.

Mam straszną tremę. Myślałby kto, że wybieram się na spotkanie z papieżem. (Zresztą tym spotkaniem pewnie bym się nie przejęła. Ciekawa jestem, jak on poradziłby sobie w Dublinie z naszymi dochodami. Moje zarobki nie starczyłyby nawet na chwościki).

Biorę Jamesa i sadzam go w wózku. Z tej okazji nawet wypucowałam tapicerkę. Ubiegłej nocy, żeby wyschła.

Wychodzę z nim na taras i oglądam się wyczekująco, żeby Tom Bennett pomógł mi znieść wózek na dół. Martwię się. Nie idzie za mną. Dalej stoi w drzwiach. Twarz ma pomarszczoną jak stara pomarańcza.

Radzi mi wrócić do środka. Musi mi coś powiedzieć.

Jakoś przebrnęliśmy przez pierwszy tydzień zwolnienia warunkowego Jamesa. Zapewne się domyślacie, w jakim był

nastroju. Ogólna niechęć do pracy, tego rodzaju rzeczy.

Ja przynajmniej miałam codzienne zajęcia, które pozwalały zapomnieć. Sprzątanie, parę wieczornych wykładów przed egzaminem – prawdziwa ulga, że nie musiałam już chodzić na zajęcia z irlandzkiego, zresztą kolidowały z „Oстрыm dyżurem” –

no i delikatesy w sobotę rano.

Najgorsza była sobota. PA miał koncert w pubie w Rathmines.

Musiałam śpiewać, aż głowa bolała. Po raz kolejny mieliśmy się stawić w poniedziałek rano i oczywiście znowu wpadnę na panią Madden. Tylko o tym myślałam w czasie całego występu.

A właśnie, w młodości uważałam, że południowe dzielnice są snobistyczne. Już nie. Wystarczy zagrać w którymś z tamtejszych pubów. Najgorsi są zawodnicy rugby. Zdaje się, że w innych państwach rugby to gra klasy pracującej, ale tutaj, i tylko po drugiej stronie rzeki, to gra bogaczy. Nawet się nie dziwię. U nas wszystko jest postawione na głowie. A jeśli chodzi o ich zachowanie na meczach, to po paru kuflach zapominają o swoich manierach i zrównują się z niższymi klasami. Zdecydowanie preferuję piłkę nożną. Nawet futbol gaelicki, niech im Bóg błogosławi, chociaż ponoć prostytutki z okolic Fitzwilliam Square twierdzą, jakoby największy ruch miały podczas finałów mistrzostw kraju. Pewnie nasi drodzy kibice jakoś muszą rozładować napięcie.

W pubie nie oczekuje nas serdeczne przyjęcie, początkowo w ogóle nas ignorują.

– Dalej! – wrzeszczy Patsy. – Macie z nami śpiewać, nucić. Jak nie chcecie, możemy spakować manatki...

Ryk z widowni. Niecenzuralny.

Jedno Patsy trzeba przyznać, umie sobie z tym radzić. Co jest?

Co zrobić z tym fantem, Patsy?

– O, mamy wśród siebie dowcipnisia. Zawsze jeden się znajdzie – och, strasznie zabawne. De czasu nad tym myślałeś, Einsteinie? – Patrzy na mnie znacząco. – Dalej, panowie, dajcie nam żyć. Gotowi? Gotowa, Angela? Bumbum! I wszyscy razem.

Raz, dwa, trzy: lecą słowa znanej piosenki: „Myśl, gdzie jedziesz, dłonie na kierownicy, a senny wzrok na trasie przed tobą...”

Śpiewam, ale myśli trzaskają mi w głowie niczym kulki liczydeł. To koszmar, udawać, że świetnie się bawię. Cieszę się, że za tydzień mamy ślub kościelny, nie taką imprezę. W tej chwili z całego serca nienawidzę tych występów. Wiem, że Patsy czyta we mnie jak w książce. Co chwila na mnie zerka, pewnie się zastanawia, co się stało. Ciągle jeszcze nie wiem, czy jej powiedzieć... I następny hit: Didudidamdam, didudidamdamdam.

Didudidamdam, didudamdamDAM.

Tym razem przynajmniej słuchali. Nawet nagrodzili oklaskami

– to zakrawa na cud.

Odwalamy dyżurny zestaw i szczęśliwie zbliżamy się do końca.

Publiczność z minuty na minutę coraz bardziej pijana. I znowu Patsy wkracza do akcji – ona naprawdę świetnie potrafi panować nad tłumem.

– Tam z tyłu widzę paru, którym jakoś nędznie idzie, to po wczorajszej nocy? A może trening przed dzisiejszą? Biedaki, prawda, Angela? No to posłuchajcie tego. Wydmuchać nosy. Do roboty, chłopaki – i dziewczyny. Raz, dwa, trzy i...

„Dwaj mali chłopcy mieli dwie zabawki, każdy po drewnianym koniku. Dzień w dzień bawili się, udając, że to już lato... „

Biedna Patsy, przeciągnęła mnie przez cały występ. Nie mogę wiecznie tego odkładać. Będę musiała jej powiedzieć.

Lubię tę melodię. „Myślałeś, że pozwolę ci umrzeć? Wszak na moim koniu jest miejsce dla nas obojga... „ Błagam, najmiłsza sędzino, bądź wyrozumiała na jutrzejszym przesłuchaniu. I żeby nie pojawił się tam nikt z „Evening Herald”.

– To było świetne. Byli świetni, prawda, Ange?

– Jasne, Patsy. Byli bombowi.

Już prawie koniec. Niedługo wrócimy do domu.

– Teraz, drodzy państwo, nasza przedostatnia piosenka. Dla tych, którzy nie rozumieją po irlandzku: jeszcze dwie do końca. I wiecie co, kochani, nie darłyśmy się na was na poważnie, wspaniała z was publiczność. Teraz trochę zwolnimy tempo.

Zagramy wam coś z naszego rodzimego irlandzkiego repertuaru.

Stare hity są najlepsze, prawda? Ale do tej piosenki potrzeba nam trochę ciszy.

„O, Danny, te dudy, dudy wciąż grają...”

Sala rozpraw w poniedziałek. Znowu tam jest pani Madden.

Nie patrzy na mnie, choć musiałaby być wyjątkowo tępa, żeby się nie zorientować, kim jestem. O, wie doskonale. Poznaje to po jej wzroku wbitym w przestrzeń. Od chwili gdy weszłam, do momentu gdy wyszłam.

Nie zniosę tego. Zdecydowałam się. Muszę z nią porozmawiać.

## Rozdział 7

Drugiego wtorku, kiedy wróciłam z pracy, siedział przed telewizorem, oglądając „Big Breakfast” i dłubiąc w jedzeniu. Na razie uchodziły mu płazem poniedziałkowe spóźnienia; powiedział, że ma wizyty u lekarza.

Obsztorcowałam go, a on natychmiast przyjął postawę obronną, twierdził, że tego nie wytrzyma. Natychmiast doprowadziłam chłopaka do pionu, ostrzegając, że go wyleją. Zgoda, może to byle jaka robota, ale dla mnie stanowi gwarancję spłat za motocykl.

Zresztą dzięki pracy zapomni o swoich kłopotach.

Gdy ochłonęłam, zjedliśmy śniadanie.

Na razie też upiekło nam się z nagłośnieniem sprawy. Prasy ta historia nie zainteresowała. Może wobec przestępstw na staruszkach oraz dzieciach, morderstw i innych okropności gwałty nieco przybladły. A może w porównaniu z innymi gwałtami –

wystarczy pomyśleć, jak potworne okaleczenia przytrafiały się innym dziewczętom – ten akurat nie był taki straszny.

Przy drugim kubku herbaty powiedziałam, co chcę zrobić, i poprosiłam o adres Maddenów.

Dopiero rozpętało się piekło. Nie ma mowy, żebym tam poszła, wykluczone. Zaczął ciskać przedmiotami. To jego sposób, jest okropnym nerwusem. (Ale zawsze rzuca nieożywionymi przedmiotami, o ile to właściwe określenie. I uważa, żeby komuś nie zrobić krzywdy. Nie skrzywdziłby muchy, między innymi z tego powodu to oskarżenie wydaje mi się takie absurdalne.

Dlatego uważam, że jeśli porozmawiam z panią Madden, jakoś się dogadamy).



Kto jak kto, ale James? Gwałcicielem?

Pamiętam, jak w dzieciństwie, gdzieś od szóstego roku życia, dostał świra na punkcie przyrody. Mieliśmy przyzwoity telewizor

– znowu dzięki pocziwym „Wincentym” – i James przepadał za programami Richarda Attenborougha. Uwielbiał go. Inne dzieciaki tkwiły przed „Gwiezdnymi wojnami” albo „Sąsiadami” czy programami policyjnymi – im bardziej okrutnymi, tym lepiej

– ale dla Jamesa największą karą był zakaz oglądania filmów przyrodniczych. Nadal te filmy ogląda, czasem nawet przedkładając je nad MTV. Zawsze twierdził, że w przyszłości zostanie weterynarzem. Nikłe szanse, jeśli wziąć pod uwagę, jakie musiałyby mieć stopnie na maturze. Nawet gdyby wytrzymał w szkole do tej diabelnej matury.

Ale ja nigdy go nie zniechęcałam. Uważałam, że to świadczy o aspiracjach. Zresztą kto wie? – myślałam w tamtym okresie.

Zanim skończy szkołę, może obniżą kryteria i nie trzeba będzie pochodzić ze wsi i skończyć takich markowych szkół, jak Rockwell czy Clongowes?

Co prawda, namówiłam go, żeby próbował zdawać do kolegium Belvedere – mają stypendium dla dzieci z ubogich rodzin – ale słabo wypadł na egzaminach. Szkoła jest bardzo blisko. Kiedy nie zdał, pocieszałam się, że może to i lepiej.

Belvedere specjalizuje się w rugby, a znacie mój stosunek do tej gry. W ten sposób zagryzałam gorycz, bo dałabym wszystko, żeby James się tam dostał. Jezuita zapewniają świetne wykształcenie, ale co więcej, ich absolwenci zawsze trzymają się razem. Gdyby przeprowadzić badania, to zapewne okazałoby się, że zaledwie garstka absolwentów Belvedere znajduje się w szeregach bezrobotnych. Ta szkoła byłaby jak marzenie, James nie musiałby dojeżdżać.

W dzieciństwie nie pozwalałam mu trzymać zwierząt i teraz żałuję. Wtedy jednak uważałam, że dość mam roboty, nie muszę jeszcze doglądać menażerii. Oczywiście, James bimbał sobie na moje zakazy, nieustannie sprowadzał kundły albo kociaki, wobec czego ja ścigałam hycla i robiła się afera. James darł się, że mnie nienawidzi i więcej się do mnie nie odezwie.

Raz miał chomika. Twierdził, że dostał go w nagrodę za przebranie w Halloween. Ustąpiłam i pozwoliłam zatrzymać zwierzątko, ale zdechło. Moim zdaniem, z nadmiaru miłości.

James nieustannie chomika karmił, nie dawał mu chwili spokoju.

Bez przerwy się z nim bawił.

I czy to jest portret gwałciciela?

Nie podał mi adresu, więc poszłam do pubu, poszukać w książce telefonicznej. To nie było trudne, znalazłam ich pod

„Madden – barwne odbitki”. Zapamiętałam, co mówił prawnik: że prowadzą przy domu małą drukarnię.

Z grubsza znam okolice Drumcondra, to niedaleko, występowałyśmy z Patsy w Regency Hotel i pubie w pobliżu dawnej fabryki Lemon. Nie pamiętam samej fabryki, ale cukierki owszem. Mama przepadała za słodkimi Zelkami, zwłaszcza z limony. Pod koniec posypały jej się zęby, a po prochach pewnie czuła niesmak w ustach. Cukierek go likwidował. Teraz podejrzewam, że mogła mieć AIDS, ale w tamtych czasach jeszcze o nim nie słyszano.

To jedna z rzeczy, którą odkładałam na przyszłość. Chciałabym kiedyś uciąć sobie dłuższą pogawędkę z lekarzem, opisać symptomy. Oglądałam parę filmów o HIV i miałam wrażenie, że mówią o mamie. Kiedy AIDS dotarł do Irlandii?

Mama dogorywała, gdy poznałam Toma Bennetta. Może dlatego tak szybko go zaanektowałam.

Oczywiście, dziś zdaję sobie sprawę, że patrzyłam na niego przez różowe okulary. Na samym początku jeszcze się zastanawiałam, dlaczego ktoś, kto ma tak cudowną rodzinę, traci czas na takich jak my. Ale, jak już wspomniałam, byłam naiwna.

A kiedy wkrótce po tym, jak się poznaliśmy, mama umarła, a Tom, dowiedziawszy się prawdy o niej i Jamesie, nie dał nogi, uznałam to za szczęśliwe zrzęczenie losu. Po prostu.

Na wieść, że jest sierotą, tylko się w niego wpatrzyłam.

Dopiero po chwili zaczyna to do mnie docierać.

– Czyli nie masz rodziny? (Wiem, że gadam głupoty. Jak może mieć rodzinę, skoro jest sierotą?)

Kręci głową. Coś mamrocze. Trzeba mu przyznać, że wygląda na zawstydzonego.

Patrzę na podwórze. Betonowe donice zostały, ale jeśli chodzi o kwiaty... Zamierzchłe czasy. A asfalt ktoś gustownie przyozdobił stłuczonymi butelkami. Animizacja a la Devine.

Nigdy nie zawodzi.

Muszę znowu wprowadzić wózek, Tom schodzi mi z drogi.

Biedny James. Tyle szorowania na darmo. Patrzy na mnie –

James, nie Tom – jakbym się urwała z choinki. Myślałem, że .

idziemy na spacer, mówi jego wzrok znad smoczka. Jest zbyt zaskoczony, żeby płakać.

– Dobra – odzywam się, zamykając drzwi. – Co jeszcze? – Nie drę się, nie krzyczę. Opanowana jak anioł.

Okazuje się, że bał się, iż – cytuję – tak śliczna dziewczyna jak ja – koniec cytatu – nie będzie chciała

się umawiać z sierotą.

Wychował się w sierocińcu i uważał, że to go nazaczyło. Dlatego wykonał swoją wersję „Waltonów”.

Nazaczyło? Chryste, a czy rozejrzył się po naszym mieszkaniu?

– Żadnych krewnych?

Przynajmniej o żadnych mu nie wiadomo, choć zapewne gdyby się postarał, kogoś by wyszukał. W końcu nie wziął się znikąd.

Nawet Superman, wedle filmu – miał rodzinę.

– Moją rodziną byli bracia zakonni – ciągnie Tom takim tonem, jakby się przyznawał do alkoholizmu.

Słyszałam, co się dzieje w sierocińcach prowadzonych przez zakony. Znęcają się tam nad dziećmi i fizycznie, i duchowo.

Dlatego natychmiast dostrzegam drugą stronę i nie mogę dalej się na niego gniewać.

Czy bardzo tam cierpiał? Oczami wyobraźni już widzę go w krótkich spodenkach, jego biedne nożyny sine od razów, które dzieci otrzymują za najmniejsze wykroczenie. Nocą zaś przyzywa z płaczem mamę i boi się, czy się nie zmoczy i nie dostanie kolejnego lania.

Nim Tom zdążył odpowiedzieć, James wypluwa na ziemię gryzaczek – zapewne na znak protestu – i zaczyna wyc, więc muszę się nim zająć.

– Siadaj, później porozmawiamy – zwracam się do Toma, wysupłując Jamesa z ubrania. Ech, co tam, myślę sobie, przecież mamy siebie. Przynajmniej tak wtedy sobie wyobrażałam. Boże, kiedy już mnie zrobili, natychmiast wyrzucili formę.

Drumcondra to właściwie nie najgorsza okolica, choć nieustannie przewalają się przez nią samochody w drodze na lotnisko i do Belfastu. Autobus strasznie się włókł. Nigdy nie byłam w Belfaście, przynajmniej na razie. Wybierałam się tam w czasie zawieszenia ognia, a Patsy uparła się, żeby pojechać zobaczyć, jak prezydent Clinton zapala choinkę, ale wtedy nie mogłam. Dlatego następnego dnia obejrzałam prezydenta Clintona w Green College w Dublinie. Zmarzłam na kość.

Hillary Clinton okazała się czarująca, nieważne, że w prasie przedstawiają ją jako megierę. Musi być twarda, bo który mężczyzna osiągnąłby cokolwiek bez porządnej żony, co to potrafi trzymać go w garści? Wyglądała, jakby jej też było zimno, choć – dzięki Bogu – cały czas świeciło słońce. Szkoda, że nie zabrali Chelsea. Współczuję tej małej. Widzieliście kiedyś równie koszarne szyny? A biedulka ma taką drobną buzię. Ale moim zdaniem, najgorsze już za nią.

Wiecie, co mi powiedziała koleżanka z pracy? Że w Stanach niektórzy ortodonci zbijają majątek, zakładając dzieciakom aparaty dla picu! Macie pojęcie? Regularne, stałe aparaty, tyle że nie trzeba ich rozszerzać, bo zęby rosną prościutko. Chodzi o pokazanie swojego statusu majątkowego.

Clinton był cudowny, przystojny, znacznie wyższy niż sobie wyobrażałam, ale co do jego włosów... Mam pewne wątpliwości.

A do tego ten uśmiech, co to nie wiadomo, czy facet zaraz nie wybuchnie płaczem. Patsy uważa to za grę, ale ja wątpię. Stałam zaledwie parę metrów od niego i uważnie mu się przyglądałam.

Wierzę w prawdziwość tego, co mówił.

Choć nie powiedział wiele, pewnie nie mógł, trzeba pamiętać o delikatnej sytuacji w Irlandii Północnej. Ale nas to nie ruszało, mnie ani tysięcy innych, którzy robili z siebie widowisko, wymachując amerykańskimi chorągiewkami, rozdawanymi przez amerykańskich tajniaków. Mógłby wyrecytować „Wlazł kotek na płotek”, a my równie gorąco byśmy go oklaskiwali. Już taka nasza natura, chcemy, żeby inni dobrze się bawili i wrócili do domów z jak najlepszym mniemaniem o nas.

Pod koniec nawet tajniacy się do nas uśmiechali. I ponoć mówili, że dublińska publiczność zgotowała mu najgorętsze przyjęcie – tak przynajmniej pisano w prasie. Naszej prasie, innej nie czytam.

Z całą pewnością prezydent Kennedy uważał, że Irlandczycy są najlepsi. Nie chce się wierzyć, że w czasie jego pobytu w Dublinie już byłam na świecie. Zawsze serce mi się kraje, gdy w filmach dokumentalnych oglądam tę scenę, jak w Shannon obiecuje, że odwiedzi nas wiosną. I macha do tłumów. Teraz, patrząc na niego, wiemy, że zostało mu wtedy zaledwie parę miesięcy życia. A on wygląda, jakby nie miał najmniejszych trosk. Nawet się nie domyśla, co go czeka.

Kolejnym wielkim świętem była ponoć msza z papieżem w Phoenix Park. Mówię ponoć, bo w niej nie uczestniczyłam. Nie widziałam powodu. Sam papież może być, ale nie podobają mi się jego poglądy na antykoncepcję.

Aborcja to już inna sprawa. Osobiście nigdy nie zdecydowałabym się na usunięcie ciąży – nikt, kto

macierzyństwa, nie zrobiłby czegoś takiego. Pewnie inaczej to wygląda, jeśli nigdy się nie miało dziecka.

Znam sporą grupkę dziewczyn, które wsiadły na statek do Anglii, niech Bóg im wybaczy. Z niektórymi nawet pracuję. Co rano popijamy razem herbatkę i nagle poznaję prawdę. To pewnie jakoś się wiąże z tymi oceanami lśniących podłóg wokół nas, a my wśród nich, skulone jak małe stadko nad kubkami i czajnikiem.

Rodzi się wtedy intymność.

Nie znam poglądów Patsy na aborcję. To jeden z tematów, których nie porusza się z przyjaciółmi, tylko ze znajomymi.

Nie wierzyłam własnym oczom, gdy Patsy zjawiała się na pogrzebie mamy. Nie widziałyśmy się przecież od dziewięciu lat.

Dzień był dość smutny, w olbrzymim kościele tylko garstka żałobników. Wyglądało to jak Croke Park w dniu finałów kobiecego irlandzkiego hokeja na trawie – hurlingu. Raz poszliśmy z Patsy na finały, bo jej przyjaciółka grała w drużynie Kilkenny, stąd to porównanie.

Huling to dobra gra, ale w jej kobiecym wydaniu jest coś dziwnego. Wiem, że kobiety wkładają w grę całe serce, tak samo jak mężczyźni, ale ich piskliwe pokrzykiwania z bocznych linii jakoś tu nie pasują. Czy to w ogóle ma sens?

W czasie pogrzebu ja z moimi trzema siostrami – Jamesem zajęła się opiekunka – siedziałyśmy przytulone w pierwszej ławce, obok dyrektora wydziału zdrowia. Zakonnice zajęły miejsce w rzędzie za nami, niech im Bóg błogosławi, a dalej garstka pracowników socjalnych i rodziny zastępcze, które miały z siostrami kontakt. Pewnie chciały w ten sposób jakoś je wesprzeć.

Nie zjawił się żaden z tak zwanych przyjaciół matki. Ani jeden.

Podobnie jak nie zjawił się nikt z jej rodziny, choć w prasie zamieszczono nekrolog. W głębi ducha miałam cichą nadzieję, ale nie zdziwiło mnie to.

Muszę przyznać, że uczestniczyło też wielu sąsiadów. Nie można powiedzieć, że bym wtedy za nimi przepadała, niech Bóg mi wybaczy, zwłaszcza za tymi zatroskanymi o moralność, i nawet mruknęłam do mojej opiekunki, że przyszli się upewnić, czy mama naprawdę nie żyje. Albo wbić jej w serce kołek.

Teraz już nie patrzę na nich z taką goryczą. Rozumiem ich lęki.

Sama pewnie bym przystąpiła do rodziców zwalczających handlarzy narkotykami, gdybym się bała, że Jamesowi coś grozi, i całkowicie się zgadzam, że handlarzom powinno się maksymalnie utrudniać życie.

*Devine, Rose Alice, mieszkanka Dublina, urodzona w Birr w hrabstwie Offaly. Zmarła po krótkiej, mężnie znoszonej chorobie, otoczona troskliwą opieką sióstr i pracowników Hospicjum Najświętszej Maryi Panny. Oplakiwana przez piątkę pogrążonych w żałobie dzieci: Angełę, Franceskę, Justine, Nicole i Jamesa oraz licznych przyjaciół. Niech odpoczywa w spokoju.*

Prawda, że w nekrologach aż kipi od uczuć? Męstwo, miłość, smutek i żal, a wszystko to w paru zdaniach. To siostra przełożona z hospicjum poradziła dorzucić ostatnie zdanie. Bardzo mi się ono podoba. Zachowałam wycinek. Trzymam go pod „d” w moim

„Oksfordzkim podręcznym słowniku języka angielskiego”, bo po tę książkę najczęściej sięgam, a lubię, gdy coś mi mamę przypomina.

Żadne z rodzeństwa nie chciało iść do hospicjum przed zamknięciem trumny. Ale ja poszłam. I cieszę się, że to zrobiłam.

Rzeczywiście wyglądała, jakby „odpoczywała w spokoju”.

Uczesali ją, trochę umalowali, tak że wyglądała zupełnie zdrowo.

A choć była przerażająco chuda, biały całun to maskował, z wyjątkiem kości udowych. Wcześniej wyobrażałam sobie całun jako coś w rodzaju worka na mąkę. Nieprawda, bardziej przypomina luźną suknię. Jest pełen szlachetności i dlatego tak do mamy pasował. Mama zawsze była damą.

– Będzie się za ciebie modlić. – Zakonnica trzymała ją za rękę.

– Wygląda jak anioł, prawda? I tak od tej pory o niej myśl.

Zamknęłam oczy i próbowałam sobie wyobrazić mamę w niebie, radosną, roześmianą, witającą się z aniołami. Poprosiłam siostrę żeby zostawiła mnie z nią na chwilę sama.

Gdy wyszła, otworzyłam oczy i wyszeptałam mamie do ucha

„O gwiazdko świetlista”, a potem pocałowałam ją w czoło, tak jak ona zwykle mnie całowała. Była zimna i gładka, ale naprawdę myślę, że „odpoczywała w spokoju”. To z niej emanowało.

Patsy zauważyłam, dopiero gdy już staliśmy na zewnątrz, czekając, aż ruszy karawan. Nie znoszę tego momentu na pogrzebach. Nikt nie wie, co powiedzieć najbliższemu zmarłego, i wszyscy głośno rozmawiają między sobą o wyścigach, pogodzie albo nadchodzących świętach. O czymkolwiek, byle nie o tym, o czym naprawdę myślą: dzięki Bogu, że to jeszcze nie ja; albo: ciekawe, kto będzie następny. Dziedziniec przed kościołem był

olbrzymi, niemal tak duży, jak połacie asfaltu na lotnisku, a tamtego dnia, z garstką ludzi stłoczonych wokół karawanu, wydawał się jeszcze większy. Ogarnął mnie gniew w mamy imieniu. Nie chciałam, żeby ludzie uznali za kłamstwo, że ona miała licznych przyjaciół, jak to głosił nekrolog.

Ponieważ nigdy nie praktykowała, uznałam, że nie będziemy teraz zawracać nią głowy protestantom, i poprosiłam, żeby pogrzeb odbył się w miejscowym kościele katolickim. Ludzie ze stowarzyszenia świętego Wincentego i pracownicy socjalne pomogli mi to załatwić i muszę przyznać, że ksiądz odprawiający mszę okazał się bardzo miły. Nie zgodziłam się na żadne mowy, nie znoszę hipokryzji, ale poprosił mnie, bym podała mu parę informacji o mamie, żeby mógł je wpleść w kazanie.

Niektóre zabrzmiały dobrze, inne trochę gorzej. Nie przekonał

mnie entuzjazm, z jakim ksiądz twierdził, że Pan Bóg wyjątkowo ukochał mamę, bo kazał jej tyle wycierpieć, i że teraz mama bardzo się raduje, gdyż otrzyma specjalną nagrodę. Ale przynajmniej się starał. Najbardziej spodobał mi się fragment, gdy mówił o jej czułości i o tym, jak bardzo kochały ją dzieci. To akurat było szczerą prawdą.

Zobaczywszy Patsy, podeszłam i przywitałam się z nią. Wiem, że zwykle robi się na odwrót, ale ona nieśmiało trzymała się z boku, a ja byłam w dość bojowym nastroju. Nie pokażę nikomu, jak bardzo się wstydzę tej garstki żałobników.

Patsy towarzyszyła matka. Byłam zaszokowana jej widokiem.

Zapamiętałam ją jako drobną kobiecinę z siatką na włosach, a tu proszę: pasemka, spódnica mini i cienkie czarne rajstopy. Jak modelka, no, mała modelka. Wierzcie mi, nie mieściło mi się to w

głowie, zwłaszcza gdy porównywałam ją z mamą tuż przed śmiercią. Przecież dzieliła je najwyżej paroletnia różnica wieku.

A mama, choć – jak wam wspominałam – miała trzydzieści osiem lat, wyglądała na sześćdziesiąt. Pewnie przez te popsute zęby i rzadkie włosy. Poza tym mnóstwo paliła, a od tego robią się straszne zmarszczki.

– Sądziłam, że mnie nie poznasz – odezwała się Patsy.

Oczywiście wydorosłała, jak my wszyscy, ale wszędzie poznałabym te oczy i włosy. Nadal miała długie. Kończyła przedostatnią klasę szkoły średniej, za rok matura. Zawsze była inteligentna. Ale przynajmniej dorównywałam jej wzrostem. To już coś. I nie wstydziłam się ubrania. Wszystko nowiutkie. Moja opiekunka naprawdę błysnęła.

Karawan ruszał i musieliśmy iść.

– Przepraszam, Patsy – powiedziałam – ale dzięki, że przyszłaś.

Naprawdę jestem ci wdzięczna.

Nie kłamałam. Obiecała, że się ze mną skontaktuje, w duchu jednak pomyślałam: akurat cię zobaczę. Wiadomo, że ludzie to mówią na odczepnego.

Ale ku memu zdumieniu, już w trzy dni po pogrzebie stukanie do drzwi i zjawia się Patsy.

– Obiecałam przyjść – wita się, wręczając mi bukiet kwiatów.

Tak się składa, że to pierwszy bukiet, jaki w życiu dostałam.

Różowe goździki, dziś takie można kupić przy byle kiosku, ale wtedy trzeba było pójść do kwiaciarni albo na Moore Street.

Jestem wzruszona.

– Wielkie dzięki – mówię. – Wejdz.

W mieszkaniu potworny bałagan, bo właśnie jestem w trakcie wielkich porządków. James śpi, więc mamy trochę czasu.

Wyłoniły się pewne problemy, bo zasadniczo nie powinnam zostawać z Jamesem w tym mieszkaniu – było przeznaczone dla znacznie większej rodziny, ale, dzięki Bogu, nie kazali nam się od razu wynosić. Moja opiekunka przekonała zwierchników, że na razie za ciężko odchorowalibyśmy z Jamesem wyprowadzkę z naszego gniazda. Zresztą wtedy sądziła, że moglibyśmy się tam spotykać z całą rodziną. Kiepski pomysł. Później wam wyjaśnię dlaczego.

– Przepraszam za bałagan – mówię do Patsy, biorąc szczotkę ryżową i miednicę. – Uważaj, jest bardzo ślisko.

Uśmiechamy się, siada i, dając słowo, czujemy się, jakbyśmy się wcale nie rozstawały. Wstawiam kwiaty do wody, parzę Patsy herbatę, siadamy i plotkujemy jak za dawnych lat. I tak to się zaczęło. Znowu przyjaciółki na dobre i złe. Tak przynajmniej sądziłam.

W drodze do Maddenów powtarzam sobie, że powiem Patsy o Jamesie. Lepiej, żeby usłyszała to ode mnie niż z innego źródła, na przykład z gazety. Tyle że bardzo mi trudno komukolwiek się do tego przyznać.

## Rozdział 8

Maddenowie mieszkali w bardzo przyjemnym domu, ostatnim z szeregu, na rogu; nad drzwiami śliczny przeszklony balkon, zapewne należący do sypialni państwa domu. Przepadam za gankami i balkonami. Tyle na nich światła.

Wieki trwało, nim zebrałam się na odwagę i nacisnęłam klamkę furtki. Gdyby wyglądali przez okno – a nie wyglądali – pewnie uznaliby mnie za podejrzaną osobę. Co prawda, przed ich domem jest przystanek i w ramach, że się tak wyrażę, rekonesansu, najpierw długo udawałam, że czekam na autobus.

Było też i boczne wejście – zapewne do zakładu. Zielona farba na drzwiach frontowych lśniła, podobnie jak wypucowany na błysk mosiądz. Kołatka z gatunku tych szykownych, w kształcie lwiej głowy, na podjeździe toyota corolla rocznik 94, nadal z plastikową folią na fotelach, choć mieliśmy już rok 96. Na trawniku ani jednej stokrotki. Ale pani Madden zebrała karne punkty za sztuczne kwiaty na parapecie salonu. Nawet nie z gatunku tych porządnych, z jedwabiu, co to dopiero z bliska widać, że nie są naturalne. Od tamtych na kilometr biło sztucznością.

Nie znoszę sztucznych kwiatów. Odziedziczyłam to po mamie, która uważała je za przejaw pospolitości, a ja się z nią zgadzałam.

Utrzymując się ze sprzątania, człowiek uczy się oceniać, więc natychmiast przypisałam Maddenów do grupy tych, co to wiecznie krzątają się przy domu, czyniąc z niego obiekt dumy. Na podstawie kapelusza, w którym widziałam w sądzie panią Madden, uznałam ją za trochę nieśmiałą, pewnie nie ona *M*

wstawiła do mieszkania sztuczne kwiaty. To pan domu nie cierpi opadających płatków, wędnących liści, więc zakazał trzymania prawdziwych roślin, a ona mu się nie sprzeciwiła. Mogłam się mylić, ale widzicie inny powód, dla którego postawiłaby sztuczne kwiaty na oknie tak zadbanego domu?

Muszę zastukać drugi raz. Ręka mi się trzęsie, czubkami dwóch palców przytrzymuję lwi łeb, żeby przypadkiem nie zostawić wilgotnych śladów.

Chryste Panie. Drzwi otwiera ona. Ta dziewczyna. Rosemary.

Nie mam wątpliwości, bo jest jedyną córką wśród braci. Wiem od Jamesa.

Język mi kołowacieje.



– Prze-przepraszam – dukam, ale wychodzi mi z tego skrzek.

Potem milknę.

Dziewczyna jest ładna, z gatunku wymuskanych: krótkie włosy, zgrabna figura, brzoskwińska bluza wpuszczona w dżinsy. Boso, widać świeżo pomalowane paznokcie. Przyjemny, pastelowy lakier.

– Tak? – pyta na wpół zaskoczona, na wpół zniecierpliwiona. –

Ma pani jakąś sprawę?

Nie winię jej za rozdrażnienie. Otworzyć drzwi jakiejś nieznamym kobiecie, kwiczącej jak zarzynane prosię!

– Przepraszam, spodziewałam się kogoś innego. Wpatruje się we mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Kim pani jest?

– Nikim, nieważne – wycofuję się. – Przepraszam, pomyliłam domy.

Wychodzi na ganek. Po obu stronach drzwi stoją donice z iglakami. Też sztucznymi, ale tym razem muszę przyznać, że trzeba na nie wleźć, żeby zauważyć. A ja wlażłam.

– Kim pani jest? – powtarza. I teraz już przeszywa mnie wzrokiem.

– Przepraszam – bąkam jeszcze raz i wycofuję się, z trudem się powstrzymując, żeby nie biec. Boję się obejrzeć, ale założyłabym się, że na mnie patrzy. I że doskonale wie, kim jestem. A to się popisałam.

Skończona kretynka. Idiotka, bałwanica. Żeby zrobić z siebie takie przedstawienie! Wydaje mi się, że każdy na ulicy, każdziutki: kierowcy autobusów, mleczarze, właściciele psów gapią się na mnie i szydzą. A niebo to wielki paluch, który na mnie pokazuje. Ej, patrzcie, to Angela Devine, skończona kretynka.

Skoro o kretynkach mowa: to ja zerwałam z Tomem Bennettem.

A nie musiałam, to w tej historii najgłupsze. Przecież naprawdę mnie kochał – teraz wyraźnie widzę. I był rzeczywiście przyzwoitym facetem.

Do tej pory od czasu do czasu zastanawiam się, czyby nie spróbować go odnaleźć – z czystej ciekawości, dowiedzieć się, jak mu się ułożyło życie. Ale natychmiast ogarnia mnie zniechęcenie.

Bo i od czego zacząć? Nie mieliśmy wspólnych przyjaciół. Ja w ogóle nie miałam, z wyjątkiem Patsy, ale ją wtedy absorbowała matura, potem praca, a w końcu miłość. Jeśli się spotykałyśmy na plotki, nie chciałam, żeby nam sterczał nad głową jakiś facet.

Wtedy człowiek nie może porządnie pogadać, przyznacie chyba.

Nie znoszę tego łażenia stadami, nawet w parach. Wiecie, co mam na myśli: „chodzimy całą paczką, ale świetnie się bawimy”, podczas gdy człowiek w duchu zgrzyta zębami, bo nie znosi co najmniej połowy grupy, z którą ponoć wspaniale spędza czas.

Uznajcie mnie za dziwaczkę, ale tak naprawdę dobrze się czuję, spotykając się tylko z jedną osobą. Bo jak inaczej pogadać od serca?

Dlatego przez te półtora roku, gdy chodziłam z Tomem Bennettem, spotykaliśmy się tylko we dwoje. Jemu to nie przeszkadzało, zresztą nie potrzebowaliśmy towarzystwa.

Zapewne mogłabym teraz próbować go odnaleźć za pośrednictwem jego sierocińca albo Armii Zbawienia. Ale pewnie się już ożenił i dochował gromadki dzieci. Zawsze powtarzał, że chce mieć dużo dzieci. Chyba go rozumiecie. W końcu mówimy o kimś, kto wymyślił rodzinę Waltonów z Finglas. Jeszcze tego mu brakowało, żeby ni z tego, ni z owego pojawił się jakiś upiór z przeszłości. Zwłaszcza osoba, która dała mu kosza.

Poszło o picie. Nie mieszkaliśmy razem – pracownicy socjalni mieli oczy dookoła głowy, a ja wolałam nie ryzykować utraty swoich praw. No i oczywiście byli jeszcze tak zwani kochani sąsiedzi, którzy z rozkoszą by na mnie donieśli. (Chociaż muszę przyznać, że wielu zachowało się bardzo przyzwoicie, gdy mama już dogorywała. Oto Irlandczycy, cali oni. Najcudowniejsi się okazują, gdy człowiek jest w dołku. Wtedy cię kochają).

Tom Bennett zakradał się po zapadnięciu zmroku, część nocy spędzał u mnie, a potem wracał do siebie. To nie było łatwe, w tamtym okresie podjęto ostrą akcję przeciwko handlarzom narkotyków – może nie aż tak zorganizowaną, jak obecne ruchy, ale dość skuteczną. Bacznie obserwowano podwórze i podesty, ale na szczęście nasze mieszkanie znajdowało się na końcu, w pobliżu wejścia do całego kompleksu. Tom Bennett zaś nie musiał

wychodzić na dziedziniec, tylko bezszelestnie, nim ktokolwiek zdążył się zorientować, przesadzał ganek i tyle go widzieli.

Kiedy pierwszy raz zjawił się pijany, byłam wstrząśnięta, po prostu wstrząśnięta. Nigdy nie nadużywał alkoholu, a przynajmniej tak sądziłam. Z tego wszystkiego omal nie zapomniałam mu natrzeć uszu. Ale natarłam. Musiał zrozumieć, że na coś takiego się nie zgodzę.

Oczywiście następnego ranka nie pamiętał ani słowa z mojej przemowy, więc na próżno strzepiłam sobie język. Ledwo żył, wymiotował, pełny zestaw. I oczywiście zżerały go wyrzuty sumienia. Wyjaśnił, co się stało. Otóż Jason i Sharon się pobierają (oczywiście, bo muszą). Był na wieczorze kawalerskim Jasona.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zrozumiałabym.

– Nie chciałem cię martwić, zresztą nie wiedziałem, że to tak się skończy.

Kaja się, bije w piersi niczym skruszony grzesznik. Milczę.

Niech odbędzie Kanosę. Napatrzyłam się, co alkohol robi z rodzinami. Nie ma mowy, nie ma mowy,

żeby mój narzeczony tak się zachowywał. A wystarczy raz odpuścić, to potem idzie lawinowo. Już tylko krok do bicia.

Siedzi w twarzą w dłoniach, nawet nie może sięgnąć po herbatę. Patrzę na niego, na potargane włosy – zapuścił je i teraz nosi kucyk – i oczywiście robi mi się go żal. Obejmuję go, natychmiast mocno się wtula i powtarza:

– Przepraszam, Ange, przepraszam, przepraszam. To się więcej nie powtórzy. Raz mi wystarczyło.

– Nigdy? Nawet na kolejnych wieczorach kawalerskich?

– Na pewno nie.

– Nawet na twoim własnym?

– Z całą pewnością. Bez cienia wątpliwości. Koniec. Żadnego więcej picia. Od tej pory tylko soczek.

I co najdziwniejsze, potem się kochamy. Oczywiście, nie było cudownie: cuchnęło od niego tak, że powaliłoby słonia, ale pieścił

mnie czule i z taką miłością, że chyba znalazłam pewną satysfakcję w przebaczeniu.

Tak się złożyło, że wypadały właśnie odwiedziny. Raz na dwa tygodnie cała nasza piątka się spotykała: opiekunki zabierały moje trzy siostry z ich domów zastępczych – Justine i Nicola mieszkały razem w Darndale, ale Francesca została sama w Stillorgan w południowej dzielnicy miasta. Kiedy szukano dla nich rodzin, nie znaleźli dla Franceski domu na północy, a potem, gdy trafiło się miejsce bliżej tamtej pary, ona tak już się zadomowiła u dotychczasowej rodziny, że postanowiono jej nie przenosić.

Rodzice zastępczy nawet przymierzali się do adopcji.

W pewnym sensie była to fatalna decyzja, bo Francesca uczęszczała do szkoły w Stillorgan i nabrała innego akcentu. Ale po co mydlić oczy? Francesca zawsze była snobką i nieustannie z nami walczyła, jakby uważała nas za niegodnych siebie.

(Opowiadałam wam, jaką urządziła aferę, gdy ją sprowadzono do domu? Właśnie. Miała się za lepszą od nas).

Muszę przyznać, że nasi opiekunowie dostrzegali ten problem, ale oni też mieli dylemat. Niepokoiło ich, że Francesca rozbija rodzeństwo, bo się nas wstydzi i niechętnie się z nami spotyka, a choć zawsze się starali, by rodziny zachowały łączność, widzieli też, że Francesca jest ogromnie szczęśliwa w nowej rodzinie, i nie chcieli tego niszczyć.

Tak czy owak, te spotkania były obowiązkowe, nie mogła się z nich wykręcać. Staralam się, żebyśmy całą piątką gdzieś się wtedy wybierali pod opieką którejś z pracownic socjalnych. Na przykład przy ładnej pogodzie szliśmy do parku karmić kaczki, a potem na frytki. Niech Bóg wynagrodzi naszym

opiekunkom, – pewnie ciągnęły losy, bo nieźle się im wtedy dawaliśmy we znaki.

Gorzej, jeśli padało. Zwykle koczowaliśmy w jakimś barze albo westybulu hotelu Gresham czy Royal Dublin, starając się jak najwolniej sączyć colę, żeby starczyła do frytek. Justine i Nicola nieustannie zmawiały się przeciwko Francesce, która traktowała je z góry, więc ja i opiekunka większość czasu spędzałyśmy, usiłując zaprowadzić pokój. James zaś w pewnym momencie zaczął się nudzić i marudził. Żadne z nas nie chciało rozmawiać o mamie, choć opiekunki zawsze o niej wspominały i próbowały nas zachęcić do podjęcia tego tematu.

Świetna zabawa, bez dwóch zdań.

Tamtego dnia, gdy już skończyliśmy się kochać, zostawiłam Toma Bennetta w łóżku – niech leczy kaca – a sama wyszykowałam Jamesa. Tom powiedział, że się prześpi, a potem wybierzemy się do jakiegoś baru. Zauważyłam, że od pewnego czasu często opuszcza pracę. Nie pierwszy raz spędzał dzień u mnie, choć powinien iść do fabryki. Uznałam jednak, że dość się nasłuchiwał kazań jak na jeden dzień, poza tym był taki nieszczęśliwy – mimo seksu – że nie chciałam kopać leżącego.

Kiedy po raz trzeci zjawił się pijany, przebrała się miarka.

Wybaczyłam mu drugi raz – twierdził, że kolega z pracy obchodził dwudzieste pierwsze urodziny – ale wtedy zapowiedziałam, że jeśli to się powtórzy, zrywam z nim. (I za drugim razem nie zgodziłam się pójść z nim do łóżka, choć mnie namawiał. Wykluczone).

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że w końcu wystarczyłoby, gdyby się u mnie nie zjawił pijany. Przecież bym się nie dowiedziała. Tymczasem on jakby chciał, żebym go nakryła. Tak więc gdy sytuacja powtórzyła się po raz trzeci, musiałam dotrzymać słowa. Zapowiedziałam, że zerwę, i zerwałam. Stałam przed najtrudniejszą decyzją w życiu.

Musiałam myśleć także o Jamesie. Był jeszcze malutki. Nie mogłam go powierzyć opiece kogoś niegodnego zaufania, życie i bez tego nie będzie go rozpieszczać.

A kiedy już się kogoś poślubia, to na dobre. Tak uważam. Nie jestem przekonana do rozwodów i choć całym sercem opowiadam się za wolnością i prawami obywatelskimi, w referendum zagłosowałam na nie.

Teraz trochę żałuję. Gdyby je powtórzono, zapewne opowiedziałabym się za wprowadzeniem rozwodów. Jestem wściekła, że w ten sposób oddałam głos na ludzi, którzy podważali wynik referendum. Fakt, przegraliśmy o włos, ale zwolennicy rozwodów wygrali uczciwie. Nie znoszę ludzi, którzy nie potrafią się pogodzić z klęską. Nie chcę, by mnie zaliczano do tej grupy. Mamy demokrację, a jeśli się komuś nie podoba, niech się przenieś do Chin.

Nie z pobudek religijnych byłam przeciwna wprowadzeniu rozwodów – nawet nie chodzi o kościół. Zagłosowałam przeciwko, gdyż przekonał mnie argument Williama Binchy’ego, że jeśli bierze się ślub w „prawodawstwie rozwodowym”, w ogóle nie buduje się trwałego związku.

Kiedyś w szkole prowadził u nas rekolekcje jezuita. (Między innymi dlatego chciałam posłać Jamesa

do Belvedere, że ten ksiądz zrobił na mnie ogromne wrażenie). Nauka dotyczyła moralnych rozterek związanych z wchodzeniem w kobiecość.

Jedno na zawsze utkwilo mi w pamięci. Mówił o zastrzeżeniu potajemnym. Zgodnie z nauką Kościoła, można powiedzieć, co się chce – nawet kłamstwo – jeśli równocześnie w duchu zrobi się zastrzeżenie. Wtedy to przestanie być kłamstwem. Powiedzmy, że przyłapano cię w sklepie na kradzieży rajstop. Możesz spojrzeć ochroniarzowi prosto w oczy i powiedzieć: „Nie ukradłam rajstop”, chociaż je ściskasz pod kurtką. Nie będzie to ani grzechem, ani kłamstwem, jeśli w duchu dodasz: „ci” albo „w każdym razie nie tobie”. Na tym polega zastrzeżenie potajemnie.

(Często się do niego nie uciekam, ale zdarza mi się to od czasu do czasu).

Ślub w „prawodawstwie rozwodowym” to właśnie takie potajemne zastrzeżenie. Mówisz: „póki nas śmierć nie rozłączy”, ale w majestacie prawa otrzymujesz furtkę w postaci dodania w duchu: „albo póki mi się nie znudzisz”. William Binchy nieustannie to powtarzał w czasie debat telewizyjnych.

Nienawidzę hipokryzji. Albo się bierze ślub, albo nie.

Jeszcze długo po zerwaniu chodziłam jak śnięta. Przez pierwszy tydzień, dzień i noc spodziewałam się, że się zjawi.

Zwłaszcza w nocy, jeśli coś zachrobotało na ganku: pies, kot czy stróż, nastawiałam uszu i czekałam. Mieliśmy uzgodniony sygnał: trzy uderzenia, przerwa, jedno. Ale Tom Bennett się nie zjawił.

Poruszałam się jak we śnie. Wtedy po raz pierwszy i ostatni brałam valium. (Z oczywistych powodów unikam wszelkich prochów). Dała mi je Patsy. Nawet w tamtych czasach miała doń nieograniczony dostęp.

– Na miłość boską, weź – namawiała. – Nie umrzesz od tego, to działa krótko.

Trochę pomogło, przynajmniej zasypiałam. Ale za dnia miałam wrażenie, jakby mózg mi spowito w angorowy sweter. I do tego ten niesmak w ustach.

Nie zliczę, ile razy szłam do budki zatelefonować do Toma do pracy, ale zawsze wracałam do domu, nie zadzwoniwszy.

Podejrzewam, że to valium pomogło mi podejmować trudne decyzje. Polecam. Ale tylko na krótko. Przeszukuję szuflady Jamesa. Nie dopuszczę, żeby w tym domu znalazła się tabletki, o której nic mi nie wiadomo. Na razie żadnej nie znalazłam.

Bez Patsy pewnie bym nie przebrnęła przez tamten okres.

Bardzo się wtedy do siebie zbliżyliśmy, jak za czasów szkolnych, zniknęła luka osobno spędzonych lat.

Chodziła wtedy z kimś, ale jeszcze nie знаła Martina, swojego przyszłego męża. Pracowała w urzędzie podatkowym w centrum, więc mogła mnie odwiedzać podczas przerw na lunch.

Pracownicy państwowi mają wyjątkowo długie przerwy obiadowe. Bez niej bym zginęła.

Po prostu muszę niedługo jej powiedzieć o Jamesie.

Po zerwaniu tylko raz widziałam Toma Bennetta.

Przypadkowo. W wigilię robiłam zakupy na Henry Street, macie pojęcie? Wszędzie kłębiły się tłumy, byłam bliska wybuchu.

James rozrabiał w wózku. Zsunął się tak, że nogi wlokły mu się po ziemi. Podjechałam pod Roches Stores i stanęłam przy drzwiach, żeby go porządnie posadzić. A gdy się wyprostowałam, zobaczyłam przed sobą Toma Bennetta.

Coś mnie ścisnęło w dołku.

– Cześć – mówi, wyraźnie równie poruszony, tak jak ja. Ma na sobie zestaw, który znam aż nadto dobrze. A potem zauważam, że towarzyszy mu dziewczyna. Też ruda, jak on – ich dzieci będą ryże jak marchewki – ale z przyjemnością dostrzegam, że jest drobniutka. Wręcz koścista.

Muszę przyznać, że robi wrażenie, umie podkreślać walory figury. Ma na sobie obcisłe dzinsy – pewnie jej się wrzynają w ciało – a do tego plastikową czarną, błyszczącą kurtkę. Ściągniętą paskiem dla podkreślenia szczupłutkiej talii.

Serce bije mi jak młotem.

– Jak się masz? – pytam nienaturalnym głosem, którego nie znoszę, a którym zawsze mówię w chwilach zdenerwowania.

– Doskonale – odpowiada i odwraca się do dziewczyny. – To jest Iksińska (nie zapamiętałam jej imienia) – przedstawia nas sobie.

Potem następuje jedna z najgłupszych rozmów w moim życiu.

Narzekamy na tłok, jakbyśmy się go tu nie spodziewali, a przecież świąteczne tłumy na Henry Street są już przysłowiowe.

Tymczasem my powtarzamy: co za ścisk. Okropność, nie sposób przejść.

– A ten hałas! – (To ona). – Nigdy więcej nie przyjdziemy tu w wigilię.

Wszyscy troje jak najęci kiwamy głowami. Kłamiemy, aż nam się z uszu dymi, i szukamy pretekstu, jak by się tu pożegnać.

Panienska mierzy mnie wzrokiem. Założę się, że jej o mnie nie powiedział, a zachowanie Toma wyraźnie wskazuje, że jestem upiorem z jego przeszłości.

Dzięki Bogu, że dziś wigilia i możemy przyłączyć się do okrzyków „Wesołych Świąt”, nie tracąc

przy tym twarzy. Pełna kultura. Ale nie czuję się jak kulturalna dama, mam ochotę zabić.

Długo trwało, nim ochłonęłam, biedny James został spławiony, gdy zaczął prosić o świąteczną paczkę od jednego z handlarzy – a stało ich mnóstwo, co krok, to jeden. W końcu ustąpiłam – cóż on w końcu winien, że nie poszczęściło mi się w miłości – i wydałam część z trudem zaoszczędzonych pieniędzy na jedno z tych świąt.

Zauważyliście, że ci uliczni handlarze zawsze działają stadnie?

Ja tak. Rozumiem, jeśli w okolicach jakichś świąt sprzedaje się określony towar, ale poza sezonem? Danego tygodnia na Henry Street wszyscy jak jeden mąż handlują skarpetami. A w tydzień później zapalniczkami albo naklejkami czy plakatami. Zawsze sobie wyobrażam olbrzymią hurtownię, w której odbywają narady sztabowe i opracowują strategię. W tym tygodniu sprzedajemy batony Mars albo dziesięć kartonów jedzenia dla kotów po funcie, a skarpety zachowajmy na gorsze czasy. Może nawet mają głównodowodzącego, któremu na końcu składają podziękowanie.

Raz widziałam, jak wszyscy równo sprzedawali szpilki, którymi zaznacza się miejsce, gdzie upadła piłka golfowa.

I wiecie co? Gdy przyjrzałam się paczce świątecznej Jamesa, okazało się, że wybrałam taką z łakociami Cadbury’ego!

Dobrze chociaż, że nigdy nie dostałam pierścionka zaręczynowego, więc nie miałam rozterek: oddać go czy nie. I nie zaszłam w ciążę.

Wyobrażacie sobie?

## **Rozdział 9**

Wiecie co? Szczęście się do nas uśmiechnęło!

Pięćset funtów!

Nie wierzyłam własnym oczom. Kupiłam ją przy okazji kupna

„Evening Herald”. Staram się ograniczać do dwóch tygodniowo: zwykle w poniedziałek albo wtorek, a potem w czwartek lub piątek. Po pierwsze, tydzień wtedy szybciej płynie, a po drugie specjalnie wybieram dni, gdy nie ma losowania lotto. Uważam, że kupowanie ich w dniu losowania świadczyłoby o pazerności.

Kuszeniu losu.

I nie przeszkadzałoby mi to, ale nawet nie myślałam o losie ani szczęściu, gdyż tego poniedziałku James po raz czwarty meldował

się w sądzie – Patrice Murphy ostrzegął, że sam proces szybko nie nastąpi, ze względu na gromadzenie dowodów, zaległości itede – i za bardzo się lękałam, co znajdę w gazecie. (Nie

pojmuję, jakim cudem prasa jeszcze nas nie dopadła. Może to jedna z tych sytuacji, gdy człowiek myśli, że cały świat się wokół niego kręci, podczas gdy twoja sprawa nikogo nie obchodzi. Jeśli tak, to dzięki Bogu, że świat i sądy mają tyle roboty, że na nas nie zwrócono uwagi). Ciągle jeszcze nie zebrałam się na odwagę, żeby powiedzieć Patsy.

Tak mnie pochłaniają te myśli, że o zdrapcę przypominam sobie dopiero po herbacie. Pomyślcie tylko! Cały czas leżała w torebce, kryjąc w sobie cudowną niespodziankę.

Gdy już wszystko zdrapałam – trzecia pięćsetka pokazała się dopiero w ostatnim kwadraciku – zareagowałam tak samo jak wtedy, gdy coś się zgubi albo ci ukradną. Człowiek wówczas ciągle wraca do pustego miejsca, jakby ta rzecz miała w cudowny sposób się odnaleźć. To samo było ze zdrapką. Ilekroć podeszłam do stołu, na którym ją zostawiłam, bałam się spojrzeć. A nuż się pomyliłam i jedna z tych pięćsetek to pięć tysięcy albo pięćdziesiąt; a może kartka po prostu zniknęła. Nie. Leżała tam cały czas.

Jeśli podliczyć wszystkie moje zarobki i założyć, że co niedziela mam występ, a co sobota ślub, taką kwotę uzbierałabym dopiero po sześciu tygodniach. Równowartość półtoramiesięcznych zarobków za jednego funta.

Oczywiście, istnieje niebezpieczeństwo, że natychmiast potem się idzie kupić sto następnych.

Ja za to natychmiast zaczęłam widzieć tę wygraną w czarnych barwach.

Więc to już szczyt? Najlepsze, co mi się przytrafi? Już nigdy nie zakręcę kołem, żeby wygrać w „Winning Streak” ćwierć miliona funtów? Beznadziejne pięćset na całe życie?

Mnie samej nie mieściło się w głowie, że mogę do tego stopnia darowanemu koniowi zaglądać w zęby. Pięć minut temu miałam zaledwie parę funtów. Teraz zdobyłam pięćset i czuję się nieszczęśliwa? Weź się w garść, Ange.

Ta wygrana to dopiero pierwsza rata. Następny przystanek:

„Winning Streak!”

Jednak przeszły mnie dreszcze. I to z zupełnie innego powodu. Kiedy byłam mała, miałam pewnie siedem, osiem lat –

Francesca już mieszkała w rodzinie zastępczej, a mama spodziewała się Justine – wiecie, co wygrała? Pięćset funtów ze

„Złotej Gęsi”. To był konkurs dla klientów sklepu. Myśmy nie odczuli wygranej, bo jeden z przyjaciół mamy, nie pamiętam jego imienia, się nią „zaopiekował”. Zaopiekował, gadaj zdrów.

Jedyne, co nam zostało, to nowy odkurzacz (w dobrych okresach mama skrupulatnie pilnowała czystości), który w swoim czasie powędrował do wuja na Marlborough Street. Ale przez ten krótki czas, gdy go miała, przynosił jej tyle radości. Nadal pamiętam wieczór, gdy przyszedł właściciel „Złotej Gęsi” i powiedział nam o wygranej.



Możliwe, że po prostu mamy szczęście w loteriach... Ale nie wierzę, by było kwestią przypadku, że obie wygrałyśmy dokładnie pięćset funtów. To coś więcej niż zbieg okoliczności. Sądźcie, że przypadkowo spadło mi z nieba pięćset funtów, czyli właśnie ta suma, za jaką zastawiłam rzeczy mamy? (Plus odsetki, ale dużo się tego przez te parę tygodni nie nazbierało). Ja nie mam wątpliwości.

Czyli w naszej rodzinie uśmiech losu przyjmuje postać pięciuset funtów. „Uśmiech losu”. To ulubione określenie Pata Kenny’ego, nieustannie używa go w swoim programie radiowym.

Ucieszyłam się, gdy po raz pierwszy je u niego usłyszałam, bo należy też do moich ulubionych określeń. Ma takie bajkowe brzmienie, człowiek niemal słyszy, jak zachwycone trzepocze skrzydełkami. Nauczyłam się go od mamy. Nie miała zbyt bogatego słownictwa, nie, ale z pewnością na głowę biła swoich sąsiadów z czynszówek. Ona mnie zachęcała.

To słowo kojarzy mi się z niezapominajkami. Sama nie wiem dlaczego, może dlatego, że oba brzmią dość lekko. A może dlatego że niezapominajki były ulubionym kwiatem mamy.

Pamiętam ręcznie haftowany obrus, właśnie w niezapominajki, zachowała go aż do końca. Może właśnie przy tym obrusie siedziałyśmy, gdy tłumaczyła mi, co to znaczy „uśmiech losu”, i stąd to skojarzenie, ale, niestety, nie pamiętam. Ten obrus jako ostatni poszedł do lombardu i sądzę, że to ostatecznie złamało jej serce.

Tak więc czy powinnam wykorzystać te pięćset funtów na wykupienie jej rzeczy z lombardu, czy nie? Nie mogłam się zdecydować. W końcu to cenna pamiątka po niej, a wygranie dokładnej należności wydawało się znakiem, że powinnam tak postąpić. Ale z drugiej strony, przydałoby się parę drobniaków do mieszkania, a przecież chciałyby, żebym miała ładny dom.

Czy też mam je wykorzystać, aby pomóc Jamesowi? Fundusz rezerwowy, jakim dysponują związki zawodowe. Postanowiłam się z tym jeszcze przespać.

Nie powiedziałam Jamesowi, choć aż mnie rozsadzało, żeby się podzielić dobrą nowiną. Uznałam, że nie wypada się cieszyć, gdy on ma takie straszne kłopoty.

A ponieważ nie mogłam tego zachować dla siebie, zadzwoniłam do Patsy, ale jej nie zastałam. Odebrał jej najmłodszy syn, Darren. Nie przepadam za nim, choć przy niej się nie przyznaję. Nigdy nie mówi „halo”, tylko: „tak” albo „pani w jakiej sprawie”, albo „kto mówi”. Gdybyśmy mieli telefon, mój dzieciak wiedziałby, jak się zachować.

Dobrze chociaż, że tego wieczoru miałam zajęcia z angielskiego, więc nie musiałam siedzieć w domu sam na sam z radosną nowiną. Miałam wrażenie, że pęcznieje we mnie balon i rozpęknę się, jeśli komuś nie powiem. Pochwaliłam się panu Elliottowi, kiedy razem rozkładaliśmy materiały. Trzeba przyznać, że pod tym względem jest w porządku: pisze dla nas komentarze i przygotowuje dla wszystkich odbitki.

– Gratuluję – mówi. – To świetnie. – Brzmi to trochę sztucznie, jak „wszystkiego najlepszego” skierowane do obcej osoby, więc podcina mi skrzydła. Ja tu sobie wyobrażam, że jestem o krok od

złapania Pana Boga za nogi, a jego stać tylko na „gratuluję, to świetnie”, takim samym tonem, jakbym przeszła na dietę i zrzuciła parę kilo.

Postanowiłam, że nie dam sobie zepsuć nastroju. Całe zajęcia bujałam w obłokach. Chyba się skłaniałam do zatrzymania tych pieniędzy i nieodbierania rzeczy z lombardu... Ale wtedy drugi głos cmokał z niezadowoleniem. Już wiem, co czuł Chrystus na pustyni. Idź precz, szatanie.

Zawsze marzyłam o porządnym chodniku przy kominku.

Szczytem możliwości Reddy'ego jest półokrągła mata ze sztucznego włókna, niby to puszysta, z wizerunkiem kotka.

Z całą pewnością wiertarka firmy Black and Decker. To by mi zapewniło cudowne poczucie niezależności. I może niewielka suszarka. Nie znoszę wywieszać prania, a suszarka stanowiłaby szczyt luksusu. Choć podobno zużywa mnóstwo prądu.

Gdybym rzeczywiście zatrzymała pieniądze, część sumy powinnam przekazać na tych nieszczęśników z Trzeciego Świata.

Albo organizacji siostry Stan zajmującej się bezdomnymi. Podoba mi się to, co robi Alice Leahy z Trustu. Oglądałam ją kiedyś w telewizji. To się nazywa dzieło miłosierdzia. Bo czy zdobylibyście się na to, co ona? Obcinanie paznokci starcom i nędzarzom?

Mycie ich biednych, schorowanych głów? Fúj!

Ta jedna noc, spędzona w Irish Life Centre, pokazała mi, co znaczy być bezdomnym. Błagam, Boże, oby żadne z nas nigdy, przenigdy nie musiało przez coś takiego przechodzić. Nie zniosłabym myśli, że James nie ma się gdzie podziać. Trudno wyrazić, co człowiek wtedy czuje. Oczywiście samotność, to wiadomo, ale nie taką zwykłą samotność. Ma się poczucie, że do nikogo się nie należy ani nikt do ciebie nie należy, i odpływa się ze świata w jakieś koszarne, zimne, odległe miejsce, gdzie nikt nigdy nie zagłąda i cię nie znajdzie. To przerażające.

Dzięki Bogu, że spędziłam tylko jedną taką noc. Choć zamartwiałam się, co się dzieje w domu, przez głowę przebiegały mi zupełnie nieznaczące myśli. Specjalna szczoteczka do zębów, którą mama otrzymała z kliniki dentystycznej, żeby nie ranić sobie dziąseł. Pół puszki żółtej farby, którą dostała od sąsiada, żeby zamalować ślad kopniaka na drzwiach, pamiątka po jednym z przyjaciół.

Niesamowite, jakie drobiazgi składają się na dom, prawda?

Skoro mowa o samotności, założę się, że Lady Makbet była jedną z najbardziej samotnych osób na świecie. Pamiętam, jakich okropieństw się dopuściła, ale mimo wszystko żal mi jej. W końcu tak naprawdę ona pragnęła tylko szczęścia swojego męża, tyle że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Pan Elliott każe nam odgrywać fragmenty sztuk, żeby stały się nam bliższe i byśmy lepiej je zapamiętali. Strasznie się boję, kiedy na mnie padnie. Do tej pory mnie nie brał, ale wkrótce przyjdzie moja kolej. Biedne były te dzieciaki wiele lat temu, gdy musiały się uczyć na pamięć najśłynniejszych fragmentów poszczególnych sztuk, a jeśli tego nie zrobiły, dostawały po łapach. Co

ja wygaduję! A czy mnie nie przytrafiło się dokładnie to samo na egzaminach? Przyznaję się bez bicia, nieźle dawałam w kość nauczycielkom, ale nie zasłużyłam na bicie. Ani ja, ani nikt inny.

Dzięki Bogu za zmiany w systemie oświatowym. James nie wie, co znaczy bać się nauczyciela. A gdyby któryś ważył się podnieść na niego rękę, zrobiłabym z niego miazgę.

Pan Elliott wbija nam do głowy, że powinniśmy znać na pamięć parę najważniejszych fragmentów, ale ostatnio, powiada, egzaminatorom bardziej zależy na tym, by uczniowie rozumieli kontekst i znaczenie niż pamiętali dosłowny cytat ze sztuki czy wiersza. Wszyscy w mojej grupie zachwycają się wielkimi, długimi monologami, ale ja dla odprężenia wybieram drobne fragmenty, na przykład ten z „Makbeta”, gdy Rossę spotyka się ze Starcem:

*Siedem krzyżyków mam na karku: wiele*

*Zdarzyło mi się widzieć okropności*

*I dziwów – ale wszystko błędnie przy tej Straszliwej nocy. \*[„Makbet”, akt II, scena 4. Przełożył Stanisław Barańczak.]*

Widzicie to? Od czterech wieków nic się nie zmieniło. Słyszę ich codziennie tam, na ławkach w parku Mountjoy. Płaszcz i postawione kołnierze, nawet jeśli słońce pali niemiłosiernie.

Wyrzekają na dzisiejszą młodzież, na rząd i ceny piwa. Z czystej złośliwości nie odrzucają piłek do koszykówki albo nogi, kiedy się do nich przytoczą. Licytują się i prześcigają w koszmarnych opowieściach. Dla nich wszystko zawsze jest ponure i pełne grozy. Niech Bóg się nad nimi zlituje. I te zmęczone, stare jak oni psy, zawsze rasy Jack Russel, na zniszczonych, przedpotopowych smyczach. Zastanawiam się, czy zaczynają od dużych psów, a potem z wiekiem schodzą do coraz mniejszych...

Nasza grupa to dość mieszana paczka, począwszy od siedemdziesięcioletniej babci z trójką prawnucząt. Jest i stolarz, nazywa się Ken, bardzo miły, ogromnie się zaprzyjaźniliśmy. Muzyk rockowy (przynajmniej za takiego się podaje, choć ja wątpię) i paru panów w swetrach, którzy z ponurymi minami siedzą w ostatnich rzędach. Nie dziwię im się: większość grupy stanowią kobiety, prawie same gospodynie domowe. Wszyscy zdecydowaliśmy się na naukę, żeby poprawić swoją sytuację. Niektórzy zamierzają nawet pójść na studia.

Ja się nie wybieram. Tu przynajmniej wszyscy jedziemy na jednym wozie. Przegapiliśmy pierwszą szansę i okazujemy sobie zrozumienie.

Choć to nie do końca prawda. Na razie jeszcze się obserwujemy i wyczekujemy, ale u kilku pań już dostrzegam załączki rywalizacji. Zdążyłam się przekonać, że kobiety mają znacznie większe skłonności do rywalizacji niż mężczyźni.

Najbardziej zaciekle konkurują z innymi kobietami. A gdy kobiety o coś walczą, mężczyźni niejako znikają z gry. Jak w Tour de France. Kobiety zawsze stanowią peleton, odsadzają mężczyzn, a potem

się obserwują. Czyż nie imponuje wam moja wiedza z dziedziny wyścigów rowerowych? (Przyznajcie, że „peleton” brzmi znacznie lepiej niż „grupa prowadząca”. Od czasu trzech wspaniałych zwycięstw Stephena Roche’a w 1987 roku każdy w Irlandii zna tę terminologię. Ilu małutkim państewkom udało się zdobyć jednego roku tytuł lidera Tour de France, Mistrzostw Świata i Giro d’Italia, hm?)

To był cudowny rok. Kto z nas zapomni Stephena, jak z podniesionym w górę rękami wjeżdża na Champs Elysees i czekającego na niego Charliego Haugheya? Cały Charlie. Lubię go. Uważam, zapewne podobnie jak pozostali dublińscy, że to najlepszy premier w naszej historii. Nie musimy się go wstydzić, nawet podczas wizyt zagranicznych. Zna się na winach, potrafi jak równy z równym rozmawiać o Rewolucji Francuskiej.

Do tej pory nikt w grupie nie dostał najwyższej oceny. I, przynajmniej na razie, nie dostrzegłam, by mnie inaczej traktowano po ostatniej piątce. Pewnie uznano to za jednorazowy sukces – zwykle dostaję czwórki i trójki – i nikt nie poczuł się zagrożony. Ale ja obserwuję i czekam. Podejrzewam, że podobnie jest na uniwersytecie. Chyba czułabym się tam jak ryba wyrzucona na brzeg. Zobaczymy. Może nabiorę większej wiary w siebie, gdy (o ile!) zdam maturę. Gdzieś w przyszłym tysiącleciu!

W pewnym momencie naprawdę wierzyłam, że James zda na studia. Mama byłaby taka dumna, poza tym zagrabiłyśmy na nosie naszym krewniakom z Birr. Jej zemsta. Wiedziałam, że nie ma co marzyć o weterynarii, ale zoologia bądź rolnictwo, coś, co naprawdę by go interesowało... Oczami wyobraźni już go widziałam na uczelni. Nieustannie natykam się na studentów w czarnych togach i podniszczonych biretach. Swoją drogą, są czarujący: te miny, jakby wypełniali misję o Bóg wie jak doniosłym znaczeniu. Cóż, w tym wieku pewnie wszystko bierze się tak do serca. Ja niewiele pamiętam z tego okresu życia, całą energię skupiałam na opiekowaniu się Jamesem i utrzymaniu nas obojga.

W tej chwili James jest kompletnie załamany. A szczerze powiedziawszy, nie przychodzi mi na myśl ani jedna pociecha.

Prawnik ma za dużo roboty, żeby dodatkowo zawracać mu głowę, ale przyznam, że uważam instytucję darmowego adwokata za cudowny wynalazek. Nie wiem, co byśmy bez tego zrobili. Jak biedni wcześniej sobie radzili?

Tamtego dnia, gdy pojechałam do Drumcondra – minęło już parę tygodni – po powrocie przesłuchałam mnie, żeby się upewnić, czy się tam nie wybrałam. Skłamałam. Powiedziałam, że się rozmyśliłam. W drodze powrotnej na tyle się uspokoiłam, że zabrzmiało to przekonująco.

Prześladuje mnie jej twarz.

Następnej nocy po rozmowie z nią nie mogę zasnąć, ponosi mnie wyobraźnia. Nieustannie widzę ich oboje we Flurry Glen.

Czy krzyczała? Czy ją uderzył? Nie wytrzymam dłużej.

Dochodzi trzecia nad ranem, słyszę, że James nadal krąży, po sypialni. Choć cały czas spędza w

łóżku, ma trudności z zasypianiem, zwłaszcza ostatnio.

Wchodzę.

– Czy krzyczała?

– O co ci chodzi?

– Wiesz o co. Czy krzyczała?

– Zamknij się. Wynoś się z mojego pokoju.

– Nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz, co się wtedy stało.

Przynajmniej tyle jesteś mi winien. Przez ciebie zastawiłam rzeczy...

– Nikt ci nie kazał... Myślisz wyłącznie o forsie.

– Powiedz, co się stało, albo...

– Albo co?

Mierzymy się wzrokiem. Zawsze mnie tak załatwia. Doskonale wie, że go nie wyrzucę. Nazywają to trudną miłością. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym zdobyć się na taką trudną miłość. Za bardzo go kocham. I mamy tylko siebie.

Ale tym razem łatwo nie ustąpię. Gra się toczy o zbyt wysoką stawkę, muszę przynajmniej zrozumieć. Siadam na jego łóżku.

– Nie ruszę się, dopóki nie zaczniesz ze mną rozmawiać jak człowiek.

– Jest trzecia nad ranem, do cholery – mówi.

– Właśnie – odparowuję. – Więc powinieneś zdawać sobie sprawę, że to nie przelewki.

Zaczynamy milczącą wojnę. On też siada. Ma stary fotel samochodowy, który znalazł gdzieś na obwodnicy. Jedno trzeba przyznać tym starym kamienicom, przerobionym przez typków pokroju Reddy'ego: ma się mnóstwo przestrzeni. James nakłada na uszy walkmana, słyszę tylko dudnienie z małych słuchawek.

Ogłuchnie, a wraz z nim całe jego pokolenie. Denerwuje mnie to, ale nie okazę rozdrażnienia. Chcę mu udowodnić, że tym razem pozostanę nieugięta. Będę tu sterczeć jak wzgórze Rushmore.

Ściany w pokoju poobwieszał plakatami, na które ja w życiu bym nie spojrzała: Black Grape, Oasis, mistrzowie kungfu i Eddie Irvin. Ma świra na punkcie samochodów wyścigowych. Oprócz tego The Cure i Megadeth, choć jeszcze do niedawna sądziłam, że The Cure to już melodia przeszłości. Wygląda na to, że nie.

Wracają na estradę, nawet dadzą koncert w Dublinie.

Wojna się przeciąga. James nie odezwie się ani słowem, a ja się nie ruszę, póki tego nie zrobi.

Gapię się na plakaty, jakbym była w muzeum. Ostatnio wszyscy wielcy upodobali sobie Dublin, od Springsteena, przez Take That po Tinę Turner. Gościliśmy nawet Pavarottiego, Placido Domingo i Barry'ego Manilowa. Dublin stanowi istotne miejsce w ich trasach koncertowych.

Chętnie tu przyjeżdżają, bo publiczność niezwykle serdecznie ich przyjmuje. Ponoć Garth Brooks nie wierzył, że wszyscy na widowni znają każde słowo jego piosenek, nawet z najnowszego albumu, który dopiero co się ukazał. Osobiście nigdy nie byłam na żadnym koncercie, ale jedno wam powiem: jeśli zjawi się Barbra Streisand, zastawię wszystko, co mam, żeby się znaleźć w pierwszym rzędzie. Choć homo by mnie zdeptali. Nie obchodzi mnie, komu ona najbardziej odpowiada, dla mnie jest cudowna.

Trzy razy oglądałam „Tacy byliśmy”. Wypłakałam całe wiadra łez. „Puchacza i kocicę” dwa razy. A już nie wspominajcie o

„Zabawnej dziewczynie”. Ona potrafi wszystko: śpiewać, grać, reżyserować, wszystko. (Z poczucia lojalności nie poszłam na

„Yentl”).

Jak to się mówi: zegar odmierzał kolejne minuty – choć James nie ma w pokoju zegara.

Trzęsę się, bo jestem tylko w koszuli nocnej. James nie czuje chłodu, gdyż śpi w ubraniu. Wścieka mnie to, próbowałam za wszelką cenę nauczyć go higieny, ale od kiedy skończył

szesnaście lat, przypomina to walenie grochem o ścianę. Gdy jest zmęczony, po prostu naciąga kołdrę na głowę i na tym kończymy dyskusję. Pewnie powinnam być wdzięczna, że zdejmuje buty.

– Więc nie powiesz? Robi mi się naprawdę zimno. Oczywiście nie reaguje. Słyszy tylko dudnienie muzyki, a oczy zamknął, jakby lada chwila miał otrzymać stygmaty. Podchodzę, odchyłam słuchawkę i drę mu się prosto do ucha:

– Ścisz to cholerstwo!

Tak się przestraszył, że nawet posłuchał.

– Dobra – oświadczam – zmarzłam i za bardzo jestem zmęczona, żeby dalej się bawić w tę wojnę nerwów, ale ostrzegam: chcę się dowiedzieć, co się naprawdę stało. I nie myśl sobie, że ci się upiecze. – Po czym wychodzę z pokoju.

Ledwo wróciłam do łóżka, opadają mnie wątpliwości. Może to wszystko sobie wymyśliłam? Ale ilekroć zamknę oczy, wraca jej twarz. Nie upadnę tak nisko, żeby pytać, czy to ona go sprowokowała. Seks to taka skomplikowana sprawa.

## Rozdział 10

Niecałe dwa tygodnie do egzaminów. A mimo to cieszę się, że PA System ma w niedzielę ślub. Chyba nie wytrzymałabym całego dnia w domu. W niedzielę James jest w fatalnym nastroju, całkowicie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że w poniedziałki musi się stawiać przed sądem.

Pewnie się dziwicie, że w ogóle mogę myśleć o czymś równie przyziemnym, jak egzaminy czy koncerty. Ja tymczasem jestem tak spięta, że sama nie pojmuję, jakim cudem potrafię się skupić na lekturze. Ludzki umysł nigdy nie przestanie mnie zdumiewać.

A przecież człowiek nie może żyć bez przerwy na wysokich obrotach. Jego mózg by tego nie wytrzymał. (W dzieciństwie nie rozumiałam tego skojarzenia. Nie wiedziałam, że urządzenie na wysokich obrotach łatwo może się przepalić).

Lubimy śluby, to czysta i miła robota, a przy tym gotówka do rączki. Za ślub kościelny liczymy osiemdziesiąt funtów, po czterdzieści od łebka. Niezła stawka za godzinę pracy. Ludzie polecają nas znajomym, zyskałyśmy niezłą reputację. Jediną negatywną stroną śpiewania w kościele, a nie w pubie, jest to, że trzeba się ubrać stosownie do okazji, co bywa trochę kłopotliwe.

Ale my trzymamy się na uboczu – nie występujemy na weselach, bona ogół ludzie chcą tańczyć, poza tym za dużo piją – więc w końcu nie musimy być aż tak strasznie odsztafirowane.

W sumie taki występ to łatwizna, mamy opracowany dyżurny zestaw: „Pie Jesu”, „Panis Angelicus”, „From a Distance”.

Czasem barkarola, jeżeli ksiądz się nie sprzeciwi. Zwykle młoda para prosi też o „swoją” piosenkę. Raz poproszono nas o „King of the Road”, bo oblubieniec był kierowcą ciężarówki, ale tu już ksiądz zgłosił weto.

Tego czwartku w szkole było gorąco – nie tylko ze względu na napięcie przedegzaminacyjne. Zrobił się prawdziwy upał –

pomyślałam, że czeka nas wspaniałe, gorące lato.

Trochę się rozmarzyłam. Uwielbiam, gdy zachodzące słońce odbija się w oknach, tak że szyby przypominają delikatną, wypolerowaną miedz. Okna są przesuwane w pionie.

Georgiańskie. Chyba już wam powiedziałam, że to jeden z uroków mieszkania w Dublinie. Nasze georgiańskie dziedzictwo.

W Dublinie bardzo aktywnie działa Towarzystwo Georgiańskie.

Doradzają tam, jak odrestaurować budynek. W innej sytuacji, gdyby nasze mieszkanie do nas należało, z pewnością bym do Towarzystwa wstąpiła, choć nie wiem, czyby mnie przyjęli. Może trzeba być właścicielem całej kamienicy. W sypialni Jamesa jest śliczny sufit, a w salonie zachowała się część gzymsu, rzeźbionego w klasyczny grecki motyw – tak mi się przynajmniej wydaje. Chętnie bym się dowiedziała, co zrobić, żeby nie osypywał się nam na głowy i żeby człowiek po paru

godzinach nie wyglądał, jakby cierpiał na potężny łupież. Sama bym ten gzyms pomalowała, gdybym tylko wiedziała, na jaki kolor.

Ale rozmowa z Reddym równa się waleniu grochem o ścianę.

Od kiedy się wprowadziliśmy – a niedługo minie już dziesięć lat –

w szybie nad drzwiami wejściowymi tkwią dwa kawałki kartonu, zasłaniające pęknięcie. Skoro nawet tego nie naprawi, to nie ma co Uczyć, że będzie się bawił uzupełnianiem kawałków gipsu.

Weszło w życie nowe prawo, które, zdaje się, obliguje go do podniesienia poziomu mieszkania. Musi się zarejestrować jako wynajmujący kamienicę, a rząd przyśle inspektorów. Im szybciej, tym lepiej. Już oni ode mnie usłyszą, o, tak.

Wszystkie domy na naszym placu pochodzą z epoki georgiańskiej, nawet sklep Discount Electrical. Nie jestem tego pewna, ale zdaje się, że musieli się zastosować do wymagań konserwatora zabytków i dlatego ani Discount Electrical, ani DID

nie mogły umieścić tych ohydnych szyldów.

No i prawdziwy porządek. Żeby go docenić, powinniście obejrzeć nasz plac wczesnym rankiem, latem. Czasem wychodzę parę minut przed przyjazdem mikrobusu, specjalnie po to, żeby popatrzeć, jak uprzęta się ten śmietnik. Rzeczywiście, bladym świtem na ulice wyruszają sprzątający z miotłami i wózkami na śmiecie. Doceniam ich, sama pracuję w tej branży.

Nie uwierzylibyście, jak cudownie i zacisznie wygląda nasz plac w takie poranki. Zwłaszcza słoneczne. Żadnych ludzi, żadnych samochodów. Ptaki śpiewają co sił w gardłach, na drzewach rosa połyskuje niczym markazyt. W takie letnie poranki bez trudu można sobie wyobrazić dawnych mieszkańców placu.

Nie z tego wieku, ale jeszcze wcześniej, gdy nosiło się długie suknie z takich materiałów, jak batyst czy muślin, pod spodem obowiązkowo gorsety, a służba otwierała jaśniepaństwu drzwiczki powozów. Chciałabym wtedy tu żyć (może tylko nie podobałoby mi się końskie łajno, ale wtedy miałabym służbę, która by je uprzętała). I przechadzka po parku w towarzystwie dżentelmena.

Pełne bezpieczeństwo. W tamtych czasach nie było chuliganów, tylko ulicznicy.

Nasza sala lekcyjna zapewne pełniła niegdyś funkcję salonu.

Serce się ściska na widok ścianek z płyt spilśnionych, dzielących te niegdyś czarujące pokoje, i zabitych na głucho drzwi między pomieszczeniami. Ale nie winię za to właścicieli szkoły. Oni są tylko przedsiębiorcami, i to dobrymi.

Moim zdaniem, warci są czesnego, którego żądają. Wiem, że w państwowych szkołach można skończyć kurs wieczorowy za połowę ceny, ale tutaj mam doskonałych wykładowców, którzy uczciwie zapracowują na swoje pensje. Nie przeszkadza mi, jeśli przy tym zarabia kierownictwo, jeśli nie robi żadnych przekrętów.



Nie wiem nawet, czy ten budynek należy do szkoły.

Boże, patrzy na mnie. Odwróć wzrok, Ange, oby tylko nasze spojrzenia się nie spotkały. Zresztą dwa tygodnie przed egzaminem powinniśmy się koncentrować na notatkach, a nie odgrywać te idiotyczne scenki.

– Angelo, słyszałaś? Gdzie błędzisz myślami?

– Przepraszam, panie Elliott.

– Że chcesz nam przeczytać scenę z Ofelią? Nie wiem, jakim cudem do tej pory udawało ci się od tego wykręcić. Ken, ty jesteś Hamletem, pani B. damą. Tak, tak, wstawajcie. Zaczniemy od ciebie, Hamlecie.

Robię się purpurowa. Purpurowa. Muszę jednak wstać. Jestem zaskoczona, gdy słyszę, jak Ken czyta. Boże, świetnie mu idzie. I do tej pory nie zauważyłam, że ma taki miły głos.

Beznadziejna baba, ale... Zastanawiam się, czy Ken śpiewa.

– Angelo?

– Przepraszam, bardzo przepraszam, jestem zdenerwowana.

Rozproszyłam się.

– Spróbuj się skupić, Angelo. Proszę.

– Możemy zacząć od początku?

– Nie. Zaczynaj od swojej kwestii.

Zaczynam. I wiecie co? Po chwilowym zażenowaniu okazuje się, że podoba mi się czytanie na głos. Może w głębi duszy jestem ekshibicjonistką? Wszyscy mnie słuchają...

A Ken spogląda na mnie, też zaskoczony. Pewnie nie podejrzewał szarej myszki o taki talent.

– Doskonale, Angelo – mówi pan Elliot, gdy już skończyłam. –

Wszyscy świetnie się spisaliście. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego Hamlet traktuje w taki sposób Ofelię. Tak, Dwayne?

Nie słucham Dwayne'a. Założę się, że to nie jest prawdziwe imię. Gwiazda rocka, też mi!

Do licha, szkoda, że nie możemy tego powtórzyć, zrobiłabym to znacznie lepiej. Teraz żałuję, że po raz ostatni odgrywamy scenkę. Zresztą „Hamlet” nie umywa się do „Makbeta” – w tym pałacu wszyscy żyją jakby za zasłonami.

Biedna Lady Makbet, co za koniec. Czy naprawdę poszła do piekła? Boję się ognia. Nie śmiejęcie się, ale dopóki po raz pierwszy nie uczestniczyłam w kremacji, wyobrażałam ją sobie właśnie jako piekło albo coś jeszcze gorszego. Byłam przerażona, że muszę się tam stawić. Miano skremować matkę jednej z koleżanek z pracy. Sądziłam, że będziemy widzieć, jak wyjmuje się ciało z trumny i wrzuca w ogień, a potem jak płomienie pochłaniają twarz, włosy i tak dalej. Noc przed pogrzebem nie zmrużyłam oka.

Piekło nie istnieje, albo tak powiadają. Piekło to inni ludzie.

Zgadzam się z tym, wystarczy przejść się O'Connell Street późnym wieczorem w sobotę i zobaczyć, co się tam dzieje.

Atmosfera jak z tych pełnych grozy południowoamerykańskich filmów, które czasem nadają na Kanale Czwartym. O takiej porze za nic bym tamtędy nie przeszła, nie bez Jamesa. To zupełnie inny świat. Straszny. Pozornie nic się nie dzieje: gangi i grupki młodzieży odprowadzają cię wzrokiem, ale właśnie to budzi takie przerażenie. (Nie zapominajcie, skąd pochodzę! Skoro ja się boję, to co mówić o kimś z dzielnic willowych albo prowincji).

Dodajmy jeszcze to, co się ostatnio czyta w prasie: o Bogu ducha winnych ekspedientach terroryzowanych przy użyciu strzykawki z HIV albo o napastnikach atakujących staruszków w wioskach, wrzucających ich potem do dołu i przysypujących piachem.

Oczywiście, nie jest aż tak źle, jak w innych częściach świata –  
podobno.

Czyżby więc naprawdę doszło do jakiegoś zamieszania i ci, którzy nieomylnie zostali posłani do piekła, mieli pecha i przyszli na świat w czasie, gdy piekło istniało? Nie wierzę w dogmat o nieomyślności papieża. Nigdy weń nie wierzyłam. Od chwili, gdy w szkole mi wyjaśniono, na czym to polega, wiedziałam, że chodzi o pic. Zapewne służący uciszeniu wiernych, zadających niezręczne pytania. Opuść rękę, Angelo Devine, musisz po prostu uwierzyć, to dogmat. Zawsze tak odpowiadali, gdy się za bardzo drążyło. Albo: nie musisz tego rozumieć, to tajemnica.

Przepadałam za tym wyjaśnieniem.

Nie pytajcie, skąd wiedziałam o kancie z nieomyślnością, po prostu wiedziałam. W końcu, jeśli papież jest nieomyślny, to znaczy, że jest Bogiem, prawda? Bo tylko Bóg jest doskonały.

(Znam tę śpiewkę, że chodzi o nieomyślność papieża tylko w kwestiach wiary, ale moim zdaniem, oni gardłują o nieomyślności za każdym razem, gdy ktoś podważa ich stwierdzenia).

Ostatni raz modliłam się – tak naprawdę modliłam – gdy wyrzuciłam Toma Bennetta. Nie wiem, o co prosiłam. Przecież zerwałam z nim ostatecznie, nie zamierzałam go przyjąć z powrotem, ale bolało okropnie. Nie żałowałam, ale dudniło we mnie pytanie: coś ty najlepszego zrobiła? Przepęłniało mnie uczucie przeciwne do tej wielkiej bańki powietrza po wygraniu pięciuset funtów w zdrapce. Miałam wrażenie, że moje ciało zmieniło się w krater wielkości Australii.

Wstyd przyznać, ale modliłam się jak dziecko. I to do świętego Tadeusza Judy, choć on nigdy mi nie pomógł. To patron spraw beznadziejnych. A moja właśnie do takich należała. Podjęłam decyzję i musiałam się jej trzymać, choć gdybyście tamtej nocy widzieli, jak bełkoczę i szlocham, na pewno byście nie uwierzyli, że mi się uda.

Kiedy zjawił się w drzwiach, był już mocno pijany. Chwiał się na nogach i gwałtownie wyprostował, gdy otworzyłam.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie. Każę mu się wynosić.

– Co? – Patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Z

wysiłkiem mruga oczami.

– Słyszałeś – powtarzam. – Wynocha. Z nami koniec. Zrywam z tobą. Ostrzegałam cię, nie żartowałam.

– Co?

Nie rozumie ani słowa, ani sylaby. Kiwa się w drzwiach niby jakaś Wańka-wstańka. Jestem na niego tak wściekła, że na pewno nie zmiękne. Chociaż rzeczywiście żałośnie wygląda z tymi rozdziawionymi ustami i śliną ciekącą po brodzie. Rozporek też ma rozpięty. Gdybyście go wtedy widzieli, nie uwierzylibyście, że normalnie zawsze wygląda jak z igły. Popycham go. Patrzy zaskoczony.

– Co? – powtarza.

– Nie znasz innego słowa? – Najchętniej bym krzyczała, krzyk rośnie mi w gardle, ale nie chcę obudzić Jamesa. – Już nie jesteśmy zaręczeni – mówię najspokojniej, jak potrafię. – Zrywam z tobą. Kapujesz?

– Pieprzysz – mówi, ale nadal wygląda na zaskoczonego. Cofa się, zamykam za nim drzwi i znika mi z oczu.

Dopiero po jakichś dwudziestu minutach wreszcie to do mnie dociera i zaczynam płakać. A potem się modlić. Jakbym uległa praniu mózgu. Płacz-modlitwa-płacz-modlitwa. Albo jakbym była kobietą szpiegiem, która ma zamontowany „modlitewny” podzespół, uruchamiający się dopiero od łez.

Głupota. Nie wierzę w modlitwę „jak trwoga, to do Boga”.

Małżeństwo pojmuję tak, że jest się razem na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie, a nie tylko na złe i w chorobie, a tak by się rzecz miała w moim wypadku. Albo się w coś wchodzi, albo nie.

A ja nie wchodziłam. Nie mogę szukać bocznych furtek, kiedy mi są potrzebne.

Ostatnio nawet zazdroszczę tym, którzy czerpią pociechę z wiary. Widzę, jak śpieszą do kościoła jezuitów przy Gardiner Street, przecnicę od nas. Kiedy tam wchodzi, wyglądają, jakby myśleli:

wreszcie jakieś miejsce, gdzie czujemy się u siebie.

Z drugiej strony, gdyby to była naprawdę ta sama religia, którą stworzył Chrystus, to czy nie powinien zajrzeć do nas któryś z księży i spytać, czy nie może w czym pomóc? Bo czyż nie to powinni robić? W końcu należymy do ich parafii, nawet jeśli błądzimy. Nie są od ferowania wyroków, prawda? Mają ruszać z pomocą duszom w potrzebie, choćby najbardziej grzesznym.

I nie wmawiajcie mi, że nie wiedzą. Jasne, że wiedzą. Oni wiedzą wszystko, wszyściutko. Pamiętam, jak za moich czasów zgadywali, że dziewczyna spodziewa się dziecka, jeszcze nim ona sama się tego domyślała.

Najwyraźniej zaczynam już nie wytrzymywać napięcia. Tego jeszcze tylko brakuje mnie i Jamesowi, żeby odwiedzał nas jezuita.

Prześladuje mnie myśl o tym gwałcie w Furry Glen.

Oczywiście, jeśli to naprawdę był gwałt.

Żałuję, że nie zwierzyłam się Patsy, wtedy mogłabym z kimś o tym porozmawiać. Analizowałam powody swojej decyzji, w końcu ona jest moją przyjaciółką i regularnie się spotykamy. Ale coś mnie powstrzymuje.

Ją też coś gnębi i założę się, że chodzi o Martina. Ostatnio rzadko o nim wspomina. Zahaczona, natychmiast się ożywia.

Świetnie. Wszystko zawsze jest super.

Aż za bardzo.

Dostał nagrodę, bo dwa miesiące z rzędu sprzedał najwięcej samochodów. Spółka (razem z kumplem otworzyli bar w pobliżu południowej obwodnicy) kwitnie. Wpadł na genialny pomysł: razem z innym znajomkiem będą importować podzespoły komputerowe, strasznie drogie w Irlandii. Będą je sprowadzać z Irlandii Północnej, wszystko jak najbardziej legalnie, zapłacą cła, a i tak zbiją majątek.

Zastanawiam się nieraz: skoro Martin tak świetnie sobie radzi, to dlaczego Patsy bawi się w te koncerty i śluby. Czterdzieści funtów, nawet do ręki, to nie powinna być dla niej oszałamiająca kwota. Kiedyś ją nawet spytałam, ale zbyła mnie beztrosko. To jej kieszonkowe na głupoty, odpowiedziała.

Coś mi tu nie gra. Już po samym jej zachowaniu widzę, że dziewczyna czymś się dręczy. I te nieustanne narzekania na to, ile kosztują dzieci.

Nie chcę wściubiać nosa w jej sprawy. Jeśli będzie chciała, sama mi powie. Podobnie jak ja. Gdybym naprawdę chciała, zwierzyłabym się jej.

A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że ja od lat zwierzałam się Patsy ze swoich kłopotów, a ona mnie nigdy.

Przynajmniej nie z tych zasadniczych. To nierówna wymiana, choć niby mówi, gdy dzieciaki zawałają semestr.

Ale wiem, że ma prawdziwe problemy – jak każdy. Musi.

Równowaga już się zachwiała. A gdybym jej powiedziała o Jamesie, szala za bardzo by się przechyliła. Tak bardzo, że mogłybyśmy stracić się z oczu. Zresztą nie chcę być nikomu niczego dłużna, nawet najlepszej przyjaciółce. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale tak właśnie czuję. A z wiekiem coraz bardziej ufam swoim uczuciom. Patsy pewnie będzie dotknięta, gdy wyczyta o wszystkim w gazecie, na razie jednak o tym nie myślę.

Muszę przyznać: ogromnie się ucieszyła na wieść o zdrapcie.

Szczerze.

– Och, Angelo, powinnaś zrobić sobie wakacje. Razem pojedziemy. Co byś powiedziała na Minorkę? Martin zna kogoś w biurze podróży, załatwi nam zniżkę.

Oczywiście, pojawił się kolejny dylemat. Nie mogłam jej powiedzieć o swoich rozterkach, czy pieniądze przeznaczyć na wykup rzeczy mamy, bo musiałabym wytłumaczyć, dlaczego w ogóle oddałam je do lombardu.

– A co z Jamesem? – argumentuję. – Nie mogę go zostawić.

– A co on jest? Dziecko? – pyta Patsy. – Nie może wiecznie trzymać się twojej spódnicy.

Nie ma pojęcia, co wygaduje. Łatwo jej mówić, ma kochanych mamusię i tatusia, a do tego połowę segmentu przy Navan Road.

Bąkam coś, daje mi spokój, ale ostrzega, że tylko na razie. Nie odpuści mi, muszę przeznaczyć wygraną na coś, co mi sprawi przyjemność. Trzeba używać życia.

Byłam na siebie wściekła, że jej nie wyznałam prawdy.

Tracimy więź.

Zresztą jeszcze nie odebrałam pieniędzy. Dacie wiarę? Minęły dwa tygodnie, a ja ciągle jeszcze nie zamieniłam zdraпки na gotówkę. Miałam uczucie, że w ten sposób kości zostałyby rzucone. Jak gdybym pokroiła tort ozdobiony nieskazitelnie białym lukrem. Wystarczy jedno nacięcie, a cały efekt diabli biorą i nie odzyska się pierwotnej doskonałości. Zdrapka z tymi cudownymi pieniędzmi była idealna sama w sobie. Kochałam ją.

Gdybym wymieniła ją na gotówkę, straciłaby swą doskonałość, nawet jeśli bym otrzymała śliczne, nowiutkie banknoty.

Bo wtedy musiałabym podjąć decyzję. Ta nietknięta zdrapka w pewnym sensie chroniła mnie przed problemami. Stała się talizmanem. Wystarczyło na nią spojrzeć, a czułam się, jakby serce otulała mi

ciepła wlna.

Jeśli się zastanowić, to postępowałam doprawdy idiotycznie: przecież z tygodnia na tydzień rósł procent w lombardzie.

– Dobra – oświadczam Jamesowi po powrocie z zajęć – ciągle jeszcze nie znamy terminu rozprawy i ciągle jeszcze nie powiedziałaś mi wszystkiego.

Chce wyjść, ale nie wpuszczam go do sypialni.

– Proszę cię, James, przecież jestem po twojej stronie. Chyba to widzisz. Dlaczego mi nie ufasz?

To go załatwia. Wybucham płaczem.

O Boże, gdy o tym pomyślę, mnie też łzy się kręcą w oczach.

Dzieciak odgrywa takiego twardziela, a tymczasem płacze jak czterolatek, którego właśnie pobił jakiś byczek. Jest niepocieszony.

Co mam robić? Stoję. Najchętniej objęłabym go i przytuliła tak mocno, by wydusić z niego wszystkie łzy i samej je przyjąć. Ale nie mogę. Jest na to za duży. Umarłby. Dałabym wszystko, wszystko, co posiadam, byle odpędzić ten ból, ale tego też nie mogę. Więc tylko czekam.

– Nie płacz – mówię – nie płacz, James. – A sama z trudem panuję nad własnymi łzami.

Mówi coś, chyba: „Jak ja się w to wpakowałem?” – ale trudno zrozumieć, to raczej bełkot. Jak się w to wpakował. Jak, jak, jak?

– Wszystko będzie dobrze – pocieszam. – Naprawdę, James.

Usiądź i pogadamy. Opracujemy jakąś strategię.

Chlipie, naturalnie nie ma przy sobie chusteczek, więc mu przynoszę. Na szczęście właśnie uzupełniłam zapas i mam całe pudełko. Daję mu garść.

– Masz, wydmuchaj nos. Wszystko będzie dobrze. Bierze chusteczki, czyści nos, potem kolejna fala łez, wreszcie się uspokaja.

– Napijesz się herbaty? Może chcesz czekolady? – W tym tygodniu szastałam groszem. Co mi tam, wszak przy kanapie leży schowane moje przyszłe pięćset funtów.

Żałośnie kiwa głową.

Parzę herbatę, nie śpieszę się, niech chłopak się pozbiera. Gdy wracam, gapi się w podłogę. Ale przynajmniej znowu jest spokojny. Zaczęło się lato, więc niebo jest jasne, choć minęła już dziesiąta. A okna mamy tak duże, że nie musimy jeszcze zapalać światła. Siedzi w mroku, z twarzą zwróconą ku światu, sylwetka rysująca się na jasnym tle. Jak już pewnie się domyśliliście, mam słabość do

karków. Nie wiem dlaczego. U chłopców karki zawsze wyglądają tak krucho, tak delikatnie. Sprawiają wrażenie nie tyle słabych, ile nagich. Jakby się szykowały pod gilotynę.

Co w sytuacji Jamesa nie jest takie znowu wykluczone.

Od dłuższego czasu nie odwiedzał fryzjera (i dzięki Bogu, bo jak się strzyże, to do gołej skóry, na skinheada), grzywka opada mu na czoło, jak u dziecka. Latem włosy szybciej rosną.

Przyjmuje herbatę i czekoladę, ale boi się na mnie spojrzeć.

Dobrze go znam, wiem, że tak jest. Czekam, aż rozwinie czekoladę i ugryzie pierwszy kawałek. A potem wypije pierwszy łyk herbaty.

– Opowiedz mi o wszystkim – mówię.

## **Rozdział 11**

Nazajutrz wieczorem, po występie, wpadłam do Patsy na kawę.

Śpiewaliśmy na hucznie obchodzonych dwudziestych pierwszych urodzinach. Zdziwiłam się, kiedy Patsy mi powiedziała o tym zamówieniu. Wydawało mi się, że nasz repertuar nie pasuje do tego rodzaju imprez. Ale ojciec jubilatki usłyszał nas którejś niedzieli w pubie, gdzie leczył sobotniego kaca. Najwyraźniej popadł w niełaskę i zrobił to, żeby przypochlebić się żonie: widzisz, naprawdę się staram, patrz, co załatwiłem...

Okazało się, że to jakaś strasznie bogata rodzina z Castleknock.

Niepotrzebnie się przejmowałam, jak młodzi przyjmą naszą muzykę: stały tam dwa namioty, jeden dla jubilatki i jej przyjaciół, drugi dla rodziców i ich znajomych. My śpiewaliśmy w tym drugim. Wyobraźcie sobie: ogród tak rozległy, że zmieściły się w nim dwa pawilony, a stały na tyle od siebie daleko, że wzajemnie się nie zagłuszały. Jedzenie z restauracji, profesjonalni barmani, balony, kwiaty, nawet specjalne mikrobusy, żeby goście mogli się urznąć do nieprzytomności, nie obawiając się, że złapie ich policja. I to wszystko dla dwudziestojedynolatki!

A prezenty! Żadnych podróźnych budzików ani tanich kaset z O'Connell Bridge. Prawdziwa biżuteria, talony wartości stu funtów do sklepu Brown Thomas, nawet utensylia dla kucyka. W

holu domu stał specjalny stół na prezenty i zakradłam się tam, żeby na nie zerknąć.

Wierzyć się nie chce, że ludzie mogą mieć tyle forsy.

Ale nam zapłacili normalną stawkę. Pewnie właśnie w ten sposób człowiek dorabia się majątku.

Dom Patsy był cichy i ciemny. Zwykle w piątek wieczorem, po całym tygodniu pracy, marzę tylko o łóżku – zwłaszcza że przede mną jeszcze sobota – ale śpiewanie człowieka nakreca, więc gdy Patsy zaproponowała, żebyśmy do niej wpadły, chętnie się zgodziłam. Co prawda, odwiedziła ją matka i nie chciałam na nią wpaść, bo ciągle się kłóca, ale założyłam, że pewnie o tej porze już śpi, i nie

pomyliłam się.

– Napijesz się czegoś mocniejszego? – pyta Patsy, zapalając światło w kuchni.

– Nie, dzięki, kawa wystarczy.

Potem pieję z zachwytu nad nową kuchnią. Została wykonana na zamówienie, w firmie specjalizującej się w kuchniach i łazienkach, dziś widzę ją po raz pierwszy. Jest cudowna, sosnowe szafki, ciemnoczerwona glazura i biała terrakota. Dwa zlewy, pełne wyposażenie.

Patsy kupiła też sobie suszarkę najnowszej generacji: nie trzeba już wybijać dziury w ścianie, skrapla parę, która spływa do butelki. Od tygodni świerzbi mnie język, żeby spytać Patsy, co zrobiła ze starą suszarką – nie zrozumcie mnie źle, kupiłabym ją od niej – ale nie chcę mojej przyjaciółki postawić w niezręcznej sytuacji. Może oddała maszynę i będzie jej głupio, że o mnie nie pomyślała. Postanawiam pod jakimś pozorem zajrzeć do ich garażu. Może tam stoi i wtedy, niby to od niechcienia, poruszyłabym ten temat.

– Naprawdę ci się podoba? – pyta Patsy.

– Jest cudowna – odpowiadam szczerze. Kuchnia wygląda jak z obrazka.

Tymczasem Patsy wygląda, jakby nie obchodziło jej, co myślę o kuchni. Sprawia wrażenie roztargnionej, gdy odmierza kawę i włącza ekspres. Człowiek się czuje jak w restauracji.

Obie w milczeniu czekamy na kawę. Patsy wpatruje się w ekspres, a ja jestem tak skonana, że siedzę, sycąc się ciszą.

Kapanie kawy działa uspokajająco.

Pijemy ją, nadal się nie odzywając, aż tu nagle po policzkach Patsy zaczynają spływać łzy.

Jakby mnie ktoś zdzielił czymś ciężkim. Nigdy, nigdy nie widziałam, żeby Patsy płakała – to znaczy od naszego ponownego spotkania na pogrzebie mamy. W dzieciństwie nieraz widziałam, jak płakała. Obie zalewałyśmy się łzami na lekcjach u siostry Concepty. Nosiła skórzany pasek i biła nas długim końcem, który zawsze dyndał przy habcie. Gdy byłam starsza, często się zastanawiałam, o czym myślała, gdy co rano go zapinała. Bo przecież wkładała go po to, by nas bić, nie potrzebowała go do ściągnięcia habitu! Czy odmawiała jutrznię, zapinając klamrę?

Czy widziała nas, jak stoimy w rzędzie, a ona podchodzi i każdemu wymierza razy? Czy nie mogła się doczekać tej chwili?

Zawsze, gdy chwyciła nas za rękę, żeby skuteczniej nam przylać, wysuwała koniuszek języka.

– Co się stało? – pytam. – Patsy, powiedz, co się stało?

Obchodzę stół i obejmuję ją. (Dziwne, że wobec niej zdobyłam się na ten gest, a wobec Jamesa nie mogłam). Kręci głową, nie może wydusić słowa.



To się nazywa bezradność.

Musiałoby się coś stać. Sama jestem bliska łez.

– Proszę, powiedz. – Nawet jeśli to coś strasznego, to przecież nie może być aż tak okropne, by nie móc tego wyznać. Myślę o raku. Zwykle to pierwsze człowiekowi przychodzi do głowy. Ale Patsy wygląda zupełnie zdrowo.

Potem myślę: Martin ją opuścił.

– Chodzi o Martina? – pytam bardzo łagodnie. Nie chcę pogorszyć sytuacji.

Trafiłam w dziesiątkę. Niedaleko nas, na blacie, leży pudełko chusteczek higienicznych – na środku kuchni jest teraz stanowisko robocze, pełniące też rolę stołu – Patsy bierze garść chustek i wydmuchuje nos. Równocześnie potakuje, a łzy leją jej się potokami.

– O Boże, ma inną? Tak?

– Chyba tak – odpowiada cicho. Prawie jej nie słyszę.

Czekam. Ostatnio połowę życia spędzam na czekaniu.

Zaczynam żałować, że odmówiłam drinka, ale obiecałam sobie, że do wyjaśnienia sprawy nie będę pić. Nie żebym tak znowu strasznie piła, prawie nie tykam alkoholu, ale teraz szczególnie mi zależy na zachowaniu jasności myślenia, a poza tym instynkt nakazuje mi pewne poświęcenia, żeby w końcu sprawa Jamesa dobrze się skończyła. Przesąd? Możliwe. Ale dzięki temu mam uczucie, że coś robię, a nie tylko czekam, co się wydarzy. Ma to dobrą stronę – chudnę. Patsy też zauważyła, że zeszczuplałam –

dziś wieczorem przyjrzała mi się uważnie i spytała, czy znowu przesłam na jakąś dietę.

Teraz wyrzuca z siebie wszystko. W kieszeni jednego z garniturów znalazła prezerwatywy.

Gapię się na nią. Znalazłam się na niebezpiecznym gruncie, nie mam pojęcia, jak rozwiązują sprawę antykoncepcji. W sprawach seksu kobiety są bardzo dziwne. Albo gadają bez cienia zahamowań – powinniście posłuchać, co po paru kieliszkach wyplatają moje koleżanki na przyjęciach bożonarodzeniowych, organizowanych przez firmę – albo nie puszczają pary z ust. Patsy lokuje się gdzieś pośrodku. Przez lata naszej znajomości z różnych wzmianek wydedukowałam, że ich pożycie jest dość zmienne: czasem super, czasem do niczego – ale sama nigdy nie podejmowałam tego tematu. Nie mam jej czego zaoferować w zamian, Tom Bennett to zamierzchłe dzieje, a nie lubię jednostronnych zwierzeń.

Okazuje się, że prezerwatywy są wyraźnym dowodem, bo po urodzeniu Darrena Patsy zdecydowała się na podwiązanie jajowodów.

Pierwszy raz o tym słyszę, ale próbuję nie okazać zaskoczenia.

Nie zauważa, wpatruje się w swoją filiżankę. Prawie nie ruszyła kawy.

– Pamiętasz, jak kiedyś wyjechałam na parę dni – ponoć na kurs brydża?

– Pamiętam – odpowiadam.

– Więc nie pojechałam się uczyć grać w brydża – ciągnie. –

Pojechałam do kliniki zrobić ten zabieg.

– Aha – mówię, starając się nadać głosowi naturalny ton. Patsy chodzi do kościoła, nawet przystępuje do spowiedzi.

Kościół katolicki ma jednoznaczne stanowisko wobec podwiązywania jajowodów, ale nie pora teraz się tym zajmować.

– Też się dziwiłam – odzywam się cicho – bo po tym kursie wcale nie grałaś w brydża.

– Właśnie wtedy to zrobiłam. Obie wpatrujemy się w kawę.

– Spytałaś go o te prezerwatywy?

Okropna sytuacja. Nikt nie lubi, żeby mu się wtrącać do małżeństwa. Możliwe, że to jakiś przejściowy kryzys, a potem będzie się czuła zażenowana, że w ogóle mi o tym wspomniała.

Kręci głową.

– Dlaczego?

– Bo na pewno byśmy się pokłócili, a wtedy by mnie rzucił. –

Znowu wybucha płaczem, szlocha na całego.

Przez łzy wyrzuca z siebie swoje obawy. Chyba największym problemem jest nie tyle odejście Martina, ile lęk, że zostałyby bez grosza. Że on rozplynie się w powietrzu, a ona go nie znajdzie. A, jak już wielokrotnie mi wspomniała, jej trójka staje się coraz kosztowniejsza. Darren ma zaledwie sześć lat, ale Maeve we wrześniu idzie do szkoły średniej, Pauline zaś ma w przyszłym roku bierzmowanie.

Muszę się upewnić.

– Czy naprawdę to cię najbardziej gnębi? – pytam, gdy już wiem, że mnie usłyszy. – Pieniądze? Nie jego odejście?

Ukrywa twarz w dłoniach.

– Nie wiem, nie wiem.

Mózg pracuje mi na pełnych obrotach. Teraz już rozumiem, dlaczego zdecydowała się na występy. Nie chodziło tylko o pieniądze na głupstwa.

Staram się nie myśleć o tym, że James spotkał w klubie Martina.

– Słuchaj, to jeszcze o niczym nie świadczy. Może przechowywał prezerwatywy żonatego kolegi, który ma romans?

A może chcieli zrobić dowcip jakiemuś kumpłowi w jego kawalerski wieczór? Znosi się na jakiś kawalerski wieczór?

Ale ona tylko siedzi z twarzą w dłoniach i raz po raz kręci głową.

Niech się wypłacze. Uświadamiam sobie, że nie widziałam na podjeździe jego samochodu. Martin jeździ audi, Patsy ma niewielką toyotę starlet. Chodziła dumna jak paw, gdy dwa lata temu dostała ją na rocznicę ślubu. (Znam się na samochodach. Nie można mieszkać z Jamesem Devine'em i się na nich nie znać).

Otwiera się przede mną nowa furтка.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem, nie wiem – zawodzi, ale zaraz zniża głos, żeby nie usłyszała jej matka i nie zeszła na dół zobaczyć, co się stało. Patsy zachowuje się jak stara płyta.

Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam do siebie dopuszczać niedobrych myśli i rozpaczliwie szukam jakiegoś pocieszenia. Na występy mocno się malujemy, makijaż Patsy całkiem się rozpułnął, tusz i kredka wyglądają jak pajęczne nici, rozmazujące puder. Teraz Patsy wygląda na swoje lata, w świetle padającym na kark widać okropne zmarszczki, jak pomięte pranie. Straszny widok, zwłaszcza że zawsze jest taka zadbana. A sytuację dodatkowo pogarsza fakt, że jesteśmy w „roboczych”, czarnych sukienkach – ściągnęłyśmy ten pomysł z The Commitments.

Czerń świetnie wygląda na scenie, ale w świetle jarzeniówek jest koszmar.

– Dobra – zaczynam, usiłując nadać głosowi pewny ton. –

Spójrzmy na sprawę rzeczowo. To tylko podejrzenia, prawda?

Możliwe, że pechowy zbieg okoliczności. Nie wiesz, czy cię zdradza. Sama nie jesteś pewna. Musisz się zdecydować, czy rzucić mu oskarżenie prosto w twarz, czy nie. Każde z tych rozwiązań ma swoje plusy i minusy. Może się przestraszyć i oprzytomnieć, ale może też uciec – zależy od tego, co teraz czuje.

Może chce, żebyś go przyłapała albo szuka pretekstu do odejścia.

Niewykluczone również, że istnieje zupełnie niewinne wytłumaczenie.

– Ale gdzie on się teraz podziewa? – pyta. – Jest druga w nocy, a jego nie ma w domu...

Muszę przyznać, że to słuszna uwaga.

– Tak czy owak – podejmuję – musisz sobie uświadomić, czego tak naprawdę chcesz i jakie w związku z tym podjąć kroki, biorąc pod uwagę dzieci. Najważniejsze, jeśli rzeczywiście cię zdradza, to wyznaczyć sobie granicę, do której będziesz to tolerować, i wniknąć w głąb siebie, przekonać się, czego ty sama pragniesz. To twoje życie, Patsy, musisz o sobie myśleć. To nie jakaś sztuka. –

Płonę ze wstydu. To nie ja, to audycja Gaya Byrne’a.

Zdecydowanie za dużo go słucham. – Oczywiście, nie wolno zapominać o pieniądzach – dorzucam szybko. – Obie wiemy, co się dzieje, gdy rozpada się małżeństwo. Żonie i dzieciom dostają się ochłapy.

Sama w to nie wierzę, przynajmniej w głębi duszy. Moim zdaniem, część kobiet – a właściwie większość – radzi sobie znacznie lepiej, niż panowie przypuszczają. Ale Patsy nie jest w nastroju do filozoficznych pogawędek, zresztą chyba właśnie to chce usłyszeć.

Nagle coś w niej zaskakuje i przestaje płakać. Wyciera oczy.

Mówi, że wygląda jak straszdyło. Próbuje parsknąć śmiechem.

Serce mi pęka, to ta sama kobieta, która zawsze wszystko kontroluje.

– Owszem – potwierdzam profesorskim tonem. – Idź się umyć, a potem pogadamy rozsądnie.

– Dzięki, Ange – mówi i idzie poprawić urodę. Mają łazienkę na parterze.

Dopijam kawę – teraz już zimną – i analizuję sytuację. Jak mogłam nie dostrzec głębi problemów Patsy? Przecież to się nie stało z dnia na dzień. Wspominałam wam, że były pewne sygnały, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że to aż tak poważna sprawa. Sądziłam, że jestem cyniczna, ale teraz najchętniej dałabym sobie w ucho, że nie przywiązywałam do tego większej wagi.

Podejrzewam, że za bardzo się koncentrowałam na własnych zmartwieniach. A przy okazji, wreszcie się dowiedziałam od Jamesa, co tak naprawdę się wydarzyło.

Cała historia zaczęła się dzień wcześniej. Byli na przyjęciu u przyjaciółki Rosemary, gdzieś w

Strawberry Beds. Kolejne dwudzieste pierwsze urodziny – ostatnio te dwudzieste pierwsze urodziny mnie prześladowają. Oczywiście wszyscy pili: jabłecznik, piwo, wódkę. Część paliła marihuanę, ale nie James. Zaklinał się, że nie, i wierzę mu. Może dałam się nabrać, ale mu wierzę.

Pytałam, gdzie się podziiali rodzice. Nie było ich, młodzi mieli wolną chatę.

Tak czy owak, wszyscy piją, tańczą, świetnie się bawią, część szuka sypialni. Rosemary tańczy z Jamesem i James ma wrażenie, że dziewczyna daje mu zielone światło. Wychodzą do ogrodu, ale jest zimno, w dodatku zaczyna padać. Właśnie tam i wtedy umawiają się na następny dzień. Rosemary całuje go i mówi: przynieś prezerwatywy.

Opowiada to, nie może mi jednak spojrzeć w oczy. Nie winię go.

Nazajutrz spotykają się w umówionym miejscu, James jest cały podniecony. Ubiegłej nocy nie spał, tylko myślał, co go czeka jutro. Zapewnia, że nigdy przedtem nie poszedł na całość, z nikim.

(A my sobie wyobrażamy, że teraz dwunastolatki pieprzą się jak króliki!) Jadą do parku, po drodze jest parę ściąg, że za szybko jedzie, tego rodzaju rzeczy. Domyślam się, że też bardzo to przeżywała. Może nawet żałowała swojej decyzji? Ale jeśli tak, to miała dość czasu, żeby go o tym powiadomić, prawda?

Dojeżdżają do parku, James chowa motocykl w jakichś krzakach i schodzą nad Furry Glen. Ponieważ to dzień powszedni, a i pogoda nienadzwyczajna, nie ma nikogo, tylko dwie dziewczyny konno, które nawet nie zwróciły na nich uwagi.

Niedaleko mostku nad sadzawką jest bardzo gęsty las.

Rosemary chce się zatrzymać i popatrzeć na kaczątka, James zaś usiłuje ją zaciągnąć do lasu, no, szybciej, szybciej. Ona wyrywa rękę, nie, mamy mnóstwo czasu. Zachwyca się kaczkami, żałuje, że nie przyniosła dla nich chleba. James całuje ją, gdzie może, ona częściowo odpowiada. Potem zaczyna go sztorcować.

Każe mu okazać cierpliwość.

Wtedy napatacza się jakaś staruszka. Zbiera liście i chowa je do torby. James czuje się zawstydzony: może widziała, jak całował

Rosemary, ale przyjrząwszy się uważniej, nabiera pewności, że nawet ich nie dostrzegła. W ogóle wygląda na nieco szurniętą.

Znowu ciągnie Rosemary. Nie mam całego dnia, muszę wracać do roboty, tłumaczy. Mówi mi, że w tym momencie już prawie konał, czuł się jak woda, która nie może zawrzeć.

Uparła się, więc odczekują, aż staruszka zniknie, dopiero wtedy idą do lasu i kładą się. On chce to zrobić natychmiast, ale jej się nie śpieszy. Ona też pierwszy raz pójdzie na całość i chce, by to trwało. Nie pozwala się rozebrać. Sama to robi we właściwym czasie. James już wrze.

Obejmuje go, zaczyna całować, James uznaje to za przyzwolenie. Jest naprawdę podniecony, cały drży, całuje ją jak szalony, ale ona każe mu się opanować, albo się wycofa.

Próbował, mówi mi, że naprawdę próbował się powstrzymać, opanować – tak jak kazała – ale wstąpił w niego jakiś diabeł i James zaczął ściągać z niej ubranie. Bieliznę. Mamrocze to niewyraźnie, „majtki” nie przejdą mu przez usta, za dobrze go wychowałam.

Ona uderza go w rękę, a gdy się nastroszył, wybucha śmiechem. Teraz może się opanujesz, karcii. Znowu go całuje.

James już nad sobą nie panuje. Ma wrażenie, że zaraz eksploduje.

Kładzie się na niej. Najpierw dziewczyna się nie broni, dalej go całuje, gładzi po plecach, ale potem nieruchomieje. Przestań, mówi, przestań. James przyznaje, że to powiedziała.

Ale on już nie mógł się pohamować, było za późno. Zdziera z niej majtki i wchodzi w nią. Nie pamięta następnych paru sekund, słyszy tylko jej krzyk. Nie wrzask na całe gardło – krzyk prosto do ucha. Nazywa go strasznym imieniem. On nie powtórzy tego przy mnie. Potrafię sobie wyobrazić.

I w tej chwili, wedle jego wersji, natychmiast się zatrzymuje i wycofuje. Uparcie twierdzi, że nie szczytował. Odczuwał w członku straszny ból, gorszy niż wtedy, gdy usuwano mu wyrostek.

Na dowód, że nie miał orgazmu, podaje, że zapomniał nałożyć prezerwatywy, a dziewczyna nie zaszła w ciążę. Zdaje się, że chłopak ma nikłe pojęcie o związku między dziewictwem a zapłodnieniem. Cóż, starałam się, jak mogłam.

Leżą na trawie, nie tyle przy sobie, ile plecami do siebie. Ból nieco ustępuje. James czuje, a potem słyszy, jak Rosemary porządkuje ubranie. Wstaje, on też.

Jest na niego wściekła, że zniszczył jej majtki, gumka pękła, nie może ich teraz włożyć. Ale z tego, jak wpycha je do kieszeni kurtki, nie patrząc mu w oczy, James się domyśla, że dziewczyna wstydzi się całej tej sytuacji. On zresztą też. Czuje się upokorzony. I zarazem jak ostatni cham.

Wracają motocyklem, żadne się nie odzywa. Odstawia ją do Drumcondra. Rosemary żegna się z nim, James sądzi, że nieco ochłonęła. Ale boi się z nią umówić na randkę. Woli odczekać.

Dlatego rzuca tylko: na razie. Na razie, ona na to.

Tak wygląda jego wersja i przyznaję, że ten fragment podaję w wątpliwość. Z wersji dziewczyny wynika – nie czytałam jej zeznań, ale streścił mi je prawnik – że nie pożegnała się z Jamesem. Wydarzenia popołudnia tak nią wstrząsnęły, że uciekła natychmiast, gdy tylko mogła. Bez słowa.

James upiera się, że powiedziała „na razie” i odeszła. I to wszystko. Według niego, oboje czuli się po prostu nieco zażenowani.

Uważam to za nader istotne. Bo jeśli rzeczywiście odezwała się do niego, rzuciła „na razie”... – sami rozumiecie. Otwierają się tu zupełnie nowe możliwości. I pozwoliła mu się odwieźć motocyklem –

to nie ulega wątpliwości. Musiała się go trzymać.

Czy zgodziłaby się na tak intymny kontakt z mężczyzną, który właśnie ją zgwałcił?

Niezależnie od tego, kto tu mówi prawdę, przez następne dni James chodzi jak struty, nie wie, co zrobić, dlatego na pojednanie kupuje czekoladki Cadbury'ego. Cadbury, Cadbury, Cadbury...

Szczerze powiedziawszy, już sama nie wiem, co o tym myśleć.

Zrelacjonowałam jego wersję, najwierniej jak potrafiłam. Czy rzeczywiście można to uznać za gwałt?

Patsy wraca z łazienki. Zmyła makijaż, twarz ma zaczerwienioną i tłustą od mleczka. Widać, że płakała, nie sposób nie zauważyć, oczy całe zapuchnięte. Serce mi krwawi.

Maglujemy sprawę Martina na wszystkie strony. W końcu postanawiamy się z tym przespać. Patsy na razie nie będzie nic robiła, nic nie powie. Jeśli Martin poruszy kwestię swojej dzisiejszej nieobecności – a uważamy to za mało prawdopodobne

– będzie udawała, że natychmiast się położyła spać i była tak zmęczona, że nawet nie zauważyła, iż go nie ma.

Zrobiło się bardzo późno, więc postanawiam nie mówić jej o Jamesie, choć teraz – gdy wróciła równowaga w naszych stosunkach – wiem, że będę mogła jej się zwierzyć. Oczywiście, nie cieszę się, że i ona ma problemy – skądże! – ale naprawdę czuję, że James i ja nie jedyni się z nimi borykamy.

## Rozdział 12

Kolejny poniedziałek i sąd. Tygodnie prędko mijają. Z jednej strony, boję się, bo to znaczy, że ten okropny dzień jest coraz bliżej, a z drugiej cieszę się, że poniedziałki tak błyskawicznie następują po sobie. Bo im szybciej będziemy mieć z głowy rozprawę – nawet z najgorszym wynikiem – tym lepiej.

James z całą pewnością nie chciał dziewczyny zgwałcić. Tej wiary nic już nie zachwieje.

Próbowałam uczciwie spojrzeć na to z punktu widzenia dziewczyny. Faktycznie kazała mu przestać. A on faktycznie nie przestał.

Z drugiej strony wcześniej na to przystała. Sama kazała mu się zaopatrzyć w prezerwatywy. Z własnej woli poszła z nim do tego lasku. Dobra, rozmyśliła się – i oczywiście przyznaję, że jak najbardziej miała do tego prawo.

Dla Jamesa jednak było już za późno. Początkowo – kiedy nawet jeszcze byłby w stanie się pohamować – rzeczywiście mógł

nie słyszeć, gdy kazała mu przestać... A jest pewien, że nie słyszał.

Bo czy nie zareagował, gdy wrzasnęła mu prosto w ucho? Gdy zrozumiał, że ona się nie przekomarza? Czyż to nie powinno za nim przemawiać?

Moim zdaniem, dziewczyna po prostu się przestraszyła. Pewnie dopiero w trakcie uświadomiła sobie, w co się pakuje. Bała się, że rodzice się dowiedzą. Trudno powiedzieć.

Za moich młodych lat, jeszcze na długo przed Tomem Bennettem, w sąsiedztwie mieszkał jeden taki, nazywał się Mooney. Nieustannie mnie zaczepiał. Nie tylko mnie, ale wszystko, co chodziło w spódnicy. Któregoś dnia dopadł mnie, gdy wracałam skrótem, drogą na tyłach domów. Przyparł mnie do muru – miałam wtedy nie więcej niż trzynaście lat – i wepchnął

mi pod spódnicę swojego ohydneho ptaszka. Fúj. Czułam się obrzydliwie. Nigdy na niego nie doniosłam. A pewnie powinnam.

Ale to mi nie zniszczyło życia.

Tak samo jak historia z chłopakiem poznanym na dyskotecie, zorganizowanej przez jakąś grupę – nie pamiętam już, jak się nazywała – starającą się urozmaicić życie dzieciakom z naszych okolic. Miałam wtedy czternaście i pół roku. Chłopak był

przystojny, wysoki blondyn, mój ulubiony typ urody. Trochę potańczyliśmy, a potem wymknęliśmy się z sali na tyły budynku.

Tam przy murze stała para przy parze, wszyscy pochłonięci sobą.

Zaczęliśmy się pieścić i szybko przestałam panować nad sytuacją. Czułam, że chłopak za bardzo się podniecił. Mówiłam: nie, przestań, ale on nie słuchał. Dalej robił swoje. Mógłby pójść na całość – ściągnął mi już majtki i rozpiął rozporek; był ode mnie znacznie większy i silniejszy – gdyby dziewczyna, która stała na czatach, nie zauważyła opiekunki, tak że wszyscy musieliśmy czmychać.

Ten epizod też nie zrujnował mi życia, ale gdyby to się wydarzyło dzisiaj, pewnie mogłabym twierdzić, że tak. Mogłabym go podać do sądu za molestowanie seksualne. Ale wtedy człowiekowi coś takiego nawet nie zaświtało w głowie, po prostu zbierało się to do skarbczyka doświadczeń i żyło dalej. Statystyki podają, że jedno na dziesięcioro irlandzkich dzieci było molestowane seksualnie. Cóż, nie ulega wątpliwości, że w wypadku Mooneya padłam ofiarą molestowania seksualnego, ale chłopaka z dyskoteki nie zaliczyłabym do tej kategorii, bo moim zdaniem, byłam za to przynajmniej w połowie odpowiedzialna. W

końcu ostrzegano nas przed chłopcami.

Ale nie stwierdzam u siebie żadnych urazów psychicznych.

Choć kto wie? Może gdybym poszła do psychologa, coś by wynalazł.

A czy przeżycie Patsy też się liczy? Kiedyś o tym rozmawiałyśmy. Jej taka sytuacja przytrafiła się tylko raz: siedziała na piętrze autobusu 54, w drodze do ciotki w Terenure, i przysiadł się do niej podejrzany typek (oni zawsze wyglądają podejrzanie), który wsadził jej rękę pod spódnicę. Zawsze



nas uczono, żeby w takiej sytuacji natychmiast wstać i powiadomić konduktora. Co też Patsy uczyniła i na tym sprawa się skończyła. I nawet o niej nie myślała, aż do dnia, kiedy zastanawialiśmy się, czy mieścimy się w statystykach dotyczących molestowania seksualnego.

Uznałyśmy, że nasze przypadki kwalifikują się do tych bardziej marginalnych, ale pewnie dziś niewielu specjalistów w tej dziedzinie by się z nami zgodziło. I szczerze powiedziawszy, dwadzieścia lat temu historię Jamesa też by uznano za marginalną.

Na nieszczęście dla nas dwojga nie żyjemy dwadzieścia lat wcześniej.

Wiecie, co sędzę? Że pewnie po powrocie rodzice zrobili jej awanturę o to, gdzie się podziewała całe popołudnie – może się zorientowali, że zwagarowała z kursu. Albo matka zauważyła ślady trawy na ubraniu, a może nawet rozdarte majtki. Tak, pewno to ostatnie. Każde uczciwe wyjaśnienie postawiłoby dziewczynę w złym świetle, więc wybroniła się, twierdząc, że została zgwałcona.

Nie pierwsza taka sytuacja.

Lada chwila pojawi się sędzia. James jest dziś rozdrażniony, z trudem wywlokłam go z łóżka. Podejrzewam, że nadal źle sypia.

Nie patrzę na panią Madden ani ona na mnie. Zawsze siedzimy w tym samym miejscu. Przynajmniej ona – chyba co poniedziałek jest pierwsza w kolejce. Na początku przesłuchań sala jest zawsze pełna i czasem muszę stać, ale zwykle trzymam się mniej więcej tego samego miejsca. Śmieszne, lecz w znajomym otoczeniu człowiek nie czuje się tak niezręcznie.

Mamy szczęście, że dziewczyna z RTE, jedyna dziennikarka, którą od początku namierzyłam, nadal nie jest zainteresowana naszą sprawą. Poluje na grubsze ryby, bo po zaliczeniu tych z kaucją zaczyna się proces. Zdaje się, że chodzi o defraudację. Na pewno o pieniądze – widać po liczbie prawników. A dziś na miejscach dla prasy pojawiły się dwie nieznane dziewczyny i mężczyzna, więc zanoszą się na coś poważnego.

Modłę się, żeby żadne z nich nie było z „Evening Herald”. Ta gazeta żywi się gwałtami, wszyscy moim znajomi ją czytają.

Mogłabym już z zamkniętymi oczami opisać salę rozpraw.

Poznaję też część osób, zwłaszcza w podobnej sytuacji, co ja.

Niektórzy podejrzani są w areszcie, strasznie im współczuję: na dworze cudowna pogoda, a oni wszyscy wyglądają okropnie.

Swoją drogą, niesamowite, jak szybko człowiek się oswaja ze składem sędziowskim i obyczajami sali rozpraw. Gdybym tak strasznie się nie niepokoiła, mogłabym już odstawiać zblazowaną bywalczynię. Na przykład przestały mi przeszkadzać spojrzenia ludzi. Patrzę im prosto w oczy. W końcu oni też nie bez powodu tu się znaleźli. Co takiego sami ukrywają? Zresztą dopóki nie udowodni się nam winy, jesteśmy uważani za niewinnych. Tylko stróżę prawa czują się tu spokojnie i panują nad sytuacją. Szczerze mówiąc, najczęściej siedzą ze znudzonymi minami.

Jeśli zaś chodzi o adwokatów, to – niech Bóg ma ich w opiece

– część przynajmniej wygląda, jakby dopiero co wyszła z pieluch.

Gdy już się trochę oswoiłam, zaczęłam dostrzegać szczegóły, których początkowo nie zauważałam. Wstrząsnął mną fakt, jak nędznie wyglądają niektórzy co starsi adwokaci. W końcu ponoć zarabiają majątek, to dlaczego nie stać ich na oddanie tóg do pralni? A już z pewnością stać ich na strzepnięcie łupieżu z ramion i przyszycie brakujących guzików. Młode kobiety prezentują się nieco lepiej – to muszę przyznać – ale i one mogłyby bardziej o siebie zadbać, czyżby czyszczenie obuwia wyszło z mody? A już najbardziej nie znoszę zdartych obcasów.

Dzisiaj doprawdy nie ma na to usprawiedliwienia, zwłaszcza że na każdym rogu jest szewc. Bardzo pilnuję, żeby James zjawiał się wymuskany. Uważam, że na dłuższą metę to mu się opłaci.

Nadal jednak czuję, jak się trzęsie. Jemu znajome otoczenie nie pomaga.

Nie widziałam wielu sędziów, bo zawsze wychodzimy przed ogłoszeniem rozprawy wyznaczonej na dany dzień, ale w życiu nie spotkałam równie ponurej osoby jak nasz urzędnik sądowy. To dopiero człowiek, który nie znosi swojej pracy. Zdaje się, że ma jakiś tik.

Wracając do adwokatów, nasz wydaje mi się nieco zbyt nonszalancki. St John Markey (dacie wiarę!) wygląda góra na trzynaście lat. No, przesadziłam, na siedemnaście. Adwokaci nie muszą już nosić peruk, ale niektórzy je nakładają, a peruka St Johna jest nowiutka, wprost z igły. Pewnie dzięki temu ci młodzieńcy czują się bardziej dorośli. Druga strona ma znacznie starszego adwokata. Szkoda, że nam się nie trafił, chyba czułabym się pewniej.

Proszę wstać, sąd idzie.

Pamiętam z dzieciństwa program „Rowan i Martin’s Laughin”.

„Sąd idzie” było jednym z ulubionych zdań bohaterów.

Boże, czy mnie oczy mylą, czy skinęła nam głową? Z całą pewnością na nas popatrzyła. Jakby z zadumą. Tego na pewno sobie nie wymyśliłam. Co to znaczy? Czyżby myślała o sprawie Jamesa? I już uznała go za winnego? Choroba, że też nie trafił

nam się sędzia mężczyzna.

Zachowuję się jak idiotka. Jeszcze nie przedstawiono dowodów. A od sędziów wymaga się bezstronności.

Nasz prawnik, Patrice Murphy, uważa, że sędzina potraktuje nas raczej uczciwie. Oczywiście, ma pewne obawy, jest nowa i trudno przewidzieć, w którą stronę pójdzie. Poza tym nikt nie zna jej poglądów na gwałt. Na początku kariery nigdy nie występowała ani jako oskarżyciel, ani jako obrońca w sprawie o gwałt. A przynajmniej w żadnej głośnej sprawie, o której by słyszano.

Nic dziwnego. Może prawniczki unikają spraw o gwałt, żeby nie posądzono ich o stronniczość? Te sprawy budzą silne emocje.

Chryste, St John Markey oparł nogę na ławce, rozmawiając z sędzią. Założę się, że jej to nie zachwyca. Opuść tę girę, kretynie...

Często się zastanawiam, co odziedziczyłam po mamie. A ściślej: obawiam się. Między innymi dlatego tak surowo siebie traktuję. Nawet jeśli mam wolny dzień – na przykład niedzielę bez występów – wstaję, ubieram się porządnie: wyprasowana bluzka, czyste pantofle, rozumiecie. Niektóre moje koleżanki przychodzą w dresach i adidasach. Nie znoszą dresów i adidasów. Wiem, że są wygodne – tak przynajmniej twierdzą inni – ale uważam to za lenistwo. Argumentują: kto nas będzie oglądał o piątej rano, ale nie o to chodzi. My siebie oglądamy. Skrupulatnie pilnuję, by paznokcie były czyste, i choć to sporo kosztuje, co sześć tygodni chodzę do fryzjera, a do dentysty przynajmniej raz w roku.

Może rzeczywiście trochę przesadzam, ale boję się, że jeśli sobie odpuszczę, to będzie mój pierwszy krok po równi pochyłej.

Trzeba uważać na swoje geny.

Nigdy się tego nie dowiem, ale wydaje mi się, że upadek mamy wziął się z braku przykładu, choć z luźnych wzmianek wydedukowałam, że z jej matki był kawał herod baby. (Ojciec, zdaje się, miał łagodniejszą naturę).

Niestety, nawet kiedy dzieci były mniejsze, rodzice poświęcali im niewiele czasu. Prowadzili interes w Birr i zawsze się wokół

niego kręcili. A dokładniej, wokół dwóch sklepów – z artykułami żelaznymi i odzieżowego. Dziećmi opiekowały się służące i gosposie, ale z opowiadań mamy wynikało, że często się zmieniały. Nieustannie zwalniano je za drobne kradzieże albo za podejrzenie o kradzież, bądź same nie wytrzymały ostrego języka pani domu i odchodziły.

Wyobrażacie sobie? Moja rodzina kiedyś miała służbę.

Choć ojciec był zapewne Irlandczykiem z krwi i kości – Devine to typowo irlandzkie nazwisko – panińskie nazwisko babki brzmiało de Vere. W tamtej części Irlandii, Laois i Offaly, leżą dwa hrabstwa, pierwsze skolonizowane przez Anglików. Pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, angielski monarcha podarował nasze ziemie swoim angielskim druhom i wyrugował rodowitych mieszkańców. Offaly nosiło miano hrabstwa króla, Laois zaś królowej. (Mama aż do śmierci mówiła o Portlaoise i Tullamore jako o Willimastown i Maryboro, nazwane tak od króla Williama i królowej Mary). Dziwnie się czułam, gdy uczyłam się tego na historii ze świadomością, że moja rodzina mogła należeć do kolonistów. Oczywiście, nikomu się tym nie chwaliłam.

Ale wiecie, mama aż do końca zachowała klasę. Miała w sobie coś szlachetnego, jakąś delikatność i te drobne, wytworne dłonie, bardzo wyraziste; przypominały mi trochę ćmy. Rozumiecie więc, jak bardzo nie pasowała do czynszówek. Nic dziwnego, że przytrafiło jej się to, co się przytrafiło.

Krew mi się burzy w jej imieniu, gdy czytam w prasie, jak to samotne matki z piątką, szóstką dzieci żerują na państwie. A co mają robić? Wyrzucić nas na śmietnik? Nie twierdzę, że nie powinna bardziej się starać dostosować, ale próbowała, naprawdę.

Tyle że miała jedną wadę, nie potrafiła sobie radzić w prawdziwym, bezwzględny świat. Nikt jej do tego nie przygotował. Matka nie dopuszczała jej do słowa, a pokojówek ani gospodyń nie obchodziło, co się dzieje z dzieckiem.

Brakowało jej wzorca.

Czemu nie napiszą błyskotliwych artykułów o tych, którzy ją wykorzystali, traktowali nasze mieszkanie jak noclegownię i miejsce do urządzania imprez, a potem – gdy interweniowały władze – zostawiali ją na pastwę losu. Ilekroć robiło się ciężko, znikali, niech sama sobie teraz radzi. Nawet Joey, najprawdopodobniej ojciec Franceski, którego, jak wiecie, lubiłam.

Nienawidzę ich.

Gdyby nie mój upór (i, znowu muszę przyznać, inteligentna i otwarta pracownica socjalna, która w tamtym czasie się mną opiekowała), pewnie nikt by się mamą nie zajął i zmarłaby znacznie wcześniej.

Po tamtej strasznej nocy, gdy zabrali jej Jamesa, a ja uciekłam z domu i przenocowałam pod gołym niebem, a po powrocie z zoo mamy nie zastałam, szukałam jej w całym mieście, we wszystkich szpitalach. Przemogłam się i poszłam nawet w najgorsze miejsca, do meliny przy Jervis Street, do slumsów nad rzeką, nawet do doków.

Przez te parę dni nieźle mi się kłębiło w duszy: najpierw koszmar nocy poza domem, potem ekstaza po spotkaniu Toma Bennetta w zoo, później wędrówki po najgorszych miejscach Dublina i równoczesna walka o odzyskanie Jamesa. Pod koniec ledwo żyłam.

Pewnego dnia, już nie pamiętam którego, po powrocie do czynszówek, w drzwiach zastałam kartkę od mojej opiekunki, z prośbą, żebym się z nią skontaktowała.

Od niej się dowiedziałam, że znaleziono mamę, jest w szpitalu.

W mecie przy Richmond Road doszło do jakichś rozrób i wezwano policję. Tak trafili na mamę.

Poszła z tym obrzydliwym brudasem, swoim ostatnim przyjacielem, nie pamiętam jego imienia, nie będę sobie zaśmiecać mózgu. Ten był zdecydowanie najgorszy: łachudra, a do tego handlarz narkotyków i pijus. W tamtych czasach handlarzy można było policzyć na palcach i policjanci doskonale ich znali, więc wychodził tylko po zmroku, jak szczur.

Wykorzystywał dobroć mamy. Mam nadzieję, że ten drań nie żyje i smaży się w piekle.

Opiekunka ostrzegła mnie, żebym się nie przestraszyła na jej widok. Dlatego byłam przygotowana – tak przynajmniej sądziłam.

Byłam zdruzgotana, gdy stanęłam przy jej łóżku. Twarz miała całą siną. Połowa to sińce, połowa zwykłe odbarwienia.

Nigdy już nie wyszła ze szpitala, przeniesiono ją tylko z Harold's Cross do hospicjum. Żeby tam umarła.

Opiekowali się nią po prostu cudownie. Codziennie porządnie ją myli, człowiek czuł ich miłość. To prawdziwa pociecha, wiedzieć, że umarła i odpoczywa w spokoju. Ale nie ma dnia, by nie nękały mnie wyrzuty, że nie mogłam się nią zaopiekować.

Dlatego rozumiecie, że – choć jestem znacznie od niej silniejsza – muszę się bardzo pilnować. W moich żyłach płynie jej krew, na zawsze pozostaje się córką swojej matki. Oczywiście, trzeba też brać pod uwagę ojca. Mam nadzieję, że był ulepiony z twardszej gliny niż mama. Bo od czasu do czasu, na skutek napięć związanych ze sprawą Jamesa, czuję, jak mięknię.

Przypuszczam, że opieka nad Jamesem stanowiła moją formę zadośćuczynienia. I tak bym się jej podjęła, ale mam nadzieję, że stamtąd, gdzie teraz mieszka, mama widzi, że to robię.

Choć – niestety – nie spisałam się rewelacyjnie.

James coraz bardziej się niepokoi, że musi wymyślać kolejne usprawiedliwienia nieobecności w poniedziałki rano. Nie mogę powiedzieć, że chodzę do kliniki, powiada, bo uznają, że mam AIDS.

No to niech cię zwolnią, ja na to, udając pewność siebie.

Poradzimy sobie.

Skoro mowa o radzeniu sobie, w końcu zamieniłam na gotówkę moją ceną, śliczną zdrapkę. Omal mi serce nie pękło, pieniądze to nie to samo. Postanowiłam wstrzymać się z wykupem rzeczy mamy. James może stracić pracę, będzie nam wtedy potrzebny każdy grosz. Usiłowałam przyjąć postawę lilii polnych, ale jakoś mi nie szło.

Jedna siostra mamy miała na imię Lily, druga Adeline. Brat miał na imię Jeremy. Ma na imię Jeremy – pewnie jeszcze żyją.

James to ich siostrzeniec. Cudownie by było móc porozmawiać z ciotkami i wujem, czuć bliskość rodziny w takich chwilach, ale wyobrażam sobie reakcję krewnych, gdybym wkroczyła w ich życie i oznajmiła, dlaczego po tylu latach postanowiłam się z nimi skontaktować.

Przepraszam, witajcie, nazywacie się Devine? Devine z de Vere'ów? Jak się macie, jestem waszą siostrzenicą, a to siostrzeniec, tak, z tej linii czarnej owcy. Oprócz nas jeszcze trzy siostry... A przy okazji, w tym momencie toczy się postępowanie w sprawie gwałtu, dokonanego przez Jamesa. Co byście powiedzieli na odrobinę rodzinnej solidarności?

Wyobrażacie sobie?

Kiedy po raz ostatni spotkaliśmy się w piątkę, Francesca wyszła po dziesięciu minutach.

Oświadczyła opiekunce, że ma dość i nie życzy sobie więcej kontaktów z nami. Doszło do potężnej awantury, naprawdę się na nią wściekłam – zresztą czułam, że opiekunka też, choć mężnie usiłowała to ukryć pod maską profesjonalnego zachowania. Ale Francesca miała już prawie szesnaście lat i wiele nie mogliśmy poradzić. Od szesnastego roku życia wolno jej żyć po swojemu.

Kiedy się nad tym zastanowić, to tak naprawdę bolało ją, że mimo obietnic rodzina zastępcza ciągle jeszcze jej nie adoptowała (zresztą, później też nie!) Nigdy się nie dowiedziałam, czy pojawiły się jakieś trudności formalne, czy tamci się rozmyślili.

To wszystko poufne informacje i prędzej się włamiecie do archiwów watykańskich, niż wydusicie wiadomość z wydziału zdrowia albo wydziału adopcji.

Tak czy owak, ja też nie ułatwiałam sytuacji. Miałam dwadzieścia jeden lat i pewnie za długo odgrywałam rolę mamy, rządząc całą czwórką. Cóż, faktycznie czułam się jak matka i nie bez powodów – James skończył już pięć lat, a jeszcze go nie zabiłam.

Siedzieliśmy w westybulu hotelu Gresham – wszyscy, z wyjątkiem Jamesa, mieli już powyżej uszu zabawy w karmienie kaczek. Zresztą Gresham był pod ręką, bo na O’Connell Street, łatwo dostępny dla całej piątki. Lato w pełni, w lokalu pełno klientów, którzy wpadli tu na herbatę albo drinka, wielu z nich to turyści. Nie wiem, co sobie myśleli o naszej wesolutkiej grupce.

(Wolę nie wiedzieć! Nie sposób było nie zauważyć, co się dzieje).

Nie podano jeszcze coli, gdy Francesca poderwała się na jakąś uwagę Nicoli. Chodziło o głupie papugowanie jej wymowy i kpiny, że mieszka na Riwierze. Bo wtedy Dalkey zaczęto nazywać irlandzką Riwierą, ponieważ osiedliły się tam wszystkie gwiazdy rocka i nie tylko. Przez Nicole przemawiała zazdrość. Rodzina, u której mieszkała z Justine, była kochana, ale niezbyt zamożna.

Zresztą nie miała racji. Francesca była snobką na długo, nim przeniosła się z Foxrock do Dalkey.

Z wrodzonym taktem pogorszyłam sytuację, wybuchając śmiechem. Tamtego dnia nie byłam w najlepszej formie.

Na to tylko czekała Francesca. Poderwała się i wyszła z hotelu.

Opiekunka też się poderwała i biegnie za nią, po czym ja się zrywam i pędzę za nimi. Jak trzech braci Marx.

Dopadamy ją przy drzwiach obrotowych i zaczynamy perswadować. Portier przytrzymuje je nam z miną: to w końcu wychodzą panusie czy nie? Trzymam Francescę za ramię, wrywa się, podczas gdy opiekunka spokojnym głosem usiłuje przemówić jej do rozsądku.

Na próżno. Francesca wróci do Dalkey i koniec. I nigdy więcej nie zamierza się z nami spotykać.

Opiekunka idzie odprowadzić ją do autobusu – wtedy już Francesca mogła sama podróżować – a ja wracam do tamtej trójki.

Siedzą nieruchomo. Pojawiam się równocześnie z colą i ciastkami.

James natychmiast się na nie rzuca i zapomina o wszystkim. Nie przejmujcie się, mówię do pozostałych, spotkamy się z nią następnym razem. Znacnie ją. I siedzimy, czekając na opiekunkę.

Ale nie było następnego razu.

Dziwne, że ludzie tak po prostu znikają nam z życia.

Należałoby się spodziewać jakichś sygnałów. W filmie muzyka ci podpowiada, że coś się stanie. Strasznie upokarzająca jest świadomość, że coś niezwykle dla ciebie ważnego świata w ogóle nie obchodzi.

To samo ze spieniężeniem zdrapki. Przede wszystkim musiałam czekać w kolejce. To pierwsze rozczarowanie.

Wyobrażałam sobie, że będę ja jedna. Wyjątkowa.

Tak czy owak, gdy przyszła moja kolej, serce mi dudniło, kiedy wsunęłam ją pod kratę zabezpieczającą okienko.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale cieszyłabym się, gdyby to się odbyło mniej zwyczajnie. Bicie dzwonów? Salwy armatnie?

Albo nawet jakaś reakcja negatywna – urzędnik zażądałby dowodu, że jej nie ukradłam lub poprosiłby o jakiś dokument tożsamości.

Cokolwiek. Byle by to tak nie przypominało normalnej transakcji.

Facet siedział śmiertelnie znudzony. Nawet na mnie nie spojrzał. Nie zamieniliśmy ani słowa. Dostałam nauczkę. I kto tu karciał pychę Makbeta?

## **Rozdział 13**

W poniedziałek wieczorem ktoś dzwoni do drzwi. Schodzę otworzyć, Patsy. To dziwne, że zjawiała się bez uprzedzenia.

Zwykle wpada tylko, żeby mnie zabrać na występ, albo przy okazji rzadkich wypraw do kina. I wygląda dziwnie, twarz ma ściągniętą.

– Wejdz, co za niespodzianka – witam ją. Jestem tym bardziej zdziwiona, że Patsy wie, iż zbliża się egzamin z angielskiego i powinnam kuć. Nie w jej stylu taka nieoczekiwana wizyta.

Pierwsze, co mi się nasunęło, gdy ją zobaczyłam, to Martin. – W

domu wszystko w porządku?

Nie odpowiada, tylko wchodzi. Korytarz w naszej kamienicy jest ohydny, dziury w linoleum, tapeta tyle razy malowana, że obłazi, więc obrzeżenia wyglądają, jakby je posypano okruchami starej czekolady.

– Nie przejmuj się, kamienica coraz bardziej schodzi na psy –

mówię, usiłując zachować pogodny ton, gdy wchodzimy na górę.

Właściwie barierki mogłyby być śliczne. Zawsze mnie zachwycał

ten zawijas na dole niczym skorupka małża.

Wchodzimy do naszego mieszkania. Dzięki Bogu, James nie wrócił z pracy – zwykle idzie z kumplami na piwo – i pokój wygląda przyzwoicie. Kiedy mój brat się rozwali przed telewizorem, prawie go nie widać zza na wpół opróżnionych kubków i pustych torebek po chrupkach.

– Herbaty? – pytam, sięgając po czajnik.

– Nie, dzięki – odzywa się Patsy po raz pierwszy. Odstawiam czajnik.

– Aż tak źle? – pytam współczująco. – Usiądź i wyrzuć to z siebie.

Tymczasem ona podchodzi do mnie i podaje mi wycinek.

Dziewiętnastoletni kurier z Mountjoy Square w Dublinie, zwolniony za kaucją, stawiał się dziś po raz kolejny przed dublińskim sądem okręgowym. Jest oskarżony o zgwałcenie dwudziestoletniej kobiety w parku Phoenix.

Jedna z tych malutkich notek z boku strony. Każde słowo wryło mi się w pamięci.

Jakbyście przy tym byli: właśnie w ten jeden poniedziałek, gdy nie kupiłam „Evening Herald”.

Patsy milczy. Wyraźnie czeka na moją reakcję. Nie ma sensu zaprzeczać, wymyślać bajek. Wie, że James pracuje jako kurier.

Wie, że ma dziewiętnaście lat. Wie, że mieszkamy przy Mountjoy Square. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić.

Chwila jest surrealistyczna. Wcześniej oglądałam film z Eddiem Murphym, telewizor jeszcze gra. Patrzymy na siebie z Patsy, ja z wycinkiem w dłoni, ona ponura jak śmierć, a Eddie zaśmiewa się szaleńczo, jak to on. Podchodzę i wyłączam telewizor.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam – zwracam się do Patsy.

– Chciałam, ale nie mogłam się zebrać.

Nadal stoi. Nadal nie spuszcza ze mnie wzroku.



– Zrobił to? – pyta dziwnym głosem.

– O tym zadecyduje sąd – odparowuję. – James twierdzi, że to się odbyło za jej przyzwoleniem, a ja mu wierzę. – Patrzę jej prosto w oczy. Kocham Patsy, ale nie pozwolę się traktować z góry. Nie mam pojęcia ani co o tym sądzi, ani dlaczego tak się zachowuje, takiej Patsy często nie widuję.

– Szybko sobie przyswoiłaś żargon – mówi. Nie wiem, co dalej.

– Siądźmy, proszę. Na pewno się nie napijesz herbaty?

– Nie, dziękuję – odpowiada bardzo cicho. Wpatrujemy się w siebie. Gdybym miała zegar szafkowy, jego tykanie bardzo głośno by się teraz rozlegało. Patsy przerywa milczenie.

– Słuchaj – zaczyna – wiem, że przeżywasz bardzo trudne chwile i ogromnie ci współczuję, ale, jak wiesz, mam dwie córki...

Jestem zdruzgotana. Doskonale rozumiem, co sugeruje. Moja najlepsza przyjaciółka feruje wyrok, nawet nie zapoznawszy się z faktami.

Nie zapanowałam nad językiem.

– Po co tu przyszłaś, skoro się boisz, żebyśmy nie zbrukali ciebie i twoich kochanych córeczek?

Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie z wyrazem twarzy niezwykle bliskim litości.

– Przepraszam, Patsy, kajam się, nie chciałam, wiesz, że nie.

– Wiem, że nie chciałaś, Ange – mówi. – Przyszłam ci powiedzieć, że już wiem i, w razie gdybyś się niepokoiła, zapewnić cię, że to nie ma wpływu na naszą współpracę zawodową. – Jest spięta i smutna.

– Daruj, ale...

Kiedy teraz analizuję tę scenę, domyślam się, że pewnie wtedy usiadłam. To było zbyt nieoczekiwane, nie mieściło mi się w głowie.

Dlaczego miałabym się obawiać o naszą współpracę? Nie udawałam. Rzeczywiście, nie przyszło mi na myśl, że sprawa Jamesa mogłaby w jakiś sposób wpłynąć na PA System.

Nim zdążyłam dodać coś jeszcze, położyła wycinek na stoliku przy sofie.

– Przyjadę po ciebie w niedzielę rano, dobra? – Mówi to bardzo łagodnie. – Będę się za ciebie modlić. Och, i powodzenia na egzaminie w środę. Przyślę ci kartkę dla podtrzymania na duchu. –

Próbuje się uśmiechnąć, ale nigdy nie widzieliście mniej udanej próby.

Odwraca się i wychodzi. Zostawia mnie z rozdziawionymi ustami. Cała scena trwała najwyżej dwie

minuty.

Po dziś dzień nie wiem, co naprawdę nią wtedy kierowało.

Chyba że chciała mi utrzyć nosa, a wolałabym jej o to nie podejrzewać.

W zasadzie wyświadczyła mi przysługę. Przynajmniej pokazała, czego możemy się spodziewać. Tak położyła kres mojemu rodzącemu się – nie, dopiero świtającemu – pomysłowi udania się do Rape Crisis Centre i szukania pomocy specjalisty dla nas obojga.

Wieczór był piękny – dziś daruję sobie animizację – i nagle odniosłam wrażenie, że ściany mieszkania się wokół mnie zaciskają. Dusiałam się.

Powinłam była się zająć nauką, tymczasem chwyciłam klucze i wywiało mnie do parku Mountjoy. Latem bramy zamykają dopiero o wpół do dziewiątej.

Pełno w nim ludzi, których nie przytłaczają żadne problemy, grupki młodych matek z wózkami, nieodzowni, wiecznie obecni starcy z psami, dzieciaki grające w nogę albo koszykówkę. Nawet dziewczyna z hulahoop. To mi przypomina dawne czasy. Po pewnym czasie znajduję wolną ławkę, odprężam się, słońce grzeje mi kark i ramiona.

Nastrój trochę mi się poprawia. Koło mojego pantofla fruwa niebieski motylek, potem przysiada na gazonie i znowu podrywa się do lotu. Całkiem niedawno dowiedziałam się, że motyle mogą latać tylko przy słońcu. Niesamowite, prawda? Jeden z pracowników biura, które sprzątaaliśmy, przyszedł kiedyś wcześniej do pracy – trochę po siódmej. Wyrzucił do kosza „Irish Time”, a ja, pod wpływem impulsu, gdy opróżniałam kosze w tym pokoju, wyjęłam gazetę. Właśnie wtedy przeczytałam o motylach

– tam w ogóle zamieszczają mnóstwo tego rodzaju informacji.

Otóż okazuje się, że motyle mają napęd na słońce. Potrzebują jego energii, żeby w ogóle się podnieść. W pochmurne dni albo gdy chmury chociaż na chwilę przesłonią słońce, natychmiast odpoczywają, przysiadając na trawie albo gdzieś w krzakach.

Może i zabrzmiało to, jakbym pracowała w dziale reklamy dublińskich władz miejskich, ale muszę wyrazić swój podziw dla ludzi zajmujących się parkami. Nie poddają się. Sadzą młode drzewka, po czym chuliganeria natychmiast je łamie. Pracownicy od razu sadzą następne, a tamci znowu je niszczą. Ci znowu sadzą.

I tak w kółko, póki chuliganom się nie znudzi. Bóg jeden wie, ile sadzonek na to idzie, ale jak na razie, w tym roku pracownicy parków są górą i nawet zakwitły wiśnie, których od tygodnia nikt nie tknął, więc może przetrwają.

Ostatnim razem, gdy przyszedłam do parku, widziałam, jak szczeniak za pomocą łańcucha od roweru jedną po drugiej, systematycznie, obcinał główki tulipanów, całe setki. Niestety, nie przeszkodziłam mu. Teraz żałuję, łańcuch nie łańcuch. Ale coś wam powiem: dziś jestem w takim nastroju, że nie ręcę za swoje czyny, jeśli dopadnę jakiegoś głupka przy którymś z drzewek albo kogoś z

premedytacją depczącego kwiaty.

Bezmyślnie przyglądałam się mężczyźnie, który w głębi parku bawił się z psiakiem. To niezwykle podnoszący na duchu widok.

Ilekoć psu rzuca się patyk albo piłkę, ten zachowuje się, jakby pierwszy raz w życiu tak się bawił. Ze szczęścia omal nie wyskoczy ze skóry, nawet jeśli tygodniami trzymało się go w zamknięciu. Psy to królowie szkoły wybaczenia.

Tak więc siedzę sobie i jednym okiem przyglądam się mężczyźnie z psem, drugim podpatruję motyla na baterie słoneczne, jak sobie fruwa. Ale w myślach bez przerwy analizuję spotkanie z Patsy. Dziwne. Jeden akapit. Słowo „gwałt”. I to wszystko, tyle wystarczy, żadnych pytań. Moja najlepsza przyjaciółka nie daje mi szansy przedstawienia naszego punktu widzenia. Nawet jej to nie interesuje.

Ale dlaczego? Ciągle widziałam ten dziwny wyraz jej oczu.

Bez wątpienia była tam litość, ale i coś jeszcze. Jakby triumf?

Satysfakcja? Na pewno nie.

Trudno. Do tej pory radziliśmy sobie sami, dalej też sobie poradzimy. Wierzę mu. Bo jeśli nie ja, to kto?

Właśnie tam i wtedy postanawiam sobie, że na serio porozmawiam z prawnikiem, dowiem się, jaki może być najgorszy scenariusz. Zdaję sobie sprawę, że to nie my mu płacimy, ale gra idzie o wysoką stawkę, a państwo zapłaci mu za jego czas.

Już nabieram optymizmu. Odrywam wzrok od motyla i przenoszę spojrzenie na mężczyznę z psem. Okazuje się, że znacznie się przybliżyli. I wiecie co? To Ken, kolega z grupy.

Akurat patrzył w tę stronę, a ja ani się obejrzałam, jak mu pomachałam.

Po co to zrobiłam? Co mi odbiło? Przecież a) uzna, że mu się narzucam, b) nie życzę sobie towarzystwa. Nie jestem w nastroju do pogawędek.

Za późno. Bierze psa i podchodzi do mnie z szerokim uśmiechem.

– Cześć – zagaja. – Prawda, jaki śliczny wieczór? Nie mogłem dłużej patrzeć na notatki z angielskiego. Boisz się środy?

– Cześć – odpowiadam – tak, piękny wieczór. A jeśli do tej pory nie wbiliśmy sobie wiedzy do głowy, to nic już nam nie pomoże. Mieszkasz gdzieś tutaj?

– Tak, na osiedlu Custom Hall, w pobliżu. My dwaj. –

Spogląda na psa, którego trzyma pod pachą. – A ty?

– Tam. – Macham w kierunku DID Electrical.

– Czyli masz blisko, jeśli wysiądzie ci żarówka! – Rumieni się.

Po raz pierwszy zauważam, że jest nieśmiały. W szkole niewiele rozmawialiśmy.

Odwracam od niego wzrok, żeby facet się pozbiierał.

– Czyli jesteś rzemieślnikiem? Stolarzem? Nie wiedziałam, że tam wolno trzymać psy.

– Masz absolutną rację, nie wolno trzymać żadnych zwierząt.

Ale jesteśmy bardzo ostrożni.

Kiedy znowu na niego spoglądam, głaszcze psa po łebku. Psiak nie ma ogona, ale kikut pracuje jak szalony. Zwierzę dyszy, język porusza się szybko jak ptasie skrzydło.

– Jest malutki – mówi Ken – i nauczyłem go nie szczekać. Cały dzień towarzyszy mi w furgonetce, szmugluję go w torbie.

Nawet by mi przez myśl nie przeszło, że ten facet może lubić psy. Nie wiem dlaczego – zresztą i tak nie poświęcałam mu wiele uwagi.

– Śliczny psiak – odzywam się. – Jak się wabi?

– Sam.

– Sam. – Wyciągam rękę i gładzę psa go łbie, liże mnie.

Najwyraźniej jest z gatunku tych, co to wszystkich kochają. –

Dobre imię dla psa – ciągnę. – Rasowy?

Ken uznaje to za zaproszenie i przysiada się do mnie.

– Skąd – wyjaśnia, puszczając psa na ziemię – wzięłem go ze schroniska. Pękłoby ci serce, Angelo, człowiek najchętniej przygarnąłby je wszystkie. Ale musiałem rozsądnie wybierać.

Dużemu psu byłoby u mnie ciasno, nie postąpiłbym wobec niego uczciwie. Zresztą szybko bym wpadł! – Uśmiecha się.

Ma śliczny uśmiech, nigdy przedtem tego nie zauważyłam.

Trochę gawędzimy, oswaja się ze mną. Po psa musiał pojechać do schroniska aż za Finglas. Schronisko dla psów i kotów nad rzeką w pobliżu zbiornika gazu – bardzo korzystnie położone – przeniesiono do Rathfarnham czy jeszcze gdzieś.

Pies ułożył się teraz u jego nóg. Ken pochyła się i znowu go głaszcze.

– Dasz wiarę, Angelo? Biedak miał się stać fajerwerkiem w Halloween. Związali mu łapy, żeby nie uciekł, a potem przywiązali mu ogon do koła, żeby na pewno spłonął.

– Kto go uratował?

– Policja. Zawsze patrolują pewne dzielnice miasta, kiedy są puszczane fajerwerki. Zdążyli w ostatniej chwili. Jak widzisz, ogon już stracił, ale spójrz... – Znowu podnosi psa i pokazuje mi nieowłosione miejsca na brzuchu, gdzie skóra przypomina brukowaną ulicę. Pies znowu go liże. Nieskończona wdzięczność.

– Kto mógł tak skrzywdzić zwierzę? – mówię. – Do czego ten kraj zmierza? Ale policjanci wykazali się odwagą.

– Tak – przytakuje Ken. – Ten, który go uratował, miał tak poparzone ręce, że musieli mu założyć w szpitalu opatrunek.

Puszcza psa, ten znowu zeskakuje na ziemię.

– A w ogóle jak leci?

Oho! – mówię sobie w duchu, zastanawiając się, czy nie kryje się za tym jakiś podtekst. Przyszło mi na myśl, że Ken mógł

czytać „Heralda”.

– Świetnie, świetnie – odpowiadam. Czujnie.

Kończą nam się tematy do rozmowy. Ale chociaż milczenie staje się odrobinę niezręczne, jest jednak dość naturalne, a nie wynika z zażenowania. Czyli pytanie było niewinne.

– Doskonale wtedy czytałaś – odzywa się znów Ken, zapatrzony w przestrzeń. – Mogłabyś zostać aktorką.

– Gadasz – ucinam, ale jest mi miło. – Ty też nieźle się spisałeś

– dorzucam. – Masz bardzo miły głos. Trochę śpiewam.

Podejrzewam, że ty też nieźle śpiewasz.

– Skądże – odpowiada. – Najwyżej w kąpielni. To maksimum moich możliwości. Więc piosenkarka? Zawsze się zastanawiałem, kim jesteś. – Odrywa wzrok od drzew. – Naprawdę śpiewasz?

Zawodowo?

– Można to tak ująć. Nie mogę się oprzeć.

– A obstawiałeś, że co robię?

– Sądziłem, że pracujesz gdzieś w biurze, może w kancelarii adwokackiej albo w banku. – Zerka na Sama, który chyba przysnął. – A ponieważ nie masz matury, to pomyślałem, że to robota załatwiona przez urząd walki z bezrobociem. – Przez moment jest speszony. – Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

– Nie obraziłeś mnie – uspokajam. Pochlebia mi, że Ken uważa mnie . za pracownicę biurową, nawet skierowaną tam przez pośredniak. Zresztą nie widzę nic złego w tym systemie, choć –

tak przynajmniej twierdzą związki zawodowe – te osoby są wykorzystywane. Wykonują tę samą pracę co normalni, pełnopłatni pracownicy, choć oficjalnie nosi to nazwę przyuczania do zawodu. Choć w końcu to jakaś praca. Lepiej, żeby dzieciaki prosto po szkole lądowały na zasiłku? Albo emigro .

wały? Zgoda, płaca nie jest zachwycająca. Ale przynajmniej zdobywa się doświadczenie, co można zaznaczyć w życiorysie.

Gdyby przez Jamesem otwierała się taka szansa, kazałabym mu natychmiast ją łapać.

I nagle okazuje się, że chcę, by ten Ken miał o mnie dobre mniemanie. Nie, nie wstydzę się, że jestem sprzątaczką, i nie chcę kryć się ze swoją pracą, ale coś każe mi poprzestać na niedomówieniu.

– Nie jestem urzędniczką – wyjaśniam – ale faktycznie moja praca polega na odwiedzaniu biur.

Mam nadzieję, że wyglądam poważnie.

– Wiedziałem, wiedziałem, że pracujesz w biurze! – woła Ken.

– Zawsze tak schludnie wyglądasz.

– Mhm... – Mruczę tajemniczo. Oby tylko nigdy nie trafił na mnie w stroju francuskiej pokojówki! (I tak się przymierzam do rzucenia roli króliczka. Może to odpowiedni moment. Zwłaszcza dzięki temu dodatkowemu zastrzykowi pieniędzy).

– Gdzie śpiewasz? – pyta. – Może kiedyś bym przyszedł cię posłuchać?

– Może. Dam ci znać, jeśli uznam jakiś występ za odpowiedni.

Nie wierzę własnym uszom. Żartuję z nim, prawie go kokietuję.

Znowu się do siebie uśmiechamy. Bierze Sama.

– Pora wracać, koleś musi się zdrzemnąć dla urody. Zresztą trzeba jeszcze to i owo powtórzyć. Powodzenia w nauce, do zobaczenia na galerach.

Rewanżuję się tym samym, żegna się i odchodzi.

I tyle tego było, ale zostawiło przyjemne uczucie. Które oczywiście natychmiast odpędziłam. Nie mam prawa do przyjemnych uczuć względem mężczyzn. Nie w tym momencie.

Najpierw muszę wyjaśnić pewne sprawy w swoim życiu. A od Toma Bennetta świetnie sobie radziłam bez facetów.

Rozglądałam się za motylem, zniknął, chociaż słońce jeszcze świeci. Pewnie wrócił do legowiska. Czy motyle mają legowiska?

Jednego na pewno się dowiedziałam: nie jest żonaty. Kto żonaty mieszkałby w tych klitkach i musiał szmuglować psa, który by mu dotrzymywał towarzystwa?

Kiedyś któraś z dziewcząt, chyba Justine, znalazła niedaleko domu kociaka. Biedaczek, miał najwyżej parę tygodni, zupełne maleństwo. Karmiłam go, zanurzając palec w mleku, a kociak ssał – to było bardzo dziwne uczucie. Zdechł po niecałej dobie. Justine wcale się nie przejęła. Natychmiast o nim zapomniała. Miała wtedy pewnie ze dwa i pół roku, bo tuż przed trzecimi urodzinami zabrano ją do rodziny zastępczej.

Wtedy mnie też umieszczono w rodzinie zastępczej.

Niepoprawni optymiści. Po niecałych dwudziestu czterech godzinach byłam z powrotem. Znowu do rodziny zastępczej i znowu ucieczka, do i od, do i od, jak w jojo. Z pewnym momencie chcieli mnie zamknąć w Madonna House. Ale ja się nie dałam.

To, że nie mogli sobie ze mną poradzić, nie znaczyło, że wymknęłam się spod kontroli czy że stanowię zagrożenie dla siebie albo społeczeństwa. Ja tylko wracałam do domu. Nie łamałam żadnego prawa. Jedynie ich przepisy dotyczące dzieci szczególnej troski. Mnie tymczasem nie groziło nic strasznego.

Radziłam sobie. A mama potrzebowała przy sobie kogoś odpowiedzialnego.

A tak w ogóle, nie myślcie, że moje dzieciństwo było zupełnie do chrzanu. Fakt, rozwodzę się nad naszymi problemami, pracownikami socjalnymi, rodzeństwem umieszczanym w rodzinach zastępczych, ale z całą mocą podkreślam, że nie wspominam go źle. Oczywiście, zdarzały się ciężkie i trudne chwile, ale nie brakowało też i dobrych. Weźmy szkołę. Choć szczególnie tam nie błyszczałam – bo nie interesowały mnie lekcje i nigdy nie odrabiałam prac domowych – lubiłam ją, zwłaszcza gdy z naszych życiorysów zniknął ten potwór, Concepta.

Pracownicy socjalni też bardzo się starali i robili, co w ich mocy, żeby nam pomóc. Dobrzy ludzie od Świętego Wincentego również nas wspierali, a trudno sobie wyobrazić czulszą i łagodniejszą matkę niż nasza, gdy była w dobrej formie.

Pewnie trudno wam ogarnąć, jak kobieta – zdaniem władz, niezdolna do opieki nad potomstwem, która nigdy nie potrafiła podać nazwiska ojca dzieci i nadużywała alkoholu oraz narkotyków – może być równocześnie najczulszą i najłagodniejszą matką, kochaną przez nas wszystkich. Cóż, jedno wam powiem: kochałam ją całym sercem i niczego bardziej nie pragnęłam niż ją chronić.

Trudno uznać za winę mamy, że nie była przygotowana do życia, gdy przyjechała do Dublina i zamieszkała w czynszówkach.

Ja winię jej rodziców. Gdzie ich odpowiedzialność?

I przechowuję wiele, wiele dobrych wspomnień o niej.

Pamiętam, jak raz zabrała mnie i Nicole, wtedy jeszcze maleńką, do Clery'ego, żeby nam pokazać Świętego Mikołaja. To były wyjątkowe i cudowne święta, bo przynajmniej raz nie kręcił się koło niej żaden przyjaciel, a mama niczego nie brała.

Bóg jeden wie, skąd wzięła pieniądze, ale beztruosko paradowaliśmy sobie po O'Connell Street. Szliśmy wolno, bo mama była słaba, za to w doskonałym nastroju. Czasem, gdy ją naszło, potrafiła bez końca gawędzić o wszystkim i o niczym. Do tego bardzo współczująco wyrażała się o ludziach, którzy nie okazali jej krzty miłosierdzia.

Jest sucho, wyjątkowo ciepło jak na grudzień, na ulicach mnóstwo rozradowanych ludzi. Pałają się lampki, dochodzi wpół do czwartej, już zapada zmrok. Mocno trzymam mamę za ramię, żebyśmy nie wpadały na przechodniów. Zatrzymujemy się przy RTV Rental na krzyżowaniu Talbot Street i North Earl Street, a tu w telewizji właśnie leci „Ulica Sezamkowa”, na wszystkich monitorach! Mój zachwyty sięga zenitu. Wielki Ptak w kolorze –

pierwszy raz na własne oczy przekonuję się, że jest żółty. W domu oglądam go w czerni i bieli. W tamtym okresie kolorowa telewizja to dla większości ludzi była zupełna nowość.

Mama czeka, aż wszystko obejrzę przez witrynę, na której jest wymalowany Święty Mikołaj na sztucznym śniegu. Wszyscy dokoła życzą sobie Wesołych Świąt i taszcą olbrzymie paki.

Kobieta na Marlborough Street zachwala świąteczne mandarynki po dwa funty. Przytulam się do cieplej, spokojnej mamy i całą mnie zalewa szczęście, niczym gorączka.

Od tamtej pory uwielbiam Boże Narodzenie. Gdybym dysponowała nieograniczonymi zasobami finansowymi, po uszy tonęlibyśmy z Jamesem w sztucznym śniegu, w każdym kącie stałoby powiększenie czerwono-nosego renifera Rudolfa, a sufitu nie byłoby widać spod złocistych łańcuchów. Każdy prezent znajdowałby się w cudownym pudełku, rodem z Ameryki, gdzie ludzie tylko uchylają wieczko, by zobaczyć, co kryje się w środku.

I kupiłabym pianino. Pilibyśmy czerwone wino i śpiewali kolędy.

Śmieszne, ale z tamtego dnia z mamą i Nicolą właściwie nie zapamiętałam Mikołaja, za to każdy krok, każdą chwilę, gdy czułam przy sobie jej szczupłe ramię – tak.

Szkoda, że James jej nie znał. To tworzy prawdziwą lukę w naszej więzi. Próbowałam przybliżyć mu jej pamięć, ale nie mam nawet fotografii do pokazania, bo nigdy nie robilibyśmy sobie zdjęć.

Chyba będę musiała się zebrać na wizytę w Birr, postanawiam, siedząc na ławce w parku Mountjoy,



gdy Ken już sobie poszedł.

Znajdę jej rodzinę i poproszę o zdjęcie. Muszą coś mieć, z confirmacji albo cokolwiek – u protestantów jest confirmacja, prawda? Choć tyle nam się należy.

Mimo to w głębi duszy się lękam. Boję się, czy do tego stopnia się jej nie wyrzekli, że nie zachowali po niej żadnej pamiętki. To by mnie dobiło. Oczami wyobraźni widzę, jak jej matka rozpala ogień i wrzuca doń wszystko, co się wiązało z mamą.

Pomyśleć, że to moja i Jamesa babka. I ja narzekam na wiedźmy z „Makbeta”!

## Rozdział 14

Skoro już poruszyłam temat genów, to zastanawiam się, kto mógł być ojcem Jamesa. W takich sytuacjach chłopakowi przydałby się ojciec. Ale praktycznie nie ma szans, żeby go odnaleźć. W akcie urodzenia w rubryce „nazwisko ojca” zostało puste miejsce. Nie mamy pojęcia, kto to mógł być. Jeśli wziąć pod uwagę, z jakimi facetami zadawała się mama, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten już nie żyje.

Parę lat temu, kiedy Jamesowi przytrafiła się tamta wpadka, próbowałam faceta wytropić i skontaktowałam się ze swoją byłą opiekunką, prosząc ją o pomoc. Rzuciła dawną pracę – zbyt stresującą – ale zostawiła mi swój adres, w razie gdybym kiedyś miała ochotę z nią pogawędzić.

Niestety, mimo jej doświadczenia, poszukiwania spełzły na niczym. Po nieudanych próbach wyjaśniła, że dziewiętnaście lat temu notowaliby konkubentów, tylko gdyby łamali prawo albo w pewnym momencie przyznali się do ojcostwa lub ktoś by ich oskarżał o zaniedbanie.

Władze nawet alkoholu i narkotyków nie uważały wtedy za aż taką znowu wielką sprawę, choć zapewne sporo już tego było, oczywiście nie tyle co dziś, ale wystarczająco dużo. (Różnica polega na tym, że obecnie dostrzegli to politycy i cały kraj, i wszyscy nagle tak strasznie się „zatroskali”). Wiem z pewnych źródeł, że teraz pracownicy socjalni rozrywają na strzępy każdego, kto waży się tknąć ich podopiecznego. Muszą strasznie uważać, byle co wystarczy, żeby sprawa została rozdmuchana, a winą obciąża się ich.

Dobrze przynajmniej, że pochodzenie z nieprawego łoża przestało stanowić takie piętno. Muszę to przyznać Kościołowi katolickiemu, nawet on już nie używa tego określenia. Jedna z koleżanek w pracy w ubiegłym roku otrzymała unieważnienie małżeństwa. Strasznie się tym zamartwiała. No, bo skoro związek uznano za nieważny, to jej dzieci pewnie pochodzą z nieprawego łoża. Była pobożna i wstydziła się tego.

I oto pewnego dnia, w czasie przerwy śniadaniowej, chodzi cała w skowronka. Nie, wyjaśnili jej w liście. Już nie. Teraz takie dzieci uważa się za prawowite potomstwo.

Swoją drogą to oburzające. Ja jestem opoką, też mi. Raczej ruchomym piaskiem. Co z tymi biednymi dziećmi, z których przez ostatnie parę tysięcy lat zrobiono w ten sposób bękartów?

Pewnie błędzą teraz w otchłani nieistnienia.

Kiedy wracam z parku, James jest już w domu. Wygląda, jakby go piorun raził. Siedzi z twarzą w dłoniach. Nawet nie włączył

telewizora.

– Co się stało? – pytam.

Nie każe mi się odczepić, tylko ruchem głowy wskazuje stolik, na którym ciągle jeszcze leży wycinek zostawiony przez Patsy.

– Boże, przepraszam – mówię. – Nie powinnam go zostawiać, żebyś się w ten sposób dowiedział.

Mruczy, że to i tak bez różnicy. Już widział, pokazali mu.

– Kto ci pokazał?

– W pracy. – Twarz nadal chowa w dłoniach. Nic mi nie przychodzi na myśl, z wyjątkiem:

– Zrobić ci coś do picia? Albo skoczę do baru i przyniosę nam coś do jedzenia.

Znowu kręci głową. Siadam.

– Co ci powiedzieli? Było bardzo źle?

Wychodzi na to, że bardzo, wiadomość rozeszła się błyskawicznie i cały ranek wszyscy na niego dziwnie patrzyli. W

czasie przerwy obiadowej wezwał go szef i spytał, czy to prawda.

Musiał potwierdzić.

Ogarnia mnie przerażenie, drę się, jak mógł być taki głupi! Nie chciałam, żeby to zabrzmiało ostro, samo tak wyszło, że przybrałam ton sędziego i ławy przysięgłych. Czasem przydałby mi się pas cnoty na język. Ale wtedy dowiaduję się, że nie przyznał się do samego gwałtu, tylko że toczy się sprawa.

Skutek jest taki, że go zawieszono. Ma się nie zjawiać, póki sprawa się nie zakończy. A jeśli sąd uwolni go od zarzutów, będzie mógł wrócić do pracy.

Wielki znak zapytania.

To było w czasie przerwy obiadowej. Gdzie się podziewał do tej pory?

Wreszcie podnosi głowę i na mnie patrzy. Spodziewam się, że wyskoczy z gębą i każe mi się odczepić, to, kurde, jego sprawa, gdzie się podziewał. Ale nie. On tylko patrzy, jakby był jedną z tych malutkich foczek, które zaraz zginą od uderzenia pałką.

– Jeździłem bez celu.

Ta wizja będzie mnie prześladować. James, wielki macho w skórze, na swojej dudniącej maszynie, jeżdżący bez celu. Może nawet ze łzami w oczach. Chłopcy mają gorzej niż dziewczyny.

One się wyplaczą i już. Oni zaś tłumią wszystko w sobie, póki ból nie rozrośnie się do rozmiarów wulkanu. Albo nie doprowadzi do samobójczych myśli. Przerazające są statystyki, podające liczbę młodych Irlandczyków popełniających samobójstwo.

Wszystko we mnie siada. Wolałabym, żeby na mnie naskoczył.

Ale, co dziwne, gdy wreszcie sprawa się wyjaśniła, odczułam ulgę. Przynajmniej nie musimy już spoglądać w niebo i czekać, kiedy spadnie na nas grom.

Patrzę na jego zwieszoną głowę. Zastanawiam się, czy mogę mu jakoś pomóc słowem albo czynem. Przez chwilę korci mnie, żeby poruszyć sprawę nieuzasadnionych zwolnień – jak każdy, kto zajmuje się sprzątaniami, znam wszystkie paragrafy – ale dochodzę do wniosku, że nie ma sensu budzić w nim próżnych nadziei. Zresztą zawieszono go, nie zwolniono, więc w zasadzie nadal jest zatrudniony.

Gorsze, że w związku z tym nie przysługuje mu żaden zasiłek.

Dzięki Bogu za zdrapki.

– Nie będę mógł się dokładać do utrzymania. – Nie patrzy na mnie, gdy to mówi.

Tak się składa, że jego pieniądze nie stanowią istotnej sumy w budżecie. Pali, lubi wypić piwo i głównie na to idzie jego pensja.

Siedzę na krześle, więc wstaję i podchodzę do kanapy– Na razie nie musisz się przejmować – mówię. – Widzisz? – Ruchem magika wyciągam pieniądze ze schowka w kanapie.

– Co? – Nadal nie patrzy.

– Pięćset funtów. Trafiłam na zdrapce. To do niego dociera.

– Pięćset funtów?

– Tak. Na zdrapce.

– Zdrapce?

– Zamienili cię w papugę, czy co? Słyszałeś. Trafiłam zdrapkę z pięćuset funtami.

– Chryste, masz pięćset funtów i nie pisnęłaś ani słówkiem! –

Jest wściekły, oburzony. – Ja tu siedzę, zamartwiając się jak głupek, że nie będę ci mógł dawać doli, a ty cały czas ściskasz za pazuchą pięćset funtów?

Robi mi się lżej na duszy. To już bardziej w jego stylu.

Nazajutrz wieczorem po zajęciach w szkole idę w miejsce, którego wcześniej nie oglądałam, choć to nawet nie kilometr od czynszówek, w których spędziłam całe życie.

To nasze ostatnie zajęcia przed egzaminem, więc wszyscy życzymy sobie powodzenia i tak dalej, a pan Elliott kończy krótkim kazaniem: jest z nas dumny i wie, że wszyscy jesteśmy gotowi, zostaje tylko powalić komisję na kolana. Co najzabawniejsze, wcale się już nie boję. Zrobiłam, co w mojej mocy, a teraz chcę wreszcie mieć to wszystko z głowy.

Ken elektryk albo stolarz – kto go tam wie – podchodzi, gdy po raz ostatni zbieramy książki i notatki. Nie miałabym ochoty na łyk świeżego powietrza? Znowu się czerwieni.

Nie zamierzam wpadać w zachwyt nad nim. Ale ubranie mi się lepi, nos nam zapchany od zaduchu, jaki panował w sali. (Wbrew moim wcześniejszym oczekiwaniom, do tej pory lato bawiło się z nami w kotka i myszkę, ale dziś jest bardzo parno). Myśl wydaje się kusząca, Ken wygląda na przyzwoitego faceta.

– Dobra – odpowiadam – czemu nie. – Łyk świeżego powietrza to świetny pomysł.

Potem natychmiast zaczynam kombinować. Co robi James?

Czy mnie potrzebuje? Może się martwi? Może siedzi w domu z twarzą ukrytą w dłoniach?

Za późno na zmianę decyzji, Ken promiennie się uśmiecha. A gdy się uśmiecha, cała jego twarz nabiera blasku, wspominałam wam? Znacie ten rodzaj ludzi?

– Cudownie – powiada.

Proponuje, żebyśmy się wybrali na South Buli i następne pięć minut, w drodze do jego furgonetki, spędzamy, zastanawiając się, jakim cudem mieszkam tu od dziecka i nigdy jeszcze nie spacerowałam po South Buli.

Muszę wam powiedzieć, że South Buli to rewelacja.

To bardzo stara tama, biegnąca od Gołębnika – nigdy nie pojmem, dlaczego tak nazwano elektrownię – aż do latarni morskiej.

Tak stara, że kamienne bloki, z których ją zbudowano, zupełnie już do siebie nie pasują, trafiają się między nimi szpary szerokie na stopę. Trzeba się tam poruszać bardzo ostrożnie, a oczywiście dziś włożyłam pantofle na obcasie, które wyjątkowo się nie nadają na taką eskapadę. Szpilka na pewno mi uwięźnie między kamieniami, skrećę nogę, spadnę, Ken zobaczy moje majtki i będzie musiał mnie zanieść do furgonetki, a potem odwieźć do szpitala.

Przestań mędzić, Angelo.

Wieczór jest cudowny, przejrzysty, zeszła się tu chyba połowa Dublina. Mijamy nawet dwie

zakonnice. Nie uwierzycie, ale mają na nogach nieskazitelnie białe adidas. Concepta albo, zdobądźmy się na uczciwość, Concepta, jaką znałam – może poza szkołą była inna, ha! – chyba by dostała piany na ustach, gdyby je zobaczyła.

Cała przyjemność tej przechadzki polega na tym, że właściwie spaceruje się nad Liffey, w miejscu, gdzie uchodzi do morza.

Niesamowite. Choć wiedziałam, że Zatoka Dublińska ma półokrągły kształt, nigdy przedtem nie oglądałam tego na własne oczy. South Buli dzieli ją na południową część po prawej stronie, północną po lewej i centrum za plecami. Ken macha w prawo, pokazując mi PTE, szpital Świętego Wincentego, zatokę Dun Laoghaire a nawet Dalkey, potem w lewo: dzielnice Clontarf, Dollymount, Fairview, Sutton i tak dalej. Biedna północna część jest płaska jak naleśnik, podczas gdy południowej – a to niespodzianka! – przypadły w udziale śliczne, fioletowe wzgórza.

– Tak, ale my mamy cypel Howth – pociesza Ken.

Howth wznosi się na północy, kawałek lądu wrzynający się w morze. Z tego punktu widzenia przypomina odwróconą czaszę olbrzymiej łychy. Tam, jak wszyscy wiemy, mieszka Gay Byrne.

Ken pokazuje mi, gdzie mniej więcej powinien się znajdować jego dom. Gdyby tylko można go zobaczyć. Ken wygląda na bardzo pewnego siebie. Ja niczego nie zauważam. Tylko białe kropki, może domy. A może owce. Albo skały oświetlone przez słońce.

Czyżbym potrzebowała okularów?

Udaję, że widzę. Skąd wie, która to dokładnie biała kropka?

Macie pojęcie? Okazuje się, że jego kumpel został wynajęty przez geniusza. Robił mu jakieś półki.

To się nazywa nośny temat do rozmowy. Kto by nie chciał w cudowny wieczór spacerować po South Buli z kimś, kto z bliska zna Gaya Byrne'a i jego dom. Naturalnie, wypytuję, co ten kolega mu opowiadał o Gaybo w domowych pieleszach. I oczywiście o jego żonie.

Oboje są zupełnie normalni, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jak wszyscy, podjadają w kuchni i oglądają telewizję, choć kumpel Kena nie mówił, jakie konkretnie programy.

Czyli radosna nowina polega na tym, iż różnią się od szaraczków jedynie tym, że z ich domu rozciąga się cudowny widok, a w pogodne dni mogą zobaczyć wzgórza Wicklow, a nawet Wexford. Albo obserwować statki wpływające do portu czy śledzić wzrokiem samoloty lądujące na dublińskim lotnisku.

Bardzo dużo spacerują. (To już bardziej mnie przekonuje. Biedni nie chadzają na spacer).)

Mimo to czuję się rozczarowana, że okazali się tacy zwyczajni.

Wolałabym się dowiedzieć, że mieszkają w czymś w rodzaju South Fork. W innym razie po co człowiekowi sława?

Ken nie pracował dla irlandzkich sław, a Byrne'owie okazali się szczytem możliwości jego kolegi, więc temat wygasa. Mój towarzysz wskazuje na północ.

– To Buli Wall, odpowiednik tamy, po której teraz spacerujemy. Pewnie wiesz, że dalej rozciąga się plaża Dollymount.

Teraz rozmowa toczy się gładko. Sam biega zygzakiem od krawędzi do krawędzi, omal nie przyprawiając mnie o zawał

serca. Nie ma żadnych płotków ani barierek i boję się, że spadnie.

Nie tylko mnie grozi atak serca, nieustannie płacze się pod nogami spacerowiczów, tak że prawie się o niego przewracają.

Owszem, znam Dollymount. Parę razy w ładne dni zabierała nas tam opiekunka. Trzeba jej przyznać, że o wszystkim pamiętała: o wiaderkach, łopatkach, nawet o piłce plażowej.

Podejrzewam, że miała powyżej uszu naszych sprzeczek w hotelowych westybulach i w parku Stephen's Green, gdzie chodziliśmy karmić kaczki. Może, poczciwa istota, liczyła, że otwarte przestrzenie pomogą nam w dogadaniu się z Francescą.

(Jak bardzo się myliła... )

Mnie plaża Dollymount nie zachwyciła, kilometry piasku i wydm, morze tak płytkie, że nawet nie da się popływać. A z powodu utarczek rodzinnych nasze spotkania nigdy się nie udawały. Żadne z nas nie miało co ze sobą zrobić. Bo i co?

Budować zamki z piasku? Nasza rodzina? Litości.

Jednak chwila nie jest odpowiednia, by wdawać się w opowieści o naszej dysfunkcyjnej rodzinie, więc pytam Kena, dlaczego zdecydował się na maturę, choć nie wygląda na to, by jej potrzebował przy swojej nieźle działającej firmie.

Okazuje się, że sam właściwie nie wie. Po pierwsze, dzięki temu zapełnił sobie wieczory, a po drugie, zawsze czuł się odrobinę niezręcznie, gdy musiał się przyznać do braku świadectwa maturalnego.

– A ty? – odbija piłeczkę.

– Tak samo.

Uśmiecham się i na tym poprzestajemy. Zdążyliśmy już dotrzeć do połowy South Buli, gdzie przed małym budynkiem z napisem: „K. Half Moon, założone w 1898” stoi ławeczka. Nie trzeba być geniuszem, żeby rozszyfrować to „K.”, bo właśnie tam kąpie się dwóch facetów. Nie tyle pływają, ile chlapią się w wodzie, doskonale się bawiąc i gawędząc.

– Nie wszedłbym tu do wody, choćby mi dawali kokosy –

odzywa się Ken, patrząc na nich i marszcząc nos.

Choć rozumiem, o co mu chodzi, w tym momencie nie czuję smrodu. Prawdę powiedziawszy, dobiega do mnie tylko jakaś słodkawa woń, może wodorostów, a może rozgrzanych skał.

(Muszę jednak przyznać, że w pobliżu Gołębnika roznosiły się nieszczególne zapachy, a to za sprawą pobliskiej przepompowni oczyszczalni ścieków).

Ławka przed kąpieliskiem Half Moon jest wolna, więc siadamy. Sam wskakuje Kenowi na kolana i mości się jak kot.

Teraz przed nami rozciąga się panorama miasta i, Boże, to cudowny widok...

– Widzisz ten budynek z czerwonym dachem? – odzywa się po chwili Ken, wskazując na Dollymount i sporą budowlę w stylu drewnianego szwajcarskiego domku. Kolor na dachu to nie zwyczajna czerwień, przywodzi na myśl pożar o zachodzie słońca.

– To klub golfowy Royal Dublin, należę do niego. Mówi to, jakby się samo przez się rozumiało, że w Irlandii do klubu golfowego należy rzemieślnik bez matury.

– Aha – odpowiadam. – A potem dodaję: – Jak właściwie masz na nazwisko?

– Sheils.

– Ja Devine.

Znowu milczymy. Ale ponieważ zerwał się lekki wiatr, docierają tu pojedyncze słowa czy zdania mijających nas spacerowiczów.

W mieście człowiek nie zauważa zachodu słońca. Nieba zresztą też często nie. Kiedy się zadrze głowę, nawet w parku, widzi się tylko kwadrat nieba, a nie jego spokojną, nieogarnioną przestrzeń, przy której wszystkie budowle Dublina i góry na południu wyglądają jak zabawki.

I bardzo trudno znaleźć słowa na opisanie tego olbrzymiego, znikającego za horyzontem słońca, czerwonego niczym wnętrza wulkanu. Olbrzymie. Zachwycająca, imponująca, różana kula schodząca ku ziemi poprzez linie zostawione przez odrzutowce, obdarzająca swoim blaskiem ciemniejące wieże kościelne, żurawie i doki. Jeden z promów szykuje się do drogi. Z komina, prosto w górę, wystrzela dym.

Niedługo potem słyszymy odgłos przypominający głębokie dudnienie i niedaleko przepływa statek załadowany kontenerami.

Morze po obu jego stronach jest niczym delikatnie falujący jedwab. A zachód słońca sprawia, że kolory na tym jedwabiu przechodzą od ciemnego różu przy samym statku do delikatnej gołębiej barwy blisko nas.

Piękno i spokój. Mogłabym być Starship Enterprise kołyszącą się na falach.

Nastrój pryska, gdy zbliża się do nas bury kundel i obwąchuje Sama, który natychmiast zaczyna jazgotać. Wraca niepokój o Jamesa.

Ken przejmuje inicjatywę.

– Chcesz wrócić czy wolisz dojść do samej latarni?

– Raczej nie – odpowiadam, zwalając winę na szpilki. –

Chodzenie w nich po tych głazach to koszmar – tłumaczę. –

Zamiast rozkoszować się widokiem, muszę patrzeć pod nogi i uważać na szpary.

Wstaje, puszcza Sama na ziemię.

– Pomogę ci, trzymaj się mnie. Biorę go więc pod ramię i ruszamy.

Nagle czuję się bardzo dziwnie. Ken dość luźno trzyma mnie pod rękę, nawet za luźno, jeśli rozumiecie, o co chodzi, i oboje zdajemy sobie z tego sprawę. Wiem, że to idiotyczne, ale od lat już tak nie chodziłam z mężczyzną i najwyraźniej odwykłam.

Mam wrażenie – a on na pewno też – jakby nad nami rozbłysły neony. Patrzcie! Jesteśmy parą.

Istny nonsens, idziemy sobie, wokół nas najcudowniejszy, nieskazitelny zachód słońca, tymczasem ja koncentruję się na tym, by nacisk na moim ramieniu się nie zmieniał, żeby nie wysyłała żadnych sygnałów. Im bardziej próbuję się odprężyć, tym bardziej się spinam, Ken naturalnie też, aż wreszcie – jestem przekonana, że on czuje to samo – nasze ramiona przypominają dwie olbrzymie betonowe rynnny, splecione już na wieczność. Stajemy się parą idących razem ramion.

Mam wrażenie, że powrót do Gołębnika, gdzie został

samochód, trwa trzy godziny. A gdy się rozdzielamy, by podejść do drzwiczek wozu, ulga jest tak wielka, że robi mi się miękko w kolanach. Ken siada na swoim miejscu, nie podnosząc głowy.

Zatrzymujemy się na frytki w jego znajomym barze w Ringsend. Przynosi je do samochodu i zjadamy porcję bez pośpiechu. Przy jedzeniu znowu zaczynamy rozmawiać. Trochę opowiada o sobie. Pochodzi z Fairview, ale gdy skończył

czternaście lat, jego rodzice z różnych powodów zostali skreśleni z listy lokatorów i musieli się przenieść do Ballymun. Widzę, jak zerka, sprawdzając moją reakcję. Tak samo jak ja jest snobem!

– Ballymun? – ja na to. – Mam tam mnóstwo przyjaciół. – Co nie jest prawdą. Ale widzę po jego minie, że dobrze zrobiłam. –

Podobno mieszkania są śliczne – zmyślam na poczekaniu. – Czy ogrzewanie jest za darmo? A jak jest z ciepłą wodą? Słyszałam, że zimą można się tam ugotować.



– Tak – odpowiada – problem nie w mieszkaniach, ale w tej chuliganerii, która się kręci w okolicy.

Wolę nie kontynuować tematu, w obawie, żeby mnie nie zagadnął o tych wymyślonych przyjaciół.

– Dlaczego musieliście się wyprowadzić? – pytam. – Ale jeśli wtrącam nos w nie swoje sprawy, powiedz.

– Prowadzili sklep, który upadł. Zbankrutował.

Nie ulega wątpliwości, że od bardzo dawna z nikim nie rozmawiał. Ale powolutku odtaja. Z żalem wspomina, że zanim przenieśli się do Ballymun, chodził do szkoły w Sutton Park. Ale nie wolno winić państwowej z Ballymun. Nauczyciele pomagali, jak mogli, tylko jemu zabrakło hartu.

Dlatego rzucił szkołę, nie dobrnąwszy do matury. Zawsze miał

zdolności manualne, więc natychmiast je wykorzystał, kosząc ludziom trawniki, przycinając żywopłoty itepe.

– A gdy przy okazji koszenia zauważyłem, że lada chwila urwą się zawiasy w drzwiach, proponowałem, że je naprawię. I tak to się rozrastało. Klientki polecały mnie przyjaciółkom. – Teraz się rozgadał, znowu czuje się swobodnie, pewnie między innymi dlatego, że oboje jemy frytki.

Tu rzuca bombę na stół. I ma dwadzieścia dziewięć lat i od czterech lat żyje w separacji z żoną, Diandą. Nie dochowali się dzieci.

– Chyba żona Michaela Douglasa też się nazywa Diandra –

mówię.

Patrzy na mnie zaskoczony.

– Nie wiedziałem. Sądziłem, że to jakieś wymyślone przez rodziców imię. Choć, z drugiej strony, nigdy nie widziałem jej aktu urodzenia. Założę się, że na chrzcie by jej tak nie dali. Ile lat temu Michael Douglas się ożenił?

Nie powinnam była w ogóle wspominać o Douglasie.

Dalej próbuję go pociągnąć za język. Okazuje się, że nie jest ani stolarzem, ani elektrykiem – przynajmniej nie z wykształcenia, bo nie ma na to papierów. Robił tylko jakieś kursy.

– Po prostu mam dryg do takich rzeczy – powiada. – Zawsze udawało mi się znaleźć pracę i nieźle z niej wyżyć.

Ima się wszystkiego, co mu wpadnie pod rękę, trochę w ogrodzie, trochę hydrauliki, postawi ściankę, naprawi dach.

Wykorzystuje też furgonetkę: to przewiezie meble przy przeprowadzce, to komuś coś podrzuci.

Wygląda na to, że mamy w tym mieście tysiące ludzi – i to nie tylko bogaczy – którym szkoda czasu, żeby samodzielnie strzyc trawnik. Albo którzy nie potrafią zmienić uszczelki w kranie i nie chce im się tego nauczyć.

Z niedowierzaniem kręci głową.

– Wyobrazasz sobie...

Kiedyś kobieta ściągnęła go tylko po to, żeby jej przybił wieszaczek.

Inna z kolei zatrudniła go do paru drobnych robót: położenia tapety w korytarzu, wycięcia kilku drzew, wymiany gniazdek.

Trudno uwierzyć. Miała męża i trzech synów.

Otwieram oczy ze zdumienia. (Raczej mnie nie zaskoczył. Nie spotkał jeszcze Jamesa Devine’a).

– No i trzeba pamiętać o starszych wdowach, mieszkających samotnie – ciągnie Ken. Zawsze im współczuje. Dogadał się ze swoim kumplem, który często jeździ do Irlandii Północnej i może przywozić różne rzeczy. Zamawia u niego mnóstwo sprzętu w rodzaju alarmów, specjalnych lamp zewnętrznych czy zamków do okien. Odstępuje je wdowom bez marży, bierze tylko za robociznę. – Teraz wszyscy żyjemy w bezustannym strachu. –

Znowu kręci głową.

Urósł w moich oczach. Miło, że nie zdiera skóry z wdów, sama jestem zdana na łaskę i niełaskę fachowców, co to aż się ślinią na widok samotnej kobiety, która nie może sobie sama poradzić z zawieszeniem półki.

Jak znajduje klientów? Otwieram usta i wkładam do nich ostatnią porcję frytek – ze spodu, całe w soli, przepadam za takimi.

Zwykle starzy klienci polecają go znajomym. Poza tym wrzuca ulotki. W Dublinie to niemal przemysł. Po wejściu do mieszkania człowiek potyka się o górę ulotek, wszystko: od glazurowania po przedsiębiorstwa pogrzebowe i sklepy z zabawkami, a co jeden, to bardziej niepowtarzalną okazję ci oferuje.

Do samochodu wpada osa i dopiero po dłuższym czasie udaje nam się ją wypędzić.

Wtedy pada słowo na literę H. Prześladuje mnie. Ken reklamuje swoje usługi w ogłoszeniach drobnych „Heralda”. Złota rączka z samochodem. Uczciwy, solidny, pracowity. Umieszcza ogłoszenie, kiedy urywają się rekomendacje, i zawsze znajduje się dość roboty na zapchanie dziury.

– Tu też zgłaszają się głównie kobiety – mówi nieco zawstydzony. – Nie twierdzę, że kobiety nie potrafią sobie same radzić, skąd.

– Wiem – uspokajam. – Ciągle się przymierzam do zakupu wiertarki. Nigdy nie miałam wolnej gotówki, a gdy coś oszczędziłam, zawsze pojawiały się pilniejsze wydatki.

– W każdej chwili możesz pożyczyć ode mnie. – Uśmiecha się.

– Ale zmieńmy temat. Ciągle rozmawiamy o mnie. Powiedz coś o sobie. Gdzie się mieści twoje biuro?

Gniotę torebkę po frytkach i ściskam ją w dłoni. Nigdzie w furgonetce nie widzę kosza na śmiecie, Ken wrzucił swoją torebkę pod fotel. Nie potrafiłabym śmiecić, nawet gdyby mi za to płacono. Mama bezwzględnie z tym walczyła, przynajmniej wtedy, gdy była zdrowa. Dłoń może mi się cała lepić, a ja wracam do domu z ogryzkiem, jeśli nie znajdę śmietniczki.

– Zostawmy mnie na następny raz – odpowiadam, na tyle zadufana, by zakładać, że takowy nastąpi. – Obiecałam sobie, że spędzę dziś dwie godziny nad książkami. A jutro rano wcześniej wychodzę do pracy.

– W porządku – oświadcza i sięga po kluczyki w stacyjce.

Zanim je przekręci, spogląda na mnie i mówi: – To był bardzo miły wieczór.

Uśmiecham się. Zgadzam się.

– Powodzenia jutro.

– Powodzenia. Ruszamy.

Ja to mam fart. W separacji. W moim życiu nigdy nic nie jest proste.

## **Rozdział 15**

Tradycyjnie pierwszego dnia egzaminów przypada pisemny z angielskiego. Wyobrażam sobie wściekłość bandy w swetrach, wszak to irlandzki jest pierwszym, oficjalnym językiem.

Chociaż sala była duża, a wszystkie okna otwarte, miało się wrażenie, że się siedzi w piecu. Na zewnątrz słońce roztopiało asfalt na ulicach – w czasie matur zawsze panuje upał i współczuję dzieciakom, które danego roku dwa albo trzy tygodnie spędzają w murach, zaliczając przedmiot za przedmiotem. Dziś jednak lituję się przede wszystkim nad sobą. Pocę się jak ruda mysz.

Z tremy aż mi zakipiało w żołądku (może to z winy upału, cha, cha!), gdy zobaczyłam różowe arkusze maturalne. Próbowałam nad sobą zapanować, powtarzać sobie, że mogę być dumna, że w ogóle się tu znalazłam. Kto by pomyślał. Angela Devine z czynszówek. Matura z angielskiego. Pełna gala.

Pisaliśmy egzamin w męskiej szkole, w gronie – ku memu zaskoczeniu – doskonale wychowanych młodzieńców.

Wreszcie nadeszła chwila, gdy przewodniczący komisji powiedział, że już możemy odwrócić kartki.

Słyszeliście kiedyś dudnienie gradu?

Po przeczytaniu tematów nie wierzyłam własnym oczom, z radości omal głośno nie krzyknęłam. Chyba mam dojścia u Kogoś na górze, gdyż dwa z nich to wypracowania, które mogłabym napisać z zamkniętymi oczami. „Pożegnanie młodości”. „Miasto snów”.

Pomyśleć, że cały czas bałam się, czy nie trafią się nam jakieś filozoficzne nudy – potrafią dawać strasznie abstrakcyjne tematy –

albo coś związanego z procesem pokojowym czy Unią Europejską, a to trudno nazwać moim mocnym punktem.

Tymczasem: „Pożegnanie młodości”, „Miasto snów”. Dla mnie, dublinianki? I opiekunki nastolatka roku?

Jak burza zrobiłam część z pytaniami testowymi, po czym rzuciłam się na „Miasto snów”. Puściłam wodze wyobraźni, zlekceważyłam rady pana Elliotta, który ostrzegał, żeby trzymać się zasady: najpierw wstęp, potem rozwinięcie też i na koniec podsumowanie. Wyrzuciłam je za okno. Zresztą i tak od dawna podejrzewałam, że nauczyciele poprawiający te prace marzą o chwili oddechu od tych banałów.

Oto ja i moje miasto: South Bali, zachód słońca i Dublin, napisałam, spowite w złocistą tkaninę. Czujecie ciąg dalszy...

Pisałam aż do ostatniej chwili, ale pod koniec zaczął mi się dawać we znaki upał i coraz trudniej było utrzymać w dłoni długopis; prawą rękę miałam wysmarowaną atramentem, plastik ślizgał się od potu. Zauważyłam, że przy szczególnie silnym nacisku Bic pęka. Ale, jak mawiał Tom Bennett, czego się spodziewać po tandecie za dwa pensy?

Kiedy przewodniczący kazał oddawać prace, czułam, że było warto, i jak na skrzydłach wyfrunęłam z sali.

Pan Elliott już na nas czekał. Szybko omówił z nami test –

okazało się, że nieźle sobie poradziłam, a potem pytał każdego po kolei, jaki wybrał temat. Gdy przyszła moja kolej i powiedziałam, popatrzył na mnie z dość dziwną miną.

– Co się stało? – pytam. Przeraził mnie.

– Nic, nic – uspokaja – ale wiesz, jak to bywa z twoimi wypracowaniami, Angelo, ponosi cię wyobraźnia i miłość do wzniosłych słów. Mam nadzieję, że tym razem mocno stąpałaś po ziemi. Pamiętałaś o zasadach, które wam wpajałem?

Patrzę na niego i przypominam sobie, jak raz jedna z uczennic kłóciła się z nim, że bardziej wartościowe jest twórcze myślenie.

A on odparował, żebyśmy twórcze myślenie zachowali na zajęcia i grupy na uczelniach – gdzie

zapewne wcześniej czy później wylądujemy. Na maturze oczekuje się od nas znajomości struktur, umiejętności pisania oraz inteligentnej, uporządkowanej argumentacji. To nie ulega wątpliwości, zakończył, wierzcie mi.

Robię się malutka. Marzyła mi się czwórka plus albo nawet piątka z minusem, jeśli trafię na życzliwego sprawdzającego (tylko geniusze dostają celujący z angielskiego). Stara znajoma, pycha.

Zapewniam pana Elliotta, że oczywiście przestrzegałam wszystkich jego nauk, ale uchodzi ze mnie powietrze. Żegnajcie, rojenia, w końcu chodziło mi o to, żeby zdać ten piekielny egzamin.

Ken się przysłuchuje i zauważa mój nastrój, bo gdy pan Elliott zwraca się do kobiety obok mnie, pyta, czy po drugiej części nie wybrałabym się z nim na drinka.

– Zaslugujemy na niego – ciągnie – zwłaszcza jeśli poradziłaś sobie tak świetnie, jak się po tobie należy spodziewać.

Będę mu za to dozgonnie wdzięczna.

Zgadzam się na drinka. Wciąż jeszcze buzuje we mnie adrenalina, więc wmawiam sobie, że istotnie zasługuję na święto.

Zresztą nie mogłam się zmusić, żeby wrócić do mieszkania; do biednego Jamesa tkwiącego przed dudniącym MTV, choć nauczyłam się nie reagować. Na ogół czytam albo się uczę, jakbym siedziała w lesie, na polanie.

Dopiero w połowie pytań na temat poezji podczas drugiej części egzaminu uświadamiam sobie, że Patsy nie przysłała obiecanej kartki. Staram się to zlekceważyć, ale niestety, na jakiś czas ta sprawa staje między mną a Patrickiem Kavanagiem.

Sala egzaminacyjna to jedno z tych staromodnych audytoriów, stworzonych z szeregu klas, połączonych rozsuwanymi drzwiami.

Dziś te wysokie drzwi są pootwierane, przypominają wyprężonych angielskich strażników z Tower. Mimo to w pomieszczeniu panuje duchota, jeszcze gorsza niż rano. A jest takie sędziwe, że choćby nie wiedzieć, ile razy je sprzątać, zawsze pozostanie w nim kurz. Stary tynk, stare drewno – wierzcie mi, znam się na tym! Okna wstawione wysoko – pewnie żeby uczniowie nie mogli przez nie wyglądać i rozmarzać się – w promieniach słońca widać drobinki kurzu. Mole. Miliony moli.

Nie żebym miała czas na podziwianie tańca kurzu. Choć może to magiczny kurz. Bo dobra wiadomość jest taka, że ku swemu zdumieniu, znowu mi się udało. Poradziłam sobie z prawie każdym pytaniem każdej części testu.

Nie uwierzycie, ale w części poświęconej dramatowi polecono nam opisać, „co sprawia, że »Hamlet« przez stulecia cieszy się niesłabnącym powodzeniem”. W ten sposób zyskałam szansę porównania nieludzkiego napięcia, jakie wywiera się na człowieka w „Hamlecie”, do jeszcze gorszego i bardziej nieludzkiego w

„Makbecie” oraz przeanalizowania, dlaczego „Hamlet” cieszy się większą popularnością. (Jak zresztą wiecie, moim zdaniem –

niesłusznie). Taki test musiał mi zesłać prawdziwy anioł stróż. Ale numer. Dziękuję, panie Elliott. Dziękuję, aniele...

Najdziwniejsze, że w tym momencie myślę o napięciu. Sami się przekonacie, co zaraz się stanie.

Przez pewien czas w sali słychać tylko westchnienia, szelest papieru i skrzypienie krzeseł. Piszę jak szalona – zużyty długopis znowu ślizga mi się w dłoni – gdy za sobą słyszę dziwny odgłos, jakby stłumiony krzyk. Nie tylko ja, wszyscy pozostali też.

Oglądamy się.

W przedostatnim rzędzie jakiś dzieciak pękł. W pierwszym momencie sądziłam, że dostał ataku czy czegoś takiego, głowę ma odchyloną, cały się trzęsie, ale zauważam łzy płynące po policzkach, i dociera do mnie, że to załamanie nerwowe.

Podchodzi do niego nauczyciel, kładzie mu rękę na ramieniu, ale okazuje się, że to błędna decyzja. Nigdy w życiu nie zapomnę tego, co się potem działo. Dzieciak zrywa się na nogi, przewraca stolik – nie, „przewraca” to zbyt łagodnie powiedziane, ciska nim z taką siłą, że ten leci w górę i ląduje na sąsiednich ławkach, krzesłach, chłopcach. Robi się zamieszanie. W powietrzu kłębią się ławki, krzesła, kartki, długopisy, notatki, linijki, ręce, nogi.

Potem dzieciak zaczyna się miotać po sali, wymachując rękami, kopiąc każdego, kto się zbliży. Pandemonium. Wszyscy zrywamy się i uciekamy mu z drogi. Dalsze poprzewracane krzesła. Za chłopakiem pędzi nauczyciel.

Teraz dzieciak chwytą krzesło i rzuca nim w okno. Tłucze się szyba. Wszyscy się kulimy. Szkło rozpryskuje się po sali, bo z zewnątrz osłania je siatka. Chłopak wierzga, ciska wszystkim, co mu wpadnie w ręce.

Jedno jest dziwne. Człowiek spodziewałby się wrzasku.

Tymczasem nie. Słychać tylko trzask, brzęk i nasze ciche dyszenie, gdy uciekamy z drogi opętanemu.

Chwytą drugie krzesło, nauczyciel rzuca się do drzwi i ryczy do dyżurnego, żeby leciał do dyrektora i kazał mu sprowadzić strażników i lekarza.

Spytacie, co zrobiliśmy. Zupełnie nic. Wszyscy jesteśmy jak w szoku. Sparaliżowani. Tylko się patrzymy. Wokół dzieciaka tworzy się pustka.

Rzuca drugim krzesłem w okno, w chwili gdy do sali wpada dyrektor. Dyrektor krzyczy: „Gary, Gary!”, ale tamten nie reaguje, ciska trzecim. Brzdęk! Kawałki szkła sypią się na podłogę.

Dyrektor podbiega do niego i w dzieciaku coś pęka. Ucieka od okna w kąt. Staje twarzą do przeciwników. Dyrektor i nauczyciel zbliżają się do niego z dwóch stron. Dyrektor – trzeba mu

przyznać – nie wykonuje żadnych gwałtownych ruchów, wyciągnął ręce z otwartymi dłońmi, jak rewolwerowiec pokazujący oponentowi, że jest nieuzbrojony.

– Chodź, Gary, mówi, chodź, nikt cię nie skrzywdzi. –

Przemawia jak do dzikiego zwierzęcia. Bo właśnie tak dzieciak się zachowuje, plecami przywarł do ściany, nogi rozstawił, ramionami przykleił się do muru, jakby podpierał budynek. Głowę trzyma prosto, nieco przechyloną, niczym jeleń, który zaraz zostanie zastrzelony.

Tak się składa, że stoję tuż obok, tak blisko, że widzę żyłki, niczym czerwone niteczki, w jego oczach. Serce mi się do niego wyrywa. Nigdy nie widziałam jeszcze kogoś tak przerażonego.

Nawet Jamesa, gdy przyszli gliniarze.

Teraz w sali zapadła cisza. Po wcześniejszym trzasku i brzęku aż dudni w uszach ciche, uspokajające:

– Chodź, Gary, wyjdziemy stąd. Ktoś się tobą zaopiekuje, nic ci się nie stanie, nie będziesz miał żadnych kłopotów. Chodź, Gary.

Chłopak wydaje przez nos stłumiony ni to odgłos, ni to prychnięcie, jakby był śmiertelnie przerażony – co zresztą zapewne odpowiada rzeczywistości.

Wysuwam się naprzód, słyszę swój głos:

– Przepraszam, mogę pomóc, mam podobną sytuację w domu, chyba sobie poradzę. – Nie czekając na zgodę dyrektora, podchodzę do dzieciaka i patrzę mu prosto w oczy. – Słuchaj –

mówię spokojnie – daję słowo, że nikt ci nic nie zrobi. Wyjdź z nami. Nie przejmuj się cholernymi oknami, to w końcu tylko szkło, raz dwa się sprzątnie. Prawda? – rzucam przez ramię do dyrektora, ale nie odrywam wzroku od Gary’ego.

– Tak – odpowiada dyrektor.

Przez chwilę nie dzieje się nic, potem dzieciak odrywa ramiona od ściany. Bierzymy go z dyrektorem pod ręce i wychodzimy z sali. Twarz dyżurnego na zewnątrz to prawdziwe studium. Nie ma więcej niż szesnaście lat, okulary, pryszcze, z jednej strony podniecony, z zapartym tchem obserwuje dramatyczne wydarzenia, z drugiej zaś śmiertelnie się boi. Pewnie myśli, że część winy spadnie na niego.

Gary jest załamany. Abstrahując od wszystkiego, oblał

angielski, a jeśli człowiek chce zaliczyć trzeci stopień, nie stać go na oblany angielski. Idzie z dyrektorem do gabinetu, ja muszę wracać na salę kończyć test.

I tu dla mnie sprawa się zamknęła. Spytacie, po co w ogóle wam o tym opowiadam? W końcu Gary to nie moje zmartwienie.

Tyle że ta cała historia uświadomiła mi – z bolesną wyrazistością

– jak krusi są chłopcy w tym wieku. Z pewnością więcej już mówić nie muszę.

W sali egzaminacyjnej nauczyciel ociera pot z czoła – to typ faceta w swetrze, oni zawsze mają prawdziwe chusteczki do nosa

– a na mój widok wybucha. Dopiero w tym momencie zdaję sobie sprawę, co zrobiłam. „Poradzę sobie”? Nie radzę sobie z własnym bratem. A mimo wszystko udało się. To cenna lekcja. Jeśli człowiek zachowuje się jak ktoś z autorytetem, zyskuje ten autorytet.

Przewodniczący komisji wskakuje na podest w głębi sali i wygłasza krótkie przemówienie. To pierwszy, pierwszy taki wypadek w jego karierze. I najlepiej będzie, jeśli teraz ustawimy z powrotem ławki i wrócimy do pracy. Musimy się uspokoić. Ma nadzieję, że nie jesteśmy aż tak poruszeni, by nie móc dokończyć egzaminu.

Mężczyzna z naszej grupy pyta, czy przysługuje nam krótka przerwa na zebranie myśli.

Wykluczone. Nauczyciel odzyskuje panowanie nad sytuacją i surowo oświadcza, że ufa, iż nikt nie wykorzystał tego zamieszania w niewłaściwy sposób.

Prychamy nerwowym śmiechem, bo wiemy, co ma na myśli –

ściągnięcie – ale nie jesteśmy pewni, czy to miał być żart, czy nie.

Nie. Bo oznajmia, że będzie śledził każdy nasz ruch, dopóki nie przywrócimy porządku w sali i nie siądziemy do pracy.

Oczywiście, że względu na zaistniałą sytuację przedłuży egzamin o piętnaście minut, dając nam czas na opanowanie się.

Łaskawca.

Okazało się, że nie tak wiele czasu potrzebowałam, by znowu pochłonęła mnie kwestia nacisku wywieranego na Ofelię. Już, już miałam to porównać z presją, pod jaką żyła Lady Makbet, ale się powstrzymałam. Co innego wykazać się wiedzą, a co innego popisywać. Sądzę, że umiejętność rozróżniania między tymi dwiema rzeczami świadczy o dojrzałości ucznia. Dlatego czas, który zamierzałam poświęcić na tamtą tezę, wykorzystałam na skupienie się na biednej, niewinnej Ofelii.

W końcu, gdy facet na podium ogłasza, że czas dobiegł końca, jestem dość zadowolona. Przyłożyłam się, pytania mi przypadły do gustu, zrobiłam, co w mojej mocy.

Postanawiamy pójść z Kenem do Gravediggers, pubu na tyłach cmentarza Glasnevin. Jest niedaleko, a słynie ze swoich związków z Jamesem Joyce’em i Bloomsdayem. Stwierdzamy, że to dobre miejsce dla osób, które właśnie napisały pracę maturalną z angielskiego. I wiecie co? Właśnie wychodziliśmy, gdy pan Elliott zaproponował całej grupie, żebyśmy skoczyli do tego samego pubu.



Spoglądamy na siebie z Kenem i bez słowa odgadujemy, że chcemy zostać sami. Co mnie niepokoi, jeśli to właściwe słowo.

– Na pewno nie przyłączysz się do nas na drinka, Angelo? –

Pan Elliott jest zbity z tropu. Chyba lubi sobie wyobrazać, że prowadzi współczesną odmianę szkoły pod gołym niebem i chce mieć całą gromadkę na oku.

– Nie, dziękuję, Ken zaproponował, że mnie podrzuci do domu.

– Słyszę swój podejrzenie beztroski głos, jakbym miała coś do ukrycia.

Weź się w garść, Angelo Devine.

Kiedy idziemy do samochodu, Ken wbija wzrok w przestrzeń i proponuje inny pub, Brian Boru, stosunkowo blisko Gravediggers.

– Zresztą – ciągnie, zapalając silnik – są do siebie podobne. W

„Ulissesie” znajduje się też opis Brian Boru.

Jestem pod wrażeniem.

– Czytałeś „Ulissesa”? – A ty? Wybuchamy śmiechem.

Pub jest urządony w starym stylu. Ciemna boazeria, dzbany z patyną, na półkach wśród butelek migoczą złote płatki Goldwasser. Miło się tu siedzi. Jako że to wczesne popołudnie, kręci się dużo pracowników biurowych, głównie młodych.

Wychylamy jeden za drugim trzy drinki i świetnie się bawię.

Do tego stopnia, że po trzecim robię się wesolutka, Ken chyba też.

I nagle budzi się we mnie niepokój o Jamesa. Pewnie to skutek afery z chłopakiem w szkole.

Mówię Kenowi, że już muszę iść. Znowu wpatruje się gdzieś w przestrzeń.

– Czy to już koniec? Bo chciałbym się jeszcze z tobą spotkać. –

Jest buraczkowy i uświadamiam sobie, że właśnie zaproponowano mi prawdziwą randkę. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś chciał

się ze mną umówić.

Niedokładnie się wyraziłam. Faceci zapraszali mnie na randki.

Tylko ja nie pamiętam już, kiedy ostatni raz w ogóle wzięłam pod uwagę, że mogę przyjąć zaproszenie.

Trunek rozwiązuje mi język.

– Chcesz się ze mną umówić? Na prawdziwą randkę? Gdyby mógł bardziej poczerwieniec, na pewno by to zrobił.

– Świetny pomysł. – Próbuje się roześmiać. Bez powodzenia. –

Owszem, tak. Tak, rzeczywiście. Zapraszam cię na randkę.

– W takim razie zgoda.

– Kiedy? Moglibyśmy się wybrać do kina.

– Jasne. Od wieków nie byłam w kinie.

Umawiamy się na następny wieczór, na „Rozważną i romantyczną”. Proponuję, żebyśmy poszli na seans o szóstej, a nie na nocny. Jeśli nawet Ken chciałby ze mną chodzić, wolę stopniować znajomość, przekonać się, co ja na to. Zgadza się. Jest tak skrępowany, że widzę, jak żyłka pulsuje mu na czole. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się ożenić.

Nim dotarłam do domu, zrobiło się dość późno. Przez zamknięte drzwi dudnił kakofoniczny łomot rocka. Nie znoszę MTV. Nieraz próbowałam się zmusić do otwartości, nadążania za czasami, zrozumienia dla potrzeb młodych i tak dalej, ale nieodmiennie dochodziłam do wniosku, że ta ich tak zwana muzyka to wyłącznie hałas. Nie sposób odróżnić słów, a wokaliści niemal zawsze fałszują.

Oczywiście, trafiają się wyjątki. Lubię głos Bono, jest liryczny, trafia do człowieka. I Bono nie fałszuje. Ale słuchając go, często się krzywię, bo tak nadweręzał głos, że teraz chrypi nawet w czasie wywiadów radiowych. Moim skromnym zdaniem, jak tak dalej pójdzie, to w wieku pięćdziesięciu lat zupełnie go straci.

(Choć moja opinia go nie obchodzi, zarobił już tyle, że nigdy więcej nie musiałby otwierać ust).

I akompaniament ma w sobie coś niepokojącego. Gitara Edge’a jest fantastyczna. Do tego stopnia, że – przyznaję się bez bicia –

gdybym miała forszę, poszłabym na koncert U2. Podobno na żywo są niesamowici.

Bardzo się szcycimy irlandzkimi piosenkarzami czy grupami, które odniosły światowy sukces. Uważam, że jak na taki mały kraj, doskonale się spisujemy. Weźmy chociażby czasy sprzed dwudziestu pięciu lat. Kto by pomyślał, że będziemy raz po raz wygrywać w konkursie Eurowizji? Albo zdobywać Nagrody Nobla? Nie zapominajmy o innych dziedzinach. Sport, w którym mamy olimpijczyków i medalistów świata, jak Ronniego Delaney, Sonię O’Sullivan, Michelle Smith, Eamona Coughlan.

Nie wspominając już o Paulu McGrathu i George’u Bescie oraz wszystkich golfistach, pisarzach i kolarzach.

Zauważcie, że mamy o połowę mniej ludności niż Haiti. A kiedy ostatnio słyszeliście o jakiejś gwiazdzie z Haiti? Papa Doc i na tym koniec.

Głęboko wciągam powietrze i wchodzę do mieszkania. Witam się z Jamesem. Muzyka tak huczy, że widzę ruch jego ust, gdy mówi „cześć”, ale nie słyszę. Rozwalił się na sofie, nogi przerzucił przez oparcie, na podłodze obok niego leżą trzy puste talerze – trzy! – obok dwie opróżnione szklanki i dwa kubki.

Teraz wsypuje sobie z torebki do ust chrupki, a w drugiej ręce trzyma colę.

Coś we mnie pęka – może to wina tych paru dżinów, które wypiliśmy z Kenem w Brian Boru. Podchodzę do telewizora i wyłączam program.

Odwracam się.

– Zabieraj te giry z oparcia i posprzątaj po sobie.

Otwiera usta, żeby mi odpyskować, ale wtedy zdarza się cud.

Zamyka je bez słowa, zdejmuje nogi z oparcia i wstaje. Zgarnia talerze, kubki i szklanki, po czym rusza z nimi do zlewu. Odkręca kran. Stoję z rozdziawioną gębą.

I wtedy wszystko psuję. Naskakuję na niego, jak to się zaharowuję dla nas obojga i że nie chcę po powrocie do domu zastawać takiego syfa, zwłaszcza że wystarczyłaby odrobina wysiłku z jego strony... Tak się nie postępuje... Słyszę swoje zrzęczenie, niczym chrobot zardzewiałej igły na porysowanej płycie.

Ciska szklankę do zlewu, szklanka pęka.

– Odczep się – mówi (tyle że to nie było „odczep się”). I wypada z mieszkania.

Instynktownie chcę za nim pobiec, ale stoję w miejscu.

Najchętniej bym się zabiła. Proszę, dał mi cudowną szansę postępu w naszym związku, tymczasem ją rozwaliłam.

Jasne, mam trochę racji, powinien się bardziej postarać, zdobyć na wysiłek, zająć mieszkaniem, ale z drugiej strony, jest w fatalnym stanie. Zagubiony. Pewnie zajada smutek. Jego życie też nie pieści: żadnego rodzeństwa, rodziców, tylko jedna, grubo starsza siostra. Do tego taka, która lubi się szarogęsić. A na dodatek teraz spadła mu na głowę sprawa o gwałt. I muszę uczciwie przyznać, że był mocno rozpieszczony – część odpowiedzialności za jego egocentryzm spada na mnie.

Stoję w milczeniu. Mieszkanie wydaje się strasznie puste.

Uświadamiam sobie, że pewnie tak będzie wyglądać, gdy James wyląduje w więzieniu.

Oczywiście, chciałam powiedzieć: „jeśli”...

Na oparciu sofy, gdzie trzymał nogi, zostało wglębiecie.

Podchodzę, wyglądam je. Jest jeszcze ciepłe. Ogarnia mnie smutek. To przez ten cholerny dżin, nie bez powodu nazywają go rozpaczą matek. I co teraz będzie? Kto tu jest egocentryczny?

## Rozdział 16

Dwie dobre nowiny.

Zapomniałam o kacu, gdy następnego dnia przeczytałam list od Patrice'a Murphy'ego. Oczywiście był adresowany do Jamesa, a choć w normalnej sytuacji nawet by mi przez myśl nie przeszło otwarcie jego poczty – nie żeby jej tak znowu wiele dostawał! – w tym momencie wydało mi się to usprawiedliwione.

Po pierwsze, szef Jamesa zgodził się wystąpić w sądzie, by zaświadczyć o jego nienagannym sprawowaniu. Po drugie, nawet lepsze, dotarły wyniki testów psychologicznych i, dzięki Bogu, przemawiały na korzyść Jamesa. Psychiatra uważał, że incydent z Rosemary Madden był odosobniony i nie powinien się powtórzyć.

Wiadomościami mogłam się z nim podzielić dopiero późnym wieczorem. Wrócił do domu prawie o wpół do jedenastej.

Kiedy mu je przekazałam, widziałam – chociaż próbował to ukryć – że informacja o szefie nim wstrząsnęła. W końcu to ten sam facet, który go zawiesił.

Niestety, gdy James się zjawił, właśnie wychodziłam do pracy w nocnym klubie, więc nie mieliśmy czasu omówić nowin.

Ponieważ James nie pracuje, muszę zarabiać, gdzie mogę, więc (oby tylko czasowo) porzuciłam plany zostawienia tej roboty.

– Przepraszam – mówię Jamesowi – wychodzę, ale niedługo wrócę.

– Co? – Gapi się na mnie, jakbym miała dwie głowy.

Nie odpowiedziałam. Ledwo się zmusiłam, żeby tego wieczoru iść do pracy, nie miałam ochoty na dodatkową szarpaninę. Oprócz nieszczęść, jakie się na nas zwały, tamtego dnia wyjątkowo boleśnie uświadamiałam sobie, że w kostiumie wyglądam jak słońca. A że nawet o jedenastej będzie jeszcze widno, wyobrażałam sobie spojrzenia na ulicy.

Zaczęłam tę pracę sześć lat temu, wcześniej nie pracowałam wieczorami, bo opiekunki do dziecka kosztowały fortunę i po prostu się to nie kalkuloowało. Ale gdy James skończył trzynaście lat, zauważyłam w jednej z tych gazetek, co to je wrzucają z listami, ogłoszenie i uznałam, że mały jest na tyle duży, że mogę go zostawić samego parę wieczorów w tygodniu. „Wysokie stawki dla odpowiednich kandydatek. Wymagane poczucie humoru”.

Rozmowa kwalifikacyjna poszła jak po maśle. Bałam się, że każą mi się rozebrać, tymczasem wcale.

Może dlatego, że specjalnie włożyłam krótką spódnicę. Facet rozmawiał ze mną, jakby chodziło o normalną posadę, choć oczywiście znacznie mniej oficjalnie. Pytał, co bym powiedziała na całowanie facetów albo przekładanie ich przez kolano i sprawianie im lania.

– Jeśli to ich podnieca, nie ma sprawy – odparłam. – Byle to pozostało w granicach zabawy i nie wymykało się spod kontroli.

Czułam, że bacznie mnie obserwuje, gdy mówiłam. A jak bym się czuła, występując w przebraniu typu króliczek czy obrany banan.

– W porządku – odrzekłam, ale wpatrywałam się w punkt nad jego głową, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Zamówił mnie jeszcze na ten sam wieczór, gwoli próby.

Poszło dobrze – najwyraźniej spytał potem klienta – więc zamówił mnie na kolejny wieczór, a potem wpisał na listę. I tak się zaczęło.

Jedynym problemem okazał się brak telefonu, musiałam zatem dzwonić, żeby potwierdzić terminy. W sumie wyszło mi to na dobre, bo to ja kontrolowałam sytuację. Jeśli nie chciałam pracować, nie telefonowałam. Kiedy zaś z kolei potrzebowałam gotówki – na przykład popsuł się odkurzacz albo musieliśmy sobie sprawić nowy czajnik czy toster – wiedziałam, że mam odwód w postaci tej roboty.

Po paru miesiącach byłam starą wygą. Kiedy już człowiek załapie, o co chodzi, może się wcielić w każdą postać.

Najważniejsze jest to, żeby nie czuć się skrępowanym i skupić na kliencie. W połowie się gra, w połowie jest się sobą. Zresztą zwykle wszyscy i tak się koncentrują na ofercie. A jeśli i ty się na nim skoncentrujesz – w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach to mężczyzna – rzecz staje się zupełnie prosta.

Kiedy bliżej poznałam szefa, powiedział mi, że po dwóch minutach rozmowy potrafi ocenić, czy kandydat nadaje się do roboty. Uważa, że praca stanowi przedłużenie osobowości człowieka. Może to nie świadczy o mnie najlepiej, ale w pewnym momencie to mi się całkiem podobało. (Przez jakiś czas). Zdaje się, że naprawdę umiem ludzi bawić.

Zdecydowanie bycie króliczkiem niezwykle dodało mi pewności siebie. Z całą pewnością pomogło mi podczas występów PA System. Zaczęłyśmy się z Patsy w to bawić, gdy już od dawna pracowałam w klubie i przekonałam się, że stanąwszy przed publicznością, prawie wcale nie czuję tremy. Potrafiłam się skupić na zabawie ludzi, a nie na tym, co sobie o mnie pomyślą. Dzięki temu zbiera się dodatkowe punkty, widzowie stają po twojej stronie, przynajmniej na początku. W końcu zapłacili za to, żeby się bawić, a nie krytykować.

Początkowo nie chwaliłam się tą robotą – koleżanki od sprzątniania nadal o niej nie wiedzą, ale bomba tyka, lada chwila natknę się na którąś z nich, jak nie na tym występie, to na drugim.

Dublin to rzeczywiście wiocha, wszyscy tubylcy to powtarzają.

Nie da rady przejść O'Connell Street, żeby się nie natknąć na przynajmniej jednego znajomego.

Nawet Patsy nie puściłam pary z ust, dopiero po dwóch latach.

Przyznam, że dobrze to przyjęła. Ale często zastanawiam się, co mama by na to powiedziała. Była taką damą, że chyba by nie pochwałała tego rodzaju zajęcia. A z całą pewnością byłaby oburzona występami w parach, na przykład gdy wcielamy się w księdza i zakonnicę.

Oczywiście pieniądze spadły nam z nieba, bo dzięki nim mogliśmy wyprowadzić się z miejskich czynszówek do mieszkania wynajmowanego od właściciela.

Tak czy owak, tego wieczoru występuję w roli francuskiej pokojówki. Wchodzę do pubu cała w piórach.

I kogo widzą moje oczy? St Johna Markeya.

To się nazywa szok. Nie wiem, które z nas jest bardziej wstrząśnięte. Choć właściwie dlaczego tak mnie zaskoczył widok tego gołowąsa adwokata w pubie przy Dorset Street?

Prawnicy dziwnie mi nie pasują do Dorset Street. Raczej do Grafton Street czy Shelbourne, w każdym razie bardziej na południe.

W każdym razie płonę ze wstydu. Oczywiście udaję, że faceta nie widzę, i robię, co do mnie należy. Ale łaskocząc ofiarę miotełką i świergocząc *ohlala*, cały czas czuję wwiercone w tył

głowy oczy St Johna Markeya. Albo w inną część ciała. Kostium francuskiej pokojówki jest dość kusy.

Czy to zaszkodzi Jamesowi? Czy ten dzieciak, referując jego sprawę sądowi, będzie widział mój stanik i frywolne podwiązki pod fartuszkami?

Nigdy jeszcze tak się nie cieszyłam, wychodząc z klubu. Na szczęście miałam zarezerwowany tylko jeden występ, więc rzeczywiście wracam do domu wcześniej.

Okazuje się, że to prawdziwe szczęście, bo po powrocie zastaję Jamesa zdruzgotanego. Dosłownie. Leży w sypialni, z twarzą w poduszce. Żadnej telewizji, żadnej muzyki, żadnych świateł. Leży jak trup.

– O co chodzi? – pytam. – Coś się stało?

– A jak myślisz? – Mówi to do ściany, nawet się nie ruszywszy.

Już się nie odzywam, czuję się zupełnie bezradna. To najgorsze w tej całej sprawie. Nic nie mogę poradzić. Wypadki toczą się, porywając nas niczym lawina. Widzimy ją, słyszymy, dudni nad nami, ale nie mamy jak przed nią uciec. Musimy stać, spoglądając nad głowę. Czekaając, aż lawina nas

pochłonie.

Poprawka. Czekaając, aż główny strumień nas pochłonie. Bo raz po raz posyła małe lawinki jako ostrzeżenie.

Parzę dwa kubki herbaty i zanoszę do jego pokoju.

– Słuchaj, James, zrobiłam ci herbaty. Wypij. Dalej...

– Nie chcę. – Nadal do ściany.

– Wiem, że nie chcesz, ale proszę. Zrób to dla mnie.

– Nie chcę kurde, herbaty.

– Więc usiądź. Chcę z tobą porozmawiać.

– Odchrzań się ode mnie i daj mi spokój. Nie ustępuję. Tym razem przyszła moja kolej.

– Nie odchrzanię się – mówię cicho. – Zostanę tu, póki nie usiądziesz. Nie ja nas wciągnęłam w to bagno, cholera jasna, ale trwam przy tobie. Nie zostawiam cię.

Nie wiem: czy dlatego, że klęłam – to dla niego zupełna nowość – czy z innego powodu, w końcu wolno siada. Podaję mu kubek, bierze, ale nadal na mnie nie patrzy.

Siedzimy tak, każdy sącząc swoją herbatę. Próbuję sobie wmówić, że właśnie przy nim trwam. Nie obchodzi mnie, że pozornie nie życzy sobie mojej obecności. Ja tu jestem dorosła.

Muszę ufać intuicji i robić to, co dla niego najlepsze.

Na ulicy jakieś zamieszanie, pewnie pijana parka, mężczyzna i kobieta. Drą się na siebie. Mnóstwo przekleństw. Nagle wydaje mi się, że my dwoje, zamknięci w tym cichym pokoju, jesteśmy nierealni. To nierealne zachowanie, tak siedzieć przy zgaszonym świetle, popijając herbatę i milcząc.

Wiecie, jak to się robi? Kiedy człowiek oddala się od siebie i obserwuje swoje czyny, jakby oglądał sztukę? Siedzimy z Jamesem na jego łóżku, on niby upiór, ja w stroju francuskiej pokojówki, ledwo nas widać wśród zwałów jego rozrzuconych ubrań.

Nie jesteśmy prawdziwymi ludźmi. Jesteśmy Makbetami.

Dziwne, że właśnie w tej chwili przychodzi mi do głowy

„Makbet”. Rozmowa między Makbetem a lekarzem. Ona już zupełnie postradała zmysły, ale on nieustannie pyta lekarza, co jej dolega. Medyk tłumaczy, że choroba nie bierze się z ciała, lecz z nawiedzających ją zjaw, które nie pozwalają jej zasnąć.

Szczera prawda. Wyobrażenia i lęki zawsze są gorsze od rzeczywistości. Szekspir to geniusz. Nawet

jeśli obleję ten diabelny angielski, i tak nikt nie odbierze mi przywileju zapoznania się z Szekspirem.

Pozostaje mi jednak pewna wątpliwość dotycząca programu.

Choć przyznaję, że trzeba uczyć rozumienia Szekspira, choćby ze względu na archaiczny język, mam wrażenie, że wszystkie te analizy, pytania i przypisy, z którymi każą nam się zapoznawać, psują urok samej sztuki. Ciekawam, czy pisząc „Hamleta” albo którąkolwiek ze sztuk, Szekspir rzeczywiście życzył sobie, by porównywano, zestawiano i rozpracowywano poszczególne wątki? I znowu wracam do „Makbeta”. Tę sztukę trzeba odbierać intuicyjnie. Wystarczy jej wysłuchać, czytanej na głos, by wiedzieć, o co chodzi.

Pan Elliott mówił, że widzowie teatru Globe w czasie sztuki pojadali, pokrzykiwali do siebie i zaczepiali aktorów. Wygląda na to, że dobrze się bawili. Wątpię, by wielu abiturientów uznawało lekturę Szekspira za dobrą zabawę.

– Uważasz mnie za gwałciciela? – mówi cichutko, spłoszony, przerażony.

– Oczywiście że nie – odpowiadam.

Cieszę się, że już prawie całkiem zapadły ciemności.

Z pewnością zrozumiecie, że w tej sytuacji „Rozważna i romantyczna” nie wydawała mi się wspaniałą perspektywą. W

drodze do Omniplexu, gdzie grali film, usiłowałam robić dobrą minę do złej gry. (Przy okazji, to kolejna zaleta Dublina. Mamy teraz chyba ze sto kin, a zapowiada się, że będzie ich jeszcze więcej).

Zastanawiamy się z Kenem Sheilsem nad egzaminem, zgadujemy, jakie kto może dostać oceny. Przy kościele Whitehall temat się wyczerpuje.

– Opowiedz mi o Diandrze – zagajam. – Często się widujecie?

Natychmiast posyła mi zranione spojrzenie. Próbuję obrócić sprawę w żart.

– To nie żadna pułapka – uspokajam. – Po prostu szukam tematu do rozmowy, ale jeśli wolisz nie...

– Nie, nie – zapewnia skwapliwie. – Oczywiście, że możemy o niej rozmawiać.

Gwałtownie hamuje, bo omal nie przegapił skrętu do Santry, Sam ląduje na desce rozdzielczej. W czasie jazdy stoi wyprostowany na podłodze, przednimi łapami oparty o skrzynię biegów, między fotelami.

Usadzamy Sama, potem Ken zaczyna opowieść o sobie i Diandrze. Miała zaledwie siedemnaście lat, gdy się pobrali.

Naturalnie wszyscy się sprzeciwiali, kazali jej poczekać przynajmniej do osiemnastego roku życia. Wreszcie dziewczyna pękła i przyznała się, że oczekuje dziecka. Oczywiście rozpętało się piekło, ale



co było robić?

Dostali mieszkanie w Ballymun, gdzie mieszkali jej rodzice, a gdy już się pobrali, błyskawicznie poroniła – co, wedle relacji Kena, nie zrobiło na niej wrażenia. Mówi to bez cienia goryczy. Z

jego opowieści wynika, że początkowo naprawdę próbował jakoś kleić ten związek, ale bardzo szybko zaczęły się poważne kłótnie.

Nie, teraz rzadko się widują. Ostatnio spotkali się jakieś pół

roku temu. Diandra daje mu spokój, byle czeki przychodziły regularnie. Teraz w jego głosie już pojawia się gorycz.

Okazało się, że Diandra wykorzystwała go, by wyrwać się z domu. Matka żyła z jakimś łachudrą – ojciec się zmył – którego dziewczyna nie znosiła. Ponoć przy byle okazji ją obmacywał, tak mówiła Kenowi. Jej dwóch braci też nie wytrzymało i większość czasu spędzali w mieszkaniu Diandry i Kena zamiast u siebie. Potem zaczęli sprowadzać kumpli. Wreszcie dom przypominał przytulisko dla bezdomnych ojca McVerry'ego.

Chyba niezbyt mnie to zachwyca. W końcu to było także mieszkanie Kena. Gdzie się podziewał, gdy jego dom zmienił się w noclegownię i lokal? Na Marsie?

Pytam, dlaczego tego nie ukrócił. Właśnie skręcamy na parking przy Omniplexie. Pełno ludzi. Centra handlowe z kinami kwitną

– nie wiem, czy Dublin wytrzyma więcej takich ośrodków, ale na razie wygląda na to, że są w stanie przyciągnąć tłumy ludzi dniem i nocą.

– Była młoda, liczyłem, że się zmieni – tłumaczy. – Zresztą bez przerwy pracowałem. Musiałem. Lubiała lokale, ładne ciuchy.

Przetrawiam to przez chwilę. Ta cała Diandra wygląda mi na bluszcz, ale przecież nie było mnie przy tym, prawda?

Wiem, że Ken ma rodziców, nadal *in situ*. I czwórkę rodzeństwa, dwóch braci, dwie siostry. Wszyscy mieszkali razem, dopiero niedawno, gdy Ken dostał mieszkanie w Custom Hall, w ciągu paru miesięcy jedna siostra i jeden brat założyli rodziny. Co jego rodzice sądzą o zachowaniu Diandry i jej rodziny?

Sam wtulił się między nas, bo samochodem szarpie, gdy Ken wjeżdża na rondo przed kinami. Widzę, że wykorzystuje ten manewr, żeby zbyć moje pytanie. Wyjeżdża na prostą i wolno toczy się między rzędami zaparkowanych wozów.

– Moi rodzice? – powtarza. – O niczym nie wiedzieli. Znajduje miejsce i wprowadza tam furgonetkę. Wyłącza silnik i częstuje Sama Bonio.

Gdy już wysiadamy, zamykając samochód, mówi od niechcienia:

– Nie przyznałem się, że jesteśmy w separacji. Mam z rodzicami słaby kontakt.

Jego ton wyklucza dalszą rozmowę. Zaczynam sobie uświadamiać, że trzeba się liczyć z bardzo skomplikowanymi układami, o których ten facet nie chce mówić.

Informacja, że on i rodzice nie potrafią ze sobą rozmawiać, to dla mnie prawdziwy szok. Do tej pory opowieść o młodości Kena Sheilisa przypominała mi „Domek na prerii” – prawdziwa matka, ojciec, siostry i bracia, wszyscy mieszkający razem.

Czy ciąży na mnie przekleństwo, że wystarczy, bym poznała jakąś rodzinę, a ją załatwiam? Weźmy chociażby tak zwaną rodzinę Toma Bennetta. Nie posiadałam się ze szczęścia i proszę, co się stało. A teraz Ken.

Albo po prostu nie wiem, jak wygląda normalna rodzina.

Pewnie za bardzo się staram gdzieś uwić gniazdo. Czuję się, jakbym była gołębiem pocztowym, który obija się o ściany. Może zwyczajne rodziny istnieją tylko w telewizji? (Albo poza miastem).

Całą „Rozważną i romantyczną” przeplakałam. Nie patrzyłam na Kena, ale wydaje mi się, że on też nie był w nadzwyczajnym nastroju. Właśnie takich filmów powinno się unikać, jeśli się pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny. To ciepło, troska bliskich. No i obejmowanie się.

Tak więc, jak widzicie, wieczór nie okazał się udany, ale umówiliśmy się na następną sobotę na kolację. Nie licząc moich ostatnich urodzin, kiedy Patsy zaprosiła mnie do czarującej włoskiej pizzerii niedaleko Chatham Street, w ciągu ostatnich dziesięciu lat byłam w restauracji jakieś trzy razy. Możecie nie wierzyć, ale to prawda. Kiedy się przyznałam Kenowi, ożywił się.

Uznał, że w takim razie musi mnie zabrać w jakieś wyjątkowe miejsce.

Też próbowałam się rozchmurzyć i prawie mi wyszło. Ale nie na długo.

Bo po otwarciu drzwi wejściowych zobaczyłam, że James nie jest sam. Towarzyszy mu Patrice Murphy.

Wstaje na powitanie.

– Dzień dobry pani, spodziewam się, że nie gniewa się pani, że przyszedłem. Nie mają państwo telefonu, a że właśnie tędy przechodziłem – pracowałem do późna – pomyślałem, że nie będę czekał do poniedziałku i wpadnę. Widzę, że mój list dotarł. –

Pokazuje na kartę leżącą na stole.

James unika mojego wzroku.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Bardzo mnie uradowały te wiadomości.

Ani James, ani on bynajmniej nie wyglądają na uradowanych.

– Co się stało? – pytam. – Wszystko przecież jest w porządku, prawda?

Kiedy wreszcie się dowiaduję, okazuje się, że jest i nie jest. Z

mojego punktu widzenia z całą pewnością nie jest.

Niby tylko formalność, ale Patrice Murphy namawia Jamesa, żeby przyznał się do molestowania seksualnego. Twierdzi, że jeśli to zrobi, sprawa powinna pójść lepiej, bo molestowanie to mniejsze przewinienie niż gwałt. Z punktu widzenia władz przyspieszy to całą sprawę i oszczędzi kosztów rozprawy w pełnym składzie sędziowskim. My też powinniśmy czuć się lepiej, bo nie tylko wina staje się mniejsza, ale również nie będzie nad nami wisiało widmo rozprawy. Najważniejsze zaś, że ofiara nie musi przechodzić przez męki składania zeznań. Sędziowie chętnie zgadzają się na takie rozwiązanie i biorą to pod uwagę przy wydawaniu wyroków. A z pewnością każdy sędzia uwierzy, iż żal Jamesa nie jest udawany. To by niezwykle pomogło.

Patrice Murphy podryguje – wspominałam, że gdy się koncentruje, kołysze się na piętach?

– Co do przyspieszenia biegu sprawy... – mówi. – Sądy są zawałone robotą. Często na rozprawę z udziałem przysięgłych czeka się nawet i rok. Moglibyśmy ściągnąć świadków, którzy by potwierdzili opinię psychologów, że tamto zachowanie Jamesa stanowiło odosobniony przypadek i więcej nie powinno się powtórzyć.

Podryguje dalej. Stoję między nimi oniemiała, wodząc wzrokiem od niego do Jamesa, który głowę zwiesił już niemal do podłogi.

– Ależ on nie jest winny – odzywam się, gdy wreszcie udaje mi się wpaść Murphy’emu w słowo. – Równie dobrze jak ja zna pan jego wersję wydarzeń. To nie był gwałt ani molestowanie seksualne. Oboje dążyli do tego samego. Wyrzuty sumienia.

James, masz wyrzuty sumienia? – Podchodzę do niego. – James, powiedz coś.

James wbija wzrok w podłogę.

Wtedy przypominam o prezerwatywie i całej reszcie. Patrice Murphy cierpliwie słucha. Gdy już wszystko z siebie wyrzuciłam, po raz kolejny powtarza, że jako prawnik, nasz adwokat, w interesie klienta radzi nam, żeby James przyznał się do molestowania seksualnego. Mówi dokładnie tym samym tonem, co przedtem. Jakbym nie odezwała się ani słowem. Spoglądam na Jamesa. Jestem zdesperowana.

– A ty co sądzisz? – pytam. – Powiedz coś, na miłość boską. To twoje życie. Ty musisz podjąć decyzję. Co zrobisz?

Mamrocze coś do butów.

– Co? – mówię. – Nie słyszę. Patrzy mi prosto w oczy.

– Chcę mieć to już z głowy. Wóz albo przewóz. Mam tego powyżej uszu.

Ogarnia mnie panika.

– Przyznasz się do czegoś, czego nie zrobiłeś, bo masz powyżej uszu życia w zawieszaniu? Własnymi rękami wpakujesz się do ciupy? Gdzie twoja odwaga? – Jestem taka wpieniona, że nie liczę się z niczym. W życiu nie urządziłabym awantury przy obcym.

– I tak tam trafię. – James znowu utkwiał wzrok w czubku butów. – Wiem, że tak to się skończy.

Teraz naprawdę mnie rozzłościł.

– Mnie nic takiego nie wiadomo – odparowuję. – Kto mówi, że pójdziesz do więzienia? Sądy nie tylko skazują, ale też uniewinniają. Słyszałeś o czymś takim jak sprawiedliwość?

Znowu na mnie patrzy. Żałosne spojrzenie. Milknę w pół

słowa, bo w tych oczach dostrzegam rzeczy, o których nawet nie miałam pojęcia. Ale poznaję je. Dzieli nas różnica pokoleń i co gorsza, widzę, czego dzieciaki z tego pokolenia oczekują od życia.

Niczego. W oczach Jamesa dostrzegam życie bez oczekiwań.

To mnie dobija. Cały czas, aż do dziś, usiłowałam go przekonać, że warto liczyć na cud. Że jeśli się robi, co do człowieka należy i jest się uczciwym, życie odplaci nam uczciwą monetą. W tej krótkiej chwili uświadamiam sobie, że tylko marnowałam czas.

Siadam.

– Przyznasz się, tak?

Adwokat znowu wkracza do akcji.

– Niech pani sobie tego tak nie bierze do serca, pani Devine.

– Proszę mnie nie nazywać panią. Jestem panną.

Wiem, że się czepiam, ale musiałam pokazać mu swoją niezależność. Poza tym naprawdę nie znoszę, gdy nazywa się mnie panią. Nie obchodzi mnie, czy mężczyzn powinno się dzielić na panów i kawalerów. Nie moja broszka. Nie jestem mężatką i koniec dyskusji. Jestem panną.

Naszemu facetowi nawet nie drgnęła powieka.

– Przepraszam, panno Devine, w naszych czasach nigdy nie wiadomo. Wracając do podstawowej kwestii, tak się składa, że rozmawiałem o tym z St Johnem Markeyem, który przyznał mi rację. Zdecydowanie radzimy, by James przyznał się do winy.

Mam teraz przed oczami wyraz twarzy St Johna Markeya, gdy rozpoznał francuską pokojówkę, która wkroczyła do pubu przy Dor set Street.

– St John Markey nie ma jeszcze tytułu adwokata królewskiego, prawda? – Gram na zwłokę, by poszukać innych argumentów.

Patrice Murphy zniża głos, jakby był w kościele.

– Owszem, ale moim zdaniem, świetnie się zapowiada i na pewno już wkrótce awansuje.

– Dobrze. Założmy – tylko założmy – że się zgodzimy. Jaki wyrok grozi Jamesowi?

Lekko wzrusza ramionami.

– Niczego nie mogę gwarantować, ale przypuszczamy, że gdy sędzia zapozna się z faktami, wyda minimalny wyrok. Zażąda oświadczenia ofiary...

Wpadam mu w słowo.

– Co to znaczy minimalny. Ile?

– Dwa lata? Przy odrobinie szczęścia może półtora roku? Przy odrobinie szczęścia półtora roku? Czy ten człowiek ma pojęcie, co znaczy dla takiego chłopaka jak James Devine osiemnaście miesięcy w więzieniu Mountjoy? Udaje mi się zapanować nad głosem.

– A jeśli nie? Jeśli nie posłuchamy pańskiej rady i James podtrzyma twierdzenie o swojej niewinności?

– Za gwałt grozi nawet dożywocie.

– Jeśli uzna się człowieka za winnego.

– Jeśli uzna się człowieka za winnego.

– A tu nie wiadomo... Nie odpowiada.

A więc daje nam do zrozumienia, że tak czy owak to się skończy więzieniem. Nasz własny adwokat. Chociaż dokładnie wie, co się stało. Tak zatem wygląda sprawiedliwość i uczciwość.

James nadal siedzi bez ruchu. Zwracam się do niego.

– Powiedz coś, James.

Skrzywił się, tak jak to robił w dzieciństwie, gdy usiłował zapanować nad łzami.

– Dłużej tego nie wytrzymam – szepce. – Chcę już to mieć za sobą.

**Rozdział 17**

Nie muszę dodawać, że mając w perspektywie rozprawę, nawet nie brałam pod uwagę spotkania z Kenem Sheilsem w sobotę, więc wrzuciłam mu do skrzynki list, że nie mogę przyjść.

Nietrudno było go znaleźć, szczęście mi dopisało, trafiłam na jego skrzynkę już w drugim bloku. (Obawiałam się, że może nie napisał na skrzynce prawdziwego nazwiska. Niektórzy tak robią ze względów bezpieczeństwa albo żeby się ukryć przed byłymi dziewczynami czy żonami). W liście wyrażałam żal, ale niestety, stanęły mi na przeszkodzie sprawy rodzinne.

Tak się składało, że tamtej soboty wypadały moje urodziny.

James nie pamiętał – zawsze zapomina, więc nawet niczego się nie spodziewałam – ale po raz pierwszy od lat nie odezwała się też i Patsy. Cóż, wszyscy kiedyś zapominamy.

Zresztą w tej sytuacji nie byłam w nastroju do świętowania.

Ciągle też wracały wspomnienia z dzieciństwa Jamesa, jakby to jego urodziny dziś wypadały, nie moje.

Był ślicznym dzieckiem, po prostu pięknym. Czułam się jak królowa matka, gdy popychałam wózek, a wszyscy się za nami oglądali i piali z zachwytem. Wiecie, nawet teraz, mimo wszystkich kłopotów, nadal nie widzę w nim chmurnego młodzieńca w skórach, z kolczykiem w uchu i nogami przewieszonymi przez oparcie kanapy. Widzę malucha w spacerówce, ze smoczką w buzi, w podniszczonej dżinsowej czapeczce, spod której wymykają się loczki. Albo jak zapłakuje się nad jelonkiem pożartym przez geparda w jakimś programie przyrodniczym.

Trzeba przyznać, że jest bardzo przystojny. Zdecydowanie najładniejszy z naszej piątki – choć od tak dawna nie widziałam dziewcząt, że nawet nie wiem, jak teraz wyglądają. Teraz jego jedyny słaby punkt stanowi cera, trochę pryszczata – pewnie od jedzenia chipsów. James ma jakieś metr osiemdziesiąt trzy, może metr osiemdziesiąt pięć, a chociaż jest dość kościsty, to z pewnością nabierze jeszcze mięśni. A gdy trochę zapuści włosy, tak jak teraz, wygląda niczym amant filmowy: ciemny, o ascetycznej twarzy.

Jeśli wziąć pod uwagę ilości papierosów i piwa, które pochłania, nie przespane noce i krążenie na motorze po pełnym spalin mieście, to ma wyjątkowo czyste oczy. Ten jeden raz pozwolę sobie na zachwyty. Oczy ma po prostu niesamowite, duże, jasnoszare, otoczone jaśniejszą, miodową obwódką. Można w nich zatonać, wiem to z własnego doświadczenia. Pewnie dlatego w dzieciństwie tyle rzeczy uchodziło mu płazem. Jego ojciec musiał

być wyjątkowym przystojniakiem.

Początkowo, kiedy zabrałam Jamesa ze szpitala przy Tempie Street, opiekunki i pielęgniarki środowiskowe nie dawały mi żyć, bezustannie sprawdzając, czy dobrze się nim opiekuję.

Wyobrażam sobie ich dysputy! Ostro mnie pilnowały. Jedna dostała furii, gdy się dowiedziała, że doprawiam Jamesowi mleko sokiem Ribena – dlaczego nie myślę o jego zębach! Tyle cukru!

Usprawiedliwiałam się, że przecież to tylko mleczne. Obiecałam przestać, ale w duchu dodałam: po

moim trupie będę mu odmawiać ulubionego dania. Zresztą to naturalny sok, ma mnóstwo witaminy C. Więc chowałam Ribenę, ilekroć miała się zjawić ta pielęgniarka.

(I na czyje wyszło? James ma fantastyczne zęby).

Bardzo szybko się przekonałam, że opieka nad dzieckiem to żadna filozofia. Karmić, przewijać, kochać i znowu karmić.

Niemowlę ma doskonały żołądek. Jeśli się je przekarmi, albo da nie to, co trzeba, zwraca. W razie wątpliwości – karmić, tak brzmiało moje motto.

Jednak przez te pierwsze parę tygodni zanadto martwiłam się o mamę i pewnie nie najlepiej się spisywałam w roli opiekunki.

Martwię się, bo wszędzie teraz słyhać, że pierwsze miesiące stanowią najważniejszy okres w życiu, wtedy kształtuje się charakter i osobowość. Możliwe, że to przeze mnie James teraz wpadł w tarapaty – ale człowiek wykończyłby się, gdyby się za bardzo przejmował wszystkim, co w życiu zrobił albo czego zaniedbał.

Kiedy mamę zabrali do szpitala, nie ulegało wątpliwości, że z niego nie wróci, choć nikt nie powiedział tego otwarcie. Oprócz niedożywienia i innych rzeczy złapała zapalenie płuc. I, jak już wam wspomniałam, podejrzewam, że chorowała na AIDS. Muszę się dowiedzieć, kiedy to świństwo przywędrowało do Dublina.

Niewykluczone, że była jedną z pierwszych jego ofiar. Kolejny przykład na niezwykle szczęście Devine'ów.

Szpital był stary i po dziś dzień wyraźnie pamiętam każdą rysę na ścianie. Po wejściu natychmiast oburzyło mnie, że mama leży wśród tych starców. Moja mamusia była młoda... A tamci dogorywali, krztusili się flegmą, wydawali obrzydliwe odgłosy.

Niektórzy cierpieli na demencję, cały czas wołali pielęgniarki.

I ten smród! Oczywiście fetor moczu, ale i coś jeszcze, jakby zapach gnijących owoców.

Z całą pewnością chcę umrzeć młodo. Postanowiłam to sobie tamtej nocy i nie zmieniałam zdania.

Kiedy już trochę ochłonęłam, musiałam przyznać, że pod pewnymi względami mama wyglądała dokładnie tak samo, jak jej współtowarzysze. Obcięła włosy – a raczej ich resztki – wśród kosmyków prześwitywały placki łysiny. Oprócz sonej cery – od sińców i odbarwienia – oczodoły były tak ciemne, że w świetle jarzeniówek wydawały się niemal czarne. Na jednym z policzków miała paskudne rozcięcie, na wardze przysychający strup. Leżała pod dwiema kroplówkami, twarz częściowo zasłaniała jej maska tlenowa. Bulgotało w niej.

Musiałam przywołać całą odwagę, żeby nie wziąć nóg za pas.

A mogłabym, leżała z zamkniętymi oczami, w zupełnie innym świecie, nawet by mnie nie zauważyła.

– Cześć, mamó – odezwałam się.

Otworzyła oczy i popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Uświadomiłam sobie, że mnie nie poznaje. I wtedy ogarnęło mnie przedziwne uczucie. Tak się rozgniewałam, że chciałam ją uderzyć. Z całej siły.

Dacie wiarę? Oto moja matka, najdroższa mi na całym świecie osoba. Pewnie straszliwie cierpi, pewnie umiera. Pewnie czuje się przerażona i samotna, a ja się na nią wściekam. Zalewa mnie gorąca fala furii, prawie kipię. Najchętniej biłabym ją, tłukła i wrzeszczała. Zrzuciła z łóżka i okładała kulakami.

A jednocześnie mimo wściekłości, czuję, jak serce mi pęka z bólu.

Rozumiecie coś z tego? Ja wtedy nie rozumiałam. Pamiętam, że czułam się tak strasznie winna, że musiały minąć długie lata, nim sobie wybaczyłam tę reakcję.

Co najdziwniejsze, właśnie lektura „Makbeta” przywołała tamte uczucia. Oczywiście nie dosłownie, bo to przecież stare dzieje, ale z całą pewnością identyfikowałam się z co poniektórymi najmroczniejszymi emocjami, jakie w tej sztuce wyzwalają wiedźmy. Chyba chodzi tu o panowanie nad sobą.

Człowiekowi wydaje się, że nad sobą panuje, tymczasem nie. Co więcej, nie ma nad niczym władzy, nawet nad własnymi uczuciami. Nic dziwnego, że ludzie szukają sobie bogów. Ktoś musi zapanować nad tym chaosem.

Tamtego wieczoru robiłam, co w mojej mocy. Zdławiłam wściekłość i dałam mamie żaloszny bukietek kwiatów. Oczy wypełniły jej się łzami, a choć nic nie powiedziała – zresztą z tą maską tlenową i tak by nie mogła – widziałam, że nadal mnie nie poznaje. Nie zostałam długo. Nie mogłam.

Tamtej nocy po powrocie do domu zrobiłam coś, czego do dziś tak się wstydzę, że nie przyznam się wam, co to było. Może innym razem. Dość powiedzieć, że tamten koszmarny okres do tej pory wspominam z przerażeniem.

Wracając do niemowlęctwa Jamesa. Oczywiście nie miał

pojęcia, jakie wydarzenia dokonują się w jego życiu. Interesowała go wyłącznie butelka, smoczek i ja. To mnie podnosiło na duchu.

Czułam się kochana, ważna i komuś potrzebna.

Pozostała trójka? Lepiej nie mówić. Francesca, jak wam wspominałam, już wtedy marzyła, byśmy zniknęli z powierzchni ziemi, a ona mogła zacząć życie od nowa. Choć miała jedenaście lat, zachowywała się jak modelka. Justine i Nicola, wtedy sześcio

– i ośmioletnie, nieźle sobie radziły w rodzinach zastępczych.

Dorośla siostra i brat niemowlak nie robiły na nich wrażenia.



Chętnie przychodziły na spotkania ze względu na colę i frytki. Z

równym zadowoleniem wybrałyby się do cyrku albo teatru kukielkowego. Może nawet większym.

Nie, rodzinę stanowiliśmy tylko James i ja.

Kiedy nie ulegało już wątpliwości, że mamie się nie poprawi, przeniesiono ją do hospicjum w Harold's Cross. Wylałam wiadra łez, gdy się o tym dowiedziałam. To był nieodwołalny wyrok.

Wszyscy wiedzieli, że to miejsce opuszcza się tylko w trumnie.

Dziś nikt już się nie obawia hospicjów – wszystkie nasze irlandzkie gwiazdy zaangażowały się w kwestę na nie, pewnie traktują to jako swego rodzaju polisę ubezpieczeniową; zdają sobie sprawę, że mogą tam kiedyś trafić. Ale wtedy dublińczycy wymawiali słowo „hospicjum” szeptem, gdyż jego pełna nazwa brzmiała: Hospicjum dla Umierających.

Nie powinnam była płakać, bo od tamtego dnia wszystko się poprawiło, łącznie z tym, że zaczęłam lepiej sobie radzić z sytuacją. Kiedy mama się zadomowiła, wszystko się uspokoiło.

Do tego stopnia, że już nie bałam się jej odwiedzać. A co z gniewem, który kipiał we mnie, ilekroć przychodziłam do szpitala? Zniknął.

Natychmiast zmienił się też wygląd mamy, jakby się wygładziła, jeśli można tak powiedzieć. A choć żyła jeszcze tylko sześć tygodni i do końca nie kojarzyła, co ze mnie i Jamesa za jedni, kiedy wspominam ostatnie jej dni na tej ziemi, dzięki hospicjum widzę ją w złocistej poświacie.

Muszę przyznać, że w tamtym okresie Tom Bennett stał się dla mnie prawdziwą opoką. Śmiech i radość, które wbrew wszystkiemu potrafiłszy odnaleźć, trzymały mnie przy życiu.

Spokojnie znosił moje przygnębienie albo uzalanie się nad sobą.

Godził się z tym, że odwołałam randkę, bo James się rozchorował.

Przez ostatnich parę tygodni przyjeżdżał ze mną do Harold's Cross. Oczywiście nie wchodził do środka, czekał na dworze i pilnował Jamesa, żebym mogła sama spędzać czas z mamą. Im bardziej to wspominam, tym bardziej go podziwiam.

Stare dzieje.

Wracając do właściwej opowieści, w niedzielę rano po wizycie Patrice'a Murphy'ego w drodze na występ PA System trudno mi było udawać, że wszystko jest normalnie. Za to Patsy gadała za nas obie. (Tyle że o urodzinach ani słowa!) Dowcipkowała, opowiedziała mi sagę o hydrauliku, który miał się zjawić i zamontować zmywarkę, ale nie przyszedł, rozwodziła się nad planami urlopowymi na sierpień. Wybierają się na Minorcę.

– Może się przyłączysz, Ange? – pyta. – Przehulasz wygraną.

Zasługujesz na odpoczynek.

Nie patrzy mi przy tym w oczy. Doskonale wie, że nie mogę pojechać. I dlatego. W czasie całej tej paplaniny sprawa Jamesa leży między nami niczym wielki, czarny robal. I nie mam ochoty jej mówić, że wygrana częściowo już się rozplynęła.

I wprawdzie mnie lichy porwie, niż powiem na głos, że James przyzna się do molestowania seksualnego.

– Co słyhać u Martina? – pytam, gdy już udało mi się przerwać potok jej wymowy. – Jedziecie na wakacje mimo tamtej sprawy?

Wiem, że zagrałam nieczysto, ale miałam dość tego, co się między nami działo. Zasadniczo nie jestem wredna, ale tamtego ranka na sam jej widok ogarnęła mnie niechęć. Ja z całą pewnością nie potrafię się zachować, jak gdyby nigdy nic. Jak ona śmie tak się zachowywać?

– Martin? – powtarza, jakby ją to zaskoczyło. – Och, u niego wszystko świetnie, roboty ma huk. – I wdaje się w długą opowieść, jak to Martin ze współnikami spotykają się z jakimiś podejrzanymi typkami w hotelu w Belfaście, dotąd przedwczoraj wyjechali w interesach. Z jej opowieści wynika, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby tamci się okazali prowokatorami. – Boję się o niego – ciągnie. – Tak często tam jeździ, a zawieszenie broni wisi na włosku, nigdy nie wiadomo, co się może stać...

To ta sama Patsy, która tak niedawno była zrozpaczona, bo znalazła u Martina w kieszeni prezerwatywę. Niezglębiona jest natura ludzka.

Koncert dajemy w wielkim jak stodoła pubie, który ma tyle przytulności, co hala bokserska. W niedzielę w południe można tu zjeść obiad przy muzyce na żywo, ale nie ma cienia złudzeń, co stanowi prawdziwą atrakcję. Mamy występować od drugiej do trzeciej, co teoretycznie oznacza, że biesiadnicy powinni już uporać się z jedzeniem. W praktyce zaś śpiewa się do pleców pochylonych nad talerzami, próbując zagłuszyć marudzenie dzieciaków, które jedzenie kłuje w zęby.

Tamtego dnia potwierdziły się moje najgorsze obawy. Od razu wiedziałam, że zanoszą się na kłopoty.

Salę wypełniają mieszane grupki: po paru facetów, którzy uciekli przed rozwścieczonymi żonami, szalejącymi w kuchni, rodziny z rozwrzeszczanymi dzieciakami, rzucającymi jedzeniem, paczki wstawionych kobiet, które zanoszą się piskliwym śmiechem, choć pub jest otwarty dopiero od pół godziny. W

dotadku dym tak gęsty, że natychmiast zaczynają mnie szczypać oczy.

Patsy wznosi wzrok ku niebu i przez tę krótką chwilę znowu jesteśmy przyjaciółkami, nic nas nie dzieli. Wychodzimy na scenę i dajemy publiczności to, za co zapłaciła, aż w końcu nagradzają nas przyzwoitymi oklaskami. Nikt nawet by nie zauważył zmiany we wzajemnych stosunkach między mną a Patsy. Doświadczenie popłaca.

Po występie, w drodze do domu, Patsy znowu trzepie, wesolutka jak skowronek.

Nie wytrzymam tego ani chwili dłużej.

– Słuchaj, porozmawiajmy o tym, co pomijamy milczeniem. –

Zmywam makijaż, przeglądając się w lusterku osłony przeciwsłonecznej od strony pasażera. Specjalnie całą uwagę skupiam na oczyszczeniu twarzy, żeby dać Patsy szansę.

– Och! – brzmi cała jej odpowiedź. Nieruchomieję z wacikiem w ręku.

– Proszę, Patsy, to przecież ja, Angela. Obie wiemy, co mam na myśli.

Robi urażoną minę.

– Niech mnie licho porwie, jeśli coś...

– James. – Wpadam jej w słowo, żeby się nie zapędziła. To jej zamyka usta.

– James – powtarzam. – Możemy porozmawiać o Jamesie?

– O to ci chodzi.

– Tak, o to. W tej chwili to najważniejsza sprawa w moim życiu, Patsy, i muszę z kimś o tym porozmawiać. Poprawka.

Chciałabym porozmawiać z tobą.

Z całej siły zaciska ręce na kierownicy, jakby się bała, że ta zamieni się w latający spodek i jej ucieknie.

– Angelo, to nie moja sprawa.

– Wiem, że w zasadzie to nie twoja sprawa – mówię najdelikatniej, jak mogę – ale przyjaźnimy się, a ja mam kłopoty.

James i ja mamy kłopoty, Patsy. Proszę. Potrzebuję odrobiny pomocy. Wsparcia.

To ostatnie brzmi zupełnie nie w moim stylu. Znacnie mnie, nie potrafię nikogo o nic prosić. A jednak umiem schować dumę do kieszeni.

Okazało się, że marnowałam czas.

Z punktu widzenia Patsy wyglądało to tak: mnie, owszem, współczuje, ale jeśli chodzi o Jamesa, sam nawarzył piwa i niech sobie teraz radzi. Nagle głos Patsy nabiera tak dziwnego brzmienia, że przyglądam jej się zaskoczona.

– Co się stało, Patsy. Znasz kogoś, kogo zgwałcono?

– Ależ skąd! Co ci strzeliło do głowy? – Jest oburzona. Tak kipi, że uznaję, że bezpieczniej będzie

nie drażyć. Wiem też, że się nie pomyliłam, tu chodzi o coś więcej. Patsy jest blada jak kreda.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. W samochodzie gra kasetą Barbry Streisand z jakiegoś koncertu na żywo, gdy przeplatała kolejne piosenki opowiadaniem o swoich psychoterapiach, które pomogły jej odkryć i poprawić samą siebie. W tym wozie też przydałoby się paru psychiatrów.

Patsy odwraca się do mnie.

– Proszę, Ange, niech to nie wpłynie na naszą przyjaźń.

– Oczywiście że nie – zapewniam. Zaczynamy się zachowywać jak papugi.

Gdy wysadza mnie przed odrapanymi drzwiami mojej kamienicy, nie rozstajemy się we wrogości, ale też nie wraca dawna swoboda.

Jamesa nie było w mieszkaniu, w telewizji nie nadawali niczego interesującego, więc przebrałam się, umyłam i wyszłam na spacer zebrać myśli. (To sprawka Kena Sheilisa. Znowu spacer!

To mi zaczyna wchodzić w krew).

Choć przechadzka nie minęła bez wrażeń, nie będzie się liczyła przy spisaniu Księgi Pamiętnych Spacerów. Wyszłam z kamienicy, skręciłam w Gardiner Street, dotarłam aż do Tops in Pops. Nie zauważyłam na chodniku łupinek po ziemniakach, poślizgnęłam się i omal nie zabiłam. Mogłam symulować ciężki uraz kręgosłupa, ale właściciel to miły facet, zawsze wpadamy tam z Jamesem na pieczone ziemniaki. Podniosłam się, nic wielkiego się nie stało: dziura w rajstopach, nadpruty szew pod pachą w kurtce. Ruszyłam dalej, skręciłam w prawo na Parnell Street, potem w lewo na O'Connell Street. Doszłam do O'Connell Bridge, a ponieważ skończyły mi się pomysły na dalszą marszrutę, zawróciłam do domu. Ale inną trasą, nadbrzeżem. Lubi się atrakcje.

Może dlatego, że tu mieszkam, bez wahania zapuszczam się w najgorsze ulice Dublina. Jak wszyscy wiem, co się tu wyprawia: kradzieże pod groźbą strzykawki z wirusem HIV, napady, wyrywanie torebek, i tak dalej. (Przecież słynny „torebkowy narożnik” znajduje się niecałe sto metrów od nas. Teraz dzielnica nie jest tak niebezpieczna jak dawniej, w tamtym miejscu stawiają nawet nowoczesny blok z mieszkaniami dla *yuppies*. Jednak po zmierzchu zaułki świecą pustkami. Niełatwo się wyzbyć starych lęków). Ale pokażcie mi miasto, w którym by tego nie było.

Tak więc paraduję sobie nadbrzeżem do domu – panna mądralińska rocznik 1996 – gdy nagle ktoś mnie szturcha w plecy, a równocześnie ktoś inny szarpie za pasek od torebki.

Dzięki Bogu, refleks mam dobry. Udaje mi się utrzymać torebkę, błyskawicznie się odwracam i widzę za sobą parę szczeniaków, nie więcej niż dziesięcioletnich. Wyładowuję furię i bez namysłu zaczynam okładać ich torebką. Nie wiem, co mnie napadło, nagle zmieniłam się w Don Kichota. Wystraszyłam ich śmiertelnie, uciekają, co sił w nogach.

Stary pijak, który rzygał do Liffley, widział cały incydent.

Odwraca się do mnie.

– Nic się panience nie stało?

Oczywiście że nic, ale dopiero wtedy do mnie wszystko dociera i zaczynam się trząść. Podchodzę do niego i stoję nad rzeką, próbując wziąć się w garść.

I teraz najdziwniejsze: facet zaczyna ze mną gawędzić o tym, jak to Dublin schodzi na psy. Pijus. Strzęp człowieka.

Ja – z dziurą w rajstopach, w taniej kurtce rozdartej pod pachą.

On – bez jednego zęba, twarz niewidoczna pod warstwą brudu i szczecina. Oboje stajemy, wpatrując się zielono-brązowe wody Liffley, na których jeszcze unoszą się jego wymiociny, i filozofujemy o braku woli politycznej, wielkim bogactwie i wielkiej biedzie, niewłaściwie wydawanych pieniądzach, sędziach, wiecznie wyrzekających na brak miejsc dla młodocianych przestępców.

– Do widzenia – mówię w końcu, gdy już kończą nam się tematy do rozmowy. – Powinnam wracać do domu. – Sięgam do torebki, żeby dać mu funta.

Podnosi rękę.

– Nie, panienko – protestuje – przecież nie chce mnie panienka obrazić.

Przykłada palce do głowy, jakby mi salutował, po czym człapie nadbrzeżem w kierunku O’Connell Bridge. Stoję ogłupiała, z ręką w torebce, wzrokiem utkwionym w pijaka. Człowiekowi się wydaje, że zna ludzi, a tu spotyka go coś takiego i uświadamia sobie, że guzik wie.

Może to za sprawą pijaczka, może taki opadł mnie nastrój, ale w drodze powrotnej wspominam swoje życie. Rzadko to robię, zwykle za bardzo mnie pochłania codzienna walka o byt.

A dziś, jakkolwiek na to spojrzeć, nie mogę się w tym życiu dopatrzeć niczego, co by mnie szczególnie podniosło na duchu.

Nawet jeśli na chwilę odsunąć sprawę biednego Jamesa, i tak po uszy tkwię w łajnie.

Krótkie podsumowanie. Jestem dobrze po trzydziestce i nie młodnieję. Z finansowego punktu widzenia lokuję się na ziemi niczyjej: między biedą a normalnym życiem. Nie mam żadnej rodziny, przyjaciół jeszcze mniej, najgłębsza zaś przyjaźń –

czytaj: z Patsy – się rozlatuje. A po fiasku wieczoru z „Rozważną i romantyczną” (w drodze powrotnej prawie nie rozmawialiśmy, a po odwołaniu przeze mnie niedzielnego obiadu Ken nie dał znaku życia) moja rozwijająca się znajomość z Kenem szybko się zwija.

Żadnym z miejsc pracy nie mogę się pochwalić i – jeśli popatrzeć realnie – nawet po zrobieniu matury nie za bardzo mogę liczyć na poprawę sytuacji w tej dziedzinie.

Nie za bardzo? Wcale! Zapominam o rosnącym bezrobociu i pięciuset młodych chłopakach z maturami zdanymi z wyróżnieniem, nawet z dyplomami, ubiegających się o pracę kurierów w byle

firmie. Niezwykły odzew, powiedział w rozmowie z Marian Finucane w programie „Liveline” facet, chyba szef działu kadr w firmie, która dała ogłoszenie. Wtedy zadzwonił

ktos, mówiąc, że ma doktorat z angielskiego, a jedynym zajęciem, jakie udało mu się zdobyć, było nalewanie paliwa na stacji benzynowej.

Chyba się zgodzicie, że w tamtym momencie ani moje życie, ani przyszłość nie wyglądały różowo. Nie.

Zaś nazajutrz, po dniu, w którym ułożyłam sobie tę małą listę niepowodzeń, James ma się przyznać przed sądem, że zgwałcił

dziewczynę, i z całą pewnością pójdzie do więzienia.

## Rozdział 18

Rozprawa. Bez dalszych komentarzy.

To dla mnie najgorsza część opowieści, więc postaram się ograniczyć do suchej relacji. Oczywiście, jeśli zdołam.

Nie poprosiłam o dzień wolny. Po prostu nie stawiałam się w pracy. Słyszałam, jak autobus trąbi pod domem, ale naciągnęłam kołdrę na głowę i próbowałam go zignorować. Pierwszy raz tak zrobiłam, ale wiedziałam, że na pytanie, dlaczego chcę się zwolnić, zaczęłabym się jąkać i dukać. Zresztą uważałam, że kłamstwo przyniosłoby mi pecha. Jeśli mnie wyleją, trudno. Niech wyleją.

Tamtej nocy nie zmrużyłam oka. Tak samo James. Ze sześć razy chodził do łazienki. Parę razy czułam, jak się nade mną nachylał, ale udawałam, że śpię. Nie miałam dla niego słów otuchy.

Przygotował się do wyjścia czterdzieści pięć minut przed czasem. Kiedy wynurzył się z pokoju, zauważyłam, że posłał

łóżko.

– Powinienem zabrać prześcieradło? – Próbuje żartować, śmiać się. Cały się trzęsie.

Nie potrafię dalej o tym pisać.

Do sądu dotarliśmy wcześniej. O wpół do dziesiątej mieliśmy się spotkać z St Johnem Markeyem i Patrice'em Murphym, przyjechaliśmy piętnaście po dziewiątej. Byliśmy już tu stałymi bywalcami, więc czekaliśmy na nich w okrągłym westybulu. To olbrzymie pomieszczenie, wyłożone marmurem, zwieńczone kopułą – w radiu słyszałam, że podobno ma pięćdziesiąt metrów wysokości. Nic dziwnego, że w pierwszym momencie robi takie przytłaczające wrażenie. Podejrzewam, że «

to zamierzony efekt. Nie chcielibyście, by sprawiedliwości stało się zadość w byle chacie. I człowiek nie ma się tu czuć swobodnie.

Pewnie widok tyłu ludzi jadących na tym samym wózku powinien podnosić na duchu, ale nas nie podniósł. W powietrzu unosiła się atmosfera zbiorowego strachu. Czuło się go niemal namacalnie. Nie wiem, które z nas po pięciu minutach siedzenia w westybulu bardziej się trzęsło: ja czy James.

Ale zdecydowanie najsmutniejszy widok przedstawiali oskarżeni. Bez trudu się ich wychwytywało z tłumu: rozbiegany wzrok, jakby nie wiedzieli, gdzie patrzeć. Przeszli z nogi na nogę w tanich butach, zaciskali źle związane krawaty. Choć z drugiej strony trudno powiedzieć, kto wyglądał gorzej: oni czy ich rodziny. Matki i ojcowie, żony. Próbują odgrywać odważnych, a zarazem ufnych, okazywać lojalność oskarżonemu, bo przecież go kochają (prawie zawsze to jest on), a równocześnie starają się zademonstrować, że oczywiście nie pochwalają jego uczynków.

Równocześnie widać, że liczą, iż nie natkną się na znajomych, którzy by ich zobaczyli w tym okropnym miejscu i strasznej sytuacji. Poznawałam te objawy. I doskonale rozumiałam.

Ale przynajmniej te rodziny zdecydowały się z nimi przyjść.

Wypatrzyłam też paru oskarżonych, którym nikt nie towarzyszył.

Boże. Wyobrażacie sobie.

Patrice Murphy zjawił się za dwadzieścia pięć dziesiąta i razem poszliśmy do gabinetu spotkać się z St Johnem Markeyem.

Markey miał przekrzywioną perukę i długo musiał grzebać w aktach, nim znalazł naszą sprawę. Z minuty na minutę był coraz bardziej skrepowany, może wstydził się, że nie od razu ją odszukał. Może pamiętał francuską pokojówkę.

Szczerze mówiąc, guzik mnie obchodziło, co go gnębi. Miałam ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład, czy poradzi sobie z tak delikatną sprawą. Patrice Murphy wyglądał na spokojnego i jego opanowanie odrobinę podniosło mnie na duchu.

James żadnemu z nas nie mógł spojrzeć w oczy.

Kiedy omawialiśmy powieści, pan Elliott zwracał nam uwagę, że dobrzy pisarze zawsze meblują pomieszczenie, dzięki czemu czytelnik lepiej może sobie wyobrazić miejsce akcji.

Dobra.

Gabinet, w którym spotykamy się z prawnikami, jest skromnie i funkcjonalnie urządzony. Stół. Krzesła. Brudna szyba w oknie, przez którą wpadają promienie słoneczne. Gorąco nawet jak na tę porę dnia. Na podłodze linoleum. Na jednym z krzeseł wczorajszy numer „Heralda”. Dominująca barwa: jasny brąz. Z zewnątrz dobiega nieustanny warkot ciężarówek i samochodów jadących nadbrzeżem, niczym szum morza.

W końcu Markey znajduje akta, ale to Patrice Murphy przygotowuje nas do tego, co nas czeka. Zapewnia, że świadkowie przedstawiający Jamesa z dobrej strony – jego pracodawca i psycholog, który napisał, że taka sytuacja nie powinna się powtórzyć – stawią się na sali.

Wcześniej zaoferowałam się, że mogę zeznawać na rzecz Jamesa, więc pytam, czy mam to dziś zrobić, ale żaden z prawników nie sądzi, by moje oświadczenie miało coś pomóc.

– Nie odrzucamy takiej możliwości – powiada Patrice Murphy

– ale nie sądzę, żeby panią wezwano.

Ze wstydem przyznaję, że kamień spada mi z serca. Wielki kamień. Biedny James.

Patrice Murphy życzy nam powodzenia, po czym razem z St Johnem Markeyem udają się do innych klientów. Markey ma dziś ręce pełne roboty. Średnio to dla nas pocieszające.

Ledwo wyszli, Jamesa dopada kolejny atak biegunki i musi biec do szatni. Tak oto zostaję sama. Nie czuję się nadzwyczajnie.

To nie tyle mdłości, ile jakieś bulgotanie w żołądku, jakby był

napełniony wodą. Ilekroć spoglądam na zegarek, w środku przelewają mi się masy wody.

Następny fragment pamiętam w najdrobniejszych szczegółach.

Za piętnaście dziesiąta wraca James. Pytam, jak się czuje, kiwa głową, że dobrze. Twarz ma białą jak kreda. Patrzy na mnie tymi swoimi niesamowitymi oczami.

– Przyszła – mówi. – Widziałem ją.

Nie musi tłumaczyć, o kogo chodzi. Nie mieści mi się to w głowie. Przecież James ma się przyznać do winy, nie potrzebowała przychodzić. W sprawie byłaby tylko świadkiem, a w obecnej sytuacji nawet nie musi zeznawać.

Więc przyszła tu tylko z jednego powodu: by przeżyć swój triumf. Czego chce? Krwi? Nie muszę się nawet zastanawiać, znam odpowiedź. Żądza zemsty to niezbyt konstruktywne uczucie.

James podchodzi do okna, rękawem przeciera szybę.

– Nie rób tego – mówię odruchowo. – Zniszczysz marynarkę. –

Urywam w pół słowa. Jakie ma znaczenie w obecnej sytuacji, czy oskarżony pójdzie do więzienia w odrobinę przybrudzonej marynarence?

– Kiedy będziemy na sali, staraj się na nią nie patrzeć – radzę.

– Łatwo ci mówić – szepcze. Potem odwraca się od okna i wpatruje we mnie.

– Co? – pytam. – O co ci chodzi?

– Słuchaj – mówi – niezależnie od tego, co się dziś stanie, dzięki za wszystko. – I znowu odwraca się



do okna.

Nie mogę wydusić słowa. Pewnie sobie wyobrażacie, co czuję. A potem już tylko sala rozpraw. Najpierw trzeba się uporać z tymi, którzy stawili się na dozór.

Jak bardzo bym chciała... Ludzie są zabawni, prawda? Jeszcze przed chwilą wyrzekałam na ciągłe stawianie się na dozór i nie mogłam się doczekać rozprawy, żeby wreszcie mieć tę przeklętą sprawę z głowy, a teraz, gdy moim życzeniom stało się zadość, najchętniej bym je cofnęła. Serce tłucze mi się w piersi, nie mogę oddychać.

Wolę sobie nie wyobrażać, co czuje James.

A wszystko to trwa i trwa.

Przechodzimy do rozpraw, gdzie oskarżeni przyznają się do winy.

– Kradzież, wysoki sędzie.

– Uprasza się o wzięcie pod uwagę również pozostałych pięćdziesięciu siedmiu oskarżeń, wysoki sędzie.

– Zakłócanie porządku, wysoki sędzie.

– Wartość skradzionych dóbr wynosi łącznie dwadzieścia dziewięć funtów i jednego pensa, wysoki sędzie.

Najchętniej bym uciekła. Ile jeszcze będziemy musieli znieść, nim nadejdzie nasza kolej?

Boże, właśnie nadeszła. Wyczytują jego nazwisko. Chryste. Już nie tylko w brzuchu mam wodę, ale wszędzie, nawet w głowie.

Oto St John Markey oświadcza, że jego klient postanowił...

Następna godzina? Nie potrafię jej odtworzyć po kolei. Wiem, co musiało się dziać: rozpoczęcie sprawy, wystąpienie adwokata Jamesa, zeznania świadków, psychiatry i tak dalej. Ale dla mnie to tylko luźne, oderwane sceny, wyrazy twarzy, odgłosy, uczucia, fizyczne doznania, a nie logiczny ciąg wydarzeń.

Od początku do końca, nie uwierzylibyście. W dziewięćdziesiąt minut po rozpoczęciu rozprawy James i ja podajemy ręce Patrice'owi Murphy'emu przed gmachem sądu.

Choć to się wydaje niemożliwe, woda w moich wnętrznościach jeszcze bardziej się burzy. Jakby mnie ktoś wsadził w maszynę czasu. Ja, Angela Rose Devine, byłam o dziewięćdziesiąt minut starsza, ale ten czas upłynął poza mną i jeszcze mnie nie dogonił.

Niepodważalny, radosny fakt: Jamesa uznano za winnego i skazano na pięć lat w zawieszeniu na rok. Jeśli przez ten rok będzie się sprawował nienagannie, sędzia może zmienić wyrok.

Co, zdaniem Patrice'a Murphy'ego, oznacza, że James prawdopodobnie nie trafi do więzienia.

– Gratulacje – mówi.

Wierzcie mi, obracam te słowa, całą scenę w myślach, ale ciągle do mnie nie docierają. Sędzina zaleciła opiekę psychologa dla Jamesa, powiedziała, że może się uważać za szczęściarza, wygłosiła mu krótkie kazanie, stwierdziła, że jego żal wydaje się nieudawany, zwróciła się bezpośrednio do obecnej na sali Rosemary Madden z wyrazami współczucia, ale i nadziei, że zdoła zapomnieć o tym smutnym wydarzeniu. Następną sprawą.

Stoję na ulicy. Nie pamiętam, jak się tam znalazłam. Gapię się to na Patrice'a Murphy'ego, to na Jamesa. Nie mieści mi się w głowie. Wyszedł z tego gmachu. Nie wylądował w celi.

Jamesowi też nie mieści się to w głowie. Poci się, choć od rzeki siecze wiatr tak ostry, że pokroiłby na plasterki aligatora.

Rosemary Madden z całą pewnością nie mieściło się to w głowie. Słyszając ostatnie słowa sędziny, wybiegła z sali. Po policzkach spływały jej łzy. Matka wypadła za nią jak z procy, ale nie omieszkała posłać nam morderczego spojrzenia. A kobieta z Rape Crisis Centre... Lepiej nie mówić. Sztylety? Całe szpady.

Noże rzeźnicze.

Odnoszę wrażenie, że Patrice'owi Murphy'emu też się to nie mieści w głowie, mimo wcześniejszych zapewnień, że wszystko pójdzie dobrze. Musi pędzić z powrotem – jego następna sprawa już jest w toku – ciągle powtarza, że życzy nam wszystkiego najlepszego i że jeszcze się z nami skontaktuje. Musi przekrzykiwać huk ciężarówek, toczących się jedna za drugą po jezdni.

– To była dobra decyzja – wrzeszczy. – Czułem, że wszystko dobrze się skończy.

Gadka szmatka. Wcale nie czułem. Dlaczego straszyl nas półtorarocznym wyrokiem?

Klepie Jamesa po ramieniu, ale on nawet nie reaguje, wpatruje się w niego oszołomiony.

– Na razie – mówi Patrice Murphy. Potem wymienia ze mną uścisk dłoni. Ręce ma spocone.

Rozglądam się. Szczerze powiedziawszy, nie wiem, co teraz robić. Posuwające się w ślimaczym tempie ciężarówki wydają mi się równie nierealne jak cała ta scena, jakby należały do innego świata, a z całą pewnością innego życia. Nie czuję ulgi, niczego nie czuję, po prostu dryfuję.

W tej chwili nawet nie pamiętam, jakiego rozwiązania spodziewałam się po dzisiejszej rozprawie.

Teraz, z perspektywy czasu, mogę ze wstydem przyznać, że rano, przed wyjściem, spakowałam dla Jamesa paczkę z komiksami, batonami i chrupkami. Pięknie to świadczy o mojej wierze w brata. Na usprawiedliwienie dodam, że byłam przerażona. Więzienie w Mountjoy to piekło, zwłaszcza dla nowych. Nieustannie słyszy się w audycjach radiowych o chłopcach i młodych mężczyznach, którzy się tam powiesili, i o celach dla tak zatłoczonych, że śpi się na podłodze. Poza tym to wylęgarnia

narkomanów.

Jestem taka ogłuszona, że niewiele pamiętam z tego, co mówił

nam biegły psychiatra. Za to pamiętam, że robił doskonałe wrażenie. Spokojny. Rzeczowy. Jego zdaniem, atmosfera naszego domu zapewnia Jamesowi stabilność – co w pierwszym momencie uznałam za kpinę, wystarczy zorientować się w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

Z drugiej strony, jeśli inaczej spojrzeć na definicję stabilności, to może facet i miał rację. Fakt, nie było idealnie, ale James mieszkał tylko w dwóch domach, a od drugiego miesiąca życia opiekowała się nim ta sama osoba. W pewnym sensie można tu mówić o stabilności i oparciu.

Szefowi Jamesa też należy się pochwała i wdzięczność. Fakt, nie wychwalał go pod niebiosa, ale przedstawił go jako uczciwego, solidnego pracownika. I, wiadomość roku, obiecał sędzinie, że z powrotem przyjmie go do pracy.

Jak wspominałam, wszystko to pamiętam w urywkach, na zbyt wielu rzeczach naraz się koncentrowałam, dzieląc uwagę między Rosemary Madden, sędzinę i świadków.

Na twarzy Rosemary Madden malowało się takie napięcie, że aż budziło to przerażenie. Ubrała się jak wdowa albo zakonnica.

Czarna sukienka z niewielkim rozcięciem pod szyją, czarne rajstopy i buty. Żadnego makijażu. Krzyżyk na cienkim złotym łańcuszku połyskiwał pod kołnierzykiem. Włosy zwilżone żelem i zaczesane gładko, żeby w twarzy dominowały tylko olbrzymie oczy. Muszę przyznać, że choć z jednej strony strasznie jej współczułam sytuacji, w jakiej się znalazła, to równocześnie byłam na nią wściekła. Stanowiła wzorcowy przykład grania pod publiczność.

Z drugiej strony, czy mogę w nią rzucić kamieniem? Przecież my też ubraliśmy się, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie. James miał umyte, lśniące włosy, buty wyczyszczone na błysk, jedwabny krawat – przehulałam na niego część pieniędzy ze zdrapki u Marksa i Spencera; 19, 99 za jeden krawat! Dopilnowałam też, żeby nowy garnitur był starannie wyprasowany i czysty.

Pozwalałam Jamesowi go wkładać wyłącznie do sądu.

Wyglądałby fantastycznie, gdyby nie przerażona twarz. Teraz jednak sądzę, że to chyba pomogło mu w oczach sędziny.

Podejrzewam, że nie potraktowałyby tak łagodnie jakiegoś pewnego siebie, butnego elegancika.

Lepiej zapamiętałam słowa sędziny skierowane do Rosemary Madden niż do nas. Bardziej przypominało to ogólne wystąpienie, choć zwracała się bezpośrednio do ofiary. Na benefis wszystkich zgromadzonych zacytowała fragmenty raportu, które – z naszego punktu widzenia – brzmiały przerażająco, mówiły o głębokich ranach w psychice. Stwierdzono w nim także, że chociaż ofiara to silna i odważna kobieta, która, zdaniem psychologów, autorów raportu, po pewnym czasie otrząśnie się po tych przeżyciach, to jednak zostawiły one w niej głęboki ślad.

Jednym uchem słuchając dalszego ciągu wystąpienia sędziny, zastanawiałam się nad fragmentem o głębokich ranach w psychice. Dlaczego doświadczenia z Mooneyem i tamtym chłopakiem na dyskotecce nie zostawiły we mnie śladów?

Fakt, w tej sprawie stoję po drugiej stronie barykady, więc takiego myślenia należy się po mnie spodziewać.

Sędzina kazała Jamesowi wstać i zwróciła się do niego. Karciła go. Jej głos docierał do mnie niewyraźnie, jakby z głębi studni, nie rozumiałam poszczególnych słów, ale słyszałam surowy ton.

Usłyszałam dokładnie tylko „pięć lat” i wtedy umilkła. Potem już widziałam tylko czubek jej głowy, gdy coś pisała.

Zabrakło mi tchu. Pięć lat. Znacznie gorzej, niż obiecywał

Patrice Murphy. Pięć lat równało się kołkowi wbitemu w serce.

Rzeczywiście, przyznanie się do winy okazało się opłacalne, wielkie dzięki, panie Murphy... Pięć lat. W pewnym sensie lepsze to niż stan zawieszenia. Choć bo ja wiem? Potem zaczęłam się dopatrywać jasnych stron sytuacji. Może będzie mógł się odwołać.

I niezależnie od wszystkiego za parę lat będzie po wszystkim.

Zresztą więzienia są tak zatłoczone, że pewnie zostanie zwolniony szybciej.

Wszystko to w ułamku sekundy przemknęło mi przez głowę, wiecie, jak to jest w takich sytuacjach.

Opanowałam się i popatrzyłam na Jamesa.

Coś mi się nie zgadzało. James wyglądał na oszołomionego, nie podchodził do niego strażnik, by go zabrać, St John Markey przerzucał papiery.

Zerknęłam na sędzinę. Nadal pisała.

Spojrzałam w drugi koniec sali, na policjantów. Coś do siebie mruzcili.

Zarejestrowałam reakcję Rosemary Madden i rozejrzałam się po sali. Drzwi wyjściowe były na drugim końcu, więc miała do pokonania całe pomieszczenie i zdążyłam jej się przypatrzeć, zanim w, ypadła na korytarz. Zauważyłam też wyraz twarzy jej matki i doradczyni.

Nic nie rozumiałam.

Teraz James szukał mnie wzrokiem. St John Markey dalej grzebał w dokumentach. James zbliżał się do mnie razem z Patrice'em Murphym. Patrice Murphy się uśmiechał.

Uśmiechał.

Nagle znaleźliśmy się na zewnątrz i wyjaśniał mi, co się stało.

Teraz wrócił do środka, a ja dalej stoję na ulicy wśród hałasu samochodów i usiłuję coś z tego wszystkiego zrozumieć. Zaczyna padać. To mi się nie śni. Zimne krople spadają mi na policzki.

Jestem taka rozpalona, że podświadomie oczekuję, że zaczną skwierczeć. Zawsze w chwilach zdenerwowania paśowieję. Mam wrażenie, że zahipnotyzowali mnie Paul Goldin albo Tony Sadar i uważam się za posąg.

– Idziemy czy jak? – odzywa się James. – Będziemy tu sterczeć cały dzień? – Rozgląda się dokoła rozdrażniony.

– Dobra – odpowiadam – chodźmy.

Pytam go, czy nie jest głodny. Automatyczna reakcja. Poczucie bezpieczeństwa. Widać do tej pory mi to zostało: w razie wątpliwości karmić. Rano żadne z nas nic w siebie nie wmusiło, a James należy do tego rodzaju ludzi, którzy wyskoczyliby z szalupy i popłynęli z powrotem na Titanica, gdyby zobaczyli, że z pokładu zsuwa się kanapka z serem.

Postanawiamy pójść do McDonalda. Ruszamy w stronę O'Connell Street.

Słyszymy, jak ktoś woła Jamesa po imieniu. Odwracamy się.

Na schodach sądu stoją matka Rosemary Madden i kobieta z Rape Crisis Centre.

Pierwsza zbliża się matka.

– Ty... – mówi. To wszystko. I wystarcza. W jednym słówku zmieściło się więcej jadu niż w słowniku przekleństw.

Kulę się w duchu. Jakieś słowa wyrywają mi się z ust.

Przepraszam. Serce dudni mi w piersi. Bardziej czuję, niż widzę, że Jamesa znowu ogarnia przerażenie.

Naturalnie nie okażę im naszego przestachu.

– Chodźmy, James – mówię. Chwytam go za ramię i odciągam od kobiet.

Idziemy szybkim krokiem, ale dogania nas Rosemary Madden.

Zastępuje nam drogę, tak że nie możemy przejść.

Jej słowa nie nadają się do druku. Wykrzywiona twarz. Mam wrażenie, że oglądam film i że kamera najeżdża na twarz, tak że widzę tylko wielkie usta, wyrzucające z siebie wyzwiska. Między dwoma siekaczami coś jej utkwiło, może resztką płatką kukurydzianego albo coś w tym rodzaju. To straszne, słuchać tego, widzieć...

– Zostaw nas, odczep się – mówi James bez przekonania. Nadal jest w szoku.

Próbujemy ją obejść, ale nas nie przepuszcza. Porzuciła pozę skrzywdzonej niewinności. Klnie jak szewc.

Błyskawicznie zgromadził się wokół nas tłumek. Matka i jakiś mężczyzna – przypuszczam, że ojciec – dogonili nas i stanęli przy dziewczynie. Mierzą nas wzrokiem. Teraz przyłączyło się jeszcze dwóch, to niewątpliwie jej bracia: jeden mocno zbudowany, podobny do ojca, drugi nastolatek. Też patrzą jakby chcieli nas zmiażdżyć spojrzeniem. Zatrzymuje się paru gapiów. Znacnie ten typ ludzi, stają nieco z boku i z założonymi rękami albo z siatkami w rękach obserwują widowisko. Robi się z tego potężna, obrzydliwa scena. Najchętniej bym tam umarła.

– Chodźmy – powtarza James i ciągnie mnie za rękę. Jakoś udaje nam się wyrwać.

Kiedy docieramy do McDonalda, okazuje się, że nie wydają już śniadań, więc zadowolam się ciastkiem z jabłkami i kawą.

Sądziłam, że James pochłonie Big Maca, ale on zamawia tylko małe frytki. To świadczy, jaki jest wzburzony.

Oboje siedzimy, żadnemu z nas nie przychodzi do głowy temat do rozmowy. Tylko jemy.

– Kiedy wrócisz do pracy? – pytam.

Patrzy na mnie, jakbym się urwała z choinki.

– Spotkamy się w domu – mówi, wstaje i wychodzi.

Z trudem wystarcza mi pieniędzy na zapłacenie rachunku.

Wtedy olśniewa mnie radosna myśl. Nie trzeba więcej trzymać pieniędzy na kaucję. Odzyskam biżuterię mamy, a James magnetowid.

## **Rozdział 19**

Pewnie się spodziewacie, że na tym koniec albo prawie koniec.

James wróci do pracy, ja też, i będziemy mogli próbować puścić całą sprawę w niepamięć.

Niestety, nie.

Pierwsze parę dni upłynęło jako tako. James wrócił do pracy; żadnych problemów, a przynajmniej z żadnych mi się nie zwierzał. We wszystkich gazetach opublikowano w miarę uczciwą relację z rozprawy. Nie było tak źle. Nie zamieścili zdjęć.

I nawet moja poniedziałkowa nieobecność uszła mi płazem.

Papucie oczywiście wyżyły się na mnie we wtorek: zaciśnięte usta i teksty: żeby mi się to więcej nie powtórzyło. Potem kazała mi sprzątać łazienki. Właściwie nawet mi to nie przeszkadzało. Nadal chodziłam jak ogłuszona po wydarzeniach poprzedniego dnia i chciałam jak najdłużej być sama.

Przez parę dni koleżanki z pracy zerkały na mnie z ukosa, ale to nie robiło na mnie najmniejszego wrażenia, mogło być znacznie gorzej. Mogły przychodzić z wyrazami współczucia – a wiecie, co by to było za współczucie.

Minęły cztery dni i właśnie zaczęłam się oswajać z normalnością, przestałam się rozglądać, z której strony spadnie cios. Postanowiłam zakasać rękawy. Zadzwoiłam do klubu i poprosiłam o jak najwięcej sesji. Czyżbym sama siebie karała?

Wiecie, że chcę jak najszybciej skończyć z tą robotą. Sama nie wiem. W każdym razie facet zapisał mnie na cztery występy, jeden w środę, trzy w czwartek. Nieźle sobie poradziłam, bo wiedziałam, że nic mi nie grozi, patrzą tylko na ubranie.

Wtedy spadła bomba.

Był piątek. Właśnie się szykowałam na przejażdżkę z Kenem Sheilsem. Wpadł w środę po południu i spytał, czy nie chciałabym się wyrwać w weekend za Dublin i pochodzić po górach. Sobota nie wchodziła w rachubę ze względu na pracę w delikatesach, zakupy i tak dalej, w niedzielę PA System występował w Navan, więc umówiliśmy się na piątek po południu, Ken miał sobie zrobić wolne.

– Co tam – oświadcza – sam jestem sobie szefem. A jaki z tego pożytek, jeśli od czasu do czasu latem człowiek nie weźmie sobie wolnego?

– Dostałeś moją wiadomość?

– Jasne. – Wzrusza ramionami. – Nie ma sprawy. Bacznie mu się przyglądam, ale nie daje najmniejszego znaku, że domyśla się, dlaczego odwołałam spotkanie. Dzięki Bogu, nie wszyscy czytają gazety. Czekam, aż spyta, jak załatwię sobie wolne z biura, ale tego nie robi. Pewnie nie należy do wścibskich.

Jakieś dwadzieścia po drugiej w piątek robiłam sobie delikatny makijaż. Wcześniej umyłam włosy, włożyłam nowe, białe dzinsy i ładną, granatową bawełnianą koszulkę. Świeciło słońce, prognoza pogody była dobra, James pracował – co mnie bardzo cieszyło, bo nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby mu przedstawić Kena – i nawet cieszyłam się, że w moim świątku wszystko funkcjonuje całkiem nieźle.

Grało radio. „Liveline” Marian Fiuncane, tyle że nie ona prowadziła – latem nigdy nie prowadzi, w RTE mają wyjątkowo długie wakacje. Jej zastępczyni nazywa się Breegeóg. (Nie mam pojęcia, jak naprawdę pisze się jej nazwisko, tylko zgaduję).

„Liveline” to jedna z moich ulubionych audycji. Słucham jej przede wszystkim ze względu na Marian, ciepłą, współczującą, ale i uczciwą wobec każdego. Owszem, czasem wyłączam, gdy robi się za dużo szlochów i zawodzeń. Nie z winy Marian, to nie ona wyrzuca z siebie wszystkie nieszczęścia

Świata.

Właściwie to prawdziwy skandal. Ze wszech stron ludzie wyrzekają, że Irlandczycy nie mają głosu, nikt ich nie reprezentuje, bo media przyjmują postawę liberalną, a środowiska opiniotwórcze są antykatolickie i tak dalej. Jednak moim zdaniem, gdyby w Irlandii wylądowali Marsjanie, którzy chcieliby poznać poglądy szarych ludzi, wystarczyłoby im włączyć radio lub telewizję. Szarzy ludzie pozbawieni głosu? Kpiny.

Tak więc słucham „Liveline”, nakładając nowy puder, który na pociechę kupiłam sobie w sklepiku przy O’Connell Street.

Breegeóg zapowiada, że nasza następna słuchaczka pragnie zachować anonimowość, więc nazwiemy ją Paulą. Słyszę, że jesteś naprawdę poruszona i nieszczęśliwa, Paulo, zagaja. Powiedz nam, co się stało.

Odzywa się Paula, a ja nieruchomieję. Natychmiast zgaduję, kto to. Matka Rosemary Madden.

Rozwodzi się, jak to sąd skrzywdził jej córkę. Została brutalnie zgwałcona. Tymczasem gwałciciel wyszedł na wolność za sprawą knoń psychiatrów i ich pomagierów. A rozprawa to istny śmiech na sali...

Tutaj Breegeóg wpada jej w słowo. Spokojnie, Paulo, mówi, nie znamy wszystkich czynników, które wziął pod uwagę sędzia, wydając wyrok, a sędzia nie musi się tłumaczyć.

Pani Madden dostaje furii. Wyrok wydała sędzina, i to w tym najokropniejsze. Zawodzi, wrzeszczy, tak że Breegeóg nie może jej przerwać, choć robi, co w jej mocy, by ją uspokoić i wyciszyć.

Wiem, co czujesz, Paulo. Czy masz kogoś, z kim mogłabyś o tym porozmawiać?

Pani Madden całkowicie się załamuje. Nic nie mówi, słyhać tylko przerażający, rozpaczliwy szloch. Jest tak przejmujący, że Breegeóg się gubi, brakuje jej słów. Pyta Paulę, czy dobrze się czuje.

Tylko szloch.

Jestem pewna, że wszyscy naprawdę ci współczują, Paulo.

Trzask słuchawki, sygnał. Pani Madden się rozłączyła.

Breegeóg mówi, że takie rzeczy się zdarzają w audycjach na żywo. Bardzo współczuje Pauli i ma nadzieję, że kobieta znajdzie jakąś pomoc. My też możemy ci jej udzielić, Paulo, mówi.

Zadzwoń jeszcze raz, skontaktujemy cię z kimś, kto ci pomoże.

Zmienia ton, zwraca się do kolejnej słuchaczki, Marii, która chciała porozmawiać o swoim synu z zespołem Downa. Maria, wyjaśnia, goni resztkami sił, bo nasz system uniemożliwia jej dziecku właściwą edukację. Brakuje na nią środków. Opowiedz nam o swoim synu, Mario...



Dzwoniąc do was, zamierzałam o nim mówić, Breegeóg, odzywa się Maria, ale czekając na swoje wejście, wysłuchałam tej nieszczęśliwej kobiety, domyślałam się, przez co teraz przechodzi....

Nie wyobrażacie sobie, jaka jestem wściekła. Wiem, że gdyby to była moja córka...

I tu zaczyna. Zapomniała o synu z zespołem Downa. Oto po ulicach Dublina chodzi wypuszczony na wolność gwałciciel, podczas gdy biedna córka Pauli i biedna Paula wraz z rodziną zostały skazane na dożywocie. Gwałciciel zaś najpewniej powtórnie zgwałci. Potwierdzają to statystyki. Kto raz dokona napaści seksualnej, Breegeóg, ten powtórzy swój postępek.

Oburzające, Breegeóg. A polityków to nic nie obchodzi. Maria wyraża nadzieję, że Paula i jej skrzywdzona córka będą się odwoływać. Sędziów trzeba wziąć pod lupy. Warto by stworzyć komitety obywatelskie...

Cały czas stoję z pędzelkiem w dłoni. Mam wrażenie, że zmieniałam się w bryłę lodu. Nie mogę się zmusić, by wyłączyć radio.

Zdaję sobie sprawę, że „Liveline” to jedna z najpopularniejszych audycji radiowych. I wiem, co się teraz stanie. Na sprawę rzucą się inne stacje. I prasa. Nawet angielskie brukowce. Każdy w Irlandii będzie dzwonił do swojego ulubionego programu, by wyrazić opinię. Za szybko się odprężyłam.

Wreszcie udaje mi się wyciągnąć rękę i wyłączyć radio, ale oczywiście słowa nadal dźwięczą mi w głowie. Głosy Marii, Pauli, Breegeóg i kogo tam jeszcze, kto właśnie dzwoni. Ogarnia mnie przerażenie. Więc jednak dopadną Jamesa.

Siadam na kanapie. Wymuskałam mieszkanie, bo Ken Sheils zobaczy je dziś po raz pierwszy. Ale nie widzę ani goździków w ładnym dzbanku, ani błyszczących mebli, ani nienaturalnej czystości. Wpatruję się w popielniczkę z napisem: „Pamiętka z Tramore”, stojącą na środku blatu. Nie mogę od niej oderwać wzroku.

Nie wiem, ile czasu tak siedzę.

Dźwięczy dzwonek u drzwi. Podskakuję. Dosłownie. Dzwonek brzmi jak alarm. Spoglądam na zegarek, za pięć trzecia, Ken Sheils jest pięć minut przed czasem. Próbuję wstać, ale nogi mam jak z waty.

Biorę się w garść i wywołuję na twarz promienny – jak ufam –

uśmiech, po czym idę otworzyć drzwi. I cóż tam? Oczywiście na podeście spotykam sąsiada. W naszej kamienicy sąsiedzi nie utrzymują bliskich kontaktów, ale nie sposób całkowicie się unikać i wiemy o sobie to i owo. Akurat tego sąsiada najmniej lubię – ale muszę przyznać, że nigdy nawet się nie starałam go polubić. Wiecie, jak to bywa, czasem bez powodu nabiera się do kogoś antypatii. Może sprawił to wygląd nieszczęśnika – sam nos i broda. Nazywa się Dwyer, jest urzędnikiem państwowym, chyba w Ministerstwie Obrony Narodowej. Nosi wełniane swetry.

Ponieważ oboje schodzimy na dół, nie da się siebie uniknąć, więc kłaniam mu się i mówię jakieś bzdury w rodzaju: cóż za piękny dzień.

– Rzeczywiście, bardzo piękny, panno Devine – odpowiada i zerka na mnie. Jakoś tak koso.

Wiadomo, różne bywają spojrzenia. Czy dostaję paranoi, czy rzeczywiście jego jest z gatunku znaczących? Może słuchał

„Liveline” i czytał wtorkowe gazety, po czym skojarzył te obie sprawy.

A w ogóle co robi w domu w piątek po południu? Nie powinien siedzieć w pracy?

Razem dochodzimy do drzwi i w chwili, gdy sięga do klamki, znowu dźwięczy dzwonek.

– To do mnie – wyjaśniam, jakby to była jego sprawa. Proszę, co z człowieka robi paranoja. Zaczyna się tłumaczyć z każdego oddechu.

Otwieram drzwi. To nie Ken Sheils, tylko dwóch mężczyzn.

Jeden z nich trzyma aparat fotograficzny. Ledwo zdążyłam to zauważyć, w twarz błyska mi lampa. Równocześnie drugi wykrzykuje imię Jamesa. Tyle zdążyłam usłyszeć, nim zatrzasnęłam drzwi.

Dwyer przymyka oczy. Ale wcale nie wygląda na zaskoczonego. Teraz już wiem, że nie zachowywałam się jak paranoiczka. Doskonale wie, co jest grane i bez cienia wątpliwości słuchał „Liveline”. Kolejny dzwonek.

Uspokajam się.

– Nie pogniewa się pan, że wrócę do siebie. I byłabym wdzięczna, gdyby pan nie otwierał, dopóki nie znajdę się w mieszkaniu.

Potakuje. (Kiedy teraz o tym myślę, uświadamiam sobie, że to pewnie była najbardziej dramatyczna chwila w jego życiu.

Wyobrażam sobie, jakie potem snuł opowieści przy herbacie w Ministerstwie Obrony Narodowej).

– Dziękuję – ciągnę i zdobywszy się na maksimum godności, wracam do siebie.

Znowu dźwięczy dzwonek.

W mieszkaniu siadam i zaczynam się trząść. Co mam zrobić?

Co my dwoje mamy zrobić? Nie możemy siedzieć biernie i pozwalać, by to się działo.

Kolejny dzwonek.

Nie możemy się przeprowadzić, bo James musi chodzić na sesje do terapeuty. Nie stanowi to warunku zawieszenia kary, ale Patrice Murphy powiedział, że dla własnego dobra James powinien na nie regularnie uczęszczać. Zyska punkty przy powtórny rozpatrywaniu wyroku.

Z drugiej strony, kto by nas znalazł, gdybyśmy postanowili się rozpuścić w powietrzu. Kupili bilety i wraz z innym wsiedli na prom, odbili z Holyhead i tyle by nas widzieli. Nie byłibyśmy pierwszymi Irlandczykami, którzy zniknęli w Anglii. Nie sprawdzają dowodów tożsamości, aby wyjechać od nas do Wielkiej Brytanii, nie potrzeba paszportów. A ponieważ oboje sami potrafimy się utrzymać, nie musielibyśmy się rejestrować jako bezrobotni albo ubiegać się o pomoc społeczną...

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba.

Wtedy słyszę pukanie do drzwi naszego mieszkania. Nie wierzę własnym uszom. Ten taki owaki Dwyer jednak ich wpuścił!

– Wynoście się! – wrzeszczę. – Wynoście się stąd!

Przez chwilę panuje cisza, potem słyszę głos Kena Sheilsa.

– To ja, Angelo, Ken. Coś się stało?

Z tego wszystkiego na śmierć o nim zapomniałam. Otwieram drzwi.

– Co się stało? – pyta. – Dlaczego przy wejściu czai się dwóch pismaków? Polują na ciebie, próbowali się ze mną wemknąć.

Znowu ogarnia mnie spokój. Nie rozumiem siebie. W

najbardziej krytycznych sytuacjach zachowuję zimną krew, a gdy wszystko jest w porządku, zamieniam się w galaretę.

– Wejdź, Ken, muszę ci o czym powiedzieć.

Chciałabym móc napisać, że przyjął to wspaniale. W pewnym sensie przyjął to bardzo dobrze, ale nie do końca. Nie uciekł, nie wznosił ramion w geście przerażenia i oburzenia. Z drugiej strony jednak, nie powiedział od razu: strasznie mi cię żal, czy mogę ci jakoś pomóc? Czego, oczywiście, od niego oczekiwałam.

On tymczasem powtarzał: rozumiem.

Niczego nie pominęłam. Nie oszczędzałam Jamesa, ale kobiety też nie. Zrelacjonowałam mu dokładnie, co się stało: że chciała z nim uprawiać seks, a kiedy się rozmyśliła, James już nie mógł się powstrzymać. I że to ona wszystko zainicjowała, każąc mu przynieść prezerwatywy. Mówiłam też o „Liveline”, o prasie i o tym, że teraz nam nie odpuszczają.

– Rozumiem – on na to.

– Słuchaj, zrozumiam, jeśli nie będziesz chciał mieć z nami nic wspólnego.

– Rozumiem.

– Ale James to mój brat, mam tylko jego, a on tylko mnie, i koniec dyskusji. Będzie u mnie na pierwszym miejscu, więc rozumiem twoją decyzję.

– Rozumiem.

Chryste, myślę, jeśli jeszcze raz to powtórzy, dam mu w ucho.

Po raz pierwszy dostrzegam ten denerwujący nawyk. Gotuję się, z trudem nad sobą panuję.

– I jak? – pytam.

– Co: jak?

– Opuścisz sobie?

– Chodzi ci o to, czy nie chcę się już z tobą spotykać?

– Tak, właśnie o to. Zrozumiem.

– Rozumiem.

Czy wcześniej też tak mówił? Nie pamiętam. Teraz muszę czekać na jego decyzję. Ale już mnie ona nie obchodzi. Co do mnie, mógłby się zabrać z tą swoją furgonetką i obrzydliwym kundlem. I tak nie przepadam za górami wokół Dublina. Nie ma tam nic nadzwyczajnego, a nawet jeśli jest, i tak się tego nie zobaczy, bo wiecznie wiszą tam chmury albo pada.

Wypchaj się swoimi górami.

Znowu dzwięczy dzwonek. Patrzymy po sobie.

– Tu nie możemy rozmawiać – odzywa się Ken. – Chodźmy stąd, dokładniej wszystko omówimy.

Brzmi to groźnie. Przecież powiedziałam mu już wszystko. Tak naprawdę chodzi Kenowi o to, że musi sobie wypracować własny stosunek do sprawy. Ale jako że nie mogę tu zostać, zgadzam się.

– Co z typkami przy drzwiach? Nie mam ochoty na kolejne spotkanie z aparatem – mówię.

Ken pyta, czy jest drugie wyjście.

– Nie, tylko schody przeciwpożarowe. Żeby się na nie dostać, trzeba by wyjść przez okno. – Nawet nie czuję się zażenowana, gdy to mówię. To wina Reddy'ego, nie nasza.

Bazgrzę notkę do Jamesa, ostrzegam, żeby uważał, bo tu albo w pracy mogą go dopaść dziennikarze. Oczywiście, niewykluczone, że dopadną go wcześniej, ale więcej zrobić nie mogę.

Potem wychodzimy na schody przeciwpożarowe. Czuję się jak idiotka. Wysuwając się przez okno i obsypując kawałki tynku, myślę: to twoja przyszłość. Nie ostatni raz to robię, James pewnie też.

Ken Sheils odsuwa nogą tynk.

– Zostaw, nie przejmuj się – mówię. I dziękuję szczęśliwej gwiazdzie, że włożyłam spodnie. Wyobrażacie sobie, co by było, gdybym musiała to robić w spódnicy?

Ponieważ to piątek, aż do Dundrum były straszne korki, potem się odetkało. Ken milczał, nie zmuszałam go do rozmowy.

Szczerze powiedziawszy, byłam w fatalistycznym nastroju. Dzięki Bogu za radia samochodowe. I dzięki Bogu, że właśnie grał

Ronan Collins. Lubię jego muzykę, ma taką lekkość śpiewania.

Może to nie dla koneserów, ale dość miłe. Chyba nie zniosłabym muzyki pop. Jest świetnie, gdy człowiek czuje się młody i wszystko mu się układa. A ja w tym momencie z pewnością nie zaliczałam się do tej grupy.

Wicie co? Odszczekuję to, co mówiłam o górach otaczających Dublin. Nawet ja muszę przyznać, że Sally Gap jest zjawiskowa, po prostu zjawiskowa. Nie wypowiadam tego na głos, bo Ken Sheils do tej pory się nie odezwał.

Po drugiej stronie przełęczą zatrzymujemy się z boku drogi i wysiadamy. Ken staje z odchyłoną głową.

– Skosztuj tego powietrza – mówi – zasmakuj jego świeżości.

Czuję się jak kretyńka, ale naśladuję go: zamykam oczy, odchylam głowę i parę razy głęboko wdycham powietrze, tak głęboko, że wiruje mi w głowie. Wszystko mu się pokręciło, myślę. Moim zdaniem, nie chodzi o smak powietrza, ale właśnie o brak smaku. Niczego nie trzeba wąchać, powietrze przenika przez nos prosto do tchawicy, której istnienia aż do tej pory człowiek się nie domyślał.

Wcale nie ma wiatru, co, jak informuje mnie Ken, jest niezwykle na tej wysokości, ale dzięki czemu można usłyszeć koncert brzęczenia i mrużenia. Ćmy (motyle?), mnóstwo pszczół.

W pobliżu jest parę strumieni, słyhać ich szmer. A ptaki! A chmurki! Nie wyobrażałam sobie, że coś takiego naprawdę istnieje. James, audycje radiowe i wszystkie nasze problemy mogą być miliony kilometrów stąd.

Odwracam głowę i zauważam, że Ken mnie obserwuje. Gdy napotykam jego wzrok, lekko się czerwieni.

– Pozwoliłem sobie przygotować jedzenie – mówi. – Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Gniewać? Jestem tak głodna, że zjadłabym konia z kopytami.

Od przerwy śniadaniowej w pracy piętnaście po siódmej nic nie miałam w ustach. A teraz dochodzi

czwarta.

Wyjmuje z samochodu jedzenie: przygotował trzy rodzaje kanapek, sałatkę, jajka i wędlinę, ma też termos z dwoma kubkami. Nawet pamiętał, żeby osobno zapakować cukier i zaopatrzył się w ciasto. Czuję się rozpieszczana. Nigdy jeszcze mężczyzna nie przygotował dla mnie jedzenia. Mam wrażenie, jakbym się znalazła w angielskiej powieści.

Rozkładamy jego kurtkę na płaskim, porośniętym trawą miejscu w pobliżu drogi i siadamy obok siebie. Gotujemy się, zaczynam żałować, że jednak nie włożyłam spódnicy. Ziemia jest miękka, Ken wyjaśnia, że siedzimy na torfowisku. Trudno sobie wyobrazić, że pod nami leżą warstwy drzew liczących tysiące, miliony lat. Otaczają nas spokojne kolory: brąz, złoto, zieleń.

Linia gór – Ken twierdzi, że to nie góry, tylko wzgórza – łagodnie zaokrąglona, nieostra, też emanuje spokojem.

I żadnego samochodu.

W końcu pojawia się pierwszy człowiek. Rowerzysta. Niemiec.

(Nie, nie jestem aż tak domyślna, z plecaka sterczy mu niemiecka chorągiewka). Mijając nas, kiwa nam głową, potem razem z rowerem toczy się w dół; obleczone w błyszczące czarne spodnie pośladki przypominają dwie oliwki w słoiku.

– Ja też trochę jeżdżę rowerem – zagaja nieśmiało Ken.

Uśmiecham się do niego. Lody wreszcie zostają całkowicie przełamane.

Z naszego miejsca widać Dublin, prawie całe miasto. Rozciąga się nad nim szarawa mgiełka.

– To smog – mówi Ken i dodaje, że dawniej było gorzej. – W

niektóre dni nawet nie było widać miasta, tylko gęsty obłok szarości. Zwłaszcza zimą, zanim weszło rozporządzenie Mary Harney, zakazujące opalania domów węglem. Nawet gdyby rząd nic więcej nie robił, to by wystarczyło – dodaje. Dziwi mnie, że wspomina o Mary Harney.

– Nie sądziłam, że jesteś jej zwolennikiem.

– A czym, twoim zdaniem, powinienem być? – Uśmiecha się do mnie.

Znalazłam się na niepewnym gruncie. W tym kraju najdłuższe przyjaźnie rozpadają się przez byle dyskusję polityczną.

Pamiętacie moją kłótnię sprzed lat, gdy ścięłam się z Tomem Bennettem o Patricka Pearse'a i powstanie wielkanocne?

Owszem, podziwiam Mary Harney, wicepremier i lider partii to kobieta wielkiego ducha, ale wydawało mi się, że zwolennicy Progressive Democrats rekrutują się głównie spośród mieszkańców

południowej części miasta. Ken nie dość że mieszka w północnej części, to jest także pracownikiem fizycznym, czyli nie stanowi typowego elektoratu tej partii.

– To twoja prywatna sprawa – odpowiadam ostrożnie.

– Nie jestem niczym zwolennikiem – odpowiada. – Nie znoszę polityki w żadnej postaci. Nie głosuję.

Na coś takiego nie ma odpowiedzi, prawda? Uśmiecham się do niego i sięgam po kolejną kanapkę.

Jedząc, oglądam panoramę miasta. Ogarnia mnie duma. To moje miasto i wygląda ślicznie, położone nad połyskliwą taflą morza. Wyszukuję charakterystyczne punkt. Wieże Ballymun.

Maszt RTE. Widzę pasek Liffley, przecinającą to, co – wiem od niedawna – nosi nazwę South Buli.

– To oczywiście kominy Gołębnika – ‘chwalę się, choć nie należy mi się medal za ich rozpoznanie, to największe kominy w całym mieście. – Gdzie jest lotnisko? – pytam Kena.

Pokazuje mi srebrzysty punkcik, słońce odbijające się od startującego samolotu. Potem odwraca wzrok, a ja usiłuję odgadnąć, o czym myśli. Co okazuje się trudne. W końcu właściwie go nie znam. Trochę jeździ na rowerze. Nie głosuje, chociaż chyba lubi Mary Harney, oto skrawki najnowszych informacji. Dziwi mnie, że nie wspomniał o sprawie Jamesa.

Najwyraźniej nie posiada takiej cechy jak ciekawość.

Ja z całą pewnością nie poruszę tej kwestii. W końcu nie jestem masochistką.

I myślę o nas: nasze trzecie spotkanie, dwoje dorosłych ludzi.

Którzy nawet się nie trzymali za ręce, a co dopiero mówić o całowaniu. Mnie to odpowiada, ale zastanawiam się, co kieruje Kenem. Może jest gejem? Ale przecież miał żonę... Co w końcu o niczym nie świadczy.

– To pewnie zatoka Dun Laoghaire – odzywam się, by ukryć, jak niezręcznie się czuję. I oto krąg się zamyka. Niecałe dwie godziny temu myślałam o promie, a one stamtąd odbijają.

– Tak, to ona – odpowiada. – I spójrz, jedzie superszybki pociąg. Widzisz?

Widzę go. Nowoczesny. Śmiga.

A choć pozornie doskonale się dogadujemy, sprawa Jamesa wisi między nami dokładnie tak samo, jak między mną a Patsy.

## Rozdział 20

Teraz muszę wam opowiedzieć o podróży do Birr.

Tamtego dnia, gdy wybraliśmy się na piknik za Dublin, spytałam Kena, czyby mnie tam nie zawiózł – pewnie uznałam, że i tak nie mam nic do stracenia. Nastawiłam się, że odmówi – co zrozumiałe w tej sytuacji – ale ku memu zdumieniu się zgodził.

Wyjaśniłam, że siedzi we mnie licho, które nie zazna spokoju, póki tam nie pojedę.

Zaczynam tłumaczyć – mówić o mamie i o wszystkim – ale mnie zatyka. Nagle uświadomiłam sobie, że żadne słowa nie zabrzmiały odpowiednio. Nie potrafiłabym wyjaśnić komuś, kto nigdy jej nie widział, jaka naprawdę była. Że nie stanowiła kolejnej pozycji w notesie pracownika socjalnego ani przykładu na osobę z problemami społecznymi. Dlatego zamykam się w sobie.

– Przepraszam – mówię – ale nie umiem o tym rozmawiać. Po prostu muszę pojechać do Birr. To się wiąże z moimi korzeniami.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Nie musisz mi się tłumaczyć, Angelo – odpowiada. – Z

przyjemnością cię zawiozę. Obojgu nam dobrze zrobi wyrwanie się z Dublina na jeden dzień. – (Z pojedynczych wzmianek wydedukowałam, że Diandra na niego naciska. Szuka forsy. Nie wypytywałam, bo szczerze mówiąc, nie chciałam wiedzieć. Dość miałam własnych zmartwień). Waha się. – Uda ci się wyrwać z pracy? – pyta.

– Oczywiście – uspokajam. – Bez najmniejszych problemów.

Ciągle jeszcze nie dojrzałam, żeby mu wyjaśnić moją skomplikowaną sytuację zawodową. Powiem mu, ale nie teraz.

Na .

wet się nie domyśla, ile prawdy było w jego słowach, że obojgu nam przyda się wyjazd z Dublina.

Nie trzeba geniusza, żeby wyjaśnić, skąd ta nagła potrzeba wyjazdu do Birr. Wydawało mi się, że wyprawa do korzeni mamy pomoże mnie i Jamesowi. Da nam wsparcie, poczucie trwałości.

Optymistyczny scenariusz zakładał odnalezienie jej krewnych i rozmowę z nimi. Superoptymistyczny polegałby na tym, że tamci zaakceptowaliby nas i uznali za pełnoprawnych członków rodu.

Marzyła mi się ta durna wizja, że oboje umościimy się na łonie rodziny.

Ale nawet najgorszy scenariusz – samo obejrzenie jej rodzinnych stron, firmy i domu – nie był taki zły. To się nie zmieniło. Trwa. Przynajmniej zobaczymy, skąd się wywodziła, a to ważne.

Wbiły mi się do głowy pewne informacje dotyczące Birr. Na przykład męczennicy z Manchesteru, Allen, Larkin i O'Brien, którzy w ubiegłym stuleciu zginęli za Irlandię. Dwóch z nich pochodziło z okolic Birr, w mieście stoi pomnik ku ich czci.



Gdybym zobaczyła dom, w którym mieszkała mama, albo choćby pomnik męczenników z Manchesteru, miałabym inne tło do wspomnień o niej. Wścieka mnie, że jej otoczenie to dla mnie tylko czynszówki albo łóżko w hospicjum. Gdy myślę o niej jako o osobie, a nie o tej kobiecie, jaką z niej uczyniono, zawsze widzę ją spowitą w delikatne tkaniny, wśród stokrotek.

Poza tym miałam wrażenie, że mama mnie ponagla do tego wyjazdu. Czy to brzmi zupełnie idiotycznie?

Wybraliśmy się do Birr w środę po naszej wyprawie w góry pod Dublinem. Ken przyjechał po mnie o pierwszej. Zeszłam na dół, bo James nie poszedł tego dnia do pracy. Właściwie nie był w niej od trzech dni. (Twierdził, że szefostwo nie ma nic przeciwko temu, bo należy mu się urlop. Nie wiedziałam, czy w to wierzyć, ale wiele nie mogłam zrobić. W końcu nie zawlokę go siłą do roboty, prawda?)

W każdym razie, tamtej środy nie chciałam komplikować sytuacji, doprowadzając do Spotkania Jamesa i Kena. Właśnie tak je wtedy widziałam: Spotkanie przez wielkie S. Gdybym była ze sobą szczerą, przyznałabym, że to, co się rodziło między mną a Kenem, wykraczało już poza ramy zwykłej przyjaźni.

Nie ułatwiał mi sytuacji, niewielu oznak uczucia się u niego dopatrzyłam. Chociażby tamtego dnia po wyprawie za Dublin: przy pożegnaniu uściśnął mi rękę. Powiecie: dobry znak? Ale gdy potem odtwarzałam to w pamięci, nie mogłam się zdecydować, czy to było znaczące uściśnięcie, czy automatyczny gest, jak wtedy, gdy klepie się przyjaciela w ramię, bo chce mu się pokazać coś interesującego, nim zniknie.

Sądzę, że dokonał się swoisty postęp. Choć w piątek nie wracaliśmy już do sprawy Jamesa, to byłam świadoma, że Ken o niej wie, i czułam, jak całe popołudnie o niej myśli.

Nie streszczę wam tego, co znalazło się w niedzielnych gazetach. Kupiłam wszystkie, choć wiedziałam, co tam przeczytam. Nie miałam złudzeń, że po „Liveline” prasa natychmiast rozdmucha sprawę, ale czułam się niczym królik osaczony przez węży. Przez stado węży.

Wychodząc po gazetę, czułam, jak w żołądku rośnie mi kula lodu, która powiększa się z każdym moim krokiem. Omal nie zapomniałam kupić zdraпки; to najlepszy dowód, jak byłam przerażona.

Czyż szczęście nie uśmiecha się do nas w najmniej stosownym momencie? Nie zgadniecie: pierwszy raz trafiłam na trzy gwiazdki, upoważniające mnie do wzięcia udziału w teleturnieju (oczywiście wraz z dwudziestoma pięcioma milionami innych chętnych). Kiedy zapisuję na drugiej stronie moje nazwisko i adres, gazety pod pachą parzą mnie jak ogień, a głos kioskarza chrzęści niczym stary młynek. Mikę Murphy wyjechał na urlop, więc rządzi teraz Marty Whelan, a program nie nazywa się

„Winning Streak”, tylko „Fame and Fortune”...

– Hej! – woła, gdy wybiegam ze sklepu. – Zapomniała pani o kopercie!

Dzięki. Znowu wpadam do środka, chwytam kopertę i wybiegam.

Nie zniosę drogi do domu, żeby dopiero tam dowiedzieć się najgorszego. Zresztą chcę osłaniać Jamesa. Dlatego skręcam do parku, siadam na ławce i zaczynam czytać. Ptaki świergoczą. Jak na ironię.

Na pierwszej stronie „Sunday World” zamieszczono duże, nieostre zdjęcie Jamesa, wychodzącego z sądu. Oczy zasłonięte czarnym paskiem. Bardzo stosownie. Każdy, kto zobaczy to zdjęcie, rozpozna Jamesa na sto metrów.

Nie czytam artykułu („Patrz strony 2 i 3 oraz 6 i 7”), tylko zaglądam do „Sunday Independent”. Dzięki Bogu, nie zrobili z tego wiadomości dnia, ale i tak jest źle. Gorzej niż źle. Umieścili ją w jednej z tych kolorowych ramek na górze. Znajdowało się tam to samo zdjęcie Jamesa, które wykorzystał „Sunday World”, też z czarnym paskiem, a obok informacja, że wypowiedzą się na ten temat najlepsi publicyści gazety.

Między innymi Eamon Dunphy Wtedy wiem, że już po nas.

Eamon Dunphy był kiedyś piłkarzem, grał w Anglii, ale teraz stał

się sztandarowym dziennikarzem „Sunday Independent”, a jeśli ktoś mu podpadnie, to nie ma biedak szans. Sądząc z artykułów Dunphy’ego, żyje on w stanie permanentnego wzburzenia, wywołanego przez wady bądź opinie bliźnich.

Nie wiem, kto go bierze na serio, ale dziś to dla mnie bez znaczenia. Wszyscy czytają jego rubrykę. Koleżanki w pracy.

Każda mówi: „okropny facet”, ale i tak co niedziela ludzie go czytają dla samej przyjemności przekonania się, kogo weźmie na tapetę. Cali Irlandczycy. Jeśli ktoś ci przykopie, w oczy wyrażamy współczucie, a za plecami radośnie zacieramy dłonie. Uwielbiamy patrzeć, jak ktoś dostaje po uszach.

Nie jestem lepsza od innych. Też czytam rubrykę Eamona Dunphy’ego, a choć od czasu do czasu współczuję tym, których dopadł, nigdy – przyznaję ze wstydem – nie do tego stopnia, by przestać go czytać. Teraz nawet nie usprawiedliwia mnie bezmyślność, czuję do siebie obrzydzenie, bo w końcu aż nadto dobrze zrozumiałam, co przeżywa jego ofiara, nie wspominając już o rodzinie. Czy ci, pouczający z łam gazet, zdają sobie sprawę, ile bólu i cierpienia przysparzają? Jeśli tak, to za wiele przyjdzie im odpowiedzieć.

W przyszłości będę bardziej krytyczna wobec tego, co czytam albo w co uwierzę, bo teraz już zdaję sobie sprawę, że dziennikarze często nie znają wszystkich okoliczności, na których temat się wypowiadają. Ja na przykład bardzo bym się zdziwiła, gdyby którykolwiek z dziennikarzy wiedział, dlaczego sędzina dała wyrok w zawieszeniu. Miała „dodatkowe” raporty, których oni nie widzieli na oczy. A przynajmniej nie powinni. Ani razu w sądzie nie mówiono szczegółowo, co się wydarzyło w Furry Glen.

Sądzę, że stało się tak za sprawą Rosemary Madden.

Tak mnie przygnębiła myśl o tym, co zapewne napisał Eamon, że już nawet nie patrzę na pierwsze strony pozostałych gazet, tylko zbieram je wszystkie, wychodzę z parku, zaglądam na podwórko, gdzie Reddy zostawił parę antycznych pojemników na śmiecie dla swoich lokatorów, i wszystkie te gazety wciskam tam najgłębiej, jak się da. Spaliłabym je, ale nie chcę zwracać na siebie uwagi. Dzięki Bogu, James jeszcze śpi.

Pozostawiam waszej domyślności atmosferę, jaka panowała między mną a Patsy parę godzin później, w drodze na występ.

– Słuchaj – powitała mnie, ledwo wsiadłam do samochodu –

czytałam artykuły i sędzę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać.

Ani słowa na ten temat, zgoda?

– Zgoda – odparłam.

Oczywiście, usta jej się nie zamykały. Opowiadała mi o Martinie i jakimś jego kumplu, który zaprosił go do Londynu.

– Wczoraj pojechali do Wimbledon, Ange – mówi ożywiona.

Jakby mnie to coś mogło obchodzić.

Okazuje się, że zawsze marzyła, by obejrzeć turniej wimbledoński. To dla mnie nowina.

A dziś wieczorem spróbują kupić bilety na finały Pucharu Europy, świergocze wesolutko. Przyjaciel Martina ma dojścia...

Przesiedziałam z Jamesem półfinały, więc przynajmniej wiem, kto dotarł do finału.

– Och! – mówię. – Niemcy z Czechosłowacją? To dopiero atrakcja. (Tak, teraz są Czechy, ale ciągle mi to wylatuje z głowy.

Nawet zapomniałam, gdzie leży Bośnia. Ta część Europy to dla mnie czarna magia).

Patsy spogląda na mnie koso.

– Czyżbyś się ze mnie naigrawała?

Robię niewinną minę. (W końcu nie mogę wiecznie odstawiać świętej Tereski od Dzieciątka Jezus).

Dzięki Bogu, że klienci w delikatesach znają mnie tylko z imienia wyniesanego na identyfikatorze. A nawet gdyby widniało na nim nazwisko, wątpię, by skojarzyli. Nie znoszę, gdy uparcie zwracają się do mnie po imieniu. I powtarzają je co chwila, to ich zdradza. Płaci mi się za to, by ich obsługiwać, i doskonale o tym wiedzą, tymczasem koniecznie muszą pokazać, jacy z nich liberałowie. Równość? Nie sędzę. Nawet stali klienci nie rozpoznaliby mnie, gdybyśmy się spotkali w innej części sklepu.

Obsłużyłam ich dziesięć minut temu, tak jak robię od lat co sobota, a wystarczy zdjęć fartuszek i identyfikator, żeby mnie nie poznali.

W sobotę przed tą niedzielą, kiedy po raz pierwszy po rozprawie zjawiłam się w delikatesach, chodziłam napięta niczym struna, ale klienci zachowywali się tak samo jak zawsze.

Musiałam powiedzieć właścicielce – i tak o wszystkim by się dowiedziała z prasy – ale przyznam, że zachowała się na poziomie. Nie jest moją przyjaciółką, tymczasem zareagowała o niebo lepiej od Patsy. „Jeśli potrzebujesz jakiegokolwiek pomocy...

„ – powiedziała, i czułam, że mówi to z serca.

Wracając do podróży do Birr. Kiedy punktualnie za minutę pierwsza Ken stawiał się u drzwi, wyglądał zupełnie pogodnie i zachowywał się normalnie. Bacznie go obserwowałam, szukając zapowiedzi kłopotów, ale niczego nie dostrzegłam. Uznałam więc, że: a) nie czytał gazet, b) czytał, ale postanowił je zignorować lub c) na razie wstrzymał ogień.

Przyznam, że uwielbiam punktualnych ludzi.

– To pewnie cudowne uczucie, być swoim własnym szefem –

zauważam, gdy przechodzimy na drugą stronę jezdni do jego samochodu.

– Czasami – odpowiada – czasami. Jak teraz, gdy chcę sobie gdzieś wyskoczyć i nie muszę nikogo prosić o zgodę. Władca szos, to cały ja! – Uśmiecha się i wygląda całkiem pogodnie, więc dochodzę do wniosku, że mogę zawęzić możliwości do punktu a) i b).

Kiedy wsiadam, Sam liże mnie na powitanie. Chyba uważa mnie już za stały element otoczenia. Poklepuję go, ale w głębi ducha jestem spięta przed tym, co mnie czeka. Z oczywistych powodów nie spałam najlepiej, a gdy dziś rano Papucie kazały mi poprawić froterką długi korytarz, naskoczyłam na nią.

Nie wierzyła własnym uszom. Zdaje się, że do tej pory uważała mnie za Miss Pokory 1996 oraz wcześniej wzmiankowaną świętą Tereskę. Jeszcze klótni mi brakowało, więc przygryzłam wargę, przeprosiłam za swoje zachowanie, tłumacząc się zmęczeniem, po czym zabrałam froterkę, jakby to była haubica, a ja miałabym nią wyniszczyć nieprzyjaciela kryjącego się we wzorze na linoleum.

– Jak się czujesz? – pyta Ken, gdy włączamy się do ruchu, kierując się za miasto. – Jakoś pobladałaś.

– Czuję się świetnie – zapewniam. – Bombowo. Może trochę niewyspana, wiesz, jak to jest, gdy wcześniej się wstaje.

Na razie nieźle, myślę, gdy gawędzi o tym, co możemy zobaczyć w Birr. Okazuje się, że jakiś olbrzymi teleskop. Słynny na cały świat, zbudowany przez jakiegoś hrabiego.

– A nim przejdziemy do innych tematów – dodaje nieoczekiwanie – cieszę się, że sprawa twojego brata dobrze się skończyła. Zapomnijmy o wszystkich kłopotach, postarajmy się dobrze bawić. Nigdy

nie byłem w Birr. To jedno z tych miejsc, gdzie trzeba się wybrać specjalnie, bo nie leży po drodze skądś ani dokądś.

W pewnym sensie ucieszyło mnie takie gładkie zamknięcie sprawy Jamesa. Ale z drugiej strony i niezbyt mnie zachwyciło.

Fiu i po sprawie. Ot, tak. James to człowiek, ma uczucia. Nie skomentowałam tego, bo przecież Ken wyświadczał mi prawdziwą przysługę. Całkiem sporą.

– Rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o Birr – odzywam się.

Bujam. Jak już wam wspominałam, nie miałam zielonego pojęcia o Birr, choć sprawdziłam na mapie, gdzie leży.

Dzień był w sumie dość miły. Niby ciepło, ale słońce ani na chwilę nie wychynęło zza chmur. W samochodzie panowała duchota i nie kłamałam, mówiąc, że czuję się senna. A mimo to w głowie kłębiło mi się od myśli.

Próbowałam sobie wyobrazić, co powiedzieć, kiedy (jeśli) spotkamy rodzinę mamy, ale ilekroć już byłam bliska sukcesu, natychmiast przychodził mi do głowy kolejny argument, którym tamci mogą się posłużyć. Więc zaczynałam od początku, wreszcie jednak odpuściłam sobie i postanowiłam cieszyć się wycieczką.

Poczekać, aż dotrzemy na miejsce, i pozostawić sprawy własnemu biegowi.

Poważny błąd.

Znaki, które nam towarzyszyły, nie były dobre. Pierwsze, co zobaczyliśmy po wyjeździe z miasta, to zamieszanie na dużym skrzyżowaniu tuż przed dwupasmową drogą Naas. Mnóstwo policji, radiowozów, ciężarówki i samochody zawracane, kierowane w drugą stronę. Światła sztuka dla sztuki zmieniały się na zielone, czerwone, pomarańczowe, zielone, czerwone, pomarańczowe, bo nikt nie przejeżdżał. Na pasie zieleni między jezdniami stały zaparkowane samochody, kierowcy i pasażerowie wyszli na zewnątrz. Wszyscy patrzyli w tę samą stronę. Na czerwony samochód.

Jeden z policjantów kazał nam jechać poboczem, a gdy ruszyliśmy na światłach, zobaczyłam przód czerwonego samochodu, skierowany do Dublina i przykryty prześcieradłem.

Co znaczy, że w środku jest ciało bądź ciała. A choć się rozglądałam, nie zauważyłam niczego, w co czerwony samochód mógł uderzyć. Ani jednego zniszczonego albo skasowanego samochodu.

Może kierowca dostał ataku serca? Takie wyjaśnienie podsunął

Ken, który ciągle oglądał się przez ramię na miejsce wypadku, aż w końcu – skoro mowa o ataku serca – zaczęłam się obawiać, że i my będziemy mieć wypadek.

– Może – odparłam.

Niezależnie od tego, co się stało, dawno nie widziałam tylu policjantów. Ostatnio, o ile pamiętam, przy okazji zamieszek, które wybuchły u nas, gdy starły się dwa rodzinne gangi. Walki toczyły się godzinami na podwórzu, w bramach, a w końcu zebrało się tyle radiowozów na sygnale, że można było czytać w świetle ich kogutów.

Okazało się, że to nie był ani wypadek, ani atak serca, tylko brutalne morderstwo. W czerwonym samochodzie rzeczywiście znajdowało się ciało. Do wozu pojechało dwóch morderców na motocyklu i strzelili do reporterki, która miała zbadać środowisko dublińskich kryminalistów. Siedziała w samochodzie, czekając na zielone światła, a tu: bum!

Jeszcze przez wiele dni głośno było o tej sprawie w stolicy i całym kraju. Podejrzewam, że zrobiono wokół tego tyle szumu, bo chodziło o dziennikarkę, a nie o byle przeciętniaka. Zawsze mam mieszane uczucia, gdy śmierć polityka czy jakiejś osobistości uważa się za bardziej tragiczną niż śmierć zwykłego człowieka.

Nie znałam tej reporterki, bo staram się, I jak mogę, omijać krwawe historie w prasie – dość ich mam u siebie, cha, cha! – ale z tego, co przeczytałam i usłyszałam, wynikało, że była niezwykle dzielna. Już wcześniej postrzelono ją w nogę, grożono jej śmiercią, mimo to dalej pisała, i pewnie to wszystko złożyło się na szum wokół jej osoby.

Przyznaję, że może odwaga to właśnie ta druga strona medalu, o której trzeba pamiętać, gdy się mówi o prasie i dziennikarzach.

A mimo to chciałabym, żeby pozostali poszli śladem tej dziewczyny i zaczęli szukać prawdziwych historii, ! zostawiając ludzi takich jak my w spokoju. Cóż, każdy ma swój! punkt widzenia.

Ale jedno mnie zdziwiło, gdy usłyszałam o tej sprawie: że wszyscy byli tacy zaskoczeni. Politycy występowali w telewizji, twierdząc, że to atak na podstawy państwa, że tylko krok dzieli nasz kraj od popadnięcia w chaos itede. A czyż nie wiedzą, że w mieście co dzień ludzie giną od noża i kuli? Czyż nie to samo wydarzyło się parę tygodni temu na prowincji, gdy dokładnie w ten sam sposób zginął policjant?

Żaden z tych ludzi nie ma pojęcia, co to znaczyć żyć i wychować się w miejscach takich, jak to, w którym ja dorastałam.

Albo to, w którym teraz mieszkam. Wśród moich sąsiadów dziwnie brakuje polityków czy innych szcych. Powinno ich się zamknąć na parę tygodni w takiej dzielnicy. Kilka dni już by wystarczyło – każdy w moim sąsiedztwie pokazałby im, jak wygląda prawdziwe życie.

Choć z drugiej strony, wyobraźcie sobie: środek dnia, lato. Pięć kul. I miała dzieci, świeć Panie nad jej duszą.

Ale ponieważ wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy, przeżegnaliśmy się z Kenem Sheilsem, pocmokaliśmy pod hasłem: „Okropne; wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”, po czym ruszyliśmy dalej w swoją stronę.

Muszę przyznać, że nawet tam, a także i dalej po obu stronach autostrady – choć było tak blisko miasta – rozciągały cię cudowne widoki. Czerwone cętki maków, krowy po brzuch w żółtozielonych polach, drzewa i żywopłoty obsypane jasnym kwieciem. Ken wyjaśnił, że to głóg, a obecny rok jest cudownym rokiem dla głogu, dzięki wspaniałemu latu 1995 roku.

Następny problem pojawił się, gdy zjechaliśmy z głównej trasy, po czym okazało się, że droga do Birr jest wysypana grubym żwirem. Ken twierdzi, że właśnie tak wyglądają lokalne drogi: wysypuje się na nie wywrotki tłucznia, a potem niech przejeżdżające samochody go ubijają. Nie znosi tego, ponoć robią tak co lato, a to skutecznie załatwia lakier. Kawałeczki żwiru pryskają spod samochodów, uderzając w blacharkę twoją i mijanego wozu. „Nie wspominając już o tym, że i szyby się tłuką.

Ken pokazuje mi, co się robi w takiej sytuacji: przytyka się palec do szyby i to ponoć sprawia, że nie pęknie, nawet gdy trafi w nią odłamek. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, ale to skuteczne i wszyscy tak robią.

Już niedługo miałam poznać Kena Sheilsa z innej strony.

## **Rozdział 21**

Wszystko zaczęło się niewinnie. Podziwiałam śliczne ogródki pełne kwiatów, otaczające domki letniskowe. Posiadanie ogródka musi być cudowne. Wiem, mamy park, ale to nie to samo.

Właśnie mijaliśmy wyjątkowo ładny ogródek. Pokazuję go Kenowi, ale on tak się boi pojedynczych kamieni, że choć zwolnił

i wlecemy się z prędkością niecałych dwudziestu kilometrów na godzinę, nie oderwie wzroku od drogi.

– Mhm... – mruczy tylko. – Mhm...

W tym momencie dogania nas duża ciężarówka. Droga jest ciasna, nie może nas wyprzedzić, pozostaje tylko pełznąć za nami.

Kierowca naciska klakson.

Za pierwszym jazem – sygnał jest głośny jak syrena okrętowa –

omal nie wyskakuję ze skóry, ale Ken tylko czerwienieje na twarzy i mocniej zaciska ręce na kierownicy.

– Mam go gdzieś – mówi. – Za kogo on się ma?

Tutut! Znowu dźwięk klaksonu. Tamten siedzi nam już na ogonie. Jest tak blisko, że gdy się obejrzę, widzę skórę pomidora w jego kanapce, leżącej na desce rozdzielczej.

Ken mocniej ściska kierownicę – choć wydawało się to niemożliwe. Oświadczają, że nie da się zastraszyć, i – dacie wiarę?

– jeszcze bardziej zwalnia. Toczmy się tak wolno, że wskazówka szybkościomierza nawet się nie rusza. Facet za nami dostaje szału.

Tutut! Tuuuuuuu! Wygrywa na klaksonie całą symfonię.

Potem próbuje nas wyprzedzić. Ken przyśpiesza, na tyle, żeby doprowadzić kierowcę do szału, bo nie zmieści się przed traktorem, który pojawił się przed nami. W tym momencie już *W*

zaciskam ręce na fotelu. Wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Czuję to przez skórę. I czuję fale żaru bijące od Kena Sheilsa. Przysięgam.

Kierowca ciężarówki odczekał, aż minie nas traktor, potem nagle wyjeżdża zza nas i próbuje wyprzedzić. Ken przyśpiesza i zajeżdża mu drogę.

Tuuuuuuuuuu! Teraz kierowca ciężarówki uruchomił nie tylko klakson, ale i światła. Widzę ich odbłask w lusterku, ale boję się obejrzeć. Boję się też odezwać – w końcu nie znam Kena aż tak dobrze i jestem tutaj gościem.

Zakręt. Wyjechawszy zza niego, widzimy przed sobą rząd zaparkowanych na szerokim poboczu samochodów-domów.

Pomiędzy nimi stoją konie. Jeden z koczowników, dwunasto, trzynastolatek, ciągnie konia, usiłując przeprowadzić go z jednej strony drogi na drugą. Koń szarpie za postronek, lekko szamocze się z chłopcem. Oczywiście, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo jedziemy bardzo wolno, ale – zgadliście? – Ken gwałtownie hamuje.

Ciężarówka nie zdążyła i uderza w nas. Nie za mocno, ale tak, że poczuliśmy. I ten huk! Byliście kiedyś w pustej furgonetce, którą uderzył inny samochód?

Sam szaleje, ujada na cały głos.

Ken włącza światła awaryjne – to samo kierowca ciężarówki – i obaj wyskakują na drogę. Ja się



boję – zresztą to nie moja sprawa

– więc siedzę ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Nie wiem, gdzie podziąć oczy, bo z zaparkowanych samochodów wysypują się mężczyźni, kobiety i dzieci, żeby pogapić się na widowisko.

Jeśli odrobinę przesunę wzrok na prawo, w bocznym lusterku mogę oglądać scenę. Kierowca ciężarówki jest niski, krępy, z wielkim brzuszyskiem. Szturcha nim Kena i gdyby nie ono, pewnie stykałyby się nosami. Bez trudu ich słyszę, choć nie rozróżniam wyrazów. Obaj się wydzierają, ale słowa giną w ogólnym zamieszaniu. Zdaje się, że nieźle rzucają mięsem.

Do furgonetki podchodzi kobieta i puka w szybę. Odkręcam.

– Napije się panienka herbaty? – pyta. Na biodrze trzyma dziecko z najbrudniejszym nosem, jaki w życiu widziałam. Do otwartej buzi dziecka leją się dwa wodospady zieleni, ale ani ono, ani matka nie robią nic, by je powstrzymać. Słysząc, jak biedakowi rzezi w płucach.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. Próbuję się uśmiechnąć.

– To żaden kłopot, panienko – zapewnia kobieta. – Mam wrzątek. – Pociąga za klamkę. Uśmiecha się. Odsłania obrzydliwe, popsute zęby.

Do tej pory nawet nie wiedziałam, że jestem uprzedzona do koczowników. Ale teraz ogarnia mnie panika. Natychmiast myślę, że jeśli choć na chwilę opuszczę furgonetkę, zaraz ją okradną.

Wszystkie narzędzia Kena. Sam najwyraźniej podziela moje obawy. Skacze mi nad nogami i rzuca się do drzwi. Wyobraża sobie, że jest rottweilerem.

Chwytam go, próbuję przytrzymać, ale szarpie się i miota.

– Bardzo dziękuję – przekrzykuję psa. – Piłam przed wyjazdem, godzinę temu.

Sama siebie się brzydzę. Ta biedaczka chciała mi pomóc. Cóż, w tym momencie od razu wyobrażam sobie najgorsze. Skąd się to u mnie wzięło. Ja? Bigotką?

Nagle przy drzwiach wyrasta jakiś mężczyzna i odciąga kobietę. Wcale nie robi tego delikatnie. Burczy na nią i kobieta odchodzi.

Sam posyła za nimi jeszcze jeden, triumfalny szcęk – dałem wam do wiwatu, co? – po czym zeskakuje na miejsce i mości się na kocu.

W tym czasie za mną dalej szaleje burza. Zebrało się co najmniej ze trzydzieścioro gapiów, napawających się widowiskiem. Najwyraźniej to dla nich szczyt zabawy. Pamiętam, jak mama pouczała nas, byśmy się nie zachowywali jak włóczędzy. Teraz ci włóczędzy mogą z czystym sumieniem pouczać dzieci, by nie zachowywały się jak porządni obywatele!

Robi się korek, za nami dwa traktory, samochód z zagraniczną rejestracją i furgonetka. Że nie

wspomnę o chłopcu i koniu, ciągle szamoczących się na środku drogi.

Nadal patrzę przed siebie. Krowy Łagodne pagórki. Połacie ziemi uprawnej. Piękne kolory na polach i w ogródku odległego domu – nic dziwnego, że Amerykanie uważają Irlandię za kraj zieleni. Chciałabym być krową. Chciałabym być wszystkim, byle nie Angelą Devine uwięzioną w furgonetce, płonąca ze wstydu.

Wszystkim, byle nie towarzyszką tego sinego z furii mężczyzny, którzy drze się i klnie jak szewc. Pozostaje mi się modlić, by ci ludzie nie uznali mnie za jego żonę. Albo dziewczynę.

Wreszcie awantura cichnie i Ken wraca do samochodu po polisę ubezpieczeniową. Fiolet zniknął z jego twarzy, teraz jest kredowobiała. Boję się odezwać.

Gdy wraca do kierowcy ciężarówki, obaj bacznie sprawdzają nawzajem swoje dokumenty. Paru gapiów wyciera zderzaki obu samochodów, szacując straty, rozmawiając między sobą.

Kierowca zagranicznego wozu wysiada. Jest olbrzymi. Jakies metr dziewięćdziesiąt pięć. Nie mam pojęcia, jakim cudem wcisnął się do volkswagena golfa. Idzie do karawany i fotografuje samochody. Tamtym się to nie podoba, ale on jakby tego nie dostrzegął. Przy naszym samochodzie ustawiło się trzech chłopców i bacznie mi się przyglądają.

Dostaję zupełnej paranoi.

Co z tobą, Angelo? To ty pobiłaś rabusiów. Dublińskich rabusiów, w dodatku. Ci chłopcy nic ci nie robią, po prostu są wścibscy. Weź się w garść.

– Przepraszam – odzywa się Ken parę minut później, kiedy już w ślimaczym tempie podjęliśmy podróż po tłuczniu. Uderza dłonią o kierownicę. – Nie mogłem puścić mu tego płazem.

Milczę. Ciągle jeszcze nie otrząsnęłam się ze swojej reakcji na koczowników. Przecież znam takich i w Dublinie. Jedna z kobiet, która regularnie wpada na pogawędkę i herbatę, mieszka w przyczepie. Ale przed chwilą czułam się, niczym ryba wyrzucona na brzeg, nie miałam pojęcia, jak zareagować. Ta podróż okazuje się niezwykle kształcąca.

– Czy tył jest poważnie uszkodzony?

– Nie, pękło tylko światło stopu – odpowiada Ken. – Ale nie chodziło o to, lecz o bezczelność tamtego. Nie dam się zastraszyć.

Nikt nie będzie pomiatał Kennethem Sheilsem.

Przeżywam lekki szok, pierwszy raz do mnie dotarło, że Ken pochodzi od Kennetha. Widzę jednak, że znowu się nakręca, więc nie odpowiadam. Zerka w moją stronę.

– Mam nadzieję, że to ci nie popsuło wycieczki.

Ze zrozumiałych powodów dojeżdżamy do Birr w milczeniu.

– Chyba warto by kupić przewodnik – odzywa się, gdy hamujemy na dużym placu, najwyraźniej służącym jako miejski parking.

W żołądku mnie ściska, więc tylko kiwam głową. Podczas gdy Ken idzie do sklepu, wysiadam i opieram się o ciepłą maskę.

Rozejrzyj się, zapanuj nad sobą. Zwyczajna turystka. I pierwsze, co zauważam, to hotel Dooly's po drugiej stronie placu. Teraz dopiero mój żołądek wariuje. To tu. To naprawdę tu. Mama opowiadała o Dooly's. Jej rodzice tam często chadzali. Wraca Ken.

– Było tylko to. – Pokazuje folder z kwiatami na okładce i zdjęciem dwóch domów. – Sklepiarz powiedział mi, że w Birr mieści się jedyny poza Dublinem oddział Towarzystwa Georgiańskiego. Daje ci to coś?

Nie mogę wydobyć słowa. Guzik mnie obchodzą miłośnicy epoki georgiańskiej, nadal widzę rodziców mamy, którzy wybrali się do restauracji hotelowej. Herbata? Sherry? Co piją?

– Świetnie, dzięki – mówię, biorąc od niego folder.

Nie oddała mnie do adopcji, nie umieściła w sierocińcu, o tym teraz myślę. Pewnie dlatego musiała uciekać do stolicy. To musiało być dla niej straszne. Bardzo dużo jej zawdzięczam.

Spacerujemy z Kenem po – chyba? – głównej ulicy, O'Connell Street. Tak samo jak w Dublinie. Ciekawe, ile jest w Irlandii ulic o tej nazwie. Nienawidzę Daniela O'Connella. Ulubiony bohater narodowy okropnej Concepty. Wbijają nam do głowy każdy szczegół jego życiorysu.

Nadal jest ciepło, nadal pochmurno, choć słońce ciągle próbuje się przebić przez chmury. Pewnie przesadzam, ale wydaje mi się, że wszędzie czuję obecność mamy. Czy zaglądała do tego sklepu pończoszniczego? Wygląda, jakby od lat się nie zmienił. A co z tym sklepem po drugiej stronie ulicy? Ci ludzie, gawędzący tu i tam na ulicy, byłiby jej rówieśnikami, gdyby żyła. Czy ją znali?

Mijając ich, nastawiam ucha i słyszę, że rozmawiają o zabójstwie dziennikarki na wylocie trasy Naas, i tak odkrywamy z Kenem wyjaśnienie tajemnicy. Przeszywa nas dreszcz. Biedaczka, świeć Panie nad jej duszą, jeszcze parę minut przedtem, nim mijaliśmy jej wóz, żyła i nuciła pod nosem.

Dotarliśmy do końca ulicy zamkniętej innym, mniejszym placem. Stoi tam słynny pomnik męczenników z Manchesteru.

Wielki Boże, jeden z nich, ten z Cork, liczył sobie zaledwie dziewiętnaście lat. Rówieśnik Jamesa. Skazany na śmierć. Od kuli? Na szubienicy? Wyobrażam sobie, co czuł tamtego ranka po przebudzeniu. Jeśli w ogóle spał. Mam nadzieję, że nie napisał

listu do matki. To by ją dobiło. Wiem, że gdyby James napisał do mnie w wigilię swej egzekucji, nie potrafiłabym tego przeczytać.

Pewnie wolałabym się zabić niż przeczytać.

Co za myśli chodzą mi po głowie? Ten sklep bławatny i z artykułami żelaznymi mogły należeć do rodziców mamy. Na żadnym nie widnieje nazwisko Devine, ale to bez znaczenia.

Może nigdy nie umieszczano szyldu z nazwiskiem. W Dublinie sklep Clery'ego nadal tak się nazywa, choć od lat nie należy do rodziny Clerych.

– To pewnie zamek. Ten z teleskopem... – Głos Kena zadudnił

mi w uszach jak grzmot.

– Co?

– To pewnie ten zamek. – Pokazuje masywny, kamienny budynek w głębi ulicy, z flagą na maszcie, otoczony wysokim szarym murem.

Co mnie obchodzi jakiś tam zamek? Chyba o nim wspominała, ale nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Na pewno nic nie mówiła o teleskopie – to bym zapamiętała. (Właściwie dość dziwne, że nie wspominała o zamku, przecież pochodziła z protestanckiej rodziny).

– Tak, to pewnie on – odpowiadam i natychmiast odwracam się, żeby zawrócić na O'Connell Street, do samochodu. Czy Ken się wreszcie zamknie?

– Nie chcesz go zwiedzić? – Dogania mnie. Najchętniej bym się na niego wydarła. Chcę, żeby zniknął.

Zachowuje się, jakbym była zwyczajną turystką, jakbym chciała po prostu zwiedzić Birr.

Zaciskam zęby. Pamiętaj, to on zrobił ci grzeczność. Skąd może wiedzieć, skoro mu nie powiedziałaś? Zmuszam się do uśmiechu.

– Muszę odkupić ci benzynę.

Patrzy na mnie, jakby mi wyrosła druga głowa.

– To ropniak – mówi bardzo wolno. Chyba myśli, że postradałam rozum. Cóż, postradałam.

– Słuchaj r zaczynam – mam nadzieję, że się nie obrazisz ani nie poczujesz dotknięty, ale ten wyjazd okazał się dla mnie trudniejszy, niż myślałam.

Marszczy brwi i uświadamiam sobie, że sądzi, iż chodzi o jego obecność.

– Nie, nie ty stanowisz problem – uspokajam szybko. – Tylko sam przyjazd tutaj, pierwsze zetknięcie z miastem. Wyją .

śnię ci to kiedyś. Bardzo byś się pogniewał, gdybyśmy się rozstali na jakieś pół godziny i sama bym się tu pokręciła?

Poszedłbyś sobie na drinka albo na kawę. Po drodze zauważyłam bardzo miłą kawiarenkę.

– Jasne – zapewnia – oczywiście. W takim razie spotykamy się za pół godziny... Przy samochodzie. – Odchodzi i znika w kafejce.

Widzę przez okno, jak wybiera ciastko zza przeszklonej lady.

Nawet z zewnątrz obstawiam, że to całkiem niezły lokal – a znam się na delikatesach.

Nadal stoję po drugiej stronie ulicy, udając, że czytam broszurkę: „Birr: miasto z dziedzictwem”. I co teraz? Oto skutki braku planu. Przecież nie zaczepię przechodnia: „Znał pan może Rose Devine? Gdzie mieszka ktoś z jej rodziny?” Stoję przy sklepie bławatnym, więc zaglądam do środka. Całkiem ładne rzeczy. W środku nie ma klientów, tylko trójka, która wygląda na właścicieli sklepu albo przynajmniej jego pracowników. Stoję przy drzwiach, próbując się zebrać na odwagę.

Może pójść do tego z artykułami żelaznymi po drugiej stronie?

Ale nie, panuje w nim duży ruch. Wszyscy usłyszą pytanie, będą się gapić.

Wolno zawracam do furgonetki i wtedy spada na mnie olśnienie. Tuż obok miejsca, gdzie zaparkowaliśmy, widziałam komisariat. Policjanci wiedzą o wszystkim, pomogą mi. Spytao Devine'ów, przedstawię się jako daleka krewna. Zastanawiam się, czy nie naśladować amerykańskiego akcentu, ale dochodzę do wniosku, że nie będę robić z siebie idiotki.

Jak się domyślacie, w mojej obecnej sytuacji komisariaty policji przyprawiają mnie o dreszcze, więc wejście tam wymaga ode mnie prawdziwej odwagi.

W środku zamieszanie, dzwonią telefony. I na dzień dobry niepowodzenie: młody policjant na służbie nie ma zielonego pojęcia, kim mogą być Devine'owie. Jest nowy. Udaje się do na konsultacje do starszego kolegi, który z nim wraca. Ten wygląda identycznie jak policjanci w starych, czarnobiałych irlandzkich filmach telewizyjnych. Pulchny, szpakowaty, o miłej bystrej twarzy.

– Dzień dobry – wita się. – Kto pyta o Devine'ów?

– Jestem krewniaczką z Dublina – mówię. – Wstąpiłam tu przejazdem i pomyślałam, że ich poszukam.

– Jak się pani nazywa?

– Angela. Angela Devine.

Spojrzenie, jakim mnie mierzy, każe się domyślać, że dokładnie wie, kim jestem. Serce zaczyna mi walić jak młotem.

Ale skąd może wiedzieć? To niemożliwe. Staram się zachować twarz pokerzysty.

– Z których Devine'ów? – Nadal patrzy. Trzeba brnąć dalej.

– Jestem córką Rose – wyjaśniam najbardziej oficjalnym tonem, na jaki mnie stać.

– Aha. Rozumiem.

Czy dopiero teraz zaczęłam to dostrzegać, czy wszyscy Irlandczycy przy byle okazji mówią: „rozumiam”?

Policjant, który na moje oko jest w tym samym wieku, w jakim teraz byłaby mama, opiera się na kontuarze, jakby targował się o konia. Kręci głową, obleka twarz w smutek.

– Bardzo, bardzo smutne – mówi. – W mieście została już tylko jedna osoba o tym nazwisku, Adeline. Oczywiście, wie pani, co się stało? – Wwierca się we mnie wzrokiem.

Młodszy policjant udaje, że szuka czegoś w księdze na biurku.

Zamienił się w słuch. Zniżam głos i tak się składa, że musi poszukać czegoś na półce tuż przy mnie. Doprowadza mnie to do szału, ale nic nie poradzę.

Wyznaję starszemu policjantowi, że nie wiem, co się stało i że nigdy nie miałam kontaktu z moimi krewniakami.

Cmoka, znowu kręci głową.

– W takim razie może niech Adeline pani opowie.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie ona mieszka?

Znowu opiera się o blat i tłumaczy. Okazuje się, że moja ciotka, Adeline, mieszka niecały kilometr za miastem, nieco na uboczu, mijaliśmy skręt do niej w drodze do miasta. Domu nie sposób przegapić. Stoi przed nim jej stary morris minor. Tuż przy żywopłocie. Policjant kładzie ręce na masywnych udach.

– Choć teraz Adeline już z niego nie korzysta. Niech pani się nie spodziewa zbyt wiele. Skryta z niej osoba. – Wyciąga rękę. –

Witamy w Birr. I muszę powiedzieć, że przypomina pani matkę.

Tyle że ona była ciemniejsza.

Wychodzę z posterunku. Nic dziwnego, że biedna mama uciekła do Dublina. Nie ulega wątpliwości, że tu nie można .

kichnąć, żeby wszyscy nie biegli spytać, jak zdrowie.

Rozglądam się za Kenem Sheilsem. Potem uświadamiam sobie, że sama go wysłałam na kawę. Muszę się zdobyć na cierpliwość.

Może to i dobrze. Uspokoję się... Ale teraz, gdy jestem tak blisko...

Ciekawe, czy mieli szofera.

Raz oglądałam zdjęcie rodziców mamy. Ona była imponującą niewiastą: sztywno wyprostowana, imponujący biust, suknia zapięta pod szyję. Nie sądzę, by ktoś się odważył jej sprzeciwić w sklepie.

On był gruby, niższy od niej, z obowiązkowym wąsikiem.

Może sprawił to wąsik, może surowa mina i suknia matki mamy, ale wyglądali znacznie bardziej staromodnie, niż powinni. W

chwili robienia zdjęcia mogli liczyć sobie po trzydzieści parę lat.

Góra czterdzieści kilka. A to musiało być zaledwie ze czterdzieści lat temu. Lata pięćdziesiąte, na miłość boską, nie jakieś średniowiecze. Mimo to ci ludzie, moi dziadkowie, przywodzili na myśl czasy królowej Wiktorii albo Edwarda VIII.

Nie wiem, gdzie się podziało to zdjęcie. Jak wcześniej wspominałam, praktycznie nie posiadam żadnego dziedzictwa.

Może Adeline będzie miała więcej fotografii i trochę lepsze.

Była najmłodsza, więc teraz liczy sobie gdzieś koło pięćdziesiątki.

W 1996 roku to jeszcze nie starość, może nie zachowała urazy.

Może przywita mnie z otwartymi ramionami. Wreszcie będę miała rodzinę. Często się zastanawiałam, czy mam cioteczne rodzeństwo. Trzeba było spytać policjanta, czy Adelina jest mężatką... A jeśli Adeline wie, kto jest moim ojcem? Był? Jest?

Boże...

Chwila, chwila. Za bardzo się rozpędziłaś. Po kolei.

Przyjechałaś tu odnaleźć rodzinę. Rodzinę mamy. Nie pędź tak...

## **Rozdział 22**

Wyjechawszy zza zakrętu, widzimy morrisa minora.

Faktycznie, staruszek, kombi, jeszcze z drewnianą listwą z tyłu.

Farba się łuszczy, widać, że kiedyś był granatowy. Czuję pot spływający między łopatkami, ale nie ma to związku z faktem, że słońce wreszcie przedarło się przez chmury.

Ken wyłącza silnik. Wsiadamy. Ta cisza! Wokół tylko pola, trawa i żywopłoty. Nad zaschniętym

krowim plackiem buczą muchy, jakiś kilometr stąd jedzie samochód, ale wydaje się, jakby właśnie nas miał mijać. Powietrze tutaj jest znacznie cięższe niż w górach otaczających Dublin. Tamto lekko się wdychało, to przypomina gęsty syrop. Trzeba się przez nie przedzierać.

Idziemy do domu Adeline, betonowego budynku – wielkością bardziej przypominającego domek letniskowy – stojącego nieco na uboczu za wysokim, zaniedbanym żywopłotem. W ogrodzie żadnych kwiatów, tylko zapuszczony trawnik ze stokrotkami. Na podwórku kury i kaczki.

– Hej! – woła Ken. – Spójrz na nie! Niesamowite, prawda? –

Pokazuje parę imponujących kamiennych lwów, stojących po obu stronach drzwi. Zupełnie tu nie pasują, prawie całkiem zasłaniają drzwi. – Kogo właściwie odwiedzamy? – Spogląda na mnie.

Ciągle jeszcze się nie zdobyłam na przedstawienie mu mojej skomplikowanej sytuacji rodzinnej.

– Ta kobieta to zapewne moja ciotka, siostra mojej matki –

wyjaśniam. – Nie znam jej. Pewnie przeniosła te lwy sprzed starej rezydencji rodziców, w swoim czasie byli zamożni. – Brzmi to okropnie. Żałośnie. Dlatego szybko dodaję, że już wkrótce wszystko mu wyjaśnię. Trzeba przyznać: Kenowi nawet nie drgnęła powieka.

Brama otwiera się z jękiem pod naszym pchnięciem. Jeśli zaś chodzi o drzwi frontowe za parą lwów, Ken na oko szacuje, że nie otwierano ich zapewne od początku wieku. Farba? Nie zostało po niej ani śladu. Nie ma też kołatki ani dzwonka.

Może nikt tu nie mieszka. Ken spogląda na dach, co mnie drażni. Co takiego tam zobaczy? Latającą zakonnicę?

Zachowuję się niedopuszczalnie.

– Na pewno jest w środku – mówię. – Przy żywopłocie stał jej samochód.

– Zajdziemy od tyłu? – proponuje. – Pewnie korzysta z drzwi kuchennych, jak większość ludzi na wsi.... – Wtedy zauważa, że trzymam się z tyłu. – Wolisz, żeby poczekał w samochodzie? Nie obrażę się...

– Nie. Chcę, żebyś ze mną poszedł. Pójdziesz?

– Jasne. Chodźmy. – Obejmuje mnie. – Nie przejmuj się –

uspokaja. – Przecież nas nie zje. Pewnie będzie zachwycona, poznawszy siostrzenicę. – Ścisła moje ramię.

Obchodzimy dom i natychmiast ją dostrzegamy. Gumiaki, spodnie, stara kurtka nieprzemakalna i męska czapka. Ogród z tyłu domu jest dwa razy bardziej zaniedbany niż z przodu. Kopie i rzuca coś – chyba koński nawóz – na grządki warzywne. Wołam, ale nie reaguje. Dopiero zbliżywszy się, zauważam, że ma walkmana. Dwa przewody od słuchawek wymykają się spod czapki.



Obchodzę ją i stoję przed nią. Patrzy na mnie, jakby to było zupełnie naturalne, że w czerwcową środę na jej grządce, którą właśnie użyźnia końskim nawozem, pojawi się ktoś obcy.

– Słucham? – Odsuwa od ucha jedną ze słuchawek.

– Dzień dobry – mówię – czy pani Adeline Devine?

– Chwileczkę – odpowiada i puszcza słuchawkę. Przez chwilę słucha, potem stęka, jakby coś ją znudziło. Zdejmuje czapkę i zsuwa na szyję słuchawki. Szpakowate włosy wyglądają, jakby je ścięto kosiarką. Z powrotem nakłada czapkę. Przygląda mi się. –

Kim pani jest?

Wyjaśniam.

Chciałabym móc powiedzieć, że jakoś zareagowała, jak to się ogląda na filmach albo czyta w książkach. Na przykład przeciągle świsnęła albo dramatycznie wbiła łopatę w gnój. Czy cokolwiek.

Tymczasem ona zaczyna przerzucać nawóz.

– No i? – pyta. – Czego chcesz? Jeśli swojej części majątku, to marnujesz czas. Nic nie zostało, ten dom nie należy do mnie. – Ma dziwną wymowę. Nie angielską, ale irlandzką też nie. „T” brzmi miękko, czyli z irlandzka, ale jej „r” bezdźwięcznie, a więc tak, jak je wymawiają Anglicy. Głos jest głęboki, soczysty. Smrodu gnoju nie daje się wytrzymać.

Dalej kopie, jakby mnie tu nie było. Nie wiem, co powiedzieć ani zrobić.

– Chciałam porozmawiać – zwracam się do niej. – Niczego nie szukam. Po prostu chciałam was odwiedzić...

Teraz wreszcie wbija łopatę w ziemię.

– Nie przyjmuję gości. Nikogo nie proszę i nikt nie przychodzi.

Nie wiem, dlaczego postanowiłaś mnie odwiedzić. Tamta sprawa jest już zamknięta.

Czujnie mierzymy się wzrokiem. I nagle znika całe moje zdenerwowanie. „Tamta sprawa” dotyczy mojej matki, Rose. Nie będę akceptować takiego zachowania. Ani u niej, ani u nikogo.

– Przejechaliśmy z moim znajomym kawał drogi tylko po to, żeby cię poznać – odzywam się, jakbym była królową Anglii. –

Specjalnie zwolnił się z pracy. Odrobina uprzejmości by nie zawadziła.

Słyszę za sobą lekkie chrząknięcie Kena. Założę się, że nie wierzy własnym uszom.

– Proszę, proszę – mówi Adeline, ponownie zdejmując czapkę i wachlując się nią. – Na pewno nie

wrodziłaś się w matkę. Ona by nie odstraszyła nawet gęsi. A co to za znajomy? – Spogląda na Kena.

Przedstawiam go.

– Wejdźmy do środka, ale nie mam was czym poczęstować. –

Nie rusza się i wszyscy troje stoimy w miejscu, mierząc się wzrokiem.

– Za to my mamy termos i parę kanapek. – To Ken, spokojny i opanowany. – Przyniosę.

Moja ciotka Adeline i ja czekamy na jego powrót. Nie odzywamy się do siebie. Jej najwyraźniej to nie przeszkadza, więc i ja nie okażę, że czuję się niezręcznie. To moja ciotka, jestem jej siostrzenicą i mam prawo tutaj stać. Słuchamy bzyczenia much.

Bardzo wielu much.

Wraca Ken i we trójkę wchodzimy do domu. Dokładniej, do kuchni. Kolejne kury. Kurze łajna. Sterty angielskich gazet, najniższa warstwa żółta jak banany. Kuchenka gazowa na butlę, zlew z rodzaju tych olbrzymich porcelanowych mis, wspartych na nóżkach. Chyba nie ma elektryczności, ja przynajmniej nie zauważyłam niczego na prąd. Jedyne w miarę nowoczesny sprzęt to walkman, teraz dyndający przy pasku spodni Adeline.

Nie będę dłużej was trzymać w niepewności. Dzieje rodziny po wyjeździe mamy do Dublina są krótkie.

I nie, nie spytałam, kim był – albo jest – mój ojciec. Jeszcze nie. Wydawało mi się to nie na miejscu. Zresztą ciotka Adeline nie poruszyła tego tematu. Szczerze mówiąc, jej zachowanie było dziwne. Bo jak wy byście zareagowali, gdyby w drzwiach pojawiła się córka wasza siostrzenica, o której istnieniu nie mieliście pojęcia? Czy nie okazalibyście przynajmniej cienia ciekawości?

Tak samo beznamiętnie przyjmuje wiadomość o śmierci mamy.

– Nie dziwi mnie to – stwierdza. – Nie racz mnie ponurymi szczegółami, to i tak już przeszłość. Biedna Rose. Nigdy nie grzeszyła inteligencją. Ale słuchać innych też nie chciała.

Dzieje rodziny po wyjeździe matki wyglądały tak: dziadkowie wraz z pozostałą trójką dzieci dalej mieszkali w swoim ładnym domu w mieście. Prowadzili sklep. Po jakimś czasie Jeremy ożenił

się z bogatą dziewczyną z Republiki Południowej Afryki i przeniósł do Kapsztadu. Lily wyszła za mąż za angielskiego kapitana, którego poznała na balu kończącym polowanie w Galway, i przeprowadziła się z nim do Derbyshire.

Pewnej nocy w 1968 roku, gdy Adeline nie było w domu, wybuchł pożar. Dziadek zginął w płomieniach, babka dwa dni później zmarła w szpitalu. Nie byli ubezpieczeni, a po bliższym przyjrzeniu się sklepowej buchalterii okazało się, że byli tak zadłużeni, iż nawet bez pożaru niedługo by zbankrutowali.

Wierzycciele nie dopominali się o należności, najwyraźniej z szacunku dla rodziny, cieszącej się w mieście poważaniem.

– Dzisiaj to by było nie do pomyślenia – oświadcza ciotka Adeline tą swoją dziwną angielszczyzną, pochłaniając jedną z kanapek Kena i pijąc jego herbatę. – Dziś nikt już nie szanuje tradycji, nikt. (Co nie zmienia faktu, że – jak wcześniej nas poinformowała – dom należy do jakiegoś jej współwyznawcy, który nie żąda za niego żadnej opłaty). Ona utrzymuje się z zasiłku dla bezrobotnych. Wydawać by się mogło, że to upokarzające dla kogoś o jej pochodzeniu, tymczasem nie. Bez cienia ironii oświadcza, że po tym, co jej rodzina zrobiła dla tego zakichanego kraju, należy jej się każdy grosz. Prawdę mówiąc, wręcz powinno go być więcej.

Trochę zna się na koniach – jest w tym całkiem niezła, jak twierdzi, ktoś powinien ją zatrudnić, dobrze by wyszedł na jej radach. Ma własne jarzyny i jajka. Strząsa ze spodni okruchy z kanapek Kena. To, czego nie zje, sprzedaje: jajka od prawdziwych kur, nie hodowlanych, są teraz na wagę złota, nawet w Birr.

Nazwę miasta wymawia, jakby z trudem przechodziła jej przez usta.

Miała dwadzieścia jeden lat, gdy wybuchł pożar, czyli teraz ma ich zaledwie czterdzieści dziewięć. A wygląda na grubo po sześćdziesiątce. Od pogrzebu rodziców nie widziała Lily ani Jeremy'ego, a o ile wie z kartek bożonarodzeniowych, stanowiących ich jedyną formę kontaktu, żadne z nich nie dochowało się dzieci. Tak więc mogę zapomnieć o krewniakach.

Przynajmniej ze strony matki.

Wszystko to mówi jednym tchem, jakby chciała czym prędzej się z tym uporać. Albo bała się, że nie pozbędzie się nas, dopóki nie zrekompensuje nam gadaniem długiej podróży.

Ale teraz przynajmniej wiedziałam, kim jestem i skąd pochodzę.

Naturalnie, to wszystko osiadło we mnie znacznie, znacznie później. Z tej wizyty wynikło jednak parę dobrych rzeczy. Po pierwsze, teraz wiedziałam, że dlaczego nikt nie przyjechał na pogrzeb mamy. Dziadkowie już nie żyli, Lily i Jeremy byli daleko, a Adeline czytywała tylko angielską prasę, więc nie mogła zobaczyć nekrologu.

I miała zdjęcia, które mi dała.

– Weź je sobie, weź – zachęciła, oganiając się ode mnie jak od szarańczy. – Nie chcę ich, tylko zaśmiecają mieszkanie.

Kiedy wróciliśmy do Dublina, okazało się, że wypadki tego dnia jeszcze nie dobiegły końca. Padałam na nos ze zmęczenia i gdy Ken mnie wysadził, z trudem wdrapałam się na schody. Już czułam na ustach smak herbaty, miękki dotyk poduszki pod policzkiem...

Ale gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam na podłodze kartkę.

Ktoś ją wsunął do środka.

James leży w szpitalu. Miał wypadek.

Proszę się skontaktować z takim a takim numerem telefonu w szpitalu Mater Misericordiae, gdyż James miał wypadek. To wszystko, co było tam napisane. Nie rozpoznałam charakteru pisma i nigdy się nie dowiedziałam, kto wsunął tę kartkę. Pewnie Dwyer.

Dzięki Bogu, że w szpitalu Mater Misericordiae, to blisko nas.

Natychmiast tam popędziłam. Chyba wam mówiłam, że nie znoszę szpitali, i to prawda, ale w tej chwili zupełnie o tym nie myślałam.

Okazało się, że ciągle jeszcze leży na izbie przyjęć. Musiałam wybłagać widzenie z nim, bo nie życzą sobie, żeby odwiedzający kręcili im się pod nogami. Ale gdy wyjaśniłam, że dopiero się dowiedziałam, dali mi pięć minut.

Prawie go nie rozpoznaję. Śpi, ale nawet gdyby nie spał, nie mógłby otworzyć oczu. Twarz ma całą we krwi, z jednej strony spuchniętą. Wygląda jak pewien mężczyzna po długotrwałej chemioterapii, którego kiedyś pokazywali w telewizji. Wargi popękane, przypominające dwa balony. Leży pod kroplówką, jedno ramię spoczywa jakby w rynience.

Pielęgniarka, która ze mną weszła, wyjaśnia, że musieli pociąć skórzaną kurtkę – jej resztki leżą w nogach łóżka – bo ramię w rynience jest złamane. Liczne żebra też.

– Zostawię panią z nim na chwilę, ale proszę się nie przejmować jego wyglądem. Widywałam gorsze rzeczy. Pod naszym czujnym okiem szybko przyjdzie do siebie. Przyjmiemy go na oddział, gdy tylko zwolni się łóżko. Muszę jednak panią ostrzec – dodaje – że w tej chwili szukamy miejsca dla osiemnastu osób i może będziemy musieli go przenieść. – Zauważa mój wyraz twarzy. – Niech się pani nie martwi, wyślemy go taksówką i z pielęgniarką. – Zerka na niego, poprawia mu poduszkę. –

Będzie półprzytomny. Daliśmy mu środki uśmierzające.

– Co się stało? Spadł z motocykla?

– Musiałabym sprawdzić w jego karcie. Przywieziono go przed moją zmianą. Wiem, że karetka zabrała go gdzieś w pobliżu.

Ktoś woła ją z korytarza.

– Przepraszam – mówi. – Pięć minut...

Wybiega. I wtedy uświadamiam sobie, że motocykl stał przed domem, przywiązany do ogrodzenia. Co więcej, Ken zwrócił na niego uwagę, gdy mnie odprowadzał. Powiedział, że jak na taki stary sprzęt, jest w doskonałym stanie.

W pomieszczeniu panuje dziwna atmosfera. Zbyt spokojnie, zasłonki lekko się kołyszają, słychać ciche rozmowy lekarzy i pielęgniarek, stłumiony jęk, a właściwie bardziej westchnienie.

Ból i cierpienie przycichły. Oczywiście, bywałam już w izbie przyjęć, ale wiele lat temu, i podświadomie chyba spodziewałam się atmosfery rodem z „Ostrego dyżuru”: krzyki, trzaskanie drzwiami, zamieszanie. Ta cisza nieco wytrąca z równowagi. A do tego jeszcze ten okropny zapach: środków dezynfekujących –

czego akurat należy się spodziewać – ale również i inna, bardzo silna woń, jakby tkaniny. Pewnie szpitalnych bandaży. A może gipsu.

Przyglądam się Jamesowi. Ma szczęście, że trafił na salę, inni biedacy leżą na korytarzach. Głowę odwrócił w drugą stronę.

Uświadamiam sobie, że powinnam zadzwonić i powiedzieć, że nie zjawię się dziś w klubie. A potem myślę sobie: mam to gdzieś.

Niech mnie wyleją. Mocno powiedziane, jak na kogoś, komu ze zdrapki zostało tylko czterysta trzydzieści funtów.

Nie pytajcie.

– James – mówię cicho. – James...

Przekręca głowę i patrzy na mnie. A przynajmniej próbuje. To żalosne. Prawie nie widać oczu. Dwie nabrzmiałe czerwone szparki w zmasakrowanej twarzy. Chce coś powiedzieć, ale mu się nie udaje.

Znowu próbuje. Tym razem rozumiem. Nie miał dychy, żeby zapłacić, gdy go przywieźli. Mogę za niego założyć? Wyobrażacie sobie! Leży w takim stanie, a myśli wyłącznie o nędznych dziesięciu funtach. To jakiś podatek, który się płaci rządowi.

– Oczywiście, że założę – mówię. Potem: – Wdałeś się w bójkę?

Nie musi odpowiadać. Po jego reakcji widzę, że trafiłam w sedno.

Nie będę się rozwodzić nad tym, co powiedział ani jak zareagowałam. Założę się, że znowu mnie ubieglście. W skrócie: napadło na niego czterech typków. W uliczce odchodzącej od Dorset Street, niedaleko pubu, w którym się spotyka z kumplami.

Był w drodze do pubu, gdy tamci go złapali i zawlekli w uliczkę, gdzie przyparli go do muru i bili do nieprzytomności kijami golfowymi i baseballowymi. I chyba jeszcze młotkiem.

Nie znał ich. Ostatnie, co pamięta, to jak leżał na ziemi w kałuży krwi i jeden z nich pochylił się i poradził, by ich sobie dobrze zapamiętał. Że są obywatelami, którzy pragną sprawiedliwości. A tu sprawiedliwości nie stało się zadość.

I że dla własnego dobra powinien się wynieść z Dublina.

Ma szczęście, że żyje. Młotek.

Liczę, że zrozumiecie, jeśli wam powiem, iż byłam wstrząśnięta, ale nie zdziwiona. Chyba teraz powinnam wam z grubsza zrelacjonować, co się działo w prasie.

Niestety, wrzucenie niedzielnych gazet do kosza niewiele dało.

Poniedziałek i wtorek były jeszcze gorsze.

A to dlatego, że Rosemary Madden zgodziła się udzielić wywiadu. W poniedziałek rano, dwa dni przed wyjazdem do Birr, wystąpiła w „The Gay Byrne Show”.

Program prowadził Joe Duffy, nie Gay, i rozmawiał z nią tym charakterystycznym przytłumionym głosem, jakim mówią, gdy trafia się prawdziwa sensacja. Siedziałam, słuchając, jakbym to nie była ja. Z pokoju Jamesa nie dobiegał żaden odgłos, choć trzyma tam swój radiomagnetofon i równie dobrze też mógł

słuchać. (Tamtego ranka, gdy zawołałam go po powrocie z pracy, nie wstał).

Ściszyłam radio i siadłam tuż przy odbiorniku. Byłam jak sparaliżowana. Nie wierzyłam własnym uszom. Opowiadała o Jamesie, nazywała go bestią. Jej życie legło w gruzach. A wszystko to w cichym szmerze radia.

Jej zdjęcie pojawiło się na pierwszych stronach poniedziałkowych popołudniówek. Obok niego dyżurna fotografia Jamesa z opaską na oczach.

Wtorkowy ranek, pierwsza strona we wszystkich gazetach.

1 w środku. (Tym razem przeczytałam). I cały dzień udzielała wywiadów w radiu.

Wszystkie wywiady i artykuły sprowadzały się do jednego.

Rosemary zasypywano wyrazami współczucia, do jej domu napływały bukiety kwiatów i maskotki. Ludzie zapraszali ją do siebie na wakacje. Jedno z biur podróży zaoferowało jej dwutygodniowy wyjazd na Majorkę. Politycy i osobistości życia publicznego dzwonili z wyrazami troski. We wszystkich relacjach opisywano, że „oczy ma pełne łez, ale walczy”. Powtarzano, że jeszcze nie podjęła decyzji, czy odwoływać się od decyzji sądu.

Wywiady stały się coraz obszerniejsze. Organizacje kobiece wpadły w szal. Wszyscy czekali w kolejce do wywiadów, by dać wyraz swemu obrzydzeniu. Żądano dymisji ministra sprawiedliwości, domagano się kontroli nad sędziami.

Przesłanie nie ulegało wątpliwości. James musi zapłacić.

Od czasu do czasu pojawiały się jakieś wzmianki, ten i ów szeptał, że trzeba uważać na prawa jednostki i że nie należy przesadnie reagować na jeden, odosobniony przypadek, ale byłam tak przygnębiona, że nie zwracałam uwagi na te komentarze. Nie znałam autora żadnego z nich, tonęły w morzu powszechnego oburzenia.

Tego ranka, gdy pojechałam z Kenem do Birr, w „Irish Timesie” w rubryce listów od czytelników umieszczono opinie na temat kar dla gwałcicieli. W jednym z listów kobieta pisała, że warto by zorganizować ogólnokrajową kwestę, by Rosemary najęła najlepszych prawników w kraju i odwołała się do Trybunału Europejskiego. Inna z kolei twierdziła, że za odwagę Rosemary, która wystąpiła publicznie, należy jej się honorowe obywatelstwo stolicy.

Najbardziej wstrząsnął mną list, w którym napisano, że Jamesa powinno się wykastrować. Autor proponował, że osobiście się tym zajmie.

## Rozdział 23

– Słuchaj, James – mówię do niego, gdy leży na ostrym dyżurze – nie daj się zastraszyć. Odpocznij teraz, prześpij się.

Dowiem się, gdzie zostaniesz umieszczony, i jutro z samego rana cię odwiedzę. Mam gdzieś pory widzeń, wpuszczą mnie. Znajdę kogoś, kto nam pomoże. Naprawdę pomoże. Tamtym draniom to nie ujdzie płazem. Moja w tym głowa.

Sama nie wiedziałam, co mówię, ale jedno nie ulegało wątpliwości: muszę coś zrobić.

– Nie – odpowiada – nie. Zostaw to. Tylko pogorszysz sytuację.

Wstaję.

– Już więcej nic złego ci się nie przytrafi. Obiecuję. A teraz spróbuj się przespać.

Pochylam się i całuję go w czoło. Nie robiłam tego, od kiedy skończył siedem lat, ale nie odpycha mnie. Szybko się odwracam i wychodzę. Tak we mnie kipi, że nawet nie płaczę.

Na ścianie przy wyjściu z pogotowia wisi automat, jednak – co było do przewidzenia – właśnie korzysta z niego jakaś kobieta.

Czekam. Myśli kłębią mi się w głowie. Kipię z gniewu. James i ja zapłaciliśmy już za jego postępek. Zapłaciliśmy w każdy możliwy sposób. Spójrzcie na nas. Spójrzcie na jego zmasakrowaną twarz.

Jestem zupełnie inną osobą niż ta, która w górach otaczających Dublin – czy to naprawdę było zaledwie cztery, pięć dni temu? –

zastanawiała się nad ucieczką do Anglii. Jeszcze czego. Będziemy walczyć.

Kobieta przy automacie usiłuje się umówić z kimś, kto ma ją odebrać. Jej rozmówca najwyraźniej nie ma pojęcia, gdzie znajduje się szpital Mater Misericordiae, a co dopiero izba przyjęć. Do tego kobieta zupełnie sobie nie radzi ze wskazówkami.

– Nie... Chwileczkę... Musisz przejechać przez most O’Connella, jechać O’Connell Street, najlepiej dotrzeć tu północną obwodnicą... Choć nie, zaraz... A może lepiej od strony Eccles Street? Znasz Eccles Street? A wiesz, gdzie jest Dorset Street? Pamiętasz, gdzie kiedyś była Plaża Cinerama?

Teraz mieści się tam muzeum figur woskowych...

Mam ochotę jej przywalić.

Wreszcie się rozłącza. Wykręcam numer Patrice'a Murphy'ego.

Chyba nie muszę dodawać, że znam go już na pamięć.

Włącza się automatyczna sekretarka. Zapomniałam, która jest godzina. O tej porze wszyscy już dawno wyszli z biur.

Zastanawiam się, czyby nie zatelefonować do niego do domu, ale postanawiam, że nie. Nagrywam wiadomość, że zadzwonię jutro z samego rana. I że to bardzo pilne.

Idę zapłacić cholerną dychę w biurze. Okazuje się, że mam przy sobie tylko siedem funtów z groszami. Nie robią problemu.

Prawie.

– Bierzecie czy nie? – mówi nowa Angela Devine. Po czym wymaszerowuje z gabinetu.

Kiedy wracam do domu, mieszkanie wydaje się puste jak nigdy. Wiadomość o Jamesie nadal leży na stoliku przy drzwiach, tam gdzie ją zostawiłam. Przypominam sobie, jak kiedyś w programie Gaya jakaś kobieta wyrzekała na swoje bałaganiarskie dzieci, a on jej na to: pewnego dnia pani posprząta i tak już zostanie, bo dzieci się wyprowadzą. Więc niech pani się nimi cieszy, póki je pani ma. Dopiero teraz rozumiem, co miał na myśli. Marzę, by James tu siedział, giry przerzucone przez oparcie mojej kanapy, w ręku torebka chipsów. Nawet chciałabym zobaczyć włączoną MTV. I żeby spowijał mnie obłok dymu.

Krążę po mieszkaniu, co nie zajmuje wiele czasu. Zdejmuję pościel z łóżka Jamesa. Skoro i tak go nie ma, przynajmniej ją upiorę. Kiedy pokój jest już na tyle uporządkowany, na ile się da bez naruszania jakichś bezcennych śmieci, wracam do salonu.

Zdjęcia od Adeline też leżą tam, gdzie je zostawiłam, na telewizorze.

Biorę je, znowu przeglądam. Nadal nic, żadnych uczuć. Jak za pierwszym razem. Sądziłam, że zacznę się mazać. Może nie.

przemawiają do mnie, bo są takie sztamkowe: mama z siostrami i bratem jako dzieci na wakacjach w Bangor, w hrabstwie Down. Mama na osiołku. Mama z Adeline w niedzielnych sukienkach. Miło mieć te zdjęcia, ale trudno dostrzec w twarzy dziecka swoją matkę. Tak to bywa z historią: odchodzi i umiera. Spytałam Adeline, czy nie ma zdjęć z późniejszego okresu, ale staliśmy już w drzwiach i najwyraźniej nie mogła się doczekać, żeby się nas pozbyć. Trzymała słuchawki walkmana, bawiła się nimi, marząc, by z powrotem znalazły się na miejscu, czyli na jej uszach.

– Nie – pokręciła głową – to wszystkie. Po wyjeździe Rose matka wyrzuciła wszystko, co się z nią wiązało, na śmietnik, na kompost.



W tym momencie przeżyłam straszny szok. I nie tylko dlatego, że potwierdziła się moja wizja babki palącej rzeczy po mamie.

Chodziło raczej o to, że to postępowanie było takie... niemaczone.

Gdyby spaliła jej rzeczy, można by to podciągnąć pod działanie w przypiływie gniewu: oto córka złamała przykazania. Ale na śmietnik, gdzie to potem miesiącami gniło? Był w tym jakiś chłód.

Adeline bacznie mi się przyjrzała, wzruszyła ramionami.

– Niewiele wiesz o Rose, co?

– Wiem o niej bardzo dużo od dnia, w którym przysłałam na świat – odparowałam zimno. – W końcu przeżyłam z nią siedemnaście lat. – Czekałam. Może okaże ciekawość.

Ani odrobiny. Zerknęła na zegarek, włożyła jedną słuchawkę do ucha.

Niesamowite, prawda? Wyobrażacie sobie, że można aż tak wymazać z życia własną siostrę? Patrzyłam na Adeline i pierwszy raz w życiu czułam się takim intruzem. Mieszkałyśmy na różnych planetach. Adeline żyła tym, co właśnie płynęło jej do uszu.

Mruczała:

– Szybciej, szybciej... – Najwyraźniej jakieś wyścigi konne.

Ken przelotnie się do mnie uśmiechnął i wziął mnie pod rękę.

Tak wyszliśmy. Nie sądzę, żeby świeżo odnaleziona ciotuchna nawet to zauważyła. Nim zniknęliśmy za domem, jeszcze raz się obejrzałam: wracała na grządkę. Szpakowaty policjant słusznie mnie ostrzegał. Bądźmy litościwi, może tak przywykła do samotności, że stała się nieco ekscentryczna.

Nieco?

Policjant. Kiedy mijaliśmy kamienne lwy, wpadło mi do głowy, że to jego powinnam spytać o ojca. W końcu znał moją matkę.

Wyglądało na to, że wie wszystko o członkach rodziny Devine'ów

– czyli istnieje prawdopodobieństwo, że wiedział o wszystkim, co się działo w Birr w ciągu ostatnich trzech, czterech dziesięcioleci.

Nie chciałam prosić Kena o podwiezienie na komisariat, zresztą pewne sprawy są zbyt osobiste. Poza tym i tak nadużyłam już jego dobroci. Dlatego policjanta odłożyłam na przyszłość. (Muszę przyznać, że poczułam lekki dreszczyk. Pierwszy raz pojawiła się przede mną szansa. Maleńka, ale realna... )

Trzeba podkreślić, że Ken Sheils zachował się wspaniale. Nie otworzył ust, z wyjątkiem powitania,

gdy przedstawiałam go Adeline. Ale przez całą rozmowę zachowywał ten sam wyraz twarzy: zaciekawiony, ale nie wścibski, rozumiecie, co mam na myśli. Jak ktoś, kto nie chce się okazać nieuprzejmy, ale wtrącać się też nie zamierza. Uśmiechał się, gdy ja bądź Adeline się uśmiechałyśmy, potakiwał i przybierał uważną minę, gdy któraś z nas spojrzała w jego kierunku. Miał też dość taktu, by powstrzymać się od komentarzy, nawet gdy już od niej wyszliśmy i znaleźliśmy się w furgonetce.

Nie wiem, co o nim myśleć. Ale w tym momencie tyle mam na głowie i sercu, że raczej nie pozostaje mi wiele czasu do namysłu.

Kiedy po paru godzinach podjeżdżamy pod moją kamienicę, przez chwilę jeszcze siedzimy w furgonetce. Sam wskakuje mi na kolana, mości się, układa i zasypia.

– To mi pochlebia, nie każdy pies czy kot to robi, prawda?

– To znaczy, że uznał cię za przyjaciela. Albo – w najgorszym razie – że nie stanowisz zagrożenia dla jego pana. Niezwykle kojące.

– Zaprosiłabym cię na kawę – zwracam się do Kena – ale padam na nos.

– Następnym razem? – Uśmiecha się do mnie, jak to on.

– Na pewno. Słuchaj, pora, żebyś dowiedział się wszystkiego o mnie i o mojej sytuacji. Na pewno po dzisiejszym dniu płoniesz z ciekawości. Jestem ci winna wyjaśnienie.

– Wcale nie – odpowiada. – Skądże. Powiesz mi, gdy uznasz to za stosowne.

Drapię Sama za uszami, sierść ma miękką jak kordonek.

– To nie będzie miła opowieść.

– Chodzi ci o Jamesa? – Teraz i on gładzi Sama. Bardzo uważamy, by nasze ręce się nie zetknęły. Sam zaś... Gdyby by kotem, mruczałby.

– Nie tylko o Jamesa. Właściwie nic o mnie nie wiesz. Ani gdzie pracuję...

– Nie musimy się śpieszyć. – Przestaje głaskać Sama, który wygląda na urażonego, wyciąga się i lekko go liże. – Mamy mnóstwo czasu, Angelo – dorzuca cicho. – Prawda?

Nie wiem, czy to zmęczenie, czy skutek nieustannej huśtawki emocjonalnej, ale ogarnia mnie uczucie prawdziwego szczęścia.

Krótkie, ale prawdziwe. W środku tego wszystkiego, co się wokół mnie działo.

– Tak, mamy, Ken.

I oto nadozdi kolejna taka chwila, przerwa, w której wszystko może się zdarzyć. I jeszcze nim Ken to zrobi, doskonale wiem, co nastąpi. Pochyli się i mnie pocałuje.

I rzeczywiście. To leciutki pocałunek, muśnięcie policzka. Ale bardzo miły, nasz pierwszy.

– Odezwij się, gdybyś czegoś potrzebowała – mówi. – Już wiesz, gdzie mieszkam.

– Dobrze – odpowiadam. – Dzięki. – Też lekko go całuję. –

Dziękuję za wszystko, za dzisiaj i wszystko.

– Bardzo proszę. – Uśmiechamy się do siebie. Zdejmuje mi Sama z kolan, wysiadam. Patrzy za mną, gdy dochodzę do drzwi, więc odwracam się i macham mu na pożegnanie.

A potem, oczywiście, znajduję wiadomość o Jamesie i pędzę do szpitala.

Kiedy już uporządkowałam czyste mieszkanie, tak że chciało mi się wyć, poczułam, że dłużej w nim nie wytrzymam. Muszę wyjść. I przestałam odczuwać zmęczenie. Przynajmniej nie na tyle je czułam, by zasnąć.

Lecz gdy wychodzę na ulicę, uświadamiam sobie, że właściwie nie mam gdzie się podziać. Przypominam sobie o klubie i postanawiam, że mimo mojego wcześniejszego buntowniczego nastroju, powinnam jednak zatelefonować. Nawet tak późno.

Niech mnie wyleją, ale muszę dać im szansę znalezienia na dziś zastępstwa. W końcu to nie ich wina, że moje życie stanęło na głowie.

Więc dzwonię. Szefa nie ma. Zostawiam wiadomość jednej z dziewcząt. Tchórzliwie, ale nic mnie to nie obchodzi.

Odwiesiwszy słuchawkę, stoję niezdecydowana w budce. Co teraz? Milion lat nie byłam sama w kinie i nie zamierzam od dziś zaczynać. Mogłabym się wybrać na któryś z moich słynnych spacerów, ale w dzisiejszym nastroju zrobiłabym krzywdę komuś lub czemuś, co by mi się nawinęło pod rękę.

Dzwonię do szpitala. Okazuje się, że znaleźli miejsce dla Jamesa i nie musieli nigdzie go przewozić. To dobra wiadomość, mógłby wylądować w Beaumont albo w drugiej części miasta, aż w St James, dokąd jedzie się godzinami. I zanim się zorientowałam, co robię, wykręciłam numer Patsy.

– Halo? – Odebrał Martin.

– Cześć, mówi Angela. Jest Patsy?

– Chwileczkę – burczy, ale to nic nowego, Martin zawsze burkliwie mówi, więc nie biorę sobie tego do serca.

– Cześć, Ange – zgłasza się Patsy. Ona też nie sprawia wrażenia uszczęśliwionej, widocznie się kłóca. Tak czy owak, nie zamierzam owijać w bawełnę.

– Patsy, muszę z tobą porozmawiać. Możemy się spotkać?

Natychmiast drzwi się zatrzasują. Niemal słyszę huk.

– Oooch! – Przeciągłe westchnienie. – Kiedy?

– Teraz. Natychmiast. Możemy? – Nie obchodzi mnie, czy sobie pomyśli, że jestem w desperacji. Jestem w desperacji.

– W tej chwili to nieco kłopotliwe – mówi. Milczenie. Potem: –

Za dwadzieścia minut muszę odebrać Maeve i Paulinę z gimnastyki, no i trzeba pomóc Darrenowi w lekcjach. Nie możesz poczekać do jutra?

Mam wrażenie, że zmyśla na poczekaniu, bo po prostu nie chce jej się wyjść z domu, ale idę na całość.

– Patsy, jesteś moją przyjaciółką. Jedyłą moją przyjaciółką.

Potrzebuję cię. Naprawdę.

Milczenie.

– Rozumiem... – Ostrożnie.

– Przepraszam, że ci tak komplikuję sytuację. Czy Martin nie może odebrać dzieci?

Milczenie. Potem:

– Jeśli to takie ważne... Poczekał, spytał. – Słyszę stłumione odgłosy, pewnie zasłoniła słuchawkę ręką. Nie rozróżniam słów.

Tuż obok budki przejeżdża z rykiem motocykl, dość podobny do maszyny Jamesa. Gdyby to był jego... Kiedy wydobrzeje i jakoś się wygrzebiemy z tego wszystkiego, nigdy więcej nie będę się czepiać jego motocykla. Nigdy więcej o nic nie będę się czepiać...

Ponownie odzywa się Patsy.

– Dobra, przyjadę od razu. Gdzie jesteś? Spotkamy się u ciebie?

Nie mogę znieść myśli o powrocie do pustego, czystego mieszkania.

– Nie – mówię – może gdzieś na mieście? W kawiarni albo barze? – Zgadza się, umawiamy się za dwadzieścia minut w barze szybkiej obsługi przy Dorset Street. – Dziękuję, Patsy. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Na razie – kończy.

Próbuję zabić czas w drodze do baru, ale dzieli mnie od niego tylko paręset metrów i nawet gdybym szła stopkami, zjawię się przed czasem.

Natychmiast po wejściu uderza we mnie fala gorącego powietrza bijącego od grilla. Cudowny zapach rozgrzanego tłuszczu, smażonej cebuli, soli i sosu winegret. Wiem, że nie powinnam się przyznawać, ale zawsze lubiłam atmosferę takich lokali. Tu nie ma lepszych i gorszych, zwłaszcza wieczorem, gdy większość klientów wypije parę piw. Tanie frytki to cecha charakterystyczna Irlandczyków. Może i pracuję jako „króliczek” i sprzątaczką, ale gdy wchodzę do barów typu Some Like It Hot albo Ninę Bite, jestem dokładnie tak samo dobra albo zła jak prawnik czy byle pijaczyna, albo wyższy urzędnik państwowy, siedzący obok mnie. Mogę być nawet sędzią.

Nie wspominajmy o sędziach.

Tego wieczoru w barze panuje spokój. Kobieta, prawdopodobnie bezdomna – ma charakterystyczny wózek, w którym gosposie wożą zakupy, wypchany reklamówkami. Parka –

nasto, albo dwudziestoparoletnia, najwyraźniej świeżo pokłócona, bo każde patrzy w inną stronę. Taksówkarz, pochłonięty lekturą wyników wyścigów konnych w „Daily Mirror” – poznaję go, parę razy mnie woził, kłaniamy się sobie. Młody chłopak w modnej koszuli bez kołnierzyka, kamizelce, lnianej marynarce, z telefonem komórkowym. Pewnie handluje narkotykami, zdradza go czujne spojrzenie. I przylizane na żel włosy.

Siadam twarzą do wejścia, by obserwować ulicę. Nie chcę myśleć. I tak już za dużo myślałam. Ale nie daje się tego uniknąć.

Dominuje jedna myśl: po tylu nadziejach i marzeniach, dlaczego właśnie tak skończyliśmy? Czuję się osaczona. Przecież nie zrobiłam nic złego, a mam wrażenie, że jestem przestępczynią.

Uświadamiam sobie, że się nad sobą użalam. W ten sposób bardzo pomogę Jamesowi, bez dwóch zdań. Sobie zresztą też.

Sięgam po kartę. Oczywiście foliowana. Wpatruję się w nią jak w relikwię. Hamburger z frytkami, fasola z frytkami, jajko z frytkami, parówki z frytkami, ryba z frytkami. Za nic nie tknę hamburgera, nie mam ochoty na chorobę wściekłych krów.

Litość nad sobą pcha się na pierwszy plan, przed kartę.

NAPOJE. Herbata, kawa, mleko, coca-cola, fanta.

Ku swemu przerażeniu czuję napływające do oczu łzy.

Natychmiast przestań, Angelo, rozkazuję sobie w duchu. Skup się.

DODATKI: frytki, pieczarki, fasola, pieczywo czosnkowe...

Nienawidzę pieczywa czosnkowego, po prostu go nienawidzę...

*Jak często – w nocy czy wśród wielu kształtów Smutnego dnia, kiedy zgiełk zaciekł, A nie dający nic, gorączka świata Uciskiem legły na bijące serce – Jak często w duchu wracałem do ciebie... \**

[William Wordsworth, „Z wierszy ułożonych kilka mil nad klasztorem Tintern, przy ponownym odwiedzeniu brzegów rzeki Wye podczas wycieczki 13 lipca 1798 roku”. Przełożył Czesław Miłosz.]

A to czemu tak mi się ni z tego, ni z owego przypomniało?

„Opactwo Tintern” robiliśmy do obrzydzenia, bo pan Elliott obstawiał, że ten utwór pojawi się na maturze. Miał rację i sama się zdziwiłam, jak znaczną część wiersza znałam na pamięć.

Pewnie dlatego przyszło mi to teraz na myśl, że Wordsworth pisze tu o swojej siostrze, Dorothy. Dokładnie tak samo jak z Jamesem i ze mną. Pierwszy raz mi to przyszło do głowy.

(Dziwne, że nie przepadam za poezją, powinnam, bo w końcu słoń nie nadepnął mi na ucho, wszak umiem śpiewać).

Widzę Patsy, przejeżdżającą obok baru. Samochód toczy się wolniutko, szuka miejsca do parkowania. Nie zastanawiałam się, co jej powiem. Nie zaplanowałam taktyki. Wiem tylko, że muszę z kimś porozmawiać. Z przyjaciółką.

– Cześć. – Zjawia się zadyszana Patsy. – Przepraszam, długo czekasz?

– Nie. Co zjesz? Ja stawiam.

Nie chce nic do jedzenia, tylko kawę.

– Na pewno? – Tak.

Wygląda na strasznie skrepowaną. Podchodzi kelnerka, zamawiamy. Od lunchu nic nie miałam w ustach, więc biorę dla siebie parówki z frytkami i herbatę.

– Zanim zaczniesz – odzywa się Patsy, ledwo kelnerka odeszła

– ja też muszę ci coś powiedzieć. Tak naprawdę bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Muszę z kimś pogadać. Właśnie kłóciłam się z Martinem – może zauważyłaś, że miał dziwny głos?

Potrzebowałam chwili na wyrwanie się z własnych zmartwień.

– Tak, zauważyłam – mówię.

– Pamiętasz tę historię z prezerwatywą, znaną w kieszeni Martina? Zmusiłam go do konfrontacji.

Milknie. Co mam jej powiedzieć? Pewnie w swoim czasie dojdziemy i do mnie.

Natychmiast czuję wyrzuty sumienia za taką myśl. Patsy wierci się, nie ulega wątpliwości, że jest tak

samo przygnębiona swoimi zmartwieniami, jak ja swoimi. A choć siedzimy przy stoliku dla niepalących, wyjmuję papierosa i zaciąga się nim, jakby od tego zależało jej życie. Zresztą chyba niebo się nie zawali. W tym lokalu ludzie nie czepiają się takich drobiazgów, jak przestrzeganie zakazu palenia w wyznaczonych miejscach.

## Rozdział 24

Okazało się, że ta kłótnia z Martinem nie różniła się od innych ich awantur. Patsy nadal nie wyjaśniła sytuacji, ale teraz jest pewna, absolutnie pewna, że Martin ją zdradza. I nie chodzi tu o przygodę na jedną noc.

W końcu udaje mi się wtrącić słówko.

– Skąd wiesz?

– Stąd, jak się wypiera. To dla niego coś ważnego. Gdyby to była przygoda na jedną noc, przyznałby się natychmiast, kiedy pokazałam mu prezerwatywę. Tymczasem on odstawia obrażonego, jakby to była moja wina. Twierdzi, że wyssałam to sobie z palca i sama kupiłam tę prezerwatywę, szukając pretekstu do awantury. Spytał, czy nie cierpię na napięcie przedmiesiączkowe, przepraszam za takie intymności. Albo czy nie zaczyna mi się klimakterium.

Jest na skraju łez. Widzę, że ręka z papierosem drży. Strasznie mi szkoda Patsy, wygląda okropnie. Postarzała się. Milknie, gdy przychodzi kelnerka z zamówieniem.

Daję Patsy czas na wzięcie się w garść i polewam frytki winegretem. W solniczce sól skamieniała, więc muszę odkręcić pokrywkę i wydłubać ją palcem. Nie mogę się doczekać, kiedy Patsy skończy i będę mogła jej opowiedzieć o swojej koszarnej sytuacji. Oto się nazywa dylemat!

Robię, co w mojej mocy, żeby jakoś się pozbierała. Daję się jej wygadać i wypalić, podczas gdy ja zjadam posiłek. Parówki okazały się nie najlepsze, odsuwam je po paru kęsach. Frytki za to

– niebo w gębie. Kiedy człowiek ma kłopoty, chrupanie frytek i słuchanie o cudzych zmartwieniach działa niemal kojąco.

Oczywiście, były symptomy, i teraz pluje sobie w brodę, że wcześniej się nie zorientowała. Nie tylko stara śpiewka o

„spotkaniach z klientami”, przeciągających się do późna w nocy.

Miotał się między zasypywaniem jej kosztownymi prezentami jednego dnia a czepianiem się każdego słowa nazajutrz.

Zauważyła, że często wchodzi na wagę łazienkową, wspomina o gimnastyce, zostawia krawat, nawet jeśli wkłada garnitur, a w czasie wspólnych zakupów wciąga brzuch, gdy przechodzą obok lustra. Poprosił, żeby na śniadanie dawała mu płatki.

Nie mogę jej podsunąć żadnego rozwiązania, to zupełnie jasne.

Przyznaję, że nigdy nie przepadałam za Martinem. Nie budził

mojego zaufania. Oczywiście, nigdy głośno się do tego nie przyznałam, nawet teraz, gdy Patsy wylewa wszystkie żale, mówi, jaki jest okropny. Nigdy nie wiadomo, za tydzień mogą sobie jeść z dzióbków, a ja okażę się wyrodną przyjaciółką.

– Wiem, że już wcześniej ci o tym mówiłam, Ange – ciągnie, gasząc na spodeczku papierosa. – Ale podejrzenia a pewność to dwie zupełnie różne rzeczy. Zupełnie. Człowiekowi zawsze się wydaje, że lepsza gorsza prawda... Dopóki jej nie pozna...

Zwiesza głowę. Zapala kolejnego papierosa. Przywołuję kelnerkę, żeby mi doniosła soli.

Zyskuję żelazną pewność, że myliłam się, sądząc, że pieniądze z występów idą na zachcianki Patsy, niepotrzebne bajery do kuchni. Absolutnie nie. Tak samo jak ja, wpłacała je na książeczkę. Oto jaka była pewna uczuć męża.

Oczywiście, teraz to się zmieni. Wyciśnie z niego ostatni grosz.

Doprowadzi go do nędzy. Nie ujdzie mu to płazem.

Pali drugiego papierosa i już nie tonie w rozpacz. Wygraża.

– No, dość już o tym draniu, przepraszam, że tak ci zawracam głowę, ale tylko przed tobą mogę się wygadać. Nie proszę o radę, Ange, tutaj muszę sama zdecydować. – Wyjmuje z torebki chusteczkę, wydmuchuje nos. – Przepraszam, trafiłaś na sam środek awantury. Pewnie teraz żałujesz, że w ogóle zadzwoniłaś.

– Mhm – mruczę z ustami pełnymi frytek. Potem zapewniam: –

Oczywiście, że nie żałuję. – Sama nie wiem, czy mówię zupełnie szczerze. Choć to chyba nieważne, bo pytanie należało do gatunku retorycznych.

Patsy przysuwa popielniczkę i gasi drugiego papierosa z taką zajadłością, jakby to była twarz Martina.

– Jak możesz jeść ten tłuszcz?

Zaplata ręce, opiera się o pseudoskórzane oparcie. Potem:

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać? Pewnie chodzi o Jamesa? Coś się stało? To znaczy, coś nowego?

Spokojnie słucha mojej relacji. Lecz na jej twarzy pojawia się ten dziwny, obojętny wyraz, którego się spodziewałam, ale liczyłam, że jednak go nie zobaczę. Mimo to mówię dalej –

rzeczywiście, lżej mi się robi, gdy wyrzucam z siebie ten ciężar.



Odczekuje, póki nie skończę.

– Jak długo będzie w szpitalu? Gdy mówię, że nie wiem, zapala trzeciego papierosa. Myśli.

Potem wylicza mi długą listę rzeczy, które powinnam zrobić.

Byłam już na policji? Powinnam tam iść jutro z samego rana.

Albo jeszcze lepiej dziś, kiedy tylko skończymy rozmawiać. Co powinnam im powiedzieć. I że ktoś musi mi poradzić, jak zabezpieczyć mieszkanie przed atakami...

I że James ma wygraną sprawę z napastnikami – niezależnie, co to za jedni; jakiego prawnika powinnam poszukać; nie darmowego, ale wynająć kogoś. Można się dogadać, na procent od odszkodowania, więc na dłuższą metę w ogóle by mnie nie kosztował. Ci opłacani przez państwo prawnicy są bardzo dobrzy, tyle że mają za dużo spraw.

Wszystkie jej rady są dobre, praktyczne, rozsądne, do niczego nie mogę się przyczepić. A mimo to nie opuszcza mnie wrażenie, że są za gładkie, za rozsądne.

Ślizga się po powierzchni. Równie dobrze mogłaby tak mówić o jakichś ludziach, których oglądała w telewizji.

– Powiesz mi, o co naprawdę chodzi, Patsy? – przerywam jej wywód o elektronicznych alarmach. – Tego wszystkiego dowiem się z ulotek albo na policji. Chcę z tobą porozmawiać jak z przyjaciółką.

Spogląda na mnie. Przesadne zdziwienie.

– Ja tylko chcę ci pomóc.

– Wiem. I każda twoja rada jest doskonała. Świetna. Ale nie usłyszałam ani słowa pociechy dla mnie albo dla Jamesa.

Odpowiedz mi na jedno pytanie. Uważasz, że zasłużył na to pobicie? Tak?

To się nazywa milczenie. Jest długie jak wieczność. Znacie to uczucie, gdy ciało nieruchomieje, jakby przestała w nim krążyć krew? Właśnie tak się czułam, czekając na odpowiedź. Wszystko wokół mnie odbywa się w zwolnionym tempie. Ku charz za kontuarem wrzuca na blachę mięso do hamburgera, syk i strzelanie tłuszczu huczy mi w uszach niczym huragan Charlie.

– Po prostu nie mogę – odzywa się w końcu Patsy. – Proszę, nie każ mi postępować wbrew sobie. Nie mogę udawać. Ale naprawdę jestem twoją przyjaciółką. Uwierz mi. Zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc. Pożyczę ci.... Dam ci pieniądze, pewnie ledwo wiązesz koniec z końcem: dodatkowe wydatki, James bez pracy...

Wstaję. Nawet gdybym żyła milion lat, nie potrafiłabym opowiedzieć, jak strasznie się wtedy poczułam. Mam wrażenie, że znalazłam się na kamieniu pośrodku morza i w którąkolwiek stronę spojrzę, wszędzie bezmiar szarej wody.

– Nie mamy już sobie nic do powiedzenia, Patsy, ale dziękuję za radę i propozycję.

Wyjmuję z torebki piątkę i zostawiam ją na stoliku.

– Współczuję ci w sprawie Martina. Naprawdę. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

Wygląda na równie przygnębioną jak ja.

– Co się stało? – pyta. – Nie odchodź, porozmawiajmy...

Zostawiam ją w barze. Nic więcej nie mogę już powiedzieć. Idę do siebie. Naprawdę rozumiem, co Patsy czuje. W tym mój problem. Zawsze dostrzegam punkt widzenia drugiej strony.

Uważa Jamesa za gwałciciela i koniec. Czarne, białe.

Jak mogę ją winić? Gwałt to straszne przestępstwo. Patsy ma prawo czuć to, co czuje, nie mogę od niej wymagać, by postępowała wbrew sobie. Ona zaś reaguje jak wszyscy w Irlandii.

Tak przynajmniej należy sądzić po listach od czytelników i audycjach radiowych, do których dzwonią słuchacze. Jak wspominałam, nie liczę garstki ludzi, którzy ostrzegają, że powinniśmy zachować ostrożność, żądając drakońskich zmian w prawie czy systemie sądowniczym.

Prawdziwi ludzie czują dokładnie to samo, co Patsy.

Nie mogę wrócić do mieszkania. Bez wahania omijam dom. A parę chwil później dzwonię do drzwi Kena Sheilsa.

Sam jest uradowany na mój widok. Miło widzieć, że ktoś cię kocha, nawet jeśli to kundel. Ken jest zaskoczony, ale w sympatyczny sposób. Właśnie miał się kłaść spać, ale oczywiście, mogę wejść, bardzo prosi...

Wtedy spogląda na moją twarz.

– Co się stało?

Nie mogę odpowiedzieć. Przez zaciśnięte gardło nic się nie przecisnie. Ken bierze mnie za rękę.

– Chodź, kochanie, chodź.

Mieszkanie jest czyste, ale bardzo skromnie urządzone, niemal jak klasztorna cela. Przynajmniej tak ją sobie wyobrażam.

Nowoczesnego zakonnika. Białe ściany, żadnych obrazów.

Beżowa wykładzina, beżowy fotel, mały stół i dwa krzesła. Stolik pod telefon, na nim tylko aparat i starannie ułożona sarta broszurek Kena. Stolik z telewizorem. Jedyne mocniejsze akcenty kolorystyczne to barwna okładka gazety z programem telewizyjnym i czerwony kocyk w koszyku

Sama, w rogu pokoju.

Zaskoczyło mnie to. Stolarz i złota rączka. Podświadomie spodziewałam się zgrabnych półeczek, stolików, ślicznych mebli kuchennych, które sam sobie zrobił. Tymczasem jego kuchnia jest urządzona na biało, zupełnie anonimowa.

– Napijesz się koniaku? – proponuje, usadowiwszy mnie w fotelu.

– Nie, dziękuję, ale jeśli masz trochę kawy... Szukałam tylko –

albo tak mi się wydawało – towarzystwa.

Ale najkrócej rzecz ujmując, poszliśmy do łóżka. Pewnie nie mieści się wam to w głowie – w takiej sytuacji? Mnie też nie.

Zwłaszcza że mówimy o kobiecie, która od czasów Toma Bennetta z nikim nie spała.

To stało się w sposób naturalny. Przyniósł kawę, objął mnie.

– Biedulko – powiedział.

Tyle wystarczyło. Wyrzuciłam z siebie wszystko: o liście, o Jamesie, o stosunku Patsy do całej sprawy. Potem przyznałam się, że nie pracuję w biurze, tylko jestem sprzątaczką. Powiedziałam o swojej pracy w nocnych klubach, ale dodałam, że z tym już skończyłam. I o sobotnich przedpołudniach w delikatesach.

– Właściwie nie twierdziłam, że pracuję w biurze – dodałam na koniec – ale nie obrażę się, jeśli nie będziesz chciał mnie więcej znać.

– Dopij kawę – powiedział łagodnie. – Na pewno nie chcesz nic mocniejszego?

Gdybym wtedy coś wypila, pewnie już bym nie przestała, piłabym do końca życia. Zostałabym alkoholiczką.

Przysunął się i objął mnie ramieniem. Nie było to łatwe, bo siedziałam w fotelu, więc musiał klęczeć na podłodze.

– Mówię poważnie, Ken, wcale bym cię nie winiła. Przyciągnął

do siebie moją głowę i pocałował mnie. Tym razem naprawdę.

Miałam wrażenie, jakbym od tygodni wstrzymywała oddech i wreszcie mogła wypuścić powietrze.

Gdy pocałunek się skończył, Ken znowu mnie objął i nazwał

niemądrą gąską, która przejmuje się tym, co inni sobie pomyślą, gdy się dowiedzą, że jest sprzątaczką.

– Wykonujesz znacznie pożyteczniejszą pracę niż ci, co siedzą nad papierkami.

Znowu mnie pocałował. To było cudowne.

Przynajmniej miał duże łóżko, ale sypialnia była równie ascetyczna jak reszta mieszkania. Z wyjątkiem roweru opartego o ścianę. Zaskakującego jasnoniebieskim kolorem. Pewnie musi go wwozić w windzie.

Nie rozumiałam swojego zachowania, jakbym to nie była ja.

Nie zastanawiałam się, co sobie o mnie pomyśli, czy nie uzna mnie za dziwkę, która sama mu się podaje na talerzu. Ani się nie bałam, że wydam mu się za gruba. Nie obchodziły mnie konsekwencje. Właściwie to, co Ken sobie myśli, też nie. Raz w życiu bez skrępowania wyrażałam swoje pragnienia, robiłam, co nakazywało mi pożądanie.

Kiedy kładliśmy się do łóżka, przyznałam się, jak dawno tego nie robiłam i że jestem zdenerwowana. A on na to:

– W takim razie masz sporo do nadrobienia, hm?

Seks z Kenem był inny, znacznie spokojniejszy, czulszy. I bardziej wyrazisty, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Może dlatego, że Ken był żonaty i przywykł do tego. Podobało mi się jego ciało, równie ładne jak Toma Bennetta (oczywiście, starsze), ale gładkie, jędrne, wspaniale umięśnione. Podejrzewam, że to zasługa pracy fizycznej.

Prosił, żebym została do rana, ale czułam, że muszę wrócić do siebie. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, po prostu miałam wrażenie, że spędzając z kochankiem całą noc, zdradzałabym Jamesa.

Zresztą nie mogłam się szwendać, a nuż okażę się potrzebna w domu. (Choć już w chwili, gdy to myślałam, zdawałam sobie sprawę, że to absurdalne. James nie mógł mnie potrzebować, na pewno spał jak suseł. Ale cóż, instynkt jest instynktem).

Ken pogodził się z tym i odprowadził mnie do domu. To było miłe, czułam się, jakbym należała do normalnego świata, gdzie normalni ludzie w normalnych sytuacjach robią normalne rzeczy.

Chociażby całują się na pożegnanie pod drzwiami, podczas gdy mijające ich męty gwizdzą i wykrzykują wulgaryzmy. Byłam w siódmym niebie.

Na koniec poradził, żebym zamknęła się na klucz i nikogo nie wpuszczała. Zajrzy rano upewnić się, czy wszystko w porządku.

– Ale ja bardzo wcześnie wstaję, mówiłam ci, że jestem...

Kładzie mi palec na usta.

– Wiem, ale nie ty jedna na tym świecie rano wstajesz. Ja też wcześnie robię pobudkę i zajrzę do ciebie koło piątej. Zadzwońię cztery razy, będziesz wiedziała, że to ja.

Przedziwne uczucie słuchać, jak ktoś tak do mnie mówi, nigdy przedtem go nie doświadczałam.

– Tak, Ken – zgadzam się pokornie – dziękuję... Olśniewa mnie. Troszczy się o mnie. Jakby był moim ojcem.

Pewnie tak się czuje kochana córka.

– Wyśpij się porządnie – mówi i jeszcze raz mnie całuje. Kładę się spać, ale nie mogę zasnąć. Jestem emocjonalną i fizyczną dętką, równocześnie jednak rozsadza mnie radość. Pewnie za sprawą seksu, myślę początkowo, ale potem zaczynam się zastanawiać, czy nie chodzi raczej o świadomość, że ktoś się o mnie troszczy. Daje mi ona poczucie przynależności.

Z całą pewnością Ken mi się podoba. Przynajmniej na razie.

A potem, tak jak to robiłam w dzieciństwie, zaczynam sobie wyobrażać ojca. Nieczęsto sobie na coś takiego pozwalałam, bo wydawało mi się to brakiem lojalności względem mamy. Nawet teraz, choć tak dawno umarła, nadal czuję lekkie wyrzuty sumienia.

Ile dziś może mieć lat? Czy zachował jasne włosy wikinga?

Czy mieszka w okolicach Birr? (Jeśli rzeczywiście pochodzi z Birr. Mógł być tam przejazdem jako akwizytor, aktor czy pracownik sezonowy. Ale muszę mu stworzyć jakieś korzenie, prawda?)

Czy jest rolnikiem? Czy skończył studia? Jest bogaty? Może nawet sławny? Albo zrobił coś imponującego: na przykład zajmuje się neurochirurgią, ale poświęcił karierę, by leczyć w Trzecim Świecie albo w Bośni? A może po prostu ożenił się, dochował szóstki dzieci i mieszka w spółdzielczym bloku w Finglas, uwielbiany przez rodzinę? Tak uwielbiany, że wszystkie dzieci składają się, by zafundować jemu i matce wymarzoną podróż do Australii?

Czy kiedykolwiek o mnie myśli? Czy w ogóle o mnie wie?

Przypuszczam, że to seks wywołał tej nocy lawinę zdumiewających uczuć. I wspomnień.

Tom Bennett. Biedny Tom, ciekawe, co się z nim teraz dzieje.

Niesamowite, że można obcować z kimś tak długo i tak blisko, nieomal wyjść za niego za mąż, by później żyć długo i szczęśliwie

– a potem nagle staje się tak, jakby tego człowieka nigdy nie było.

Całkowicie znika z twojego świata, czasem trzeba się mocno skupić, by sobie przypomnieć chociażby jego dotyk.

Może pamiętacie, na samym początku opowiadałam wam o tym, jak pierwszy raz odwiedziłam mamę w szpitalu. I że zrobiłam coś, czego tak strasznie się wstydzę, że nie potrafię o tym myśleć, a co dopiero mówić. Pchnęły mnie do tego gniew i żal po wizycie u mamy, widok jej odbarwionej twarzy ze strupami i okropnych, rzadkich włosów. Chyba wtedy po raz pierwszy dotarła do mnie

rzeczywistość. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że nie ma już nadziei. Że to koniec czasu wspólnej drogi.

Mama umrze. Te słowa obijały mi się go głowie. Śmierć. Umrze.

Umarła.

I ogarnęła mnie furia. Jak śmiesz nasz zostawiać, choć nawet jeszcze nie zaczęliśmy żyć naprawdę? Wiem, że gdy się na to teraz patrzy, to brzmi idiotycznie. Ale klnę się na Boga, gdzieś w głębi duszy, nawet w najgorszych chwilach, gdy mama popadała w odrętwienie czy depresję, albo – co najgorsze – przywlokła do domu kolejną łajzę, wierzyłam, że jakimś cudem pewnego dnia wszystko się dobrze skończy. Pewnego dnia.

Zaświeci dla nas słońce.

Że jeśli jakoś przebrniemy przez ten zły okres albo tamten zły okres, jeśli znajdę w sobie dość siły albo okażę jej dość miłości czy dobroci, wszystko się ułoży i będziemy żyć razem. Bo na to zasługujemy. Więc tak się stanie. Istnieje jakaś podstawowa sprawiedliwość.

Lecz tamtego wieczoru, gdy ją zobaczyłam, wszystkie moje nadzieje, wszystkie plany legły w gruzach. I po raz pierwszy zrozumiałam, że to nie kwestia losu. Kipiała we mnie wściekłość, zaczęłam mamę obwiniać. Dlaczego nie stawiała czoła tym, którzy ją wykorzystywali? Nie, oni zadawali jej gwałt. Jak mogła być taka słaba?

A równocześnie serce mi pękało, bo uświadamiałam sobie, co wkrótce stracimy.

Ten wstęp nie służy wybieleniu – nie ma usprawiedliwienia dla mojego zachowania. Chcę wam tylko wytłumaczyć.

Wróciwszy ze szpitala i odebrawszy dziecko od sąsiadki, która się nim zaopiekowała, weszłam do mieszkania. Krążyłam po domu, trzymając Jamesa w ramionach, ale wściekłość nie ustępowała. „Chodziłam” nie jest właściwym słowem.

Zachowywałam się jak wariatka. Ilekroć trafiłam na wolną przestrzeń na ścianie, waliłam w nią plecami. Z całej siły. Pewnie rozbiłabym sobie głowę, gdyby nie to, że trzymałam Jamesa i wtedy jemu też bym zrobiła krzywdę.

Początkowo sądził, że to jakaś zabawa – przynajmniej tak mi się wydaje, bo nie okazywał niepokoju. Po prostu przy każdym wstrząsie patrzył zaskoczony. Ale potem zaczął płakać.

To mnie wykończyło. Miałam wrażenie, że zaraz wybuchnę.

Płakał coraz głośniej, coraz żałośniej, nie reagując na moje kołysanie i uciszania. Zdążyliście się już przekonać, że nie jestem gwałtowna, ale po paru minutach bałam się, że go uderzę, jeśli się nie zamknie. Albo że zrobię coś o wiele gorszego. Na przykład wyrzucę go przez okno. Dlatego cisnęłam Jamesa do łóżeczka i tam zostawiłam. Drącego się bez opamiętania.

Nie mogłam znieść tego wrzasku, więc wyszłam na ganek, najdalej jak mogłam. Nie chodziło nawet o sam hałas, ale o to, co symbolizował. Potrzebę. Całkowite uzależnienie. Żądanie. Ja, ja, ja. Ja się domagam, ja potrzebuję, jesteś mi to winna.

Nie chciałam tego. Mówię szczerze, nie chciałam. Byłam jeszcze nastolatką. Nieważne, że sama o to błagałam, walczyłam, stanęłam na głowie, by go dostać.

Zatrzasnęłam drzwi wejściowe. Ciągle go słyszałam. Jego wrzask.

Leżę teraz w łóżku po powrocie od Kena Sheilisa. Jestem w tym dziwnym stanie ducha, gdy nie mogę zasnąć i wcale nie czuję się zmęczona. Ciało ożywione po seksie, ale w głowie dudni mi z poczucia winy, huk taki jak zderzających się elektrycznych samochodów w wesołym miasteczku.

Wybiegłam wtedy z domu. Zostawiłam Jamesa samego. Na pastwę losu. Histerycznie zawodzącego. Niemowlę.

Bo szukałam Toma Bennetta.

## Rozdział 25

Znajduję Toma Bennetta w pubie na nadbrzeżu. Naturalnie, jest zdziwiony na mój widok. Nie prezentuje się najlepiej. Miedziane włosy, które tak mnie zachwycają, są przetłuszczone i potargane.

Nie golił się od paru dni, szczecina wygląda ohydnie. Ryza.

– Co ci odbiło? – pyta, gdy podchodzę i proszę, żeby mi postawił drinka.

– Nic mi nie odbiło. Po prostu mam już tego dość.

– A, tylko to. Witamy w klubie.

Stawia mi bacardi z colą, znajdujemy sobie miejsce. Mówię, że mama umrze.

– To okropne. Straszne. Jesteś pewna?

– Jestem.

– Wypij – mówi. – Kupię ci drugiego.

Słabo protestuję, ale drink naprawdę stawia mnie na nogi.

Niewiele wysiłku potrzeba, by mnie namówić na kolejnego.

Bacardi z colą świetnie się pije, zwłaszcza komuś, kto w ogóle nie przywykł do trunków. Smakuje właściwie jak cola, tyle że słodsza. Dopiero gdy wychyliłam drugą porcję, Ken mówi mi, że to była podwójna. Za bardzo jestem pijana, żeby się kłócić.

Wrzask Jamesa rozsadza mi czaszkę.

Tom Bennett jest słodki. Nie wstydy się, gdy zaczynam płakać i ludzie się na nas gapią, tylko obejmuje mnie, marszczy brwi i ryczy:

– Odchrzańcie się, zajmijcie się swoimi sprawami... To skutkuje, odczepiają się od nas.

– Spadajmy stąd – mówi.

Wychodzimy. Świeże powietrze wali mnie jak młotem, robi mi się niedobrze. Najchętniej bym zwymiotowała, ale gdzieś w głębi odzywa się myśl, że tego Tom by już nie zniósł, więc jakoś nad sobą zapanowuję.

– Odprowadzę cię do domu – mówi.

Ja tymczasem mogę myśleć tylko tym, że James leży martwy w łóżeczku. I to przeze mnie. A jeśli nawet nie umarł, to ktoś z kamienicy z rozkoszą zadzwoni po policję albo opiekę społeczną, żeby zabrali mi dziecko, bo je zaniedbuję. Bardzo mi tak dobrze.

Zapłacę w ten czy w inny sposób. I co ja powiem mamie?

Nagle czuję, że muszę natychmiast wracać. Sama. Nie chcę, żeby Tom Bennett zobaczył, co nabroiliam.

Wymyślam na poczekaniu jakąś bujdelę, że mogą mi odebrać Jamesa (wyobrażam sobie, jak strasznie płątał mi się język), jeśli ktoś zobaczy, że sprowadzam do siebie mężczyznę. Tom chyba przyjmuje to za dobrą monetę, choć szczerze powiedziawszy, wszystko, co się działo od tamtego momentu do chwili powrotu do domu, pamiętam jak przez bardzo gęstą mgłę.

Odprowadza mnie aż do bramy, tam mnie zostawia. Jak przykładowy dżentelmen.

Gdyby Tom Bennett nie był pijakiem, na jakiego się zapowiadał, możliwe, że James miałby ojca. Ale nadal uważam, że podjęłam słuszną decyzję. Małżeństwo z alkoholikiem to koszmar. Dość się na to napatrzyłam. Powinniście posłuchać opowieści moich koleżanek z pracy.

W każdym razie Tom sobie idzie i zostawia mnie samą.

Jak zwykle, w bramie i na podwórzu hałasy i rozróby, ale nasze mieszkanie jest tak usytuowane, że gdyby James płakał, usłyszałabym go.

Nie słyszę.

Boję się iść na górę. Albo już nie żyje, albo zabrała go opieka społeczna. Natychmiast trzeźwieję. Umysł pracuje gładko i czysto, chłodny jak lód w szklance.

Na pewno nie żyje. Bo gdyby przyszła opieka społeczna, już by na mnie czekali sąsiedzi z wiadomością.



Cóż, wy już wiecie, że nie umarł.

Leżał w łóżeczku z kocykiem okręconym wokół nóg. Spał, ale cicho czekał. Jak to zwykle robią dzieci, które zasnęły splakane i niepocieszone.

Na pewno już rozumiecie, dlaczego tak trudno mi o tym mówić. Ale może teraz, gdy to z siebie wyrzuciłam, poczucie winy trochę zelżeje. Bo od tamtej nocy ani na chwilę nie osłabło.

Znacie to: człowiek budzi się o czwartej nad ranem zlany zimnym potem, podkurcza nogi i przykrywa sobie głowę poduszką, żeby nie było słychać jego jęków.

Wyjęłam go z łóżeczka, przebrałam – cały był mokry od potu i łez. Całowałam go raz po raz. Dałam mu butelkę i wciąż powtarzałam, jak bardzo go kocham. Bo go kochałam. Kocham cię, James. Kocham cię. Spoglądał na mnie znad butelki tymi swoimi pięknymi, olbrzymimi oczami. Tyle ufności. Są takie przebaczące, prawda? Człowiek jeszcze gorzej się czuje.

Nie położyłam go do łóżeczka, tylko wzięłam do siebie.

Śpiewałam mu wszystkie piosenki, które nuciła nam mama.

Wszystkie stare kołysanki i wierszyki dziecięce. I oczywiście

„Gwiazdko świetlista”, wyliczając mu na palcach. Był

uszcześliwiony. Tak się starałam, że jestem święcie przekonana, iż zrozumiał, jak strasznie go przepraszam i jak bardzo kocham.

Kochałam go, dopóki nie zasnął.

I tamtej nocy, patrząc na jego buźkę, poprzysięgłam sobie, że nigdy, nigdy więcej ani na chwilę go nie zostawię. W pewnym sensie – gdy teraz to analizuję – konieczność powrotu do domu po nocy u Kena Sheilisa mogła podświadomie wiązać się z obietnicą, którą wtedy złożyłam Jamesowi. Bo teraz jest naprawdę w potrzebie.

Uświadamiam sobie, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co naprawdę ważne. Czy właśnie to się nazywa różnicą pokoleń? W

końcu mieszkamy razem, więc dlaczego nie potrafimy rozmawiać jak człowiek z człowiekiem – jak ja z Patsy, jak zapewne on ze swoimi kumplami?

A może nie? Czy młodzi faceci ze sobą rozmawiają? Co kobieta może o tym wiedzieć?

Czasem obserwuję Jamesa, gdy wciąga go bez reszty jakiś program telewizyjny. Jest taki piękny i tak wrażliwy. A przy tym nieraz wydaje się tak samotny, że najchętniej zarzuciłabym mu ręce na szyję i powiedziała: nie przejmuj się tym, to nieważne.

Jestem z tobą i nic ci nie grozi. Kocham cię bez względu na wszystko.

Ale zawsze coś mnie powstrzymuje. Nie tylko świadomość, że by mnie odepchnął – to mam jak w banku – ale coś jeszcze.

To, że każde słowo, które do siebie wypowiadamy, dźwiga ciężar przeszłości. Każda sylaba cuchnie. Dlatego nauczyłam się ostrożności. Jak zareaguje na to? Jak najlepiej mu powiedzieć o tamtym? On zaś zamknął się w sobie. Nie będzie ryzykował

żadnej odpowiedzi. Ograniczy się do samoobrony w formie mruknięć i monosylab. Wyrosła między nami ściana słów.

Jeśli mam być uczciwa, powinnam przyznać, że zapewne to moje dzieło. Każda cegiełka to moje „powinieneś”, „nie powinieneś”. Dlaczego robisz to, a nie tamto, James. Trzeba było wcześniej wstać, nie pij tyle, nie oglądaj wciąż telewizji. Nie odzywaj się tak do mnie. Podciągnij skarpety, widzisz, coś narobił, mówiłam ci, żebyś to załatwił...

Teraz widzę – pewnie poniewczasie – że starałam się dopasować jego życie do swojego wyobrażenia o tym, co dla niego dobre. Dyscyplina. Etyka pracy. Uprzejmość. Znowu etyka pracy. Och, w tym byłam świetna. A zapomniałam o liliach polnych. (Dobra, trudno się zgodzić z tą teorią, gdy ty się zaharowujesz, a on się leni. Choć z drugiej strony, dlaczego natura z niektórych pszczół uczyniła robotnice, a z innych królowe?) Od kiedy James zaczął samodzielnie myśleć, opierał się – co dość naturalne – moim naleganiom, a po pewnym czasie odruchowo sprzeciwiał się wszystkiemu, co powiedziałam albo czego zażądałam, niezależnie do tego, czy to było dobre, czy złe.

Skoro coś wychodzi ode mnie, trzeba z tym za wszelką cenę walczyć. Teraz zaczynam to rozumieć i nie winię go. Sama pewnie bym tak zareagowała, gdyby ktoś nieustannie mnie pouczał, co mi wolno, a czego nie. Nie cierpię przyjmować poleceń Papuci, a wszak to moja pracodawczyni.

Kiedy był dzieckiem, sprawa wyglądała znacznie prościej.

Wystarczyło go objąć, kołysać, gaworzyć. Kochać go. Patrząc na jego zdjęcia ze szkoły, oczy ma promienne, pełne blasku. Gdzieś do ósmego, dziewiątego roku życia. Potem gasną. Wtedy rozpoczęła się nasza wojna, której żadne z nas nie rozumiało, ale z której też nie mogło się wyplątać. Sądzę, że z prawdziwą ulgą byśmy przyjęli, gdyby pozwolono nam zacząć od nowa. Dwoje nieznanomych. Moglibyśmy się poznawać od zewnątrz.

Niestety, teraz to się nie stanie, chyba że znajdę jakiś sposób, byśmy oboje zyskali nieograniczony dostęp do olbrzymiego zbiornika miłości, który zasłoniła nasza ściana krzywdzących słów.

Poprawka. Moja ściana. Ja ją zbudowałam. Dzieci nie rodzą się z cegłami.

W takim razie to zadanie dla mnie. W pewnej chwili tej długiej, ciężkiej nocy podjęłam kolejną decyzję. Postanowiłam sobie, że odnajdę ojca. Jego albo mojego, wszystko jedno, byle był.

Po wydarzeniach w Birr uznałam, że mojego będzie łatwiej odszukać, zwłaszcza że mam jakiś punkt zaczepienia. Jeśli nie pomoże mi starszy policjant, udam się do Adeline i nie pozwolę się zbyć byle czym. Albo do nauczycielki, albo do proboszcza –

katolickiego czy protestanckiego, wszystko jedno. Pod względem znajomości swojego rewiru duchowni ustępują jedynie policji.

Trudno przewidzieć reakcję mojego ojca. W końcu z Jamesem łączyłoby go odległe pokrewieństwo. (Próbowałam to sobie wyliczyć: półpasierb?) Właściwie niezbyt mnie to obchodziło, bo przede wszystkim był mi coś winien. Dlatego, kiedy go poproszę, będzie zobowiązany pomóc Jamesowi, prawda? Jeśli nie z innych powodów, to w ostateczności z poczucia winy. Nie zawaham się wyrzucić na niego presji, bez dwóch zdań.

Co więcej, u kresu tamtej nocy już mnie nie obchodziło, czy mój ojciec zalicza się do grupy ludzi uważających, że Jamesa należy wykastrować albo trzymać w więzieniu po kres jego dni, czy też zachłostać na śmierć. Trudno. Jego przekonania się nie liczą. Jest nam potrzebny i na tym koniec. (Zresztą może początkowo będzie tak sądził jak większość, ale w końcu doprowadzimy do tego, żeby zmienił zdanie).

Udało mi się zdrzemnąć parę godzin, a gdy jednak rozległy się cztery dzwonki Kena, byłam już ubrana i od pół godziny czekałam. Ogolony, lśniący czystością, w wyprasowanej dżinsowej koszuli i spodniach, wyglądał jak z reklamówki Old Spice'a.

– Dzień dobry – mówi przyciszonym głosem.

– Wejdz – odpowiadam szeptem.

Skoro o Old Spisie mowa – Kena spowija woń nieznannej mi wody po goleniu. Tylko Lynx Jamesa natychmiast rozpoznaję.

Siada na sofie, swobodny niczym król.

Muszę go pogonić, nie mamy aż tyle czasu, zaraz przyjedzie mikrobus. Woda już zawrzała, tost gotowy.

– Muszę cię o coś poprosić – zwracam się do niego, zalewając kawę wrzątkiem.

– Wal – odpowiada, ale najpierw dorzuca szybko: – To była cudowna noc. Mam nadzieję, że pierwsza z wielu równie wspaniałych.

Najwyraźniej z góry przygotował sobie to małe expose.

– Mnie też było dobrze – mówię.

Podaję mu kawę i grzanekę. Pora na moje przemówienie.

– Wiem, że pora jest wczesna – zaczynam – i przepraszam, że poruszam taki poważny problem, ale chciałabym sobie jedną sprawę wyjaśnić. Mówiłam ci o Jamesie, niczego nie ukrywając, teraz jednak muszę poznać twoje stanowisko w tej sprawie. Co myślisz o moim bracie?

Siadam, nadgryzam tost i czekam.

Popija kawę, spoglądając na mnie znad kubka.

– Nie mam wyrobionego zdania – odpowiada. – Ale chcę ci pomóc, jak tylko będę mógł.

Patrzę na niego i dalej czekam.

Dociera do niego. Bardzo spokojnie odstawia kubek.

– Ale to nie wystarczy, tak?

– Niestety, nie.

– Jeśli oczekujesz ode mnie całkowitej szczerości...

– Owszem, oczekuję.

Widzę, że starannie dobiera słowa. Wbił wzrok w wyblakły wzór obicia sofy.

– Nienawidzę gwałtu – mówi. – Nie mogę znieść samej myśli o nim. – Waha się, nadal szuka słów. – Gdyby to się wydarzyło w taki sposób, jak ty przedstawiłaś, współczułbym Jamesowi.

Łykam kawę. Nie czuję żadnego smaku.

– Tyle że... – ciągnie Ken. – Przepraszam, cóż, prosiłaś mnie o szczerość. Tyle że nie znam wersji drugiej strony. – Wbija wzrok w podłogę. – Przepraszam, Angelo – podejmuje wątek – ale właśnie tak czuję. Dopóki nie poznam wersji drugiej strony, nie mogę być obiektywny. Ani, jak mówiłem, wyrobić sobie poglądu.

Jest piętnaście po piątej rano. Świeci słońce, ptaki koncertują w parku, na ulicy prawie nie ma ruchu, spokój niemal jak u Adeline.

Wczoraj w nocy po raz pierwszy od dwudziestu lat uprawiałam seks i siedzę na własnej kanapie z mężczyzną, który to ze mną robił. Ale jego słowa mnie dobijają.

W końcu na mnie spogląda, czuje się jednak strasznie niezręcznie.

– Może tak być? Rozumiesz mnie?

Prosi o zgodę na odrzucenie nas. On mnie pyta, czy rozumiem!

– Angelo – próbuje tłumaczyć, pochylając się i biorąc mnie za rękę. – Angelo, niech to nie wchodzi między nas.

Patrzę na nasze splecione dłonie. Nie pasują do siebie. W końcu udaje mi się coś z siebie wydusić.

– Przynajmniej wiemy, na czym stoimy...

– Proszę, Angelo, po ostatniej nocy, po tym, co się między...

– Nie przejmuj się – odpowiadam. Uwalniam rękę z jego uścisku i wstaję. – Nic wielkiego. Naprawdę!

Zanoszę kubek do zlewu, choć nie wypilałam kawy. Wylewam ją i odkręcam kran. Staje za mną.

– Proszę, Angelo. Sądziłem, że jesteśmy...

– Oczywiście, że jesteśmy – odpowiadam pogodnie. – Daj kubek, wypileś?

Otacza mnie ramionami.

– Angelo...

– Och! – wołam. – Chyba przyjechał mikrobus. – Zakręcam kran, wycieram ręce, biegnę do telewizora, na którym postawiłam torebkę. – Przepraszam, nie chcę cię wyrzucać, ale oni nie lubią czekać. Muszę lecieć...

– Nie pocałujesz mnie na do widzenia?

– Oczywiście, że pocałuję. (Co to za kobieta o wesolutkim, nieszczerym głosie?)

Całuję go, on mnie. Jego pocałunek jest namiętny. Wydaje mu się, że wszystko w porządku. Hola, nie za wcześnie na takie igraszki? Jeszcze raz go całuję. Muśnięcie w policzek. Czuję się jak Judasz. Ale nie mam siły mówić teraz Kenowi Sheilowski, że nie chcę go więcej widzieć.

Muszę oszczędzać energię. Żadnego Kena. Żadnej Patsy. Tylko my dwoje.

Pewnie się domyślacie: robota mi szła jak z kamienia. Dałam plamę, zapomniałam sprzątnąć kabinę w męskiej toalecie.

Papucie była w siódmym niebie, że może się na mnie wyżyć.

Klasyczne. Jeśli daje się człowiekowi odrobinę tylko wyżej od ciebie ustawionemu choć trochę władzy, natychmiast uderza mu ona do głowy. Trzeba przyznać, że Papucie była w tym mistrzynią. Wzięła mnie na bok, upewniwszy się, że dokoła jest wystarczająco dużo kibiców, i zrobiła fałszywie zasmuconą minę.

– Ostatnio wydajesz się dziwnie roztargniona, Angelo. Wiem, że borykasz się z problemami rodzinnymi, i staraliśmy się okazać ci wyrozumiałość, ale jeśli dochodzi do tego, że twoje koleżanki muszą za ciebie pracować...

Niech się wygada. Czytałam, że twardziele i szefowie mafii, władcy przestępczego świata Dublina przesłuchania na policji wytrzymują, wybierając sobie jakiś punkt na ścianie i koncentrując się na nim. Zrobiłam to samo. Tuż nad jej głową w drzwiach była maleńka dziurka. Obserwowałam ten punkcik.

Moim zadaniem było rozszyfrowanie tego mikrofilmu przy użyciu sokolich oczu. („Ostatnio twoja

praca pozostawia wiele do życzenia, Angelo. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę... „) Wyobrażałam sobie małe korniki wyłazące z dziurki. Kolejne pokolenia. Ohyda.

Z kolei więc wyobraziłam sobie, że to gwiazdne wrota, jak w filmie. Wrota do innego wymiaru czasu. Dzięki specjalnemu urządzeniu robię się maleńka i przenikam przez nie do przyszłości. Albo przeszłości. Wszędzie, byle z dala od tego gładzenia.

– Ty mnie nie słuchasz, Angelo. Chyba nie dociera do ciebie, co mówię...

– Przepraszam, jestem trochę zmęczona. Wzdycha. Teraz wciela się w Vanessę Redgrave.

– Co rano jesteś zmęczona, Angelo, ale dam ci szansę, kolejną szansę, zauważ. Bądź łaskawa wrócić i porządnie sprzątnąć łazienkę. Całą. Jasne?

Kiedy dotarłam do szpitala, na szczęście zdążyłam wyprzeć z myśli kible, Papucie i wszystko, co się wiązało z tą cholerną robotą. Boże, gdybym tak wygrała w lotto! (Ciekawe, ilu ludzi w tej chwili powtarza dokładnie to samo. Godność pracy, gadki szmatki... )

Mijam portiera, jak gdybym szła z jakąś ważną wiadomością do kogoś na górze. Przemyciłam w torebce winogrona dla Jamesa. A propos, dlaczego wszyscy przynoszą do szpitala winogrona?

Kiedyś to był egzotyczny owoc, prawdziwy rarytas, ale teraz nie.

Pewnie tak się utarło i tyle. Dziś szpital pachnie nie tylko środkami dezynfekującymi i bandażami, ale także smażonym boczkiem.

Wiem, że mnie wyglądał, bo ledwo wchodzę, podciąga się na poduszce, na tyle, na ile może z tymi bandażami i opatrunkami.

Właśnie trwa obchód, orszak wygląda imponująco. Ale na mnie nie robi to wrażenia. Mógłby chodzić sam papież albo szach Iranu.

Zresztą lekarze i tak mnie nie onieśmielają. Jak każdy facet.

Ubierają się, jak wszyscy inni, wkładając po jednej nodze do nogawki. Jeśli dzisiejszego ranka zachowuję się wrednie, to dlatego, że jestem we wrednym nastroju.

Zresztą Jamesa już sprawdzili – Wielki Guru ze swoją świtą jest dwa rzędy łóżek dalej.

– Cześć – witam brata. – Jak się czujesz?

– Do Miss Świata mi daleko – odpowiada.

– Nic dziwnego – mówię, chowając mu winogrona do szafki. –

Wyglądasz jak jej przeciwieństwo. Po prostu okropnie.

Sińce są dziś nie tylko czarne i granatowe, ale też zielone i żółtawe.

– Wielkie dzięki, bardzo podniosłaś mnie na duchu. – Usiłuje mnie zmierzyć wzrokiem, efekt jednak diabli biorą, bo oczu nadal właściwie nie widać spod opuchlizny.

Patrzę na niego. Właściwie łypię. Po nieprzespanej nocy, że nie wspomnę o sprawie z Kenem Sheilsem i starciu z Papuciami, nie mam ochoty na utarczki z Jamesem Devine'em.

Wtedy sobie przypominam, że tak by postąpiła tamta Angela. A co z najmroczniejszymi godzinami ubiegłej nocy i wewnętrzną dyskusją o naszym związku, murze ze słów i tak dalej? Głęboko nabieram powietrza i wydmuchuję je przez nos, jakbym trenowała jogę. Kiedyś poszłam na zajęcia z jogi, ale im bardziej próbowałam rozluźnić któreś mięśnie, tym bardziej dwadzieścia innych się naprężyło; jednak tym razem to skutkuje i trochę się uspokajam. Przysuwam krzesło i siadam.

– James, moglibyśmy porozmawiać?

– Co? – Natychmiast się spina, patrzy, jakbym zamierzała się na niego maczetą. – Przecież rozmawiamy.

– Ale naprawdę porozmawiać. Bez stroszenia się.

– Jak to: stroszenia? Jak się nie stroszę!

Czekam. Widzę, że nie rozumie, co mnie opętało. Kręci się, potem krzywi.

– Bardzo boli? – pytam, nadając głosowi współczujący ton. Nie gram, głęboko sięgam do swoich uczuć. Normalnie ochrzaniałabym go, że wpakował nas w to bagno. – Jak ci minęła noc?

I nagle uświadamiam sobie jeszcze coś: muszę przestać zadawać pytania. Kiedy ostatnio prowadziliście z przyjacielem rozmowę, składającą się z samych pytań i odpowiedzi, przy czym tylko jedna strona była przesłuchującym? Długo by taka przyjaźń nie wytrzymała, prawda?

– Pytam – szybko się poprawiam – bo ja miałam fatalną noc.

Nie mogłam spać.

Spogląda na mnie spod oka. Nie ma pojęcia, co tu, do licha, jest grane.

– Nieźle spałem – mruczy. – Dali mi tabletkę.

– Zwaliło cię z... To znaczy, zwykle tak robią w szpitalach. Te pigułki nieźle człowieka zwalają z nóg. Pamiętam, kiedyś, gdy się czymś martwiłam, Patsy dała mi parę sztuk. Nie pamiętam już, o co chodziło. Ale przespałam wtedy chyba ze trzy dni. Nie stawiałam się do pracy. Boże, nigdy tego nie zapomnę. A czy mówiłam ci, że zaczęłam spacerować? Świetne ćwiczenie. A to świeże powietrze! Któregoś wieczoru doszłam aż do South Buli.

James, to było cudowne...

Gadam jak najęta. Chce mi się śmiać, gdy patrzę na minę, jaka się maluje na tej biednej, opuchniętej twarzy. Zupełnie, jakby się spodziewał „Dźwięków muzyki”, a ja mu tu wyskakuję ze

„Szklaną pułapką”. Albo na odwrót, jeśli wziąć pod uwagę jego gusta filmowe.

Mówię dalej. Właśnie relacjonuję wyjazd do Birr i opowiadam o pomniku męczenników z Manchesteru...

Dźwiga się i wpada mi w słowo.

– Co jest grane? Guzik mnie obchodzi South Buli i te typki z Manchesteru... – Krzywi się i opada na poduszki. Widocznie *coś* go zabolalo.

– Pewnie strasznie cierpisz – cmokam. – Słuchaj, nie zostanę długo, wpadłam sprawdzić, jak się czujesz, to nie są porządne odwiedziny. Muszę zadzwonić w parę miejsc, do prawnika i tak dalej. Przyjdę w porze widzeń.

I nim zdążył mnie powstrzymać, wstaję, nachylam się i całuję go w czoło.

– Na razie – mówię.

Wychodzę. Nie oglądam się. Ale uważam za swój osobisty sukces, że nawet go nie spytałam, co by mu przynieść.

## Rozdział 26

Patrice Murphy był w pracy i odebrał telefon.

– Spokojnie – powiada – Angelo, spokojnie. Notuję, co mówisz. Byłaś już na policji?

Nie przypominam sobie, że bym mu pozwalała się zwracać do siebie po imieniu, ale odpuszczam. Kiedy przyznaję się, że jeszcze nie zgłosiłam napadu na Garda, każe mi to natychmiast zrobić.

Pyta, czy byli świadkowie. Gdy odpowiadam, że nic mi o tym nie wiadomo, zaczyna:

– Czy na pewno? Czy James pamięta, co się stało?

Rozpoznałby tych mężczyzn?

Pytanie za pytaniem. Jakby teraz, gdy sobie uświadomiłam, co robiłam z Jamesem, Bóg się na mnie zemścił.

Komisariat przy Fitzgibbon Street to chyba jeden z najbardziej osławionych posterunków policji w Dublinie. Nie zrozumcie mnie źle: policjant, z którym rozmawiam, okazuje się niezwykle sympatyczny. Pochodzi spoza Dublina. Z Kerry, może z Cork.

Biedaczysko, po tych sielskich okolicach trafić do samego centrum Dublina! Zachowuje się



przyjacielsko, nawet gdy mówię mu, kim jest James i dlaczego najprawdopodobniej został pobity.

– Niech się pani nie martwi – uspokaja. – Nie liczy się, co zrobił albo czego nie zrobił, nadal mu przysługują prawa. Tylko jedno: czy aby przypadkowo sam tego nie sprowokował?

– Już panu mówiłam: napadnięto go.

– Nie trzeba się tak denerwować, muszę pytać. Niech pani wejdzie.

Wpuszcza mnie do pakamery, każe usiąść, po czym spisuje wszystko, co wiem. Mówi, że pójdą do szpitala przesłuchać Jamesa. Będzie musiał złożyć skargę.

Wątpię. O ile znam swego brata, będzie chciał się ukryć i o wszystkim zapomnieć.

– Problem w tym – tłumaczy mi policjant – że jeśli teraz nie wystąpi przeciwko tym byczkom, sytuacja może się powtórzyć. Z

komisariatu wychodzę przygnębiona.

Wiem, że w domu nie mamy prawie nic i że powinnam zrobić zakupy, ale nagle czuję się taka zmęczona, że wracam prosto do siebie. Nie mam siły rozłożyć łóżka, więc zwijam się na sofie, nawet nie zdejmując butów. Resztkami sił nastawiam budzik na dwunastą.

Tymczasem – a to niespodzianka – ledwo się położyłam, mózg natychmiast zaczyna pracować. Czyżby jakoś łączył się z tym fakt, że na suszarce zauważyłam dwa kubki, z których rano Ken i ja piliśmy kawę?

W tym momencie ze zdumieniem stwierdzam, że nic nie czuję po zerwaniu z Kenem. Na to pewnie jeszcze przyjdzie czas. Nie jest mi słodko na myśl, że będę musiała mu powiedzieć. Fakt, trudno nasz związek porównywać do „Romea i Julii”, nawet nie zdążył się rozkręcić.

Chyba jestem po prostu odporna na miłość. Wszystkie jej zapasy poszły na Jamesa.

Dzięki Bogu, że nie widziałam bicia; w swoim czasie dość się na to napatrzyłam. Kiedy słucham audycji radiowych o kobietach bitych przez mężów albo chłopaków, a prowadzący pytają, dlaczego te po prostu nie odejdą, nie mam wątpliwości, że nigdy nie znaleźli się w takiej sytuacji. Zresztą to zbyt drażliwa kwestia.

Gdzie miała się podziąć nasza mama? Mówimy tylko o niej. A co z naszą gromadką?

Ale kiedyś to mnie wykańczało, naprawdę. Patrząc, jak stara się osłonić głowę przed ciosem... Byłam wtedy na nią wściekła.

Zaliczywszy parę niezłych razów, gdy próbowałam ją ratować, szybko się nauczyłam, że nie ma sensu jej pomagać. Najczęściej była zaćpana albo i tak nie współpracowała, dlatego najlepsze dla mnie rozwiązanie to było jak najszybciej się zmyć. Nieraz godzinami błąkałam się po ulicach, starając się nie wpadać w oko władzy, dopóki nie uznałam, że afera wygasła. Za dnia szło mi lepiej,

ale nauczyłam się też radzić sobie wieczorami.

Znacznie gorzej się zrobiło po przyjściu na świat Jamesa, bo musiałam go ze sobą zabierać. Na szczęście ten problem .

stał przede mną tylko raz czy dwa w ciągu tych miesięcy, które spędził razem z nią na tym świecie. Najbardziej się bałam, gdy się zakradaliśmy z powrotem, żeby James nie zakwilił. Ale, jak wam wspominałam, cudowny był z niego bobas. Prawie wcale nie płakał.

Swoją strategię rozciągałam też na kolejny dzień. Aby nie dawać plotkarom żeru, pilnowałam, żeby nazajutrz po awanturze paradowała – potem rozciągnęło się to też na Jamesa i na mnie –

czyściutka, dobrze ubrana i wesolutka, zupełnie normalnie.

Żałosne? Może, ale skuteczne.

Kiedy wreszcie udało mi się zdrzemnąć po wizycie w szpitalu, w snach kłębiły się przerażające urywki koszmarów. Niezwykle wyraziste. Osaczały mnie olbrzymie korniki z głowami gargulców. Albo jechałam autobusem, a przez środek wozu przechodzili faceci z młotkami, szukając mnie. Potem grałam w

„Winning Streak”, zakręciłam kołem, wszyscy wiwatowali, tymczasem koło zatrzymało się na więzieniu. Wtedy, dzięki Bogu, zadzwonił budzik – głośno niczym trąby Sądu Ostatecznego – i poderwałam się z sofy, nie mając pojęcia, gdzie jestem, z głośno łomoczącym sercem. Przez parę sekund widziałam jeszcze przed sobą Mike’a Murphy’ego, jego oczy błyskały spod katowskiego kaptura...

Nigdy dotąd tapeta Reddy’ego nie wyglądała równie ślicznie.

Dźwignęłam się na nogi, umyłam, przebrałam i zaparzyłam sobie najmocniejszą kawę, jaką mogłam przełknąć, po czym znowu ruszyłam do szpitala. Nie wiedziałam, co powiedzieć Jamesowi. Obiecałam, że wszystko załatwię. Ale nie za wiele zdziałałam, prawda? Tylko napuściłam na niego gliny. Za co mi nie podziękuje. Z trudem wlokłam się Eccles Street.

Kiedy w końcu doszłam do drzwi szpitala, głowę nadal miałam zwieszoną, próbowałam wymyślić coś pozytywnego, czym mogłabym pocieszyć Jamesa. Odwiedziny zaczynały się za pięć minut, więc przy wejściu kłębiły się tłumy.

– Cześć, Angelo!

Zupełnie się tego nie spodziewałam, podskakuję zaskoczona.

Podnoszę wzrok – i kogo widzę przed sobą, jeśli nie Kena Sheilsa? Trzyma bukiet kwiatów. Z kwiaciarni, czuć w nich rękę bukieciarki.

– To dla ciebie. Przyda ci się coś na osłodę.

Wszyscy się gapią, on się uśmiecha jak głupek, a ja zalewam się rumieńcem. Kto tu zamienił role?

I jak mam zareagować? Mózg odmawia mi posłuszeństwa.

– Dzięki – mówię, przyjmując kwiaty. – Bardzo dziękuję, to niezwykle miłe z twojej strony. – Potem rzucam mu wyzwanie: –

Odwiedzisz ze mną Jamesa?

– Oczywiście. To znaczy, jeśli sobie tego życzysz.

Widzę, że uważa się za bardzo odważnego i otwartego. A może tylko ja zachowuję się jak świnia? Jestem zbyt zmęczona, by się wdawać w rozważania.

– Miło z twojej strony, James będzie miał jakieś urozmaicenie.

Otwierają się drzwi, wszyscy walą do środka, jakby się ścigali, żeby zdobyć najlepsze miejsce na koncercie. Może w szpitalu Mater Misericordiae nie mają wystarczająco dużo krzeseł.

Odczekujemy z Kenem, aż najgorsze się przewali. Ogarnia mnie dziwny spokój, to prawdziwe błogosławieństwo. Waham się...

Kwiaty są cudowne.

Przemyka mi przez głowę, że po powrocie do domu może powinnam sobie powróżyć: kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje, w myśli, w mowie, w sercu, na ślubnym kobiercu.

Dziecinne. Zupełnie tak samo, jak wkładanie pod poduszkę kartek z imieniem lubego. I jak skakanie na jednej nodze wokół sylwetki mężczyzny w Tramore. (Mama robiła to niezliczone razy, żeby w ciągu najbliższego roku poznać przyszłego męża. Ha!) Każdy ma swoje rytuały.

Gdyby wierzyć zachowaniu Jamesa, gdy przedstawiłam mu Kena, można by sądzić, że w ogóle go to nie wzrusza, ale ja wiem swoje. A w mojej nowo odkrytej pokorze nie puszczam mu tego płazem.

– Nigdy jeszcze nie przedstawiałam ci moich przyjaciół, prawda, James? Z wyjątkiem Patsy.

– Nigdy – mruczy. Zerka na bukiet.

– Ken mi go dał – mówię – prawda, jaki śliczny? Nic ci nie przyniosłam, nie wiedziałam, co byś chciał.

Właściwie to przyniosłam; zdjęcia mamy, które dała mi Adeline, ale choć Ken przy tym był, nie uważałam za dobry pomysł, by towarzyszył mnie i Jamesowi w ich oglądaniu.

– Nie ma sprawy – mówi James – niczego nie potrzebuję. I tak za dzień, dwa wychodzę.

Nie zwracam na to uwagi.

– Ken prowadzi własną firmę – informuję. Po czym zwracam się do Kena: – A ty oczywiście wiesz, że James pracuje jako kurier.

Siadam i zostawiam ich własnemu losowi.

Muszę przyznać, że Ken nieźle wybrnął. Zagaja o motocyklach, James natychmiast się ożywia. Chwilowo o mnie zapominają.

Sala jest duża: szesnaście łóżek, trzy wielkie okna wychodzące na południe. Odsłonięto żaluzje i firanki, więc słońce wlewa się do środka, padając na kwiaty chorych, ustawione na parapecie – nie mieszczą się na malutkich szafkach przy łózkach – dzięki czemu pomieszczenie nabiera pogody i koloru. Dzięki Bogu, czasu się zmieniły do tego stopnia, że można mężczyźnie przynieść kwiaty.

Pamiętam, że kiedyś za nic by się nie dali złapać z byle stokrotką.

Półuchem słucham szumu rozmów. Podobno był wielkości grejpfruta... Sześć zastrzyków, wyobrażacie sobie?... Ale, dzięki Bogu, już po wszystkim... Dwadzieścia siedem szwów... Złego licha nie bierze... Dali mi w słoiku...

I tak dalej.

To takie sztuczne, prawda? Pacjent próbujący znaleźć złoty środek między uzalaniem się nad sobą a uświadomieniem gościom rozmiarów swego cierpienia i wzbudzeniem w nich współczucia.

Zaś biedni odwiedzający gwałtownie szukają tematu do rozmowy na tyle neutralnego, by nie sprowokował chorego do kolejnej krwawej opowieści i by nie uznano ich za niewychowanych.

W sali jest bardzo ciepło, do tego szmer rozmów... Działa to na mnie hipnotycznie, z trudem panuję nad sennością. Zmuszam się do słuchania rozmowy o motocyklach. Dla mnie to chińszczyzna, ale prostuję się i skupiam. Silniki ileś tam zaworowe. Gaźniki.

Szczegóły techniczne. Uświadamiam sobie, że to, co się właśnie dzieje, to takie próby niewywoływania wilka z lasu.

Czekam na przerwę.

– Była policja? Zgłosiłam napaść, rozmawiałam też z prawnikiem.

– Przepraszę was na chwilę. – Ken lekko się unosi. – Na pewno wolelibyście to omówić sami.

– To zależy od ciebie – mówię. – Mnie twoja obecność nie przeszkadza. Ken wie o wszystkim – zwracam się do Jamesa –

powiedziałam mu.

Widzę, że żaden z nich nie jest zadowolony, ale, wiecie co, moi drodzy? Guzik mnie to obchodzi.

– Czego będą ode mnie chcieli? – pyta James skrępowany.

– Wysłuchają twoich zeznań, a reszta należy do nich. Cisza.

Ken odchrząkuje. Potem:

– Widziałeś złotoskrzydłą hondę, James? – zagaja. – Nie nazwałbym jej motocyklem. To zwykły fotel, tyle że na kołach.

Jak sobie chcecie, myślę i się wyłączam.

Nieco później Ken rzeczywiście wychodzi. Odprowadzam go do drzwi sali. Na korytarzu proszę o kolejną wyprawę do Birr. Nie ma co owijać w bawełnę, walę prosto z mostu, o co mi chodzi, a on natychmiast się zgadza. Jeśli badania krwi będą w porządku, Jamesa wypuszczą w poniedziałek, więc umawiamy się Kenem, że wyjedziemy w sobotę po południu. W ten sposób żadne z nas nie musi urywać się z pracy.

Pewnie myślicie sobie, że jestem wyrachowana. Jeszcze dziś rano zarzekałam się, że więcej się z nim nie zobaczę. I macie rację. Jestem wyrachowana. A wy, na moim miejscu, nie bylibyście? Sprzedałabym własną babkę, gdybym takową posiadała.

Zresztą, myślę sobie, może nie powinnam się tak śpieszyć z zerwaniem. Może przemyślał sprawę i uznał, że dziś rano nie zachował się najlepiej. Pewnie właśnie dlatego zjawił się w szpitalu. Muszę przynajmniej domniemywać jego niewinność. No i, jak już wam mówiłam, wtedy, na stopniach szpitala, czułam, że mięknę...

W piątek James był już z grubsza podleczoney. Przynajmniej na ciele, choć siniaki na twarzy nadal mieniły się kolorami tęczy.

Poza tym jest przygnębiony, w znacznie gorszym stanie, niż gdy go tu przywieźli. Nic mu nie odpowiada. Jedzenie.

Pielęgniarki, pacjenci. Telewizor wisi za wysoko i nie pod tym kątem, więc nic nie widzi. Do niczego. Wszystko.

Przyniosłam delikcje? Uwielbia delikcje, tylko o nie prosił.

Daję mu nowe opakowanie. Natychmiast je rozrywa i rzuca się na ciastka.

– Będiesz miał krosty – ostrzegam. – Od czekolady zepsuje ci się cera.

– I co z tego? – Wpycha następne ciastko do ust. Siadam.

– Coś nowego? – pytam, choć nie oczekuję żadnej odpowiedzi.

Rozmowa z Jamesem to jak gadanie do obrazu. Spytacie, co z moimi szczytnymi postanowieniami w kwestii zaprowadzenia nowej ery otwartości w stosunkach między nami. Nie zapomniałam o nich.

Wkrótce do nich wrócę. Ale na razie to po prostu zbyt męczące.

Dowiaduję się, dlaczego nagle wszystko przestało mu pasować.

Na chwilę zostawia ciastka i mówi mi. Przyszli gliniarze ze zdjęciami ludzi, których chcieli wyeliminować z listy podejrzanych. Nikogo nie poznał. Co gorsza, otrzymał anonim.

– Pokaż – mówię.

Rozgląda się po sali, dopiero potem otwiera szafkę. List napisano na liniowanej kartce z notatnika.

*Droga Gnido. To był dopiero początek, gnojku. Wynoś się z tego kraju i zabieraj ze sobą swoją zasraną sędzinkę, która cię uwolniła i puściła z powrotem między przyzwoitych ludzi. Wynoś się albo pożałujesz ty i twoja siostra. Następnym razem to nie będzie tylko bicie. I nawet nie próbuj w to wciągać policji, bo i tak się dowiemy.*

Pismo pochylone w lewo. Znam tę sztuczkę, chodzi o to, żeby nikt go nie rozpoznał. Oczywiście, list nie jest podpisany.

– Pokazałeś to policji? – pytam Jamesa.

Kręci głową. Znowu pochłania delicje, ale widzę po jego oczach, że jest przerażony. Grając na zwłokę, udaję, że oglądam kopertę. List zaadresowano do niego, podano właściwy numer sali.

– Piszą, że się dowiedzą, jeśli powiem policji, a teraz pomyślą, że im go pokazałem – mówi. – Dostałem go przed wizytą glin.

Jakbym sama nie potrafiła połączyć tych faktów. Jeśli go obserwują, na pewno dodadzą jedno do drugiego.

– Nic takiego sobie nie pomyślą – uspokajam, ale nie jestem taka pewna, jak mój głos by na to wskazywał. – Nie możesz dać się zastraszyć. Zgodziłeś się wnieść oskarżenie o napaść?

– Tak. Powiedzieli, żebym po wyjściu ze szpitala zgłosił się na komisariat. Ale przecież nie mogę. Po tym liście? – Jest taki przybity, że okruchy z delicji, którą właśnie je, sypią się na pościel.

– Dobrze, dobrze, uspokój się. – Rozglądam się po sali. Kto go obserwuje? W łózkach leżą przede wszystkim starcy, nikt na nas nie patrzy, wszyscy koncentrują się na rodzinach i przyjaciółach.

Trudno podejrzewać personel medyczny. Czyjś gość?

Narzucam sobie zdecydowany ton:

– Przede wszystkim musisz to dać policji. Jeśli nie ty, to ja.

– Nie rób tego, nie rób – błaga. Jest taki przerażony, że serce mi się kraje.

– Dobra, ale zachowam go. – Wkładam anonim do torebki. –

Te rzeczy to jak trucizna, James, wysyła się je, żeby zastraszyć innych. Zapomnij o nim. Tutaj nic ci nie grozi. Przecież nie przyjdą tu i nie zrobią ci krzywdy.

– Skąd wiedzieli, gdzie leżę? Wolałabym, żeby nie zadawał

tego pytania.

– Nie wiem, James, przyznaję, ale z całą pewnością nic ci tu nie grozi. A w poniedziałek wrócisz do domu i coś wymyślimy.

Patrice Murphy pomoże. Ktoś nam pomoże, obiecuję.

Wtedy się zaczyna.

Ja, Angela, nie mam zielonego pojęcia, jak wygląda prawdziwe życie. Ostatnia naiwna, wyobrażam sobie, że ludzie na ogół są w porządku, co może dotyczy większości przedstawicieli mojego pokolenia, ale James i jego kumple znają prawdę. Na ulicy wystarczy krzywo na kogoś spojrzeć – albo żeby on pomyślał, że krzywo na niego spojrzalesz – a dostaje się w pysk albo zalicza w limo. Potem tamten zwołuje swoich kumpli i wraca po ciebie i człowiek ni z tego, ni z owego ląduje w środku bójki, o którą się wcale nie prosił. Czasem nawet atakują nożami...

Pochyla się nade mną, wyrzucając z siebie to wszystko, jest taki nakręcossy, że gdyby nie gips, chyba chwyciłby mnie za gardło. Ja, Angela, nie mam zielonego pojęcia, co naprawdę się dzieje ani jak wygląda prawdziwe życie. Żyję w urojonym światku, uważam, że Dublin to przyzwoite miasto, bo nikt bez powodu nie atakuje kobiet. Za to facetów tak.

Próbuję coś wtrącić, ale nie pozwala mi dojść do słowa.

– Zamknij się, zamknij, nie masz, kurde, o niczym pojęcia.

To jak drugi Bejrut. Nie można już przejść z kumplem ulicą, nie można wypić w pubie piwa. I to nie tylko nocą, nawet w biały dzień, człowiek nic im nie robi, trzeba tylko pilnować własnego nosa. Kobietom dobrze, ich się nie czepiają... Wstaję.

– James, James, błagam, przestań. Przestań... – mówię cicho, ale widzę, że pacjenci i ich goście zaczynają ku nam zerkać.

Opada na poduszki, z oczu płyną mu łzy.

– O to chodzi – mówi. – Nie wierzysz mi, nikt mi nie wierzy, nikt nie wie, jak to jest. Ale spytaj któregoś z moich kumpli, spytaj, kogo zechcesz, oni ci powiedzą...

Wyrywa mu się szloch, rozgląda się, czy ktoś nie zauważył.

Dostrzega spojrzenia, zdrową ręką zasłania oczy. Uosobienie rozpaczony.

– Już dobrze, James – szepczę. – Nic nie usłyszeli.

– Tak, dobra. – Odwraca się ode mnie. – Po prostu nie masz pojęcia.

Co mam mu odpowiedzieć? Próbować podnieść go na duchu?

Myli się. Wiem, co się dzieje na ulicach, o tak. Ale faktycznie mną wstrząsnął. W swojej ignorancji sądziłam, że takich dzieciaków jak on to jeszcze nie dotyczy, że to, co się dzieje na ulicach Dublina, to nie ich problem. Dałam się nabrać na te ich miny chojraków.

Oczywiście, ilekroć gdzieś wychodził, zamartwiałam się o niego; człowiek widzi błysk noża albo wybijanie zębów, słyszy zgrzyt ostrza o kości.

Ale nie sposób bez przerwy żyć w takim napięciu, człowiek by oszalał, więc tworzy otoczkę ochronną, w którą się spowija, póki niepokój nie stanie się przyćmiony, niekonkretny. Niczym zawsze otaczający cię zapach. Człowiek powtarza sobie w duchu, że nie sposób ich pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę, zresztą są pełnoletni, dorośli, nie można ich trzymać pod skrzydłami jak niemowlęta. Więc ze wstydem liczy się, że jeśli już kogoś coś spotka, to nie twoje dziecko, a po pewnym czasie przywyka się do nieustannego strachu, który teraz wszystkim nam towarzyszy.

Problem w tym, że silny strach nieustannie się odradza.

Nieustannie człowieka dzieli od nieszczęścia tylko ułamek sekundy. Dzwonek telefonu. (Kartka wsunięta pod drzwi!) Ilekroć któremuś z nich to się przytrafia, to jakby się przytrafiło tobie.

Oglądam w gazecie pobitą twarz jakiegoś dzieciaka, a moja wyobraźnia podsuwa na to miejsce twarz Jamesa.

Udało mi się go uspokoić, ale sama jeszcze nie zdecydowałam, czy iść z listem na policję. Z pewnością pokażę go Patrice'owi Murphy'emu i zasięgnę u niego języka. Co prawda z jego dotychczasowej rady – zgłoś to na policji – na razie nic dobrego nie wyszło. Tylko biedny James dodatkowo się wystraszył.

A przy okazji, trochę mnie niepokoi, że nie rozpoznał nikogo ze zdjęć. To znaczy, że ci dranie, którzy go pobili, nie są z żadnej paczki znanej policji. Amatorzy mogą być znacznie bardziej niebezpieczni.

## **Rozdział 27**

Pamiętacie „Dziwne losy Jane Eyre”? Bohaterka mówi tam:

„Czytelniku, poślubiłam go”. Ja nie mam wam tego samego do powiedzenia, ale coś, co brzmi równie dramatycznie.

Czytelniku, znalazłam go. Mojego ojca.

Dopisało mi prawdziwe szczęście. Aż się nie chciało wierzyć, jakie to proste; może trzeba było to



zrobić wiele lat temu. (Choć może nie. Wtedy jeszcze chyba do tego nie dojrzałam. Zresztą nie potrzebowałam go aż tak pilnie).

Posłuchajcie, co się wydarzyło.

Wyobrażacie sobie, jak, wobec czekającej mnie podróży, trudno mi przyszło zachować cierpliwość do Samant i ich balsamicznego octu winnego. Musicie mi uwierzyć na słowo: byłam nadzwyczajna. Zresztą musiałam, w obliczu wszystkich moich problemów. Tej jednej pracy nie chciałam stracić.

Potem przemknęłam przez pół miasta odwiedzić Jamesa. Był w ponurym nastroju, ale przynajmniej się uspokoił i widziałam, że ucieszył się na mój widok, choć, Boże uchroni!, głośno się do tego nie przyznał.

Nie odwiedzało go wielu gości. Mówiąc brutalnie, przychodziłam tylko ja i jeden z jego kumpli, Ferdia, ten, który pracuje w firmie komputerowej ojca i ma samochód. Wpadł raz.

Znowu musiałam zmienić poglądy. To przecież jego uznałam za złe towarzystwo dla Jamesa – może pamiętacie, że to on pierwszego wieczoru udostępnił wóz Jamesowi i Rosemary Madden na igraszki. I proszę, zjawia się, gdy James potrzebuje kumpla.

Jakby na podkreślenie pustki wokół Jamesa i że kto żyw dał

nogę, Ferdia podpisał się na gipsie. Teksty na gipsie mają być zabawne i śmieszne, ale mnie się chciało płakać na widok tego jednego imienia, jedyne stateczku na pustym morzu. Już chciałam też się podpisać, żeby zatrzeć to wrażenie, wtedy jednak uświadomiłam sobie, że mogę osiągnąć zgoła odwrotny skutek.

James potrzebował podniesienia na duchu. Więc przybieram najbardziej rzeczowy, a zarazem optymistyczny ton. Tłumaczę, dlaczego się śpieszę i nie mogę dłużej zostać.

Oczywiście, zachowuje obojętność. Równie dobrze mogłabym jechać do Pipidówka.

– Nie chciałbyś, by w naszym życiu pojawił się ojciec?

Oczywiście, nie mieszkałby z nami, ale byłby w tle.

– Pieprzysz.

Nie zwracam uwagi na ordynarne słowo.

– A ja bym chciała – odpowiadam. – Życz mi szczęścia.

– Powodzenia.

Jak już wspominałam, rozmowy z nim nie należą do łatwych.

Tamtego popołudnia, gdy wyruszyliśmy z Kenem do Birr, niebo było zasnuwane chmurami, zanoszący się

na deszcz. Do momentu, gdy wypadliśmy na dwupasmówkę, rozważałam, czy by nie udać się prosto do Adeline i spytać ją, co wie o moim ojcu.

Ale nim dotarliśmy do Rathcoole, zmieniłam zdanie.

Postanowiłam zachować ciotkę w odwodzie. Chciałam załatwić sprawę możliwie bez zamieszania. (Pewnie stchórzyłam, przestraszyłam się, czy to zniosę. Adeline jest wyjątkowo bezpośrednia).

Okazało się, że policjant nazywa się Mick Flanagan. Nie było go na posterunku, ale opisałam go i jeden z kolegów skierował nas do jego domu. Kazał nam się rozglądać za domkiem przy polu kapusty jakieś pięć kilometrów za miastem na drodze do Tullamore.

Oczywiście, gdy tam dojeżdżamy, jestem stremowana, ale on okazuje się niezwykle miły. Sam otwiera drzwi.

– Czym mogę służyć? – Potem mnie poznaje. – O, witamy z powrotem.

Natychmiast mówię, co nas tu sprowadza. Nie ma sensu owijać w bawełnę.

– Proszę, proszę, proszę... – Potem nagle wybucha śmiechem.

Nie ma marynarki, tylko koszulę w biało-niebieskie prążki, lekko przetartą przy dziurkach. A gdy zaśmiewa się

serdecznie, w płucach mu świszczę jak palaczowi. Przebiega mi przez myśl, że w jego wieku powinien dochrapać się przynajmniej sierżanta. Może nie zależało mu na awansie. – Wejdźcie, poczęstuję was herbatą – zaprasza, ocierając łzy i kręcąc głową, jakby usłyszał świetny dowcip. – Jestem sam, w soboty zwykle w mieście sporo się dzieje. Moja pani jak zwykle wyjechała z córkami na polowanie po sklepach, zostawiając mnie własnemu losowi. Wchodźcie.

Czuję się niezręcznie, sami rozumiecie, ale nie chcę się okazać nieuprzejma. Dlatego wchodzimy. To miłe, przytulne mieszkanko.

Właśnie o takim marzyłam dla siebie i Jamesa. Bardzo dużo okien z widokiem na ogród. Co prawda zmieniłabym trochę wystrój – za dużo tu różnych gryzących się wzorków na tapecie, wykładzinie itede. Wolę gładkie powierzchnie.

Idziemy za nim do kuchni. Jeszcze więcej wzorków: na glazurze, linoleum, pokrowcach, na niezliczonych niepotrzebnych garnuszkach i pojemniczkach. Zdaje się, że hobby żony stanowi patchwork. Na parapecie widzę dwie osłonki na czajnik zszywane z kawałków i takiż obrus.

– Nie dziwię się, że pani wróciła, właściwie spodziewałem się tego – mówi Flanagan, włączając czajnik. – Ostrzegalem panią, że Adeline nie będzie chętna do współpracy. Czyżbym się nie pomylił?

Nie chcę obgadywać Adeline, w końcu to moja krewna.

– Była wspaniała – odpowiadam – ale nie spodziewała się nas.

Pracowała w ogrodzie, zdaje się, że przeszkodziliśmy jej w robocie.

Brzuch znowu mu się trzęsie, gdy wybucha śmiechem. Ojej, aż jęczy. Zdejmuje z wieszaka przy solidnej kuchni serwetkę i sadowi na niej swoje obfite siedzenie. Zaplata ręce na piersi.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – tłumaczy. – Wszyscy ją lubimy. Brak nam tutaj szlachetnie urodzonych, oczywiście z wyjątkiem mieszkańców zamku.

– Może mi pan pomóc? – przechodzę do rzeczy. Nie chcę długo tu siedzieć, choć on zachowuje się, jakby miał wolne całe stulecia.

Poważnieje.

– Mogę wam pomóc, ale nie wiem, czy powinienem od razu podawać pani nazwisko. Zdaje się, że istnieją jakieś procedury w tego rodzaju sytuacjach.

– Tak – przyznaję. – I nie żądam od pana niczego, co by było niezgodne z przepisami. Ale wszak prawo nie zabrania opowiadania o mojej zmarłej matce. I przypomnienia sobie, z kim się trzymała przed wyjazdem do Dublina. Pogawędki o jej przyjaciółkach.

Podawałam mu rozwiązanie na tacy. Starannie to przygotowałam, bo aż nadto dobrze zdawałam sobie sprawę, ile formalności trzeba załatwić, nim się odnajdzie rodziców, na przykład w takich sytuacjach jak adopcja, gdy muszą wyrazić zgodę na to, by ich szukano. Ale tu nie mieliśmy do czynienia z adopcją.

– Hmm... – mruczy. Nie wie, w co się pakuje? Ale wtedy znowu wybucha śmiechem.

Ten śmiech zaczyna mnie niepokoić. Co go tak bawi? Nie zdążyłam spytać, bo Mick Flanagan zwrócił uwagę na Kena.

– To pani mąż?

– Nie – mówię szybko, by oszczędzić Kenowi zażenowania. –

Ken Sheils jest moim przyjacielem.

– Więc, Ken, co o tym sądzisz? – Flanagan mości się, znowu zaplata ręce na piersi. – Nie uważasz, że czasem lepiej nie budzić licha, póki śpi?

– Sądzę, że Angela wie, co jest dla niej najlepsze – odpowiada spokojnie Ken.

Nasz człowiek porzuca rolę rozbawionego policjanta i mierzy mnie spojrzeniem, które rozpoznałam już przy pierwszym spotkaniu. Może jest pogodny, ale nie da się nabrać.

Wtedy gotuje się woda i Mick Flanagan zajmuje się szykowaniem herbaty.

– Jak to się stało, że nigdy wcześniej pani tu nie przyjechała, panno Devine? – pyta. Jest odwrócony

plecami, ale mam dziwne uczucie, że mimo to mnie widzi.

– Nie potrafię odpowiedzieć – przyznaję się. – Zawsze chodziło mi to po głowie, ale nigdy nie potrafiłam się zdecydować.

Waham się”, ale on się nie rusza. Jego plecy bacznie nasłuchują. Czuję, że oczekuje ode mnie dalszych wyjaśnień.

Więc dodaję:

– Może bałam się tego, co tu zastanę.

Szybko się odwraca do mnie i do Kena, wolno miesza herbatę.

– Skąd pewność, że pani ojciec pochodzi z tych stron?

Devine’owie mieli pieniądze. Co roku wyjeżdżali na wakacje.

Pani matka mogła poderwać kogoś w Connemara albo i samym Dublinie.

Wpatruję się w niego. Pomoże mi czy nie?

– Mogła – mówię równym głosem. – I oczywiście nie wiem, czy on stąd pochodzi. Ale tu zaczynam, wydaje mi się to logicznym punktem wyjścia.

Udzieliłam chyba właściwej odpowiedzi. Odpręża się, stawia czajniczek na stole, gdzie już czekają kubki – oczywiście wzorzyste – zdjęte ze stojaka. Przybiera inny ton, tym razem oficjalny.

– Jeśli pani powiem, gdzie szukać, proszę zachować dla siebie, kto był źródłem informacji. Choć pewnie i tak niedługo się dowie, kto panią przysłał – dodał jakby do siebie. Potem, patrząc mi prosto w oczy: – Ale dopóki pani się nie przyzna ani ja się nie przyznam, nie stanie się nic złego. Zgoda?

Spoglądamy na siebie z Kenem. Obiecuję zachować milczenie.

Policjant nalewa herbaty do kubków.

Przeszywa mnie zimny dreszcz – w dzieciństwie mawialiśmy, że właśnie ktoś przeszedł po naszym grobie. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, na co się ważę. Przyjechałam do Birr instynktownie, niczym ćma pędząca do światła. I teraz znalazłam się tuż przy świecy. Kto to powiedział: nie żądaj niczego, czego szczerze nie pragniesz? A jeśli mój ojciec okaże się kryminalistą? Może to tak ubawiło policjanta?

Ceremonie z herbatą ciągną się w nieskończoność. Nalewanie mleka z kartonu do dzbanuszka, zagłębienie do cukiernicy, czy nie brakuje cukru. Chce mi się wyc.

– Dobrze – oświadcza wreszcie, słodząc sobie herbatę. –

Derrybride – ciągnie – tuż za Tullamore, nie sposób nie zauważyć.

To jedyny wolno stojący budynek w wiosce. Jeśli nie będzie go w domu, zostanie go pani w biurze w drugiej wiosce, czasem pracuje w soboty. Biura też nie sposób przegapić. To przy głównej ulicy.

Duży budynek, podwójne drzwi.

– Jak się nazywa? – Serce kołacze mi się w piersi. W jego oczach pojawia się błysk.

– Pius Crawford – mówi. Cisza.

Potem:

– Nic to pani nie mówi?

Kręcę głową. Dziwi mnie jego pytanie. Ken kładzie mi rękę na ramieniu.

– Dobrze się czujesz, Angelo?

Nie dziwię mu się. Pewnie wyglądam jak trup. Pius Crawford.

Powinnam się nazywać Angela Crawford. Z trudem przełykam ślinę.

– Dlaczego to nazwisko miałoby dla mnie coś znaczyć? –

pytam naszego informatora.

– Pan Crawford jest znany w okolicy – wyjaśnia. – Jest... Na pewno nie kojarzy pani tego nazwiska?

Kręcę głową.

– Cóż – ciągnie – powiedzmy, że pan Crawford to... jak by to ująć? Aktywista. Aktywnie broni pewnych spraw.

– Na przykład?

– Słyszała chyba pani o organizacji Przeciw Rozwodowi i temu podobnych?

– Tak.

– Pan Crawford z żoną są twórcami organizacji pod nazwą Prawa Katolików. To niewielka grupka, ale reprezentuje poglądy nieco zbliżone do wyżej wspomnianej Przeciw Rozwodowi i innych tego rodzaju. Co więcej, ponoć w porównaniu z Prawami Katolików tamte są niezwykle liberalne.

Teraz już rozumiem, dlaczego się śmiał. Mnie nie jest do śmiechu.

Dowiaduję się, że Pius Crawford, z wykształcenia pośrednik w handlu nieruchomościami, ojciec siedmiorga dzieci, organizuje różaniec przed kinami, w których są wyświetlane filmy ze scenami

erotycznymi. A w sprawie irlandzkiej Wielkiej Trójcy: antykoncepcji, rozwodu i aborcji, Pius z towarzyszami – w większości kobietami – przykuwał się do bramy kościelnej, by zamaniifestować swoje poglądy. Organizuje też pikety przeciwko wszystkiemu; od programu przeciwdziałania AIDS w szkole po udzielanie dziewczętom przytułku w domach samotnej matki.

– Domach samotnej matki? – Zaczynam odzyskiwać głos. Mick Flanagan unosi brwi.

– Oni uważają, że te domy są zaprzeczeniem wartości rodzinnych. – Bacznie mi się przygląda. – Dziwne, że pani o nim nie słyszała, nawet w Dublinie. Teraz, gdy już pani wie, co ją czeka... – Waży słowa. Waha się. – I co czeka biednego, starego Piusa, gdyby pani wydobyła to na światło dzienne... Może prościej będzie zostawić go w spokoju. Jeśli się pani rozmyśli, przysięgam, że nikomu ani słowem nie wspomnę o pani odwiedzinach.

To mnie dobija. Do diabła z problemami Piusa Crawforda. A co z naszymi problemami? Nie dam się odwieść. Dostrzegam ironię sytuacji, trudności i wszystko, co się przede mną piętrzy, ale nie dam się zawrócić z raz obranego toru. Muszę pamiętać o podstawowej sprawie. James potrzebuje pomocy. To wszystko.

Przyglądam się Flanaganowi.

– Skąd pan wie, że to on?

Poprawia się na krześle, trochę mu przeszkadza duży brzuch.

– W swoim czasie całe miasto wiedziało – wyjaśnia cicho. – Co więcej, aż w nim huczało. Mam nadzieję, że pani się nie obrazi, panno Devine, ale tutaj ta afera była lepsza niż „Dallas”.

Crawfordowie byli, i nadal są, właścicielami ziemskimi, a pani dziadkowie należeli do śmietanki miasta. Rodziny przyjaźniły się, choć z daleka. To było przed czasami ekumenizmu – dodaje spokojnie, bez cienia sarkazmu.

– Rodzina wyrzuciła ją na bruk, bo on był katolikiem? – Jestem gotowa płomiennie bronić matki.

– Pani dziadkowie nie byli najgorsi – mówi Flanagan. –

Oczywiście, ogromnie ich to zabolalo. Ogromnie. – Pochyla się w moją stronę. – Nawet pani nie ruszyła herbaty. Doleję pani wrzątku. – W cichej kuchni brzmi to jak huk Niagary; potem gospodarz znowu siada. – Niech im Bóg wybaczy, to się wydarzyło ponad trzydzieści lat temu...

– Trzydzieści sześć.

– Skoro pani tak twierdzi... Cukru? Mleka? Może się pani poczęstuje herbatnikiem albo biszkoptem?

Oboje z Kenem dziękujemy za poczęstunek. Z trudem podnoszę kubek do ust, stukam o niego zębami. Ken to zauważa.

Reaguje.

Odstawiam kubek.

– Dlaczego w mieście aż huczało?

– Mówiąc najogólniej – policjant patrzy na mnie swymi inteligentnymi oczyma – właściwie nie chodziło o samą sytuację.

Pani biedna matka zachowywała się, jakby jej nie obchodziło, kto wie ani co sobie myśli.

Relacjonuje nam wypadki, na tyle, na ile je zapamiętał.

– Gdy zupa się rozlała, że się tak wyrażę, rodzina Crawfordów wpadła w jeszcze większą furję niż pani dziadkowie. Jeśli pani powiem, że Pius Crawford ma dwóch braci, Bonawenturę i Ignacego oraz siostrę Annunziataę, chyba domyśli się pani, o co chodzi. Pius był drugim synem, a jak pani wiadomo, ziemianie drugiego syna zwykle wysyłają do seminarium. Ale po tej historii mógł się pożegnać z myślą o nim. A w takiej rodzinie...

Wzrusza ramionami.

Crawfordowie chcieli wyciszyć całą sprawę, żądali, żeby matkę wysłano do Anglii, gdzie w tajemnicy odda dziecko – mnie! – do adopcji.

Nawet gdyby ta historia dotyczyła kogo innego, i tak jest fascynująca: w końcu rzecz się działa w latach sześćdziesiątych.

Sądziłam, że takie postawy już dawno się skończyły.

– Matki pani nie udało się wysłać. Obie rodziny i duchowni obu stron usiłowali ją namówić, lecz ona upierała się, że ją i Piusa Crawforda łączy prawdziwe uczucie. Zachowywała się histerycznie – policjant starannie dobiera słowa, ale nietrudno doczytać się między wierszami prawdy – i choć jej rodzice robili, co w ich mocy, by nad nią zapanować, nękała Crawfordów, tygodniami, w dzień i w nocy ich nachodząc, krzycząc i grożąc, że się zabije, jeśli Pius do niej nie wyjdzie. (W środku zaś tymczasem rodzice pewnie grzmocili Piusa różańcami... ) Nie wyszedł.

Flanagan nie podaje szczegółów jej wyjazdu z Birr.

– Wiem tylko – mówi – że pewnego dnia rozniosła się wiadomość, że Rose Devine zniknęła. Pojawiły się różne spekulacje, twierdzono, że wyjechała do Stanów, do Anglii, rzuciła się do rzeki. Cóż, wiedziałem, że z pewnością nie rzuciła się do rzeki. Mój kolega, który ją znał, a którego przeniesiono do Portaloise, na własne oczy widział, jak tuż za Abbeyleix złapała okazję w kierunku Dublina. Niech Bóg się zmiłuje nad Devine'ami – kręci masywną głową – ale bardzo szybko pojawiła się inna sensacja i wszyscy zapomnieli o biednej Rose.

Wiem, że obserwuje moją reakcję. A ja nie czuję zupełnie nic.

Jestem zimna jak Morze Arktyczne. Czyż to nie dziwne?

– Niech pani źle jej nie osądza – mówi wolno. – Była bardzo .

młoda. Często się zastanawiałem, co potem się z nią stało, ale kiedy zobaczyłem w gazecie pani zdjęcie i nazwisko...

– Jakie zdjęcie? W jakiej gazecie?

– W jednym z brukowców. W „Star” albo w „Irish Sun”. Nie widziała pani?

Kręcę głową. Potem przypominam sobie dzień, gdy po otwarciu drzwi oślepiła mnie lampa błyskowa. Nie sprawdzałam w żadnej z tych gazet. Teraz rozumiem, dlaczego sprawa tak szybko się rozniosła. Nie tylko dzięki notce w „Heraldzie”.

Przez parę minut siedzimy w milczeniu. To się okazało za łatwe. Jestem niemal rozczarowana, uwierzylibyście?

Bo w głębi ducha nie spodziewałam się, że już za pierwszym podejściem zdobędę jego nazwisko. Może dlatego, że wychowałam się w mieście i nie do końca sobie uświadamiałam, że na prowincji wszyscy wszystko wiedzą o sąsiadach.

Gadanie. Próbuję mydlić sobie oczy. Ileż razy ze zdumieniem odkrywałam, że Dublin to w gruncie rzeczy wioska?

Nie ulega wątpliwości, że gdybym przyjechała tu dziesięć, piętnaście lat temu – kiedy powinnam była to zrobić –

zaoszczędziłabym sobie lat zastanawiania się i tęsknoty. Dlaczego nie przyjechałam? Bo zapewne podświadomie zdawałam sobie sprawę, że będę się bać.

I miałam rację. Boję się. Mój wymarzony ojciec był cudowny, a teraz sama zrzuciłam go z piedestału.

Muszę stanąć twarzą w twarz z faktem, że ten nagły impuls, by odnaleźć ojca, był niczym więcej niż właśnie tym: impulsem.

Szukałam ojca, bo czułam się bezradna. Niezdolna do udzielenia pomocy Jamesowi.

Nawet gdy tu jechałam, wyobrażałam sobie twarz policjanta, mówiącego: „O, tak, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. Miał złamane serce”. Potem Ken zawiózłby mnie do Adeline, ona pogrzebałaby w pamięci i udzieliła bardziej szczegółowych informacji. „Tak, zawsze się zastanawialiśmy... Nigdy już nie wrócił, nawet z krótką wizytą...” Wtedy mogłabym kontynuować bezpieczne poszukiwania.

Wypisywać listy do Ministerstwa Obrony Narodowej. Naszego i francuskiego. Albo do najróżniejszych instytucji. I w końcu, gdzieś tam w Różanej Przyszłości, czekałby mój ojciec, gładko wygolony, przystojny, wyciągając ręce do swojej córeczki: Kenneth Morę w filmie „Reach for the Sky”. Żałujący swego dawnego jednorazowego zejścia z drogi cnoty, ale uszczęśliwiony, że oto



trafia mu się niepowtarzalna szansa naprawienia krzywd.

Cóż, los spletał mi figła – i to nie tylko w jednej sprawie.

Chciałam czystej, klarownej sytuacji? To ją mam. A teraz muszę jej stawić czoło.

Nie mogę się otrząsnąć.

– Jest pani niezwykle podobna do matki – mówi policjant w przestrzeń.

Podrywam się.

– Bardzo panu dziękuję. Jestem ogromnie wdzięczna za pomoc.

– Niech pani to sobie jeszcze przemyśli. – Flanagan dźwiga się z miejsca. – Crawford nie ucieknie. Będzie tu jutro, i za tydzień, i za rok... Niech pani się zastanowi, na co się pani waży. – Spuszcza wzrok, jakby zawstydzony. – Niech pani pamięta – ciągnie – że zapewne kochał ją tak samo, jak ona jego. Tyle że w tamtych czasach sprawy wyglądały inaczej.

Facet jest sympatyczny, ale nie chcę dłużej go słuchać. Nie teraz.

Wychodzimy i wracamy do furgonetki. Sam, który zwykle wita mnie liźnięciem, nawet po krótkim rozstaniu, tym razem trzyma się z daleka. Psy mają szósty zmysł. Tak przynajmniej ludzie powiadają.

– Jedź szybko – zwracam się do Kena. Słucha bez dyskusji.

– Derrybride? – pyta.

Potwierdzam, uruchamia silnik i zdąża w stronę Tullamore.

Sądzę, że w pewnym sensie jest równie zdumiony jak ja.

Choć to niemożliwe. Nikt nie może być równie zdumiony jak ja. Od początków świata nikt nie był. A mimo to, z niepojętych przyczyn, muszę stawić temu czoło. Choćby moim ojcem okazał

się Dzyngischan.

To się nazywa szybka jazda. Ledwo dotarliśmy do okropnego tłucznia, pełniemy z szybkością niecałych dwudziestu kilometrów na godzinę. Jestem taka spięta, że chyba zaraz pęknę.

Bębnię palcami. Jeszcze tylko brakuje ciężarówki, która zacznie na nas trąbić. Wtedy poznasz prawdziwe oblicze Angeli Devine, o tak...

– Jak sądzisz, dlaczego ten policjant nigdy nie awansował? –

pytam Kena po paru minutach jazdy.

Zerka na mnie z ukosa.

– O co ci chodzi?

– Nie drażni cię to? Gdy ktoś pyta: o co ci chodzi, kiedy właśnie się powiedziało, o co chodzi? – Zapanowuję nad rozdrażnieniem. – Robi wrażenie zbyt bystrego i inteligentnego, by być zwykłym posterunkowym. W tym wieku powinien być co najmniej sierżantem.

– Kto wie? – Ken kiwa głową niczym stary mędrzec. – Może komuś nadepnął na odcisk. To małe miasto – mówi.

Albo przynajmniej mi się wydaje, że tak powiedział. Nie słuchałam. Co mnie obchodzi Mick Flanagan i jego awans? Co powiem Piusowi Crawfordowi?

## Rozdział 28

Mam nadzieję, że się nie pogniewasz – przerywa milczenie Ken

– ale czy nie brakuje wam pieniędzy?

To mnie natychmiast budzi z zadumy, wierście. Mam nadzieję, że nie sprawiam wrażenia biednej.

– Świetnie sobie radzimy, dzięki.

Wcale nie było świetnie. Nie dość że pieniądze ze zdraпки znikwały w zastraszającym tempie, to budżet domowy coraz wyraźniej odczuwał brak paru funciaków z pracy w lokalu. Na krótką metę sobie poradzimy, ale bardziej mnie niepokoiła dalsza perspektywa. Za sprzątanie dostawałam grosze, przyszłość PA System nie zapowiadała się różowo, łagodnie mówiąc. Patsy pochłaniały inne sprawy – a to ona zajmowała się stroną organizacyjną występów – poza tym przy jej obecnym stosunku do mnie wątpiłam, czy zespół się utrzyma. Następnego ranka nie miałyśmy występu. Co więcej, od tamtej koszmarnej sceny w barze Patsy nie dała znaku życia.

Do tego jeszcze James nie będzie mógł przez jakiś czas pracować, więc nie będzie też spłacał miesięcznych rat za motocykl.

Możecie spytać, dlaczego w takim razie nie ruszyłam odłożonych pieniędzy. W końcu zgromadziło się ich prawie trzy tysiące.

Nie wiem, czy mnie zrozumiecie, ale miałam wrażenie, że jeśli po nie sięgnę, naruszę ich całość. Sumy tej nie widziałam w banknotach ani monetach. Kiedy o niej myślałam, widziałam zwartą kulkę, całość doskonałą samą w sobie. Świętą. Nie śmieJCie się, ale najbliższa analogia, jaka mi się nasuwa, to moja wizja Trójcy Świętej. W dzieciństwie wyobrażałam sobie trzy osoby boskie zbite w kulę, tak mocno scalone, że nie sposób było rozpoznać, której osoby ręce, nogi i stopy pasowały do której głowy.

PieniądZe były równie niepodzielne jak Trójca. Wszystko albo nic. Do wykorzystania na zakup domu lub dokonanie większej operacji. Czy na kaucję. Ale nie na czynsz i na jedzenie.

– Poradzimy sobie – powtarzam.

– Zwrócisz się do mnie, gdybyś potrzebowała kasy? (Za nic w świecie).

– Jesteś bardzo dobry – odpowiadam.

W tej chwili guzik mnie obchodzą pieniądze. Siedzę jak na rozżarzonych węglach. Ciągłe się wleczeniemy.

– Jak sądzisz, daleko jeszcze? – Staram się nie zrzędzić.

– Pewnie dojedziemy za jakieś pięć minut – mówi Ken.

W dzieciństwie znałam jednego Piusa. Trudno o większego drania niż tamten. Czternastolatek, a już ekshib. (Prawdziwa konkurencja dla Mooneya, króla ekshibicjonistów). Mam teorię, że jeśli w dzieciństwie nienawidziło się osoby o jakimś imieniu, potem każdy imiennik automatycznie staje się podejrzany. I musi się dobrze napracować, żeby zmasać winy swojego poprzednika.

Mam nadzieję, że ten konkretny Pius podważy moją teorię. Ale nie jestem co do tego przekonana.

Ken jeszcze bardziej zwalnia, gdy naprzeciwko zjawia się traktor. Trafił nam się kolejny cudowny dzień, naprawdę upalny i słoneczny. Spod kół traktora lecą kamyki i unoszą się chmury pyłu. Kiedy bezpiecznie się z nim mijamy, Ken zerka na mnie, mimo woli się uśmiechając.

– Na pewno myślałaś, że mu coś zrobię, przyznaj się.

Odpowiadam uśmiechem. To trochę rozładowuje napięcie, ale na krótko.

– Widzę, że się denerwujesz – mówi Ken. – Na pewno chcesz to zrobić? Możemy przyjechać innym razem. Chętnie cię przywiozę, to nie problem. A w tej chwili masz strasznie dużo na głowie.

A nawet mu nie wspomniałam o anonimie.

– Skoro tu przyjechaliśmy – odpowiadam – powinniśmy się już z tym uporać. Chcę go tylko zobaczyć. Nie dążę do konfrontacji.

– Zastanawiałaś się, jak mu się przedstawisz? – naciska.

Nie. Mówię, że ostrożnie to rozegram.

– Ale nie przejmuj się – uspokajam – możesz mnie tylko podrzucić, nie musisz się w to angażować. – W duchu dodaję: Boże, oby był w domu, nie zniosę jazdy do biura. A równocześnie myślę: Boże, oby go nie było w domu. Oby nigdzie go nie było.

– Chcę się zaangażować – odpowiada Ken. – Proszę, Angelo, chcę się zaangażować. – Kładzie mi rękę na kolanie.

W ostatniej chwili powstrzymuję się, żeby się nie odsunąć. To nie byłoby w porządku. Ale nie życzę sobie jego dłoni na mojej nodze. Wydaje się taka wielka. Natrętna. Jedyne, na co mnie stać, by jej nie

odepchnąć, to przykrycie jej własną ręką i lekkie ściśnięcie.

– Dziękuję – mówię. – Jesteś bardzo dobry.

Brzydzę się siebie. Co za hipokrytka. Jeszcze parę dni temu cieszył mnie dotyk tej ręki. A teraz nie mogę znieść przesłania, które ze sobą niesie: poszliśmy na całość, łączy nas intymna więź.

Ale nie mogę cofnąć dłoni, żeby nie zrobić z tego afery. Chodzi o to, że wydaje mi się, iż Ken zachowuje się jak hipokryta. Chce się zaangażować w tę sprawę – we mnie – a równocześnie nie może się zdobyć, by stanąć po stronie Jamesa. Kwiaty i odwiedziny w szpitalu nie zatuszują tych rys.

Widocznie nie jestem namiętna. Może w kwestii seksu daje o sobie znać brak wprawy – dwadzieścia lat to kawał czasu.

Z drugiej strony, moja reakcja może nie mieć związku z seksem ani namiętnością. Niewykluczone, że podnosi głowę moja kolejna wada. Nie wiem, skąd się to bierze, ale ilekroć ktoś oczekuje ode mnie jakiegoś zachowania, natychmiast chcę zrobić coś zgoła przeciwnego.

– Och, skończ z tą psychoanalizą, Angelo! Zrób coś!

Obie nasze dłonie nadal spoczywają na mojej nodze, niczym dwie ciężkie porcje budyniu. Zakładam nogę na nogę, więc Ken musi zabrać rękę, ale najpierw ją ściskam, żeby nie poczuł się urażony.

Wjeżdżamy do Derrybride – stacja benzynowa, kościół, pub i sześć przyklepionych do siebie domów, w wiszących na drzwiach koszykami na pocztę; trójkątny gazon przy skrzyżowaniu, duży głaz z napisem: „Zwycięzca konkursu na najczystsze miasto”.

Jeden stojący na uboczu duży dom.

Okazuje się, że nie możemy zatrzymać się przed samym domem, bo przy krawężniku stoi mnóstwo samochodów, więc mijamy go i parkujemy na pierwszym wolnym miejscu, jakieś czterdzieści metrów dalej, za skrzyżowaniem.

Opuszczam szybę samochodu, oglądam się na dom mego ojca.

Niski, rozłożysty, dobrze wkomponowany w duży plac, otoczony żywopłotem. Wszystko zadbane i wypieszczone. Wzdłuż krótkiego podjazdu rzędy róż. Na środku trawnika obok – co było do przewidzenia – kapliczki leży dziecienny rower górski. Zdaje się, że figurka przedstawia Matkę Boską z Lourdes, choć nie jestem pewna, która Matka Boska ma ręce wyciągnięte, a która złożone. Przed domem podcienia z sześcioma łukami, z boku zaparkowane dwa samochody. Drzwi frontowe otwarte.

Gdy Ken wyłącza silnik, dobiegają mnie śmiechy i rozmowy. Z

tyłu domu. Pewnie urządzają przyjęcie.

Wtedy spływa na mnie olśnienie. Ojciec pracuje w handlu nieruchomościami. To będzie kluczem do

sprawy i pomoże mi bez budzenia podejrzeń rodziny się do niego zbliżyć. Myślę o siódemce dzieci. Nie chcę im przysporzyć bólu.

Ogarnia mnie spokój. U mnie nigdy nie ma stanów pośrednich.

Albo panikuję, albo zamieniam się w lód.

– Jeszcze możemy się wycofać – odzywa się cicho Ken. –

Chyba mają gości.

– Nigdy nie będzie idealnej okazji – mówię. – Zresztą, skoro już przyjechaliśmy...

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł?

– Nie, dziękuję, ale z tym muszę sama się uporać. – Ściskam go za rękę, tym razem bez udawania, bo naprawdę pocziwa z niego dusza. Wsiadam.

W miarę jak zbliżam się do domu, śmiechy i gwar rozmów przybierają na sile. Zdaje się, że to impreza na całego. Jakieś dziecko, może trzyletnie, wybiega przez frontowe drzwi do ogrodu. Dziewczynka jest śliczna, blond loki, ubrana w różowe ogrodniczki. Od Benettona? Nie zdążyła odbiec zbyt daleko, kiedy zjawia się kobieta w żółtej letniej sukience, chwytając ją w ramiona i wnosząc z powrotem do domu. Po drodze nosem szturcha dziewczynkę w brzusek i mówi coś, co mała przyjmuje wybuchem śmiechu, przypominającym dzwonki. Domyślam się, co tamta powiedziała: wracamy, łobuziaku. Albo coś w tym rodzaju. Wyglądają na szczęśliwe i bez troski.

Jestem przy bramie – kute żelazo, otwarta na oścież. Waham się. Czy to żona mojego ojca? Jeśli tak, ładną sobie wybrał.

Biedaczka, nie wie, jaka bomba zaraz na nią spadnie. Korci mnie, żeby uciec, ale za daleko już się posunęłam.

Wchodzę na podjazd. Przed domem, w podcieniach, panuje chłód, również dzięki kamiennej posadzce. Po obu stronach drzwi nisze. Chryste Panie, dopiero teraz zauważyłam, kolejne dwie figurki: Najświętszego Serca i świętego Marcina z Porres! Przez otwarte drzwi widzę w głębi kuchnię, a w niej gawędzące dwie kobiety. Stoją obok siebie, oparte o blat, w rękach trzymają kieliszki z winem.

Jedna z nich zauważa mnie i wychodzi do holu.

– Dzień dobry – mówi przyjaźnie, ma jakieś pięćdziesiąt lat.

– Mogę zamienić słówko z panem Crawfordem? Zajmuje się handlem nieruchomościami, prawda? – Mój głos brzmi pewnie, choć wyraźnie słyszę swoją dublińską wymowę.

Kobieta nie okazuje najmniejszego zaskoczenia.

– Oczywiście – powiada – proszę wejść. Jest w ogrodzie z tyłu domu.

– Nie chciałabym przeszkadzać w przyjęciu.

– Nic nie szkodzi – zapewnia. – Widocznie nie zna pani Piusa!

Sobota to u niego zwykły dzień roboczy, a nasz Pius nie odrzuciłby zlecenia o żadnej porze dnia ani nocy. – Śmieje się.

W innych okolicznościach chętnie bym się z tą kobietą zaprzyjaźniła. Od razu widać, że ma nieskomplikowaną naturę.

Mam nadzieję, że nie okaże się jego żoną.

Nie pozostaje mi nic innego, jak iść za nią. Pewnie dlatego, że wiem, kim jest Pius Crawford i jakich wartości broni, wszędzie dostrzegam tylko religię. Z drugiej strony, nie sposób by było tego nie zauważyć: kolejne wizerunki Najświętszej Maryi Panny, Najświętszego Serca, dwa błogosławieństwa papieskie, figurka świętego Józefa.

Czy to nie dziwne, że w stanie takiego napięcia mimo wszystko potrafię jeszcze dostrzec tego rodzaju rzeczy? Widać mam wyostrzone wszystkie zmysły. Zauważam nawet kuchnię. Jest cudowna. Takie się widuje tylko w pismach, na przykład w

„Hello!”, w wywiadach z ludźmi, którzy całe życie poświęcili tworzeniu domu dla siebie i swoich cudownych dzieci. Ściany w kolorze brzoskwini, błyszczące czerwone garnki, wbudowany sprzęt, miodowe szafki, czarnobiała posadzka, ułożona w szachownicę. Przy podwójnym zlewie kobieta płucze talerze, druga odbiera je od niej i wstawia do zmywarki. Obie one, plus moja przewodniczka, uśmiechają się do mnie, gdy je mijam.

Przechodzimy przez drzwi balkonowe na patio. Za nim rozciąga się ogród.

Trafiłam na przyjęcie z okazji pierwszej komunii. W ogrodzie biega dziewczynka, za nią fruwa welon. Przypomina tryskającą życiem mewę. Gra w piłkę z dwoma mężczyznami. Jej długa, suto marszczona sukienka kołysze się niczym dzwon, atlasowa torebka dynda przy ręce, mała nie zdjęła koronkowych rękawiczek. Za to zrzuciła buty, pończoszki zazieleniły się od trawy. W drugiej części ogrodu chłopczyk w białym pierwszokomunijnym garniturku, którego już nie da się uratować, wraz z innymi dziećmi bawi się na trzepaku.

– Czyż nie są czarujący? – mówi przyjacielska kobieta, zatrzymując się na chwilę na tarasie i z czułością patrząc na dzieci. – Ta dwójka to rodzeństwo cioteczne, obie rodziny postanowiły urządzić wspólnie obchody. Pius ma największy ogród w okolicy. Naturalnie. – Znowu parska śmiechem. – Ach, nie powinnam go obgadywać. Nie jest taki zły.

Czuję się jak Attyla.

– Poczekał tutaj, przy drzwiach – mówię. – Nie chcę psuć przyjęcia.

– Dobrze, pójdę po niego. Kogo mam zapowiedzieć?

– Panią Sheils – walę bez namysłu. Nie wiedziałam, że to powiem.

Przeszła w głąb ogrodu. Nieskazitelna murawa, ani jednego chwastu. Z boku spora szklarnia i szopa, z drugiej strony miejsce zabaw dla dzieci: drabinki, huśtawki, piaskownica, a w głębi altana z markizami, w których cieniu siedzi sześć, siedmioosobowa grupka starszych państwa, w większości w kapeluszach słonecznych. Na stoliku w pobliżu, pod białym parasolem plażowym, stoją dwa białe torty, prawie tak duże jak weselne.

Główny, długi stół ustawiono na brzegu trawnika. Łosoś, indyk, wołowina, sałatki, ciastka i jakieś dziesięć talerzy deserów.

Posiłek już się skończył, ale goście nadal skubią resztki.

Imponujące ilości. A trunki! Bar zaopatrzone jak w pubie, jest nawet metalowa beczułka z kranikiem, to piwo albo porter.

Jeśli wam powiem, że dorosłych gości musiało być ze czterdzieścioro, czterdzieścioro pięścioro, a dzieci pewnie tyle samo, i wszyscy bawili się w rozproszonych grupkach, stojących w dużej odległości od siebie, to może da wam wyobrażenie o tym, jak wielki był ten ogród. Cóż, na wsi przestrzeń nie jest widać na wagę złota.

Patrzę, jak moja przewodniczka idzie przez trawnik w stronę grupki dorosłych, siedzących na składanych krzesłach, parę metrów od starszych państwa przy altanie. Pochyliła się i rozmawia z jednym z mężczyzn, odwróconym do mnie plecami. Ogląda się w moją stronę.

Ciągle jest za daleko, nie widzę rysów twarzy. Ale z pewnością ma jasne włosy.

Obserwuję go z takim napięciem, że wbrew zapewnieniom kobiety, dostrzegam, jak jest wściekły, że się go odrywa od gości.

Z rozdrażnieniem wzrusza ramionami. Potem wstaje, bierze z oparcia krzesła marynarkę i rusza w moją stronę. Parę osób z jego grupki, które się w moją stronę obejrzały, wraca do rozmowy.

Przyłącza się do nich moja przewodniczka.

Pius Crawford wkłada marynarkę, poprawia krawat i zbliża się do mnie. Jest dość wysoki, jakieś metr osiemdziesiąt. Włosy – co teraz zauważam – nieco już przerzedzone. Ma piegi. Nie przygotowałam się na piegi. Piegi są przyjazne. Zawsze przepadałam za piegowatymi mężczyznami, ale chyba wam o tym wspominałam. Może stąd mi się to wzięło.

Okazuje się całkiem przystojny... Boże, sama nie wiem, co o tym sędzę. Nie wygląda na rozmodlonego mnicha ani Chrystusa frasobliwego, jak się podświadomie spodziewałam. Ten człowiek ma na sobie wypisane: tatuś. Tatuś rodem z „Domku na prerii”.

Łatwiej by mi przyszło zebrać się na odwagę, gdyby się okazał

odrażający. Czy na pewno? Przywołuje na twarz uśmiech.

Wyciąga rękę.

– Dzień dobry, pani Sheils – wita mnie. – Czym mogę pani służyć. – Dłoń ma dużą, ciepłą.

– Możemy gdzieś porozmawiać? – pytam.

– Naturalnie. Proszę wejść do domu, znajdziemy sobie jakiś zaciszny kącik z dala od tego zbiegowiska.

Niczego nie podejrzewa. Widzi we mnie wyłącznie potencjalną klientkę.

Przechodzimy przez kuchnię – kobiety znowu się do mnie uśmiechają – a potem do małego pokoju po drugiej stronie holu.

Boazeria, z chińskiej wazy na parapecie uśmiechają się kwiaty, wszędzie zdjęcia rodzinne, w tym dwa ze ślubów i z uroczystości wręczenia dyplomu ślicznej długowłosej blondynce. Fotografia starszych państwa – niewykluczone, że moich dziadków! – i kolejne papieskie błogosławieństwo. Na wierzchu komputera zaś stoi figurka świętego Franciszka z Asyżu. Tego świętego poznaję bez pudła dzięki habitowi i ptaszynie, trzymanej w ręku. Pius Crawford zamyka drzwi.

– Tutaj też pracuję, nikt nam nie przeszkodzi. – Wskazuje mi krzesło. – Proszę usiąść, pani Sheils.

Siadam. On również. Otwiera gruby notes w twardej oprawie i przerzuca kartki, dopóki nie znajdzie wolnej strony.

– Więc – zaczyna, wyjmując długopis ze szklanego pojemnika obok komputera i okręcając się na fotelu w moją stronę – chce pani sprzedać jakąś nieruchomość? A może zamierza pani coś nabyć w okolicy?

– Nie – mówię. – Panie Crawford, to nie ma żadnego związku z nieruchomościami.

– Och!

– Muszę panu coś powiedzieć, a dla żadnego z nas nie będzie to łatwe.

Lekko prostuje się w fotelu.

– Och! – powtarza. Nadal nie załapuje.

– Nie nazywam się Sheils – ciągnę – tylko Devine. Wiem, że odziedziczyłam po panu jasne włosy, ale ponoć bardzo przypominam moją matkę.

## **Rozdział 29**

Załamuje.



Piegi na twarzy i miejsca, w których włosy się przeredziły, wydają się ciemniejsze na tle nagle pobladłej skóry.

Współczułabym mu, gdybym sama nie czuła się dziwnie. Szumi mi w głowie, jakby buczało tam elektryczne kółko. I ogarnia mnie też dziwne rozczarowanie – czego się spodziewałam, że padniemy sobie w ramiona?

– Jak masz na imię? – pyta chrapliwie. Szepcze. Jakby ziścił się najstraszniejszy z jego snów, co zapewne jest prawdą.

– Angela.

To go dobija. Spogląda na drzwi, jakbyśmy się znaleźli się w pułapce i pragnął, by ktoś tu się włamał i go uwolnił. Potem patrzy na mnie.

– Niemożliwe – mówi – już mam córkę o tym imieniu. – Zerka na fotografię dziewczyny z dyplomem.

Jestem taka spięta, że omal nie wybucham śmiechem – wiecie, że to się zdarza w najmniej stosownych momentach – ale to zbyt poważna sytuacja, więc jakoś nad sobą zapanowuję.

– To ona? – Też przenoszę wzrok za zdjęcie.

Kiwa głową. Oczy ma wielkie jak te stworzonka pustynne, jak one się nazywają? Mangusty? Stają wyprostowane na tylnych łapkach, rozglądając się za niebezpieczeństwem, i wysyłają wartowników na wierzchołki drzew.

– I co w związku z tym? (W końcu Angela to nie takie znowu rzadkie imię). Cóż, od tej pory ma pan dwie Angele. Może nas pan nazywać Angela Jeden i Angela Dwa.

Gapi się na mnie. Mruga powiekami. Znowu wbija we mnie wzrok. Tracę panowanie nad sytuacją, słowa biegną jedno za drugim. Słyszę, jak trzępię, niczym niespełna rozumu. Przepraszam, że przeszkodziłam, nie przyjechałam zniszczyć mu życia, ple, ple, ple...

W końcu powstrzymuję potok wymowy, wyrzuciwszy z siebie, dlaczego właśnie teraz wkroczyłam w jego życie. Bo znalazłam się w trudnej sytuacji.

– Ja i James – dodaję. Milczenie.

Zaczynam odzyskiwać panowanie nad sobą.

– Naprawdę nie chcę przysparzać panu problemów –  
powtarzam.

– James? Co to za James? – szepcze.

– James nie jest pańskim zmartwieniem – uspokajam – tylko moim, ale, jak panu mówiłam,

potrzebujemy pomocy. Przyszłam tutaj, bo jest pan ostatnią deską ratunku. Nie mam krewnych – przynajmniej nie w Irlandii. Tylko siostrę mamy, Adeline.

Poznałam ją w ubiegłym tygodniu. Ale nie sądzę, by mogła mi pomóc. Zresztą to tylko ciotka.

Powoli odzyskuje kolory.

– Rozumiem – mówi wolno. Wygląda przez okno na swój normalny świat. – Wiedziałem, że to się kiedyś stanie – mówi w przestrzeń. – Teraz, gdy się zjawiłaś, odczuwam coś na kształt ulgi, wiesz... Angelo?

Nie wygląda na człowieka, któremu ulżyło. Bardziej przypomina kogoś stojącego na barierce mostu. A ja przystawiam mu pistolet do głowy.

Milczę, powiedziałam już wszystko. Zerka na dwór, potem rozgląda się po pokoju, niczym dzikie zwierzę, które wyczuło broń. Wstaje, podchodzi do drzwi, przekręca klucz.

– Na wszelki wypadek – tłumaczy. – Ale nie obawiaj się, nikt nam nie przerwie. Nikt nie wchodzi, gdy rozmawiam z klientem.

To mi dodaje pewności siebie. To nie ja się obawiam, że ktoś nam przeszkodzi, tylko on.

Wraca na swoje miejsce i znowu siada naprzeciwko mnie.

– Od tylu lat modliłem się za twoją matkę. I na wiele się to zdało, myślę.

Utkwił we mnie wzrok.

– Jak mnie znalazłaś?

Przypominam sobie o obietnicy danej Mickowi Flanaganowi.

– Całe miasto wiedziało o pańskim romansie z moją matką –

oświadczam pewnym głosem. – Wystarczyło przyjechać do Birr i popytać, reszta okazała się łatwa.

Odzyskuje pewność siebie.

– Czyli to Birr, przynajmniej tyle udało nam się ustalić.

Dziękuję. Kto z Birr? Kto podał ci moje nazwisko? Mam prawo wiedzieć...

Stara taktyka, odejść od zasadniczego tematu, by zyskać na czasie, ale ja ją doskonale znam, to stała zagrywka Jamesa.

– To mogła być każda z osób, z którymi rozmawiałam. Na przykład, czy moja ciotka Adeline nie znała doskonale tej historii?

Nieruchomieje. Otrząsa się.

– To ona ci powiedziała?

– Mówiłam: nie powiem.

– A inna sprawa... Mogę spytać, dlaczego właśnie teraz? To odrobinę zaskakujące, przyznasz. Po tylu latach?...

– Panie Crawford, wiele jeszcze będziemy musieli sobie wyjaśnić, jeszcze o tym porozmawiamy, ale wiem, że chce pan wrócić na przyjęcie. Proszę mi wierzyć, gdybym próbowała pana odnaleźć dziesięć, nawet dwadzieścia lat temu, okazałoby się to równie łatwe. Po prostu wcześniej nie szukałam. Pora nie była odpowiednia, nie dojrzałam do tego, pochłaniały mnie znacznie ważniejsze sprawy, nie potrzebowałam pana aż tak bardzo, jak teraz... Złożyło się na to mnóstwo powodów. Zresztą – nie peszę się jego wzrokiem – czy pan potrafi wytłumaczyć, dlaczego w pewnym momencie życia postąpił pan tak, a nie inaczej?

Spojrzeniem omiata pokój, w końcu zatrzymuje je na mnie.

– Ilu ludzi o tym wie?

– O ile mi wiadomo, tylko osoba, która mi powiedziała. Nie, dwie. – Zapomniałam o Kenie Sheilsie, czekającym w furgonetce.

Ale równocześnie pamiętam słowa Micka Flanagana: że w swoim czasie gadało o tym całe miasto. Biedny Pius, niech żyje złudzeniami.

– Co to za ludzie? Ktoś z tych okolic?

– Panie Crawford, dałam słowo, że nikomu nie powiem, od kogo się dowiedziałam pańskiego nazwiska. Druga osoba, która o tym wie, nie puści pary z ust. To mój przyjaciel, który mnie tu przywiózł. Czeką teraz na mnie w samochodzie. Po ..

chodzi z Dublina, więc istnieje nikłe prawdopodobieństwo, by...

– Ile chcesz?

Dopiero po chwili to do mnie dociera. Wpadam w szal.

– Jak pan śmie? Nie jestem naciągaczką. Nie przyszedłam tu po pieniądze – oświadczam wyniośle.

– W takim razie po co? o jaką pomoc ci chodzi? Ten James to twój syn?

Choć jego tok myślenia jest przejrzysty i powinnam czuć się jeszcze bardziej dotknięta (jaka matka, taka córka), nie dzieje się tak. Czuję się odrobinę niezręcznie. Nie wypowiada kwestii, które włożyłam mu w usta po rozmowie z Mickiem Flanaganem.

A choć nie rozwinął na powitanie czerwonego dywanu, budzą się we mnie przedziwne uczucia. Muszę ze sobą walczyć, by go nie polubić. Co więcej, mimo jego napuszonego tonu i zachowania, zauważam, że bardzo chcę go polubić. Nastawiłam się na superkatolickie wydanie Uriaha Heepa, który będzie ze mną walczył, gotował mnie w oleju albo próbował odpędzić srebrnym krucyfiksem. A tymczasem muszę przyznać, że on się zachowuje jak każdy normalny człowiek w takiej sytuacji.

– James nie jest moim synem, tylko bratem. Synem Rose.

Przepraszam, właściwie jest moim przyrodnim bratem. (Żeby go uspokoić, że mama nie miała bliźniąt!) Opiekuję się nim od niemowlęctwa. Wszedł w konflikt z prawem.

Widzę, że jego mózg pracuje na pełnych obrotach.

– Przy okazji – ciągnę – jeśli pan uważa, że powinnam raczej szukać jego ojca, to ma pan rację. Problem w tym, że nie mam pojęcia, jak go odnaleźć. Na pana nieszczęście – udaje mi się przywołać na twarz uśmiech, który, jak liczę, nieco przełamie lody

– pan znalazł się pierwszy na linii strzału. – Nawet ja słyszę, jak żałośnie to brzmi.

Cały czas ma przed sobą otwarty notes, w ręku ściska pióro.

Robi to tak mocno, że po palcach kapie mu atrament. Wolno odkłada je na biurko i zamyka notes.

– Opowiedz mi o Rose.

Mówi to tak miękko – tego też nie było w moim scenariuszu –

że mnie wzrusza. Zaczynam myśleć o jego uczuciach. Tych, które się w nim teraz kłębią. Cała ja. Wpadam tu zdeterminowana i zawzięta, a zaraz pewnie się wcielę w rolę doradcy.

Staram się nie poddawać słabości. Mówię twardym głosem:

– Nie żyje. Żegna się.

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie. Jak umarła?

Dawno?

Skończona idiotka, postanawiam mu oszczędzić najgorszych szczegółów dublińskiego życia mamy. Mówię, że po przyjeździe z Birr ledwo sobie radziła i nie żyło jej się najlepiej. Potem od razu przeskakuję do zakończenia.

– Umarła spokojnie – mówię. – W hospicjum. Prawie dwadzieścia lat temu.

– Jak ciężka była jej sytuacja? Cierpiała biedę?

– Tak. Byliśmy biedni, bardzo biedni. Przenosi wzrok na ścianę nad moją głową.

– To był rak? – pyta. – Czy znalazła się w hospicjum, bo umierała na raka?

Wpatruję się w niego. Jeśli Flanagan choć w połowie miał co do niego rację, ten człowiek pewnie nawet się nie domyśla, co w rezultacie załatwiło mamę.

– Przypuszczamy, że tak – odpowiadam. Odrywa wzrok od ściany.

– Czy w Dublinie wyszła za męża? Czy twój brat też jest nieślubnym dzieckiem?

Dopiero teraz czuję się dotknięta. Myślę o radosnej dziewczynce wirującej w pięknej, kosztownej sukience pierwszokomunijnej. I o wypieszczonych trawnikach, różach, ślicznej kuchni, tych pełnych ciepła i poczucia bezpieczeństwa kobietach, które potrafią się uśmiechać do obcych.

– Tak, jest nieślubnym dzieckiem. Podobnie jak Francesca, Justine i Nicola.

– Rose miała piątkę dzieci? – Przerazenie na jego twarzy mogłoby być nawet zabawne.

– Owszem. Z pięciu różnych ojców.

Wstrząśnięty przenosi na mnie wzrok. Pewnie przez całe życie wyobrażał sobie, że Rose żyła w celibacie, bo nie otrząsnęła się po stracie ukochanego.

Wyrzuciłam mu taką krzywdę, że trudno mi odgrywać rolę twardej. W końcu nie wiem, jakich sposobów użyła jego rodzina, że nie wyszedł, gdy mama histerycznie krzyczała pod jego oknem, prawda? Flanagan mówił, że był taki młody...

Góra, dół, góra, dół, chyba ulokujemy się na szczycie ligi huśtawkowych rozmów. Przestań, Angelo, nie zapominaj, po co tu przyjechałaś.

Przez otwarte okno dobiegają odgłosy zabawy: pisk dzieci, upomnienia kobiety są jakby z innego świata. Żeby zachować twardość, przywołuję przed oczy pobitą twarz Jamesa.

Koncentruję się na niej, a równocześnie siedzę spokojnie, dając mojemu ojcu (ojcu!) szansę przetrwania rewelacji, które mu rzuciła w twarz Nemezis w fotelu naprzeciwko.

Jakieś dziecko zapłakało, z prawej części ogrodu przez jego fragment, który dostrzegam kątem oka przez okno, biegnie do malucha mężczyzna z wyciągniętymi rękami. Starsi państwo przy altanie prawie się nie odzywają, napawają się miłym otoczeniem.

Przychodzi mi na myśl, że niektórzy z nich mogą być moimi krewnymi, ciotecznymi babkami albo wujami. A może nawet dziadkami ze strony ojca? I którzy z tych promiennych ludzi są moimi ciotkami i wujami, z którymi łączy mnie pokrewieństwo krwi, a którzy weszli do rodziny przez małżeństwo? Przypominam sobie jedno z imion: Bonawentura. Mam wuja Bonawenturę.

Ciekawe, czy mogłabym się do niego zwracać Bono, cha, cha, cha!

Sądzicie, że uważam to za farsę. Skąd, ale tak właśnie pracuje mój umysł. Muszę się mocno wziąć w

garść, żeby znowu nie zacząć gadać bez ładu i składu i wszystkiego nie zaprzepaścić.

Milczenie się przedłuża. Czuję obecność mojego ojca. Jest silna, męska. Cieszę się, że mój ojciec nie okazał się mięczakiem.

Sądzę, że w innych okolicznościach naprawdę mogłabym go polubić.

Bawi się przyciskiem do papieru. W środku zatopiony jest bukietek niezapominajek. Ojcu wróciły kolory.

– Mówisz, że wychowywałaś Jamesa. Nadal z tobą mieszka? –

Tak.

– Skoro Rose umarła dwadzieścia lat temu, on musi...

– Prawie dwadzieścia lat temu. James miał dwa miesiące, gdy umarła. Ma dziewiętnaście lat.

– A co się dzieje z pozostałą trójką?

Mówię prawdę – łącznie z tym, że rzadko się kontaktujemy – a gdy kończę, on zupełnie odzyskuje panowanie nad sobą, zachowuje się tak samo, jak w chwili, gdy pierwszy raz podaliśmy sobie rękę.

– Biedna Rose. – Kręci głową. I wtedy wszystko rujnuje.

– Wszak uczono nas, że między grzechem a upadkiem jest pora na pokutę, prawda?

– Pokutę? Za co? Za to, że była sobą? – Ułatwia mi zadanie. –

Modlitwy już na nic się nie zdadzą. Nie żyje.

Zatrzymuje na mnie wzrok.

– Będę się za nią modlił, Angelo. Mówiłem ci już, od kiedy zniknęła, właściwie nie było dnia, bym się za nią nie modlił.

Gadki szmatki, myślę sobie. Jego modły rzeczywiście strasznie się przydały, gdy jakiś ćpun rozwałił jej głowę. Ale konfrontacja z widzialnym nieprzyjacielem – czyli mną, niedowiarkiem – dodaje mu sił. Zakłada ręce na piersi.

– Dobrze, Angelo, karty na stół. Czego właściwie chcesz?

I staje się coś dziwnego. Sama nie wiem, czego chcę. Zobaczyć go? Dotknąć? Żeby uznał nas za rodzinę? Albo padł na kolana i błagał o przebaczenie?

Baczenie mnie obserwuje.

– Skoro nie chodzi ci o pieniądze, to o co? Możesz mówić konkretniej?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, rozlega się stukanie do okna. To dziewczynka w sukni komunijnej. Welon zsuwa jej się na bok, jedną ręką próbuje go poprawić, drugą bębni w okno.

– Kiedy przyjdiesz, tato? Chcemy pokroić tort.

Za dziewczynką wyrasta kobieta, bierze małą za rękę. Wysoka, opalona, farbowana blondynka – drogi, popielaty blond – smukła, ubrana w prostą białą sukienkę z czerwonym paskiem.

– Przepraszam, tatusiu – woła – nie przejmuj się nią! Musi się nauczyć cierpliwości. Nie śpiesz się.  
– Uśmiecha się do mnie.

– Pańska żona? – pytam, gdy obie znikają nam z oczu.

– Tak. – Ogląda się przez ramię. – Dorothy. Jest Angielką, przeszła na katolicyzm, żebyśmy mogli się pobrać.

– Cielę – oświadczam i natychmiast tego żałuję. – Jest miła –

mówię. – Naprawdę. (Ale trochę boli myśl, że mama mogła się stać dokładnie taką samą wymuskaną, zadbaną kobietą).

– Chcesz mi to wszystko odebrać, Angelo? – Mówi to bardzo, bardzo cicho.

Patrzę mu w oczy, sięgając po najgłębsze pokłady odwagi.

– Nie zamierzam nikomu rujnować życia – odpowiadam równie cicho. – Nie będę pana szantażować, jeśli tego się pan obawia.

Rzadko kogokolwiek o cokolwiek prosiłam. Poczytuję sobie za punkt honoru, by nigdy nikomu niczego nie zawdzięczać. Musi mi pan uwierzyć na słowo, że zwracam się do pana z prośbą o pomoc dla mnie i mojego brata, bo jest pan dla mnie ostatnią deską ratunku. I przykro mi, że muszę mówić tak brutalnie, ale uważam, że jest pan nam to winien.

Nieruchomieje.

Siadam wyprostowana jak struna, jakbym była królową Nefretete albo kimś w tym rodzaju.

– Pomoże nam pan czy nie?

Jakby się zapadł w sobie. Niesamowite, ale jego klatka piersiowa naprawdę stała się wklęsła.

– Nadal jeszcze nie wiem, o jaką pomoc chodzi.

Kiedyś czytałam wypowiedź Tony’ego O’Reila, który twierdził, że nie znosi, gdy ludzie owijają w bawełnę nieprzyjemne informacje. Fakty są przyjazne.

Dlatego przeszłam do rzeczy. Powiedziałam Piusowi Crawfordowi o rozprawie i wyroku Jamesa –

moim zdaniem, niesłusznym, ale nie mogę na to nic poradzić. I że skazano go na więzienie w zawieszeniu. I że dlatego pobito go i grozi się mu czymś jeszcze gorszym. Że do szpitala przychodzą anonimy. Że urządzono na niego nagonkę w prasie...

Wreszcie wyrzucam z siebie moją prośbę.

– Potrzebujemy bezpiecznego schronienia poza Dublinem –

mówię najspokojniej, jak potrafię. – Miejsca, w którym nie rzucalibyśmy się w oczy. I to szybko. Najchętniej na początku przyszłego tygodnia. Im szybciej, tym lepiej. Pomyślałam, że skoro obraca się pan w branży handlu nieruchomościami...

Zdaje się, że mój nastrój mu się udziela, widzi, że sprzeciw nic tu nie da.

– Nie w pobliżu Tullamore ani Birr, zgoda? – mówi. Prostuje się, tryska energią, przechodzi do konkretów. Widzę, że jest w tym dobry. Słysząc, jak z każdym słowem odzyskuje pewność siebie.

Na razie pomijam milczeniem tę uwagę o zamieszkaniu jak najdalej od niego.

– Czy oprócz tego mógłby pan pomóc nam w znalezieniu pracy? Na pewno zna pan mnóstwo ludzi, prawda? Właściciele firm? Jeszcze trochę pociągniemy. Zaoszczędziłam parę tysięcy funtów na nasz przyszły dom; chyba teraz pora, by zrobić z nich użytek.

Rozkręcam się, oczami wyobraźni już widzę siebie w domku wśród róż, hodującą cebulę, jak Adeline. Zupełnie nowe życie, jak ze stron powieści Thomasa Hardy'ego. (Kubłem zimnej wody jest wizja Jamesa jako uczciwego, prostego chłopca).

– Może nawet udałoby nam się kupić dom po przystępnej cenie

– ciągnę, jakbym dawno to sobie zaplanowała, co nie jest prawdą

– ale przy ciągle rosnących cenach nieruchomości moje oszczędności mogą nie wystarczyć nawet na wszystkie konieczne wydatki, opłacenie notariusza itede. Znalazłby nam pan gwarantów? – Sama sobie imponuję znajomością żargonu. –

Kiedy tylko się osiedlimy i zaczniemy pracować, zwrócimy panu wszelkie ewentualne koszty. Co do grosza. Choćby to miało trwać latami.

Teraz już wiem, że mnie ponosi, więc milknę. Niewiele brakowało, a obiecałabym, że jeśli nam pomoże, nie będę więcej zawracać głowy jemu ani jego rodzinie. Nie posunę się aż tak daleko. Niech sobie myśli o nas, co chce. Jesteśmy ludźmi, czującymi istotami. Nie może po prostu odsunąć nas na bok, a choć nie zamierzamy krzywdzić jego ani jego miłej rodziny, teraz

– gdy już się pojawiliśmy – nie wrócimy do podziemia.

Powtarzam sobie w duchu, że to zupełnie rozsądne. Że jest nam coś winien.



Jego fotel – skórzany, dyrektorski, z wysokim oparciem – jest nieco wyższy od mojego, więc spogląda na mnie z góry niczym sędzia.

– Czy dobrze zrozumiałem? Oczekujesz, że udzielę pomocy gwałcicielowi?

– To mój brat. A jeśli chodzi o to, czy rzeczywiście zgwałcił...

Przecież nie jest w więzieniu. Wypuszczono go na wolność. I nie oskarżono go o gwałt, tylko o molestowanie seksualne...

– Co nie zmienia faktu, że uznano go za winnego – wpada mi w słowo. , – A przy okazji łączą z nim pana więzy krwi. – Co?

– Owszem. Przeze mnie. Proszę to sobie przemyśleć. Nigdy jeszcze nie widziałam, by komuś naprawdę opadła szczeka. Teraz już tak. Usta ma rozdziawione, wygląda, jakby .

wpadł do maszynki do mięsa. Nic mnie to nie obchodzi.

Walczę o życie Jamesa.

Patrzy w okno. Nastolatek gra z dziewczynką w białej sukni i dwiema innymi dziewczynkami w zbijaka. Starsi państwo nadal siedzą w tych samych pozycjach, jak na obrazie.

– Angelo – odzywa się mój ojciec, nie patrząc na mnie – dasz mi trochę czasu? Mój cały świat...

Wzruszam ramionami.

– Nie mamy czasu, panie Crawford – odpowiadam cicho. – Nie mamy. W panu moja jedyna nadzieja. Ponieważ mama – Rose –

nie może się zaopiekować Jamesem, ja muszę to zrobić. On jest na pierwszym miejscu.

– Żądasz, bym pomógł gwałcicielowi, Angelo. Spójrz na Esther. – Bezradnie macha ręką w stronę okna. – Spójrz na nią.

– Esther to pańska córeczka, która przystąpiła do pierwszej komunii?

– Tak – szepcze.

Dziewczynka goni za piłką. Jedną ręką przytrzymuje welon.

– Panie Crawford – mówię – może to pan zrozumie. Proszę pana, by okazał się pan chrześcijaninem. Przebaczenie.

Miłosierdzie. Obiecuję, że jeśli pozna pan wersję wydarzeń Jamesa...

– Proszę. – Podnosi rękę. – Nie wytrzymałbym.

– Ale tu nie chodzi tylko o Jamesa. Również o mnie. Proszę pana o pomoc. W tym anonimie grożono również mnie. Jestem pańską córką, panie Crawford. Jeśli pan chce, możemy zrobić badanie krwi.

– Nie trzeba. Wierzę ci. – Wreszcie odrywa wzrok od okna. –

Nie musisz mi udowadniać, że jesteś córką Rose. W końcu nie jestem ślepy. – Rozkłada ręce i przypatruje się swoim paznokciom. Duże, kwadratowe, bez śladu brudu. – Nigdy jej nie zapomniałem. Ani na chwilę.

– To dlaczego pan do niej nie wyszedł, gdy pana wołała? –

Mimo najszczerzych chęci podnoszę głos. – Była w ciąży, powinien pan...

– Myślisz, że nie wiem, że była w ciąży? – Znowu odwraca wzrok. – To długa historia. I zbyt okropna. Wolałabyś jej nie słyszeć.

W jego głosie brzmi coś takiego, że trzeba by naprawdę być bez serca, by domagać się wyjaśnień. Odkładam to, ale nie zapominam. Jeszcze do tego wrócimy. Przez okno widzę, jak Esther przerywa grę i patrzy w naszą stronę. Bierze się pod boki i przechyla głowę, skrzywiona, niczym mała gospocha.

Jej ojciec instynktownie reaguje czułością. Potem przypomina sobie o mojej obecności i bierze się w garść.

– Wiem, że musi pan iść – odzywam się, wstając. – Naprawdę, przykro mi, że zgotowałam panu taki wstrząs, ale mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jak paląca jest nasza sytuacja.

– Nie powinnaś się zwracać do mnie per pan. – Też wstaje.

– Nieważne, jak się do siebie zwracamy – odpowiadam. –

Przecież nie rzucę się panu na szyję z okrzykiem: „Tatusiu!” Marszczy brwi.

– Możesz mi przynajmniej dać dzień do namysłu? I oswojenia się z sytuacją?

– Oczywiście.

– Dasz mi swój numer telefonu?

Wiadomość, że nie mamy telefonu, wstrząsa nim prawie tak samo jak informacja, że jestem jego córką. Umawiamy się, że zadzwonię do niego do biura w poniedziałek z samego rana.

Podaję mu adres. A potem, po namyśle – jedyny numer telefonu, pod którym można mnie zastać. Wyłącznie w sytuacjach alarmowych i tylko w sobotę rano. (Co prawda nie przewiduję aż tak nagłych wypadków, ale w tych czasach i w tym wieku wypada mieć jakiś numer telefonu, prawda?)

Oboje sterczymy w miejscu, nie mając pojęcia, jak zakończyć rozmowę. Następuje okropnie

krepująca scena, gdy oboje równocześnie robimy krok do przodu i omal na siebie nie wpadamy. Zatrzymujemy się i cofamy. Ręką zaprasza, bym wyszła pierwsza, jakby on był gospodarzem, a ja honorowym gościem.

Stoimy tuż obok siebie i wyraźnie czuję, jak góruje nade mną wzrostem. I ten delikatny zapach świeżego potu i trawy. Miły.

Przed wyjściem pytam nieoczekiwanie, czy rzeczywiście odmawia różaniec przed kinem.

Mruga zaskoczony.

– Czy to dla ciebie ważne? – Tak.

Spuszcza wzrok.

– Wierzę, że świat jest grzeszny, wszyscy jesteśmy grzesznikami. Dowód mojej grzeszności właśnie przede mną stoi.

– Waha się. – W dzieciństwie chciałem zostać księdzem. – Mówi szczerze i z przekonaniem, ale mimo wszystko coś mi tu nie pasuje. Słyszę jakiś dysonans... Teraz, gdy to analizuję, po prostu nie było to zgodne z jego poprzednim twierdzeniem o możliwości żalu między grzechem a upadkiem. (Doskonale zapamiętałam to ze szkoły. Myśl, że Stalin i Hitler mogą być w niebie, zawsze budziła we mnie opór. Stalin i Hitler mogą iść do nieba, a biedne, nieochrzczone dzieci wiszą w próżni?)

Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim zrozumiem, dlaczego Pius Crawford mówi jedno, a mój instynkt coś innego, ale i tak dużo osiągnęłam, jak na jeden dzień.

– Dam już panu spokój – mówię.

– Na pewno wiedzą o tym tylko dwie osoby? Zagwarantujesz, że żadna z nich nie puści pary z ust?

Już, już mam wybuchnąć gniewem, rzucić, że jestem człowiekiem, nie jakimś tam problemem, ale po co?

– Za jedną z tych osób mogę ręczyć. A jeśli to ma pana uspokoić, dodam, że druga z tych osób – ze względu na swoje stanowisko – też nie powinna tego rozgłaszać po okolicy.

Omam nie powiedziałam: on.

Odprowadza mnie do drzwi frontowych. Nie może się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie. Czuję, jak się boi, żeby nie zauważył nas ktoś z jego ślicznej rodziny, bawiącej się na tym ślicznym przyjęciu. Czuję, jak marzy, by znaleźć się z powrotem w swoim ślicznym ogrodzie, wymyślić jakąś wymówkę, wruszyć ramionami, westchnąć, że trzeba łapać okazję do ubicia interesu.

Czynny całą dobę to ja. Uśmiechnąć się, chwycić swoją córeczkę i podrzucić ją do góry. Może nawet przytulić. Porozmawiać z drugą Angielką – najprawdopodobniej znajduje się wśród gości.

Biedaczysko. W sumie cieszę się, że Mick Flanagan przygotował mnie na najgorsze, bo moim zdaniem, Pius Crawford nie jest aż taki zły. Choć za wcześnie na ocenę jego prawdziwego charakteru, to przynajmniej ma męski wygląd, a w tym wieku podstawowe rysy osobowości już wyłobiły swoje ślady na twarzy, więc jest z czego czytać.

Nie jest mięczakiem.

### Rozdział 30

W niedzielę rano przypadkowo spotykam koleżankę z nocnego klubu. Właśnie szłam na Westmoreland Street uraczyć się porządną filiżanką kawy i trafiłyśmy na siebie przy Marlborough Street, tuż obok lombardu Carty'ego. Z ciężkim sercem myślałam o rzeczach mamy, leżących za tymi stalowymi żaluzjami. Trzeba było wykorzystać pieniądze ze zdrapki i natychmiast je wykupić.

Kiedy tylko obligacje wrócą na pocztę, natychmiast zamieniam je na gotówkę i wszystko wykupuję. Będę musiała dorzucić jeszcze setkę, jeśli mam odzyskać też i magnetowid, ale choć tyle jestem Jamesowi winna.

Kto to? Ktoś klepie mnie od tyłu w ramię.

Odwracam się.

– O, cześć!

Nigdy nie przepadałam za tą dziewczyną, zawsze się zachowywała, jakby tam pracowała z łaski. Choć z drugiej strony mogła sobie na to pozwolić. Po pierwsze, była młoda. I śliczna, o drobnej buźce, nieco w typie urody Demi Moore. Jeśli się zastanowić, to miała w sobie coś z Rosemary Madden. I podobnie jak Rosemary Madden, pochodziła z niezłej dzielnicy, Drumcondro czy Galnevin. Traktowała pracę z nocnym klubie jako zapchajdziurę w oczekiwaniu na coś lepszego, a właściwie kogoś lepszego.

Wracała z mszy. Kiedy już wymieniliśmy uwagi o tym, jaki piękny ranek, mówi, że szefa omal szlag nie trafił, gdy nie zjawiłam się pierwszego wieczoru – a potem też się nie pokazałam. Gdyby któraś z was ją spotkała, oznajmił, otrzymujecie polecenie poinformowania jej, że ma się więcej u mnie nie pokazywać.

– Dobra, poinformowałamś mnie, dzięki. – Chcę odejść.

– Co u brata? – pyta neutralnym tonem, ale nieustannie trzymam się na baczności i nie dam się schwytać w żadne pułapki.

– Świetnie, doskonale – oświadczam słodko. – Na mnie już pora. Przekaż naszemu wspólnemu znajomemu, że wywiązałaś się z zadania i że ja też za nim tęsknię, cha, cha! – Zostawiam ją.

Mam to wszystko gdzieś, oto cała ja.

Tak jak zaplanowałam, poszłam do Bewleya, ale nie sprawiło mi to przyjemności. Nie mogłam sobie

znaleźć miejsca.

Zwyczajny rozgardiasz, stukanie naczyń, pogawędki. Zwyczajni ludzie, chłopcy i dziewczęta o zaczerwienionych policzkach, którzy niewątpliwie spędzili razem noc i nie zniosą chwili rozłąki, tak że trzymają się za ręce nad stolikami; mężczyźni z niedzielnymi gazetami, turyści z planem miasta, wypchanymi torbami i portmonetkami, z których starannie odliczają pieniądze.

Nikt z tych ludzi, przynajmniej na moje oko, nie ma najmniejszych zmartwień. Nawet młodzi kelnerzy i kelnerki, którzy u Bewleya zwykle wyglądali na przygnębionych, dziś sprawiali wrażenie wyjątkowo pogodnych.

Mam wrażenie, że od tak dawna nie żyję w normalnych warunkach, że zapomniałam, jakie to uczucie. Z drugiej strony, tak przywykłam do ciągłej czujności i niepokoju, że trudno mi rozpoznać normalne uczucia.

W drodze powrotnej z Tullamore ofiarą mego rozdrażnienia padł biedny Ken Sheils. (Nie wiedział, w co się pakuje, gdy mnie poznał!) Jak zapewne się domyślacie, nie byłam w nastroju do zwierzeń ani nawet do rozmowy. Czułam jednak, że jestem mu winna przynajmniej ogólne wyjaśnienie.

– Słuchaj – odzywam się, wsiadając do furgonetki po rozmowie z ojcem, zanim spytał. – Ostatnie pół godziny było trudne, choć okazał się całkiem przyjemnym człowiekiem, znacznie miłszym, niż można było sądzić z opisu policjanta. Nie mogę ci powiedzieć, co będzie dalej ani co które z nas zrobi. Po prostu nie wiem.

Wszystko jest w zawieszeniu. Nie pogniewasz się, jeśli na razie więcej nie dodam? Czy tyle ci wystarczy?

Wygląda na dotkniętego.

– Nic nie musisz mi mówić, Angelo, nie pytałem...

– Wiem i doceniam to. Ale uważam, że jestem ci winna wyjaśnienie. Nie chciałam stworzyć niezręcznej sytuacji, po prostu nic ponadto nie mogę powiedzieć. Rozumiesz?

Trzeba przyznać, że biedak zachował się na poziomie. Nie ponagla, nie kłóci się. A w ciągu podróży odzywa się tylko raz, gdy mijamy okolice Newlands Cross, gdzie zginęła dziennikarka.

Leżą tam teraz wiązanki kwiatów, przywędłych od słońca, upału i kurzu. A obok prosty drewniany krzyż z jej nazwiskiem.

– Skurwiele – mówi tylko.

Kiedy wysadza mnie przy domu, przepraszam za swój nastrój, ale uspokaja, że nie ma za co.

– Gdy już dojdiesz ze sobą do ładu, postawisz mi piwo.

– Kupię ci więcej niż piwo – obiecuję, klepiąc go po ramieniu.

– Gdy wygram w lotto, kupię ci rollsroyce'a, żebyś mógł się pozbyć tego gruchota.

Śmieje się i też mnie obejmuje.

Kiedy teraz się rozglądam po normalnym świecie u Bewleya, uświadamiam sobie, że w tym całym zamieszaniu nie wysłałam mojej zdrapki z trzema gwiazdkami. Nawet nie wiem, gdzie ją wsadziłam. I myślę też, że może powinnam zaprosić tu Kena na kawę. Ale czy wolno mi organizować mu dzień? Nawet gdybym się starała, nie potrafiłabym rozmawiać o normalnych sprawach.

Tylko o Jamesie. O moim ojcu. I znowu o Jamesie.

Ależ się ze mnie zrobiła nudziara. Pewnego dnia – przysięgam sobie w duchu – przyjdziemy tu na kawę i też będziemy jak wszyscy. Ta sama kobieta, która cztery dni temu uznała, że więcej nie będzie się z nim spotykać. Brak konsekwencji czy co?

I w sumie dobrze się stało, że ten rano spędziłam samotnie, bo wszędzie był mój ojciec, w każdej myśli. Nic nie pomagało, nie mogłam się od niego opędzić. Każdy mężczyzna, przynajmniej odrobinę go przypominający, stawał się okazją do porównań.

Spojrzałam na kawę. Woli kawę czy herbatę? Widziałam mężczyznę czytającego „Sunday Tribune”. Czy kupuje „Sunday Tribune”, czy „Sunday Independent”? A może obie? Czy dziś rano przeglądał prasę w poszukiwaniu artykułów o swoim pasierbie? Gdy wczoraj przed snem gawędził ze swoją nawróconą z protestantyzmu żoną, czy spytała go – ot, tak, ze zwykłej ciekawości – kim byłam, czego chciałam i jak z tego wybrnął?

Młoda Amerykanka obok mnie gada na cały głos o swoim znaku zodiaku. Jest Rybą. Ja, choć nie wiem, czy to takie ważne, urodziłam się na pograniczu między Bliźniakami a Rakiem. Nie mam pojęcia, co jest lepsze, ale zawsze mam do wyboru dwa znaki. To daje mnie i Piusowi Crawfordowi dodatkową szansę na dopasowanie się horoskopami.

Jednak oprócz rzeczy oczywistych jest coś, co mi nie daje spokoju. Wydobywam to na światło dzienne i badam.

Chodzi o pobożność. Jest w niej coś podejrzanego. Nawet jeśli wziąć poprawkę na moje prywatne uprzedzenia, w czasie naszej krótkiej rozmowy w żaden sposób nie odczułam świętości Piusa Crawforda. Zgoda, odmawia różaniec, pisze płomienne listy i tak dalej, ale w bezpośrednim kontakcie świątobliwe słowa nie brzmiały szczególnie czysto. Przypominały pęknięty dzwon...

Do mieszkania wracam koło południa. Gorąco w nim jak w piecu, chociaż okno zamknęłam tuż przed wyjściem. Od paru dni Irlandię ogarnęła fala upałów, choć wedle prognozy, dziś ma nastąpić załamanie pogody.

Ogólnie w tym roku pogoda szczególnie nam nie dopisuje.

Wszyscy liczyliśmy na kolejne śródziemnomorskie lato z 1995

roku – niektórzy nawet twierdzili, że fantastyczną pogodę otrzymaliśmy od niebios w nagrodę za rozejm w Irlandii Północnej! W takim razie tego roku pogoda stanowi karę za bomby na Canary Wharf w Londynie.

Szczerze powiedziawszy, tamte zamachy mnie zaskoczyły.

Wszystkich zaskoczyły. Przywykliśmy do pokoju i normalnego kwękania na polityków – wszyscy siebie warci, jaki tam proces pokojowy itede. Przed zamachami część klientów delikatesów przyznała się nawet, że zamierza w tym roku się wybrać na wakacje do Irlandii Północnej. (Ekspedientki są jak fryzjerki.

Wakacje stanowią naprawdę gorący temat rozmów).

Mówi się, że zamach na Canary Wharf stanie się irlandzką wersją amerykańskiego: „co robiłeś, gdy zabito prezydenta Kennedy’ego”. Wszyscy doskonale zapamiętamy, gdzie usłyszeliśmy wiadomość o zamachu. I, jak na złość, ja dowiedziałam się chyba jako ostatnia w Irlandii. Poprzedniego dnia nie oglądałam wiadomości – James zaanektował pilota od telewizora – więc usłyszałam o tym dopiero następnego dnia od koleżanek w pracy, które o niczym innym nie rozprawiły.

Tik, tak.

Jeszcze prawie dwie godziny do wyjścia do szpitala.

Z okna nie widać nic ciekawego. Na placu spokój. Zauważam, że *yuppies* w „georgiańskich” kamienicach po drugiej stronie też pootwierali okna na oścież. Ludzie spacerują po placu, pchają wózki albo ściskają pod pachami gazety. Chyba gdzieś kiedyś czytałam, że każde miasto ma swoisty rytm, któremu tak mieszkańcy, jak i turyści podświadomie się podporządkowują. Na przykład na Manhattanie albo w Tokio automatycznie będziesz chodzić szybciej niż w Thurles czy Sligo. Niedzielny rytm Dublina diametralnie się różni od powszedniego. Nawet samochody wolniej jeżdżą. Może dlatego, że wielu kierowców na tylnych siedzeniach wiezie babunię na niedzielną wycieczkę.

Czy to by nie było cudowne? Mieć babunię, którą można by zabierać na niedzielne przejażdżki...

I znowu, ani się obejrzałam, jak zaczęłam się oddawać marzeniom. Ja, mój nowy ojciec, James, jedna z naszych ciotek albo jeden z wujów, plus jakiś starszy członek rodziny, wszyscy jedziemy nad morze, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Opanuj się, Ange. Patrzę na budzik przy łóżku. Minęło zaledwie parę minut. Mieszkanie wysprzątane na błysk, więc nie warto szukać czegoś do polerowania. Nie mam nic do czytania.

Pewnie sobie wyobrażacie, że mam mnóstwo książek, ale i tak wszystkie już przeczytałam raz, jeśli nie więcej. A ponieważ nie miałam ochoty trafić na artykuł o Jamesie, nie kupiłam prasy. Nie jestem głodna. Kawa z mlekiem u Bewleya mnie nasyciła.

Chyba na tym polega samotność. Darujmy sobie „Staruszkę przy drodze” z jej domkiem, stołeczkiem i tak dalej. Samotność polega nie tylko na tym, że nie ma się człowieka do kogo odezwać, ale i na tym, że w piękne, niedzielne przedpołudnie, gdy wszyscy są czymś zajęci, nie ma się co ze sobą zrobić.

Wstaję, włączam radio. Błąd. Właśnie trwa audycja z udziałem słuchaczy, którzy wzajemnie się przekrzykują, i Andy O’Mahony, prowadzący program, usiłuje ich mitygować. „Po kolei, nie wszyscy



naraz, proszę”. Mówią o Jamesie. Dwie, trzy kobiety, o ile dobrze rozpoznałam głosy.

Wrastam w podłogę obok tranzystora. Rozdrażnione kobiety nie brzmią dobrze w radiu. Ich głosy przechodzą w pisk i skrzek.

A może temat sprawia, że staję się taka krytyczna. Powinnam wyłączyć radio, ale nie mogę. Właściwie chcę się zorientować, jak bardzo jest źle.

Andy’emu O’Mahony udaje się opanować sytuację. Udziela głosu jednej z kobiet. Jej głos drży z furii. Ale przynajmniej baba się nie drze. Słuchajcie, mówi, nasze społeczeństwo zdominowali mężczyźni, podobnie jak system sądowniczy: wykształceni sędziowie wywodzący się z klasy średniej, wszyscy jak spod sztancy. Prywatne szkoły, kluby golfowe, Fitzwilliam Tennis Club, Royal George Yacht Club, znamy tę śpiewkę. I te zwarte szeregi przysięgły się przeciwko biednej, odważnej dziewczynie...

Chwileczkę, chwileczkę, wpada jej w słowo mężczyzna, nie Andy O’Mahony.

Andy podaje jego nazwisko, ale go nie kojarzę. Kobieta usiłuje mówiącego zakrzyczeć, lecz Andy ją ucisza, każe mężczyźnie kontynuować. Ten sędzia nie należy do męskiego establishmentu, powiada tamten. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale wszak sędzią była kobieta.

I co z tego, oświadcza kobieta z obrzydzeniem. Mam na myśli cały etos, środowisko, w którym funkcjonuje system sądowniczy.

Czy ktokolwiek tutaj uważa, że biedna Rosemary Madden kiedykolwiek wróci do siebie po tamtym wydarzeniu? Czy jakakolwiek kobieta jest w stanie otrząsnąć się po takim ataku jak ten? Ta dziewczyna stanowi współczesne wydanie Joanny D’Arc.

Dzięki jej odwadze, decyzji wyjścia z mroku i odsłonięcia swej tożsamości...

Wyłączam radio.

Cisza huczy tym imieniem. Rosemary Madden. Rosemary Madden.

Kładę się na sofie, próbuję zmusić umysł, by zaczął pracować jak umysł Rosemary Madden. Muszę. Nie mogę dalej żyć, nie poznawszy tej historii od jej strony.

Lecz wyobraźnia odmawia mi posłuszeństwa. Myśli ciągle umykają to do mojego ojca, pieniędzy, mamy, godziny, do prania, które odłożyłam na później, do Patsy i Martina oraz ich problemów, do tego, co dzieje się na placu. Nawet biedny, poczciwy Tom Bennett się załapał na wspomnienie. Nieustannie jednak zaganiam wyobraźnię z powrotem do niej, do niej, do niej.

Wreszcie się poddaje i skupia. Zarys dziejów Rosemary znam od Jamesa, szczegóły sama dorzucam.

Nazywam się Rosemary, jestem młodą, dwudziestoletnią kobietą. Wszystko mi się układa. Mam urodę, dobrą rodzinę, mieszkam w doskonałej dzielnicy. Matka jest bardzo cicha, ale bardzo dba o dom i o nas. Staromodnie. Rodzinna firma poligraficzna nieźle funkcjonuje, choć to się odbywa

niejako poza mną. Mój starszy brat pracuje z ojcem w przybudówce do naszego domu i jeden z nich, albo obaj zawsze w południe jedzą obiad w domu, chyba że spotykają się z klientami. Drugi brat, dwa lata młodszy ode mnie, właśnie zdaje maturę. Jest u... dliwy, jak każdy nastolatek, w sumie jednak da się znieść. Ścieramy się, ale nie na poważnie. Lubię ciuchy, zwłaszcza podkreślające moją figurę.

Chciałabym być odrobinę wyższa, jak Claudia Schiffer, choć i tak jestem dumna z mego ciała. Maluję paznokcie u nóg na różowo.

Chętnie zrobiłabym sobie siwe pasemko we włosach. Albo mahoniowe.

Nie jestem genialna, ale głupia też nie. Może nawet mogłabym zdawać wyżej, oczywiście nie na uniwersytet, przy maturze jednak uzbierało się dość punktów, żeby Regional Technical College w Waterford chciał mnie przyjąć w swoje progi. Nie chciało mi się jednak wyprowadzać z domu, a szkoła już mi obrzydła. Rodzice nie sprzeciwili się, gdy odrzuciłam propozycję.

Potem okazało się, że trudno znaleźć pracę, jaką się lubi.

Przecież nie pójde do McDonalda, o nie. Tata zaproponował, że zatrudni mnie u siebie. Jako telefonistkę, recepcjonistkę czy coś w tym stylu. W to też nie dam się wrobić. W przybudówce na tyłach naszego domu z pewnością nie poznam nikogo interesującego.

Praca w rodzinnym interesie kłóci się z moim wyobrażeniem o niezależności. Chcę rozpostrzeć skrzydła.

Po roku, może więcej, atmosfera się zageęściła – ojca zaczęło drażnić, że musi mi ciągle dawać pieniądze – i musiałam coś zrobić.

Dlatego teraz chodzę na kursy organizowane dla bezrobotnej młodzieży. Początkowo sądziłam, że to będzie koszmar, bo wiele osób uważa je za przykrywkę, dzięki której można utrzymać zasiłek. Ale w głębi ducha najbardziej niepokoiło mnie to, że spotkam tam dzieciaki, z którymi nigdy bym się nie spoufaliła. I miałam rację. Uszy bolą od słuchania, jak mówią, imiona mają rodem z „Coronation Street” albo papieskie. Szczerze mówiąc, trochę się ich bałam. Lękałam się, czy mnie nie napadną albo nie obrabują. Nie uwierzycie, ale okazało się, że oni bali się mnie tak samo, jak ja ich. Po pewnym cza .

sie wszystko to sobie wyjaśniliśmy i teraz nieźle ze sobą żyjemy.

Praca okazała się w porządku. Finansowana z programu zapobiegania bezrobociu. Pomagamy opracować komputerową bazę danych dotyczącą małych firm w objętej największym bezrobociem północnej części miasta. Tak przynajmniej nam mówią. Właściwie to dość interesujące i człowiek się nie przepracuje. Zajmujemy się księgowością i dają mi wolną rękę we wszystkim, co dotyczy komputerów. Jestem w nich całkiem niezła.

Któregoś wieczoru byłam w jednym z nocnych klubów i poznałam kuriera na motocyklu, naprawdę przystojnego chłopaka o niesamowitych oczach, choć jego cerze nie zaszkodziłaby odrobina

clearasilu. Ale tańczy bombowo i od samego początku wpadł mi w oko. Ja jemu też się spodobałam. Wiedziałam, że nie wierzył własnemu szczęściu – tylko sprzątaczkę leca na kurierów z getta. (Dla mnie Mountjoy Square to getto). Ale ma świetne ciało.

I zna się na całowaniu.

Tutaj ja, Angela, zaczynam mieć problemy. Kiedy przechodzimy do kontaktów fizycznych, trudno mi się utrzymać w roli Rosemary Madden. Pewnie matkom w ogóle trudno jest sobie wyobrazić, że ich synowie mieliby się całować. Nie, że tego nie akceptują. Akceptują, mogą sobie wyobrazić, ale jak przez mgłę.

Dopiero przy zbliżeniu, gdy widzi się usta, pojawiają się problemy.

Unikam tego, ale nie da się sprawy odwlekać w nieskończoność. W końcu właśnie to stanowi jądro problemu.

Nie zmuszam się do kibicowania Rosemary Madden w czasie randek, imprez i tak dalej. Każę sobie pominąć te hocki-klócki i przejść do rzeczy. Do tamtego popołudnia i Furry Glen. Jak większość dublińczyków, mam niejasne wyobrażenie o Furry Glen. Park Phoenix to największy park w Europie, ple, ple, ple... i wszyscy bardzo się z tego powodu szczycimy. Furry Glen leży w końcu położonym najdalej od nas. Nie jeździ tam bezpośredni autobus; jeśli już byłam w parku, to najczęściej od strony zoo, w pobliżu pętli autobusu numer 10. Zapamiętałam Furry Glenn z drzew, stawu i bardzo stromych stoków. Lecz tamtej nocy, gdy James mi opowiadał o gwałcie, żywo widziałam tę scenę, nawet mostek i kaczki. Więc musiałam tam bywać częściej, niż sądziłam.

Zmuszam się, by przejść tą ścieżką wraz z Jamesem i Rosemary. Widzę słońce, przebłyskujące wśród drzew (choć nie powiedział mi, czy dzień był słoneczny), słyszę ptasi świergot.

Widzę jeźdźców, o których mi mówił, i staruszkę, która, jak się obawiali, mogłaby zobaczyć, że znikają w krzakach.

Widzę, jak idą pod drzewa.

Znowu staję się Rosemary Madden. W zagajniku jest ciemno.

Może nie tyle ciemno, ile mroczno. I chłodniej, niż się spodziewałam. Do tego wilgotna ziemia. Boję się, że ubranie mi się zniszczy.

Ale kładę się, James też. Dyszy, wodzi po mnie dłońmi. I tak mocno całuje. Ogarnia mnie strach. Co rodzice powiedzą na widok mojego ubrania? Rzeczy na pewno się poplamiają: leżymy na ziemi, wśród trawy. I czy się domyśla, że straciłam dziewictwo?

Czy to można wyczytać z twarzy?

Ale ja go tu sprowadziłam. Prezerwatywy w jego kieszeni wypalają dziurę aż do mnie. Oczywiście, nie czuję ich namacalnie, ale w inny sposób. Najchętniej bym stąd uciekła, tylko nie wiem jak.

– Przestań, James, przestań... Odsuwa się.

– Co z tobą? Chciałaś tego tak samo jak ja. Rozmyślałaś się czy co?

– Oczywiście, że chcę.

Pozwalam mu się całować. Chcę tego, a zarazem nie chcę.

Wszystko idzie za szybko jak na mój gust. Majtki mi pękają, jest taki bezwzględny, boję się... czuję go...

Ja, Angela, podrywam się z łóżka. Dalej już nie dam rady, bo skończę w wariatkowie. Nie mogę się podzielić.

Zresztą nie chcę. Nie muszę, bo sprawiedliwość jest po naszej stronie. Znowu się rozpędziłam, posunęłam się znacznie dalej poza to, co zrelacjonował mi James. I znacznie dalej od tego, co ona sama zeznała na temat wydarzenia i swoich uczuć. Ja i moja wyobraźnia – pan Elliott zawsze powtarzał, że to mnie kiedyś zgubi.

Jestem złana potem, i to wcale nie z upału.

Musimy sobie znaleźć z Jamesem bezpieczne miejsce, dopóki sprawa trochę nie przyschnie. Ojciec nam pomoże. Jestem siostrą Jamesa i stoję po jego stronie, koniec dyskusji. Żadnych „jeżeli”, żadnych „ale”. Jestem siostrą Jamesa. Nie opuszczę go. Wierzę w przedstawioną przez niego wersję wydarzeń. Kazała mu przynieść prezerwatywy. To nie było jednostronne działanie. Sąd stanął po naszej stronie. Sąd wszystko osądził. Sędzina uznała, że warto Jamesowi dać szansę. Ja też. Współczuję Rosemary Madden – a raczej współczułam, dopóki nie rozdmuchała sprawy.

Awansowała na Joannę D’Arc. W swoich oczach. I oczach jej popleczników.

Ale nie w moich. Ja uważam ją za dziewczynę, która przestraszyła się rodziców i tego, co zrobiła. Musiała się bronić, więc zrzuciła winę na Jamesa. Uraczyła rodziców bajeczką i teraz się jej trzyma, bo za daleko zabrnęła. Poza tym już nie musi się wycofywać, bo została bohaterką.

Joanna d’Arc?

Nie.

Nie dla mnie. Muszę wierzyć, że Rosemary Madden to dziewczyna, która zakochała się w szumie, jakiego wokół siebie narobiła. A jeśli nie uda mi się samej siebie przekonać, będę musiała się poddać.

## **Rozdział 31**

Tatusz, tak się do niego zwróciła. Oto słowo-klucz.

Olśnienie spada na mnie, gdy siedzę w parku Mountjoy, zabijając czas do wizyty w szpitalu. Drugi

raz w ciągu czterech godzin nie mogłam dłużej usiedzieć w tym cichym mieszkaniu.

Teraz muszę dodać kolejny punkt do listy zmartwień. Jak powiedzieć Jamesowi o Piusie Crawfordzie?

Dobrze chociaż, że pogoda się utrzymuje, ma się wrażenie prawdziwego letniego dnia, z tych, co to się oglądało na obrazkach w elementarzu: błękitne niebo, na nim jedna pierzasta chmurka i *Maire agus Sedn* w letnich koszulkach, bawiący się plażową *liathróid*. \* [Mary i Sean [w letnich koszulkach, bawiący się plażową] piłką (irl. )] (Właśnie, przypomniałam sobie, muszę szybko podjąć decyzję, czy zapisuję się na przyszły rok na egzamin z irlandzkiego. Fuj!)

Żona zwracająca się do męża: „tatusiu” stanowiła klucz do tej fałszywej nuty w religijnym zapale mojego ojca. Nie żądajcie ode mnie wyjaśnienia, dlaczego te dwie rzeczy się łączą, po prostu tak.

Nazwijcie to instynktem. Nie miałam pewności, ale gotowa bym się założyć, że to ona stoi za tą działalnością. On się dostosowuje, ale to nie płynie z jego wnętrza.

Nie zapominajcie, że jest neofitką, a tacy zawsze są najbardziej żarliwymi i skrupulatnymi wyznawcami nowej religii. Dość spojrzeć na księżną czegoś tam, zza wielkiej wody, która niedawno nas nawiedziła. Neofici są znacznie bardziej sztywni niż ludzie, którzy urodzili się w danej religii. Dla nas to coś oczywistego. Wiemy, że religia zawsze na nas czeka, nawet jeśli urządzimy sobie maleńki skok w bok, po czym wracamy skruszeni; oni są tacy żarliwi, że o paznokciec nie przekroczą prawa. Dla nich wszystko to stanowi podniecającą nowość i strasznie poważnie do tego podchodzą.

Przy okazji, mam nadzieję, że nie uważacie mnie za zupełną przeciwniczkę religii. Bo to nie wygląda tak. Religia jest po .

po prostu nie dla mnie. Pierwsza przyznam, że trafiają się fantastyczni duchowni: weźmy chociażby ojca McVerry'ego, zajmującego się bezdomnymi chłopcami, czy franciszkanów z Merchants Quay, opiekujących się chorymi na AIDS. Wszyscy ci cisi ludzie, pracujący z dala od jupiterów, którzy naprawdę dostrzegają Boga w biednych, zagubionych i więźniach. Krew się we mnie gotuje przeciwko całej reszcie, która nieustannie doszukuje się grzechu u innych i usiłuje bronić przed nim całej Irlandii.

Dla mnie sytuacja mojego ojca stała się jasna, gdy do nawrócenia Dorothy dodałam jeszcze fakt, że pochodził z rodziny, gdzie dzieciom daje się na imię Bonawentura. (Jeśli zaś chodzi o założoną przez niego rodzinę, przyznam, że Esther nie brzmi najgorzej – podobnie zresztą jak Angela. Ciekawam, jak nazwali pozostałe dzieci. Jeden wielki plus tej całej historii. Dopiero teraz to sobie uświadamiam. Siódemka przyrodniego rodzeństwa! Całe plemię, za jednym posunięciem! O ile ich w ogóle poznam...) Spójrzmy na to w ten sposób: nawet jeśli samemu nie chce się stać pod kinami z różańcem, trudno by się było im wszystkim przeciwstawić, prawda? Zwłaszcza gdyby się miało nieczyste sumienie, jak on.

A może po prostu usiłuję go wybielić? I daję się ponieść kolejnej durnej mrzonce?

Dobrze, że wyszłam z domu – czuję, że się uspokajam. W

parku Mountjoy leniwie, ale tłoczno, jak zwykle w niedzielę.

Komplet staruszków-oryginałów, obserwujących świat. Wiatr szeleszczący w liściach, kotłujące się dzieci, rodzice zaczytani w gazetach. Grupka turystów, wysypujących zawartość olbrzymich plecaków na ziemię, jakby się przymierzali do budowy domu. Na placu jest schronisko młodzieżowe i często spotyka się tu dzieciaki z zagranicy. I nawet się nie domyślają, jak nadstawiają karku, paradując Gardiner Street. Są takie słodkie, jasnowłose i delikatne, małe torebeczki zachęcająco dyndają przy plecakach, niczym neonowe zaproszenie: mnie, mnie obróbcie! Dla okolicznych rzeźmieszków nawet nie stanowią wyzwania.

Jeden z nich, chłopak, pewnie gdzieś siedemnasto, osiemnastoletni, odwrócony tyłem przypomina mi Toma Bennetta Te same miedziane włosy.

Wiecie, nigdy do końca nie przestało mnie nękać, co potem się z nim stało; cóż, pewnie zawsze czuje się coś takiego do swojej pierwszej miłości. Tak czy owak, marzę, żeby chłopak się odwrócił, dając mi szansę sprawdzenia, czy to tylko włosy.

Siedzę, zaklinając go w duchu, by się odwrócił, a potem sama się rozmarzam. I znowu zanurzam się w przeszłość. Czy to jakiś mechanizm obronny? Uciekanie w wyobraźnię, nad którą można zapanować, gdy terażniejszość staje się nie do wytrzymania? Nic dziwnego, że w szpitalach psychiatrycznych żyje tylu szczęśliwych ludzi.

Ni z tego, ni z owego, przypomina mi się jeden cudowny wieczór z Tomem Bennettem, na krótko przed zerwaniem.

A była to wyprawa na lotnisko.

Z pozoru nie zanosí się na szczególnie romantyczną randkę, ale poczekajcie, aż usłyszycie historię do końca.

Zapowiedział, żebym się szykownie ubrała, więc włożyłam jedną z lnianych sukienek mamy – tę kremową – a do niej czarne, aksamitne bolerko, pożyczone od dziewczyny, która miała pilnować Jamesa. To trzeba przyznać mieszkańcom czynszówek.

Jeśli z kimś się przyjaźniliśmy, to trzymaliśmy z nim sztamę.

Dziewczyna zgodziła się siedzieć z Jamesem od popołudnia do oporu. Była najstarsza z rodzeństwa w sąsiednim mieszkaniu, więc nie było problemu z odprowadzaniem jej do domu. Mogłam nie wracać do północy.

Kiedy zjawia się po mnie Tom Bennett, widzę, że nie żartował, każąc mi się odstrzelić. Sam ubrał się w słynną kurtkę z krokodylej skóry i obcisłe czarne dżinsy. I znowu włożył szkła kontaktowe zamiast okularów.

– Dokąd idziemy? – pytam w bramie.

– Sama zobaczysz – odpowiada z tajemniczym uśmiechem. Ta wymarzona randka nie zaczęła się

cudownie. Najpierw czterdzieści minut czekaliśmy na autobus 41, jadący na lotnisko, a gdy już się zjawił, podróż ciągnęła się w nieskończoność. W

autobusie z minuty na minutę robiłam się coraz bardziej wściekła.

– Po co się tak stroić – powtarzałam – żeby się gapić na samoloty. A do tego jeszcze pół wieczoru spędzać w autobusie!

Ani na chwilę nie stracił dobrego humoru, a gdy wreszcie znaleźliśmy się nie miejscu, mimo moich wyrzekań na miłość boską, nie mogliśmy pójść do kina, jak normalni ludzie – porwał

mnie do windy.

Potem zaprowadził mnie do restauracji. Nie do żadnego baru, tylko do prawdziwego lokalu, Sliver Lining, gdzie na stołach leżą białe obrusy, serwetki, a podłogę wyściela mięsista wykładzina.

Lecz na tym nie koniec niespodzianek. Ledwo stanęliśmy w drzwiach, a witają nas niczym parę królewską i prowadzą do stolika przy oknie, gdzie możemy obserwować samoloty. W

srebrnym pojemniku (na nóżkach) już się chłodzi wino, a przy moim miejscu leży bukietek związany białą wstążką.

Jestem jak ogłuszona. Zwłaszcza że tyle mu wcześniej nagadałam. Nigdy przedtem nie przestąpiłam progu takiej restauracji. Szczyt moich możliwości stanowił westybul hotelu Gresham.

Tak tu spokojnie. W przeciwieństwie do kotłowniny w hali głównej, w lokalu panuje atmosfera wyciszonego luksusu. Szmer.

Prawie nie słyhać silników samolotów, które widać za przeszkloną ścianą.

– Zadowoleni państwo? – Mężczyzna – niewysoki, mucha, garnitur – który zaprowadził nas do stolika, ma na twarzy rozanielony uśmiech, jakby znał jakąś wielką tajemnicę. Bo i zna.

Okazuje się, że jeden z kolegów z drużyny piłkarskiej Toma Bennetta pracuje tu jako szef kuchni i wszystko z góry zaplanowano.

Siadamy. Na szczęście wiem, jak się zachować – dobroczynne skutki słuchania opowieści mamy. Pamiętam, że kelner ma mi położyć serwetkę na kolanach, że trzeba używać sztuców leżących na zewnątrz, a pieczywo należy łamać, nie kroić, choć po raz pierwszy muszę to zrobić w praktyce. Tom Bennett obserwuje mnie i uczy się ode mnie.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś urodzoną damą – szepcze. Oczy mu lśnią. – Podoba ci się?

– Czy mi się podoba? Tu jest cudownie!

– Zaslugujemy na odrobinę luksusu. Trzymaj się mnie, mała, a zawędrujemy aż do nieba!

Wszystko to wydaje się aż nazbyt piękne. Wam też to się czasem zdarza? Że coś robi na was takie wrażenie, że nie potraficie się zdobyć na właściwą reakcję, a dopiero następnego dnia albo i po tygodniu wreszcie do was dociera, co się stało.

Jedzenie jest pyszne. Tom Bennett pozostawia mi wolną rękę, choć – szczerze mówiąc – przy niektórych daniach strzelam w ciemno. Na przykład *patena* zakąskę. Potem pyszna, gęsta zupa –

łyżki do zupy okazują się olbrzymie – po niej świeży łosoś – inna przystawka – polany jakimś sosem. Kończymy lodami i kawą w miniaturowych filiżankach. Z ekspresu. Zachwycam się nią, choć tak naprawdę w ogóle mi nie smakuje. Wina też nie potrafiłam docenić, w tamtych czasach byłam wszak wielbicielek bacardi z colą.

Po kolacji zabiera mnie do baru. Kontuar cały płynie, bo barmani są tacy zaganiani, że z trudem nadążają z napełnianiem kufli, a co dopiero mówić o wycieraniu śladów. Po kilku minutach oczy szczypią mnie od dymu – widać przed wejściem do samolotu ludzie muszą się napalić za wszystkie czasy. Musimy krzyczeć, żeby się usłyszeć, ale świetnie się bawimy.

Ponieważ stoliki są zajęte, stajemy przy oknie z widokiem na pasy startowe. Potem Tom Bennett idzie zamówić po koniaku dla każdego z nas.

Wraca z drinkami, sączymy je, wącham kwiaty z bukietu i czuję się niezwykle wytworna i szczęśliwa. Nie mieści mi się w głowie, że Tom Bennett zadał sobie tyle wysiłku właśnie dla mnie.

Obejmuje mnie.

– Dobrze się bawisz?

– Fantastycznie – odpowiadam. Naśladuje amanta kinowego.

– Przeprowadziłem cię tu, moja droga, bo pewnego dnia to wszystko będzie należeć do ciebie. – A potem, prosto do mojego ucha: – Następnym razem, gdy się tu znajdziemy, nie będziemy tylko patrzeć. Może właśnie będziemy wyruszać w podróż poślubną, co?

Domyślacie się, jakie wrażenie zrobiły na mnie te słowa.

Niewątpliwie ten wieczór zaliczam do najszczęśliwszych w moim życiu.

A potem, oczywiście, stosunkowo niedługo, dałam mu wymówienie. Cóż, pewne rzeczy po prostu nie są nam pisane.

Turysta z miedzianymi włosami wyciągnął się na trawie, twarz przykrył książką, jakby zamierzał się zdrzemnąć. Czyli nie dowiem się, czy rzeczywiście przypomina Toma Bennetta. Bardzo bym chciała go jeszcze raz spotkać, zobaczyć, jak mu się w życiu ułożyło.

Zostało jeszcze trochę czasu do zabicia, więc postanawiam iść do szpitala okreśną trasą, przez Dorset Street, Whitworth Road i Phibsboro Road. Jest goręcej, niż przypuszczałam, więc do Mater Misericordiae docieram spocona jak ruda mysz. Nie tylko z upału.



Ciągle jeszcze nie wpadłam na pomysł, jakby tu powiedzieć Jamesowi o ojcu. O Piusie.

Lecz James mnie zaskakuje. Siedzi na brzegu łóżka, czekając.

Ubrany. Wypuszczają go.

Nie zachwyca mnie ten rozwój wypadków. Po pierwsze, w lodówce pusto, nie mam go czym nakarmić.

– Co się stało? – pytam. – A badania?

Poinformowano go, że oddział jest przepełniony, pielęgniarki się nie wyrabiają, potrzebne są łóżka. W sprawie badań ma się skontaktować ze swoim lekarzem rodzinnym. Nie musi czekać na wyniki. Każdego, kto może wstać z łóżka, dziś wypisują.

– W porządku – mówię. Głowa pracuje na pełnych obrotach.

Będziemy musieli wziąć taksówkę – kolejny wydatek! – bo nie dojdzie do domu. I biedne, stare zdjęcia mamy znowu wracają do domu bez oglądania. Pokażę mu na miejscu, dzięki temu zabijemy jakoś czas.

Wcale. Bo kiedy taksówka podjeżdża pod kamienicę, kogo widzimy na stopniach?

Patsy.

Włosy wiszą jej w strąkach, twarz Goldie Hawn jest pomarszczona i stara jak u małpki. Najgorsze zaś, że obok leży worek na śmieci, podejrzenie wypchany. Patsy ściska go u góry, jakby się bała, że wszystko się rozsypie.

Zdumiewa mnie wściekłość, która mnie ogarnia na jej widok.

W innej sytuacji pędziłabym ją pocieszyć, dopytywała się, co się stało, tymczasem patrząc na nią, czuję, że w piersi mi rośnie i nabrzmięwa kula gniewu, która lada chwila wybuchnie. I jestem zachwycona, że na własne oczy przekona się, co zrobili Jamesowi.

Pomagam mu wysiąść z taksówki – nadal ma rękę na temblaku i trudno mu się poruszać, bo bolą go zębra. Ale oczywiście, widząc Patsy siedzącą na schodach, nie da się podprowadzić.

Pochodzimy do niej.

– Cześć, Patsy – odzywam się na tyle cywilizowanie, na ile mnie stać. – Co cię tu sprowadza?

Nie odpowiada, tylko wybucha płaczem. Nie zwykłym płaczem, ale naprawdę potężnym. Ze szlochami. I nie obchodzi jej, czy ktoś widzi, że robi z siebie przedstawienie. Boże, nienawidzę scen.

– Chodź do środka – mówię szybko. – Chodź.

Idziemy po schodach. Mam wrażenie, że smród kocich odchodów jest dziś silniejszy niż zwykle, a może to kwestia napiętych nerwów. James wspina się, trzymając się zdrową ręką poręczy, Patsy nadal zawodzi. Widzicie tę scenę. Nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się w mieszkaniu i zamknę za nami drzwi.

Niemal widzę nasłuchujących sąsiadów. Jakbyśmy nie byli ostatnio sławni! Okazuje się, że nie zachowywałam się paranoidalnie, bo gdy wreszcie docieram do drzwi, słyszę ciche szczęknięcie. Oglądam się i w ostatniej chwili zauważam, jak klamka w mieszkaniu Dwyera wraca do normalnej pozycji.

Wtarabiamy się do środka. Patsy rzuca się na kanapę, chowa twarz w dłoniach i oddaje się rozpacz. James ma minę, jakby chciał czym prędzej wrócić do szpitala. Chyba nigdy nie widział dorosłej osoby w takim stanie.

– Uspokoi się – przekrzykuję jej zawodzenie. – Idź do siebie, za parę minut przyniosę ci coś do picia. Połóż się i odpocznij, zgoda?

Jeszcze raz na nią zerka, potem idzie do siebie, zamykając drzwi. Patsy słyszy trzaśnięcie i podnosi głowę. Twarz ma w jaskrawoczerwone cętki. Wygląda strasznie. Ale przynajmniej próbuje nad sobą zapanować.

– Przeeeepraszam – jąka. – Straaaaaszne przepraaa... Siadam przy stole, obserwuję ją niczym interesujący okaz jakiegoś gatunku. Widząc kogoś w takim stanie, zwykle przyłączałam się i razem szlochaliśmy, ale dziś nie czuję nic.

Trochę mnie to zaskakuje. Ta nowa ja jest twarda niczym głaz.

Doskonale wiem, jak powinnam się zachować: powinnam łagodnie wypytywać, co się stało, może nawet otoczyć ją ramieniem. Zastanawiam się, czyby tego nie zrobić, już się nawet przymierzam, ale nie ruszam się z miejsca. Nie postąpiłabym uczciwie.

Bo w tym momencie nie czuję z nią żadnej więzi. Jedyna emocja to gniew rozsadzający mi klatkę piersiową. Jestem bardziej niż zirytowana, że spada mi tu na głowę, jak gdybym nie miała już dość zmartwień. Uświadamiam sobie, że jednak coś mnie łączy z Rosemary Madden: to twarde, płomienne uczucie; chyba właśnie tak wygląda zemsta.

W końcu do Patsy dociera, że coś jest nie tak, że nie pojawia się reakcja, której się spodziewała. Przestaje płakać. Wpatruje się we mnie zaczerwienionymi, pełnymi łez oczami.

– Wiem, że nie powinnam ci się tak zwałać się na głowę bez uprzedzenia...

– Nie przejmuj się – odpowiadam.

Prostuje się, wbija wzrok w dłonie na kolanach.

– Rzuciłam go – oświadcza. – Rzuciłam drania.

– To twój bagaż? – pytam, patrząc na worek. – A co z dziećmi?

Martin wie, że tu jesteś?

– Zajmę się tym, gdy się jakoś urządzę. – Zerka na mnie z ukosa. – Nic ci nie jest? Zachowujesz się jakoś dziwnie.

– Opowiedz o Martinie – kontruję. Nie będę się z nią wdawać w rozmowy na mój temat. Wstaję. – Zaparzyć ci herbaty?

Niestety, nie mam nic słodkiego.

Wydmuchuje nos.

– Przepraszam, Ange, narzucam ci się... Wiem, że nie mogłam wybrać gorszej chwili.

– Skądże znowu. Herbaty?

– Tak, poproszę, chętnie. – Głos jej drży.

Siedzi ze wzrokiem utkwionym w okno, podczas gdy ja zajmuję się szykowaniem herbaty. Powinnam zagłuszyć ciszę paplaniem, zagadać skrępowanie, które mogłoby się między nami pojawić. Ale ta nowa, twarda Angela nie ma zamiaru tego robić.

Płuczę czajniczek, olbrzymią satysfakcję sprawia mi każde stuknięcie, każdy brzęk. Nie odzywam się ani słowem. Nawet nie sprawdzam przez ramię, jak Patsy się czuje. Właściwie guzik mnie to obchodzi. Cudowne, czyste uczucie, zupełnie nieskomplikowane. Niczym przezroczysty, błękitny płomień. I niezwykle uspokajające.

Myślę, że oboje są siebie warci, ona i Martin.

– Jesteś na mnie zła? Tak?

Cholera. Zaczynam się łamać. To przez ten słabiutki głosik. Na ogół głos Patsy działa na nerwy swoją pogodą i zdecydowaniem.

Ten brzmi jak błaganie sieroty.

W końcu przez tyle lat była dobrą przyjaciółką. I przyszła na pogrzeb mamy, choć nie musiała. A potem dała mi kwiaty i wpadała do mnie w czasie przerwy obiadowej, by sprawdzić, jak się czuję. I ona załatwiała wszystkie występy PA System. Nie musiała brać mnie, w tym mieście każdy umie śpiewać, mogła sobie znaleźć kogoś znacznie bardziej przebojowego. Wzięła mnie. Z przyjaciółmi.

Nie poddam się bez walki, nie ma mowy. Odwracam się do niej, z imbrykiem z gorącą wodą. Za moimi plecami szum wody w czajniku ustępuje bulgotaniu.

– Masz rację, Patsy – mówię. – Jestem na ciebie bardzo zła. I chyba wiesz dlaczego. Współczuję ci,

oczywiście, w twojej obecnej sytuacji, ale wiedz, że tak, jestem na ciebie bardzo zła.

Patrzy na mnie. Wyobraźcie sobie maleńkiego psiaka. Takiego, który zmieściłby się w filizance – chihuahua, chyba tak się nazywa ta rasa? Same ślepia i pomarszczony pyszczek.

– Chodzi o Jamesa. Jesteś na mnie zła o Jamesa? Wylewam wodę do zlewu.

– Trafione – mówię. – I to przy pierwszej próbie.

– Jest coś, o czym nie wiesz.

– Czyżby? – Wsypuję do dzbanka łyżeczkę herbaty.

Mówi, że kiedy miała jedenaście lat, jej wuj wykorzystywał ją seksualnie. Nie sądzicie, że mogła mi wcześniej o tym powiedzieć? Choćby wtedy, gdy zastanawialiśmy się, czy pasujemy do statystyk o napastowaniu seksualnym? To się nazywa szczerą przyjaźń! Przyglądam się jej. Wyobrażam sobie drobne ciało jedenastolatki, jeszcze chłopięce, bez biustu, gładką skórę. I wielkiego owłosionego mężczyznę.

Nic. Za to przed oczami mam Jamesa z jego twarzą w kolorach tęczy, jego biedne, pobite ciało. Czajnik się wyłącza.

– To straszne, Patsy – mówię. – Naprawdę straszne, przytrafiło ci się coś okropnego. Wyobrażam sobie, jak cierpiełaś. Ale to nie ma żadnego związku z Jamesem i mną. – Zalewam wrzątkiem listki herbaty.

## Rozdział 32

Naturalnie powiedziałam, że może zostać.

Dziwne, przestałam czuć wściekłość, gdy wyłożyłam jej podstawowe reguły gry. Tak, współczuję jej, że padła ofiarą molestowania seksualnego, ale to nie ma wpływu na moje obecne uczucia. Zna mój stosunek do sprawy Jamesa i tak jak ona nie życzyła sobie rozmów o niej, tak samo ja nie życzę sobie dyskusji o wydarzeniu sprzed dwudziestu pięciu lat. Oczywiście, jeśli chce, chętnie wysłucham, co się stało między nią a Martinem.

Poza tym to mieszkanie jest domem Jamesa. Może trudno je nazwać pałacem, Patsy, ale to jego dom. I nie będzie się w nim czuł niezręcznie.

Wtedy zobaczyłam, jak wygląda po tym kazaniu, i nie mogłam ciągnąć dalej. Oto Patsy, moja liderka, która pokornie mówi: „tak, Ange” albo „nie, Ange”, jakbym była matką przełożoną, a ona postulantką. Dłużej gniewać się na tę pogwałconą istotę równałoby się zamierzaniu się toporem na jelonka Bambi.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – spytałam, gdy usiadłyśmy przy herbacie. – Dlaczego nie do swojej matki? – Matka Patsy mieszka niecałe dwa kilometry od niej, w Old Cabra.

– Nie miałam siły stanąć z nią twarzą w twarz – wyjaśnia Patsy.

– Zresztą, jej by to nie obeszło.

Ciągle jeszcze pochlupuje. Głośno wydmuchuje nos.

– Przepraszam – mówi – straszny ze mnie wyjec. – Ponownie czyści nos, potem jej głos prawie wraca do normy. – Po dwóch minutach skoczyłybyśmy sobie do gardeł. Mamę zachwyciłaby ta afera, ale nie obchodziłby jej sam problem. Nie obchodziłoby jej, co czuję, co to dla mnie znaczy.

Jak zwykle, trudno mi uwierzyć, że nie przesadza. W końcu to jej matka. Ale wiem, że ich kontakty nie układają się nadzwyczajnie. W głębi ducha zawsze podejrzewałam, że wina leży bardziej po stronie Patsy niż jej matki.

Patsy drażni, że matka nie wcieliła się w rolę klasycznej babuni. Pamiętacie tę spódniczkę mini i farbowane włosy na pogrzebie mojej mamy? Spódnice nieco się wydłużyły, ale włosy nadal są farbowane, a twarz pokrywa gruba warstwa makijażu. Z

relacji Patsy wynika, że matka większość czasu spędza, grając w golfa albo jeżdżąc z przyjaciółmi na wyścigi. Uważa, że taki wygląd i tryb życia zupełnie nie pasują do kobiety w jej wieku i choć nigdy otwarcie się nie przyznała, podejrzewam, że marzy, by matka piekła bułeczki i zajmowała się ogródkiem. Nie zliczę, ile razy się na ten temat kłóciłyśmy. Dla mnie to nielogiczne: z jednej strony sama zawsze domaga się niezależności i prawa postępowania po swojemu – występy, własny samochód, wakacje za granicą – ale denerwuje ją, gdy starsza kobieta pragnie tego samego. Albo, ściślej, realizuje te marzenia. Wygląda to tak, jakby Patsy mówiła jej: spadaj, teraz moja kolej.

Może sądzę tak, bo byłabym wdzięczna za jakąkolwiek matkę.

Zresztą to sprawa między nimi dwiema, nie będę się wtrącać ani pomagać.

Ten, kto twierdził, że gorąca herbata jest dobra na ochłodę, grubo się mylił, bo po wypiciu robi mi się jeszcze goręcej. W

mieszkańiu panuje taka duchota, że nawet mucha, która obija się o okno, robi to bez przekonania. Nie zdziwiłabym się, gdyby skończyło się burzą. Niebo nabrało koloru brudnego chromu, to zawsze źle zwiastuje.

– Jeśli chcesz zostać – mówię – będziesz musiała ze mną spać, chyba że jedna z nas wylądzie na podłodze.

– Prawdziwe szczęście, że kanapa jest podwójna, co? – Próbuje się uśmiechnąć, ale jej nie wychodzi.

Uświadamiam sobie, że przez tyle lat znajomości nigdy u siebie nie nocowałyśmy. Teraz dzieciaki nieustannie nocują u kolegów, robią całonocne przyjęcia, ale jak mogłam kogoś do siebie zaprosić? Żeby zobaczyć, co się dzieje w naszym mieszkaniu?

W innej sytuacji może by to było całkiem zabawne.

Przesiedziałybyśmy całą noc, chichocząc, robiąc sobie fryzury i paznokcie. Przynajmniej tak wynika z opowiadań koleżanek w pracy, relacjonujących poczynania swoich córek.

– Powiedz, co się stało – mówię.

Historia okazuje się w sumie dość żalosa. Kłótnia, którą przerwało nasze spotkanie w barze, ciągnęła się aż do dziś. Pod koniec sami już nie wiedzieli, o co się kłóć. I oto dzisiaj Martin oświadczył Patsy, że w południe wybiera się do pubu. Patsy każe mu wrócić na pierwszą, na obiad. On mówi, że nie, że wróci po trzeciej. Na co ona oświadcza, że jeśli nie stawi się na pierwszą, po powrocie nie zostanie jej w domu...

I tak dalej.

Mam nadzieję, że nie traktuję zbyt lekko jej dramatu, ale znowu ogarnia mnie zniecierpliwienie. Pod pewnymi względami często tak nieznośny James wydaje mi się dojrzałszy od tej dwójki.

Wysłuchuję relacji Patsy (wtedy powiedział... a ja mu na to... ) i mam ochotę wrzasnąć: dorośnijcie wreszcie! I co z tego, że obiad zje się o pierwszej, drugiej czy dziesiątej? Wiem, że zdrada to coś straszego i rozumiem to. Ale z opowieści Patsy wynika, że z tamtymi Martina łączy wyłącznie seks. A małżeństwo to coś więcej, prawda? Szybko gryzę się w język. Kto mi dał prawo wypowiadać się na temat małżeństwa? Faktycznie, mam olbrzymie doświadczenie.

Zdaję sobie sprawę, że Patsy musi to z siebie wyrzucić, ale gdy tak słucham, a ona rozwodzi się nad każdym drobiazgiem, każdą krzywdą, jaką jej wyrządził... zaczynam błędzić myślami gdzie indziej.

Chyba wspominałam, że nie lubię Martina? Ale zapewne nie wyjaśniłam wam głównej przyczyny tej niechęci, bo aż do tej pory nie chciałam sprawić Patsy bólu.

Ten taki owaki próbował się do mnie dobierać. Wyobrażacie sobie! Na bożonarodzeniowej imprezie. W domu Patsy. Kiedy ona była w pokoju obok.

Stałam w kuchni, wydając kostki lodu, żeby je zaraz wrzucić do zabawnego pojemnika w kształcie odwróconego cylindra.

Zgodzicie się, że wyjmowanie kostek lodu z pojemników to katorżnicza robota? Klęłam pod nosem – nigdy nie rzucam mięsem na głos, ale w duchu... to zupełnie inna sprawa – bo właśnie złamałam dwa tipsy, które dała mi Patsy.

Połowę kostek już udało mi się wydłubać, gdy za moimi plecami stanął nasz bohater. Nie wiedziałam, że tam jest, dopóki nie zaczął wodzić po mnie rękami, zatrzymując się na piersiach.

– Och, Angelo – szepnął mi do ucha – masz fantastyczny biust, zawsze marzyłem, by go dotknąć.

Niestety, krótko zdążył się nacieszyć, bo przykopałam mu w pischel. Nie, nigdy nie lubiłam Martina.

Zaproszenie mnie na Minorę było miłym gestem ze strony Patsy, ale szczerze powiedziawszy, dla mnie piekło równa się przebywaniu w towarzystwie Martina. Zresztą teraz pewnie nie pojedą na Minorę... Właściwie mam szczęście, że James jest najważniejszą osobą w moim życiu i nie muszę się przejmować mężem. Jak ustalić hierarchię ważności? To musi być strasznie stresujące, gdy ma się więcej niż jedną osobę do stawiania na pierwszym miejscu.

Patsy nadal opowiada. Usiłuję słuchać. Teraz zaczyna się niepokoić, co się dzieje z Pauline, Maeve i Darrenem. Podczas gdy ona myśli o dzieciach, ja zaczynam poważnie się zastanawiać, czy nasza przyjaźń kiedykolwiek jeszcze ożyje. Narzuciła mi rolę wiecznego słuchacza. O niej, o jej problemach – i, Boże, słuchałam, słuchałam! – ale teraz, gdy potrzebuję pomocy w rozwiązaniu największego problemu w życiu, ona tego w ogóle nie dostrzega.

Wiem, że w przyjaźni nie ma rozliczania co do grosza, ale obustronna wymiana od czasu do czasu mogłaby się okazać całkiem przyjemna.

Przerywa opowieść. W pół słowa. Zerka na mnie spod oka.

– Wiem, o czym myślisz – stwierdza. – Nadal uważasz, że nie okazałam ci wystarczająco dużo współczucia w sprawie Jamesa.

Ilekoć to robi – odgaduje moje myśli – daje mi punkt zaczepienia.

– Rzeczywiście, masz rację – przyznaję – coś w tym rodzaju snuło mi się po głowie.

– Bardzo przepraszam – mówi. – Pewnie niewłaściwie postąpiłam. Przebaczysz mi?

Wpatruję się w nią. Myślę o wszystkich tych niewinnych dniach, wspólnie przeżytych latach niewinności.

– Oczywiście, że ci przebaczam – odpowiadam wolno, starając się nadać głosowi ciepłe i serdeczne brzmienie. Bo nie ma co dalej się na nią bocyć, ona i tak by nie zrozumiała.

Wszystko przez to „pewnie”. Uważa, że „pewnie” się pomyliła.

Wiem już bez cienia wątpliwości, że nigdy nie wrócimy do tego, co nas kiedyś łączyło. To prawdziwa tragedia.

Patsy dostrzega tylko to, co chce widzieć.

– Świetnie – powiada. – Nie ma jak stare przyjaciółki, Ange.

Naprawdę jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie robisz. Wiem, że trudno ci zrozumieć, jak ciężkie bywa życie w małżeństwie.

Poucza mnie czy co?!

Znowu wdaje się w swoją opowieść i wystarcza, żebym siedziała z poważną miną, potakując. Ale

jej słowa coś we mnie wyzwoliły. Stare przyjaciółki? Jakie stare przyjaciółki? Jest moją jedyną starą przyjaciółką. W ogóle jedyną przyjaciółką. Tak mnie pochłaniał James i utrzymywanie się na powierzchni, że nie miałam czasu na przyjaźnię. Albo (mogę się zdobyć na szczerłość) otaczałam siebie i Jamesa tak szczelnym murem, że odstraszałam wszystkich potencjalnych przyjaciół. Może brak przyjaciół jest u nas rodzinny. Nie pamiętam, żeby mama miała jakichś przyjaciół, z wyjątkiem tych w cudzysłowie, których sprowadzała do domu.

Jeśli zaś chodzi o tak zwanych przyjaciół Jamesa, jakoś nie zdali egzaminu z lojalności i wierności.

Uświadamiam sobie, że Patsy patrzy na mnie, oczekując odpowiedzi na jakieś pytanie.

– Przepraszam, Patsy – mówię. – Zamyśliłam się. Wzdycha.

Powolutku wraca do roli szarogęszącej się Patsy.

– Pytałam, co gliny robią w sprawie napadu. Nie wiem.

Wzruszam ramionami.

– Pewnie tyle, co w innych temu podobnych. Niewiele.

Pokazywali Jamesowi zdjęcia, ale nikogo nie rozpoznał. Skoro jednak pytasz...

Chyba mogę wyrzucić z siebie wszystko, myślę, wstając i idąc po torebkę. Wyjmuję list „Droga Gnido”.

– Jak sądzisz, co powinnam z tym zrobić?

Czyta, ale nie robi na niej takiego wrażenia, jak na mnie.

– Oczywiście, to straszne – stwierdza – chociaż nie przejmowałabym się zbyt. Chcą was postraszyć. Słuchaj –

dodaje – mogę coś powiedzieć?

– Zależy co. (Oho, chyba wolałabym tego nie słyszeć!)

– Chodzi o Jamesa.

– Jamesa? – Spinam się. Poważnieje.

– Mimo że sądzisz inaczej, rozumiem, co czujesz. Pewnie ci się nie spodoba to, co zaraz usłyszysz, ale naprawdę od bardzo dawna chciałam ci to powiedzieć.

– Wal – mówię. – Choć tak naprawdę nie chcę tego słuchać.

Ani teraz, ani nigdy. To na pewno mi nie pomoże.



Nie zauważa nic w moim tonie, a nawet jeśli, to nie daje tego po sobie poznać.

– Nadchodzi moment, gdy dzieci muszą same sobie radzić ze swoimi upadkami. Popadł w kłopoty z dziewczyną i konflikt z prawem, więc powinien zostać ukarany. To mu się należy. Dzięki temu stanie się mężczyzną, Angelo.

Stoję bez ruchu. Czuję zimne stopki maszerujące mi po kręgosłupie. Nie wiem, czy to gniew, wściekłość, przerażenie, wstyd, czy...

Chyba chodzi o to słowo „ukarany”. Upokorzenie, uległość, jaka się za nim kryje. Nie znoszę go. Nienawidzę go. Równie gorąco, jak słowa „zemsta”. Nigdy nie potrafiłam się zmusić do czytania w prasie lub w książkach o czymś tak wyrachowanym jak przyzwolenie na zemstę. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak ludzie polujący na nazistów potrafią przez pięćdziesiąt lat podsycać ogień zemsty, i nigdy, ani przez moment, nie akceptowałam kary śmierci, nawet samych argumentów za nią.

Dla mnie to zbyt wyrachowane. Może wam mówiłam, że często mi się śni, iż ktoś mnie wieszka. To mój najgorszy koszmar.

Należę do tych ludzi, którzy choć napadnięci, w sądzie natychmiast wycofaliby się z oskarżenia. Widziałabym, jak przerażony jest rabuś, zaczęłabym się zastanawiać, co go czeka w więzieniu: jego żal i samotność, cierpienie jego matki, i już by było po mnie. Pewnie świadczy to o mojej słabości. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w moich stwierdzeniach brak logiki; wszak dopiero co rozkoszowałam się smakiem tego, co uważam za zemstę. Jak każda istota ludzka, stanowią zagadkę dla samej siebie. Ale faktycznie, jeśli chodzi o Jamesa, pierwiej bym umarła, niż dopuściła, by go „ukarano”. Samo to słowo z trudem przechodzi mi przez gardło.

Patsy wyjątkowo nie zgaduje, co się kłębi w mojej głowie.

Patrzy na mnie, ale mnie nie widzi, pochłania ją misja przekonania mnie.

– James jest już dorosły. Ile ma lat? Dziewiętnaście? Musisz go wypuścić spod skrzydeł, Ange, niech sam popełnia błędy i niech sam za nie płaci. Jeśli przytrafia mu się coś okropnego... Cóż, każdego z nas to spotyka i w końcu sami musimy się o siebie troszczyć.

Milknie, jakby czekała na odpowiedź. A ja nie mogę jej udzielić.

– Nie mam racji? – pyta Patsy. – Za bardzo chuchasz na tego dzieciaka. Co by zrobił, gdybyś wpadła pod autobus?

– Oczywiście, masz rację – mówię. Ale wiecie, co sobie myślę?

Łatwo ci mówić, ty przemądrzała suko, myślę, z twoją dwójką przecinek dziesięć dzieciaków, ich zajęciami z baletu, gimnastyki, pływanią, jazdą konno i zabawami. I twoim mężem z jego kontaktami i nieustannym przyływem gotówki. I twoimi wakacjami na Minorce i twoją cudowną kuchnią, tekstami typu:

„bo stanowimy rodzinę” i tym cholernym pojemnikiem na lód w kształcie cylindra. Martin może i

bywa okropny, ale jest dla twoich dzieci ojcem i kocha je. We dwoje dźwigacie ciężary. Nie chodzi z nimi na mecze piłkarskie? Nawet z dziewczętami. Nie pomagają przy nich, gdy jest w domu?

– Oczywiście, masz rację – powtarzam.

– Mówienie tego nie sprawia mi przyjemności – boleśnie kręci głowę Patsy. – Nie będę ci wygłaszać kazań. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia, ty sama podejmiesz decyzję.

Wstaje.

– Pójdę zadzwonić z budki. Masz rację, postąpiłam egoistycznie. Dzieci pewnie się martwią.

Nie pamiętam, żebym mówiła, że postąpiła egoistycznie.

Znowu kręci głowę. Tym razem gwałtownie.

– Ale nie wrócę do domu. Drań zdechnie, ale do niego nie wrócę. – Wychodzi z mieszkania.

Wróci. Pewnie zjawi się tu tylko po rzeczy.

Mija jakieś dziesięć sekund od jej wyjścia, gdy gruch! – w plac rąbie piorun. A zaraz potem chłusta deszcz, tak głośno, że zagłusza warkot silnika autobusu stojącego na światłach. Świetnie.

Przemoknie do suchej nitki. Bardzo jej tak dobrze.

Rzucam się do okna, żeby je zamknąć. Za późno, firanki już przemokły. Nieważne, im bardziej mokre, tym lepiej. Jak ona śmie? Jak śmie naruszać świat mój i Jamesa?

Ale potem muszę przyznać, że to nie do końca wina Patsy.

Gdzieś w głębi siebie jestem wściekła, bo właśnie tak zostało wydobyte na światło dzienne to, co może czasem sama w duchu myślałam. Jej słowa zderzyły się z moim głosem wewnętrznym, a to szkoda.

Nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się w pokoju Jamesa.

Tutaj też dudni deszcz, choć okno jest zamknięte. W powietrzu wisi taka wilgoć, że najchętniej uruchomiłoby się wycieraczki, żeby się przez nią przedrzeć.

– Czy policjanci przyszli do ciebie w sprawie tego napadu?

Zrobiłeś coś w tej sprawie?

Leży z założonymi za głowę rękami. Słucha walkmana.

Zauważa mnie i zdejmuje słuchawki.

– Poszła sobie?

– Na krótko. Odpowiedz. Skontaktowali się z tobą?

– Kto się ze mną skontaktował?

– Gliny. Czy przyszli do ciebie w sprawie napadu?

– Nie. – Odwraca się ode mnie, leży twarzą do ściany. –

Słuchaj, daj mi spokój. Nie obchodzi mnie, czy przyjdą, czy nie.

W ogóle nic mnie nie obchodzi.

Patrzę na jego chudy kark. Gips na ramieniu nieco przyszarzał.

Sprawdzam, co powiedziała mi Patsy. Staram się zachować obiektywizm i widzieć w tym człowieku młodego mężczyznę, który musi sam zajmować się swoimi problemami. Staram się nie dostrzegać w nim Jamesa. Bardzo się staram.

Słyszę swój głos:

– W porządku, James, zostawię cię w spokoju.

– Dobrze – odpowiada.

– Ale za chwilę, jak porozmawiamy.

– Nie mam ochoty. Mocno zaciskam zęby.

– Nalegam – mówię. – Nie wyjdę, dopóki się do mnie nie odwrócisz. Przekręć się i spójrz na mnie.

– Wynoś się.

– Ile razy mam ci powtarzać? Nie wyjdę. Odwróć się.

– Dobra! Czego? – Przekręca się i mierzy mnie wzrokiem. Ale dziś to spojrzenie mnie nie onieśmiela. – Chcę porozmawiać, to wszystko. – Zmuszam się do zachowania spokoju.

– Proszę uprzejmie, mów. Pośpiesz się. O czym chcesz rozmawiać?

– To nie jest łatwe, James, i proszę, nie utrudniaj mi tego. Co ja ci zrobiłam, że odnosisz się do mnie z taką wrogością?

– Na miłość boską, jeśli masz mi coś do powiedzenia, to mów.

Dlaczego wszystko wiecznie się obraca wokół ciebie?

Teraz słowa padają jedno za drugim.

– Właśnie – podejmuję. – Chodzi o mnie. Najwyższy czas, żebyśmy o mnie porozmawiali. Kończą się twoje dni wiszenia przy moim pasku, James. Jestem człowiekiem. Istotą ludzką. Nie anonimowym robotem, który ma cię wspierać i posprzątać to, coś nabałaganił. Czas, byś stanął na własnych nogach. Masz dziewiętnaście lat i znudziło mi się niańczenie cię. W końcu nie jestem twoją matką, tylko siostrą. A przy tym kobietą. Mam dość bycia traktowaną jako pewnik. Chcę odzyskać swoje życie.

To dla mnie samej wstrząs. Nawet nie wiedziałam, że to czuję.

Ale rzeczywiście to prawda. Dopiero wyrzuciwszy z siebie te słowa, odkryłam, że tak sprawa wygląda.

A przynajmniej w dużej mierze. Co z tym stwierdzeniem, że nie jestem jego matką? Biologicznie może i nie, ale czy nie dzielę tu włosa na czworo? Nie wyszedł z mojego łona, a to tworzy szczególną więź. Może dlatego, że nigdy nie byłam matką, nie potrafię sobie wyobrazić, by matka mogła kochać syna goręcej niż ja Jamesa. (Bycie matką przestępcy musi być czymś koszmarnym).

Ż ulicy dobiega głośny krzyk. Widocznie kogoś dopadł deszcz, który siecze coraz mocniej i głośniej.

Patrząc na Jamesa, boję się, czy nie zacznę się nad nim jak zwykle litować. Nigdy jeszcze tak się do niego nie odezwałam.

Darłam się, wymyślałam mu od najgorszych, mówiłam rzeczy, których naprawdę nie myślałam. Ale to coś innego, w tych słowach brzmiała absolutna prawda. I on zdaje sobie z tego sprawę. Szok, który maluje się na jego twarzy, nie jest udawany.

Ciągnę jednak, nim zmięknę.

– Życie dało ci w kość i wiem o tym – mówię silnym głosem. –

Współczuję ci, ale zrobiłam, co w mojej mocy. Jestem zmęczona, James.

Szeroko otwiera zapuchnięte oczy.

– Wiem, że nie jesteś moją matką, Angelo – mówi. Bardzo rzadko zwraca się do mnie po imieniu.

Gdzieś przeczytałam, jak najlepiej sobie radzić w takich sytuacjach. Jeśli masz przewagę, nie wykorzystuj jej.

– Zgadza się – mówię. – Chyba postawiłam sprawę jasno.

Napijesz się herbaty?

– Tak – szepcze. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Przechodzę do kuchni. Nalewam wody do czajnika i czuję, że zaczynam się trząść. A jeszcze nie powiedziałam mu o Piusie. Cholerna Patsy.

## Rozdział 33

Poniedziałek rano. Ciągłe nie powiedziałam Jamesowi, ale mój ojciec wpadł na pomysł. Po usłyszeniu go byłam rozdwojona w sobie. Łagodnie mówiąc.

W pierwszej chwili z punktu go odrzuciłam. Wydawał mi się zupełnie nie z tej ziemi. To muszę mu przyznać: potrafi kombinować!

Dzwonię do niego z budki przed biurowcem, który właśnie sprzątałam. Budka stoi przy Grand Canal, niedaleko Mount Street Bridge. Deszcz łomocze w metalowy daszek – leje już od osiemnastu godzin – ulica zakorkowana, jak to w porannych godzinach szczytu. Ojciec szepcze po drugiej stronie linii, ale nawet gdyby krzyczał, trudno by mi było go usłyszeć.

– Przemysławszy rzecz dokładnie – mówi – radzę umieścić Jamesa w opactwie w Mount Melleray. Załatwię to. W ten sposób zyskacie z Jamesem trochę oddechu. Zniknąłby z widoku, dopóki sprawa trochę nie przycichnie.

– Przepraszam, panie Crawford, ale tu jest straszny hałas, mógłby pan mówić głośniej? Dobrze usłyszałam? Wspomniał pan coś o opactwie?

Nie dość, że nie odzywa się głośniej, to jeszcze zaczyna cedzić.

– Znam... osobiście... opata... i... dopuściłem... go... do...

tajemnicy...

Zakon? Opat?

– Mogę to przemyśleć? – pytam.

– Oczywiście, nie śpiesz się. – Jego głos nabiera siły, słyszę w nim ulgę. Nie wyskoczyłam na niego z twarzą. Dam się zgrabnie wyrugować z jego życia. James będzie chodził w habicie i posypywał głowę popiołem, póki sprawa nie przyschnie. A najpiękniejsze w tej całej historii będzie to, że tak mnie, jak i Jamesa zdoła utrzymać z dala od Tullamore. – Masz mój telefon do biura – dodaje. – Wystarczy, że zadzwonisz, a sprawa będzie załatwiona.

– Panie Crawford – wołam szybko – nie jestem przekonana...

Motocyklista – założę się, że kurier – przemyka między samochodami. Przez sam środek kałuży, jakieś dwa metry od krawężnika, przy którym stoję. Jestem ochlapana od pasa w dół.

– Przepraszam. Czy mogę zadzwonić później? Tu jest taki hałas...

Słyszę, że przysuwa słuchawkę tuż do ust.

– Czy moglibyśmy się umówić, Angelo, że to zostanie między nami trojgiem? Oczywiście, na razie.

Gdyby tu nie chodziło o mnie i o Jamesa, zabrzmiałoby to prawie pieszczotliwie. Ale dla mnie nie brzmi pieszczotliwie.

– Czy Dorothy wie? – pytam. Dopiero teraz odkrywam, jaką potrafię być cholera.

Trafiłam w sedno.

– Dorothy? – powtarza. W jego głosie słyszę lęk. – Eee...

Jeszcze nie. – I pośpiesznie: – Ale oczywiście jej powiem.

– Oczywiście – mówię. – Zadzwoń jeszcze dzisiaj. – Ciskam słuchawkę. Na moje szczęście trafiłam na wzmocniony telefon, odporny na wandalizm.

Klasztor! Też mi pomysł!

W drodze do domu wpadam na komisariat przy Fitzgibbon Street. Nic nowego w sprawie napadu.

Właściwie nie spodziewałam się przecież niczego innego. W

końcu chodzi o człowieka albo grupę ludzi, którzy dali gwałcicielowi zasłużony wycisk. Gorzknieję? Trudno.

Przemyka mi przez myśl, by spytać policjanta, z którym rozmawiam, czy nie będzie problemu, gdyby James schronił się w klasztorze – nie żebym się zgadzała na ten pomysł, ale zawsze...

Czy źle by wyglądało na rozprawie za rok, gdyby przerwał

terapię? (Po tym, co z siebie wydusił po pierwszej sesji, obawiam się, czy nie umocnią się jego uprzedzenia względem kobiet, którym ostatnio należą się same przywileje. Czytając między wierszami, doszłam do wniosku, że terapeutka jest najpierw feministką, a dopiero potem psychologiem, i najbardziej jej zależy na tym, by James uznał, że wszyscy mężczyźni to dranie, a kobiety – święte. Zastrzegam się, że mówię to na podstawie relacji Jamesa, nie widziałam kobiety na oczy).

Policjant nie ma żadnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o wyjazd Jamesa do Mount Melleray. Wygląda na to, że po zakończeniu rozprawy policja umywa ręce. A gdyby był jej potrzebny do zidentyfikowania napastników, wie, gdzie szukać.

Wracam do domu i poruszam kwestię klasztoru z Jamesem.

Myślicie, że ja zareagowałam ostro? Jego reakcję pozostawiam waszej wyobraźni. Dodam, że słowo „furia” nie oddaje jej impetu.

Niewiele nadaje się do druku.

Mam sobie to wybić z głowy. Ani na chwilę nie da się zamknąć w jakimś cholernym, nadętym klasztorze, kup sobie młoteczek, nie ma mowy, wykluczone. To ocenzurowany skrót.

I, wyobraźcie sobie, ani się obejrzałam, jak zaczęłam się z nim kłócić, jakbym uważała ten pomysł za

genialny. Czy nie mógłby przynajmniej tego rozważyć? Ma lepsze rozwiązanie?

– Jasne, przemyślę sobie, tu mi kaktus – warczy. – To w końcu moje życie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ja będę decydował, co robię i kiedy robię. Co za skończony głupek i kretyn na to wpadł?

– Ja.

Znowu stchórzyłam.

– Cholerna idiotka! – drze się. – Ja będę decydował. Nie ty, nie nikt inny. – Wypada z pokoju.

Miotam się po mieszkaniu jak derwisz, sprzątając. To ja powinnam się schronić w Mount Melleray, złapać trochę oddechu, a szczeniak niech sobie radzi sam. Nie zdaje sobie sprawy, w jakie bagno wpadł i że wszyscy starają się mu pomóc? Nie żartowałam, pytając, czy ma lepsze rozwiązanie. Bo ja nie widzę żadnego. Co mamy robić? Czekać na stukanie do drzwi? Na kolejny napad w innej ciemnej uliczce? Teraz zdaję sobie sprawę, że mogę sobie w buty wsadzić swoje marzenia o mieszkaniu w przytulnym domku na wsi, gdzie znalazłabym nową pracę. Jakie mam kwalifikacje?

Ile znajdę na prowincji firm, zajmujących się sprzątaniem biur?

Ciskam się jak obłąkana, wydaję książki z półek, odkurzam je, chlustam cifem na wszystko, co popadnie. Zdejmuję z sofy poduszki, żeby pod nimi wyczyścić – i znajduję kolczyk Patsy.

Przerywam, uspokajam się. W pewnym sensie chyba się cieszę, że na niego trafiłam. Bo to znaczy, że będę musiała się z nią skontaktować i dać jej znać, że kolczyk jest u mnie.

Chcę się z nią spotkać, bo martwi mnie, że rozstałyśmy się w niezgodzie. Nie chcę jej więcej widzieć, bo nasza przyjaźń już nie wróci. Przynajmniej nie w tej postaci, co dawniej. Oczywiście, mogę wysłać go pocztą...

Wpatruję się w złocisty krążek spoczywający w mej dłoni. Jest w kształcie delfina, chwytającego swój ogon. Patsy ma świra na punkcie delfinów i Martin kupił jej te kolczyki na dziesiątą rocznicę ślubu.

Wczoraj po południu, wróciwszy z budki, wyglądała jak mokry kot, tusz spływał jej po policzkach, włosy jak u topielicy. Była przerażona.

– Dzwoniłam i dzwoniłam, ale nikt nie odbierał. Gdzie oni są?

Muszę wrócić do domu, sprawdzić, co się stało.

I to ta sama kobieta, która miała już nigdy tam nie wrócić.

Nigdy. Której nie obchodziło, co się z nimi stanie. Nawet zadzwoniła do centrali, żeby sprawdzili, czy telefon nie jest uszkodzony.

– Poczekaj chwilę, jesteś przemoczona do nitki. – Daję jej ręcznik, żeby sobie wysuszyła włosy –

pewnie wtedy wypadł

kolczyk.

Wyciera włosy i popłakuje.

– Powinni być w domu, nigdzie się dziś nie wybieraliśmy.

Muszę natychmiast wracać. Przepraszam, Ange, pewnie sądzisz, że zupełnie postradałam zmysły.

– Skąd, Patsy – zapewniam.

Wypada z mieszkania. Odzywa się dzwonek przy drzwiach na dole. Pędzi na dół, ja za nią.

Tak. Zgadliście. To Martin. Skruszony, ale i buńczuczny.

– Cześć, Pats, wiedziałem, że tu będziesz. Zostawiłem dzieciaki w samochodzie.

Plask! Wymierza mu policzek. Z całej siły. A potem ze szlochom rzuca mu się w ramiona. Wszystko to w drzwiach otwartych na oścież, za nimi leje deszcz, a ja stoję niczym piąte koło u wozu. Jeśli to się nazywa małżeństwo, dziękuję, nie skorzystam.

Nadal patrzę na kolczyk. Nie mogę się zdecydować. Więc wkładam do szafki, wrzucam do pękniętego kubka, z którego nie korzystamy.

– Gdzie to w ogóle jest? – To James, wszedł bezszelestnie.

Odwracam się, bo byłam plecami do niego. Stoi w drzwiach z butną miną.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Musiałabym sprawdzić na mapie.

– Nie zwracaj sobie tym głowy. – Trzask! Zniknął w swoim pokoju.

Widzę, że czynimy postępy. Jeśli naprawdę tego chcę. Do licha, klasztor? Angela Devine? James Devine? Od kiedy to stoję po stronie Piusa Crawforda? Jestem w desperacji, to dlatego.

O ósmej wieczorem nie zadzwoniłam do niego. Ani ja, ani James nie wracaliśmy więcej do sprawy Mount Melleray. Potem decyzję podjęto za nas.

Najpierw przez okno wpadła cegła. Połówka cegły, jeśli mam być ścisła. Pewnie dlatego, że mieszkamy na pierwszym piętrze i całą trudniej by było trafić. Oglądaliśmy telewizję, panowała między nami dość mroźna atmosfera. Telewizor wyręczał nas w mówieniu.

Zaczynałam mieć tego dość i jak zwykle dojrzywałam do wykonania pierwszego pokojowego ruchu celem przełamania lodów. Szłam po zdjęcia Adeline, kiedy z hukiem trzasnęła szyba.

Chyba nie jest mu pisane obejrzenie tych cholernych fotek.



Odgłos cegły wpadającej przez okno jest szokujący, po prostu szokujący. Nie życzyłabym tego najgorszemu wrogowi. To jakby bomba wybuchła ci w czaszce. Najpierw huk, a potem rozsypujące się szkło.

Oboje się kulimy.

Potem – to chyba świadczy o różnicy naszych temperamentów

– ja podbiegam do okna zobaczyć, kto to zrobił, podczas gdy James klnie, rzuca się do drzwi i pędzi na dół.

Na moje oko wszystko wygląda normalnie. Ludzie stoją pod parasolami, czekając na autobus. Samochody jadą ulicą. W głębi ciemna zieleń parku. I nikt nie daje nogi. I... – wiem, że to banal –

ale gdzie jest policja, gdy się jej potrzebuje? Nie miałabym nic przeciwko temu, bo ostatnio, zwłaszcza od zabójstwa dziennikarki, w naszych okolicach pojawiło się znacznie więcej patroli.

Nie widzę Jamesa. Ten ktoś musiał uciec w drugą stronę, ku Dorset Street. Natychmiast zaczynam się zamartwiać, czy ten, którego James ściga, nie ma noża. Albo nawet pistoletu. Teraz w Dublinie co drugi człowiek nosi spluwę. Wystarczy mieć dwadzieścia funtów, a wypożyczą ci na noc, nawet gdybyś był

rzezimieszkiem.

Zauważyliście, ile szkła jest nawet ze stłuczonej szklanki?

Olbrzymie odłamki wylądowały na zlewie, okruchy powbijały mi się w podeszwy, nie widzę ich, ale każdemu krokowi towarzyszy klucie.

Kawałki cegły obity zlew, drobiny zostały w fałdach zasłonki.

Deszcz siecze do mieszkania przez ostre krawędzie szyby, a raczej jej resztek, więc rozglądam się za czymś, żeby zatkać dziurę.

Wraca James, szczęśliwie nie odniósłszy dalszych obrażeń.

– Widziałeś kogoś? – Nie.

Pomaga mi uprzątnąć. Zdrową ręką przykładam do dziury w oknie pudełko po płatkach kukurydzianych i przyklejam je taśmą.

Nie na wiele się to zda przy takim deszczu.

Zgadnijcie, kto w jakieś czterdzieści minut później składa nam nieoczekiwaną wizytę? Drogi właściciel kamienicy, sam pan Reddy we własnej osobie.

– Mogę wejść? – Twarz przyobekł w wyraz powagi, w ręku trzyma książeczkę opłat.

Wiem, że zapłacił w terminie, więc tu mam czyste sumienie. Za mną James włącza telewizor, reklamówkę.

Samochodów Peugeot, „odkryj w sobie bohatera”. Śmiać się chce.

Tyle że mnie nie jest do śmiechu.

– Nie trafił pan na odpowiedni moment – oświadczam spokojnie.

Reddy się rumieni.

– W takim razie powiem, co mam do powiedzenia, w progę.

Niestety, muszę państwa poprosić o wyprowadzenie się.

– Wyprowadzenie się?

– Tak. – Ma z natury trzęsący się głos, teraz ten głos drży bardziej niż zwykle. – Otrzymałem liczne skargi. A choć aż do tej pory nie wiedziałem... – Spogląda nad moim ramieniem. – Widzę, że mają państwo wybitą szybę.

– Skąd pochodzą te tak zwane skargi?

– Nieważne. Prowadzę porządną kamienicę.

Ciekawe, dlaczego od razu przychodzi mi na myśl nasz Dwyer z tej samej klatki? Ten, który dziwnym trafem zawsze się pojawia, gdy zaczynają się kłopoty.

– Wiem, kto się skarży – mówię do Reddy’ego – a niezależnie od tego, ile tych skarg było, mogę strzelać w ciemno, że pochodzą od jednej osoby. I wszystkie są bezpodstawne. A teraz proszę darować. Znam swoje prawa. – Zatrząskuję drzwi. Opieram się o nie.

Stuka. Czuję to stukanie z tyłu czaszki. Powinno być tego spodziewać. Kiedyś przy regulowaniu czynszu jeden z sąsiadów wspomniał mi, że Reddy należy do któregoś z tych ekstremistycznych katolickich twórców, biorących wzór z Ku-Klux-Klanu. Może to nawet Prawa Katolików Piusa Crawforda, cha, cha!

Rzeczywiście, pięknym chrześcijańskim podejściem się teraz popisuje, nie sądzicie?

Staram się nie zwracać uwagi na pukanie. Wpatruję się w ekran. Reklamówka Peugeota się skończyła i wyświetlają zwiastun programu, który ma być emitowany w drugiej części tygodnia. Nosi tytuł „Davis”. Nie oglądam go często, nawet jeśli to ja wybieram programy, bo nie przepadam za takimi dyskusjami panelowymi na poważne problemy. O tej porze mój umysł

odmawia posłuszeństwa i szuka czegoś lekkiego, nie wymagającego myślenia. Najchętniej zabawnego.

– Panno Devine, panno Devine – słyszę głos Reddy’ego zagłuszający Dereka Davisa.

Derek Davis spogląda na nas spod brwi. Raport na temat gwałtu, oznajmia mrocznie. W obliczu wypuszczenia na ulice człowieka pokroju Jamesa Devine’a...

James wyłącza telewizję. Siedzi w fotelu jak ogłuszony, czeka na koniec. Reddy nadal stuka mi w plecy.

– Panno Devine, mam prawo... Niech pani otworzy. Mam wszelkie prawo...

– Zamknij się! – wrzeszczę przez drzwi, waląc w nie pięściami, zagłuszając Reddy’ego.

– Teraz sobie pójdę, ale jutro wrócę! – krzyczy z drugiej strony. Potem jakby czekał. Wstrzymuję oddech. Cisza w mieszkaniu jest ogłuszająca.

Później słyszę, jak zawraca, idzie po schodach. Drzwi rezonują, gdy zatrząskuje drugie, na dole.

Odwracam się do Jamesa. Mimo buńczucznych deklaracji wiem, że już po nas. I wiem, że James też zdaje sobie z tego sprawę – żadne z nas dłużej tego nie zniesie. Drży.

Jeśli się uprzemy, możemy protestować przeciwko wyrzuceniu nas z domu. Tony Gregory jest naszym radnym, pomógłby nam, bez trudu załatwiłby Reddy’ego. A choć nie podpisaliśmy umowy, mieszkamy tu od tak dawna, że przysługują nam pewne prawa. Choćby do przyzwoitego okresu wymówienia.

Lecz jaki sens zostawać w miejscu, gdzie nie jest się mile widzianym, gdzie sąsiedzi domagają się twojej eksmisji? Inaczej by to wyglądało, gdybym podejrzewała, że wyrzucą nas, żeby przerobić kamienicę na apartamenty dla *yuppies*. Wtedy walka byłaby łatwa. Ale teraz staliśmy się pariasami. Teraz wiem, jak musi się czuć handlarz narkotyków na terenie opanowanym przez organizacje zwalczające narkomanię.

– Przeniesiesz się do tego klasztoru, do cholery? – pytam. –

Przynajmniej na jakiś czas. (Tyle jeśli chodzi o trzymanie się reguł... )

– Odchrzań się, nie jadę do żadnego klasztoru.

Chyba niezbyt sprzyjający moment na intymną rozmowę o odnajdowaniu ojców.

Jakim cudem następnego dnia poszłam do pracy, jakim cudem czyściłam podłogę froterką, nie pytajcie, nie wiem. Ale robiłam to. Przypuszczam, że gdy wszystko się wali, trzymanie się pewnej rutyny pomaga. Oczywiście, łapałam się na tym, że popadałam w takie zamyślenie, iż chwilami nie poznawałam własnej ręki.

Wpatrywałam się w biały, dziwaczny kształt na tle żółtej ściereczki do odkurzenia. Rozgwiazda?

Ku swemu zdumieniu, po powrocie do mieszkania zastaję Jamesa na nogach i ubranego. Dziś to już

zupełnie inna śpiewka, gdzieś się ulotniła cała buta. Telewizor wyłączony, James nic nie je. Siedzi przy stole wpatrzony w przestrzeń.

– Co jest, James? Stało się coś jeszcze?

– Nic się nie stało.

– W takim razie dlaczego tak siedzisz?

– To wolny kraj, prawda? – Ale mówi to bez przekonania, jest spłoszony jak zbity psiak.

Odkładam torbę i tęsknie spoglądam na sofę. Jestem taka zmęczona, że widzę nieostro. Zmuszam oczy do pracy.

– James – odzywam się cicho – spójrz na mnie.

Kręci głową. Wpatruje się w swoje dłonie, zaciśnięte w pięści, leżące na kolanach.

– Równie sceptycznie jak ty podchodzę do pomysłu z klasztorem, ale jedno wiem z całą pewnością: klasztory to cudownie spokojne miejsca. Jestem pewna, że nie zmuszą cię do uczestnictwa w obrządkach, przyjmują każdego: muzułmanina, hinduistę, żyda, ateistę – każdego, kto poprosi. Nawet nie pytają dlaczego. Przemysł to sobie, James. Potrzebujesz odpoczynku od tego piekła. To nie potrwa długo.

(Gdyby jeszcze w maju, kiedy to wszystko się zaczęło, ktoś mi powiedział, że Angela Devine będzie zachęcać swego brata do pójścia do klasztoru!... ) James nie odpowiada ani nie reaguje w żaden inny sposób. Nie mogę tego znieść.

Wolno kiwa głową.

Dopiero wtedy mówię mu o Piusie. Słucha w milczeniu.

– Co o tym sądzisz? – pytam go w końcu.

– To twój papcio, nie mój, co to ma do mnie? – Całkowity brak nadziei w jego oczach omal mnie nie dobija.

Tego wtorku w porze lunchu czuję przyływ nerwowej energii.

Odsuwam zmęczenie w kąt, postanowiłam sobie, że gdy Reddy zastuka do naszych drzwi, nas już dawno nie będzie.

Dzięki Bogu, że już nie padało, gdy szłam do budki telefonicznej zadzwonić do Piusa Crawforda.

– Trzeba to załatwić natychmiast – oznajmiam mu. – Jutro.

Pojawiły się nowe okoliczności i musimy opuścić mieszkanie.

- Jakie okoliczności?
  - Za długo by trwało tłumaczenie.
  - Z przyjemnością się wszystkim zajmę. (Założę się). – Na którą go u nich zapowiedzieć?
  - Muszę sprawdzić rozkład jazdy autobusów. Niech pan powie, że jutro po południu albo wieczorem. – Potem muszę jeszcze spytać, gdzie właściwie jest ten diabelny klasztor...
  - Angelo – mówi, wytłumaczywszy – proszę, dzwoń do mnie, kiedy zechcesz. – Głos ma przyciszony.
  - Umówimy się niedługo na jakieś spotkanie, dobrze?
  - Z przyjemnością – odpowiadam. Nagle całkowita zmiana tonu.
  - Tak, dziękuję, niedługo się z panią skontaktuję. – Potem jakieś szmery, zasłonił ręką mikrofon. Rozmawia z kimś....
- Ponownie się zgłasza.
- Dzięki za wszystko, do rychłego zobaczenia. Niech Bóg cię strzeże, do widzenia.
- I – niespodzianka! – zostaję z milczącą słuchawką w ręku.
- Chyba tak czuje się kochanka żonatego mężczyzny.

## **Rozdział 34**

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że nawet mnie nie zaboląła taka reakcja ojca. Zabawne, prawda? Pół życia człowiek marzy, a gdy wreszcie zakąszę rękawy i poszczęści mu się na tyle, że znajdzie tego ojca, okazuje się... Właśnie, co się okazuje?

Jestem zbyt zmęczona, by analizować swoje uczucia wobec Piusa Crawforda. Oczywiście, mam w głowie mętlik, to wszystko jest za świeże. Trzydzieści sześć lat zajęło mi dotarcie do tego punktu, nic się nie stanie z dnia na dzień, jemu też trzeba zostawić trochę swobody. Z drugiej strony, niech nie liczy, że mu odpuszczę w sprawie mojego przyrodniego rodzeństwa. W

przyszłości zażądam spotkania z moimi braćmi i siostrami. Z całą pewnością. Ta druga Angela sprawiała wrażenie miłej.

Uznałam, że skorzystam z okazji i skoro już jestem w budce, zadzwonię do Patsy i powiem, że będzie musiała przyjechać po swój kolczyk, bo drobiazg może się zgubić przy przeprowadzce.

W jej głosie słyszę zdumienie i słusznie.

- Przeprowadzce? Jak to: przeprowadzce?
- Tak to. Przeprowadzka. Wiesz, pudła, wóz meblowy.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Dlaczego się przeprowadzacie?

Znaleźliście już mieszkanie?

Muszę jej przyznać, że gdy zaprzeczam, zaprasza mnie z Jamesem do siebie, dopóki sobie czegoś nie znajdziemy.

– Ja i Martin bardzo chętnie udzielimy wam gościny.

– Dziękuję za propozycję – mówię. – Poradzimy sobie. – Ha, myślę sobie, „ja i Martin”... A nie mówiłam? Znowu sielanka kwitnie. Aż do następnego razu.

– Wiem, co sobie myślisz, Angelo. Myślisz: co jest grane z nią i z Martinem, jeszcze wczoraj byli...

Wpadam jej w słowo.

– To twoje sprawy, Patsy. Słuchaj, muszę kończyć, mam jeszcze sporo telefonów i powinnam zacząć się pakować. Będę z tobą w kontakcie. Gdybyś chciała odebrać kolczyk, wpadnij wieczorem.

Rozłączam się.

Do końca dnia nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że umieszczamy z Jamesem swoje życie w paczkach. Wkładamy wszystko do pudełek, zaklejamy je – może na zawsze.

A mimo to pakowanie nie okazało się czynnością wzniosłą ani tragiczną, przeciwnie, było radosne. Powinnam odczuwać smutek, że odchodzę, spędziliśmy tu z Jamesem spory kawał życia –

James jego większość. Może to mieszkanie było złe, może pełne wad, ale stanowiło nasz dom. A jednak mimo wszystkich naszych problemów i doświadczeń, myśl o przeprowadzce w nowe miejsce budzi we mnie radość. Tutaj obrosłam kurzem.

Muszę przyznać, że James spisał się na medal, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę rękę w gipsie. I po raz pierwszy od lat pracowaliśmy razem, oboje dobrze się przy tym bawiąc.

Konsultowaliśmy się ze sobą. Co z tym? (Podniszczona poduszka). Nie! Precz! Bawełniana narzuta na łóżko? Już po niej!

Ogarnęła nas gorączka. Darliśmy kartki, zmiotaliśmy sterty śmieci. To? (Popielniczka „Pamiętka z Tramore”) Won! Ozdóbki?

Wszystkie do kosza. Po co nam ozdóbki? Po co komukolwiek ozdóbki?

Kiedy oczyściliśmy półki z książkami i ustawiliśmy je na podłodze, wiecie, co wypadło z „Makbeta”? Moja zdrapka z trzema gwiazdkami.

Kupiłam parę kompletów największych worków na śmiecie.

Odłożywszy na później ubrania i przybory toaletowe – i moje książki, które będę musiała zapakować w pudła –

zarezerwowaliśmy jeden worek na rzeczy, które chcemy zatrzymać.

Okazało się, że nie był potrzebny, gdyż wszystko, co chcieliśmy zatrzymać, zmieściło się w dwóch torbach – tak, w dwóch! Podzieliliśmy talerze i sztuce na te, które są nam potrzebne do użytku, i na te, które są zbędne. Zapakowaliśmy cztery komplety bielizny pościelowej, cztery ręczniki, patelnię, nasz czajnik elektryczny i żelazko, otwieracz do konserw, łychy, noże kuchenne, chochle. James nie rozstał się ze swoimi bezcennymi płytami kompaktowymi, kasetami i radiomagnetofonem. (I – nie uwierzycie – swoimi zabawkami z dzieciństwa. Grzechotka i klocki z literami alfabetu, o których istnieniu nawet nie wiedziałam, tak głęboko zagrzebał je pod ciuchami w szafie). Moja tacka z laki, bo niezależnie od tego, gdzie wylądujemy, nie chcę się rozstawać z moimi sobotnimi ucztami z delikatesów.

Cały ten proces był niezwykle kształcący. Dwa życia. Dwa życia, które w sumie dają pięćdziesiąt sześć lat, a jeśli odliczyć ubrania, suma rzeczy, których naprawdę potrzebowaliśmy – albo chcieliśmy – zmieściła się w dwóch dużych worach na śmieci.

(Plus moje książki, choć można dyskutować, czy książki są potrzebne. Na poziomie przeżycia z pewnością nie – spytajcie mamę albo któregoś z jej „przyjaciół”).

Rozglądam się. Na pewno nie chcemy zabrać jeszcze czegoś?

Przez moment waham się nad zasłonami od Patsy. Nie. Prezent dla Reddy’ego.

Oboje ostatni raz rozglądamy się po mieszkaniu, ale nie znajdujemy niczego innego. Co z telewizorem? Nagle James smutnieje.

– Co zrobimy bez telewizji? I co z moim motocyklem?

Telewizor należy do Reddy’ego. Jeśli w naszym nowym mieszkaniu – choć nie wiadomo jeszcze, gdzie ono będzie – nie będzie telewizora, wypożyczymy go.

– Zresztą tam, dokąd jedziesz, nie będziesz oglądał telewizji! –

mówię Jamesowi.

Cała radość się ulatnia. Dlaczego się nie ugryzłam w język?

– Co z motocyklem? – nalega James. – Potrzebny mi.

– Słuchaj, gdy ręka się zrośnie i wszystko się ułoży, kupię ci drugi – obiecuję. – Nie możemy go zatrzymać, chyba to rozumiesz. Jutro rano zadzwonię do sklepu, w którym go kupiliśmy, powiem, że nie możemy dalej spłacać rat. Przyjmą go z powrotem. Dzięki Bogu, jest w dobrym stanie.

Ta decyzja go przygnębia, ale jakie mamy wyjście? Ja nie mogłam wziąć ze sobą motocykla, on też

nie, a przywiązany do ogrodzenia, nie na wiele się zdawał. Zwłaszcza że równocześnie rosły odsetki za zwłokę w regulowaniu rat.

Skoro mowa o wyjściach, nie stać mnie teraz na skrupuły, więc kogo proszę o pomoc przy przeprowadzce?

Zgadnijcie.

Tego wieczoru zamienialiśmy się z Jamesem przy oknie, wypatrując kolejnych cegieł.

Wreszcie dałam mu zdjęcia. Rozłożył je i obejrzał, ale –

przynajmniej z tego, co widziałam – nie zrobiły na nim większego wrażenia.

Zbyt wiele oczekiwałam. Wcale nie znał mamy – ciągle o tym zapominam – a zdjęcia przedstawiają dziewczynkę sprzed wielu lat.

– Może je zatrzymasz? Weźmiesz do Mount Melleray? –

proponuję.

Liczę, że może w spokoju i ciszy zdoła dokładniej się im przyjrzeć, może nabiorą dla niego znaczenia. Ale tylko wzrusza ramionami i ponownie skupia się na telewizorze. Zauważam jednak, że starannie je zgarnia na kupkę.

Przed dziesiątą, tuż przed zapadnięciem zmroku, wymykam się z domu i idę do Kena Sheilisa. Chciałam go prosić o pomoc w przeprowadzce, przygotowałam nawet liścik, żeby go wrzucić do skrzynki, w razie gdybym Kena nie zastała.

Nie widzieliśmy się od Birr, a od tamtej pory tyle się wydarzyło, że odnosiłam wrażenie, jakby minęły całe tygodnie, a nie parę dni. W końcu do Birr wyjechaliśmy w sobotę, a dziś mamy wtorek wieczór.

Widzę otwarte okno jego mieszkania – wychodzi na ulicę.

Czyli Ken jest w domu.

– Cześć – mówi, wpuściwszy mnie do kamienicy. Czeka na podeście, przechylony przez poręcz. Jego głos odbija się echem po klatce schodowej, chociaż woła szeptem, żeby nie zwracać uwagi sąsiadów.

– Cześć – odpowiadam szeptem.

Docieram zadyszana na jego piętro. (Nie lubię wind. A gdyby wybuchł pożar?)

– Wiem, że jest późno, przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam spytać, czy mógłbyś mi jutro wyświadczyć przysługę?



Waha się.

– Znowu Birr? Musielibyśmy wyjechać wieczorem, bo mam pracę.

– Nie, nie chodzi o Birr. A jutrzejszy wieczór jest idealny.

Wyprowadzamy się i zebrało się trochę rupieci. Potrzebuję pomocy. Pomyślałam, że gdybyś mógł nam użyczyć swojej furgonetki...

Nie potrafię rozgryźć wyrazu jego twarzy, jest nieprzenikniony.

Pewnie uważa, że żądam zbyt wiele. Ogarnia mnie wstyd.

– Słuchaj, zapomnij o sprawie. Sprowadzę taksówkę, to nie żadne meble, mamy tylko parę plastikowych worków i pudeł, zmieszczą się.

– Ależ nie bierz żadnej taksówki – odzywa się. – Wejdź, napijesz się kawy?

Już, już mam odmówić, ale uświadamiam sobie, że nie mogę żądać od niego przysług, sama trzymając go na dystans.

Ledwo weszłam i usiadłam, Sam wskoczył mi na kolana.

Gładzę jego jedwabistą sierść. Ken przechodzi do aneksu kuchennego i cicho krząta się przy kawie.

– Bardzo cię przepraszam – zaczynam – nie chcę cię wykorzystywać dlatego, że masz furgonetkę...

– Wcale się nie czuję wykorzystywany.

– Bo kiedy poprosiłam, miałeś taką dziwną minę...

– Zachwyciałem się twoją urodą. – Nie odwraca się. Równie dobrze mógłby mi podawać giełdową cenę kawy kolumbijskiej.

Skupiam się na Samie.

Ten facet uwielbia ciszę. Nie uważa za konieczne gawędzić, jeśli nie ma nic do powiedzenia. O ile początkowo ten zwyczaj mnie dziwił i nieco onieśmielał, o tyle teraz działa na mnie uspokajająco. Z Kena Sheilisa niejako promieniuje spokój.

Słyszeć tylko brzęk, gdy wyjmuje filiżanki, kładzie łyżeczki na spodeczkach. Gdy jest taki milczący, człowiek nie czuje się w obowiązku podtrzymywania rozmowy. Ja też nie czuję.

(Prawdziwa nowość u gaduły Angeli). Ale w głębi ducha udzielam sobie surowej nagany. Powtarzam, że muszę raz na zawsze wyjaśnić sytuację między mną a Kenem. Dobra, nigdy nie będziemy jak w „Przeminęło z wiatrem”. Ale czy w moim wieku mogę szukać „Przeminęło z wiatrem”? W końcu w „Hello!” nieustannie czytam historie o pięćdziesięcio- albo i

sześciodziesięciolatkach, którzy zakochują się w sobie po uszy,

„Romeo i Julia” („to prawdziwa miłość”), więc dlaczego nie ja?

Czy w ogóle chcę „Przeminęło z wiatrem”? Sądzę, że wszyscy po trosze chcemy. Ale wszyscy też wiemy, że to nie trwa wiecznie, więc czy nie powinnam się zadowolić tym, co los mi podsuwa? Pocziwą staromodną pewnością, stałością, bliską więzią. I seksem. Seks był w porządku, prawda.

Ten facet pozostaje dla mnie zagadką. Za bardzo się od niego uzależniam, a to do tego stopnia komplikuje sprawy, że muszę się hamować. Jak widzicie, nie znoszę być od kogoś uzależniona. A mimo to ostatnio przy każdym kryzysie do kogo pędziłam? I nie tylko dlatego, że miał środek lokomocji. Patsy też ma, a do niej nie biegłam. Tu i tam, za i przeciw, głowa mnie boli od tej huśtawki.

Przynosi kawę, przysuwa krzesło i siada naprzeciwko mnie, zabiera mi z kolan Sama.

– Musisz sobie zapisać mój numer telefonu. Przynajmniej nie będziesz musiała w środku nocy biegać Gardiner Street. Zdaje się, że ta przeprowadzka wypadła dość nieoczekiwanie. Dokąd się przeprowadzacie?

Mówię mu o cegle, Reddym i Dwyerze.

– Jedno trzeba przyznać, Angelo, nikt nie może ci zarzucić, że wiesz nudne życie. – Popija kawę.  
– Nie wzięłaś pod uwagę, że ta cegła to zbieg okoliczności – wybryk jakiego przypadkowego chuligana?

– Nie – mówię. – To musi się łączyć. Za dużo tego, jak na zwykły zbieg okoliczności.

– Mhm – mruczy, jakby mi nie wierzył.

Popijam swoją kawę, pyszną, niezbyt mocną. Zerkam na słoik.

Używa Cap Colombie, bardzo drogiej.

– Może i masz rację – mówi powoli – jak to on. Może powinniście się z Jamesem przenieść. Sensacje prasowe zawsze po pewnym czasie przygasają, ale te książki...

– Jakie książki?

Patrzy na mnie zaskoczony.

– Nie wiesz? Pisali o tym w niedzielę.

– Jakie książki?

Wyjaśnia. Wygląda na to, że dwóch dziennikarzy ściga się, który pierwszy wyda książkę na temat randek zakończonych gwałtem w Irlandii. Kluczowy przykład (niespodzianka!): sprawa Rosemary

Madden.

To mi daje nauczkę. Za bardzo się uspokoiłam, za bardzo odprężyłam. Sądziłam, że zapanowałam nad sytuacją. Odstawiam filiżankę na podłogę obok siebie. Ostrożnie, bo z ręki nagle ulotniła się cała siła.

– Podawano domniemany termin ukazania się książek?

– Nie. Przepraszam, Angelo, sprawiłem ci ból. Nie powinienem był nic o tym mówić, ale sądziłem, że wiesz. Słuchaj... – Stawia filiżankę obok mojej i ujmuje moje dłonie. – Postaraj się tym nie przejmować. Powiedz prawnikowi. Może uda ci się przeforsować sądowy zakaz.

Już widzę to piekło, rozrywanie niezasklepionych ran. I nie mam pojęcia, czy darmowy prawnik poradziłby sobie ze sprawą o zakaz wydawania tych książek.

– Może, zastanowię się – mówię. (Sama nie wiem, co mówię.)

Działam jak automat. Ale jedno wiem: nie będziemy siedzieć bezczynnie. Wydanie książek trochę trwa, prawda? Ale jeśli tamci się ścigają... )

Ken wypuszcza moje dłonie i siada na krześle.

– Dokąd się przeprowadzacie?

Wyjaśniam, że James jedzie do Mount Melleray.

– Ja zaś – dodaję – jeszcze nie wiem, jutro zadekuję się gdzieś na parę dni i rozejrzę za mieszkaniem. Na pewno bez problemu coś znajdę. W „Heraldzie” jest mnóstwo ogłoszeń.

– To znaczy gdzie się zatrzymasz? – pyta. – W hotelu czy w bursie? A może u jakiejś przyjaciółki? U Patsy?

– Coś w tym stylu – wykręcam się. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że tak mnie pochłonęło pakowanie i tak się cieszę, że uporałam się ze sprawą Jamesa – przynajmniej na jakiś czas – że nie zastanowiłam się, co zrobić ze sobą.

Nie musimy od razu się wyprowadzać, mamy czas przynajmniej do piątku, kiedy to powinniśmy uregulować czynsz.

Ale wiecie, że jeśli podejmuję decyzję, natychmiast ją wprowadzam w czyn. Potem sobie przypominam, że na Gardiner Street, którą widzę pod sobą, jest mnóstwo burs i tanich hotelików, ciągnących się aż do Liffey.

– Poradzę sobie – mówię na głos. – Pewnie przeprowadzę się do jednego z tych hoteli.

– A może zamieszkałabyś u mnie na te parę dni? Widzę po jego minie, że samo mu się to wyrwało.

– Ken! – wołam jakby mnie zaskoczył – bo tak zresztą jest –

ale mój mózg pracuje na pełnych obrotach. Stąпам po bardzo niepewnym gruncie.

– Przepraszam – mówi. – Pośpieszyłem się.

Jak łatwo byłoby się zgodzić! Nie musiec podejmować decyzji, mieć kogoś, kto by się mną zaopiekował. Ale tu jest tylko jedna sypialnia. Jedno łóżko. A ja nie chcę zranić Kena.

– Skądże, nie musisz przeproszać. Po prostu nie wiem, jak zareagować. Jesteś niezwykle szczodry i jestem ci ogromnie zobowiązana...

– ... tylko boisz się, że będę chciał z tobą spać. Wpatruję się w niego. Dzięki Bogu, że to wreszcie zostało wypowiedziane na głos.

– A nie chcesz?

– Oczywiście, że chcę. – Podziwiam jego odwagę, bo widać, że nadal jest niewyobrażalnie skrępowany. – Ale tylko pod warunkiem, że i ty tego będziesz chciała, Angelo. Nie jestem... –

Urywa.

Gwałcicielem. Chciał powiedzieć: nie jestem gwałcicielem.

Wcale nie czuję się dotknięta. Ani zraniona. Wiem, że nie chciał mnie obrazić, ani nie robił aluzji do Jamesa, po prostu odruchowo mu się wymknęło.

– Nie przejmuj się – uspokajam. – Cieszę się, że poruszyłeś tę sprawę, bo powinniśmy to omówić. Nawet gdyby nie pojawił się problem mojego nocowania. Pewnie uważasz mnie za okropną kobietę. W końcu poszliśmy już do łóżka, a ja ni z tego, ni z owego zachowuję się jak cnotka. Zastanawiasz się, co ze mną nie tak, czy tylko cię prowokowałam...

– Nie jesteś okropna, Angelo – mówi wolno. – I doskonale wiem, że mnie nie prowokowałaś. Co więcej, zastanawiałem się, czy to nie ja ci się narzucałem.

Obojgu nam brakuje słów. Obchodzimy się na paluszkach, jak dwójka dzieci, które dopiero się poznają na placu zabaw.

– Powinniśmy być względem siebie uczciwi – odzywam się w końcu.

– Tak, powinniśmy. – Poprawia się na krześle, jakby się szykował do zmasowanego natarcia. I wszystko psuje. – Więc czego ode mnie oczekujesz?

Bezsensowne pytanie. Donikąd nie prowadzi. Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo pochyła się do mnie.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Angelo – mówi – ale chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie: czego właściwie ode mnie oczekujesz.

Nadal się okrążamy. Śmiertelnie się obawiamy, żeby nie powiedzieć ani nie zrobić niczego, co kiedyś mogłoby się obrócić przeciwko nam. Pierwszy przegrywa. Pora na szczerłość.

– Słuchaj, Ken, to zapewne wiele nie da, ale nie wiem, czego oczekuję w przyszłości. Przykro mi, naprawdę nie wiem. Wiem, czego pragnę teraz – odrobiny spokoju. Nie ogarniam tego, co się przytrafiło mnie i Jamesowi.

Teraz na mnie kolej, żeby się pochylić. Nasze głowy niemal się stykają, ale tego nie zauważam. Myślę tak szybko, że język z trudem nadąża. Wyrzucam z siebie wszystko.

– Spójrz, co mnie spotkało od wiosny: najpierw sprawa Jamesa i to, ile mnie ona kosztowała – oboje nas kosztowała: nagonka w prasie, ze wszystkich stron. Zrozum, czuję się przyparta do muru.

A on ma tylko mnie, Ken.

Jestem taka rozogniona, że ściskam skronie, bo boję się, że zaraz pęknie mi głowa. Ken patrzy na mnie jak na wariatkę, bo pewnie wyglądam i zachowuję się jak obłąkana. Czuję żyłki tętniące mi pod palcami.

– Wiesz, jakie to uczucie? – pytam. – Nie mieć w ogóle żadnej rodziny, tylko jedną osobę? Przynajmniej w pewnym momencie życia miałam ich więcej. Ty też to znasz. I nie liczy się, że pozornie nie potrafimy się z Jamesem porozumieć. Bo jak moglibyśmy się porozumieć? Tylko na mnie jednej może się wyżyć. Życie go nie pieściło, o nie, i biedak musi w środku kipieć ze złości. Co więcej, dodajmy ten drobiazg, że pierwszy raz w życiu spotkałam się z ojcem. Jak sądzisz, co czuję w związku z tą marginalną sprawą po tylu latach? Wiesz co? Sama nie wiem, czy się cieszę, czy żałuję, że go znalazłam ostatniej soboty... Może powinnam była sobie odpuścić. Ale teraz już, cholera, za późno.

Dodajmy problemy finansowe, których nie poprawia fakt, że rzuciłam co najmniej jedno, a prawdopodobnie dwa z moich czterech źródeł utrzymania. I wyrzucono mnie z domu, w którym mieszkałam od lat...

Straciłam impet. Dla mnie ta kronika wydarzeń tego lata brzmi tak, że powinnam czym prędzej rzucić się z najbliższego mostu i nie zawracać innym głowy.

– Może teraz zrozumiesz, jak to wszystko się we mnie kłębi –

mówię spokojniej. – I że nie mogę się skupić na pytaniu, czy mamy albo nie mamy ze sobą spać. Szczerze mówiąc, to ostatnia sprawa, o której teraz myślę. Seks, nawet wzmianki o nim, w tym momencie w ogóle mnie nie dotyczy. I to się w żaden sposób nie wiąże z tobą.

– Rozumiem. – Na twarzy Kena maluje się śmiertelna powaga.

– Naprawdę rozumiem, Angelo. Ale tu bym z tobą polemizował.

Seks potrafi przynieść ukojenie...

Znowu otwieram usta, ale ucisza mnie, kładąc na nich palec.

– Jeśli chodzi o kwestię łóżek i twojego zamieszkania u mnie, moja propozycja nadal jest otwarta. A ten fotel, na którym siedzisz, się rozkłada. Żaden problem.

Patrzę na niego, jakby mu wyrosła druga głowa.

– Nie rozumiem cię – odzywam się wreszcie. – Jesteś świętym Franciszkiem z Asyżu czy kim?

## Rozdział 35

Ken Sheils uśmiecha się do mnie.

– Daleko mi do jakiegokolwiek świętego, co dopiero Franciszka. Nic o mnie nie wiesz, powinnaś spytać czarującą Diandrę – ona z rozkoszą cię oświeci. – Nagle smutnieje.

– Nie powinnam tu zostawać, to nie byłoby w porządku.

– Dlaczego tak uważasz? Przyznaję, że chciałbym, by między nami zrodziło się coś głębszego, ale jeśli nie jest nam to pisane, trudno. Słuchaj, Angelo, masz za sobą bardzo ciężkie miesiące, a jeśli szukasz spokoju, nie znajdziesz lepszego miejsca. Uznaj to za swoje prywatne Mount Melleray. Ja będę głównie w pracy, a Sam razem ze mną. Będziesz miała całe mieszkanie dla siebie. Nie wyobrażasz sobie, jaki tutaj panuje spokój. Wszyscy tu jesteśmy samotnymi mrówkami robotnicami w pojedynczych celach naszego mrowiska. Boimy się nawet sobie ukłonić, żeby ktoś nie pomyślał, że mu włazimy z buciarami w życie. Jak widzisz, miejsca jest pod dostatkiem. – Machnięciem ręki ogarnia mieszkanie. – W sypialni stoi zupełnie pusta szafa. Jak się domyślasz, moje potrzeby odzieżowe są skromne. A chyba nie pogniewałbym się na myśl, że po powrocie zastanę cię tutaj –

nawet jeśli to ma trwać tylko parę dni i nawet jeśli na kolację zjemy talerz zupy. – Podnosi dłoń w obronnym geście: stop, stop!

– Nie panikuj. Niczego nie żądam. Po prostu przez parę dni pobawimy się w dom, dobrze, Angelo?

Zagłaskał mnie na śmierć. Myślę o spokoju, o czystości.

Żadnego Dwyera, żadnego Reddy'ego.

– Zgoda – ustępuję. – Na parę dni. Jeśli na pewno ci to nie przeszkadza.

– Czy mi przeszkadza? Widać nie taki ze mnie wybitny orator, za jakiego się mam.

Uśmiechamy się do siebie.

– Nie zajmę wiele miejsca – mówię – nie mam dużo rzeczy: ubrania i parę czarnych worków na śmiecie.

– Świetnie. – Ken wstaje. – Bardzo się cieszę. Dorobię ci klucze. Jeszcze jedno, żadnych

sprzeciwów: gość dostaje sypialnię. Ja będę spał tutaj.

– Ale...

– Powiedziałem: żadnych sprzeciwów. – Przykłada mi palec do ust, uciszając moje protesty.

– Dzięki – mówię pokornie, bo tak się czuję. Choć jak to ja, nadal się niepokoję, czy rzeczywiście wszystko pójdzie tak gładko, jak na to teraz wygląda. Noce są długie, a nas będzie dzielić zaledwie parę metrów. Z drugiej strony, to tylko kilka dni, a ja wcześniej wstaję.

Nie skończył.

– Tylko jeden warunek: żebyś zaczęła się zachowywać jak ta piękna kobieta, którą jesteś. Czy ty w ogóle nie patrzysz w lustro?

Jesteś piękna, Angelo.

Gapię się na niego tępo. Nikt nigdy, nawet Tom Bennett, mi czegoś takiego nie powiedział; nie wiem, jak zareagować.

– Lustro? Nie mam czasu podziwiać się w lustrze. A gdy już w nie patrzę, to przy myciu zębów, a wtedy dostrzegam przede wszystkim myszkę ukrytą pod włosami z lewej strony. Na pewno nie jestem piękna. Wykluczone. Jak... jak się zachowuję? – jąkam.

– Popowinnam obciąć włosy...

– Twoje włosy nie wymagają fryzjera – mówi cicho. –

Oczywiście możesz je obciąć, ale tak wyglądają idealnie.

Podobnie jak twoja twarz. – Uśmiecha się. I twoje ciało, łącznie z nogami – co doskonale pamiętam.

Na coś takiego nie ma odpowiedzi, prawda?

Upiera się, że odprowadzi mnie do domu. Ale nie całuje mnie na dobranoc. Czuję się, jakby roztoczył wokół mnie strefę ochronną.

Na wpół odurzona wracam na górę, wchodzę do mieszkania, tak pogrążona w myślach, że zaskakuje mnie to, co zastaję w środku: książki na środku podłogi, ogołocone półki nad zlewem, zniszczony blat stołu Reddy'ego. Zdążyłam niemal zapomnieć o czystce, jaką z Jamesem urządziliśmy.

Zauważyłam, że zdjęcia Adeline nie leżą tam, gdzie je zostawiłam, na suszarce.

I sam James nie siedzi przy oknie, wypatrując potencjalnych łobuzów z cegłą. Jego czujność jest równa czujności jednodniowego kociaka. Przycupnął wśród plastikowych worów. I po raz ostatni wpatruje się w telewizor Reddy'ego.

Nie ma sensu urządzać mu awantury.

– Jakieś problemy? – pytam.

W odpowiedzi tylko mruczy. Opadam na sofę.

– James, przez jakiś czas pewnie nie będziemy się widzieć. Nie odrywa wzroku od wyścigów formuły jeden. Hałas jest ogłuszający.

– Słuchaj – zaczynam jeszcze raz – mógłbyś to trochę ściszyć?

Chcę porozmawiać.

Ostentacyjnie ciężko wzdycha i wyłącza telewizor. Dawny, buntowniczy James. Jakby w ogóle nie było tamtej krótkiej bliskości, gdy razem się pakowaliśmy, ani jego prawdziwego strachu i rozpaczki sprzed paru godzin. Najchętniej od razu bym się położyła; w końcu muszę za sześć godzin wstać, ale to, co powiedziałam Kenowi Sheilsowi w imieniu Jamesa, było prawdą: to straszne mieć za całą rodziną jedną osobę.

Zamierzałam mu powiedzieć wszystkie te ważne rzeczy, których nie zdążyłam przez całe nasze wspólne życie. Ale teraz, gdy tak się we mnie wpatruje, wszystkie ulatują mi z pamięci.

Czuję się bezradna.

– Spakowałeś się do Mount Melleray?

Sięga po pilota, ale nim zdąży z niego skorzystać, wyrzucam z siebie szybko:

– Słuchaj, tak naprawdę chciałam ci wyznać, że będzie mi cię strasznie brakowało.

Omal nie spada z krzesła z zaskoczenia i zmieszania. Potem wstaje.

– Mnie też będzie cię brakowało – mruczy tak szybko i cicho, że nie usłyszałabym, gdyby nie ta głucha cisza w mieszkaniu.

Potem znika w swoim pokoju.

Wiem, że to niewiele, ale dla mnie niewyobrażalnie wzruszające.

Tej nocy nie mogę zasnąć. To moja ostatnia noc w tym mieszkaniu i jego też. Nasza ostatnia noc jako rodziny, przynajmniej w tym kształcie. Mam głębokie, silne przeczucie, że ta noc jest jak gilotyna. Rozetnie nas na pół. Nawet jeśli James zostanie w klasztorze na dzień, na pół, tracimy wszelką szansę na rozwinięcie naszego związku. To już koniec. Dostaliśmy dziewiętnaście lat, czas dobiegł końca. Od tej pory to musi być coś innego.

Zawsze wiedziałam, że ta noc nadejdzie. Nawet jej pragnęłam –



przez wzgląd na Jamesa, ale również i dla siebie samej, bym mogła rozpocząć własne życie. Ale nigdy jeszcze nie zmierzyłam się z tą świadomością, rzeczywistość spada na mnie nagle, jak gład. Za wcześnie, za wcześnie, zawodzę w duchu. Dajcie mi ostatnią szansę. Tylko jeden miesiąc. Jeden tydzień. Niech będzie jeden dzień...

Trąba powietrzna zwęziła się w jeden punkt: James odejdzie.

Obrazy. James w niebieskich śpiochach i z gryzaczkiem dobranym pod kolor, włosy delikatne jak puch. Jamesa przeraża ciemność i nieznane otoczenie pierwszej nocy, gdy przenieśliśmy się do tego mieszkania. Miał pięć, prawie sześć lat. Pielgrzymki do dyrektora szkoły, bo się spóźniał, podrabiał zwolnienia, palił, nie miał odrobionych lekcji. I MTV. Wszędzie jego skóry. Puszki po coli. Chipsy. Wilgotne ręczniki. Płyn po goleniu Lynx. James wracający do domu z naręczem żonkili i rzucający je bez słowa na stół. Dusza na ramieniu każdego ranka, gdy słyszałam, jak z warkotem rusza motocyklem. Jego kredowobiała twarz tego dnia, gdy zjawili się gliniarze. Jego uśmiech. Jego rzadki, cudowny uśmiech.

Jest po czwartej, leżę gapiąc się w sufit i czekając, aż będzie pora wstać. Zza zamkniętych drzwi Jamesa dobiega szloch.

Nieruchomieję. Powinam wejść do środka, przytulić go. Ale wiem, że odrzuciłby ten gest. Mija chwila. Więcej go nie słyszę.

Następnego ranka, kiedy ostatni raz wracam z pracy do tego mieszkania, znowu zastaję Jamesa na nogach. Opanowany, rzeczowy, o ile w ogóle chłopak z posiniaczoną twarzą może tak wyglądać. Siniaki trochę przybladły i właściwie nie wyglądają już najgorzej. Gdyby nie gips na ręku, można by Jamesa uznać za kogoś, kto zderzył się z latarnią albo drzwiami.

Na pewno jest spokojny, pogodzony z losem. Nawet przyjacielski, a to słowo rzadko kojarzy mi się z Jamesem. Po odgłosach, jakie w nocy dobiegały z jego pokoju, spodziewałam się, że będzie bardziej rozbity. Ale może ból jest zbyt głęboki, by go okazywał. Dzisiejsze jego zachowanie mówi: oby jak najszybciej mieć to już za sobą. Ogolił się. Spakował. Mieszkanie sprawia przygnębiające wrażenie, jak zwykle puste pomieszczenia bez drobiazgów.

– Jak stoisz z forszą? – Wzdycham, przesadzam, wracam do bezpiecznej rutyny starych nawyków. – Będą ci potrzebne pieniądze.

Martwiłam się o to. Nie miałam skąd wytrzasnąć gotówki: nie zostało nic do zastawienia, a spieniężenie obligacji trwa ponad tydzień. Jeszcze nie dostałam ostatnich.

Oczywiście, mogłabym pożyczyć w lombardzie, ale wolałabym sobie strzelić w łeb. Jedna z moich koleżanek wpadła przez to w bagno. Zaczęło się od tego, że kupiła bliźniaczkom drogie sukienki komunijne, nie chciała, żeby się czuły gorsze. Ludzie od Świętego Wincentego jej pomagają, ale ona tylko coraz bardziej się pograża. Kiedy te hieny cię raz schwycają w swoje łapska, łatwo nie puszczają.

Pocztowa kasa oszczędnościowa mieści się naprzeciwko Trinity College. Wygodnie. Przyjeżdżamy

tam tuż po dziesiątej, ale i tak przed nami już stoi długa kolejka. Trzeba wziąć numerek.

Nam przypadłby 39, a obsługiwany jest dopiero 11. Nie mamy aż tyle czasu.

– Czekaaj – mówię do Jamesa. Siada na krześle w hali.

Nie mam głowy zastanawiać się, co inni sobie o mnie pomyślą.

Pochodzę do okienka w połowie obsługiwania jakiejś klientki.

– Bardzo panią przepraszam – zwracam się do niej (nie wygląda na zachwyconą). – Ogromnie panią przepraszam, ale to niezwykle ważne.

Pytam urzędnika, czy mogłabym natychmiast porozmawiać z kierownikiem.

Klientka ostentacyjnie wzdycha i bębni palcami po kontuarze.

Nie zwracam na nią uwagi, urzędnik dzwoni. Odkłada słuchawkę i prosi, bym zaczekała z boku, przy szklanych drzwiach. Nie patrzę w stronę Jamesa, na pewno pali się ze wstydu za moje chamskie zachowanie.

Nie będę się wdawać w szczegóły, kierownik rozumie naszą ciężką sytuację, zobaczy, co się da zrobić.

– Nie żądam Bóg wie czego – oświadczam mocnym głosem, .

w razie gdyby do niego nie dotarło. – Chodzi tylko o dziewięćset funtów i to są nasze pieniądze.

Patrzy na mnie dziwnie. A potem na kwity, które przyniosłam.

– Ma pani szczęście, teraz to wszystko jest skomputeryzowane, niech pani wróci za czterdzieści pięć minut.

Wykorzystujemy z Jamesem ten czas, żeby pójść na dworzec autobusowy i sprawdzić połączenia. Może nocny płacz wyplukał z niego część goryczy. Jest taki słodki, że chce mi się płakać.

Wolałabym, żeby się na mnie darł, buntował przeciwko każdemu ruchowi. BusArus to niezwykle miejsce. Wiem, że wszyscy są tu tylko przejazdem – z dworca wyruszają autobusy dalekobieżne i na lotnisko – nie stąd jednak bierze się poczucie samotności. W

końcu na lotnisku też się długo nie przebywa, ale ma się wrażenie trwałości, ożywienia, nadziei. Tymczasem tu wszystko wydaje się tymczasowe, niepewne, jakby nic nie było na stałe, ani pracownicy, ani kioski i sklepiki, nawet posadzka z dużych płyt.

Dziś dworzec wygląda jeszcze bardziej przygnębiająco niż zwykle, choć wszędzie kręci się młodzież z plecakami, a w pobliżu okienka z autokarami turystycznymi stoi spora grupka marynarzy. Teraz wszędzie roi się od marynarzy, zwłaszcza na O'Connell Street, Grafton Street i, o ile mnie pamięć

nie myli, w Tempie Bar.

Stajemy przed dużą tablicą z rozkładem jazdy. Czas, który został mnie i Jamesowi, od tej pory już możemy mierzyć w minutach.

W ubiegłym tygodniu, na obchody święta Czwartego Lipca, przypląnął wielki amerykański lotniskowiec. Był za duży, żeby zawinąć do portu, więc został parę mil dalej, na morzu. Cały Dublin oszalał. Nastolatki zachowywały się, jakby marynarze byli członkami zespołu Oasis, ale nie tylko one. Dacie wiarę: sto siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi (z naszej maleńkiej populacji) wzięło udział w konkursie organizowanym przez Lotto, żeby załapać się do grona szczęśliwców, mogących zwiedzić okręt. Na przykład wszystkie moje koleżanki z pracy. Ja też miałam zamiar, ale w końcu się nie zdecydowałam. Czyż nie cudownie by było wieść proste życie i oszaleć na punkcie pięciu tysięcy amerykańskich marynarzy, którzy nawiedzili nasze miasto?

Okazuje się, że jest autobus dwadzieścia po pierwszej.

W brzuchu znowu pojawia mi się to wodniste chlupotanie.

Teraz już wiemy. Sto dwadzieścia minut. Pewnie weźmiecie mnie za kretynkę: w takiej chwili myśleć o marynarzach i konkursie Lotto. Ale to cała ja: wiecznie zaabsorbowana!

Pius Crawford wyjaśnił, że James najpierw musi pojechać do Dungarvan, tam przesiąść się do autobusu do Caoppoquin, a potem pójść pieszo albo łapać okazję.

– Tym pojedziesz? – pytam, jakbyśmy się zastanawiali, czy zjeść na deser lody, czy też nie.

Wzrusza ramionami.

– Dobra. Nie robi mi różnicy, którym pojedę.

– Będą na ciebie czekali.

– Dwadzieścia po pierwszej, w porządku, pasuje...

– Co z motocyklem? – Pełna rzeczowość, żadnego mazania się.

– Odstawisz go, jeśli zadzwonię do sklepu? Nie będziesz mógł na nim jechać, nie ze złamaną ręką. A może poprowadzimy go razem, każde z jednej strony? Do sklepu jest tylko paręset metrów.

– Na miłość boską, przestań robić tyle hałasu – wybucha. –

Sam sobie poradzę.

– Nie poradzisz sobie. Nie z tą złamaną...

– Zamknij się. Poradzę sobie. Widziałaś, że dałem sobie radę z pakowaniem, a część toreb miała swoją wagę. – Urywa. Zauważa, że już się nie sprzeczam. Patrzy na mnie jakby ze współczuciem. –

Będzie świetnie, Angelo.

Znowu wpatruję się w rozkład jazdy, jakbym już nie wbiła sobie do głowy autobusów do Dungarvan.

Na dworcu są budki, dzwonię do sklepu, podczas gdy James wraca do domu skończyć pakowanie. Czas płynie, nie mogę go zatrzymać.

Początkowo sprzedawca, który odebrał telefon, robi trudności, ale potem prosi kierownika. Żąda płacenia rat. Odmawiam.

Targujemy się, muszę wrzucić do automatu kolejne monety. W

końcu oświadczam: jeśli nie chce pan go przyjąć, będzie pan musiał nas pozwać do sądu o wyezgekwowanie dalszych rat. Nie będziemy już więcej płacić.

Widać usłyszał w moim głosie, że to nie przelewki, bo zgadza się przyjąć z powrotem motocykl – jeśli jest w dobrym stanie, a James zgodzi się podpisać X, Y i Z.

– Podpisze wszystko – zapewniam – pod warunkiem, że nie .

będzie żadnych rozliczeń gotówkowych. Dziś przed południem odstawi motocykl.

Kiedy wracam do kasy, okazuje się, że sprawa jest już załatwiona. Ale czeka na mnie nie gotówka, tylko czek, który mogę zrealizować w każdym urzędzie pocztowym.

Czyli, w moim wypadku, na poczcie głównej. Znowu pędzę przez most. I, co było do przewidzenia, znowu kolejka. Chryste Panie, szybciej, szybciej, ile mi jeszcze zostało czasu?

Zachowuję się, jakby James emigrował do Australii, a nie wyjeżdżał na krótko poza Dublin.

Ale po raz pierwszy się rozstajemy. Jak wam wspominałam, własnymi rękami odebrał sobie szansę tamtego wyjazdu do Gaeltacht, a nie liczę nocy spędzonych w areszcie albo na imprezach.

Uświadamiam sobie, że bełkoczę pod nosem jak Lady Makbet.

Na miłość boską, Angelo. Zmuszam się, żeby wziąć się w garść.

Wychodzę z poczty, niosąc w torebce ponad tysiąc funtów.

Obligacje wartości dziewięciuset funtów plus zyski.

Przed wejściem do mieszkania oblekam twarz w wyraz spokoju. Bagaże Jamesa: plecak i torba na ramię – leżą przy drzwiach. Telewizja wyłączona. James stoi przy zlewie.

Boże, wolałabym, żeby oglądał telewizję.

– Gotowy? Potakuje.

Nie mogę mu okazać swoich uczuć. Gardło mi się ściska, jakbym tam miała lód. Patrzę na dwa pakunki przy drzwiach.

– Tylko to bierzesz? – Rzeczowo.

– A to mam ci przechować? – Ruch głowy w kierunku luźnych rzeczy, rzuconych na łóżko bez pościeli.

– Tak – bardzo cicho.

– Spójrzmy: jest pięć pod dwunastej, lepiej, żebyś się zbierał, jeśli mamy jeszcze wstąpić do sklepu z motocyklem i zdążyć na autobus. – Nie mogę przełknąć śliny.

– Angelo, nie chcę, żebyś mnie odprowadzała.

– Ale ja chcę.

– Nie. – Ostro, gwałtownie. Odrywa się od zlewu. – Nie. –

Spokojniej. W ciągu ostatnich pięciu minut postarzał się o dziesięć lat. Nie potrafię odczytać jego uczuć. Jest spokojny, ale... co jeszcze?

– James...

– Nie. Posłuchaj. Nie chcę, żebyś mnie odprowadzała. Ani do sklepu z motocyklami, ani na BusArus.

– Ale...

– Nie, Angelo.

Jak poprowadzi motocykl jedną ręką? Już nie pytam, czuję, że mi nie wolno. Nie patrząc na niego, sięgam do torebki, wydaję garść dwudziestek, daję mu.

– Masz, weź. – Wciskam mu je w rękę.

– Nie potrzebuję.

– Weź je, weź. – Serce tłucze mi się w piersi. Jeśli nie weźmie tych pieniędzy, zamienię się w proch.

– Uznaj je za udział w mojej wygranej. Zresztą potrzebujesz na bilet i nie wiemy, czy nie będziesz musiał płacić za pobyt w klasztorze. Dam ci adres miejsca, w którym na razie się zatrzymam.

Grzebię w torebce, w końcu znajduję bilet. Potem za mocno szarpię się z kartką i rozdieram ją na pół. Muszę znaleźć inną.

Szybko. Do którego worka wrzuciłam papier listowy i koperty?

Dlaczego im bardziej się człowiekowi śpieszy, tym trudniej znaleźć byle świstek?

– Napisz na tym. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuję druczek Lotto.

– Nie wiedziałam, że grasz. – Genialna uwaga.

Piszę na odwrocie adres Kena i jego numer telefonu. Bez trudu zapamiętuję numery, ale to znowu nic wielkiego, nie mam ich aż tyle do zapamiętania.

– Kiedy znajdę mieszkanie, dam ci znać. Napiszę do klasztoru.

– Dobra. – Nawet nie patrzy na adres, składa kupon i chowa go do kieszeni.

– Lepiej idź, James, spóźnisz się na autobus. – Słyszę, jak wypowiadam te obrzydliwe kwestie. – Na pewno sobie poradzisz z motocyklem? Nie potrzebujesz pomocy?

– Poradzę sobie, przestań głądzić. Zapach wody Lynx jest bardzo silny.

– Przynajmniej pomogę ci znieść rzeczy, wrzucisz je sobie na bagażnik.

Schyła się i zdrową ręką bierze obie torby. Podbiegam mu pomóc.

– Daj, wezmę jedną. A może zaniosę je na dworzec autobusowy i tam się spotkamy? James?

Kręci głową.

– Trzymaj się, Angelo. Na razie. – I patrzy mi prosto w oczy.

W jego oczach, tych cudownych oczach, kryje się coś, czego nie potrafię odczytać. Zawsze umiałam w nim czytać. Co się popsuło?

W środku we mnie aż kipi od uczuć.

Nie wytrzymuję. Obejmuję go i z całej siły ściskam. Nie obejmuje mnie, bo jedną rękę ma chorą, a w drugiej trzyma swoje rzeczy, ale na moment przytula szorstki policzek do mojej twarzy.

Czasem mówi się, że ból przeszywa jak nożem. Nieprawda, bardziej przypomina to tasak albo piłę mechaniczną.

A potem widzę już tylko puste drzwi.

Udaje mi się zapanować nad łzami, dopóki ostatecznie nie zniknie. Stoję, wpatrując się w gołe deski korytarza przed drzwiami, i powtarzam sobie, że histeryzuję. Na miłość boską, Angelo, opanuj się. To tylko na dwa, najwyżej trzy tygodnie...

Tak się spłakałam, że w końcu zasnęłam, obudziłam się, nie wiedząc, gdzie jestem, przypomniałam sobie.

Po wstaniu wszędzie czułam jego zapach; Lynx, buty, pot.

Mogłam tylko siedzieć. Wtulić się w puste mieszkanie niczym w łono.

Koło trzeciej wyrwałam się z letargu na tyle, by odszukać papier listowy. Napisałam do Justine i Nicoli, a po chwili wahania i do Franceski, via jej zastępcza matka. Wszystkim podałam podstawowe fakty i informacje, że jeśli je to interesuje, mogą się skontaktować z bratem w Mount Melleray.

Oplukałam twarz, poszłam na pocztę po znaczki. Nie wiem, czy padało, czy świeciło słońce, czy było jak na Saharze albo jak na Grenlandii. Ale chyba dobrze mi to zrobiło, bo gdy pod wieczór zjawił się Ken Sheils, czułam się już spokojniejsza.

Ale nadal się martwiłam, jak James sobie poradził z tym motocyklem...

## Rozdział 36

– Gotowa? – Ken patrzy na czarne worki na śmiecie, porządnie ustawione przy drzwiach. – To wszystko?

– Tak. Resztę niech sobie weźmie właściciel i się martwi.

Meble nie były nasze.

– A ja poprzestawiałem swoje, żeby się pomieściły twoje rzeczy.

– Przepraszam, Ken.

– Angelo, Angelo... – Chwyta mnie za ramiona i lekko potrząsa. – Przystaniesz wечно przeproszać? Mówię poważnie.

Takie przepraszam, że żyję. Niedługo ktoś straci do ciebie cierpliwość.

– Przepraszam – wymyka mi się, nim zdążę się ugryźć w język.

Wzdycha, wypuszcza mnie.

– I co z tobą zrobimy?

Wyniesienie moich rzeczy z domu, w którym ja i James spędziliśmy piętnaście lat, zajmuje niecały kwadrans. Bardziej z poczucia, że powinnam, niż z prawdziwej potrzeby – tyle razy widziałam to w kinie i telewizji – ostatni raz wracam do mieszkania, by się po nim rozejrzeć. Czuję tyle co nic.

Przynajmniej jeśli chodzi o samo miejsce. Żałuję tylko, że James nie siedzi przed telewizorem. I że wypłakałam już wszystkie łzy.

Postanawiam zatrzymać klucze. Niech Reddy się wykosztuje na nowe zamki. Nie chcę go więcej widzieć na oczy, nawet nie odbiorę pieniędzy zostawionych na początku jako zastaw pod ewentualne koszty napraw. W końcu to tylko dwadzieścia funtów

– piętnaście lat temu to była prawdziwa fortuna! Zresztą o ile go znam, znalazłby pretekst, żeby ich nie oddać.

Przypominam sobie o lustrze z Daisy Market, zasłaniającym zniszczenia Jamesa. Podchodzę, zdejmuję je, odsłaniając dziurę w całej okazałości. Naprawa minimum dwadzieścia funtów.

Wygrałam!

I wiecie co? Gdy taszczyliśmy do mieszkania Kena moje rzeczy, nikt nie wyjrzał zza drzwi, by sprawdzić, co to za szurgot i zamieszanie. Tego najbardziej się bałam – nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że będę żyć z kimś w grzechu. (To się nazywa konsekwencja, w końcu byłam już z nim w łóżku!)

– Sama widzisz, mówiłem ci o mrówkach i mrowisku. Czasem w czasie weekendu słyszy się dudnienie muzyki w różnych częściach bloku, ale na ogół najpierw wysuwamy macki, by się upewnić, czy droga jest czysta.

Sam wita mnie wylewnie, kręcąc całym ciałem w zastępstwie brakującego ogona. I Ken też nie mógł być miłszy. Po wejściu do sypialni na nocnej szafce widzę bukiet dla mnie.

Szczerze mówiąc, jest niemal za cudowny. Nie przestępuje progu sypialni.

– Zostawiam cię samą, rozgość się, Angelo. Przygotuję kawę.

Jeśli będziesz miała ochotę, przyjdź. Albo nie. Rób to, na co masz ochotę. To bardzo ważne, dobrze? Tak długo, jak tu mieszkasz, możesz wchodzić i wychodzić, zachowywać się jak u siebie.

Przy pakowaniu już wstępnie posortowałam rzeczy, więc teraz bez trudu znajduję to, co mi będzie w najbliższym czasie potrzebne, tak że wypakowanie się zajmuje mi niecałe piętnaście minut. Kolejny dowód na troskę Kena. Wczoraj wieczorem powiedział, że ma dużo wolnego miejsca w szafie. Otwieram i co?

Zupełnie opróżniona, z wyjątkiem jednej kurtki.

Przechodzę do salonu. Czyta gazetę.

– Gdzie twoje ubrania? Wstaje.

– Mam szafę w korytarzu, tam je przeniosłem. Napijesz się kawy?

– Z przyjemnością. Na pewno ci nie przeszkadzam?

– Angelo, co ci wczoraj powiedziałem? Nauczysz się wierzyć w dobre intencje innych? Nie tylko dawanie jest sztuką, branie też.

– Przepraszam.



Zaciska usta. Uśmiecha się.

– Znowu zaczynasz. Siadam.

W drodze do kuchni zatrzymuje się przy mnie.

– Póki pamiętam, to są klucze. Dziś dorobiłem jeden komplet. I wyjaśnię ci, jak działa alarm.

Słucham instrukcji, jak się otwiera poszczególne zamki i jaki jest szyfr alarmu, sama nie wiedząc, co powinnam czuć. Jeszcze nigdy mężczyzna mnie nie traktował jak osoby, którą po prostu lubi. Przypuszczam, że dla Toma Bennetta stanowiłam substytut matki. Dla Jamesa byłam matką, ojcem, siostrą i bratem.

Ken Sheils zaś widzi we mnie po prostu mnie.

Właśnie dopijamy kawę, gdy spogląda na zegarek. Jest dopiero ósma, a wieczór taki cudowny.

– Wybiorę się na spacer na jakąś godzinę, przewietrzę się.

Jeśli chcesz, zapraszam, ale nie czuj się zobligowana. Zostań albo wyjdź, jak sobie zyczysz.

Musi mieć jakieś wady. Ale oprócz swoistej zawziętości (którą miałam okazję oglądać przy okazji konfrontacji z kierowcą ciężarówki w czasie pierwszego wyjazdu do Birr) do tej pory żadnych nie widziałam. Co jest nie tak z tą Diandrą?

Włącza telewizję na losowanie lotto. Trafiamy na końcówkę melodii z „Coronation Street”, spiker zapowiada, że po losowaniu możemy obejrzeć „Dotyk anioła”, potem wiadomości o dziewiątej i „Nie zabijaj”.

– Wydało się – mówi Ken, zerkając na mnie. Oczy ma pełne światła. – Gram w multilotka.

Co mi przypomina, że jeszcze nie wysłałam swojej zdrapki.

Trafia trójkę.

– To już prawie, prawie, od dawna nie miałem trójki, to chyba dobry znak. Wiem, że niedługo wygram, mam takie przeczucie...

Dobra połowa kraju mówi w tej chwili dokładnie to samo.

Postanawiam się przyłączyć do połowy kraju. Mój świat tak się skurczył, że trzeba by go poszerzyć.

– Chyba wybiorę się z tobą na spacer.

– Zawsze możesz kupić mieszkanie na hipotekę, tak jak ja zrobiłem...

Jest pół godziny później, idziemy powoli główną aleją Phoenix Park, pod olbrzymimi drzewami.

Biegacze, spacerowicze, ..

rowerzyści, śmigający swoją alejką, dzieci, wiszące rodzicom u rąk.

– Nie stać mnie na kupno mieszkania – odpowiadam automatycznie. Jeśli nie poszczęści mi się dzięki zdrapce, szanse, że stanę się właścicielką domu, są równie odległe jak na to, że wybiorę się w podróż balonem z Richardem Bransonem. (Odbiło mi czy co?)

Mijamy pomnik Wellingtona, którego poprawna nazwa – jak informuje mnie Ken – powinna brzmieć obelisk, co dla mnie jest nowością, bo zawsze mówiło się o nim po prostu Pomnik. Na niskich, szerokich stopniach jak zwykle szaleją dzieciaki, obok wyleguje się młodzież z piwem albo colą. Sam cudownie się bawi, podskakuje i wita się z innymi psami.

– Prawdopodobnie byłoby cię na to stać, sama byś się zdziwiła

– ciągnie Ken. – Wystarczy tysiąc funtów gotówki, a dzięki ulgom podatkowym i premiom na zakup pierwszego lokum pewnie udałoby ci się kupić dwupokojowe mieszkanie za mniej niż trzydzieści pięć funtów w tygodniowych ratach. A pożyczki pod hipotekę są strasznie tanie.

– Przemyślę to sobie – odpowiadam, nie chcąc wyjść na gbura

– dzięki za radę. – Ale w duchu robię zastrzeżenie. Jeśli kiedykolwiek będziemy się z Jamesem przymierzać do zakupu czegoś własnego, to będzie to albo domek wśród róż, albo nic.

Podoba mi się mieszkanie Kena, ale nie budzi we mnie żadnych uczuć. Jest czyste i miłe, lecz nie nazwałabym go domem.

Karcę się w duchu. Ciągle myślę o sobie i Jamesie jako o parze.

Przestań. James wyjechał. Olbrzymim wysiłkiem woli odpędzam przed oczu wizję tamtego ogołoczonego mieszkania.

Dziwne, że właśnie tu teraz się znalazłam. W obecnej sytuacji Phoenix Park to ostatnie miejsce, jakie bym sobie wybrała na przechadzkę. Jestem pewna, że Kenowi Sheilowi ani przez moment nie skojarzył się ze sprawą Jamesa. Muszę pamiętać, że świat nie kręci się wokół sprawy Angeli i Jamesa Devine'ów.

Słońce nadal mocno grzeje, wszyscy są w letnich ubraniach i niewątpliwie nikt z tych setek mężczyzn, kobiet i dzieci nie marnuje czasu na myślenie o nas. W zasięgu mojego wzroku nie dostrzegam nikogo, kto by czytał gazetę albo słuchał radia.

Devine'owie? Kto? To stara sprawa. Co nowego?

Dochodzimy aż do szykownego białego wjazdu do rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, potem zawracamy do samochodu. Dzięki darowi milczenia Kena wykorzystuję inne zmysły. Gdybym gawędziła, pewnie bym nie poczuła wspaniałego, letniego zapachu nagrzanego powietrza ani nie usłyszała trzepotu, tak że nie podniosłabym głowy i nie zobaczyła nad sobą przefruwających kaczek.

Nie wiem, czy to za sprawą różowego słońca, śmiechu dzieci w oddali, czy wielkich połaci zieleni czuję się tak odprężona, że wydaje mi się nawet, iż rany mogą się zagoić.

– Dostałem dziś wspaniałą wiadomość – odzywa się Ken, gdy już zbliżamy się do furgonetki. – Diandra twierdzi, że chce rozwodu.

Nie wiem, jak zareagować. Choć referendum załatwiło sprawę, nikt jeszcze się nie rozwiódł w Irlandii.

Staram się zachować równowagę między serdecznością a wścibstwem.

– Mam nadzieję, że nie zdeptają was w kolejce. Podnosi z ziemi patyk i rzuca go Samowi.

– Sądzę, że powinno pójść gładko. Niech bierze ode mnie, co chce, nie będę jej stawał na drodze. Niedobrze mi się robi na myśl o prawnikach i włączaniu się po sądach.

– Co może ci zabrać? Wzrusza ramionami.

– Bo ja wiem? Mieszkanie. Co prawda nie ma do niego pretensji, ale kto wie, jak się skończy, gdy na horyzoncie pojawią się prawnicy i pieniądze? Pewnie oskubie mnie do nitki.

– Nie, nie może. To by nie było w porządku – mówię.

– Nie będę się tym przejmował. I tak, o ile znam życie, sprawa pociągnie się jeszcze parę lat, więc nie muszę od razu cię wyrzucać.

Dziwne uczucie: przejeżdżać obok naszego starego lokum, nadal widzieć karton z pudełka po płatkach kukurydzianych w stłuczonym oknie. A gdy wracamy do mieszkania Kena, czuję się jeszcze dziwniej. Niezręcznie.

W pokoju półmrok, bo niebo na dworze ciemnieje.

– Chcesz pooglądać telewizję – pyta – czy kładziesz się od razu do łóżka? – Jest tak poprawny, że aż sztywny.

Waham się. Wydaje się nieuprzejme od razu iść spać.

– Chętnie obejrzę. Ale o jedenastej muszę się położyć, jutro jak zwykle zaczynam z samego rana.

– Dobra. Masz ochotę na jakiś konkretny program? – Piłotern włącza telewizor, potem przeprasza i wychodzi do łazienki.

Chwila, telewizor się nagrzewa, potem zjawia się Davis.

Zapomniałam o jego programie. Nieruchomieję. Przed rozpoczęciem dyskusji, odzywa się Derek Davis do kamery, chciałbym wam pokazać fragmenty filmu.

Ekran wypełnia twarz Rosemary Madden. Oczywiście, współpracuję z moim autorem, oświadczam, chcę, by świat poznał

moją historię. I jest tylko jedna autoryzowana jej wersja.

Z łazienki Kena dobiega szum spuszczonej wody. Kamera odjeżdża, widać otoczenie. Obok Rosemary Madden stoi jej brat, ten starszy, krępy. Czemu nie miałyby na tym zarobić paru groszy? – pyta. Gnida zrujnowała jej życie.

Wraca Ken, widzi ekran w chwili, gdy ponownie zjawia się na nim studio i Derek Davis. Derek trzyma w ręku kartki, podnosi znad nich wzrok. Wokół tej sprawy nazbierało się wiele pytań...

Ken łapie pilota, przełącza, na ekranie pojawia się Trevor McDonald, prowadzący wiadomości o dziesiątej. Kampania wyborcza przed wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych.

– Bardzo przepraszam, Angelo, nie wiedziałem.

Gnida, powiedział jej brat. Wielu ludzi tak mówi, ale dla mnie to już nie ulega wątpliwości: anonim przysłał jej brat. Pewnie cegła to też jego sprawa. I napad.

Jestem ogłuszona. Jestem zmęczona. Pomyślę o tym jutro.

Nazajutrz powinnam wyjść od Kena wyjątkowo wcześnie, bo muszę czekać przed naszym mieszkaniem, dawnym mieszkaniem, na mikrobus. Strach mnie oblatuje tylko w chwili, gdy na palcach przemykam się przez hol do drzwi wyjściowych. Leżący w koszyku Sam obserwuje mnie i robi taki ruch, jakby chciał

podbiec. Kręcę głową i robię groźną minę. Najwyraźniej to bardzo inteligentny psiak, bo zostaje na miejscu. Ken pochrapuje na wąskim łóżku i udaje mi się wyjść tak, by go nie obudzić.

Jakoś przebrnęłam przez pracę – dzięki Bogu, żadna z kobiet nie wspomina o Davisie – choć jestem jak przepuszczona przez wyżymaczkę. A gdy wracam do mieszkania, jest pusto. Ken już wyszedł do pracy, wszędzie nieskazitelna czystość. O czajnik stoi oparta kartka.

*Pracuję w Malahide i wrócę około szóstej. Lodówka jest do twojej dyspozycji, częstuj się. Zostawiam na wierzchu maszynkę do wyciskania soku, bałem się, że może nie znajdziesz. Do zobaczenia wieczorem. K.*

Obok maszynki leżą dwie pomarańcze.

Jestem zbyt zmęczona, żeby coś jeść albo pić. Robię rzecz, której nie robiłam do dwudziestu lat: kładę się do łóżka.

Śpię jak zabita i budzę się dopiero pięć po trzeciej.

Początkowo czuję się jeszcze jak we śnie: lekkim, pogodnym, byłam w nim na Isle of Man, wyspie, o której nie mam zielonego pojęcia. Ale świeciło tam słońce, było cudownie i radośnie. Gdy się

zastanowić, to trochę jak w Phoenix Park.

I wtedy staje się coś dziwnego. Uświadamiam sobie, że to ja jestem lekka i pogodna. Coś zniknęło. Nie tylko zmęczenie. Także troski.

Siadam, sprawdzam.

Lekkość jest prawdziwa. Uniosła się chmura trosk i bólu.

Oczywiście, nie do końca, ale na tyle, że dostrzegam coś poza nią.

Posunę się dalej i powiem, że czuję się wręcz odrobinę szczęśliwa. Ten, kto powiedział: „Co z oczu, to z serca”, był

wyjątkowo mądrym człowiekiem. Oczywiście, James nie zniknął

z mojego serca, nadal w nim mieszka. Ale w klasztornej celi nic mu nie grozi, nikt nie będzie mu wymyślał do gnojków. Nie będzie telewizji, tak że nie dotrze to do niego nawet pośrednio.

Widzę go, jak spaceruje po cudownym, starym wirydarzu albo po łące. Tak samo zawsze widzę mamę. Wśród stokrotek i tak dalej.

Wstaję, ścielę łóżko zgodnie ze standardami Kena – taką przynajmniej mam nadzieję – i przechodzę do cichego salonu.

Rzeczywiście, nie kłamał, mówiąc, że jest tu spokojnie. Przez zamknięte okno ruch z Gardiner Street dociera tylko jako przytłumiony szum. Pamiętam, że roboty drogowe na niej doprowadzały nas do furii, ale jako że od czerwca Irlandia przejęła przywództwo we Wspólnocie Europejskiej, a Gardiner Street to jedyna trasa do lotniska, od tamtej pory ani razu nie zadudnił na niej młot pneumatyczny. (Teraz tylko rozlegają się syreny, gdy jadą dygnitarze!)

Nie chcę skalać czystości kuchni Kena, więc postanawiam zjeść coś na mieście. Tak, myślę, pójdę do Bewleya. Jak normalny człowiek.

Tak też robię. Wszystko wydaje się nowe. Pełne blasku.

Kocham wszystkich turystów. Kocham kelnerki w ich staroświeckich fartuszkach. Kocham nawet szturchanie i popychanie w kolejce, gdy czekam na jajko z frytkami. Jajko z frytkami na śniadanie o wpół do czwartej po południu! Mama przewróciłaby się w grobie!

A w drodze powrotnej wiecie, co robię? Idę do Carthy'ego i wykupuję jej rzeczy. Magnetowid zostawiam na parę dni, bo nie chcę, żeby ktoś widział, jak taszczę go po Gardiner Street. W tej okolicy pewnie zaciągnęliby mnie do komisariatu na przesłuchanie.

Kiedy wraca Ken z Samem, czajnik już jest nastawiony, a stół

nakryty do posiłku. Z tego, co znalazłam w lodówce, zrobiłam sałatkę, a w drodze do domu kupiłam

trochę wędlin. Chce się bawić w dom? Dam mu dom.

To rzeczywiście przypomina zabawę w dom. Jak z filmu z Rockiem Hudsonem i Doris Day. On wraca do domu w kombinezonie, który zbrudził, harując dla nas, więc ja natychmiast biegnę ku niemu, pytając: miałaś ciężki dzień, kochanie?

Następnie powinnam go zaprowadzić do parującej kąpieli. I dać mu zasłużonego szprycera. (Choć nigdy nie wiedziałam, co to właściwie jest).

Niestety, daleko mi do Doris Day. Gdy Ken staje z kluczem w ręku, spoglądając na to domowe ognisko, nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy. Jak to Angela Devine, mówię natychmiast:

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Na deser są lody.

– Nie gniewam? Jestem w siódmym niebie! – I mówi to szczerze.

Po jedzeniu znowu idziemy na spacer: nad brzegiem rzeki, w stronę Alexandra Basin. Ken bardzo dużo wie o cumujących tam statkach, o promie do Isle of Man i o kontenerowcach. Tłumaczy, że stalowa konstrukcja na pokładzie jednego z naszych irlandzkich okrętów to lądowisko śmigłowców. W zamian ja mogę mu opowiedzieć o życiu na Asgard, który również stoi w porcie. To jeden z irlandzkich okrętów szkoleniowych, jakiś przyjaciel Martina miał z nim coś wspólnego.

(Naturalnie, ponieważ to przyjaciel Martina, oczywiście na nim rządzi...)

Cieszę się, że wreszcie mogę mu powiedzieć coś, o czym nie wie. Istnieje pewna dysproporcja w naszej wiedzy o rodzinnym mieście. Przez te parę miesięcy, od kiedy znam Kena Sheilisa, obejrzałam i dowiedziałam się znacznie więcej o okolicy w promieniu paru kilometrów od miejsca mego urodzenia niż przez te wszystkie lata, gdy tu mieszkałam.

Nadal sprawdzam owo poczucie lekkości, z którym się obudziłam po południu.

– Ciekawe, co James teraz robi – odzywam się do Kena i nie uwierzycie, ale przychodzi mi to bez trudu.

– Pewnie zerwał się do najbliższego pubu na piwo i papierosa.

– Mówi to tak swobodnie, że nie wątpię, że poczynił niezwykle postępy w akceptowaniu Jamesa takim, jaki jest.

Dalej badam grunt w sprawie Jamesa.

– Powinnam zadzwonić do klasztoru? – pytam Kena. – Tylko się upewnić, czy wszystko jest w porządku?

– Sama zdecyduj – odpowiada – ale wyobraź sobie, że jesteś w jego wieku, uczysz się niezależności. Chciałabyś, żeby nieustannie cię kontrolowano?

– Może się czuć samotny. Przeżył taki koszmar.

– Możliwe. Ale samotność stanowi element dojrzewania.

Angelo... – Waha się. – Możesz mnie obrugać, ale nie sądzisz, że nie miał szansy zakosztowania niezależności? Czy to nie powinien być jego pierwszy naprawdę samodzielny lot? Nie ruszaj natychmiast jego śladem.

Echa Patsy.

Bierze mnie za rękę. Jakby mimochodem, niezobowiązująco.

– Może poczekaj z tym do początku przyszłego tygodnia?

Wtedy telefon sprawi mu przyjemność. Będzie czuł, że to przejaw troski i przyjaźni, nie kontrola i traktowanie go jak dziecko. –

Spogląda na mnie z boku. Wiatr wieje mu w plecy, zarzuca włosy na twarz. – Każ mi się zamknąć, to nie mój interes. Ale doskonale pamiętam, gdy byłem w jego wieku... – Zapada w milczenie.

Trudno to zaakceptować. Chociaż ma rację. Wypuszczenie spod skrzydeł nie polega tylko na fizycznym rozstaniu. Trzeba także ofiarować tej drugiej osobie dar niezamartwiania się o nią.

Ból się odzywa, ale się nie poddaję. Poradzę z nim sobie. Całkiem nieźle.

Doszliśmy najdalej, jak się dało, i odbijamy od rzeki. Na East Link Bridge panuje duży ruch, samochody jadą w obie strony.

Przez chwilę patrzymy z mostu na morze. W głębi, na środku rzeki, kołyszają się jachty, przy nabrzeżu stoi przycumowany urokliwy, biały prom.

– Słuchaj, Angelo – odzywa się Ken, wracając do innej sprawy

– mam nadzieję, że nie będziesz się upierać i od razu szukać mieszkania. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Bardzo niekłopotliwy z ciebie gość. Raz kozie śmierć – dorzuca. –

Chciałbym, żebyś została. Zgodzisz się?

Nie patrzę na niego, ale przypuszczam, że się zaczerwienił.

W hali Point, na drugim brzegu rzeki, chyba odbywa się jakaś impreza, mnóstwo samochodów, tłumy ludzi, krążący autobus wodny. Jesteśmy za daleko, by przeczytać plakaty. Może jakiś balet, musical, Christy Moore albo jakaś międzynarodowa gwiazda rocka. Dlaczego nie wiem? Obok mnie dzieje się tyle rzeczy, a ja ich nie dostrzegam.

Oto trafia mi się okazja podarowaniu Jamesowi pierwszego, drobnego upominku wolności.

– Tak się składa, że na razie jeszcze nie zaczęłam się rozglądać za mieszkaniem – zwracam się do Kena. – Może zostanę jeszcze tydzień, jeśli ci to nie przeszkadza? (Powiedziałam: pierwszy drobny upominek!)

– Nie przeszkadza? Zupełnie. – Ken się uśmiecha. – Ale uważaj, Angelo, bo a nuż zaczniesz ci to sprawiać przyjemność.

I co wtedy?

## Rozdział 37

W weekend napisałam list do Jamesa – uznałam to za dobry kompromis między jego potrzebą oderwania się a moją utrzymania kontaktu. Bardzo uważałam, ograniczałam się do drobiazgów, ani słowa o Rosemary Madden czy jej bracie, o dziennikarzach ścigających się, który pierwszy wyda książkę.

Tylko o pracy, Dublinie, wydarzeniach i ludziach, których obserwowałam. Wspomniałam, że tęsknię, ale lekko: „Brak mi Ciebie, zmoro, jestem na głodzie, bo nie ma mnie kto okadzać.

Słyszał ktoś o uzależnieniu się od biernego palenia?” Potem trochę informacji o Kenie: „To przyjaciel, którego poznałeś w szpitalu i którego adres Ci podałam, pamiętasz?” Opisałam mieszkanie Kena i po trosze Sama.

Skończyłam, prosząc, by się odezwał, co u niego słychać.

Chyba mają tam jakąś skrzynkę pocztową?

Podpisałam: „kochająca Angela”.

Wysłałam list w sobotę – pamiętałam też o wysłaniu słynnej zdrapki – i poszliśmy z Kenem na „Il Postino”, który mnie zachwycił, choć nie przepadam za filmami z napisami. Potem wybraliśmy się na lody. Gawędziliśmy o filmie.

Wtem Ken mówi:

– Wiesz, Angelo, jesteś piękna, gdy się odprężysz. W ogóle jesteś piękna, ale odprężona piękniejsza niż księżna Diana. Ktoś ci mówił, że trochę ją przypominasz?

– I co jeszcze, czarusiu? – mówię. (Ale kogo by to nie połechnęło?)

– Odziedziczyłaś urodę po matce? – pyta potem.

– Tak, ale koloryt po ojcu. – Ledwo to powiedziałam, wszystko oklapło. Zaczęłam myśleć o Piusie Crawfordzie.

– Oho, powiedziałem coś złego?



– Nie, wcale nie, tylko...

– Tylko sprawa z ojcem jeszcze nie jest skończona. Przekonałaś się, że nie wystarczy się dowiedzieć, kto to.

Spoglądam na niego z szacunkiem. Jak się domyślił?

– Coś w tym rodzaju – odpowiadam.

– W takim razie może powinnaś zakończyć tę sprawę –  
podsuwa.

– Nie – zaprzeczam szybko – nie mam siły. Jeszcze nie teraz.

Tak naprawdę to brakuje mi odwagi. – Błyskawicznie zmieniam temat. – Dlaczego rozstaliście się z Diandrą? – pytam.

– Nie wytrzymała ze mną – wyjaśnia cicho.

– Nie wierzę – mówię. – Nie pojmuję, jak można z tobą nie wytrzymać. Sprawiasz wrażenie takiego...

– Nieprawda. Nie jestem taki święty. Nie stawiaj mnie na piedestale, Angelo, to bardzo niebezpieczne.

– W takim razie podpowiedz mi. W końcu ty wiesz o mnie wszystko.

Przechyliła głowę, podobnie jak to robi Sam.

– W porządku – ustępuje. – W sumie to dość banalna i niezbyt piękna historia. Diandra żądała ode mnie rzeczy, których nie mogłem jej dać. Albo – z jej punktu widzenia – nie chciałem. Była ambitna za nas dwoje. Ale głównie chodziło jej o pieniądze.

Pragnęła zamieszkać w dużym domu, mieć elegancki samochód.

Nieustannie się o to kłóciliśmy.

Patrzy na mnie poważnie.

– Nie jestem ambitny, Angelo. Jeśli szukasz człowieka, który mierzy wysoko, rozejrzyj się za kimś innym. Mnie do szczęścia wystarczy imanie się najdziwniejszych prac, wykonywanie ich we własnym rytmie i zarabianie tyle, ile akurat mi potrzeba. Zdaniem Diandry, mogłem się tym zajmować na boku, dorabiać, lecz główne źródło dochodów powinno pochodzić z firmy budowlanej, którą bym założył, albo jakiegoś innego, bardziej prestiżowego zajęcia, które da mi jeśli nie pieniądze, to chociaż status.

Powtarzała, że nie życzy sobie być żoną złotej rączki. Przez pewien czas się starałem: pracowałem w dużej firmie budowlanej, gdzie mogłem piąć się po drabinie społecznej. Niechcący wyszedł

mi niezły dowcip z tą drabiną, co? – Uśmiecha się. Znowu poważnieje, bawi się łyżeczką, kręcąc nią w miseczce po lodach. –

Diandra twierdziła, że żyję, jakbym już przeszedł na emeryturę.

Ale dla mnie to wymarzony tryb życia. Tymczasem ona czuła, że została skazana na największą ciamajdę końca wieku, i nie znosiła mnie za to. Pod koniec oboje serdecznie się nienawidziliśmy.

Lubię to, co robię, Angelo. Sam decyduję, ile i kiedy pracuję. –

Zapatrzył się w przestrzeń. – Oczywiście, wraz z rozwodem to się może zmienić. Jeśli sąd jej przyzna wysokie alimenty.

– Nonsens – mówię. – Nie macie dzieci. A ona przecież może pracować, nie jest inwalidką, prawda?

– Nie znasz Diandry – ucina krótko. Zamyka się w sobie.

Pojmuję aluzję. – Wracamy?

Skoro mowa o za mało ambitnych – a raczej za mało zarabiających – kiedy tak leżę w niedzielę rano, napawając się świadomością lenistwa – nawet nie wiem ani nie chcę wiedzieć, która jest godzina – dociera do mnie, że gdyby Patsy mnie szukała w związku z jakimś występem, to nie ma tego adresu.

Całkiem nieźle, myślę sobie, jest żyć w takim spokoju i ukryciu, gdzie nikt z wyjątkiem Jamesa nie może się ze mną skontaktować. (I z wyjątkiem mojego ojca, ale w pilnych sprawach. A i te muszą czekać do soboty rano, kiedy to już zapewne przestaną być takie pilne).

Próbuję zbadać, jak się czuję bez Jamesa. Twardy, wszechogarniający ból trochę stępsiał i nabrał bardziej ogólnego charakteru. Nie ulega wątpliwości, że będę kochać Jamesa po kres swoich dni. Ku swemu zdumieniu jednak – bo nigdy na to nie narzekałam – spokojnie mogę funkcjonować, nie widząc go codziennie. Czy to brak lojalności? Uznaję, że nie. Dochodzę do wniosku, że to po prostu część składowa kolejnej fazy w naszym życiu; muszę się odsunąć, dać się wyprzedzić. Właśnie to instynkt mi podpowiadał tamtej nocy przed rozstaniem. Już nigdy nie będzie tak jak dawniej.

Nie jest tak źle. Trudniej przychodzi się przyznać, że może być lepiej. .

Jeden zdecydowany krok naprzód: budząc się w tym łóżku, czuję się, jakby mnie otulała ciepła chmurka. Za długo spałam na sofie.

Nasłuchuję odgłosów krzątania w pokoju obok. Niczego nie słyszę, podkulam palce, moszczę się i zapadam w kolejną drzemkę. Więc jeśli Patsy znajdzie sobie kogoś innego na moje miejsce – o co w tym mieście nietrudno – niech będzie. Zresztą jeśli wziąć pod uwagę ostatnie wydarzenia, wątpię, czy potrafiłybyśmy pracować w dawnej harmonii.

Potem przyznaję, że i tak mam to wszystko w głębokim poważaniu. Napawam się nowym życiem, koniec i kropka. I nie chcę, by ta przyjemność się kończyła. Shirley Valentine, czy co?

Ken ma duże, pojemne kubki. Dzień rozciąga się przede mną i dawno nie czułam się tak beztroska, jak teraz.

Jak spędzimy dzień? Wypiliśmy, Ken zbiera naczynia i przenosi je ze stołu do zlewu.

– Masz ochotę na wycieczkę za miasto? Nad morze? W góry?

Niczego nie chcę ci narzucać. Może masz swoje plany.

Tak, jasne. Plany.

Przeciągam się – oto jak zadomowiona się tu czuję – dopiero potem wstaję mu pomóc.

– Pytanie brzmi – odpowiadam – co ty byś robił, gdyby mnie tu nie było i gdybym ci nie zabałaganiała życia i mieszkania?

– Byłbym diabelnie samotny. Wmawiałbym sobie, że wiodę cudowne życie, życie ascety, ale czułbym się samotny jak licho.

Pytałam żartobliwie, tymczasem Ken, jak to on, zwała człowieka z nóg swoją szczerością. Ciągle jeszcze do tego nie przywykłam. Wyobrażenie Jamesa o długiej rozmowie – z wyjątkiem ekstremalnych sytuacji, jak wtedy w szpitalu –

ogranicza się do zdań: „W domu nie ma nic do żarcia”, „Zamówię coś na wynos”, albo: „Możesz pożyczyć parę funtów?” Rzadko zadawał pytania nie związane z pieniędzmi albo jego przewodem pokarmowym.

Ken nadal czeka na odpowiedź.

– Więc jak? Masz plany?

– Pomyślałam, że wyskoczę do Londynu, obejrzę przedstawienie na West Endzie i wrócę tu na rano, żeby o szóstej wysprzątać parę biur.

Nie zwraca uwagi na moją ironię.

– Chciałabyś, żebyśmy spędzili dzień wspólnie?

– Jasne. Czemu nie? Co byś powiedział na mszę?

– Byłem rano. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Znowu mnie zatyka. Pytanie miało być drwiną, nie sądziłam, że jest religijny. Właściwie nie znam prawie nikogo, kto by chodził do kościoła – nawet wśród koleżanek z pracy, wyłącznie te po czterdziestce.

Nie warto przy nim silić się na sarkazm.

Godzinę później mijamy roгатki autostrady M50 i wyjeżdżamy z Dublina.

Wolność. Żadna kalifornijska laska w swoim kabriolecie nie mogłaby się czuć swobodniej niż ja. I ta świadomość, że nikt na całym świecie nie potrafiłby mnie teraz znaleźć. W dodatku przed wyjazdem uparłam się, że zapłacę za tankowanie, a on ustąpił, więc nie muszę się czuć skępowana. Ja funduję.

Odkręcam szybę. Pod nami gruby pas drzew i roślin doliny Leffey i Strawberry Beds tak zielone, jak w katalogu biur podróży reklamujących deltę Mekongu. Dzień jest pochmurny, ale przed nami – nie uwierzycie – słońce rzuca garść świetlistych promieni na góry wokół Dublina. Prawdziwe promienie. Jak na okładce

„Mojego pierwszego modlitewnika”.

Ech, ten symbolizm. James w klasztorze, Ken praktykujący wierny, może czasem bym i ja zajrzała w swoją duszę?

Dokąd jedziemy?

– Nic nas nie goni – odpowiada. – Pomyślałem, że wyruszymy bez celu, znajdziemy jakieś ładne miejsce, może nad rzeką, i tam urządzimy sobie piknik. Potem pojedziemy jeszcze trochę dalej i zawrócimy, zanim zaczną się korki, co ty na to? (Niedzielne popołudnia na drogach są jeszcze gorsze niż w dni powszednie. Ci niedzielni kierowcy. Sądzę, że to świadczy o bogaceniu się społeczeństwa, o czym tak nam trują w radiu).

Moszczę się wygodnie, biorę Sama na kolana i rozkoszuję się nowym życiem. Żałuję, że nie możemy wrócić do miasta i zacząć od początku. I jeszcze raz, i jeszcze, jak pierwszy dzień wiosny.

Chciałabym, by trwał wiecznie.

Jemy piknik nad kanałem w miejscowości Rathangan, niedaleko Curragh w Kildare. Czarująca, oprócz kanału ma i rzekę. Leżę oparta na łokciu i wpatrzona w niebo, marzę o niebieskich migdałach. Wtedy odzywa się Ken:

– Skoro dojechaliliśmy tak daleko, może wpadniemy do Derrybride? Zajrzymy do jaskini lwa.

Co? To natychmiast wyrywa mnie z zadumy. To się nazywa zimny prysznic.

– Twój ojciec. Wpadniemy. Przywitamy się.

– Nie ma mowy. Innym razem.

– Angelo – mówi cicho – odsuwasz to. Pójdę z tobą, będę cię wspierał.

Wpadam w złość.

– Masz rację, odsuwam to. Słuchaj, Ken, jestem ci wdzięczna za gościnę i to wszystko – ruchem ręki obejmuję okolicę i romantyczną scenerię – ale naprawdę uważam...

– Co naprawdę uważasz, Angelo? Że nie mam prawa podsuwać takich propozycji? Oczywiście, że nie. Ale to tylko propozycja. –

Przekręca się na brzuch, zrywa trawkę. – Sądzę, że powinnaś to zrobić, inaczej nigdy nie zaznasz spokoju. Skoro jednak się boisz...

To, oczywiście, podziałało na mnie jak czerwona płachta na byka.

Żeby nie wyjść na skończone prosię, uparłam się, żeby najpierw zadzwonić. Znaleźliśmy budkę w Rathangan i w informacji telefonicznej uzyskałam domowy numer Piusa Crawforda.

Z każdym sygnałem czuję silniejszą pokusę rozłączenia się.

Słyszę odgłos podnoszonej słuchawki. Trzask. Dziecinny głos.

Wyszkolony. Mówi Esther Crawford, dziękujemy, że państwo zadzwonili. Pius, Dorothy, Angela, John, Matthew, Mark, Esther, Lukę ani Ruth nie mogą teraz odebrać telefonu. Proszę o zostawienie nazwiska i numeru telefonu. Jeśli chcą państwo rozmawiać z Piusem Crawfordem w sprawie nieruchomości, proszę zadzwonić pod numer...

Odwieszam słuchawkę. Już mam telefon do biura. Wychodzę z budki, serce kołacze mi w piersi.

– Włączyła się automatyczna sekretarka. Nikogo nie ma w domu. Zadowolony?

Siedzi na masce samochodu. Puścił Sama i pies obwąchuje rynsztok.

– Dlaczego jesteś taka zła, Angelo?

– Dlaczego mnie do tego zmusiłeś? – pytam. – Co to ma dla ciebie za znaczenie?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Znając jego szczerość, chyba nie powinnam była drążyć tematu.

– Sprawdź – mówię ostrożnie.

– Chcę cię poprosić o rękę, Angelo. Ale dopiero gdy będziesz wolna. A nie będziesz wolna, dopóki nie dojdiesz do ładu ze sprawami, które cię pochłaniają dwadzieścia cztery godziny na dobę. Należy do nich problem twojego ojca. – Wszystko to rąbie bez drgnienia powieki ani głosu.

Oświadczyły? Prośba o rękę?

Nie dociera to do mnie. A już z pewnością nie powiedziane w taki sposób i gdy jestem zapieniona. Poza tym gdzie się podział

nieodłączny krwisty rumieniec? Facet przede mną jest zimny jak Arktyka, nawet nie zszedł z maski.

– Mówisz poważnie? – Głos mam chrapliwy.

– Jak najbardziej.

Wracamy do domu w milczeniu. Nie w tamtej wspaniałej, łatwej i przyjaznej ciszy, jak w tamtą stronę. Ta teraz jest tak pełna napięcia, że aż niezręczna. Przynajmniej dla mnie. Bo tego diabła najwyraźniej ona nie wzrusza – w każdym razie na to wygląda: prowadzi swobodnie, łokieć oparty o otwarte okno z jego strony.

– Dlaczego to, co powiedziałem, wzbudziło w tobie takie poczucie zagrożenia?

Wróciliśmy do mieszkania i właśnie oświadczyłam, że czuję się zmęczona i muszę się wcześniej położyć. Czaję się przy drzwiach sypialni. Jest dopiero wpół do siódmej.

Opiera się o parapet okna, światło pada mu zza pleców, nie widzę wyrazu jego twarzy.

– Nie wiem dlaczego – odpowiadam. – Po prostu wywołało taką reakcję. Zresztą, kto powiedział, że czuję się zagrożona?

– Na pewno nie dlatego, że boisz się zaangażować.

Angażowanie się to twoja specjalność. Odłóżmy chwilowo na bok problem seksu. Przecież wiem, że dobrze się ze mną czujesz.

– Doprawdy?

– Tak, dobrze. – Odsuwa się od okna. – Wiesz, że tak jest.

– Cóż, w tej chwili z całą pewnością nie czuję się z tobą dobrze. Poza tym mówiłeś, że to ja muszę być wolna, podczas gdy sam nie jesteś wolny.

– Ale będę. Rzeczywiście, masz rację, za wcześniej z tym wyskoczyłem.

Przechodzi do kuchni.

– Jeśli nie chcesz wiedzieć, co myślę albo czuję, nie powinnaś pytać, Angelo. Uważam, że należy sobie mówić prawdę, bo jak inaczej zbudować związek? Ja nie widzę innego sposobu. Zresztą prawda jest łatwiejsza. Kłamstwo jest takie wyczerpujące, ciągle trzeba pamiętać, co się powiedziało. Zjesz coś czy jesteś za bardzo zmęczona?

Gdyby to był ktoś inny, schroniłabym się do sypialni, broniąc swojej pozycji i tak dalej. Ale na własnej skórze zdążyłam się przekonać, że z Kenem Sheilsem nie ma co się bawić w gierki.

– Rzeczywiście, przyznaję, jestem bardzo głodna. – I mierzę go chłodnym spojrzeniem. – Na pikniku się nie najadłam.

– Ugotuję makaron – mówi. – Usiądź – a może chcesz się zdrzemnąć, to cię zawołam na gotowe?

– Poczekam. – I dodaję: – Skoro już jesteśmy przy prawdzie i szczeroci, mogę cię o coś spytać, Ken? Na samym początku ciągle się czerwieniłeś. A to dziwnie nie pasuje do człowieka, którym się teraz okazujesz.

– Jestem bardzo nieśmiały – odpowiada, ustawiając rondle i łyżki. – Naprawdę. Ale gdy już wiem, czego chcę, tracę całą nieśmiałość. Pewnie się przekonasz, że gdy mnie przedstawiś komuś nowemu, będę się czerwienił, ale przy tobie już nigdy.

Włącza kuchenkę, ja telewizor. Ale po dziś dzień nie pamiętam, co było na ekranie. Drugie oświadczyły. Dziesięć minut później.

– Muszę cię spytać o coś jeszcze, Ken. Co z różnicą wieku? Nie przeszkadza ci, że jestem od ciebie starsza o osiem lat?

W spojrzeniu, które mi rzuca znad kuchennego blatu, maluje się kpina. – Daj spokój, Angelo, doprawdy, zadziwiasz mnie. Nie daję się zbić z tropu.

– Co więcej – prosiłeś o szczeroci – pozostaje kwestia twojego stosunku do Jamesa. Nie ma mowy o jakimkolwiek –

jakimkolwiek – poważniejszym i stałym związku między nami bez niego.

– Sądzisz, że nie wiem? – Na chwilę zostawia pomidory. – Jeśli chodzi o Jamesa, przepraszam cię za swoją pierwszą reakcję.

Przyznaję: zachowałem się nietaktownie. Ale nie podziękowałabyś mi, gdybym na dłuższą metę udawał, że to się dla mnie nie liczy. W pewnym momencie prawda musiałaby wyjść na jaw.

Za jego plecami kipi makaron, Ken przykręca ogień.

– Moim zdaniem, przeszłe postęпки Jamesa – nawet najgorsze –

nie mają żadnego wpływu na to, kim będzie ani co będzie robił w przyszłości. Z tego, co mówiłaś wynika, że chłopakowi przydałby się łut szczęścia. I naprawdę, życzę mu jak najlepiej.

– Na wszystko masz odpowiedź, prawda?

– Nie – mówi cicho. – Jest wiele pytań, na które nie mam odpowiedzi.

Ta rozmowa mnie wyczerpuje. Głośniej włączam fonię i udaję, że pochłania mnie program w telewizji.

Kiedy już podał makaron, ten okazał się pyszny, rozpływał się w ustach. Do tego sos pomidorowy, który gotuje raz w tygodniu, a potem zamraża. (Mówiłam wam, ten facet jest tak obrzydliwie samowystarczalny, że aż niedobrze się robi).

– Czy słusznie odnoszę wrażenie, że poważnie się zastanawiamy nad moim oświadczeniami? –  
Nalewa kawy po posiłku.

Nieoczekiwanie moje serce wykonuje przedziwny taniec.

– Nie wiem – mówię. (Czy jestem równie szczerą jak on?)

– Cóż, to chyba lepsze od „nie”. Wszystkie te wydarzenia – i kawa, jeśli mam być szczerą –  
sprawiają, że w nocy nie mogę zasnąć. O pierwszej poddaję się, zakradam się do kuchni i przy  
świecie z lodówki nalewam sobie szklankę mleka. Zerkam na rozkładany fotel, ale jest za ciemno,  
żeby stwierdzić, czy obudziłam Kena, czy nie. Słyszeć też go nie słyszałam. Widać bardzo cicho śpi.

Wróciwszy do łóżka, wypiałam mleko i odtwarzałam w pamięci wydarzenia dnia. Wyprawa za  
miasto. Huśtawka emocjonalna.

James, Pius Crawford. I najbardziej kluczowa sprawa: oświadczenia.

O szarej godzinie człowiek robi najdziwniejsze rzeczy. Ale nim się zorientowałam, co robię,  
wyjęłam z torebki długopis i jakąś kopertę (mój stary nawyk: torebkę zawsze trzymam przy łóżku).

Dobra, pomyślałam, wyjaśnijmy to raz na zawsze. Szybko. I bez oszustw: żadnych Kennethów  
Sheilsow i Angeli Rose Devine, jeśli za pierwszym razem nie wyjdzie dobrze. Musi być uczciwie.

I tylko raz.

K-E-N-S-H-E-I-L-S.

Pod spodem.

A-N-G-E-L-A-D-E-V-I-N-E.

Patrzę na nie. Usiłuję odgadnąć wynik. Strasznie się boję, żeby nie wyszło źle.

Teraz myślę, że może w ogóle nie powinnam tego robić.

Długością tak do siebie nie pasują. Może zmienić Kena na Kennetha? W końcu to jego właściwe  
imię.

Nie. Obiecałaś, że nie będziesz oszukiwać.

Zacząłam skreślać powtarzające się w obu nazwiskach litery.

Znowu miałam jedenaście lat, byłam w szóstej klasie. Ja i Patsy.

Liczę. Sumuję. U niego wychodzi KOCHA. Drżącą ręką zaczynam sumować swój wynik. Trafione.  
W dziesiątkę.



Kocha. Lubi. Szanuje. Nie chce. Szanuje. W myśli. W mowie.

W sercu. NA ŚLUBNYM KOBIERCU.

Chryste.

Drę kartkę. Dopijam mleko. Gaszę światło i leżę bez ruchu.

Chryste.

Następnego ranka po pracy szłam Gardiner Street do domu i właśnie zbliżałam się do wejścia do bloku, gdy ktoś mnie zawołał.

Obejrzałam się i zobaczyłam za sobą dwóch policjantów. Jeden to ten sympatyczny, z Kerry albo Cork, u którego zgłaszałam napaść, drugi, nieznan mi, mówił coś do krótkofalówki na piersi.

– Panno Devine. – Pochodzi do mnie ten z Kerry. – Szukaliśmy pani pod adresem na Mountjoy Street. Przeprowadziła się pani?

– Czasowo. Szukali mnie panowie? Od jak dawna? Znaleźliście sprawców?

Kręci głową ze smutną miną.

– Niestety, nie. Niech pani nie sądzi, że chodzimy, szukając pani, nie ma powodu do obaw, to rutynowy patrol. Poznałem panią, bo z panią rozmawiałem. – Patrzy na budynek. – Tu się pani przeniosła? Możemy na chwilę wejść? Musimy zamienić z panią słówko.

Klucze od mieszkania zaczynają mi się kleić do dłoni.

– Proszę... Czy coś się stało?

Policjant z Kerry zerka na kolegę, który skończył rozmawiać przez krótkofalówkę.

– Raczej nie – odpowiada po chwili. – Po prostu musimy z panią porozmawiać. Naprawdę będzie lepiej, jeśli wejdziemy.

Wiem, że Kena teraz nie ma. Nie jestem pewna, co by powiedział na takich gości.

– Proszę.

W maleńkim salonie wydają się olbrzymi, jeszcze więksi niż tamci funkcjonariusze w kamienicy Reddy'ego. Ale tam przynajmniej były wysokie sufity.

– O co chodzi? – Wodzę wzrokiem od jednego do drugiego.

– Znaleźliśmy motocykl zarejestrowany na nazwisko pani brata.

– Gdzie? Kiedy? – Natychmiast oczami wyobraźni widzę, jak wyciągają motocykl i ciało Jamesa z

Liffey. – Na miłość boską, gdzie go znaleźliście?

– Proszę się nie niepokoić, panno Devine. Możliwe, że został skradziony. Gdzie jest pani brat? Nie zginął mu motocykl? –

Rozgląda się po mieszkaniu.

– Wiecie, gdzie jest. Przecież pytałam pana, czy może wyjechać do Mount Melleray.

Zdumienie na obu twarzach.

– Nie zapisujecie tego? Przyszłam i pytałam, czy może na jakiś czas zamieszkać w klasztorze, bo bałam się, co z jego terapią.

Kiedy znaleźliście motocykl? Gdzie?

– W czwartek wieczorem.

– Boże. (A ja sobie urządzałam przechadzki).

– Kiedy ostatni raz widziała pani brata? – pyta łagodnie drugi policjant.

– W środę koło południa. Miał oddać motocykl do sklepu, w którym został kupiony... Prowadził go chodnikiem, rękę miał

nadal w gipsie. Wiedziałam, że nie powinnam puszczać Jamesa samego. Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówicie? Jest już poniedziałek.

– Byliśmy u pani w czwartek wieczorem, a potem w piątek, panno Devine. Nikt nie wiedział, gdzie pani zniknęła.

Muszę usiąść. Już mnie palą wyrzuty sumienia. Dlaczego go nie pilnowałam? Dlaczego nie odprowadziłam go do autobusu?

Dlaczego w ogóle dałam się ojcu namówić na Mount Melleray?

Dlaczego nie trzymałam Jamesa przy sobie?

Wyjaśniają, że motocykl znaleziono pięćdziesiąt metrów od nas, tuż za rogiem, przy Belvedere College. Powiadomił ich o tym w czwartek jeden z zakonników, bo motocykl częściowo blokował

wjazd na teren kolegium.

Chwytam się tego jak ostatniej deski ratunku. Histeryzuję, kretynka, a przecież James, jak to on, porzucił motocykl, bo mu się nie chciało prowadzić go aż do sklepu. Teraz na pewno wyleguje się w klasztorze.

Policjanci dzwonią z telefonu Kena do Mount Mellera.

James nie zjawił się w środę w klasztorze. Nie ma go tam.

## Rozdział 38

Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Rozmowa z policjantami miała miejsce w poniedziałek 15

lipca. Dziś jest wtorek 22 sierpnia i razem z Kenem Sheilsem wchodzimy do szkoły dowiedzieć się, jak nam poszła matura z angielskiego. Wydaje mi się to zupełnie bez znaczenia.

Tuż przed nami idzie Dwayne, nasza tak zwana gwiazda rocka.

W środku już czeka pan Elliott i pozostali nauczyciele. Na mój widok Eibhear Ó Suilleabhain, nauczyciel irlandzkiego – który, notabene, nie ma dziś swetra – podchodzi do mnie i składa wyrazy współczucia. Okazuje się, że Irlandczycy są w tym dobrzy. Nie wstydzą się prawdziwej tragedii.

Ken dostaje bardzo dobry mniej. Ja bardzo dobry plus.

Bardzo dobry plus z angielskiego. To praktycznie niespotykane. Pan Elliott uśmiecha się promiennie, a zarazem mi współczuje. Kenowi brakuje słów. Zawsze sądziłam, że wyprzedza mnie o głowę w angielskim. Powtarzałam mu to raz za razem. Ale, trzeba mu przyznać, wygląda na uradowanego moim sukcesem.

Świstek papieru, który się dostaje, w ogóle nie oddaje wagi dokumentu. Z trudem widać komputerowy wydruk. Tyle harówki, tyle nerwów, a w zamian takie byle co.

Ciągle jeszcze to do mnie nie dociera. Bardzo dobry plus.

Tylko jedna dziewczyna dostała jeszcze bardzo dobry, tak więc jest nas tylko troje. Większość grupy zaliczyła na dostateczny, parę osób dostało dobry. Nikt nie oblał. Jestem gwiazdą dnia.

– Chodźmy do domu – zwracam się do Kena.

Kiedy się dowiedziałam, że James nie zjawił się w klasztorze, zadzwoniłam do Piusa Crawforda. O niczym nie wiedział.

Próbował ze mną pogawędzić, ale szybko się rozłączyłam. Tym razem zostawiłam numer Kena.

Jak pewnie sobie wyobrażacie, tamtego ranka mózg mi pracował na pełnych obrotach, gdy wystukiwałam numer Patrice’ a Murphy’ego. Automatyczna sekretarka. Jest dopiero wpół do dziewiątej, oni zaczynają o dziewiątej. Spróbujemy za parę minut.

Muszę przyznać, że obaj policjanci okazali się niezwykle mili i pomocni. Dzięki nim poprzez komputerowy światek Dublina, jak się okazuje, nie taki znowu wielki, odszukałam Ferdię,

przyjaciela Jamesa. (Pomogło to oryginalne imię). Potem przez Ferdię udało mi się skontaktować z pozostałymi kumplami z ich paczki.

Łącznie z ich dziewczynami. Bez skutku.

Tymczasem policjanci przeczesywali miejsca, do których zwykle się udają w takich sytuacjach. Organizacje opiekujące się bezdomnymi, Samarytanie, Armia Zbawienia, wszystkie noclegownie. Tanie hotele – bo powiedziałam im, że miał przy sobie pewną sumę pieniędzy. Nic. Ani śladu.

Wracali raz po raz. Czy miał rachunek bankowy? Nie. Kartę kredytową? Nie. Cokolwiek, co mogłoby zostawić po sobie ślad, paszport? Nie.

James zniknął.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ma dziewiętnaście lat.

Jest pełnoletni. Jeśli chce zniknąć, nikt mu nie może stanąć na przeszkodzie.

Jeśli nie stało się najgorsze – a, oczywiście, wszyscy o tym myśleliśmy, choć nie mówiliśmy tego na głos – może być w dowolnym kraju Wspólnoty Europejskiej. Właściwie wszędzie.

Co prawda nadal jeszcze kontroluje się ruch graniczny. Z

wyjątkiem połączenia Anglia – Irlandia. A to najbardziej prawdopodobny kierunek.

Tytuły w brukowcach mnie nie zaskoczyły. ZNIKNIĘCIE

OSKARŻONE. GO W SPRAWIE O MOLESTOWANIE

SEKSUALNE. Nawet mnie nie zaboląły. Może się uodporniłam.

W przeciwieństwie do innych. Zgadnijcie, kto się pojawił w delikatesach pewnego sobotniego przedpołudnia? Nie pamiętam, czy to było tydzień, czy dwa tygodnie temu.

Obsługuję Samantę. Nad jej ramieniem dostrzegam mężczyznę w szarym garniturze, nietypowy widok, jak na sobotę rano.

Ubrany jest starannie, ale wygląda okropnie: twarz zapuchnięta, jakby płakał. Co nie jest wykluczone. To Pius.

Właścicielka sklepu pozwala mi zrobić sobie przerwę, choć mamy sporo klientów.

Idziemy na kawę do pobliskiego baru szybkiej obsługi. Pius nie owija w bawełnę. Nie zdążyliśmy dobrze usiąść, a pokazuje mi gazetę – lokalne wydanie „Eagles” czy „Bugles”, czy jak je tam zwał. POZAMAŁZENSKIE DZIECKO ZAŁOŹYCIELA ORGANIZACJI PRAWA KATOLIKÓW.  
Pierwsza strona.

Zerkam na początkowe linijki. „Niezwyczajny obrót sprawy w tajemniczej historii o zniknięciu skazanego gwałciciela... „

Oddaję mu gazetę. Nie chce mi się dalej czytać. Kiedy ktoś znika w niewyjaśnionych okolicznościach, człowiek żyje w niezwykłym stanie ducha. Jakby się nieustannie spało, to chyba najlepiej go odda. Nie wierzy się w to. Po prostu nie mieści się to w głowie. To się nie wydarzyło, on tam cały czas jest, tylko że nie można go uchwycić. Potem budzisz się i uświadamiasz sobie, że to jednak rzeczywistość. A potem już nic się nie liczy, zupełnie nic.

Pius czeka na moją reakcję na te rewelacje z pierwszej strony.

Ale mnie Pius guzik obchodzi. Może kiedyś znowu stanie się dla mnie ważny. Gdy już znajdziemy Jamesa.

– To musi być dla pana straszne – mówię. – Bardzo panu współczuję.

– Musisz mi powiedzieć, kto ci podał moje nazwisko.

Wykończę skurczybyka (nie powiedział skurczybyka), który mnie sprzedał.

Zauważam, że nie moduluje głosu.

– Dlaczego? – pytam. – Co to za różnica? To przecież nie zmieni faktów. A historia jest prawdziwa.

Ściska mnie za nadgarstek.

– Błagam, Angelo, na Boga, zaklinam... Muszę... Muszę coś zrobić. Nie mogę siedzieć beczynnym i pozwalać, by tak krzywdzili mnie, moją firmę, Dorothy.

Nie uważam się za istotę bez serca, ale ta sprawa mnie nuży.

Czyż to nie dziwne? Od kiedy nauczyłam się myśleć, ten facet rządził moimi uczuciami, moją wyobraźnią. Od ponad trzydziestu lat. A teraz może być dla mnie Wallace'em, Gromitem czy Homerem Simpsonem. Postacią z komiksu.

W moim życiu liczy się teraz tylko, by jakoś dobrać do następnego dnia i by znaleźć Jamesa. Albo przynajmniej dowiedzieć się, co się z nim stało.

– Przykro mi, panie Crawford, ale jak panu mówiłam, dałam słowo.

– To ten skurczybyk, Mick Flanagan, prawda? Doszedłem do tego.

– Nie! Już panu mówiłam.

Urywek wspomnienia z komisariatu. Młodszy policjant wachlujący uszami.

Cóż, może niesprawiedliwie go krzywdzę. Miałam dobre doświadczenia z policjantami. Zresztą

nieważne, czy to on, czy ktoś inny.

– Przykro mi, panie Crawford – oświadczam zdecydowanie –

ale ostatni raz powtarzam: nie mogę powiedzieć, od kogo się dowiedziałam. Skoro już jednak znaleźliśmy się, że się tak wyrażę, na neutralnym terenie, może mi pan coś powiedzieć?

– Co?

– Dlaczego nie wyszedł pan do mojej matki, kiedy stała pod pana domem i pana wołała?

Wpatruje się we mnie. Duży, przystojny mężczyzna. Oczy mu odrobinę zezują, wcześniej tego nie zauważyłam. Nie jest to brzydkie, nawet niezbyt widoczne. Po prostu teraz to dostrzegłam.

– Nie... nie mogłem. Moi rodzice, moja rodzina... Mierzę go wzrokiem. Próbuję wzbudzić w sobie intensywne uczucia. Moja matka. Mój ojciec. Moja matka z moim ojcem. Płodzą mnie. Tym jestem.

Nie wychodzi. Obojętność to straszna rzecz. Wstaję. Mam bardzo duży ruch, niestety, muszę wracać.

– Nie pomożesz mi?

– Nie wiem, jak mogłabym panu pomóc. Naprawdę nie potrafię. Jeśli to coś da, nie będę pogarszała sytuacji próbując ponownie się z nanem kontaktować. Chyba że będzie mi pan z jakiegoś powodu potrzebny. Ale teraz nie widzę takiego powodu.

Cały czas na mnie patrzy. Jest zagubiony. Biedny Pius.

Powtarzam:

– Muszę wracać.

Wychodzę z baru. Oglądam się, jeszcze nie wstał.

Uświadamiam sobie coś, czego nie chciałam do siebie dopuścić.

Zwlekałam, bo trudno jest się rozstać z marzeniem całego życia.

Olśnienie trwa jedną, brutalną sekundę. To nie była tylko jego wina, ale i jej. Po prostu stanowili najgorszą z możliwych par.

Oboje jednakowo słabi.

Zabija mnie spojrzenie w oczy prawdzie, której w głębi serca zapewne już od dawna się domyślałam.

Nie, to przesada. Właśnie podchodziłam do wejścia do delikatesów. Nie umarłam.

Będę się modlić, żeby ułożył sobie sprawy w domu. A w przyszłości znowu się z nim skontaktuję. W

bardziej sprzyjających okolicznościach. Jak wspomniałam, czeka tam na mnie cała rodzina. Nie chciałabym zupełnie z niej zrezygnować.

Pierwsze parę tygodni przeżyłam, wyszukując sobie zajęcia.

Prowadząc akcję poszukiwania Jamesa. Zostało mi trochę pieniędzy, więc wzięłam urlop. Muszę przyznać, że firma okazała duże zrozumienie. (Choć reakcji Papuci zapewne się domyślacie...

)

Na moją prośbę radio RTE na końcu wiadomości nadawało apel do Jamesa, żeby się ze mną skontaktował – a każdy, kto ma o nim jakieś informacje, żeby się skontaktował ze mną albo z najbliższym posterunkiem policji. Nic. W jesiennym wydaniu

„Crimeline” zostaną odtworzone jego ostatnie posunięcia. Czyż to nie ironia? Teraz pieję hymny pochwalne na temat mediów. A przynajmniej ich części. Policjanci liczą, że program przyniesie jakieś konkrety.

Dni przechodzą w tygodnie. Wróciłam do pracy i nadal mieszkam z Kenem.

– Nie ma sensu, żebyś się wyprowadzała – powiedział

piętnastego lipca po powrocie z pracy. – Poczekaj, aż sytuacja się wyjaśni. Zresztą będziesz potrzebowała bazy z telefonem.

Następnego dnia poszedł o krok dalej, kupił mi telefon komórkowy i zapasową baterię. Na razie na wiele mi się nie przydał, ale z namaszczeniem zmieniam baterie i ani na chwilę go nie wyłączam. Głupota. Przecież James nie zadzwoni pod ten numer.

Ken jest święcie przekonany, że James żyje. Trzymam się jego wiary. Wiecie, jaki Ken jest szczerzy i uczciwy. Nie mówiłby tak, gdyby w to nie wierzył.

W chwilach większej przytomności sama nie wiem, w co wierzyć. Czasem ogarnia mnie depresja i wyobrażam sobie najgorsze. Prześladowają mnie koszmarnie wizje: wyławiają go z Liffey, z ust i nosa leje mu się woda; wyrzuciło go przy Dollymount Strand, bez palców u rąk i nóg, ze zmiażdżoną głową; jego rozkładające się ciało unosi się na środku Morza Irlandzkiego

– w wiadomościach nieustannie podają informacje o ludziach, którzy wypadli z promów. Nie wiem, dlaczego zawsze widzę go w wodzie. Przecież fobię mam na punkcie ognia.

Zamordowano go. Jej bracia i ojciec zaczęli się na niego w tamto środowe południe. Skatowali go i teraz leży w płytkim grobie gdzieś w górach wokół Dublina.

Wspomniałam o tym policjantom i powiedzieli, że będą pamiętać. Zakładam, że pokazali Maddenom anonim – a ci oczywiście się wyparli. W każdym razie tego należałoby się po nich spodziewać.

Czasem wydaje mi się, że jego zniknięcie to kara dla mnie. Nie okazałam się wystarczająco silna,

wystarczająco dobra, wystarczająco surowa, wystarczająco kochająca, wystarczająco jakaś. Bóg przywołuje mnie do porządku. Ken robi, co w jego mocy, by wybić mi to z głowy. Czasem mu się udaje, ale nie zawsze.

W dobre dni widzę Jamesa, który chodzi na wolności w Londynie. Albo pracuje w pubie. (Absolutnie nie dopuszczam do siebie wizji Jamesa śpiącego na chodniku... Absolutnie. Wiecie, jakie uczucia budzi we mnie przerażająca dola bezdomnych).

Może zaciągnął się na statek. Może jest w Ameryce Południowej albo w Australii.

Przywołuję w myślach wszystkie jego zainteresowania: pieniądze na pewno już się skończyły i potrzebna mu praca. Na razie wymyśliłam tylko motocykle i telewizję. Sprawdzałam we wszystkich firmach kurierskich i sklepach motocyklowych w mieście. Dzwoniłam do RTE. Kiedy wyjaśniłam, kim jestem i dlaczego pytam, okazali zrozumienie. Ale ostatnio nikogo nie przyjmowali i nie zatrudniają ludzi bez kwalifikacji. Pracowników szukają przez ogłoszenia i nie organizowali żadnego konkursu, w którym James mógłby brać udział. Chciałam zadzwonić do BBC, ale Ken wybił mi to z głowy. W końcu człowiek z ulicy nie startowałby do BBC.

Na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że się ukrywa i potrzebuje dorywczej roboty, skontrolowałam firmy ochroniarskie (choć nawet ja zdawałam sobie sprawę, że z jego „dorobkiem” miałyby tam nikłe szanse) i wszystkie całodobowe warsztaty i sklepy. Jeden tydzień spędziłam, krążąc po supermarketach i barach, pokazując jego zdjęcie, które dostałam od Ferdii, i pytając pracowników, czy go nie widzieli.

Przez jakiś czas – i nadal nie rezygnuję z tej wizji – wierzyłam, że wygrał w lotto i z fasonem wyruszył w świat. Pamiętacie ten druczek, który wyjął z kieszeni? Ten, na którym zapisałam mu adres Kena?

Właściwie czemu nie?

Poszłam do centrali totalizatora przy Abbey Street. Wszyscy, do których się zwróciłam, wychodzili ze skóry, by mi pomóc, ale nie, nie zjawił się żaden anonimowy zwycięzca, odpowiadający rysopisowi Jamesa.

Modłę się. Coś w tym rodzaju. Pewnie to bardziej zabobon.

Kiedys mama mi mówiła (chyba była przy tym i Francesca), że wielu ludzi różnych wyznań wierzy, że każda gwiazda na niebie to inny anioł stróż. Dlatego zaczęłam się modlić do anioła stróża Jamesa i do mojego, prosząc, żeby się aniołowie między sobą dogadali i przyprowadzili Jamesa do mnie. „Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż, broń duszy, ciała mego i doprowadź mnie do żywota wiecznego”.

Głupie i dziecinne, ale pomaga, zwłaszcza gdy nie mogę zasnąć. Przywołuję przed oczy twarz mamy, proszę, by się nim zaopiekowała, by go znalazła, otoczyła go opieką. Gwiazdo jasna, mamó, niewiele dla niego zrobiłaś za życia, proszę, pomóż mu teraz...



I tak dalej.

A w tym wszystkim życie ludzi płynie i staram się dopasować.

Trzeba iść do pracy, trzeba oglądać telewizję, jeść i rozmawiać.

Nie sposób dwadzieścia cztery godziny na dobę żyć w napięciu, przynajmniej nie po kilku tygodniach, to po prostu niemożliwe.

Na początku miesiąca poszłam nawet witać Michelle Smith i naszą drużynę olimpijską. A zrobiłam to między innymi dlatego, że pod względem pogody był to najgorszy dzień tych wakacji i pomyślałam, że pewnie tylko garstka ludzi zjawi się, by ich powitać. A nie chciałam ich zawieść.

Nie pomyliłam się. Michelle, niech Bóg ma ją w swojej opiece, okazała się taka kruchotka i maleńka. Człowiek widział tylko czubek głowy wychylający się znad otwartego autobusu. Można się było jedynie domyślać, że trzyma cztery medale. Biedula nawet w basenie nigdy nie była tak przemoczona jak wtedy. I co dostała za swoją odwagę? Przynajmniej na początku O'Connell Street, gdzie ja stałam. Widok na rząd barierek, za którymi pod parasolami kulili się grupki ludzi, co odważyli się wyściubić nos z domu.

Z pozoru funkcjonuje się normalnie, niczym żywy obywatel świata, lecz uczestniczy się w tym zaledwie milionową częścią mózgu. Cała reszta w człowieku obumiera, myśli się wyłącznie o tym, że może to się stało, a może to; może tu spróbować; o tym jeszcze nie pomyśleliśmy.

I teorie. Przekłete, nieskończone spekulacje. Eksperti. Artykuły na pierwszych stronach i wywiady. Psychologowie. Emerytowani kryminologowie. Jakby samemu, bez nich, nie dość się miało koncepcji.

W pewnym momencie we wszystkim człowiek doszukuje się znaków, symboli, omenów. Ken ma na przykład słownik języka angielskiego, a w nim natrafiłam na informację, że imię kończące się na – el lub – ii oznacza radość, blask albo promienną istotę.

Albo anioła. Zaczęłam się modlić do aniołów, bo mam na imię Angela. To był znak. Rozumiecie?

Albo usłyszałam w radiu piosenkę „California Dreamin’”. A jeśli przy tym po jakimś czasie widziałam w wiadomościach coś o Kalifornii i przypominałam sobie piosenkę, łączyłam oba fakty i nabierałam pewności, że James przebywa w Kalifornii. Przez jeden dzień przekonanie było tak silne, że zadzwoniłam do ambasady amerykańskiej.

Z grubsza widzicie, o co chodzi. Może mi nie uwierzycie, ale takie ruchy ratują mnie przed popadnięciem w całkowity obłęd.

Z tego, co mówiłam o modlitwie, mogliście wydedukować, że najgorsza pora nadchodzi w środku nocy, ale dla mnie najgorsze, co mnie spotyka, to gdy idę ulicą i widzę kark jakiegoś chłopaka.

Jestem przekonana, że to James, ale gdy go doganiam, okazuje się, że nie ma żadnego podobieństwa. Koszmarne uczucie. Albo gdy człowiek sobie przypomina, że mowa tu o chłopcu, który nie potrafił –

nie potrafi – ugotować sobie jajka.

Nawet z najgorszych sytuacji zawsze wynika coś dobrego.

Niezwykłe serce ludzi, do których zwracamy się o pomoc.

Wsparcie ze strony nieszczęśliwych rodzin w podobnej sytuacji, z którymi skontaktowała mnie policja. Bo my wszyscy czujemy to samo. Syn pewnej kobiety zginął osiemnaście lat temu

– osiemnaście lat! – a ona nadal czeka na jego powrót. I jest święcie przekonana, że wróci. A ja wraz z nią. James wróci do domu.

Inną dobrą rzeczą – ale nie jakąś zachwycającą – było to, że Patsy usłyszała mój apel i skontaktowała się ze mną.

Razem z Martinem robili, co w ich mocy. Martin uruchomił

wszystkie swoje dojścia tutaj, w Irlandii Północnej, Anglii, nawet w Holandii i Niemczech. Ma znajomego drukarza – oby tylko nie pana Maddena, zresztą nie pytałam – który wydrukował ulotki.

Martin i Patsy zostawili je we wszystkich pubach, klubach nocnych i barach Dublina. Nieustannie zapraszają mnie z Kenem do siebie na lunch albo kolację, albo tak bez okazji.

Nigdy już nie będziemy sobie z Patsy tak bliskie jak dawniej.

Pozostaniemy przyjaciółkami i to się już nie zmieni. Ale chociaż próbowałam wzbudzić w sobie uczucia sprzed tego wszystkiego i wybaczyć jej, nie mogę. Nadal widzę wyraz jej twarzy, gdy podaje mi wycinek z prasy o Jamesie i kładzie go na stole.

Dopiero w ubiegłym tygodniu poszła do Reddy’ego po swój kolczyk – włożyłam go do koperty i schowałam za starym grzejnikiem w korytarzu. Wiedziałam, że tam nikt nigdy nie odkurza. (Dlaczego po prostu go nie wzięłam? Pamiętacie, w jakim byłam stanie. I nie wiedziałam, czy kiedykolwiek się spotkamy – ani czy zechcę ją jeszcze widzieć na oczy).

Wróciła. Nie tylko z kolczykiem, ale i paroma listami. Na widok jednego wybuchnęłam płaczem. To był list, który napisałam do Jamesa. Zwrot. *Via Pius Crawford*, do którego odesłał go opat. Ojciec dołączył liścik, w którym wyrażał

nadzieję, że dobrze się czuję, i dodawał, że się za mnie modlił.

Kiedy już się wzięłam w garść, na drugi list tylko się głupio gapiłam. Szczerze powiedziawszy, omal się głośno nie roześmiałam. Wybrano mnie do udziału w teleturnieju „Fame and Fortune” z Martym Whelanem. Parę ładnych tygodni temu.

Wysyłając tę cholerną kartkę, zapomniałam zmienić adres Reddy’ego na Kena.

Podarłam list, nawet przez moment tego nie żałowałam.

(Zresztą, wyobrażacie mnie sobie teraz w telewizji, jak chichoczę i dowcipkuję z Martym Whelanem? A kto trzyma za ciebie kciuki w domu, Angelo?)

W tej całej sytuacji najbardziej zaskakujące jest właśnie objawienie. Znika wszystko, co pozorne. Te durne gadki o domku wśród róż i pół miliona wygranej? Wszystko odeszło. Gdybym odzyskała Jamesa, zamieszkałabym z nim w psiej budzie. A zemsta na Maddenach? Nie obchodzi mnie, czy oszukali prasę i czy to jej brat pobił Jamesa. Sypałabym im kwiecie pod stopy, gdyby mogli sprawić, bym zobaczyła, jak idzie do mnie, przygarbiony, przez Mountjoy Square.

Przynajmniej Maddenowie mieli powód do bólu. Innym trochę trudniej mi przebaczyć. Chyba nie muszę wam ich wyliczać. Oni nigdy nie odpuszczają, prawda? Ostatni nagłówek – nigdy nie czytam artykułów, bo powtarzają w nich tę samą śpiewkę –

mówiły o zaręczynach Rosemary Madden. OFIARA MOLESTOWANIA SEKSUALNEGO W KOŃCU ZNALAZŁA

SZCZĘŚCIE.

Na ogół jednak jestem zbyt zajęta rozważaniem prawdziwych i urojonych krzywd, które nam wyrządzono. Jeśli zgorzknieję, to ja będę najbardziej przegrana, prawda? Świat pójdzie dalej, a ja zostanę.

Nadal nie potrafię się rozstać z moją teorią o wygranej w lotto.

W końcu anonimowi ludzie są anonimowi. Pracownicy kolektury naprawdę mogli nie wiedzieć, że to był on. Nieustannie rozmawiamy o tym z Kenem. A raczej ja mówię, a Ken słucha.

Zwraca uwagę – zresztą słusznie – że czek muszą wystawić na konkretną osobę. Ja jednak wierzę – choć twierdzą, że tak nie robią – że jeśli ktoś naprawdę domaga się anonimowości, mogą wystawić czek na okaziciela.

W coś trzeba wierzyć.

Taka wygląda moja obecna sytuacja. A Ken i ja? W

zawieszeniu. Parę razy się kochaliśmy i muszę przyznać, że nieźle nam poszło. Na chwilę się odprężyłam, zapomniałam na parę minut. W jednym Ken się nie mylił, seks przynosi ukojenie.

Ale nadal śpimy oddzielnie. W sumie dość szybko się do siebie dostosowaliśmy, ale jeśli chodzi o mnie, wszystko koncentruje się na Jamesie. I sędzę, że tak już zostanie – nawet jeśli dowiemy się czegoś konkretnego, w jedną albo w drugą stronę.

Co najdziwniejsze, bardziej o nim myślę teraz, niż gdyby tu był. To swego rodzaju dożywocie.

Ken nadal uważa, że powinniśmy się pobrać, gdy już się pogodzę z tym, co się stało albo stanie z Jamesem, i jeśli ułożę sobie stosunki z ojcem – co zamierzam w przyszłości uczynić (chyba). Twierdzi też, że przydałaby mi się pomoc. Terapia, doradztwo czy coś w tym rodzaju.

W tej chwili nie mam na to czasu, jestem zbyt zajęta.

Mówi, że jest gotów czekać na mnie całe życie.

Kto wie?

Może.

Następnym krzyżem jest książka – albo książki. Ken obiecuje, że tym razem mnie obroni. A może – kto wie – i z nich w końcu wyniknie coś dobrego. W przeciwieństwie do radia i telewizji, gdzie bohaterowie i czołówki zmieniają się z dnia na dzień, czy prasy, która kończy jako miazga na papier toaletowy, książki na ogół żyją dłużej. Przypuszczam, że wykorzystają w nich zdjęcia Jamesa z czarną przepaską na oczach albo bez niej. Może gdzieś, w którymś zakątku świata, ktoś kiedyś sięgnie po tę książkę i go pozna. Takie sytuacje naprawdę się zdarzają, czyta się o nich codziennie.